

29 OPOWIADAŃ MISTRZA MAKABRY

# DROGA DO SZALEŃSTWA



H.P. LOVECRAFT

# Spis opowieści

[Karta tytułowa](#)

[Bestia w jaskini](#)

[Alchemik](#)

[Poezja i bogowie](#)

[Ulica](#)

[Przemiana Juana Romero](#)

[Księga \(fragment\)](#)

[Dagon](#)

[Grobowiec](#)

[Pamięć](#)

[\*\*Biały statek Arthur Jermyn 1\*\*](#)

[Biały statek 2](#)

[Świątynia Manuskrypt znaleziony u wybrzeży Jukatano](#)

[Przeróżający staruch](#)

[Pełzający Chaos](#)

[Księżycowe Moczary Drzewo](#)

[\*\*Reanimator W mroku 1.\*\*](#)

[Demon Plagi 2.](#)

[Sześć strzałów w blasku księżyca 3.](#)

[Krzyk umarłego 4.](#)

[Koszmar wśród cieni 5.](#)

[Legiony umarłych 6.](#)

[\*\*Przyczajona groza 1 Cień na kominie\*\*](#)

Chodzący wśród burzy 2.

Co oznaczała czerwona poświata 3.

Groza ujawniona 4.

Festyn

Nienazwane

Uwięziony wśród faraonów 1 Przeklęty dom

2

3

4

5

On

Koszmar w Red Hook... 1

2

3

4

5

6

7

Zimno

Nathicana W górach szaleństwa 1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

W murach Eryksu

Zły Duchowny

Elektryczny kat

Ex Oblivione

Historia Necronomiconu

Zeznanie Szalonego Araba

BLURB



H.P. LOVECRAFT

DROGA

**DO SZALEŃSTWA**

Przekład  
Robert P. Lipski

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

2004

## Bestia w jaskini

Straszliwe przypuszczenie, kołaczące się nieśmiało w moim niechętnym temu i oszołomionym umyśle, stało się upiorną rzeczywistością. Zgubiłem się i to na dobre w ogromnych, przypominających labirynt, korytarzach Jaskini Mamutów. Obracając się w obie strony i wyężając wzrok nie byłem w stanie dostrzec żadnego znaku, który pomógłby mi dotrzeć do drogi prowadzącej na zewnątrz. Nie mogę już dłużej oszukiwać samego siebie. Muszę pogodzić się z faktem, że być może już nigdy nie zobaczę światła dziennego, ani rozległych równin czy uroczych wzgórz zewnętrznego świata. Utraciłem nadzieję. Niemniej jednak, ponieważ życie moje indoktrynowały studia filozoficzne, obojętność jaką nieodmiennie zachowywałem nie przysporzyła mi nawet odrobiny satysfakcji – często bowiem czytałem, że ofiary podobnych zachowań popadały w dziki szal; ja jednak nie doświadczyłem niczego podobnego i od chwili, kiedy uświadomiłem sobie rozpaczliwość swej sytuacji, stałem spokojnie, pogrążony niemal w kompletnym bezruchu.

Myśl, że najprawdopodobniej dotarłem zbyt daleko, by mogła mnie odnaleźć grupa poszukiwawcza, również nie była w stanie wytrącić mnie z równowagi. Jeżeli już muszę tu umrzeć, stwierdziłem, miast na cmentarzu, kości moje spoczną w owej przerażającej, majestatycznej jaskini i bardziej niż rozpaczą myśl ta natchnęła mnie spokojem i obojętnością.

Najpierw poczuję pragnienie, pomyślałem. Wiedziałem, iż niektórzy w podobnej sytuacji potraciliby zmysły, ja jednak czułem, że taki koniec nie jest mi pisany, nieszczęście jakie mi się przytrafiło było jedynie moją winą, jako że nie mówiąc ani słowa przewodnikowi oddaliłem się od grupy wycieczkowiczów i po ponad godzinnej wędrówce zakazanymi korytarzami

jaskini stwierdziłem, że nie jestem w stanie odnaleźć powrotnej drogi wśród mrocznych zakamarków kamiennego labiryntu.

Moja latarka zaczęła już przygasać, niebawem otoczą mnie nieprzeniknione i niemal namacalne ciemności panujące w trzewiach ziemi. Stojąc tak, w słabym migoczącym świetle, zastanawiałem się leniwie nad konkretnymi okolicznościami mego zbliżającego się końca.

Przypomniałem sobie zasłyszane opowieści o kolonii gruźlików, którzy zamieszkali w tej gigantycznej grocie licząc na odzyskanie zdrowia w orzeźwiającym klimacie podziemnego świata z jego jednolitą temperaturą, czystym powietrzem, ciszą i spokojem, a miast tego znaleźli jedynie śmierć w osobliwej i upiornej postaci. Widziałem smętne szczątki ich źle skleconych chatynek, mijając je wraz z wycieczką, i zastanawiałem się, jaki naturalny wpływ mógł wyrzeć długi pobyt w tej ogromnej i milczącej jaskini na kogoś tak zdrowego i krzepkiego jak ja. Teraz, mówiłem sobie posępnie w duchu, miałem okazję się o tym przekonać, zakładając rzecz jasna, że brak wody nie skłoni mnie do szybszego rozstania się z życiem.

W końcu moja latarka zgasła zupełnie; w tej sytuacji postanowiłem wykorzystać każdą szansę, każdą nawet najwątплиwszą możliwość wydostania się z jaskini z życiem i nie szczędząc płuc, wydałem serię głośnych okrzyków, licząc, że tym hałasem zwrócę uwagę przewodnika mojej grupy.

Niemniej jednak, kiedy to uczyniłem, poczułem w głębi serca, że moje wysiłki poszły na marne, a mój głos, zwielokrotniony i odbity gromkim echem od niezliczonych watów mrocznego labiryntu wokoło, dotarł jedynie do moich uszu.

Nagle, zgoła nieoczekiwanie, coś przykuło moją uwagę i momentalnie spałem się w sobie. Wydawało mi się bowiem, że słyszę łagodny odgłos zbliżających się stóp, kroczących po kamiennym podłożu jaskini.

Czyżby ratunek miał przybyć tak szybko? Czy wszystkie moje mrozące krew w żyłach lęki były próżne, gdyż przewodnik, zauważywszy, iż



samowolnie oddaliłem się od grupy, podążył moim śladem i odnalazł mnie w korytarzu tego gigantycznego wapiennego labiryntu?

Podczas gdy w moim umyśle kłębiły się owe radosne rozmyślenia, moje usta otwały się do kolejnego krzyku, aby pomoc mogła dotrzeć do mnie szybciej, lecz zaraz uczucie radości zmieniło się w czystą zgrozę, nasłuchiwałem bowiem, a słuch miałem czujny i bardziej wyostrzony przez panującą w jaskini grobową ciszę, i z przerażeniem uświadomiłem sobie, że kroki, które się do mnie zbliżały, nie przypominały odgłosu kroków CZŁOWIEKA! W nieziemskiej ciszy dźwięk obutych stóp przewodnika powinien brzmieć niczym serie ostrych, donośnych uderzeń. Te zaś były cichsze i bardziej ukradkowe, jak stąpanie kocich łap. Poza tym, kiedy wyteżyłem słuch, miałem wrażenie, że wychwytyuję odgłos stąpania nie dwóch, a CZTERECH stóp.

Byłem teraz przekonany, że moje wołanie zaniepokoiło i przyciągnęło tu jakieś dzikie zwierzę, być może górskiego lwa, który przez przypadek zabłądził do jaskini. Kto wie, zastanawiałem się, może Wszechmocny przypisał mi szybszą i bardziej litościwą śmierć, niż długie konanie, niemniej jednak instynkt przetrwania, który w moim przypadku nigdy nie zasypiał, wyraźnie się teraz ożywił, i choć ucieczka przed nadciągającym zagrożeniem mogła w tej sytuacji jedynie równać się dłuższej i bardziej ponurej śmierci, postanowiłem bronić swego życia ze wszystkich sił, tak długo jak to tylko możliwe. Może się to wydawać dziwne, ale mój umysł ze strony tajemniczego gościa odczuwał jedynie wrogość. Znieruchomiałem zupełnie, usiłując zachowywać się możliwie bezszelestnie w nadziei, że nieznane zwierzę, z braku naprowadzających je dźwięków, straci orientację w ciemnościach, minie mnie i pójdzie dalej. Były to jednak płonne nadzieje, gdyż skradające się kroki nadal się zbliżały; najwyraźniej zwierzę zwietryło mój zapach, który wewnątrz jaskini, gdzie powietrze było czyste i nie skażone przez inne wonie, musiało bez wątpienia wyczuwać ze sporej odległości.

Nie pozostało mi zatem nic innego, jak uzbroić się i przygotować do obrony przed atakiem nieznanego, niewidocznego w ciemności przeciwnika, toteż zacząłem po omacku szukać możliwie największych odłamków skalnych, zaścielających podłogę jaskini. Ująłem po jednym w każdą rękę, aby móc niezwłocznie wykorzystać i czekałem z rezygnacją na to, co było nieuniknione. Tymczasem przeraźliwy szelest stóp zbliżał się coraz bardziej. Bez wątpienia zachowanie zwierzęcia było skrajnie osobliwe. Przez większość czasu zdawało się iść na czworakach, przy czym słyhać było wyraźny brak unisono pomiędzy przednimi a tylnymi łapami, niemniej w krótkich niezbyt częstych interwałach odnosiłem wrażenie jakby stworzenie poruszało się jedynie na dwóch nogach.

Zastanawiałem się, z jakim gatunkiem przyszło mi się spotkać; musiało ono, jak sądziłem, zapłacić za swoją ciekawość i pragnienie zbadania jednego z wejść do groty dożywotnim uwięzieniem w jego bezkresnych czeluściach. Żywiło się niewątpliwie bezokimi rybami, nietoperzami i szczurami żyjącymi w jaskini, jak również zwyczajnymi rybami przyplływającymi z odnętów Green River, której odnogi w jakiś przedziwny sposób łączyły się z podziemnymi wodami.

Mrozące krew w żyłach wyczekiwanie skracałem sobie wymyślaniami groteskowych deformacji, jakie życie w jaskini musiało spowodować w fizycznej budowie zwierzęcia, przypominając sobie jednocześnie przerażający wygląd gruźlików, którzy według legendy zmarli po długim pobycie w jaskini, I nagle, z przerażeniem uświadomiłem sobie, że nawet gdyby udało mi się pokonać przeciwnika, NIE ZDOŁAM GO ZOBACZYĆ. Napięcie ogarniające mój umysł było przerażające. Wyobraźnia, w której panował ogromny chaos, tworzyła upiorne i przerażające kształty, tkając je ze złowrogiej materii otaczającej mnie ciemności, która niemal namacalnie napierała na moje ciało. Kroki były coraz bliżej. Miałem wrażenie, że bezwarunkowo muszę wydać z siebie długi, przenikliwy krzyk, ale głos uwiązł mi w gardle, i nie bytem w stanie tego dokonać. Stałem jak

skamieniały, miałem wrażenie, że stopy wrosły mi w ziemię. Wątpiłem, czy moja prawa ręka będzie w stanie w krytycznym momencie cisnąć pocisk w zbliżającą się ku mnie istotę.

Jednostajne tup, tup, tup kroków było bardzo blisko, przeraźliwie blisko. Słyszałem dyszenie zwierzęcia i. pomimo iż zdjęty zgrozą, uświadomiłem sobie, że musiało ono przebyć znaczną odległość i było wyraźnie zmęczone. Magle czar prysnął. Moja prawa ręka, kierowana nieomylnym zmysłem słuchu, cisnęła dzierzony kawał wapienia, zaostrzony na jednym końcu, ku temu miejscu w ciemnościach, skąd dobiegał szelest stóp i głośne dyszenie i, co stwierdziłem z nieskrywanym zadowoleniem, trafiłem niemal w dziesiątkę, usłyszałem bowiem, jak istota odskoczyła w tył i przywarowała pod ścianą.

Skorygowałem namiary celu i cisnąłem drugi pocisk. Tym razem miałem więcej szczęścia. Z przepelniającą me serce radością usłyszałem, jak stwór bezwładnie upadł na ziemię i –jak wszystko na to wskazywało – zupełnie znieruchomiał. Nadal było słycać ciężkie sapanie, co pozwoliło mi przypuszczać, że jedynie zraniłem stwora. Teraz jednak do reszty straciłem ochotę na przyjrzenie się tej istocie. Mój mózg zaatakował bezpodstawny, prymitywny lęk, pozostałość po pradawnych przesądach i wierzeniach – nie podszedłem zatem do ciała ani nie cisnąłem kolejnych kamieni, aby do reszty pozbawić życia niewidoczne w mroku zwierzę.

Miast tego, wykrzesawszy z siebie resztkę sił, pogałem w –jak to oszacował mój ogarnięty chaosem umysł – stronę, z której przyszedłem. Magle znów usłyszałem dźwięk, a raczej całą ich serię: rytmicznych i jednostajnych. W chwilę potem zmieniły się one w kakofonię ostrych, metalicznych szczęknięć. Tym razem nie miałem żadnych wątpliwości. TO BYŁ PRZEWODNIK. Zacząłem wołać, krzyczeć, wrzeszczeć i zawodzić z radości, kiedy słaba migocząca poświata będąca, jak wiedziałem, światłem latarki, ukazała moim oczom wilgotne ściany i łukowato sklepiony sufit jaskini. Pobiegłem w kierunku światła, i zanim zdołałem się zorientować co

robię, padłem memu przewodnikowi do nóg, obejmując jego buty. Na przemian, dziękując za ocalenie bełkotałem jak oszalały, bez ładu i składu, próbując opowiedzieć mu swą przeżyta historię.

W końcu doszedłem do siebie. Przewodnik, jak się okazało, zauważył moją nieobecność, gdy grupa dotarła do wylotu jaskini, i kierowany intuicyjnym zmysłem kierunku podążył przez labirynt korytarzy do miejsca, w którym rozmawialiśmy po raz ostatni, aż w końcu, po czterech godzinach zdołał mnie odnaleźć. Zanim skończył mi o tym opowiadać, ja, któremu światło latarki i obecność drugiej osoby wyraźnie dodała odwagi, napomknąłem o dziwnym zwierzęciu, które zraniłem i które znajdowało się w pewnej odległości od nas, w spowitym w ciemnościach korytarzu, sugerując jednocześnie abyśmy tam poszli i w świetle latarki wspólnie mu się przyjrzeni. Byłem niezmiernie ciekaw jakiego gatunku stworzenie padło moją ofiarą. Zawróciliśmy wspólnie ku miejscu mej przerażającej przygody, tym razem jednak obecność przewodnika dodawała mi otuchy.

Niebawem dostrzegliśmy biały obiekt leżący na kamiennym podłożu, bielszy nawet od połyskujących wapiennych ścian. Zbliżając się ku niemu ostrożnie, nie próbowaliśmy powstrzymywać swego zdumienia, gdyż spośród rozmaitych osobliwych stworów, jakie mieliśmy okazję oglądać w swoim życiu, ten był bez wątpienia najdziwniejszy. Przypominał ogromną, antropoidalną małpę, która być może uciekła z jakiejś menażerii.

Włosy miała śnieżnobiałe – niewątpliwie wyblakły one wskutek długiego przebywania w mrocznych, atramentowoczarnych czeluściach jaskini. Były jednak zdumiewająco wątle i rzadkie – porastały jedynie głowę zwierzęcia długimi, sięgającymi ramion kosmykami.

Stworzenie było odwrócone, nie widzieliśmy jego twarzy, gdyż niemal na niej leżało. Osobliwy był również wygląd kończyn, ich nachylenie wyjaśniało jednakże zmiany w ich używaniu, gdyż już wcześniej zwróciłem uwagę, że zwierzę to poruszało się na przemian na dwóch albo na czterech łapach. Z końców palców, zarówno rąk jak i stóp, wyrastały długie, jakby

szczurze szpony. Kończyny nie były chwytne, który to fakt składałem na karb długiego pobytu istoty w jaskini –o czym. jak wcześniej zauważyłem, świadczyła przenikliwa. Nieziemska wręcz biel. tak charakterystyczna dla każdego z elementów jej anatomii, nie było widać ogona.

Oddech stwora był teraz bardzo słaby i przewodnik wyjął pistolet z wyraźnym zamiarem dobitcia zwierzęcia, gdy wtem DŹWIĘK, jaki dobył się z jego ust sprawił, że towarzysz mój opuścił broń rezygnując z jej użycia. Trudno byłoby opisać ów dźwięk, nie przypominał żadnego z odgłosów wydawanych przez małpy i zastanawiałem się, czy nienaturalność ta nie była wynikiem długotrwałego, ciągłego milczenia, ciszy przzerwanej dopiero wrażeniami wywołanymi ujrzeniem światła oglądanego po raz pierwszy, odkąd stworzenie zapuściło się w mroczne czeluście groty. Dźwięk, który z pewnym wahaniem mógłbym określić jako swego rodzaju głęboki chichot, rozlegał się przez dłuższą chwilę.

Nagle całe ciało zwierzęcia przeszył ostry, gwałtowny spazm. Kończyny stwora zadrgały konwulsyjnie, po czym zeszywniały. Zwierzę raz jeszcze targnęło całym ciałem, po czym odwróciło się w naszą stronę i po raz pierwszy ujrzeliśmy jego twarz. Widok jego oczu przeraził mnie do tego stopnia, że przez chwilę nie byłem w stanie dostrzec niczego innego.

Oczy te były czarne, atramentowoczarne, i stanowiły upiorny kontrast w porównaniu ze śnieżną bielą włosów i reszty ciała. Podobnie jak u innych mieszkańców jaskiń, gałki oczne zwierzęcia znajdowały się głęboko w orbitach i pozbawione były tęczówek. Kiedy przyjrzałem się uważniej stwierdziłem, że szczęki i czoło stwora były mniej wysunięte niż u przeciętnych małp i dużo słabiej owłosione, nos zaś dużo bardziej wydatny. Kiedy w milczeniu przyglądaliśmy się tajemniczemu stworzeniu, jego grube mięsiste wargi rozchyliły się i spomiędzy nich wydobyło się kilka dźwięków, po czym istota pogrzyżyła się w spokoju śmierci.

Przewodnik schwycił mnie za rękaw i dygotał tak bardzo, że promień jego latarki przesuwiał się nieustannie w górę i w dół rzucając dziwne, poruszające

się cienie na białych, wapiennych ścianach groty. Mię poruszyłem się i stałem jak wrośnięty w ziemię. Wpatrując się rozszerzonymi z przerażenia oczyma w kamieniste podłoże. Groza minęła, a jej miejsce zajęły: zdumienie, niepokój, współczucie i szacunek, bowiem dźwięki jakie wydała konająca postać spoczywająca na ziemi, tuż przed nami, nieomylnie zdradziły nam okrutną prawdę. Istota, którą zabiłem, owa dziwna bestia z mrocznych czeluści bezdennych jaskiń, dawno bo dawno, ale musiała być kiedyś CZŁOWIEKIEM.

# Alchemik

Wysoko, na porośniętym trawą wierzchołku wzgórza, którego zbocza i podstawę porastają leśne ostępy z pokrzywionymi, posepnymi drzewami, stoi stare zamczysko moich przodków. Od stuleci jego blanki i krenele spoglądały ponuro na dziką i surową okolicę wokoło, pełniąc funkcje siedziby i warowni dumnego rodu, którego szlachetna linia starsza jest nawet niż porośnięte mchem zamkowe mury. Owe stare, nadgryzione zębem czasu wieżyce składały się ongi, jeszcze w czasach feudalizmu, na jedną z najbardziej przerażających i strasznych fortec w całej Francji. Z jego machikułowych gzymsów i podwyższonych blanków odpierano ataki baronów, hrabiów, a nawet królów, na tyle skutecznie, że jego przestronne komnaty nigdy nie rozbrzmiewały echem kroków najeźdźców. Jednak w miarę upływu czasu wszystko się zmieniło. Lata chwały należały już do przeszłości. Ubóstwo graniczące z nędzą w połączeniu z dumą naszego imienia nie pozwalającą na złagodzenie tego stanu poprzez prowadzenie kupieckiego trybu życia stało się przyczyną, iż moi przodkowie nie zdołali utrzymać posiadłości w stanie dawnej chluby i chwały, zaś odpadające od gzymsów kawałki kamieni, chwasty pieniające się w parkach, wyschła fosa, źle wybrukowane dziedzińce i chylące się ku upadkowi zewnętrzne wieże, podobnie jak zapadające się posadzki, zżarta przez korniki boazeria i wyblakłe gobeliny – wszystko to zdawało się opowiadać posepna historię o czasach minionej świetności. W miarę upływu wieków najpierw jedna, potem zaś druga z czterech wież została opuszczona i pozostawiona, by obrócić się w ruinę. Ma koniec nieliczni już potomkowie potężnych ongi władców majątku zagnieździli się w ostatniej wieży.

To właśnie w jednej z ogromnych komnat owej wieży przyszedłem na

świat ja: Antoine, ostatni z nieszczęsnych, przeklętych hrabiów de C..., 90 długich lat temu. W tych murach i pośród mrocznych, cienistych ostępów leśnych, dzikich wąwozów i grot na zboczu wzgórza poniżej, spędziłem pierwsze lata mego burzliwego życia.

Nie znałem moich rodziców. Ojciec zginął w wieku lat 52 zabity przez kamień, który jakimś sposobem odpadł od gzymsu jednej z opuszczonych wież, na miesiąc przed moim przyjściem na świat. Matka umarła w połogu, a opiekę nade mną i moją edukacją, przejął ostatni z zamkowych sług, stary, wierny człek o wybitnej inteligencji, którego imię brzmiało, jak pamiętam, Pierre. Byłem jedynakiem i doskwierał mi brak towarzystwa, który był wynikiem osobliwego stylu wychowania, narzuconego mi przez podstarzałego opiekuna, nie pozwalającego na spotkanie się z dziećmi wieśniaków, bawiącymi się zwykle na równinach u podnóża wzgórza. Pierre powiedział, że zakaz ten obowiązywał mnie dlatego, iż jako szlachetnie urodzonemu nie uchodziło mi przebywać w towarzystwie ludzi z plebsu. Teraz wiem jednak, że chciał w ten sposób nie dopuścić, bym usłyszał pogłoski o przerażającej klątwie, jaka ciążyła na naszym rodzie; o której plotki krążyły dość szeroko, rozgłaszane i ubarwiane przez wieśniaków opowiadających je sobie nawzajem, z podnieceniem i ze zgrozą, wieczorami, przy rozgrzanych przyjemnie kominkach ich chat.

Tak odizolowany i pozostawiony samemu sobie spędziłem długie godziny mego dzieciństwa na studiowaniu starych ksiąg, których bez liku było w nawiedzanej przez cienie bibliotece zamczyska, lub też krążyłem bez celu po widmowym lesie, którego rozległa połać sięgała nieomal podnóża potężnego pagórka.

Być może wskutek takiego, a nie innego otoczenia, mój umysł bardzo wczesnie ogarnęła mgiełka melancholii. Moja uwaga zaś skupiła się na nauce i zgłębianiu mrocznych, okultystycznych sztuk.

O moim rodzie powiedziano mi możliwie jak najmniej, nie mniej nawet tak skąpy zapas informacji zdołał wprawić mnie w tęgie przygnębienie. Być



może to wahanie z jakim mój stary opiekun rozmawiał ze mną o moich przodkach spowodowało pojawienie się w mym sercu dojmującej zgrozy, która narastała z każdą wzmianką o moim wielkim domu. Kiedy przestałem być dzieckiem zdołałem zrozumieć oderwane fragmenty rozmów, przejęzyczenia i zapomnienia, które staruszkowi w miarę upływu lat zdarzały się coraz częściej, i połączyłem je z pewną okolicznością, która zawsze wydawała mi się dziwna, teraz zaś uważałem ją za jawnie przerażającą. Okoliczność o której wspomniałem to młody wiek w jakim hrabiowie z mego rodu rozstawali się z tym światem. Z początku uważałem to za rzecz zwyczajną, sądząc, iż być może należeliśmy do rodu ludzi żyjących krótko "z natury", w końcu jednak zacząłem zgłębiać szczegóły poszczególnych przedwczesnych zgonów i łączyć je z dygresjami staruszka, który często mówił o klątwie jaka przez stulecia nie pozwoliła kolejnym dziedzicom mego tytułu na przeżycie więcej niż trzydziestu dwóch lat.

Na dwudzieste pierwsze urodziny otrzymałem od Pierre'a rodzinny dokument, który, jak mi powiedział, przechodził od wielu pokoleń z ojca na syna i trafiał w ręce kolejnych spadkobierców tytułu. Jego treść była doprawdy wielce osobliwa, i gdy przeczytałem go z uwagą, potwierdziły się moje najmroczniejsze przypuszczenia. Moja wiara w rzeczy nadnaturalne była wówczas bardzo silnie zakorzeniona, w przeciwnym bowiem razie nawet nie zadawałbym sobie trudu, by rzucić okiem na ów pozółkły ze starości dokument. Przeniósł mnie on do mrocznych lat trzynastego wieku, kiedy stare zamczysko, w którym się znajdowałem, było przerażającą, straszliwą, niezdobytą fortecą.

Na kartach dokumentu zawarta była historia o pewnym starcu, który mieszkał ongi w naszym majątku, człeku wielce utalentowanym, choć był on jedynie prostym wieśniakiem, o imieniu Michel, do którego dodawano zwykle przydomek Mauvais – co znaczy Zły. Cieszył się on. skądinąd zasłużoną, paskudną reputacją. Studiował nauki nieznanne jego ziomkom, poszukując rzeczy takich jak Kamień Filozoficzny, czy Elixir Wiecznego

Życia i, jak głosiła fama, posiadał ogromną wiedzę z zakresu Czarnej Magii i Alchemii.

Michael Mauvais miał jedynego syna, imieniem Charles; młodzieńca "biegłego" podobnie jak on w tajemniczych sztukach, zwanego Le Sorcier – czyli Czarownik. Para ta, unikana przez wieśniaków – podejrzewana była o najbardziej odrażające praktyki. Mówiono, że Michel spalił żywcem swoją żonę, by złożyć ją w ofierze Diabłu; tym dwóm przerażającym indywiduom przypisywano również niezliczone i niewyjaśnione zaginięcia dzieci tutejszych wieśniaków. Pomimo mrocznej natury przejawianej tak przez ojca jak i przez syna, ich ciemne dusze rozjaśniał jeden jedyny promyk człowieczeństwa: zły starzec z całego serca kochał swojego syna, podczas gdy młodzieniec darzył swojego ojca bardziej niż synowskim afektem.

Którejś nocy na zamku powstało nieopisane zamieszanie, spowodowane zniknięciem młodego Godfrey'a, syna hrabiego Henri. Grupa poszukiwawcza z odchodzącym od zmysłów ojcem na czele, przybyła do chaty czarowników i natknęła się tam na Michela Mauvais gotującego coś w ogromnym, buchającym parą kotle. Bez konkretnej przyczyny, w nagłym przypiływie wściekłości i rozpacz, hrabia rzucił się na starego czarownika i zaczął go dusić.

Nie rozluźnił uścisku, dopóki ze starca nie uszły resztki życia. Tymczasem, rozradowani służący oznajmili o odnalezieniu panicza Godfrey'a w odległej i nie wykorzystywanej komnacie wielkiego zamczyska, stwierdzając tym samym, choć po niewczasie, że Michel Mauvais zmarł na próżno. Kiedy hrabia i jego towarzysze odwrócili się od stygnącego z wolna ciała starca, pomiędzy drzew wyłoniła się posępna sylwetka Charlesa le Sorcier.

Zdenerwowani służący wyjaśnili mu co się stało, jednak mężczyzna przez chwilę wydawał się nie poruszony śmiercią ojca. Nagle, podchodząc wolno do hrabiego, dobitnie wypowiedział przerażające słowa klątwy, która od tej pory spędzała sen z powiek kolejnym dziedzicom rodu de C...:

"Niechaj nigdy szlachcic z twego rodu nie przeżyje więcej lat niż ty!"

Po czym odskoczywszy w tył, w cień drzew, wyrwał spomiędzy fałd swej tuniki fioletową bezbarwną ciecz i cisnąwszy ją w twarz mordercy swego ojca rozpuścił się w mroku nocy.

Hrabia zmarł na miejscu i pogrzebano go następnego dnia, w kilka godzin po jego trzydziestych drugich urodzinach, nie odnaleziono śladu zabójcy, pomimo iż grupki uzbrojonych wieśniaków przeczeszały okoliczne lasy i pastwiska wokół wzgórza.

Czas i brak kogoś kto mógłby przypominać o niej, zatępił wspomnienia klątwy w umysłach rodziny zmarłego hrabiego, toteż kiedy Godfrey, mimowolny sprawca całej tragedii zginął, przeszyty strzałą, na polowaniu, w wieku lat 32, jedyną reakcją był smutek i żal wywołany jego przedwczesnym odejściem. Kiedy jednak, wiele lat później następnym hrabią, imieniem Robert został znaleziony bez życia na pobliskim polu, i nie wykryto konkretnej przyczyny jego zgonu, wieśniacy zaczęli szeptać, że ich senior, na krótko przed spotkaniem ze śmiercią skończył 32 lata. Louis, syn Roberta w tym samym wieku co ojciec utopił się w zamkowej fosie, i od tej pory, upiorna kronika przerażających wypadków ciągnie się przez całe stulecia – Henri, Robertowie, Antoineowie i Armandowie – wszyscy oni zostali skoszeni przez bezlitosną kostuchę, gdy liczyli sobie prawie dokładnie tyle samo lat co ich przodek, kiedy zamordował starego Michela Mauvais.

To co przeczytałem upewniło mnie, że zostało mi jeszcze najwyżej jedenaście lat. Życie które dotąd sobie lekceważyłem, stało się mi cenniejsze z każdym mijającym dniem, gdy zagłębiałem się coraz dalej i dalej w świat tajemnych sztuk czarnej magii. Ponieważ żyłem w odosobnieniu, nowoczesna nauka nie miała na mnie najmniejszego wpływu i pracowałem z równym zacięciem jak stary Michel i Charles, usiłując zgłębić sekrety demonologicznych i alchemicznych nauk. Mimo to w żaden sposób nie potrafiłem wytłumaczyć dziwnej klątwy spoczywającej na moim rodzie. W

chwilach niezwyklej wręcz racjonalności, byłem nawet gotów szukać naturalnego wyjaśnienia. Jednak – kiedy poszukiwania naukowe spełzły na niczym – powróciłem do okultystycznych studiów i próby znalezienia zaklęcia, które uwolniłoby mój ród od przerażającego brzemienia. Jednego byłem absolutnie pewny. Nigdy nie powinienem się ożenić, bo jeśli nie powstanie następna gałąź naszej rodziny, być może klątwa zakończy się na mojej osobie.

Gdy dobiegałem trzydziestki, stary Pierre został wezwany w ostatnią podróż do najodleglejszej z krain. Pogrzebałem go własnoręcznie pod kamieniami na dziedzińcu, po którym tak lubił przechadzać się za życia. Zostałem więc sam w posępnych murach fortecy, a dławiące uczucie samotności sprawiło, iż umysł przestał buntować się przed nieuchronną zgubą i praktycznie rzecz biorąc pogodziłem się z tym, że podzielę los moich przodków.

Wiele czasu zajmowało mi obecnie zwiedzanie ruin, opuszczonych sal i wież starego zamczyska, do których w młodości nie pozwalał mi zaglądać strach, i w których –jak mawiał stary Pierre – od czterech stuleci nie postąpiła ludzka stopa. Napotkałem tam wiele osobliwych i przerażających rzeczy. Moje oczy spoglądały na meble pokryte naniesionym przez stulecia kurzem i przeżarte do cna przez wilgoć i grzyby. Wszędzie rozciągały się grube, lepkie, odrażające pajęczyny, a w nieprzeniknionych ciemnościach rozlegał się łopot ogromnych, skórzastych, nietoperzych skrzydeł.

Prowadziłem dokładny dziennik, zapisując w nim dokładnie dni, a nawet godziny, gdyż każdy ruch wahadła starego zegara stojącego w bibliotece zdawał się przypominać mi o nieuchronności mego losu. W końcu nadszedł czas, którego tak się obawiałem. Ponieważ moi przodkowie pożegnali się z życiem na krótko przed ukończeniem 32 roku życia, osiągnąwszy ów złowieszczy wiek zacząłem spodziewać się, że śmierć może zaskoczyć mnie praktycznie w każdej chwili, nic wiedziałem w jakiej dziwnej objawi mi się postaci, wiedziałem wszak, iż nie będę jej potulną pasywną ofiarą. Z

żywszym wigorem wznowiłem zwiedzanie starego zamku i przepatrywanie znajdujących się w nim osobliwości.

Stało się to podczas najdłuższej z moich wędrówek w opuszczonej części zamku na mniej niż tydzień przed fatalną godziną, która, jak się obawiałem, będzie ostateczną granicą mego ziemskiego żywota, i której przeżycia nie łudziłem się w najśmielszych marzeniach.

Przez większą część ranka kręciłem się w górę i w dół po na wpół zniszczonych schodach w jednej z najbardziej zapuszczonych, pradawnych wież. Po południu postanowiłem odwiedzić niższe poziomy schodząc w głąb czegoś, co wyglądało na średniowieczne lochy lub, być może, prochownię. Kiedy wędrowałem wolno wzdłuż pokrytego warstewką saletry przejścia u podnóża ostatnich schodów stwierdziłem, że podłoże jest wyjątkowo wilgotne i niebawem w migotliwym świetle pochodni spostrzegłem, iż dalszą drogę zagradza mi gruba, ślepa, pokryta wodnymi zaciekami ściana. Odwróciłem się, by zawrócić, gdy wtem mój wzrok padł na niewielką uchyloną klapę z żelaznym kółkiem pośrodku, znajdującą się dokładnie pod moimi stopami. Odstąpiłem o krok i pochyliwszy się, uniosłem ją z trudnością odsłaniając mroczną czeluść, z której buchnął podmuch cuchnącego powietrza o mało nie gasząc mojej pochodni; w jej złotawym blasku dostrzegłem szczyt wąskich kamiennych schodów. Kiedy, pochyliwszy dłoń z pochodnią w głąb otworu, stwierdziłem, iż łuczywo pali się swobodnie i nie zamierza zgasnąć, podjąłem decyzję. Stopni było sporo i prowadziły one do wąskiego kamiennego korytarza, który, o czym byłem przekonany, musiał znajdować się głęboko pod powierzchnią ziemi. Był on, jak się okazało bardzo długi i kończył się masywnymi dębowymi drzwiami, ociekającymi wilgocią i uparcie opierającymi się podejmowanym przeze mnie próbom ich otwarcia. Gdy po pewnym czasie zaprzestałem próżnych wysiłków, i zawróciłem ku schodom, przeżyłem najbardziej zdumiewający, mrozący krew w żyłach szok, jaki jest w stanie ogarnąć ludzki umysł.

Nagle, bez ostrzeżenia, usłyszałem jak ciężkie drzwi za moimi plecami

otwierają się powoli, przy wtórze skrzypienia zardzewiałych zawiasów. Moich pierwszych wrażeń po prostu nie sposób opisać. Spotkanie, w miejscu takim jak ten opuszczony stary zamek z ewidentnym dowodem obecności człowieka, czy ducha wywołało w moim mózgu uczucie dojmującej, przenikającej do szpiku kości zgrozy. Kiedy się w końcu odwróciłem i spojrzałem w kierunku źródła dźwięku, skamieniałem z przerażenia. W prastarych gotyckich drzwiach stał jakiś człowiek. Był to mężczyzna noszący długą ciemną, średniowieczną tunikę i myckę. Jego długie włosy i gęsta broda miały przeraźliwy, ciemny odcień. Czoło wydawało się nienaturalnie wysunięte do przodu, policzki zapadnięte i pokryte niewiarygodnie głębokimi zmarszczkami, a jego długie, powykrzywiane i przypominające szpony ręce, były niemal marmurowo białe; tak białych rąk nie widziałem jeszcze u żadnego człowieka. Jego sylwetka, chuda jak u kościotrupa była dziwnie przygarbiona i nieomal ginęła wśród fałd luźnej, osobliwej szaty.

Najbardziej zdumiewające były jednak jego oczy – bliźniacze jaskinie bezdennej czerni, przepełnione zrozumieniem i wiedzą, nasycone jednak robaczywym, niemal namacalnym złem. Wpatrywały się teraz we mnie, przesywając mą duszę jadem nienawiści i sprawiały, że stałem w bezruchu, jak wrośnięty w ziemię. Wreszcie postać przemówiła tubalnym głosem, który zmroził mnie do szpiku kości swą pustką i nieskrywaną wrogością. Język, jakim posługiwał się ów mężczyzna był pewną formą łaciny używanej przez średniowiecznych uczonych i którą znałem dzięki zgłębieniu rozlicznych dzieł starych alchemików i demonologów. Widmo powiedziało mi o klątwie, która wisiała nad moim rodem, o moim zbliżającym się końcu, o morderstwie Michela Mauvais popełnionym przez mego przodka i o upojnej zemście Charlesa Le Sorcier. nieznajomy opowiedział mi również o tym, jak młody Charles zniknąwszy w mroku nocy, powrócił, wiele lat później, by zabić hrabiego Godfrey'a, na polowaniu, kiedy dziedzic osiągnął określony wiek, zbliżony do wieku w jakim ojciec jego dokonał okrutnego zabójstwa; oraz o tym jak potajemnie powrócił do zamczyska, gdzie, nie zauważony przez

nikogo, zamieszkał w podziemnej komnacie, w drzwiach której stał obecnie upiorny narrator, o tym jak dopadł Roberta, syna Godfrey'a, na polu i napoiwszy go – przemocą – trucizną, pozostawił trzydziestodwuletniego mężczyznę na śmierć w długich męczarniach, wypełniając tym samym złowrogie słowa swej klątwy.

W tym momencie pozostawiona została w sferze domysłów kwestia rozwiązania najważniejszej tajemnicy: w jaki sposób mianowicie klątwa mogła trwać przez stulecia, skoro niewątpliwie musiał nadejść taki dzień, iż Charles Le Sorcier rozstał się z życiem: mężczyzna bowiem zmienił temat i zajął się opowieścią o alchemicznych badaniach dwóch czarowników – ojca i syna, mówiąc przede wszystkim o badaniach Charlesa Le Sorcier dotyczących eliksiru, który dałby pijącej go osobie wieczne życie i młodość. Jego entuzjazm na krótką chwilę przygasił płonący w jego oczach płomień nienawiści, która w pierwszej chwili tak mnie przeraziła, ale nieoczekiwanie wrogość powróciła i, z głośnym wężowym syknięciem, obcy uniósł trzymaną w dłoni szklaną fiolkę, zamierzając, jak się domyśliłem zakończyć mój ziemski żywot w taki sam sposób, jak Charles Le Sorcier przed sześciuset laty uśmiercił mego przodka.

Kierowany dziwnym instynktem przetrwania zerwałem wiążące mnie, niewidzialne okowy lęku i cisnąłem dogasającą już pochodnię w upiorną postać stanowiącą dla mnie śmiertelne zagrożenie. Usłyszałem trzask pękającej i niegroźnej już fiolki, roztrzaskującej się o kamienną posadzkę, gdy tunika dziwnego mężczyzny zapaliła się oświetlając całe pomieszczenie upiornym, krwistopomarańczowym blaskiem. Wrzask przerażenia i bezsilnej wściekłości wydany przez niedoszłego zabójcę był zbyt wielkim ciężarem dla moich starganych nerwów i zemdlony runąłem na śliską, wilgotną posadzkę.

Kiedy doszedłem do siebie wszystko tonęło w przerażającej ciemności, a mój umysł na krótką chwilę sparaliżowała zgroza, że mógłbym ujrzeć coś więcej, nie mniej jednak ciekawość okazała się silniejsza.

Kim – zapytywałem sam siebie – był ów zły człowiek i w jaki sposób

znalazł się w murach tego zamczyska? Dlaczego szukał zemsty za śmierć Michela Mauvais i w jaki sposób klątwa przetrwała stulecia po śmierci Charlesa le Sorcier?

Strach opuścił mnie, bowiem wiedziałem, że ten którego pokonałem był głównym źródłem mego zagrożenia i to on miał zadać mi śmierć, by klątwa mogła się spełnić. Teraz byłem wolny i przepełniało mnie pragnienie dowiedzenia się czegoś więcej o złowieszczej istocie, która przez stulecia nawiedzała mój ród i zmieniła mą młodość w pasmo nie kończącego się koszmaru.

Ogarnięty żądzą zacząłem grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu krzesiwa i stali, po czym zapaliłem drugą, nie używaną pochodnię, jaką miałem przy sobie. Blask łuczywa oświetlił przede wszystkim leżącą na ziemi, skręconą i poczerniałą postać tajemniczego mężczyzny. Upiorne oczy były teraz zamknięte. Ponieważ był to odrażający widok odwróciłem się i wszedłem do komnaty za gotyckimi drzwiami. Znalazłem za nimi coś, co przypominało laboratorium alchemika. W jednym rogu znajdowała się sterta lśniącego, żółtego metalu, który lśnił i migotał w blasku mojej pochodni. Mogło to być złoto, ale nie przystanąłem by to sprawdzić, bowiem ostatnie przeżycia wpłynęły na mnie w nader osobliwy sposób. W drugim końcu komnaty znajdował się otwór prowadzący do jednego z dzikich wąwozów w mrocznych ostępach lasu porastającego zbocze wzgórza. Dopiero teraz, przepełniony zdumieniem, uświadomiłem sobie w jaki sposób człowiek ów dostał się do zamku.

Wszedłem z pomieszczenia. Zamierzałem minąć szczątki nieznajomego, nawet na niego nie spoglądając, ale gdy się doń zbliżyłem wydało mi się, że usłyszałem słaby dźwięk, jak gdyby w poczerniałym ciele tliła się jeszcze iskierka plugawego życia. Z odrazą pochyliłem się, by przyjrzeć się zdeformowanemu, nadpalonemu ciału spoczywającemu na ziemi, nagle te przerażające oczy, czarniejsze nawet niż osmalona twarz, w której były osadzone, otworzyły się szeroko w wyrazie, którego nie potrafię określić.



Spękane wargi szeptały niezrozumiałe dla mnie słowa. Raz wychwyciłem nazwisko Charlesa Le Sorcier, w pewnej chwili wydawało mi się, że słyszę niewyraźne: "lata" i "klątwa". Było to jednak zbyt mało, by zrozumieć sens tej bezładnej wypowiedzi. Widząc, że nie pojmuję znaczenia jego słów, mężczyzna drgnął, a w jego oczach raz jeszcze rozbłysł płomień wrogości. Wzdrygnąłem się mimowolnie, i naraz ów ludzki wrak, resztką sit uniósł upiorną, osmaloną głowę z wilgotnej, zapadniętej, śliskiej posadzki.

Sparaliżował mnie strach, a ten nieszczęśnik, leżący przede mną strzęp człowieka, wykrzyczał poprzez spękane usta słowa, które od tej pory będą nękać mnie dniami i nocami:

"Głupcze!" – zakrzyknął – "Nie domyślasz się mojej tajemnicy? Czy brak ci mózgu, że nie potrafisz rozpoznać czyja wola przez sześć stuleci czuwała, by spełniona była potworna klątwa ciężąca na twym rodzie? Czyż nie mówiłem ci o wielkim eliksirze wiecznego życia?"

Nie wiesz, że sekret Alchemii został rozwiązany? To ja! Ja! Ja! Przeżyłem całe sześćset lat, by dopełnić mej zemsty. Jam jest bowiem Charles Le Sorcier!"

# Poezja i bogowie

Działo się to pewnego deszczowego, kwietniowego wieczoru, tuż po zakończeniu Wielkiej Wojny. Marcia wraz ze swoimi osobliwymi myślami, życzeniami i niesłychanymi pragnieniami, które wypływały z jej przestronnego salonu, została uniesiona w powietrze i pomknęła na wschód, ku oliwnym gajom odległej Arkadii widywanej jedynie we snach.

Zamyślona weszła do pokoju, włączyła światło i rozłożyła się na miękkiej sofie, przy pojedynczej lampce, która rzucała na stół do czytania zielonkawą poświatę łagodną jak blask księżyca, przesączający się pośród listowia w głąb antycznej świątyni.

Ubrana prosto, w czarną wieczorową suknię z dekoltem, wyglądała z pozoru na typową kobietę swoich czasów; tej nocy jednak czuła niewiarygodną moc oddzielającą jej duszę od prozaicznego otoczenia. Czy to z powodu osobliwego domu, w jakim żyła, we wszystkich jej związkach z innymi ludźmi panował wyczuwalny chłód? Czy dlatego miała tak niewielu znajomych, nie wspominając już o przyjaciołach? Co było powodem, czy może jakiś większy i trudniejszy do wyjaśnienia błąd w czasie i przestrzeni, przemieszczenie, wskutek którego urodziła się za późno, zbyt wcześnie lub za daleko od miejsc przeznaczonych jej duszy, że nie mogła osiągnąć harmonii z niezbyt pięknymi rzeczami współczesności?

Aby rozproszyć zły nastrój, który posepniał z minuty na minutę coraz bardziej, zdjęła ze stołu czasopismo i otworzyła na dziale poezji, która zawsze wywierała na nią kojący wpływ.

Wersy zdawały się emanować chłodnym oparem sterylnej szpetoty i zamknięcia jak kurz osiadły na szybach, przez które obserwujesz przecudowny zachód słońca.

Kartkując stronice, jakby poszukiwała jakiegoś istotnego skarbu, natknęła się nagle na coś, co ją ożywiło. Gdyby ktoś ją wówczas ujrzał, stwierdziłby, iż natknęła się na jakąś wizję czy senne marzenie, które prowadziło do bliżej nieokreślonego celu.

Był to zaledwie urywek, vers libre, żałosny kompromis poety przewyższający prozę, lecz nie dorównujący boskiej melodii liczb – miał on w sobie wszelako całą intuicyjną muzykę barda, który czuje i żyje, poszukując z ekstatyczną emfazą niezawołowanego piękna. Pozbawiony regularności, posiadał harmonię uskrzydłych, spontanicznych słów, harmonię, jakiej brakowało formalnym, konwencjonalnie ułożonym utworom, które znała. W miarę jak czytała, jej otoczenie stopniowo blakło i niebawem miała wokół siebie tylko mgły snów; fioletowe, upstrzone gwiazdami mgły spoza czasu, któredy wędrują jedynie bogowie i senni marzyciele.

*Księżyc nad Japonią*

*Biały niczym motyl!*

*Gdzie śpi gruby, jowialny Budda*

*Ukojony kukaniem kukułki*

*Białe skrzydła księżycowych motyli*

*Śmigających ulicami miast*

*Gaszą nikłe płomyki lamp*

*Niesionych przez młode dziewczęta*

*Księżyc nad tropikami*

*Biały, okrągły pączek*

*Rozchyła wolno swe płatki pośród żaru niebios...*

*Powietrze przesycają zapachy*

*I leniwe, ciepłe odgłosy...*

*Flety ślą swą smętną melodię w noc*

*Pod okrągłym, białym pączkiem księżycy, wiszącym na niebie*

*Księżyc nad Chinami*  
*Znużony księżyc na rzece niebios*  
*Błysk światła wśród wierzb, jak odblask tysięcy srebrzystych pstrągów*  
*Poprzez mroczne ławice*  
*Płyty nagrobne i murszejące świątynie migocą niczym fale*  
*Niebo upstrzone jest chmurami przypominającymi łuski smoka*

Pośród mgieł snu dziewczyna wołała do rytmicznych gwiazd, wynosiła z nieba radość z nadejścia nowej ery – pieśni i odrodzenia Pana. Pół przymknąwszy oczy, powtórzyła słowa, których melodii leżała ukryta niczym kryształ na dnie strumienia przed świtem, ukryta, lecz migocąca dostojnie wraz z narodzinami dnia.

*Księżyc nad Japonią*  
*Biały niczym motyl!*  
*Księżyc nad tropikami*  
*Biały, okrągły pączek*  
*Rozchyła wolno swe płatki pośród żaru niebios...*  
*Powietrze przesycają zapachy*  
*I leniwe, ciepłe odgłosy...*  
*Księżyc nad Chinami*  
*Znużony księżyc na rzece niebios...*

Z mgły wyłoniła się boska postać młodzieńca w skrzydlatym hełmie i sandałach, z kaduceuszem w ręku, a jego uroda nie miała sobie równych. Trzykrotnie machnął przed twarzą śniącej laską, którą podarował mu Apollo w zamian za dziesięciostrunową lirę, na czoło zaś włożył jej wianek z mirtu i róż. Wówczas przemówił:

– O nimfo, nadobniejsza niżli złotowłose siostry Cyene, ukochańsza niż Afrodyta i roztropniejsza niż Pallas, ty, która faktycznie odkryłaś tajemnicę

bogów, kryjącą się w pięknie i pieśni. O Prorokini wspanialsza niż Sybilla z Kurne, kiedy poznał ją Apollo, ty, które pierwsza prawdziwie powiedziałaś o nowej erze, gdyż nawet teraz na Maenalus Pan wzdycha i przeciąga się, pragnąc przebudzić się i ujrzeć wokół ciebie małych, umajonych różami faunów i prastarych satyrów. W swoich pragnieniach obwieściłaś to, czego nie pomni żaden śmiertelnik z wyjątkiem kilku odrzuczanych przez cały świat – że bogowie nigdy nie umarli, a jedynie pogrążyli się we śnie, i śnią boskie sny w precudownych, porośniętych kwieciami lotosu hesperyjskich ogrodach, poza złocistym zachodem słońca. A teraz nadchodzi czas ich przebudzenia, kiedy to co złe i szpetne szeptnie, a Zeus ponownie zasiądzie na Olimpie. Już morze wokół Pafos burzy się i pieni, jak w starych czasach, które pomną jeno pradawne niebiosy, a nocą na Helikonie pasterze słyszą osobliwe szepty i na wpół zapomnianą muzykę.

O zmierzchu, w lasach i na polach, dostrzec można białe, płasające sylwetki, beczasowy ocean zaś wzdycha osobliwie, kiedy na niebie pojawia się wąski sierp księżycy. Bogowie są cierpliwi i spali długo, lecz żaden człowiek ani gigant nie może opierać się bogom w nieskończoność. W Tartarze tytani wiją się i miotają, a pod płomienną Etną jęczą dzieci Uranosa i Gai. Zbliży się dzień, kiedy człowiek będzie musiał odpowiedzieć za stulecia swojego wyrzeczenia, ale podczas długiego snu bogowie złagodnieli i nie pragną już cisnąć tych, którzy się od nich odwrócili w przepastną czeluść Otchłani. Miał tego, z zemsty usuną ciemność, szpetotę i obłudę, wszystko to, co przyćmiewa ludzkie umysły, natomiast

znalazłszy się we władzy Saturna, śmiertelnicy znów zaczną składać mu ofiary i czcić, lecz tym razem natchnieni radością, pięknem i harmonią. Tej nocy doznasz łaski bogów i ujrzysz na Parnasie sny, które bogowie przez stulecia przesyłają na ziemię, by wskazać, że nie umarli.

Poeci są bowiem snami bogów, i w każdym wieku jest ktoś, kto w swych pieśniach mimowolnie rozpowszechnia otrzymany przekaz i obietnicę pochodzącą z lotosowych ogrodów.

Powiedziawszy to, Hermes wziął na ręce uszpioną dziewczynę i uniósł się w powietrze. Łagodne bryzy z wieży Ajolów omiatały ich, gdy mknęli wysoko ponad ciepłymi, wonnymi morzami i wtem znaleźli się przed obliczem Zeusa sprawującego władzę na potężnym, ozdobionym dwoma wierzchołkami Parnasie. Przy jego złotym tronie, po prawicy, stali Apollo i muzy, po lewej zaś – Dionizos w wieńcu laurowym i kipiące z żądzы bachantki.

Marcia nigdy dotąd nie widziała podobnego splendoru, czy to na jawie, czy też w snach, ale emanacja owa nie uczyniła jej krzywdy, co zapewne miałoby na szczycie sławetnego Olimpu — tu bowiem, na niższym dworze, Ojciec Bogów przyćmiewał nieco swą chwałę, by mogły go postrzegać oczy śmiertelników. Przed umajoną wawrzynem czeluścią korykejskiej jaskini siedziało rzędem sześć postaci przypominających wyglądem ludzi, lecz zachowaniem –

bogów. Śniąca rozpoznała ich na pierwszy rzut oka i stwierdziła, że ma oto przed sobą ni mniej, ni więcej tylko boskiego Maeonidesa, natchnionego Dantego, nadczłowieczego Szekspira, badacza chaosu — Milтона, kosmicznego Goethego i ulubieńca muz – Keatsa. Byli to wysłannicy bogów, którzy mieli zgłosić wszem wobec, że Pan nie umarł, a jedynie zapadł w sen – poprzez poezję bowiem bogowie przemawiają do ludzi. Wtenczas odezwał się Gromowładny:

– O córko – gdyż jako pochodząca z mej bezkresnej linii jesteś faktycznie moją córką – wejrzyj na zaszczytne trony z kości słoniowej świątobliwych posłańców bogów, zesłanych, by w słowach i dziełach ludzi wciąż wyczuwało się ślady boskiego piękna. Inni bardowie to ludzie skądinąd sprawiedliwie przyozdobieni wawrzynem, wszelako tych umiał Apollo, a ja umieściłem w odległych od siebie miejscach jako śmiertelników, którzy przemawiają językiem bogów. Długo śniliśmy w lotosowych ogrodach leżących poza zachodem, a przemawialiśmy jeno w snach. Zbliża się jednak czas, kiedy znowu się odezwiemy. To pora przebudzenia i przemiany.

Ponownie Faeton przemknął nisko nad ziemią, wypalając pola i osuszając strumienie. W Galii samotne nimfy o zmierzwionych włosach szlochają obok źródeł, których już nie ma, i wylewają łzy nad rzekami, których wody spłynęły krwią śmiertelników. Ares i jego świta wyruszyli, by szerzyć obłęd bogów, lecz już powrócili, Fobos i Deimos nasycili się naturalnymi rozkoszami. Tellus pała smutkiem, a oblicza ludzi są niczym twarze erynii; tak jak wtedy, gdy Astrea wzbiła się w niebiosy, a nasza władza obejmowała cały kraj, z wyjątkiem tego jednego, jedyne go szczytu. Pośród tego chaosu powstałego, by obwieścić nasze nadejście, a zarazem, by je ukryć, właśnie teraz działa nasz ostatni, najmłodszy wysłannik, w którego snach zawarte są obrazy wszystkich poprzedzających go wizjonerów. On jest tym, którego wybraliśmy, aby skumulował całą chwałę i piękno, jakie znał świat do tej pory, a napisane przezeń słowa zawierają w sobie echo przeszłości, całą jej mądrość i piękno. On jest tym, który obwieści nasz powrót i będzie śpiewał o nadchodzących dniach, kiedy faunowie i driady powrócą do swych ogrodów pełnych przepychu i krasy. Wyboru dokonaliśmy przy pomocy tych, którzy siedzą przed korykejską grotą na tronach z kości słoniowej, i pieśni, w których możesz wyraźnie wyczuć szlachetne, czyste nuty, te same, dzięki którym kiedyś rozpoznasz największego z naszych posłańców. Zważ na ich głosy, kiedy jeden po drugim będą dla ciebie śpiewać. Każda nuta, którą usłyszysz, będzie słyszalna w poezji tego, co nadejdzie, poezji, która przyniesie spokój i radość twojej duszy, aczkolwiek nim ją odczujesz, czeka cię jeszcze wiele ponurych i pustych lat. Słuchaj z uwagą, gdyż każda wibracja, każdy uchodzący dźwięk powróci do ciebie, kiedy znów znajdziesz się na ziemi, tak jak Alfeusz, wlewając swe wody w głąb duszy Hellady, pojawia się w odległej Sycylii pod postacią krystalicznej Aretuzy.

Wówczas podniósł się Homer, najstarszy pośród bardów, wziął swoją lirę i odśpiewał podniosły hymn poświęcony Afrodycie. Marcia nie znała ani jednego słowa po grecku, a jednak pieśń nie poszła na marne, gdyż w jej osobliwym rytmie zawarta była treść nie wymagająca tłumaczenia, która

przemawiała do wszystkich śmiertelników i bogów.

Podobnie było z pieśniami Dantego i Goethego, których nieznane słowa rozszczepiały eter, wpadającymi w ucho, łatwymi do zrozumienia melodiami. W końcu jednak śniąca usłyszała pieśń, której treść nie musiała się domyślać na podstawie linii melodycznej i rytmu. Był to Swan z Avon, ongiś bóg pośród ludu i nadal bóg pośród bogów.

*Napisane jest przeto, że z wojen pożogi  
Mój pan najdroższy, a syn twój powstanie  
Tedy czcicie go w domach, w pokoju.  
Ja z drogi imię jego wypowiem z pobożnym oddaniem.*

Jeszcze bardziej znane akcenty rozbrzmiały, kiedy Milton — uwolniony już od ślepoty — wyrecytował z nieśmiertelną harmonią:

*Niechaj w godzinie nocy czarnej  
Nie gaśnie światło twej latarni  
Stąd mogę śmiało obserwować  
Gwiazd konstelacje wciąż od nowa  
A gdy mnie Niedźwiedzica znudzi  
Z Hermesem Trismegistosem do ludzi  
Powrócić mogę – duch Platona  
Wyjawi wszystko – spadnie błona  
Ujrzę, co świat rozległy krywa  
Gdzie nieśmiertelny duch się skrywa  
Dusza w skorupie ciała żywa.  
Bywa też, że tragiczny los  
Dotrąga głów koronowanych  
Wspomnijcie Teby, Pelopsa ród.  
Troi upadek, przykładów w bród.*



Ostatni rozległ się głos Keatsa, najbardziej spośród wszystkich posłańców przypominającego fauna:

*Wspaniałe melodie słyszalne, lecz słodsze te,  
których nie słyhać, rażno fletnie grajcie...  
Gdy starość pokoleniu temu kres położy  
Ty pozostaniesz pośród smutku skinień  
Druhowi swemu sekret ten wyłożysz  
Piękno to prawda, prawdą piękno — toś powinien  
O świecie wiedzieć i to wszystko, coś znać winien.*

Kiedy pieśniarz umilkł, rozległ się szum wiatru wiejącego hen, od Egiptu, gdzie nocami Aurora oplakuje nad Nilem śmierć swego ukochanego Memnona. Różanopalca bogini podpłynęła do stóp Gromowładnego i ukląkłszy, zaszlochała: – Panie, już czas, bym otworzyła Bramy Wschodu.

Febus, podając lirę Kaliope, swej narzeczonej spośród muz, wstał, by wyruszyć do ozdobionego klejnotami i kolumnami Pałacu Słońca, gdzie zaprężone do Rydwanu Dnia rumaki zaczynały się już z wolna niepokoić. Tedy Zeus zszedł ze swojego rzeźbionego tronu i położywszy dłoń na głowie Marcii, rzekł:

– Córko, świt jest już bliski i powinnaś powrócić do domu, nim śmiertelnicy przebudzą się ze snu. Nie oplakuj szarości i monotonii swego życia, albowiem cień fałszywej wiary niebawem sczeźnie, a bogowie znów będą wędrować pomiędzy ludźmi, nie ustawaj w poszukiwaniu naszego posłańca, w nim bowiem odnajdziesz spokój i pocieszenie. Jego słowo poprowadzi cię ku szczęściu, w jego snach o pięknie zaś twa dusza odnajdzie to wszystko, czego pragnie.

Kiedy Zeus skończył, młody Hermes delikatnie wziął dziewczynę na ręce i wzbiwszy się w powietrze, uniósł ku blednącym gwiazdom, ku zachodowi.

Minęło wiele lat, odkąd Marcia śniła o bogach i ich konklawe na Parnasie. Dzisiejszej nocy siedzi w tym samym co wówczas salonie, ale nie jest już sama. Odszedł w niepamięć prastary duch niepokój, obok niej bowiem znajduje się ten, którego imię otoczone jest nimbem sławy; to młody poeta nad poetami, u którego stóp leży cały świat. Czyta manuskrypt, wypowiadając słowa, których nikt nie słyszał, a które raz zasłyszane przynoszą ludziom sny i fantazje, utracone wie stuleci temu, kiedy Pan pogrążył się we śnie w Arkadii, a wielcy bogowie ułożyli się na spoczynek w lotosowych ogrodach, poza krainami Hesperyd.

W subtelnym kadencjach i ukrytych melodiach barda duch dziewczyny odnalazł wreszcie ukojenie, zawarte bowiem jest w nich echo wieszczych nut Traka Orfeusza, nut, które poruszały lite skały i drzewa rosnące na brzegach Hebrusu. Pieśniarz milknie i z gorliwością prosi o werdykt, cóż jednak rzecz może Marcia prócz tego, że owa melodia Jest godna bogów"?

A kiedy zaczyna mówić, przed jej oczyma znów pojawia się wizja Parnasu, a odległy, jakby słyszalny w tle głos powtarza:

*Jego słowo poprowadzi cię ku szczęściu,  
zaś w jego snach o pięknie,  
twoja dusza odnajdzie to wszystko, czego pragnie.*

# Ulica

Są tacy, którzy twierdzą, że rzeczy i miejsca mają dusze i ci, którzy uważają, że tak nie jest; nie będę wypowiadał się na ten temat, ale opowiem wam o Ulicy.

Ulicę tę tworzyli ludzie silni i honorowi – prawi i dzielni, którzy przybyli z Błogosławionych Wysp za morzem. Z początku była to jedynie ścieżka wydeptana przez pierwszych osadników noszących wodę z leśnego źródła do grupki domów przy plaży, następnii pobudowali nowe chaty, wzdłuż północnej strony, wykonane z grubych dębowych bali, od strony lasu zaś obudowane kamieniami, gdyż w gąszczu czaili się Indianie używający często płonących strzał.

W kilka lat później ludzie wzniesli kolejne domy wzdłuż południowej strony Ulicy. Po Ulicy, w tę i z powrotem, kroczyli posępni mężczyźni w stożkowatych czapkach, którzy zazwyczaj byli uzbrojeni w muszkiety bądź flowery. Przechadzały się tędy również ich żony, w czepkach na głowach i stateczne, opanowane dzieci. Wieczorami mężczyźni zasiadali przy gigantycznych kominkach, czytali i rozmawiali. Czytali bardzo proste rzeczy i o takich też dyskutowali, niemniej pomagały im one za dnia w pracy przy karczowaniu lasu i uprawie pól. Dzieci zaś, słuchały i uczyły się o prawach i starych czynach, a także o ukochanej Anglii, której nigdy nie widziały, ani nie mogły pamiętać.

Po wojnie Indianie przestali nękać mieszkańców Ulicy. Mężczyznom pochłoniętym pracą powodziło się nieźle i byli naprawdę szczęśliwi. Dzieci rosły, a kolejne rodziny przybywały ze Starego Kraju, aby osiedlić się przy Ulicy. A potem dorosły dzieci i nowo przybyłych. Miasteczko stawało się miastem i, jedna po drugiej, chaty zaczęły ustępować miejsca domom –

prostym, pięknym budowlom z cegły i drewna, o kamiennych stopniach i żelaznych balustradach, ze świetlikiem nad drzwiami wejściowymi. Domy nie były zbyt wymyślne, gdyż miały służyć wielu pokoleniom. Wewnątrz znajdowały się ozdobnie rzeźbione kominki i urzekające oko schody, a także przyjemne, wygodne meble, delikatne, porcelanowe zastawy stołowe i srebra przywożone ze Starego Kraju. Tak więc Ulica nappełniała się snami młodych i cieszyła się, gdy jej mieszkańcy stawali się coraz bardziej czarujący i szczęśliwi. Tam gdzie kiedyś była jedynie siła i honor, pojawiły się obecnie smak, gust i wiedza.

Do domów zawitały książki, obrazy i muzyka, młodzi zaś uczęszczali na uniwersytet, którego gmach wznosił się ponad równiną na północy. Strzelby zastąpiły szpady, koronki – peruki.

Polne dróżki i leśne drogi pokryły się kostką kocich łbów, po których dudniły kopyta wierzchowców czystej krwi i koła pozłacanych karet; przy chodnikach zaś powstały słupki do uwiązywania koni.

Przy Ulicy rosło wiele drzew: wiązy, dęby i majestatyczne klony; w lecie więc cała okolica zdawała się tonąć w soczystej zieleni, a z rozłożystych, strzelistych koron drzew dochodził melodyjny śpiew ptaków. Za domami rozciągały się okolone murami różane ogrody ze ścieżkami otoczonymi z dwóch stron przez starannie przycięte żywopłoty, z tarczami słonecznych zegarów tonących nocami w srebrzystym blasku księżyca i gwiazd, podczas gdy wonne, różnobarwne kwiaty błyszczały od kropel rosy.

Ulica śniła dalej, poprzez kolejne wojny, nieszczęścia i zmiany. Któregoś razu odeszła większość młodych i niektórzy nigdy nie powrócili. Wtedy też zwinięto starą flagę i zastąpiono ją nową, z pasami i gwiazdami. I choć mężczyźni mówili o ogromnych zmianach.

Ulica ich nie czuła, ludzie bowiem byli nadal tacy sami, mówili o starych, znajomych rzeczach w stary, znajomy sposób. Drzewa wciąż były schronieniem dla rozśpiewanych ptaków, a wieczorami księżyc i gwiazdy przyglądały się skąpanym w rosie kwiatom w otoczonych murami różanych

ogrodach.

Po jakimś czasie zniknęły szpady, trójgraniaste kapelusze i peruki. Jakże dziwni wydawali się krótkowłosi mieszkańcy z laskami w dłoniach. Z oddali dochodziły nowe odgłosy: dziwne sapanie i przenikliwe wycie, dobiegające od strony oddalonej o milę rzeki.

Powietrze nie było już tak czyste, jak poprzednio, ale duch tego miejsca nie zmienił się. Ulicę ukształtowała krew i dusza przodków. Duch nie zmienił się nawet kiedy ludzie brutalnie otworzyli ziemię, aby położyć w niej dziwne rury, ani kiedy stawiali wysokie słupy z przymocowanymi do nich tajemniczymi drutami. Ulica zawierała w sobie tak wiele prawdziwej wiedzy, że przeszłość nie mogła zostać zbyt łatwo zapomniana.

A potem nastały dni zła, kiedy wielu, którzy znali Ulicę z dawnych czasów, przestali ją znać i kiedy poznało ją wielu, którzy nie znali jej do tej pory. Akcent ich był chrapliwy i ostry, wygląd zaś i oblicza plugawe. Podobnie jak ich myśli, które walczyły z mądrością ducha Ulicy, ta zaś bezgłośnie umierała z tęsknoty, podczas gdy stojące wzdłuż niej domy popadły w ruinę, drzewa uschły, a różane ogrody zarosły chwastami i szczęły. Jednak, któregoś dnia znów poczuła gwałtowny przypływ dumy, było to wówczas, kiedy młodzi ponownie wymaszerowali w nieznane. I znowu wielu z nich nie powróciło.

Tym razem młodzi ubrani byli na niebiesko.

W miarę upływu lat z Ulicą działo się coraz gorzej. Uschły już wszystkie drzewa, a różane ogrody ustąpiły miejsca zapleczom tanich, szpetnych nowych budynków stojących przy równoległych ulicach. Domy jednak pozostały, pomimo trudnych lat, robaków i burz, bowiem postawiono je z myślą, aby służyły wielu pokoleniom, na Ulicy pojawiły się nowe twarze: śniade, złowieszcze oblicza o zdradliwych oczach i dziwnych rysach, których właściciele mówili nieznanym językiem i wywieszali na przeżartych wilgocią ścianach domów szyldy z napisami w innym alfabecie. Wzdłuż rynsztoków pojawiły się wózki i stragany. Powietrze przesycił okropny, nieokreślony

fetor, a prastary duch zapadł w sen.

Raz Ulica przeżyła chwile wielkiego podniecenia. Za morzem szalały wojna i rewolucja; upadła dynastia, a nieliczni pozostali przy życiu pokonani dotarli z dwuznacznymi zamiarami do Zachodniego Łądu. Wielu z nich osiedliło się w zapuszczonych domach, które niegdyś znały śpiew ptaków i zapach róż. Później zaś Zachodni Łąd przebudził się i przyłączył do Starego Kraju w tytanicznej walce na rzecz cywilizacji. Nad miastami ponownie łopotały stare flagi, którym towarzyszyły nowe – prostsze, acz wspaniałe – trójkolorowe. Nad Ulicą nie powiewały flagi, gdyż obecnie gnieździł się tam jedynie strach, nienawiść i ignorancja. Młodzi ponownie odeszli, ale nie tak jak inni ich rówieśnicy, w dawnych czasach. Czegoś brakowało. Synowie owych młodzieńców z przeszłości, którzy maszerowali przesyceni prawdziwym duchem ich przodków, wywodzili się bowiem z różnych miejsc i nie znali Ulicy ani jej pradawnego ducha.

Za morzem miało miejsce wielkie zwycięstwo i młodzi powrócili w chwale. Odzyskali to, czego im brakowało, ale przy Ulicy nadal gnieździły się lęk, nienawiść i ignorancja – zbyt wielu pozostało i zbyt wielu obcych przybyło z różnych odległych miejsc, by osiedlić się w starych domach. Większość znów miała śniade, złowieszcze twarze, były jednak wśród nich i takie, jak oblicza ludzi, którzy kształtowali Ulicę i uformowali jej ducha. Podobne, a zarazem różne, bowiem w oczach ich wszystkich migotały złowrogie isierki chciwości, ambicji, mściwości i graniczącego z obłędem fanatyzmu. Spiskowali, by zadać Zachodniemu Łądowi zabójczy cios, i móc potem przejąć władzę nad krajem, a raczej nad jego ruinami, tak jak w pewnym nieszczęsnym, mroźnym kraju, z którego przybyła większość z nich. Serce spisku znajdowało się przy Ulicy, gdzie chylące się ku upadkowi domy tętniły nieustępliwymi poczynaniami cudzoziemskich siewców niezgody i rozbrzmiewały echem planów i przemówień tych, którzy z utęsknieniem wyczekiwali dnia krwi, ognia i zbrodni.

Prawo wiedziało i mówiło sporo na temat dziwnych zgromadzeń na Ulicy,

ale nie mogło niczego udowodnić. Tajniacy z uporem przesiadywali, nadstawiając ucha w takich miejscach jak Piekarnia Pietrowicza, Szkoła Nowoczesnej Ekonomii Rywkina, Klub „Krań” i kawiarnia „Wolność”.

Zbierały się tam spore grupy posępnych mężczyzn, rozmawiających zawsze w obcym języku. A stare domy stały, przesycone zapomnianą wiedzą szlachetniejszych, minionych stuleci, śmiałych kolonizatorów i skąpanych w rosie różanych ogrodów w blasku księżyca.

Czasami samotny poeta czy wędrowiec zjawiał się, by rzucić na nie okiem, i usiłował odnaleźć je w ich minionej chwale; niemniej nie było ich wielu.

Krańące swobodnie plotki głośiły, że w domach tych zamieszkiwali przywódcy ogromnej grupy terrorystycznej, którzy pewnego konkretnego dnia zamierzali rozpętać orgię rzezi, mając na celu zniszczenie Ameryki i wszystkich szlachetnych, starych tradycji, ukochanych przez Ulicę. Ulotki pływały w rynsztokach, ale pomimo iż wydrukowane były w różnych językach i różnym rodzajem pisma, mówiły o jednym: zbrodni i rebelii. Ich autorzy nawoływali do obalenia praw i cnót wychwalanych przez naszych ojców, zdławienia Konstytucji – konstytucji, która zawierała w sobie spuściznę półtora tysiąca lat anglosaskiej wolności, sprawiedliwości i umiarkowania. Mówiono, że smagli mężczyźni zamieszkujący przy Ulicy i gromadzący się w jej gnijących budynkach byli mózgami przerażającej rewolucji, że na ich rozkaz miliony bezmyślnych, żądnych krwi bestii wyciągnie hałaśliwe szpony ze slumsów tysięcy miast, paląc, niszcząc i mordując, aż ziemia naszych ojców przestanie istnieć. To wszystko mówiono i powtarzano, a wielu z niepokojem oczekiwało dnia czwartego lipca, o którym dwuznacznie pisano w ulotkach; nic jednak nie można było nikomu udowodnić.

Nikt nie potrafił określić, czyje aresztowanie mogłoby spowodować unicestwienie spisku. Policjanci niejednokrotnie urządzali naloty przetrząsając domy, aż w końcu przestali – ich również znudziło

egzekwowanie prawa i porządku i pozostawili całe miasto swemu losowi. Później zjawili się mężczyźni w oliwkowych mundurach, z muszkietami; mogło się wydawać, że to swego rodzaju smutny sen. Ulicy musiało przyśnić się wspomnienie dawnych dni, kiedy uzbrojeni w muszkiety ludzie w stożkowatych kapeluszach krążyli po niej, od źródła w lesie, do skupiska chat przy plaży. Nic nie można było przedsięwziąć, aby zapobiec nadciągającemu kataklizmowi, bowiem smagli, złowrodzy mężczyźni byli nader sprytni i przebiegli.

Ulica spała więc niespokojnie, aż pewnej nocy w Piekarni Pietrowicza, Szkole Nowoczesnej Ekonomii, Klubie „Kraąg” i kawiarni „Wolność”, jak również w wielu innych miejscach, zgromadziły się ogromne grupy ludzi, których oczy przepełnione były przeraźliwym triumfem i pełnym fanatyzmu wyczekiwaniem.

Po ukrytych przewodach wędrowały dziwne depesze i mówiono wiele o mających nadejść jeszcze dziwniejszych wieściach; kiedy jednak niebezpieczeństwo zagrażające Zachodniemu Lądowi zostało zażegnane nawet się tego nie domyślano. Mężczyźni w dziwnych mundurach nie potrafili powiedzieć co się dzieje, ani jak powinni się zachować, gdyż smagli, złowrodzy mężczyźni mieli ogromną wprawę, byli subtelni i doskonale potrafili maskować swoje poczynania.

Mimo to mężczyźni w oliwkowych mundurach zawsze będą pamiętać tę noc i opowiadać o Ulicy, tak jak mówili o niej swoim wnukom; wielu z nich wysłano bowiem tego ranka z zadaniem innym niż to, jakiego się spodziewali. Wiedzano powszechnie, że gniazdo anarchii było stare, a domy, nadgryzione zębem czasu, zmieniły się w ruinę, niemniej jednak to, co wydarzyło się tej letniej nocy zdziwiło wszystkich, że względu na swą jednolitość. Nie da się ukryć, iż zdarzenie to było nad wyraz osobliwe, pomimo iż na pozór wydawało się proste. Bez ostrzeżenia bowiem, o nieokreślonej konkretnie godzinie (wiadomo jedynie, że po północy) wszystkie domy stojące przy Ulicy, naruszone nieubłaganym czasem,



burzami i żarłocznym robactwem, zmieniły się w stertę gruzów; po katastrofie przy Ulicy nie pozostał nawet jeden cały budynek – zachowały się tylko dwa samotne, żałosne kominy i fragment mocnego ceglanego muru.

Nikt nie wyszedł żywy z ruin.

Poeta i wędrowiec, którzy wraz z tłumem gapiów znajdowali się w miejscu katastrofy opowiadali dziwne historie. Poeta twierdził, że nocą, na wiele godzin przed świtem, w świetle łukowych lamp widział jakby zamazane, obskurne, odrażające ruiny; i że przed brzaskiem zdołał dostrzec nakładający się na nie zupełnie inny obraz. Opisał go jako skąpane w blasku księżyca schludnie utrzymane domy, przy których wznosiły się majestatyczne wiązy, dęby i klony. Wędrowiec zaś, że zamiast uporczywego smrodu unoszącego się zwykle w tym miejscu czuł wyraźny, aromatyczny zapach kwitnących róż. Czyż jednak sny poetów i opowieści wędrowców nie są jednakowo kłamliwe?

Są tacy, którzy twierdzą, że rzeczy i miejsca mają dusze i ci, którzy uważają, że tak nie jest; ja nie będę wypowiadał się na ten temat, ale opowiedziałem wam o Ulicy.

## Przemiana Juana Romero

Nie mam zbytnej ochoty mówić o wypadkach, które miały miejsce w kopalni Nortona nocą z osiemnastego na dziewiętnastego października 1894 roku. Jedyne poczucie obowiązku wobec nauki zmusza mnie do wskrzeszenia, w ostatnich latach mego życia, obrazów i zdarzeń przerażających tym bardziej, że nie jestem w stanie w żaden sposób ich wytłumaczyć. Jednak zanim umrę powinienem chyba opowiedzieć wam to, co wiem na temat zdarzenia, które określam mianem przemiany Juana Romero.

Moje nazwisko i pochodzenie nie muszą zostać zapamiętane przez potomnych – prawdę mówiąc lepiej, aby poszły w zapomnienie, bo kiedy człowiek przenosi się nagle z kolonii do Stanów, zostawia za sobą całą przeszłość. Poza tym, to kim byłem, nie ma najmniejszego związku z moją opowieścią, a na uwagę może jedynie zasługiwać fakt, iż podczas mojej służby w Indiach czułem się bardziej swojsko wśród białobrodych hinduskich nauczycieli niż wśród moich rodaków – oficerów. Zdołałem zgłębić wiele spośród nauk Wschodu, gdy nieszczęśliwym zrzędzeniem losu znalazłem się na zachodzie Stanów, i tam przyszło mi rozpocząć nowe życie. Wraz z nim przyjąłem również nowe nazwisko – pospolite i nie mające głębszego znaczenia.

Latem i jesienią 1894 roku znajdowałem się u podnóża posępnego pasma Gór Kaktusowych, gdzie jako prosty robotnik podjąłem pracę w kopalni Nortona, która odkryta kilka lat wcześniej przez podstarzałego poszukiwacza złota sprawiła, iż cały ten zapomniany dotąd przez Boga i ludzi region stał się nagle przystanią dla wszelkiego rodzaju szumowin i mętów.

Jaskinia złota, znajdująca się głęboko pod górskim jeziorem, przyniosła

staremu poszukiwaczowi niewyobrażalną fortunę a obecnie zmieniała się w siedlisko rozległych korytarzy, gdzie prace poszukiwawcze prowadzili robotnicy z korporacji, która koniec końców odkupiła kopalnię od jej poprzedniego właściciela.

Odnaleziono kolejne groty, a złoża żółtego metalu były niewyobrażalnie bogate; do tego stopnia, iż potężna, niejednolita armia górników harowała dzień i noc w rozlicznych korytarzach i tunelach. Kierownik, pan Arthur, często rozprawiał o osobliwościach tutejszych formacji geologicznych, spekulując na temat możliwości istnienia dłuższego ciągu jaskiń i oszacowując przyszłość gigantycznych prac wydobywczych. Jego zdaniem istnienie podziemnych grot było rezultatem działań wody i wierzył, że niebawem zostanie otwarta ostatnia z nich.

Niedługo po moim przybyciu i podjęciu pracy w kopalni Nortona pojawił się tu Juan Romero. Był on jednym z całej rzeszy niechlujnych, obdartych Meksykanów, którzy ścignęli z sąsiedniego kraju, i z początku zwracał uwagę jedynie swymi indiańskimi rysami. Twarz jego miała jednak nieco jaśniejszy odcień i wydawała się łagodniejsza w porównaniu z topornie ciosanymi obliczami innych przybyłych tu Latynosów, czy miejscowych Indian. To zadziwiające, że pomimo iż tak bardzo różnił się od rzeszy swoich rodaków, nie wydawało się by Romero miał w swoich żyłach choć odrobinę krwi kaukaskiej. Ma jego widok wyobraźnia nie podsuwała mi obrazu hiszpańskiego konkwistadora czy amerykańskiego pioniera, lecz pradawnego, szlacheckiego Azteka. Zawsze wstawał wczesnym rankiem i z fascynacją wpatrywał się w słońce, przesuające się wolno ponad górami na wschodzie, unosząc przy tym do góry obie ręce, jakby wykonywał jakiś pradawny rytuał, którego natury nawet on nie rozumiał. Jednak poza rysami twarzy Romero nie przejawiał żadnych innych oznak nobliwości czy azteckiej dojrzałości.

Brudny, obdarty nieuk, czuł się najlepiej w towarzystwie innych brązowoskórych Meksykanów, i jak mi później powiedziano, przyszedł na

świat w okolicy, gdzie mieszkańcy cierpieli najdotkliwszą nędzę. Znalezione go, kiedy był jeszcze niemowlęciem, w prymitywnym górskim szałasie. Tylko on uszedł z życiem z epidemii zarazy, jaka tamtędy przeszła. W pobliżu chaty, opodal raczej niezwyklej szczeliny w skale, leżały dwa szkielety obrane niedawno z mięsa przez sępy; prawdopodobnie to było wszystko, co pozostało z jego rodziców. Nikt nie wiedział jak się nazywali i niebawem większość zupełnie o nich zapomniała.

Kiedy zaś chata z adoby obróciła się w gruzy, a niewielka lawina spowodowała zasypanie skalnej szczeliny, w zapomnienie poszła nawet scena tragedii. Wychowywany przez meksykańskich złodziei bydła, którzy dali mu imię, Juan nie różnił się zbyt od swoich towarzyszy.

Więź jaką Romero odczuwał wobec mnie była bez wątpienia związana z dziwnym, starym hinduskim pierścieniem, który nosiłem kiedy nie pracowałem na przodku. Nie mogę powiedzieć nic na temat jego natury i sposobu w jaki znalazł się w moim posiadaniu. Było to ostatnie ogniwo wiążące mnie z rozdziałem życia, który uważałem za bezpowrotnie zamknięty. Stanowił więc dla mnie ogromną wartość.

Niebawem zauważyłem, że dziwnie wyglądający Meksykanin wyraźnie się nim interesował – przyglądał mu się z wyrazem twarzy, który zdawał się świadczyć o czymś więcej, aniżeli o zwykłej chciwości czy zawiści. Widniejące na pierścieniu hieroglify zdawały się przywoływać w jego prostym, acz byстрым umyśle dziwne, mgliste wspomnienia, choć z całą pewnością nie mógł ich wcześniej oglądać. W ciągu kilku tygodni od swego przybycia do kopalni, Romero stał się nieomal moim wiernym sługą, mimo że byłem przecież jedynie zwykłym, szarym górnikiem.

Nasze rozmowy były z konieczności ograniczone. Romero znał jedynie kilka słów po angielsku, ja zaś stwierdziłem, że mój oksfordzki hiszpański znacznie różnił się od patois peonów z Nowej Hiszpanii. Wypadek o którym mam tu opowiedzieć, był na dłuższą metę nie zapowiedziany.

Pomimo iż Romero interesował mnie, a on z kolei wydawał się być

przyciągany do mnie przez tajemniczy pierścień, sądzę, że żaden z nas nie spodziewał się tego, co nastąpiło po kolejnym wielkim wybuchu w kopalni.

Geologiczne przewidywania zakładały rozszerzenie kopalni przez pogłębienie głównego szybu, od najniższej położonej części podziemnego wyrobiska. Kierownik, sądząc iż napotkają jedynie litą skałę nakazał założenie zwiększonego ładunku dynamitu. Ani ja, ani Romero nie byliśmy przy tym, toteż po raz pierwszy o niezwykłym odkryciu dowiedzieliśmy się od innych robotników.

Ładunek – być może jeszcze silniejszy niż wcześniej postanowiono – zdał się wstrząsnąć posadami całej góry. Fala uderzeniowa wybiła wszystkie okna w barakach ustawionych na górskim zboczu, a górników znajdujących się w podziemiach dosłownie zbiła z nóg. Jezioro Klejnotów, położone powyżej miejsca zdarzenia, zafalowało jakby przeszło nad nim tornado. Przy bliższym zbadaniu okazało się, że pod miejscem gdzie założono ładunek, otwarła się nowa, mroczna czeluść, tak monstrualna, że do jej dna nie sięgały żadne ze znajdujących się w obozowisku lin, ani światło lamp.

Zakłopotani górnicy udali się na dłuższą rozmowę z kierownikiem, który nakazał by do szybu zniesiono cały zapas lin, powiązано je i opuszczono w głąb czeluści w celu odkrycia i zbadania dna otchłani.

Niedługo potem bladzi robotnicy powiadomili kierownika o swoim niepowodzeniu. Zdecydowanie, acz taktownie dali do zrozumienia, że nie wejdą już więcej do szczeliny ani nie zamierzają ponownie podjąć pracy w kopalni, dopóki otwór nie zostanie zasypany. Musieli najwyraźniej mieć do czynienia z czymś niewytłumaczalnym, bo jak sami stwierdzili, otchłań w głębi szybu zdawała się nie mieć końca.

Kierownik nie ukarał ich, ani nie upomniał. Miast tego zamyślił się głęboko, zastanawiając się nad planami na kolejny dzień. Tego wieczora nocna zmiana nie podjęła pracy. O drugiej w nocy na górskim zboczu zaczął posępnie wycić samotny kojot.

W odpowiedzi, gdzieś spomiędzy baraków, rozległo się szczekanie psa;

nie sposób określić, czy pies czekał na kojota czy na coś innego. Zanosiło się na deszcz.

Wokół wierzchołków gór zbierały się burzowe chmury o dziwnych kształtach, przesuujące się chyżo po atramentowym niebie, które, spoza wielu warstw cirrostratusów, usiłował rozświetlić swym blaskiem blady sierp księżyca.

Obudził mnie głos Romera, dochodzący z pryczy powyżej – głos przepełniony podnieceniem, napięciem i niepojętym dla mnie wyczekiwaniem.

– Madre de Dios! El sonido. Ese sonido. Orga Vd! Lo oyte Vd?

– Senior, Ten dźwięk!

Nadstawiłem ucha, zastanawiając się o co mu chodziło. Słysząc było jedynie kojota, psa i burzę, przy czym ta ostatnia wyraźnie przybierała na sile, a wiatr zawodził z coraz większą zaciętością. Za oknem baraku widać było bladospokreślone smugi błyskawic.

Zwróciłem się do zdenerwowanego Meksykanina pytając go o odgłosy, które słyszałem.

– El coyote? El perro? El viento?

Romero nie odpowiedział. Wyszepał tylko, z trwogą w głosie:

– El ritmo, Senior. El ritmo de la tierra.

– To pulsowanie w ziemi!

Teraz i ja je usłyszałem; usłyszałem i nie wiedząc czemu wzdrygnąłem się. Gdzieś z ziemi, głęboko pod mną, dobywał się dźwięk, rytm, jak to określił peon, który choć słaby był w stanie zdominować wycie kojota, szczekanie psa czy zawroźnienie nadciągającej burzy, nie sposób tego opisać; i bynajmniej nie zamierzam tego czynić. Być może dałoby się porównać do rytmu silników w maszynowni wielkiego okrętu, pulsowania wyczuwanego poprzez deski pokładu, ale nie było ono tak zimne, suche i mechaniczne – nie było pozbawione elementów życia i świadomości. Spośród wszystkich tych cech najbardziej uderzyło mnie poczucie niepojętej głębi. W myślach

przemknął mi fragment z Qlanvila, który Poe cytował z tak wstrząsającym efektem:

"Ogrom, głębia i niezmiennosc Jego dzieł, które zawierają w sobie większą czeluść, aniżeli studnia Demokryta".

Nagle Romero poderwał się ze swojej pryczy zatrzymując się przede mną, by łypnąć na dziwny pierścień na mojej dłoni, połyskujący osobliwie w świetle błyskawic, po czym skierował wzrok w stronę szybu kopalni. Ja również wstałem i przez dłuższą chwilę trwaliśmy w bezruchu wsłuchując się w niewiarygodny rytm, który, jak wszystko na to wskazywało, przybierał na sile.

Zgoła bezwolnie poczęliśmy przesuwać się ku drzwiom które, łomoczące i targane podmuchami wichury, dawały nam kojące poczucie ziemskiej rzeczywistości.

Śpiew w czeluści – bo tym właśnie zdawał się być ów dźwięk – narastał i stawał się coraz wyraźniejszy. Nagle obu nas przepełniła nieodparta chęć, by wybiec w szalejącą burzę i zanurzyć się w posępną, mroczną otchłań szybu.

Nie napotkaliśmy nikogo – robotnicy zostali bowiem zwolnieni z nocnej zmiany i najprawdopodobniej przesiadywali teraz w Dry Gulch, karmiąc jakiegoś ospałego barmana garścią złowieszczych plotek. Jedynie okno chaty stróża jarzyło się żółtym światłem, niczym Oko Opatrzności. Przez krótką chwilę zastanawiałem się jak rytmiczny dźwięk wpłynął na stróża; Romero jednak szedł teraz szybciej i niezwłocznie podążyłem za nim.

Ody weszliśmy do szybu, dźwięk dochodzący z dołu stał się wreszcie wyraźny i rozpoznawalny. Z przerażeniem stwierdziłem, iż kojarzy mi się on z jakąś orientálną ceremonią, której towarzyszy bicie w bębny i chóralne śpiewy. Jak zapewne zdajecie sobie sprawę spędziłem w Indiach sporo czasu i niejedno miałem okazję zobaczyć. Romero i ja przemierzaliśmy kolejne korytarze i schodząc po drabinkach, zdawałoby się bez odrobiny wahania, zbliżaliśmy się ku przywołującemu nas nieznanemu. W głębi serca odczuwałem dręczący strach, niepokój i niepewność.

W pewnym momencie miałem wrażenie, że popadłem w obłąd – stało się to wtedy, gdy zastanawiałem się jakim cudem, pomimo, iż nie mieliśmy świec ani lamp, coś oświetlało nam drogę. Uświadomiłem sobie, iż stary pierścień na moim palcu emanował dziwnym blaskiem, który rozrzedzał mrok panujący w wilgotnym korytarzu rozciągającym się na wprost i wokół nas.

Nagle, bez ostrzeżenia, Romero ześlizgnąwszy się po jednej z szerokich drabinek, puścił się biegiem pozostawiając mnie samego. Jakaś nowa, dziwna nuta w odgłosach bębnow i śpiewie – dla mnie praktycznie niezauważalna – wywarła nań niewiarygodny wpływ. Mój towarzysz z dzikim okrzykiem pomknął przed siebie i znikł w panującym w głębi korytarza półmroku.

Słyszałem jego powtarzające się krzyki, gdy biegnąc kilkakrotnie się potknął i ześlizgiwał się jak oszalały po rozchwianych drabinkach. Pomimo iż byłem przerażony.

zdołałem zwrócić uwagę, że jego słowa – te artykułowane – wypowiedane były w nie znanym mi języku. Ostre, ale wyraziste wielosylabowe wyrazy zastąpiły mieszankę kiepskiego hiszpańskiego i jeszcze gorszego angielskiego, którym się zwykle posługiwał, a spośród nich najbardziej znajomym i zrozumiałym wydawało się głośne:

"HUITZILOFOTCHLI".

Później zdołałem odnaleźć to słowo w dziełach wielkiego historyka – i wzdrygnąłem się, kiedy zrozumiałem jego znaczenie.

Kulminacja owej okropnej nocy była złożona, choć krótka i rozpoczęła się z chwilą, kiedy dotarłem do ostatniej, w naszej podróży, jaskini.

Z ciemności przede mną dobiegł ostatni wrzask Meksykanina, po którym rozległ się chór tak nieczystych, bluźnierczych głosów, że nie mógłbym usłyszeć go powtórnie i pozostać przy życiu. W tym momencie miałem wrażenie, jakby wszystkie ukryte lęki, koszmary i potworności ziemi ujawniły się w zjednoczonym wysiłku opanowania całej ludzkiej rasy.



Jednocześnie blask mego pierścienia zgasł i zobaczyłem nowe światło bijące z dołu, o kilka stóp przede mną. Dotarłem do czeluści, która jarzyła się teraz czerwono, i która bez wątpienia pochłonięła nieszczęsnego Romero.

Zbliżywszy się, zajrzałem ponad krawędzią w głąb bezdennej otchłani, której wnętrze stanowiło teraz istne pandemonium buchających płomieni i upiornego ryku. Z początku nie zauważyłem nic prócz świecącego, mglistego, wirującego obłoku – jednak już po chwili, z chaosu poczęły wyłaniać się kształty i ujrzałem... czyżby to był Juan Romero? Boże! Nie odważę się powiedzieć wam co zobaczyłem! Nagle, jakaś moc z niebios przyszła mi z pomocą pozbawiając mnie zarówno wzroku jak i słuchu, w jednym rozdzierającym huku, przeraźliwej kakofonii dźwięków, jaka mogła towarzyszyć zderzeniu się w kosmosie dwóch wszechświatów.

Nastał chaos, a potem zasnęłam spokoju zapomnienia.

Nie wiem jak mam mówić dalej, gdyż w grę wchodzi dwa osobliwe zdarzenia, choć zrobię co w mojej mocy. Nawet nie będę się starał oddzielać rzeczywistości od ułudy.

Kiedy się obudziłem, leżałem bezpieczny na mojej pryczy, a okno barwiła czerwona poświata wschodzącego słońca. W pewnej odległości, na stole, leżało martwe ciało Juana Romero, otoczone przez grupkę ludzi, wśród których zauważyłem też obozowego doktora.

Mężczyźni rozmawiali o dziwnej śmierci, która zaskoczyła Meksykanina we śnie. Śmierć ta musiała być w jakiś sposób związana z wyjątkowo silnym piorunem, który uderzył i zatrzęsł całą górą. Nie było żadnych widocznych śladów, a autopsja nie stwierdziła konkretnej przyczyny zgonu Romero.

Z fragmentów rozmów jasno wynikało, że w nocy ani ja, ani Juan nie opuściliśmy baraku, i że obaj smacznie spaliśmy podczas przerażającej burzy, jaka rozszalała się nad Górami Kaktusowymi. Burza ta – stwierdzili robotnicy, którzy weszli do szybu kopalni – spowodowała potężny zawał i całkowite zasypanie głębokiego otworu, którego pojawienie się poprzedniego dnia spowodowało tyle kłopotów i niepokojów. Kiedy zapytałem stróża jakie

odgłosy słyszał przed owym potwornym hukiem gromu, odparł, że wycie kojota, szczekanie psa i zawroźenie wiatru. nic więcej, nie wątpię, że mówił prawdę.

Po podjęciu robót kierownik, pan Arthur, wezwał kilku zaufanych ludzi, aby przeprowadzić parę prób wokół miejsca, w którym otworzyła się bezdenna otchłań, niezbyt ochoczo, ale jednak wykonali polecenie i przeprowadzili głębokie wiercenia. Rezultaty były nader interesujące i osobliwe. Pokrywa szczeliny, kiedy ją otwarto była bardzo cienka, teraz jednak wszystko wskazywało na to, iż górnicy wiercili otwory w litej skale, nie znalazłszy nic więcej, i ani grama złota, kierownik nakazał wstrzymanie prac. Czasami jednak, kiedy pogrążony w zamyśleniu siedzi przy swoim biurku, na jego obliczu pojawia się wyraz zdziwienia i zakłopotania.

Należy wspomnieć o jeszcze jednej dziwnej rzeczy. Niedługo po tym jak obudziłem się rano, po nocnej burzy, stwierdziłem iż nie mam na palcu swego hinduskiego pierścienia. Nie potrafiłem tego wyjaśnić. Był dla mnie bardzo cenny, ale mimo to jego zniknięcie sprawiło mi wyraźną ulgę. Jeżeli było to sprawką któregoś z górników, musiał być on naprawdę wyjątkowo sprytnym złodziejem, umiejącym szybko i sprawnie pozbywać się swoich łupów, gdyż pomimo ogłoszeń i przeszukań dokonanych przez policję, pierścień nigdy się nie odnalazł. W gruncie rzeczy wątpię, aby skradły mi go ręce śmiertelnika, bowiem w Indiach nauczono mnie wielu dziwnych, sekretnych rzeczy.

Moje zdanie na temat tego zdarzenia zmienia się od czasu do czasu. Za dnia, niemal przez cały rok, jestem skłonny przypuszczać, iż większość tego co doświadczyłem była jedynie snem. Bywa jednak, że jesienią, gdy o drugiej w nocy wiatr i zwierzęta zawodzą żałośnie, mam wrażenie, iż odbieram dochodzące z wnętrza ziemi upiorne, rytmiczne pulsowanie... i czuję, że przemiana Juana Romero była naprawdę przerażająca.

# Księga

## (fragment)

Moje wspomnienia są bardzo pogmatwane. Wątpliwe jest nawet to, gdzie się rozpoczynają, gdyż czasami czuję ogrom lat rozpościerających się za mną, a czasami wydaje mi się, że obecna chwila jest wyizolowanym punktem w szarej, bezkształtnej nieskończoności. Nie jestem nawet pewien, jak przekazuję to przesłanie. Podczas gdy wiem, że mówię, mam jednocześnie dziwne wrażenie, że konieczny jest jakiś niesamowity wysiłek mej woli, aby wytrzymać to, co mam do powiedzenia. Moja tożsamość jest także spowita mgłą. Przypuszczam, że przeżyłem wielki szok – może moje unikalne, niewiarygodne doświadczenia przerosły moją zdolność pojmowania.

Wszystko zaczęło się od tej zżartej przez robactwo księgi. Pamiętam dzień, gdy ją znalazłem – w słabo oświetlonym mieszkaniu, w pobliżu czarnej, oleistej rzeki, nad którą zawsze wirują mgły. Miejsce to było bardzo stare, a sięgające sufitów, wypełnione nadgniłymi tomiskami półki ciągnęły się bez końca przez pozbawione okien wewnętrzne pokoje i alkowy. Prócz tego były tam wielkie, bezkształtne stosy książ na podłodze i w skrzyniach z nieheblowanych desek. To właśnie w jednym z takich stosów znalazłem tę księgę. Nigdy nie dowiedziałem się jej tytułu, gdyż brakowało początkowych stron. Była otwarta na ostatnich stronach, gdzie ujrzałem coś, co poruszyło moje zmysły.

To była formuła – coś w rodzaju listy rzeczy do powiedzenia i do zrobienia – którą rozpoznałem jako coś ciemnego i zabronionego. Czytałem już o tym wcześniej w ukradkowych rozdziałach pergaminów odrazy i fascynacji redagowanych przez tych dziwnych, starych autorów, którzy ryli

w strzeżonych tajemnicach wszechświata, a których rozsypujące się teksty przyjmowałem z taką ochotą. To był klucz – przewodnik – do pewnych wrót i przejść, o których marzyli mistycy. Szeptano o nich od czasów, gdy rasa ludzka była jeszcze młoda. Prowadziły ponoć do wolności i odkryć poza znanymi nam trzema wymiarami i królestwami życia i materii... Przez całe stulecia żaden człowiek nie przypominał sobie ich substancji, ani nie wiedział, gdzie się znajdują, lecz księga ta była naprawdę bardzo stara. Nie był to druk; te złowróżbne łacińskie frazy zapisała starożytną uncją ręką jakiegoś na wpół szalonego mnicha.

Przypominam sobie, jak stary handlarz rzucał ukradkowe spojrzenia, chichotał i czynił ręką jakieś znaki, gdy ją zabierałem. Nie wziął za nią pieniędzy i dopiero po długim czasie dowiedziałem się dlaczego. Gdy spieszyłem do domu krętymi, zamglonymi uliczkami nabrzeża, miałem przerażające wrażenie, że slysze za sobą ciche kroki. Otaczające mnie wiekowe, grożące runięciem domostwa wydawały się żyć świeżą i śmiercionośną złośliwością – jakby otworzył się jakiś dotąd zamknięty kanał diabelskiego zrozumienia.

Czułem, że te ściany i szczyty ze zmurszałej cegły i zagrzybionego tynku i drewna, z patrzącymi na mnie oczodołami okien, z trudem powstrzymują się przed tym, aby się zbliżyć i mnie zmiażdżyć... A przecież tylko, przed zamknięciem księgi, rzuciłem okiem na ostatni fragment tych bluźnierczych run.

Pamiętam, jak czytałem księgę – z pobladłą twarzą, zamknięty w pokoiku na poddaszu, który od dawna poświęciłem na swe dziwne poszukiwania. Wielki dom był cichy, gdyż nigdy nie chodziłem na górę wcześniej niż przed północą. Sądzę, że miałem rodzinę – choć szczegółów nie jestem pewien – wiem też, że było wielu służących. Nie mogę podać, którego to działo się roku, gdyż począwszy od niego poznałem wiele wieków i wymiarów, a moje postrzeganie czasu rozmyło się i nabrało nowych kształtów. Czytałem przy świetle świec – przypominam sobie nieustanne kapanie wosku, słyszałem też

brzmienie dzwonów dochodzące od czasu do czasu z jakichś odległych dzwonnicy. Wydaje mi się, że przysłuchiwałem się im ze szczególnym zainteresowaniem, gdyż obawiałem się, że usłyszę w nich odległe, niepokojące nuty.

Wtedy rozległo się pierwsze drapanie i gmeranie koło mansardowego okna, które spoglądało wysoko ponad dachami miasta. Rozległo się, gdy odczytywałem na głos dziewiąty werset podstawowej pieśni i z przerażeniem zrozumiałem, co ona oznacza. "Ten, kto przekroczy bramę, zawsze zwycięży cień i nigdy już nie będzie samotny". Uśmiechnąłem się – księga była naprawdę tym, czego się spodziewałem. Tej nocy przekroczyłem bramę do wirów pokreconych czasów i wizji, a z nastaniem świtu, zobaczyłem w ścianach, półkach i meblach coś, czego nigdy przedtem nie widziałem.

Nie ujrzałem świata jaki znałem dotychczas. Z teraźniejszością zmieszane było trochę przeszłości i przyszłości. Każdy znajomy kiedyś obiekt wydawał się obcy w nowej perspektywie przyniesionej mi przez moje poszerzone spojrzenie. Od tego czasu wszedłem w fantastyczne sny o nieznanym lub na wpół tylko znanych kształtach. Z każdą przekroczoną bramą coraz mniej wyraźnie rozpoznawałem rzeczy z mego najbliższego otoczenia, do których przez tak długi czas byłem przywiązany. Tego, co widziałem wokół siebie, nie widział nikt inny. Stawałem się coraz bardziej milczący i oddalony, aż w końcu zacząłem myśleć, że oszalałem. Psy zaczęły się mnie bać, gdyż wyczuwały cień stamtąd, który nigdy mnie nie opuszczał. Ciągłe jednak czytałem coraz więcej – tajemnicze, zapomniane księgi i pergaminowe zwoje, przez które prowadziło mnie moje nowe spojrzenie – przekraczałem ciągle nowe bramy przestworzy i wzorów życia w centrum nieznanego kosmosu.

Pamiętam noc, w którą nakreśliłem pięć koncentrycznych kręgów ognia na podłodze i wstąpiłem w najmniejszy z nich, intonując potworną litanię, przyniesioną mi przez posłańca z Tartaru. Ściany się roztopiły i czarny wiatr uniósł mnie przez zatoki bezkształtnej szarości, z podobnymi do igieł

wieżyczkami nieznanymi gór, o całe mile pode mną. Po chwili zapanowała nieprzenikniona czerń, a potem miriady gwiazd utworzyły dziwne, obce konstelacje. W końcu zobaczyłem daleko pode mną zieloną równinę i wypatrzyłem na niej wykrzywione wieże miasta zbudowanego w sposób, którego nigdy nie znałem, nie czytałem też o nim, ani nie śniłem. Gdy podleciałem bliżej, zobaczyłem na otwartej przestrzeni wielki, kwadratowy budynek z kamienia i poczułem ogarniający mnie potworny strach. Krzyczałem i szamotałem się, pustka rozlała się w pięciu fosforyzujących kręgach w moim pokoju na poddaszu. Tej nocy wędrówka nie była dziwniejsza od poprzednich. Była jednak bardziej przerażająca, gdyż wiedziałem, że jestem bliżej tych zatok stamtąd i światów, w których nigdy wcześniej nie byłem. Stałem się więc ostrożniejszy z moimi inkantacjami, gdyż nie chciałem zostać odcięty od swego ciała i uwięziony w nieznanym otchłaniach, z których nigdy już nie mógłbym powrócić...

# Dagon

Piszę te słowa pod bardzo silnym naciskiem psychicznym, jako że przed północą już nie będę istniał. Bez grosza przy duszy i z kończącym się zapasem narkotyków, które czyniły moje życie lżejszym, nie jestem w stanie znieść dłużej tych cierpień; rzucę się z okna mego staroświeckiego domu na wąską, ciągnącą się w dół ulicę. Nie sądźcie, iż poprzez swe uzależnienie od morfiny stałem się słabeuszem czy degeneratem. Być może czytając te pospiesznie skreślone słowa, domyślicie się, choć nie będziecie mieli pełnego obrazu, dlaczego pragnę zapomnienia bądź śmierci.

Zdarzyło się to w jednym z najbardziej otwartych i najmniej uczęszczanych obszarów Pacyfiku, kiedy okręt, na którym byłem nadzorcą ładunku, padł ofiarą niemieckiego rajdera.

Był to zaledwie początek wielkiej wojny, a siły morskie Hunów dopiero w późniejszym okresie osiągnęły poziom bezlitosnej, brutalnej degradacji, tak że okręt handlowy był dla nich słusznym celem, nas zaś, czyli jego załogę, traktowano zgodnie z prawami należnymi jeńcom wojennym. Prawdę powiedziawszy, mieliśmy taką swobodę, iż w pięć dni po schwytaniu zdołałem uciec samotnie łodzią, z zapasem wody i prowiantu na dość długi okres czasu.

Kiedy znalazłem się wreszcie wolny na szerokim oceanie, stwierdziłem iż nie wiem gdzie się właściwie znajduję. Jako że nigdy nie byłem wprawnym nawigatorem, mogłem jedynie dzięki położeniu słońca i gwiazd ustalić, że znalazłem się gdzieś na południe od równika. Nie znałem długości geograficznej, a w zasięgu wzroku nie było żadnej wyspy czy linii brzegowej.

Pogoda dopisywała i przez niezliczone dni dryfowałem bez celu w

prażących promieniach słońca, czekając bądź na przepływający okręt, bądź na zbliżenie się do jakichkolwiek, byle tylko zamieszkałych brzegów.

Na mej drodze nie pojawił się jednak ani statek, ani brzeg i, samotnemu, pod bezkresnym błękitnym niebem, zaczęła mi doskwierać dojmująca rozpacz.

Zmiana nastąpiła podczas snu. Szczegółów nigdy się nie dowiem – gdyż spałem twardo, chociaż dręczyły mnie koszmary.

Kiedy w końcu się obudziłem, byłem na wpół zagrzebany w grząskim, czarnym, piekielnym błocku, którego połacie, jak okiem sięgnąć, rozciągały się wokół mnie – w oddali zaś dostrzegłem moją łódź, którą fale również wyrzuciły na brzeg.

Choć można by się spodziewać, iż pierwszym moim odczuciem powinno być zdumienie spowodowane tak dziwną i nieoczekiwaną zmianą krajobrazu; w rzeczywistości jednak, byłem bardziej przerażony, aniżeli zdumiony – albowiem w powietrzu i martwej ziemi było coś złowieszczonego, co – niczym lodowaty dreszcz – przesywało mnie do szpiku kości.

Okolicę zaścielały gnijące truchła rozkładających się ryb i innych, mniej rozpoznawalnych istot, wystających z ohydneho błocka pokrywającego bezbrzeżną równinę. Być może nie powinienem się łudzić, iż uda mi się słowami wyrazić niewiarygodną wręcz zgrozę czającą się pośród absolutnej ciszy i rozległej pustki, jaka mnie otaczała.

Słońce prażyło niemiłosiernie, a bezlitosne niebo nad moją głową wydawało się niemal czarne, jakby odbijały się w nim atramentowe moczary pod moimi stopami. Kiedy wczółgałem się do wyrzuconej na brzeg łodzi, uświadomiłem sobie, że tylko jedna teoria mogła wyjaśnić moje obecne położenie. Wskutek jakiejś niewiarygodnej aktywności wulkanu część oceanicznego dna musiała zostać wypchnięta na powierzchnię, odsłaniając obszary, które przez niezliczone miliony lat spoczywały ukryte w niezgłębionej morskiej otchłani. Połączenie nowego lądu przede mną była tak rozległa, że pomimo iż wytężyłem słuch, nie zdołałem wychwycić



najsłabszego nawet odgłosu fal bijących o brzeg. Nie zauważyłem też morskiego ptactwa, żerującego wśród szczątków martwych istot.

Siedziałem przez kilka godzin pogrążony w rozmyślaniach w mojej łodzi, która, przewrócona na bok, oferowała nieco cienia, w miarę jak słońce przesuwało się po nieboskłonie. Pod wieczór gleba utraciła nieco swej lepkości i zaczęła obsychać; stwierdziłem, iż niebawem można będzie po niej chodzić.

Przespałem jeszcze całą noc, a następnego dnia przygotowałem sobie plecak zawierający zapas wody i prowiantu, aby wybrać się na poszukiwanie zaginionego brzegu morza i możliwości ratunku. Gleba była już dostatecznie sucha, abym z łatwością mógł po niej stąpać. Odór ryb przyprawiał o mdłości, ale moje myśli zaprzętały posępniejsze i bardziej niepokojące rzeczy, toteż szybko wyruszyłem ku nieznanemu celowi. Podążałem dziarsko przez cały dzień zmierzając ku zachodowi, wiedziony przez odległy pagórek, stanowiący najwyższy punkt na tym odrażającym pustkowiu. Noc spędziłem pod gołym niebem, a następnego dnia ruszyłem w dalszą drogę ku pagórkowi, choć miałem wrażenie, że mimo tak długiego marszu, nie zbliżyłem się do niego zanadto.

Pod koniec czwartego dnia dotarłem do podnóża pagórka, który okazał się wyższy niż przypuszczałem, gdy widziałem go z oddali. Poniżej rozciągała się głęboka kotlina. Zbyt zmęczony, aby wspiąć się na szczyt, usnąłem w jego cieniu.

Nie wiem dlaczego tej nocy miałem tak szalone i dzikie sny, kiedy jednak błądy sierp księżyca wzeszedł nad równiną na wschodzie, obudziłem się zlany zimnym potem i przepełniony pełnym determinacji postanowieniem, iż nie zmrużę już więcej oka. Nie zniósłbym po raz wtóry wizji, których dane mi było doświadczyć, i w blasku księżyca zrozumiałem, jak nieroztropną rzeczą było wędrowanie za dnia. Marsz w prażących promieniach słońca kosztował mnie zdecydowanie zbyt wiele energii. Teraz poczułem w sobie dość sił, by podjąć wspinaczkę, którą przerwałem o zachodzie słońca. Wziąwszy plecak

ruszyłem ku skrajowi wzgórza. Stwierdziłem, że nieprzerwana monotonia płaskiej równiny była dla mnie źródłem nieokreślonej grozy; sądzę jednak, iż przerażenie me wzrosło znacznie, kiedy znalazłem się na szczycie wzniesienia i spojrzałem w dół na drugą stronę, w głąb niezmierzonej czeluści wąwozu, której nie zdołał jeszcze rozświetlić słaby blask wiszącego nisko na niebie księżyca. Miałem wrażenie jakbym znajdował się na krawędzi świata i zaglądał ponad nią w bezdeny chaos wiecznej nocy. To niezwykle, ale z ogarniającym me serce uczuciem przerażenia mieszały się osobliwe reminiscencje Raju Utraconego i upiornej wspinaczki Szatana poprzez nieodgadnione Krainy Mroku.

Kiedy księżyc wspiął się wyżej, zacząłem dostrzegać, iż zbocza doliny nie były wcale tak strome, jak to sobie wyobrażałem. Skalne występy i półki zapewniały przy schodzeniu wygodne oparcia dla stóp i rąk, a kilkaset stóp niżej zbocze traciło ostrą spadzistość i stawało się łagodniejsze.

Pchany impulsem, którego nie potrafię sprecyzować, zgramoliłem się po skalnej ścianie w dół i stanąłem na rozległym spłachciu kamienistego zbocza, wpatrując się w stygijskie ciemności, których nie przenikał, najdrobniejszy nawet promień światła.

Natychmiast uwagę mą przykuł ogromny, osobliwy obiekt widniejący na przeciwnym zboczu, które pięło się stromo mniej więcej o sto jardów przede mną; obiekt ów połyskiwał białawo w przybierającym na sile blasku niedawno wzeszłego księżyca.

Niebawem upewniłem się, że był to ogromny kamienny blok, aczkolwiek dręczyło mnie dziwne i niewytłumaczalne wrażenie, iż ani jego kształt, ani miejsce nie były dziełem Natury.

Po bliższym zbadaniu ogarnęły mnie odczucia, których nie jestem w stanie opisać; pomimo jego ogromu i umiejscowienia w otchłani ziejącej na dnie morza powstałej w czasach kiedy świat był młody, dziwny ów obiekt był doskonale wyprofilowanym Monolitem, którego masywny kształt zdawał się być dziełem i najprawdopodobniej również obiektem kultu żyjących i

myślących istot.

Oszołomiony, przerażony, ale i nie pozbawiony typowego dla naukowca podniecenia, przyjrzałem się uważniej memu znalezisku. Księżyc, obecnie stojący niemal w zenicie, rzucał silny i dziwny blask na otaczające wąwóz skalne ściany, zaś w jego srebrnym świetle dostrzegłem, iż dno czeluści zalane było wodą, a napływające z dwóch stron fale nieomal obmywa me stopy, kiedy tak stałem na łagodnej skalnej pochyłości. Po drugiej stronie wąwozu mroczne fale rozbijały się o podstawę cyklopowego Monolitu, na którego powierzchni mogłem teraz dostrzec zarówno inskrypcje, jak i toporne, prymitywne płaskorzeźby.

Pismo należało do rodzaju hieroglificznego, którego kompletnie nie znałem, ale w przeciwieństwie do innych jakie widywałem w książkach, składało się w ogromnym stopniu z konwencjonalnych symboli przedstawiających zwierzęta morskie, takie jak: ryby, węgorze, ośmiornice, skorupiaki, mięczaki, wieloryby itp. Kilka symboli bez wątpienia ukazywać miało istoty morskie nieznanne nowoczesnemu światu, a których szczątki zauważyłem na wypiętrzonej z dna oceanu równinie.

Najbardziej zafascynowały mnie płaskorzeźby zdobiące ogromny Monolit. Były doskonale uwidocznione w blasku księżyca, a ich tematyka mogłaby wzbudzić zazdrość samego Gustawa Dore'a. Sądzę, iż miały obrazować ludzi, choć przedstawione były jako istoty bądź baraszkujące, niczym ryby w wodzie, wewnątrz jakiejś ogromnej, morskiej groty bądź składające część jakiejś monolitycznej świątyni, która również zdawała się znajdować w morskiej głębinie. O ich twarzach i kształtach nie odważę się opowiedzieć szczegółowo – samo bowiem wspomnienie sprawia, iż tracę świadomość. Wykraczające poza możliwości wyobraźni Poe'go czy Bulwera, miały one, ogólnie rzecz biorąc, ludzki kształt, pomimo błon rozciągających się między palcami rąk i stóp, szokująco szerokich i obwisłych warg, szklistych wyłupiastych oczu i innych jeszcze mniej przyjemnych szczegółów, o których można by wspomnieć. Co zatrwajające, istoty te

zdawały się być wyrzeźbione nieproporcjonalnie w stosunku do otaczającego je tła.

Jeden ze stworów uwieczniony został w trakcie zabijania wieloryba, waleń jednak był nieco tylko większy od niego. Moją uwagę szczególnie zwracała ich groteskowość i dziwne rozmiary; dopiero po dłuższej chwili namysłu stwierdziłem, iż musieli to być wyimaginowani bogowie jakiegoś prymitywnego rybackiego, bądź żeglarskiego plemienia, szczepu, którego ostatni potomek dokonał żywota na całej ery przed przyjściem na świat Człowieka z Pilt-down czy Neandertalczyka. Oszołomiony, mogąc w tak nieoczekiwany, bądź co bądź, sposób spojrzeć w przeszłość, wykraczającą poza wyobrażenia najśmielszego antropologa, stałem rozmyślając, a księżyc rzucał dziwne refleksy na roztaczający się przede mną krajobraz.

I nagle To zobaczyłem. Jej pojawienie się oznajmiło jedynie kilka łagodnych kręgów na powierzchni wody, po czym Istota wyłoniła się majestatycznie z mrocznych odmętów.

Ogromne, niczym Polifem i odrażające istne monstrum z najgorszego nocnego koszmaru podpłynęło zwawo do Monolitu, objęło go gigantycznymi, pokrytymi łuską ramionami, pochyliło ohydny łeb, po czym wydało kilka miarowych dźwięków.

Wydaje mi się, że właśnie wtedy straciłem zmysły.

Z mej szaleńczej wspinaczki po zboczu i ścianie klifu, a potem delirycznego powrotu do uwięzionej w mule łodzi pamiętam raczej niewiele. Wydaje mi się, że sporo śpiewałem, a gdy już nie mogłem, zanosłem się dziwnym śmiechem. Jak przez mgłę przypominam sobie, że kiedy dotarłem do łodzi, rozpętała się wielka burza. Słyszałem dochodzące odgłosy gromów i inne dźwięki rozlegające się jedynie wówczas, gdy natura ma naprawdę paskudny nastrój.

Kiedy wyłoniłem się z mroków niepamięci okazało się, iż znajduję się w szpitalu w Santa Fe; sprowadził mnie tam kapitan amerykańskiego okrętu, który napotkał moją łódkę na środku oceanu. Pograżony w delirium sporo

majaczym, choć nikt praktycznie nie zwracał uwagi na to, co mówiłem. Moi wybawcy nie wiedzieli nic o wypiętrzeniu wielkiej połaci dna morskiego na Pacyfiku, ja zaś nie uważałem za stosowne, by opowiadać im o Istocie, w którą najprawdopodobniej by nie uwierzyli.

\*\*\*

Po wyjściu ze szpitala złożyłem wizytę pewnemu nader znanemu etnologowi i zaskoczyłem go zadając dziwne pytania związane z prastarą filistyńską legendą o Dagonie – Bogu–Rybie. Kiedy jednak okazało się, iż poglądy jego są beznadziejnie konwencjonalne i że reprezentuje on większość – zaprzestałem moich dociekań.

Teraz zaś, zwłaszcza kiedy na niebie świeci blady sierp księżyca, zdarza mi się widzieć ową upiorną Istotę. Próbowałem morfiny – narkotyk dawał mi jednak tylko krótkotrwałe zapomnienie i uczynił swym bezwolnym niewolnikiem. Zamierzam to wreszcie skończyć, uczynię to teraz, kiedy spisałem wszystko, gwoli wiadomości lub pogardliwego rozbawienia moich rodaków. Często zapytuję sam siebie, czy to wszystko nie było li tylko czystą iluzją, fatamorganą, majakiem wywołanym gorączką, kiedy trawiony porażeniem słonecznym i delirium leżałem na dnie małej łódeczki po mojej ucieczce z pokładu niemieckiego okrętu wojennego. Zadaję sobie raz po raz te pytania, a w odpowiedzi widzę przed oczyma ów upiorny, odrażający kształt. Nie potrafię myśleć o otwartym morzu, nie czując na plecach lodowatych ciarek wywołanych świadomością, że właśnie w tej chwili bezimienne, nienazwane istoty mogą wpełzać i wczołgiwać się na pokryty szlamem podest oddając cześć prastarym, kamiennym bożkom i rzeźbiąc swe ohydne podobizny na podwodnych obeliskach z nadżartego przez wodę granitu.

Śnię o dniu, kiedy mogą wynurzyć się z otchłani spienionych fal, aby zatopić swe cuchnące szpony w niedobitkach zdziesiątkowanej przez wojnę ludzkości – o dniu, kiedy lądy pogrążą się w głębinach a mroczne dno

oceanów wzniesie się pośród uniwersalnego pandemonium.

Koniec jest bliski. Słyszę hałas u drzwi, jakby napierało na nie jakieś ogromne, śliskie cielsko. Ale TO mnie nie znajdzie. Boże, TA RĘKA! Okno! Okno!

# Grobowiec

Z uwagi na okoliczności, które doprowadziły do mego uwięzienia w tym przybytku dla obłąkanych, świadom jestem, że moja obecna pozycja może wytworzyć pewne wątpliwości co do prawdziwości tej opowieści. Tak to niestety jest, że większość ludzi ma zbyt ograniczony umysł, by cierpliwie i roztropnie rozważać owe szczególne fenomeny, postrzegane i wyczuwane jedynie przez garstkę posiadającą szczególną mentalną wrażliwość, a leżące poza zasięgiem powszechnie dostępnych doświadczeń. Ludzie o większym intelekcie wiedzą, że nie ma ostrego rozgraniczenia pomiędzy rzeczywistością i nierzeczywistością, że wszystkie rzeczy jawią się takie, jakie są, jedynie dzięki przymiotom wrażliwych, indywidualnych mediów psychofizycznych, i to dzięki nim zdolni jesteśmy je postrzegać, jednakowoż prozaiczny materializm większości określa pogardliwie mianem szaleństwa przebłąski nadpostrzegania, które przenikają pospolity woal jawnego empiryzmu.

Nazywam się Jervas Dudley i od wczesnego dzieciństwa byłem marzycielem i wizjonerem. Posiadając bogactwo wystarczające, by z nawiązką pokryć potrzeby dostatniego życia, i będąc obdarzony temperamentem, który nie pozwalał mi poświęcić się studiom i innego typu zainteresowaniom typowym dla moich rówieśników, zamieszkiwałem zwykle w krainach odległych od znanego nam widzialnego świata. Dzieciństwo i lata młodości spędziłem na lekturze prastarych i mało znanych ksiąg, przemierzając pola i zagajniki rozciągające się w pobliżu domu moich przodków. Nie sądzę, aby to, o czym czytałem w owych woluminach lub widziałem na polach czy w zagajnikach, było tym samym, o czym czytali lub co postrzegali inni chłopcy, na ten temat jednak wolałbym dużo nie mówić,

gdyż dłuższa i dokładniejsza wypowiedź potwierdziłaby jedynie odrażające kalumnie na temat stanu mego zdrowia psychicznego, o którym szeptem rozmawiają niekiedy pielęgniarze, co niejednokrotnie udało mi się podsłuchać. Wystarczy, że przedstawię minione wydarzenia bez bliższego analizowania przyczyn.

Wspomniałem już, że mieszkałem z dala od widzialnego świata, niemniej nie rzekłem, iż mieszkałem samotnie. Nie jest do tego zdolna żadna żywa istota. Brak towarzystwa żyjących nieuchronnie sprowadza obecność istot, które nie są już lub nigdy nie były żyjącymi.

Blisko mego domu znajduje się szczególna, porośnięta lasem kotlina, w której mrocznych ostępach spędzałem większość czasu, czytając, rozmyślając i śniąc. Tam właśnie, jeszcze jako dziecko, przywiodły mnie pierwsze kroki, bym przemierzał omszałe zbocza kotliny, a wśród groteskowo zdeformowanych dębów powstała osnowa mych pierwszych, dziecięcych fantazji. Poznałem driady zamieszkujące wśród owych drzew i niejednokrotnie widziałem ich dzikie tańce w blasku gasnącego księżyca – o tym jednak nie wolno mi teraz mówić.

Opowiem wam jedynie o samotnym grobowcu, położonym w najmroczniejszym zakątku kotlinnej gęstwiny; opuszczonym grobowcu Hyde'ów, starej, egzaltowanej rodziny, której ostatni potomek złożony został w jego posępnych murach na wiele dekad przed moimi narodzinami.

Grobowiec, o którym mówię, wykonany jest ze starego granitu. zmurszały i odbarwiony przez mgły i wilgoć naruszające go od pokoleń. Wpuszczona w ścianę kotliny budowla z wyjątkiem wejścia jest prawie niewidoczna. Drzwi, ogromna, odrażająca płyta z kamienia wisi uchylona na zardzewiałych zawiasach, a zamknięcie jej stanowią złowieszcze, z wyglądu ciężkie, żelazne łańcuchy i kłódki, typowe atrybuty przybytków cmentarnych sprzed pół wieku.

Rezydencja rodu, którego potomkowie znaleźli spoczynek w tym grobowcu, a którego własnością była owa kotlina, padła ofiarą pożaru



powstałego od uderzenia pioruna. O nocnej burzy, która zniszczyła do szczętu posepną posesję, starsi mieszkańcy tej okolicy mówią z zwyczajnym pełnym niepokoju szeptem, powtarzając zgodnie opinię o "bożym gniewie" w taki sposób, że w miarę upływu czasu poczęła narastać we mnie fascynacja owym mrocznym, leśnym grobowcem.

W pożarze zginął jeden człowiek.

Kiedy ostatni z Hyde'ów został pochowany w tym miejscu cienia i spokoju, smętna urna z popiołami przybyła z odległego kraju, dokąd wyemigrowała rodzina po pożarze rezydencji.

Nie pozostał nikt, by złożyć kwiaty przed granitowym portalem, i mało kto odważał się wniknąć pomiędzy ponure cienie, które zdawały się zalegać wśród zawilgłych murów.

Nigdy nie zapomnę popołudnia, kiedy po raz pierwszy natknąłem się na tę wpół ukrytą siedzibę śmierci. Było to w środku lata, w czasie przesilenia, kiedy alchemia natury przemienia leśny krajobraz w żyjącą i niemal homogeniczną masę zieloności; kiedy zmysły nieomal dławią się od przenikającej powietrze wilgoci i różnorodności niemożliwych do rozpoznania zapachów ziemi i roślinności. W takim otoczeniu umysł zatracą perspektywę; czas i przestrzeń stają się trywialne i nierzeczywiste, echa prehistorycznej przeszłości nieodparcie atakują mocno skołowaciałą świadomość.

Przez cały dzień krążyłem pośród mistycznego zagajnika porastającego wnętrze kotliny. Rozmyślałem na tematy, których nie chcę tu obecnie poruszać, i rozmawiałem z istotami, których imion i nazw również nie wymienię. Mając dziesięć lat, słyszałem dużo więcej i widziałem dużo cudowniejsze rzeczy, aniżeli większość ludzi jest sobie w stanie wyobrazić. Należy również dodać, że pod wieloma względami byłem wyjątkowo dojrzały.

Kiedy przedzierając się pomiędzy dwiema okazałymi kępami jeżyn, natknąłem się na wejście do grobowca, nie miałem pojęcia, co właściwie

odkryłem. Ciemne bloki granitu, drzwi tak osobliwie uchylone i nagrobne reliefy nad łukowatym wejściem nie wzbudziły we mnie odczuć w rodzaju żalu, współczucia czy zgrozy. Sporo wiedziałem i rozmyślałem na temat grobów i grobowców, niemniej chyba z uwagi na mój niezwykle temperament trzymałem się dotąd z dala od cmentarzy i kościołów. Osobliwy, kamienny dom na zboczu kotliny był dla mnie jedynie źródłem zainteresowania i przeróżnych spekulacji. Jego zimne i wilgotne wnętrze zaś, do którego na próżno usiłowałem zajrzeć przez pozostawioną kuszaco, lecz zbyt wąską szparę, nie kojarzyło mi się ani trochę ze śmiercią czy rozkładem. Wraz z zaciekawieniem zrodziło się we mnie szaleńcze i zgoła nieroztropne pragnienie, które doprowadziło do mego uwięzienia w tym piekielnym zakładzie. Idąc za głosem, który musiał pochodzić wprost z samej upiornej duszy kniei, postanowiłem wejść w zapraszającą ciemność, pomimo grubych łańcuchów, które zagradzały mi drogę. W gasnącym świetle dnia, na przemian grzechotałem zardzewiałymi okowami, usiłując otworzyć na oścież kamienne odrzwia, i próbowałem precyzyjnie przesuwać me szczupłe ciało przez już istniejącą szczelinę – niemniej bez powodzenia. Zaciekawienie wzrosło tymczasem do rozmiarów obsesji. Kiedy o zmierzchu powróciłem do domu, poprzysiągłem na setkę bóstw zagajnika, że za wszelką cenę dostanę się pewnego dnia do owego czarnego, chłodnego wnętrza, które najwyraźniej mnie przyzywało. Siwobrody lekarz, który każdego dnia przychodzi do mego pokoju, powiedział raz gościowi: "Decyzja owa była zaczątkiem żalosnej, ponurej monomanii", ja wszakże pozostawiam wydanie ostatecznego osądu moim czytelnikom, kiedy już dowiedzą się wszystkiego.

Kolejne miesiące po moim odkryciu poświęciłem na próżne usiłowania sforsowania skomplikowanej kłódki, broniącej dostępu w głąb lekko otwartego wejścia do grobowca, i ostrożne śledztwo, mające na celu poznanie natury i historii owej budowli. Jako mały chłopiec o czujnym słuchu, w krótkim czasie sporo się dowiedziałem, aczkolwiek wrodzone zamiłowanie do sekretności i tajemniczości sprawiło, że nie podzieliłem się z nikim

informacjami o moim odkryciu ani przyczynach, dla których gromadziłem tę konkretną wiedzę. Być może warto nadmienić, że nie byłem ani trochę zdumiony czy przerażony, kiedy poznałem prawdziwą naturę grobowca. Moje raczej oryginalne przekonania dotyczące życia i śmierci sprawiły, że kojarzyłem zimną glinę z oddychającym ciałem w dość mglisty i niejasny sposób. Zdałem sobie sprawę, że wielki i złowrogi ród zamieszkujący ongiś w spalonej rezydencji musiał być w jakiś sposób obecny w kamiennej budowli, do której pragnąłem się dostać.

Plotki na temat osobliwych rytuałów i bezbożnych orgii, jakie przed laty odbywały się w starej posesji, wzbudziły we mnie całkiem nowe, nie znane dotąd zaciekawienie grobowcem, przed którego drzwiami przesiadywałem, co dnia całymi godzinami. Raz wrzuciłem do środka zapaloną świecę, ale nie zobaczyłem nic, z wyjątkiem prowadzących w dół, kamiennych schodów. Odór tego miejsca, pomimo że odrażający, oczarowywał mnie.

Miałem wrażenie, że już go kiedyś czułem, w jakiejś odległej, kompletnie zapomnianej przeszłości, kiedy nie nosiłem jeszcze mej cielesnej powłoki. Wiele lat po odkryciu przeze mnie grobowca, wśród licznych ksiązek na poddaszu mego domu, natknąłem się na nadżarty przez robactwo egzemplarz tłumaczenia Żywotów Plutarcha. Przeczytałem o życiu Tezeusza i wielkie wrażenie wywarł na mnie fragment o gigantycznym kamieniu, pod którym młodziutki bohater miał odnaleźć swoje symbole przeznaczenia, kiedy tylko będzie dostatecznie silny, by podźwignąć ogromny ciężar.

Legenda ukoziła me zniecierpliwienie i pragnienie wejścia do grobowca. zrozumiałem bowiem, że nie nadeszła jeszcze właściwa pora. Później rzekłem sobie, że gdy dojrzeję i nabiorę sił, wybije godzina, kiedy będę w stanie uporać się z łatwością z odrzwiami zablokowanymi łańcuchem. Wtedy także łatwiej mi będzie dostosować się do tego, co wydawało się wolą losu.

Jednocześnie me czuwania przy zawilgłym portalu stały się mniej natarczywe i wiele czasu poświęcałem na inne, choć równie niezwykle poszukiwania. Czasami budziłem się w środku nocy. by wybrać się na

przechadzkę na tereny przykościelne i cmentarne, od których rodzice usiłowali trzymać mnie z dala. Nie mogę powiedzieć, co tam robiłem, nie jestem bowiem pewny realności niektórych rzeczy; wiem jednak, że następnego dnia po każdej takiej nocnej wędrówce umysł mój przepełniała zdumiewająca wręcz wiedza związana z rzeczami zapomnianymi od wielu pokoleń. Po jednej z takich nocy zaszokowałem swe otoczenie nietypowym, zarozumiałym stwierdzeniem na temat pogrzebu bogatego i szacownego dziedzica Brewstera, twórcy lokalnej historii, który zmarł w 1711 roku, a którego łupkowa płyta nagrobna z wizerunkiem czaszki i skrzyżowanych piszczeli z wolna obracała się w pył.

W przypiływie dziecięcej imaginacji gotów byłem przysiąc, że nie tylko przedsiębiorca pogrzebowy, Goodman Simpson, skradł przed pochówkiem buty o srebrnych sprzączkach, jedwabne pończochy i satynową bieliznę zmarłego, ale że sam dziedzic – niezupełnie, jak się wydawało, bez życia – w dzień po pogrzebie dwakroć obrócił się w swojej trumnie.

Nigdy wszakże nie opuściły mnie myśli o wdarciu się do wnętrza grobowca. Pragnienie to narosło we mnie jeszcze bardziej, gdy niespodziewanie odkryłem, że po kądzieli jestem poniekąd spokrewniony z wymarłym rodem Hyde' ów. Ostatni z mego rodu, po mieczu, byłem zarazem ostatnim członkiem tej dużo starszej i niezwyklej linii rodowej. Zacząłem czuć, że grobowiec był mój, i z niepokojem oczekiwać dnia, kiedy uda mi się sforsować kamienne odrzwia i zejść po omszałych kamiennych stopniach w mrok. Obecnie wyrobiłem w sobie nawyk baczego nasłuchiwania przy z lekka uchylonych drzwiach grobowca, prowadząc owe przedziwne czuwania pośród nocnej ciszy.

Zanim osiągnąłem dorosłość, wydeptałem w gąszczu wokół starego, wpuszczonego w ścianę kotliny grobowca niewielką polankę, pozwalając, by bujna roślinność utworzyła wokół i ponad nią jakby ściany i dach, niczym w leśnej altance.

Ta altanka była moją świątynią, zamknięte drzwi moim relikwiarzem i tu

właśnie kładłem się na mchu, rozciągnięty wygodnie, by przemyśliwać rozmaite osobliwe sprawy i śnić jeszcze bardziej osobliwe sny.

Noc pierwszego objawienia była duszna i parna. Zmęczony, musiałem zasnąć, gdyż obudziłem się, jak mi się zdało, na dźwięk odległych głosów. Waham się mówić o ich tonach i akcentach, nie wspomnę tu również o ich wyrazistości, niemniej mogę rzec, iż wyczuwało się wyraźną różnicę w ich słownictwie, wymowie i sposobie artykulacji. Każdy cień nowoangielskiego dialektu, poczawszy od nieokreślonych sylab purytańskich kolonistów po precyzyjną retorykę sprzed półwiecza, zdawał się mieć swój odpowiednik wśród owych cienistych, mrocznych oratorów, aczkolwiek z faktu tego zdałem sobie sprawę dopiero poniewczasie. W tym momencie bowiem uwagę mą odwrócił zupełnie inny fenomen, tak ulotny, że nie mogę przysiąc, iż wydarzył się naprawdę.

Ledwie zdałem sobie sprawę, że nie śpię, kiedy wewnątrz posępnego grobowca wygasło drobniutkie światełko. Nie sędzę, abym był zaskoczony ani tym bardziej ogarnięty paniką, wiem jednak, że tej nocy uległem olbrzymiej, całkowitej przemianie. Po powrocie do domu skierowałem się na poddasze, gdzie wewnątrz gnijącego kufra znalazłem klucz, za pomocą którego z łatwością sforsowałem barierę, którą do tej pory tak zaciekle i próżno szturmowałem. W delikatnym świetle późnego popołudnia po raz pierwszy wkroczyłem do grobowca na zboczu opuszczonej kotliny. Byłem oczarowany, a moje serce szalało ze szczęścia, którego nie sposób opisać słowami. Gdy zamknąłem za sobą drzwi i zszedłem po ociekających wodą, zawilgłych schodach, przyświecając sobie jedyną świecą, zdawało się, że znam doskonale drogę. I choć świeca o mało nie zgasła, sycąc się zatechłym powietrzem, w tym cuchnącym śmiercią i zgnilizną pomieszczeniu czułem się jak w domu. Rozglądając się wokoło, ujrzałem liczne marmurowe płyty z trumnami lub tym, co z nich pozostało. Niektóre z nich były zamknięte i nienaruszone, ale inne nieomal całkiem sczezły. Pozostały po nich jedynie srebrne klamki i płytki otoczone kopczykami białawego kurzu.

Na jednej z płytek odczytałem imię sir Geoffreya Hyde'a, który przybył z Sussex w 1640 roku i zmarł tutaj w kilka lat później. W znamienitej niszy stała jedna doskonale zachowana i pusta trumna, ozdobiona imieniem, na widok którego uśmiechnąłem się mimowolnie i zadygotałem.

Dziwny impuls nakazał mi wspiąć się na kamienną płytę, zgasić świecę i ułożyć się w pustej trumnie. W szarym świetle świtu wyczołgałem się z grobowca i zamknąłem za sobą drzwi na łańcuch. Nie byłem już młodzieńcem, mimo zaledwie dwudziestu jeden zim, które zmroziły mą cielesną powłokę. Wstający z kurami wieśniacy, którzy mnie widzieli, patrzyli teraz na mnie dziwnym wzrokiem i zastanawiali się, cóż mogło przydarzyć się temu, którego dotąd uważali za spokojnego odludka, a który najwyraźniej wracał do domu po całonocnych hulankach i swawolach. Rodzicom pokazałem się dopiero po długim, dającym odświeżenie śnie.

Od tej pory odwiedzałem grobowiec każdej nocy; widziałem, słyszałem i czyniłem rzeczy, o których nie chcę tu nawet wspominać. Najpierw zmienił się mój sposób wysławiania, zawsze podatny na wpływy otoczenia. Wkrótce zaczęta również zwracać uwagę nabyta nie wiadomo kiedy archaizacja dykcji. Później w moim zachowaniu pojawiły się pierwsze oznaki zuchwałości braku rozwagi, aż koniec końców pomimo samotniczego życia stałem się prawdziwym światowcem. Język, dotąd sztywny i częstokroć milczący, nabrał łatwości wysławiania i gracji Chesterfiella oraz bezbożnego cynizmu Rochester'a. Zmieniłem się w wyjątkowego erudyte, a tronicze mych ksiąg pokryły tworzone niejako na marginesie epigramy przywodzące na myśl Gaya, Priora, a także najbardziej wesołe augustiańskie żarty oraz rymy. Któregoś ranka przy śniadaniu nieomal doprowadziłem do katastrofy, deklamując z wyraźnymi, płynnymi, osiemnastowiecznymi akcentami nieco swawolny utwór biesiadny, którego treść nigdy nie została zapisana, a który brzmiał mniej więcej tak:

*Pójdźcie tu, przyjaciele, wytoczcie beczkę piwa*

*Za dzień dzisiejszy pijmy, niech każdy poużywa  
Niech na półmiskach waszych mięsiwa wzrośnie stos  
A jadło i napitek rozchmurzą smętny los Po brzegi kufle napelniemy Bo  
ważne to jest, że żyjemy*

*Gdy przyjdzie śmierć, ni króla już, ni dziewczki zdrowia nie wzniesiemy!  
Mówią, te Anakreon stary nos jak pomidor miał czerwony  
Lecz cóż to znaczy, jeśli humor masz stale dobry;  
wręcz szalony Boże, duszę mą weź, wolę czerwonym być  
Niżli jak lilia białym i w ziemi smętnie gnić!  
Betty, pójdź do mnie tu  
Całuj, aż zabraknie tchu  
Drugiej takiej nie znajdziesz nawet w Piekło, ech, tfu!  
Młody Harry się chwieje, jak trzaśnięty w łeb wół  
Wkrótce zgubi peruka i się zwali pod stół  
Dalej lejcie, bo w kuflach chyba dno widać już  
Lepiej leżeć pod stołem, niżli w trumnie, no cóż  
Bawmy się tedy i radujmy  
Spragnione gardła wnet napójmymy  
Życia używać, nim w ziemi zlec przyjdzie, się nie bójmy Do czarta tam, już  
plączą mi się nogi  
Język mi kołkiem stawa, kark sztywny mam i błogi  
Dozwól no gospodarzu, niech  
Betty się przysiadzie  
Duszy bratniej mi brak, a żony wszak ze mną tu dziś nie będzie Racz mi  
rękę swa dać  
Chciałbym spróbować wstać  
Póki tchu w piersi stanie, życie garścią chcę brać!*

W tym czasie również ogarnął mnie trwający do dziś lęk przed burzami i ogniem. Wcześniej były mi one obojętne, teraz wszelako napełniają mnie

niewypowiedzianą zgrozą. Kiedy tylko niebo zasnuwały burzowe chmury, chowałem się w możliwie najdalszym, najniżej położonym zakątku domu. Za dnia mą ulubioną enklawą były ruiny spalonej posesji, i fantazjując, częstokroć wyobrażałem sobie, jak musiała wyglądać w okresie swojej świetności. Pewnego razu wystraszyłem jednego z wieśniaków, prowadząc go potajemnie do niewielkiego piwnicznego pomieszczenia, o którego istnieniu wiedziałem, choć od wielu pokoleń było ono zapomniane i nie odwiedzane.

Wreszcie stało się to, czego się od dawna obawiałem. Moi rodzice, zaniepokojeni zmienionym zachowaniem i wyglądem ich jedyne go syna, postanowili śledzić me poczynania, co doprowadziło do katastrofy. Nie opowiedziałem nikomu o swoich wizytach w grobowcu, strzegąc mego sekretne go celu od dzieciństwa z iście religijną żarliwością. Teraz jednak zmuszony byłem zachować wyjątkową ostrożność przy wędrówkach pośród labiryntu zalesionej kotliny, aby nie doprowadzić do swego sanktuarium potencjalnego prześladowcy. Klucz do grobowca nosiłem zawieszony na rzemyku na szyi, o jego istnieniu zaś nie wiedział nikt oprócz mnie. Nigdy nie wyniosłem z grobowca żadnej rzeczy, na jaką natknąłem się w jego wnętrzu.

Pewnego ranka, gdy wyszedłem z wilgotnego grobowca i drżącą dłonią założyłem łańcuch na odrzwia, ujrzałem wśród pobliskich krzewów przerażone oblicze śledzącego mnie mężczyzny. Niewątpliwie koniec był bliski; moja altana została odkryta, a cel nocnych wypraw zdemaskowany. Mężczyzna mnie nie zaczepił, toteż pospieszyłem do domu, by podsłuchać, o czym doniesie memu stroskanemu ojcu. Czy świat dowie się o mym pobycie za drzwiami starego grobowca? Wyobraźcie sobie moje rozkoszne zdumienie, kiedy usłyszałem, jak szpieg teatralnym szeptem mówił moim rodzicom, że spędziłem noc w altance przed grobowcem; moje zasnutę snem oczy padły na szczelinę w uchylonych, zablokowanych łańcuchem odrzwiach! Jakim cudem obserwator został tak zwiedziony? Byłem teraz



przekonany, że chroniła mnie jakaś nadludzka moc. Rozzuchwalony takim obrotem spraw, zdecydowałem się nie ukrywać swych dalszych wizyt w grobowcu i niezwłocznie podjąłem je na nowo. Przez cały tydzień raczyłem się posępnymi przyjemnościami, o których nie zamierzam tu wspominać, kiedy to się wydarzyło i zostałem wtrącony do tego przekłętego przybytku smutku i monotonii. Nie powinienem był wyruszać tej nocy, chmury zdawały się zwiastować burzę, a z cuchnących moczarów na dnie kotliny podniosła się piekielna fosforescencja. Zew umarłych również był nieco inny. Miast grobowca w kotlinie, była to naruszona ogniem piwnica naszczytce zbocza, gdzie rezydujący demon przywoływał mnie, kiwając niewidocznymi palcami. Kiedy wyłoniłem się z zagajnika, na równinie pod ruinami ujrzałem w nieco rozmytym przez mgłę blasku księżyca coś, czego zawsze w głębi serca oczekiwałem. Rezydencja, nie istniejąca od stu lat, ukazała się mym oczom w całej swej okazałości. Każde z okien roztaczało blask płonących wewnątrz komnat dziesiątków świec.

W górę długiego podjazdu sunęły powozy bostońskiej szlachty, podczas gdy pieszo nadchodzili ku niej upudrowani notable z pobliskich posiadłości. Wmieszałem się w ten tłum, choć wiedziałem, że należę bardziej do gospodarzy aniżeli do gości. Wewnątrz budynku królowały muzyka i śmiech, wino lało się strumieniami.

Rozpoznałem kilka twarzy, choć ostatnio, gdy je widziałem, były pomarszczone, nadgnite i nadżarte przez nieubłagany rozkład. Pośród dzikiego, rozszalałego tłumu ja byłem najbardziej niespokojny i najbardziej osamotniony. Radosne bluźnierstwa potoczyście płynęły z mych ust, a w ciętych słowach nie oszczędzałem żadnych praw, czy to naturalnych, ludzkich, czy też boskich.

Wtem potężny grzmot zagłuszył odgłosy bezecnej biesiady. rozłupując dach i uciszając bluźnierczą hałastrę. Czerwone jęzory ognia i palący żar otoczyły całe domostwo. Biesiadnicy przerażeni niechybną zgubą, która zdawała się przeniknąć granice niezmiernie natury, z przeraźliwym

wrzaskiem umknęli w noc. Pozostałem sam, przykuty do mego siedziska dojmującym lękiem, jakiego nigdy dotąd nie odczuwałem. I wtedy drugi koszmar przepełnił moją duszę – nowa groza, równie silna jak poprzednia. Spalony na popiół, moje ciało rozwiane na cztery wiatry, mogę nigdy nie spocząć w grobowcu Hyde'ów! Czyżby nie było tam dla mnie przygotowanej trumny? Czyż nie miałem prawa spocząć na wieczność wśród potomków sir Geoffreva Hyde'a? Tak! Odzyskam mą spuściznę śmierci, nawet gdyby moja dusza miała błąkać się przez stulecia, by odnaleźć drugą cielesną powłokę, która ostatecznie zajmie należne jej miejsce na pustej płycie w komorze grobowca. Jervas Hyde nigdy nie podzieli smętnego losu Palinurusa!

Kiedy widmo płonącego domu rozwiało się, ocknąłem się, wrzeszczący i zajadle walczący w ramionach dwóch mężczyzn, z których jeden był szpiegiem śledzącym mnie podówczas, przy grobowcu. Deszcz lał jak z cebra, a na horyzoncie od południa niebo przecinały błyskawice, które jeszcze tak niedawno jaśniały nad naszymi głowami. Mój ojciec, z twarzą przepełnioną smutkiem, stał nieopodal, słuchając, jak wykrzykiwałem doń swe żądania, by złożono moje ciało wewnątrz grobowca, i raz po raz napominał dwóch osiłków, by obchodzili się ze mną możliwie najłagodniej. Poczerniały krąg na podłodze piwnicy, wewnątrz ruin, był świadectwem niedawnego uderzenia pioruna. Z tego miejsca grupka ciekawskich wieśniaków z latarniami wyłuskała niewielką skrzynkę, wyrób z wyglądu dość stary, który niebiański grom wydobył na światło dzienne.

Porzuciwszy próżną i bezcelową obecnie szarpaninę, obserwowałem gapiów oglądających z niewypowiedzianym zdumieniem osobliwą skrzyneczkę. Pozwolono mi być świadkiem jej otwarcia. Skrzynka, której zamknięcia zostały zniszczone przez ten sam piorun, który wydobył ją z ukrycia, zawierała wiele dokumentów i cennych przedmiotów, ja jednak miałem wzrok utkwiony w jednej tylko rzeczy. Była to porcelanowa miniatura młodzieńca w upudrowanej peruczce, nosząca inicjały J.H. Oblicze było tak podobne, jakbym przeglądał się w lustrze.

Następnego dnia przyprowadzono mnie do tego pokoju, z kratami w oknach, niemniej informacji o niektórych sprawach udzielał mi na bieżąco pewien stary, prostoduszny sługa, którego miłowałem jeszcze od dzieciństwa i który podobnie jak ja uwielbia tereny przykościelne oraz cmentarze. To, co odważyłem się opowiedzieć na temat swych doznań w grobowcu, wzbudziło jedynie uśmiechy politowania. Ojciec, który często mnie odwiedza, twierdzi, że nigdy nie udało mi się pokonać strzeżonego łańcuchem wejścia, i przysięga, że zardzewiała kłódka, którą starannie obejrzał, nie była otwierana od dobrych pięćdziesięciu lat.

Dodaje przy tym, że wszyscy wieśniacy wiedzieli o mych wyprawach do grobowca i że gdy często widywano mnie śpiącego w zagajniku, przed wejściem do posępnego przybytku, moje na wpół przymknięte oczy utkwione były w szczelinie prowadzącej do jego wnętrza. Nie dysponuję dowodami na obalenie jego twierdzeń, jako że mój klucz do kłódki przepadł gdzieś podczas szamotaniny, która zaszła owej upiornej nocy. Niezwykłe informacje z przeszłości, które uzyskałem podczas mych nocnych spotkań z umarłymi, uznaje się za owoce mych czasochłonnych i żmudnych badań, długotrwałego ślęczenia wśród prastarych ksiąg rodzinnej biblioteki. Gdyby nie mój stary sługa, Hiram, do tej pory uwierzyłbym już we własne szaleństwo.

Hiram jednak, lojalny do samego końca, wciąż we mnie wierzy i przekonał mnie, bym wyjawiał publicznie przynajmniej część swojej opowieści. Tydzień temu rozbił kłódkę przytrzymującą łańcuch uchylonych drzwi do grobowca i z latarnią w dłoni zszedł w jego mroczną czeluść.

Na kamiennej płycie w jednej z nisz odkrył starą, lecz pustą trumnę z zaśnieżoną tabliczką i wyrytym na niej jednym tylko słowem: Jervas. Obiecano mi, że zostanę pochowany w tym grobowcu, w tej właśnie trumnie.

# Pamięć

W dolinie Nis świeci słabo przekłety, ubywający księżyc, jego światło przedziera się przez martwe liście wielkiego drzewa upas. W głębi doliny, gdzie światło nie sięga, miotają się archaiczne byty nie przeznaczone do oglądania. Roślinność na stokach wspina się wybijając; dzikie winogrona i pnącza wiją się wśród kamieni leżących w ruinach pałaców, oplatają połamane kolumny i dziwne monolity, podnoszą marmurowe płyty dziedziców ułożone przez zapomniane ręce. Z drzew, które wyrastają – gigantyczne – na potrzaskanych dziedzińcach spadają małe jabłka; z głębokich piwnic pełnych skarbów wyłazą jadowite węże i pokryte łuskami nienazwane istoty. Ogromne kamienie śpią pod przykryciem wilgotnych mchów, potężne są też ściany z których spadły. Budowniczo wieki wznosili je przez cały czas i kiedyś służyły dobrze, choć teraz mieszkają pod nimi tylko szare ropuchy. Na samym dnie doliny płynie rzeka Than, o mulistych wodach zarośniętych zielskiem. Wypływa z ukrytych źródeł, płynie do podziemnych grot, demon doliny nie wie więc, dlaczego jej wody są czerwone ani dokąd płynię.

Geniusz ślizgający się po promieniach księżycy rzekł do demona doliny: – Jestem stary i wiele już zapomniałem. Powiedz mi o czynach, wyglądzie i imieniu tych, którzy zbudowali to wszystko z kamienia. Demon odparł: – Jestem Pamięcią i znam wiedzę przeszłości. Istoty te były jak wody rzeki Than, nie można ich było zrozumieć. Ich czynów nie pamiętam, gdyż były tylko chwilą. Ich postać przypominam sobie mgliście, byli jak te małe jabłka na drzewie. Ich imię przypominam sobie wyraźnie, gdyż rymowało się z nazwą rzeki. Te istoty przeszłości nazywały się Ludźmi\*.

Geniusz odleciał na sierp księżycy, a demon patrzył z natężeniem na małe

jabłko na drzewie rosnącym na potrzaskanym dziedzińcu.

Życie jest okropne i tajemnicze. Nadzwyczaj rzadko mamy okazję ujrzeć cienie prawdy skrywane za zasłoną różnorodnych złudzeń i iluzji – a kiedy to już nastąpi, życie wydaje się nam po tysiackroć straszniejsze. Nauka, która i tak już srodze daje się wszystkim we znaki kolejnymi, coraz bardziej szokującymi rewelacjami, może się stać ostatecznym eksterminatorem poszczególnych ludzkich gatunków – naturalnie jeżeli rzeczywiście stanowimy odrębne gatunki. Umysły śmiertelników nie są w stanie wytrzymać brzemienia niewyobrażalnej zgrozy, jaka może się czaić w prawdzie, i która kiedyś może wychynąć na beztroski, nie spodziewający się niczego świat. Gdybyśmy wiedzieli czym jesteśmy, postąpilibyśmy tak samo jak Arthur Jermyn.

Arthur Jermyn zaś, pewnej nocy, oblał się od stóp do głów naftą i podpalił. Nikt nie złożył jego zwęglonych szczątków do urny ani nie wystawił mu pomnika. Znalaziono bowiem pewne dokumenty oraz obiekt zamknięty w skrzyni, które sprawiły, iż ludzie za wszelką cenę pragnęli o nim zapomnieć. Niektórzy nawet, ci co go znali, jakoby kiedykolwiek istniał.

Arthur Jermyn wyszedł na moczary i spalił się żywcem po tym jak ujrzał ów obiekt, który w wielkiej skrzyni przysłano mu z Afryki. Zapewne wielu nie chciałoby żyć, gdyby miało rysy twarzy podobne do oblicza młodego Jermyna, był on jednak poetą, uczonym i nie zwracał na ten fakt większej uwagi.

Naukę miał we krwi, bowiem jego pra pra pradziad, sir Wade Jermyn był jednym z pierwszych badaczy regionu Konga i autorem wielu cenionych prac na temat tamtejszych plemion, fauny, flory i reliktyw przeszłości. Niewątpliwie stary sir Wade był zapaleńcem, przy czym jego zapal graniczył

nieomal z obłędem; jego dziwaczne dywagacje na temat prehistorycznej białej cywilizacji kongijskiej wzbudziły wiele kontrowersji i kpin, kiedy opublikował je w książce zatytułowanej: "Obserwacje na temat niektórych części Afryki". W 1765 roku ów nieustraszony odkrywca został umieszczony w zakładzie dla obłąkanych w Huntingdon.

Szaleństwo tkwiło we wszystkich Jermynach, Ludzie zaś cieszyli się, bowiem nie było ich wielu. Ród wymierał – Arthur był ostatnim jego przedstawicielem. Gdyby było inaczej, nie wiadomo, co mógłby uczynić Arthur, kiedy otrzymał PRZESYŁKĘ. Jermynowie nigdy nie wyglądali najlepiej, czegoś im brakowało, ale Arthur bez wątpienia prezentował się najgorzej. Oglądając stare portrety rodu Jermynów widać wyraźnie, iż przed narodzeniem sir Wade'a jego przodkowie mieli dostojne, szlachetne i całkiem przystojne oblicza.

Najwyraźniej szaleństwo zaczęło się od sir Wade'a, którego przerażające, dzikie opowieści o Afryce były ongiś dla jego przyjaciół powodem do radości i zgrozy. Widać to było na jego zbiorze trofeów i okazów, innych od tych, którymi mógłby się poszczycić normalny miłośnik afrykańskiej kultury; przechowywanych w duchu orientalnym, w jakim – co należy dodać – Wade wychowywał również swoją żonę.

Była ona, jak twierdził, córką portugalskiego handlarza, którego spotkał w Afryce, i nie lubiła angielskiego stylu życia. Zarówno ona i ich syn, który przyszedł na świat w Afryce, wrócili z nim z drugiej i najdłuższej z jego podróży, po czym wyjechali wspólnie, ale bez syna, na trzecią i ostatnią. Nikt nigdy nie widział jej z bliska, nawet służący, zachowanie jej bowiem było nader gwałtowne i osobliwe.

Podczas swego krótkiego pobytu w Jermyn House zajmowała odległe skrzydło, gdzie przebywała jedynie w towarzystwie swego męża. Sir Wade przejawiał dziwną troskę względem swojej rodziny – kiedy bowiem powrócił do Afryki nie pozwalał opiekować się swym synem nikomu, prócz odrażającej murzynki z Gwinei. Po śmierci lady Jermyn, osobiście zajął się

wychowaniem chłopca.

Jednak to opowieści sir Wade'a, zwłaszcza te snute "po kielichu", były głównym powodem uznania go przez przyjaciół za niespełna rozumu.

W wieku racjonalności, jakim było osiemnaste stulecie, nie było rzeczą roztropną dla uczonego mówić o szalonych obrazach i dziwnych scenach zaobserwowanych w księżycowe noce w kongijskim buszu; o gigantycznych murach i kolumnach zapomnianego miasta, obróconych w gruzy i porośniętych winoroślą budowlach oraz o wilgotnych, milczących, kamiennych stopniach wiodących w bezkresną, mroczną czeluść grobowych skarbców i niezmiernych katakumb.

Przede wszystkim zaś, nierozsądnym było bredzić o żywych istotach, które nawiedzały ponoć owe miejsca, o stworzeniach na poły z dżungli, na poły zaś z plugawych, bezbożnych, pradawnych miast – bajecznych istotach, które nawet Plutarch opisywałby z wyraźnym sceptycyzmem; o stworach, które miały pojawić się, kiedy wielkie mały zaludniły wymierające miasta z ich murami, kolumnami, grobowcami i dziwnymi płaskorzeźbami.

Mimo to, po powrocie do domu sir Wade opowiadał o tym wszystkim ze wstrząsającym, mrozącym krew w żyłach zapalem. Snuł swoje historie przeważnie po wypiciu trzeciego "głębszego" w Knights Head; chełpił się opowieściami o tym, co odnalazł w dżungli i o tym, jak mieszkał wśród przerażających, jemu tylko znanych ruin.

Koniec końców jego historie o żyjących istotach sprawiły, iż trafił do zakładu dla obłąkanych w Huntingdon. Mię odczuwał jednak głębszego żalu z powodu zamknięcia, gdyż jego umysł pracował w nader osobliwy sposób. Odkąd jego syn przestał być dzieckiem, sir Wade coraz mniej lubił przebywać w domu, a w końcu mogło się wydawać, iż się obawiał własnego syna.

Jego główną siedzibą stała się Knights Head, a kiedy zamknięto go w zakładzie, przyjął ten fakt z wdzięcznością, jakby oferowano mu tu schronienie. W trzy lata później umarł.



Syn Wade'a Jermyna, Philip, był nader niezwykłą osobą. Pomimo silnego fizycznego podobieństwa do swego ojca różnił się od niego zachowaniem, tak że powszechnie starano się go unikać. Pomimo że nie odziedziczył po ojcu szaleństwa, jak obawiali się niektórzy, był to najkrócej mówiąc skończony kretyn, przejawiający skłonności do krótkotrwałych ataków niekontrolowanej wściekłości.

Z wyglądu niepozorny, był niewiarygodnie silny i zręczny. W dwanaście lat po odziedziczeniu tytułu ożenił się z córką swego gajowego – jak powiadano Cyganką – ale jeszcze nim przyszedł na świat jego syn. zaokrętował się jako marynarz na pokład statku, przypieczętowując tym czynem ogólne rozgoryczenie i odrazę wywołaną zarówno jego fatalnymi nawykami jak i mezaliansem. Po zakończeniu wojny amerykańskiej podjął pracę na okręcie marynarki handlowej pływającym na szlakach afrykańskich, zyskując sobie popularność dzięki niezwykłej sile i umiejętnościom wspinaczki, ale koniec końców, którejs nocy, nie wiedzieć czemu, zniknął. Statek kotwiczył wówczas u wybrzeży Konga.

Powszechnie przyjmowane dziwactwa rodu Jermynów powróciły wraz z osobą syna sir Philipa, którego losy podążyły jeszcze dziwniejszym i fatalnym torem. Wysoki i dość przystojny, z odrobiną tajemniczego wschodniego wdzięku, pomimo pewnych drobnych anomalii w proporcjach, Robert Jermyn był urodzonym naukowcem i badaczem. To on jako pierwszy poddał badaniom naukowym ogromny zbiór reliktyw, które jego szalony dziadek przywiózł z Afryki i swymi odkryciami rozszławił szeroko w dziedzinie etnologii nazwisko rodu. W 1815 roku sir Robert poślubił córkę siódmego wicehrabiego Brighthoime, Bóg zaś obdarzył ową parę trójką dzieci, z których najstarszego i najmłodszego nigdy nie widziano publicznie, że względu na ich okropne deformacje tak na ciele jak i umyśle. Zasmucony rodzinnymi nieszczęściami naukowiec szukał pociechy w pracy i urządził dwie długie ekspedycje w głąb afrykańskiego buszu. W roku 1849 jego syn Nevil, osobnik wyjątkowo odrażający, który zdawał się łączyć w sobie

gburowatość Philipa Jermyna i wyniosłość Brightholmeów, uciekł z podrzędną tancerką, gdy wszakże w rok później powrócił, jego czyn został wybaczone. Powrócił do Jermyn House jako wdowiec, z małym dzieckiem, Alfredem, który pewnego dnia spłodzi Arthura Jermyna.

Przyjaciele twierdzili, że to seria dramatów była przyczyną utraty zmysłów sir Roberta Jermyna, najprawdopodobniej jednak, głównym powodem nieszczęścia był, najzwyczajniej w świecie, afrykański folklor. Stary uczoney zbierał legendy o plemionach Onga, zamieszkujących w pobliżu ziem, które badali on, a wcześniej jego dziadek, w nadziei że odnajdzie jakiś dowód potwierdzający prawdziwość szalonych opowieści sir Wade'a o zaginionym mieście, zamieszkiwanym przez dziwne hybrydyczne kreatury, niezwykła logika w równie niezwykłych zapiskach jego przodka zdawała się sugerować, iż wyobraźnia szaleńca mogła być stymulowana przez ludowe mity. 19 października 1852 roku, odkrywca Samuel Seaton przybył do Jermyn House przywożąc ze sobą plik notatek sporządzonych wśród Ongasów, stwierdził bowiem, iż niektóre spośród legend dotyczących szarego miasta białych małp, władanego przez białego boga, mogą okazać się przydatne dla etnologa.

W swojej rozmowie niewątpliwie podał Jermynowi pewne szczegóły; nie wiadomo niestety jakie, gdyż właśnie wówczas rozpętała się cała seria okropnych tragedii. Kiedy sir Robert Jermyn opuścił bibliotekę pozostawił w niej zwłoki uduszonego badacza, i nim zdołano go powstrzymać uśmiercił całą trojkę swoich dzieci. Nigel Jermyn zginął broniąc skutecznie swego jedynego, dwuletniego syna, który najprawdopodobniej miał być kolejną ofiarą pałającego rządzą mordu szaleńca. Sam sir Robert zaś. po wielokrotnych próbach targnięcia się na życie, uparcie odmawiając wydania z siebie jakiegokolwiek artykułowanego dźwięku, umarł na atak apopleksji w drugim roku swego pobytu w zakładzie zamkniętym.

Sir Alfred Jermyn został baronetem, zanim skończył cztery lata, ale jego gusta nie korelowały z jego szlacheckim tytułem. W wieku lat 56 opuścił

swoją żonę i dziecko, by wyruszyć w trasę z wędrownym cyrkiem. Jego koniec był wyjątkowo odrażający. Wśród zwierząt w menażerii, z którą podróżował, znajdował się olbrzymi goryl, o nieco jaśniejszej sierści niż inne osobniki z jego gatunku. Owo nad wyraz spokojne i posłuszne zwierzę cieszyło się wielką popularnością wśród cyrkowców. Alfred Jermyn był zafascynowany potężną małpą i wielokrotnie, bardzo długo, człowiek i zwierzę przyglądali się sobie nawzajem, oddzieleni barierą krat.

W końcu Jermyn poprosił – i uzyskał pozwolenie na trenowanie zwierzęcia, zaskakując swoim sukcesem zarówno publiczność jak i cyrkowych wykonawców.

Któregoś ranka w Chicago, kiedy goryl i Alfred Jermyn robili próbę do przemyślenia zaplanowanego pojedynku bokserskiego, ten pierwszy zadał silniejszy niż zwykle cios raniąc ciało i godność trenera – amatora. O tym co stało się później, członkowie "Największego Spektaklu Pod Słońcem" nie lubią opowiadać.

Nie spodziewali się usłyszeć, jak sir Alfred Jermyn wydaje piskliwy, nieludzki wrzask ani ujrzeć jak chwytając swego przeciwnika oburącz, przewraca go na podłogę klatki i wgryza się zaciekle w jego owłosione gardło.

Zaskoczył goryla, ale zwierzę błyskawicznie doszło do siebie, i zanim prawdziwy trener zdążył wkroczyć do akcji, ciało nieszczęsnego baroneta przypominało krwawą miazgę.

## Biały statek 2

Arthur Jermyn był synem sir Alfreda Jermyna i nieznaney z pochodzenia piosenkarki rewiowej. Kiedy mąż i ojciec opuścił swoją rodzinę, matka zabrała dziecko do Jermyn House, gdzie nie było już nikogo kto mógłby sprzeciwić się jej obecności. Nie była pozbawiona cechy zwanej powszechnie "szlachecką godnością" i dopilnowała, aby jej syn otrzymał możliwie najlepsze wykształcenie jakie mogła mu zapewnić, choć nie dysponowała dużą ilością gotówki. Majątek rodziny szczupłał w błyskawicznym tempie i Jermyn House zaczął popadać w ruinę, ale młody Arthur kochał stary budynek ze wszystkim co znajdowało się wewnątrz. Nie przypominał innych Jermynów, którzy żyli przed nim, był bowiem poetą i marzycielem. Okoliczne rodziny, które pamiętały opowieści starego sir Wade'a Jermyna o jego nie widzianej przez nikogo portugalskiej żonie mówili, że w żyłach chłopca musiała ujawnić się domieszka jej krwi; większość jednak kpiła z jego wrażliwości na piękno, twierdząc, iż była to cecha odziedziczona po jego matce.

Poetycka delikatność Arthura Jermyna zwracała większą uwagę w porównaniu z jego plugawym wyglądem fizycznym. Większość Jermynów nie grzeszyła urodą, ale w przypadku Arthura brzydota była wręcz uderzająca. Trudno powiedzieć, co konkretnie przypominał, ale wyraz jego twarzy, fizjonomia i długość ramion budziła odrazę w każdym, kto miał okazję go spotkać.

Należy stwierdzić, iż braki w urodzie Arthur Jermyn nadrabiał umiejętnościami umysłu i charakteru. Utalentowany i wykształcony, dostąpił najwyższych zaszczytów w Oxfordzie, i wszystko wskazywało na to, iż zdoła przywrócić intelektualną sławę swemu rodowi. Pomimo iż obdarzony był

raczej poetyckim niż naukowym temperamentem, zamierzał kontynuować dzieło swych przodków i zająć się afrykańską etnologią, robiąc jednocześnie właściwy użytek ze wspaniałej, acz osobliwej kolekcji sir Wade'a.

fantasta ów snuł często długie rozważania o prehistorycznej cywilizacji, w którą tak gorąco wierzył jego szalony pradziadek, i snuł opowieści o milczącym mieście w dżungli, o którym wzmianki znajdowały się w licznych dziwnych i chaotycznych zapiskach. Największe wrażenie, wywołujące zarówno zgrozę jak i ciekawość, budziły w nim fragmenty dotyczące bezimiennej, bliżej nie określonej rasy hybryd zamieszkujących dżunglę; niejednokrotnie zastanawiał się nad potencjalnymi podstawami tego typu legend i szukał wskazówek w nieco świeższych danych zgromadzonych wśród Ongasów, przez rodzinę i Samuela Seatona.

W 1911 roku, po śmierci swojej matki, Arthur Jermyn postanowił uczynić ostateczny krok w swoich poszukiwaniach. Sprzedawszy część majątku, w celu uzyskania koniecznej gotówki, zorganizował wyprawę badawczą i wyruszył do Konga. Załatwiwszy z władzami belgijskimi przewodników dla swojej ekspedycji, spędził rok w Krainie Onga i Kaliri, natrafiając na dowody, które przerosły jego najśmielsze oczekiwania. Kaliri mieli starego wodza, niejakiego Mwanu, który nie tylko odznaczał się doskonałą pamięcią, ale był również inteligentny i interesował się starymi legendami. Starzec ów potwierdził wszystkie opowieści zasłyszane przez Arthura, dodając przy tym własną wersję historii o kamiennym mieście i białych małpach, tak jak mu ją przekazano.

Według Mwanu, szarego miasta i hybrydycznych stworzeń już nie było, gdyż przed wieloma laty padli oni ofiarą wojowniczych ITbangu. Plemię to, zniszczywszy większość budowli i wyrznięwszy w pień wszystko co żywe, zabrało wypchaną boginię będącą obiektem ich poszukiwań; białą małpę, którą czciły dziwne istoty, i która wedle tamtejszych wierzeń rządziła ongiś wśród tych stworzeń, jako ich księżniczka. Mwanu nie wiedział czym mogły być te małpiopodobne stworzenia, sądził jednak, że to one zbudowały szare

kamienne miasto.

Jermyn nie wdawał się w dywagacje na ten temat, ale skupił swoją uwagę na wyjątkowo obrazowej legendzie o wypchanej bogini. Mówiono, iż księżniczka małp została połowicą wielkiego białego boga, który przybył z zachodu. Przez długi czas wspólnie rządili miastem, ale kiedy urodził im się syn, wyjechali we troje. Później bóg i księżniczka powrócili; po jej śmierci zaś, boski małżonek zmumifikował zwłoki i umieścił w świątyni ogromnym kamiennym budynku, gdzie składano jej hołd. następnie samotnie wyjechał.

Dalszy ciąg legendy przedstawia się trojako. Zgodnie z jedną wersją nic więcej się nie wydarzyło za wyjątkiem tego, iż wypchana bogini stała się symbolem wyższości plemienia, w którego posiadaniu się znajdowała. Właśnie z tego powodu została uprowadzona przez rfbangi. Druga opowieść mówi o powrocie boga i jego śmierci u stóp zmarłej żony, spoczywającej w świątyni.

Trzecia wersja mówi o powrocie syna – tym razem już po osiągnięciu przez niego pełnej dojrzałości, nieważne ludzkiej, małpiej czy boskiej – niemniej jednak nieświadomego swej prawdziwej tożsamości.

Z całą pewnością większość wydarzeń, o których opowiadały legendy, była jedynie wymysłem odznaczających się wybujałą wyobraźnią tubylców.

Arthur Jermyn nie wątpił już w istnienie prastarej cywilizacji w dżungli, o której pisał stary sir Wade, i bynajmniej nie zdziwił się kiedy w 1912 roku natknął się na jej pozostałości.

Co do wielkości, w legendach było sporo przesady, niemniej sądząc po kamiennym rumowisku nie mogła to być zwyczajna murzyńska osada. Nie odnaleziono niestety żadnych rzeźb, a niewielka liczba uczestników ekspedycji nie pozwalała na przeprowadzenie działań w celu oczyszczenia jedyne widocznego przejścia zdającego się prowadzić w głąb labiryntu korytarzy grobowców, o których wspominał sir Wade. O białych małpach i wypchanej bogini rozmawiano ze wszystkimi wodzami plemion w tym regionie, jednak to Europejczyk przyczynił się do wzbogacenia zakresu

informacji otrzymanych od starego Mwanu.

M. Verhaeren, Belg, agent z placówki handlowej w Kongu był przekonany, iż nie tylko jest w stanie odnaleźć, ale i odzyskać wypchaną boginię, o której miał okazję kiedyś usłyszeć.

Jako że potężni niegdyś ITbangi byli obecnie pokornymi poddanymi rządu króla Alberta, przy odrobinie perswazji mogli zostać zmuszeni do rozstania się z porwanym przez nich truchłem przerażającej bogini. Jermyn odpłynął zatem do Anglii, radując się w duszy nadzieją, iż w przeciągu kilku miesięcy otrzyma bezcenny etnologiczny relikwiot potwierdzający najdziwsze, najbardziej szalone historie jego pra pra pradziadka, a ściślej mówiąc najdziwsze i najbardziej szalone o jakich słyżał. Było nader możliwe, iż mieszkańcy okolic majątku Jermynów znali jeszcze bardziej nieprawdopodobne, mrozące krew w żyłach historie, przekazane im przez przodków, którzy mieli okazję siedzieć z sir Wade'em przy jednym stoliku w knajpce o nazwie Knights Head.

Arthur Jermyn czekał cierpliwie na spodziewaną przesyłkę od M. Yerhaerena, studiując tymczasem z narastającą pilnością manuskrypty pozostawione przez swego szalonego przodka. Zaczął odczuwać bliską więź z sir Wade'em i poszukiwać śladów osobistego życia tego ostatniego na terenie Anglii oraz informacji o jego badaniach w Afryce. Niejednokrotnie słyżał opowieści o jego tajemniczej, nie widywanej przez nikogo żonie, nie zachował się jednak żaden ślad jej pobytu w Jermyn House. Jermyn zastanawiał się jakie przyczyny zmusiły bądź skłoniły ją do takiego trybu życia i koniec końców uznał, iż podstawowym powodem musiał być obłęd jej męża.

Jego pra pra prababka była – o ile sobie przypominał – córką portugalskiego handlarza z Afryki, niewątpliwie jej praktyczne dziedzictwo i pobeżna znajomość Czarnego Łądu spowodowała, iż poczęła szydzić z opowieści sir Wade'a o interiorze, czego człowiek taki jak on raczej nie mógł jej wybaczyć. Umarła w Afryce – być może zmuszona do udziału w

wyprawie przez męża, zdecydowanego za wszelką cenę udowodnić jej prawdziwość swych słów. Pograżony w rozmyślaniach Jermyn mógł jedynie snuć akademickie domysły, wszak para jego dziwnych przodków nie żyła już od z górą półtora wieku.

W czerwcu 1915 roku przyszedł list od M. Yerhaereza, w którym Belg pisał o odnalezieniu wypchanej bogini. Był to, wedle jego zapewnień, wielce niezwykły obiekt, tak niesamowity, iż laik nie byłby w stanie określić jego prawdziwej wartości. Jedynie naukowiec mógłby stwierdzić, czy było to truchło ludzkie, czy małpie, aczkolwiek wszelkie badania były utrudnione ze względu na jego niezbyt dobrze zachowany stan.

Czas i klimat Konga nie są sprzyjające dla mumii, zwłaszcza kiedy preparacja jest – tak jak wydaje się w tym przypadku – dziełem amatora. Ma szyi stworzenia znaleziono złoty łańcuszek z pustym medalionikiem noszącym znaki herbowe; bez wątplenia pamiątka po jakimś nieszczęsnym podróżniku, który wpadł w ręce rfbangi, i którą zawieszono na szyi bogini w charakterze amuletu. Jeżeli chodzi o komentarz dotyczący oblicza mumii M.

Verhaeren sugerował dość dziwaczne porównanie, lub raczej wyrażał humorystyczne zdumienie, iż w uderzający sposób przypominało ono jego korespondenta, ale cała sprawa zbyt go interesowała w sensie naukowym, aby miał marnować słowa na mało ważne kwestie. Wypchana bogini, napisał, zostanie przysłana w mniej więcej miesiąc po otrzymaniu przez pana tego listu.

Przesyłka została dostarczona do Jermyn House po południu 5 sierpnia 1915 roku i wniesiono ją niezwłocznie do ogromnej komnaty, gdzie znajdowała się cała kolekcja afrykańskich okazów zgromadzona przez sir Roberta i Arthura. Tego co wydarzyło się później można się jedynie domyślać na podstawie zebranych opowieści służących oraz odnalezionych w pomieszczeniu przedmiotów i dokumentów. Spośród różnych wersji najbardziej prawdopodobna i spójna wydaje się historia przedstawiona przez starego Soamesa, głównego lokaja. Według niego, a człowiek ów zasługuje



na miano wiarygodnego, Arthur Jermyn przed otwarciem przesyłki nakazał wszystkim, aby opuścili pokój, po czym, sądząc po odgłosach pracy młotka i dłuta, niezwłocznie zabrał się do otwierania skrzyń. Przez pewien czas nic nie było słychać; Soames nie potrafił określić jak długo to trwało, z całą pewnością jednak w nie więcej niż kwadrans, później rozległ się przeraźliwy krzyk – wydobywający się bez wątpienia z ust Arthura Jermyna. Zaraz po tym Jermyn wyłonił się z pokoju, i co sił w nogach –jakby ścigany przez jakiegoś niewidzialnego wroga – pobiegł w stronę frontu budynku. Wyrazu jego twarzy, owej upiornej maski zastygłej w przeraźliwym grymasie, po prostu nie da się opisać. Znalazłszy się przy frontowych drzwiach, zdawało się, że o czymś sobie przypomniał i zawróciwszy zbiegł pośpiesznie po schodach do piwnicy.

Służący byli kompletnie zaskoczeni, i zbici z tropu wpatrywali się w podest schodów, ale ich pan się nie pojawił. W pewnej chwili z dołu doszła ich ostra woń nafty.

Po zmierzchu usłyszano metaliczny szczęk przy drzwiach prowadzących z piwnicy na dziedziniec; później zaś chłopiec stajenny ujrzał Arthura Jermyna, skapanego od stóp do głów w nafcie i ociekającego tym płynem, jak wymknął się cichaczem z piwnicy i znalazł na, otaczających budynek, moczarach, niedługo potem, z zapierającą dech w piersiach zgrozą, wszyscy zobaczyli ostatni akt. Ma moczarach rozbłysła iskra, a potem słup "ludzkiego ognia" wystrzelił ku niebiosom. Ród Jermynów przestał istnieć.

Powodem dla którego nie zebrano zwęglonych szczątków Arthura Jermyna i nie wyprawiono mu pogrzebu było to, co znaleziono w jego pokoju, a ściślej mówiąc, OBIEKT w skrzyni. Wypchana bogini przedstawiała sobą odrażający widok – była chuda jak szczapa i nadżarta zgnilizną, niemniej jednak nie ulegało wątpliwości, iż zmumifikowane zwłoki należały do jakiegoś nieznanego gatunku białych małp, mniej owłosionych niż inne i – co mogło wydawać się szokujące – zdecydowanie bliższych człowiekowi. Dokładniejszy opis nie należałby do przyjemności,

można jednak wspomnieć o dwóch uderzających szczegółach – potwierdzają one bowiem w zadziwiający sposób niektóre zapiski sporządzone podczas afrykańskich ekspedycji sir Wade'a Jermyna oraz kongijską legendę o białym bogu i księżniczce małp. Chodzi tu mianowicie o znaki herbowe widniejące na medalionie, na szyi stwora – były to znaki rodu Jermynów oraz o żartobliwą aluzję M. Yerhaerena na temat pewnego podobieństwa, jakie zdawało się łączyć owo pomarszczone oblicze przepęłnione żywą, niemal namacalną, nienaturalną zgrozą z ni mniej, ni więcej tylko wrażliwym Arthurem Jermynem, pra–pra–prawnukiem sir Wade'a Jermyna i jego nieznannej żony.

Członkowie Królewskiego Towarzystwa Antropologicznego niezwłocznie spalili truchło stwora, medalion wrzucili do studni, a niektórzy z nich w ogóle zaprzeczają jakoby Arthur Jermyn kiedykolwiek istniał.

Świątynia

## **Manuskrypt znaleziony u wybrzeży Jukatanu**

Dwudziestego sierpnia 1917 roku, ja Karl Heinrich, hrabia von Altberg–Ehrenstein, komandor porucznik Cesarskiej Niemieckiej Marynarki Wojennej i dowódca okrętu podwodnego U–29 wrzuciłem butelkę i tę kronikę do Atlantyku, w miejscu mi nie znanym, lecz prawdopodobnie było to na dwudziestym stopniu szerokości geograficznej północnej i trzydziestym piątym stopniu długości geograficznej zachodniej, gdzie statek mój spoczął uszkodzony na dnie oceanu. Uczyniłem to, ponieważ pragnę ujawnić opinii publicznej pewne niezwykle fakty. Prawdopodobnie nie przeżyję, nie będę więc w stanie uczynić tego osobiście, sytuacja bowiem stała się tyleż niebezpieczna, co niezwykła i składa się na nią nie tylko niemożliwa do naprawienia usterka U–29, ale również złamanie mej żelaznej, niemieckiej woli w sposób zaiste przerażający.

Po południu, osiemnastego czerwca, jak donosiliśmy telegraficznie na U–61, zmierzając w kierunku Kieł, storpedowaliśmy brytyjski frachtowiec „Victory” płynący z Nowego Jorku do Liverpoolu na czterdziestym piątym stopniu szesnastej minucie szerokości geograficznej północnej i dwudziestym ósmym stopniu trzydziestej czwartej minucie długości geograficznej zachodniej, żezwalając załodze na zejście do szalup, aby cała nagrana przez nas operacja wypadła jak najlepiej w archiwach admiralicji.

Statek zatonął dość spektakularnie, najpierw poszedł pod wodę dziób, rufa uniosła się niemal do pionu, podczas gdy kadłub stopniowo zaczął pogrążyć się w odmętach. Nasza kamera niczego nie przeoczyła i żałuję, że rolka tak

dobrego filmu nie dotrze nigdy do Berlina. Potem za pomocą działek pokładowych zatopiliśmy łodzie ratunkowe i zanurzyliśmy się.

Kiedy ponownie wyszliśmy na powierzchnię, przed zmierzchem, na pokładzie odkryto ciało marynarza. Jego dłonie w osobliwy sposób zaciskały się na relingu. Biedaczysko był śniadym, dość przystojnym młodzieńcem, prawdopodobnie Włochem lub Grekiem, i niewątpliwie należał do załogi „Victory”. Najwyraźniej szukał schronienia na okręcie, który unicestwił jego własny, ot, jeszcze jedna ofiara niesprawiedliwej wojny zaczepnej, podczas której angielskie świnię dybią na nasz Vaterland. Nasi ludzie przeszukali go w nadziei znalezienia pamiątek i w kieszeni bluzy natknęli się na bardzo dziwną statuetkę z kości słoniowej przedstawiającą głowę młodzieńca umajoną liśćmi laurowymi. Mój podkomendny, porucznik Klenze, uwierzył, że przedmiot ów był antykiem ogromnej wartości, toteż zabrał go znalazcy i zatrzymał dla siebie. Nie potrafiłem pojąć, w jaki sposób prosty marynarz mógł stać się posiadaczem czegoś takiego.

Kiedy trupa ciśnięto za burtę, zaszły dwa wypadki, które wzbudziły spore zakłopotanie wśród załogi. Młodzieniec miał oczy zamknięte, lecz gdy ciało jego wleczono w stronę relingu, otworzyły się, i wielu doznało osobliwie niepokojącego wrażenia, że niezłomnie i drwiąco spojrzały na pochyłających się nad zwłokami Schmidta i Zimmera.

Bosman Müller, starszawy mężczyzna, który gdyby nie był przesadną alzacką świnią, na pewno tak by się nie zachował, od tej chwili, dogłębnie poruszony i podekscytowany, obserwował wrzucone do wody ciało i zarzekał się, że w momencie gdy pogrążyło się w falach, przybrało pozycję pływacką i śmignęło pod falami na południe. Klenze i ja nie przyjęliśmy pochlebnie tak jawnego przykładu wieśniaczej ignorancji i ukaraliśmy ludzi, zwłaszcza Müllera, srogą reprimendą.

Następnego dnia wskutek niedyspozycji kilku członków załogi powstała dość krępująca i uciążliwa sytuacja. Ludzie wyraźnie cierpieli na napięcie nerwowe wywołane trudami długiego rejsu i miewali senne koszmary. Kilku

wydawało się dość oszołomionych i ogłupiałych, kiedy zaś przekonałem się, że nie symulują, zwolniłem ich z obowiązków.

Morze było raczej niespokojne, toteż zeszliśmy na głębokość, gdzie fale mniej dawały się we znaki. Znaleźliśmy się na względnie spokojnych wodach, mimo nieco zagadkowego południowego prądu, którego nie odnotowano na naszych mapach oceanograficznych.

Najbardziej drażniły nas wszystkich jęki chorych, jednak nie wpływały demoralizująco na resztę załogi, nie podjęliśmy więc bardziej drastycznych środków. Planowaliśmy pozostać tam, gdzie byliśmy, i przechwycić liniowiec „Dacja” wzmiankowany w informacji od naszych agentów z Nowego Jorku.

Wczesnym rankiem wynurzyliśmy się i stwierdziliśmy, że morze jest mniej wzburzone. Na horyzoncie na północy unosił się dym jakiejś morskiej bitwy, ale my, znalazłszy się w dostatecznie dużej odległości i mogąc się szybko zanurzyć, byliśmy bezpieczni. Najbardziej niepokoiła nas paplanina bosmana Müllera, która z nadejściem nocy stała się bardziej zajadła i dziwna. Mężczyzna ów powrócił do stadium dziecka bełkoczącego o mirażach martwych ciał przepływających za szybami bulajów; o ciałach, które przyglądały mu się z uwagą i które mimo obrzmienia rozpoznał jako zwłoki tych, których widział umierających podczas naszych zwycięskich wypadów. Dodał przy tym, że ów młodzieniec, którego odnaleźliśmy i cisnęliśmy za burtę, był ich przywódcą.

Było to ponure i obłąkańcze gadanie, toteż zakuliśmy Müllera w łańcuchy i srodze go wy chłostaliśmy. Załoga nie była zadowolona, że został ukarany, ale utrzymanie dyscypliny stało się sprawą pierwszorzędą. Odmówiliśmy również żądaniu delegacji, której przewodził mat Zimmer, aby dziwaczną figurkę z kości słoniowej wrzucić do morza.

Dwudziestego czerwca marynarze Bohm i Schmidt, którzy poprzedniego dnia chorowali, dostali ataku szału. Żałowałem, że nie mieliśmy na pokładzie lekarza, jako że życie Niemca jest szczególnie cenne, ale ponieważ obaj

mężczyźni snuli obłądne teorie dotyczące przeraźliwej klątwy, postanowiłem przedsięwziąć drastyczne kroki. Załoga przyjęła ów fakt raczej w minorowych nastrojach, Müller natomiast dziwnie się uspokoił. Wieczorem wypuściliśmy go i zaczął wykonywać swe obowiązki bez słowa skargi.

W następnym tygodniu wszyscy byliśmy mocno podenerwowani, wypatrując „Dacji”. Napięcie potęgowało zniknięcie Müllera i Zimmera, którzy bez wątpienia popełnili samobójstwo, udręczeni do niemożliwości trawiącymi ich lękami, chociaż nikt nie widział, by wyskakiwali za burtę. Cieszyłem się, że pozbyłem się Müllera, gdyż nawet jego milczenie wpływało niekorzystnie na załogę. Wydawało się, że wszyscy wolą teraz milczeć, jakby skrywali w sobie jakiś lęk. Wielu chorowało, lecz nikt nie był dla reszty ciężarem.

Porucznik Klenze pałał z wściekłości, drażniło go właściwie wszystko, nawet błahostka w rodzaju stada delfinów, które coraz liczniej gromadziło się wokół U-29, czy południowego prądu o narastającej sile, którego nie było na naszych mapach.

W końcu stało się jasne, że kompletnie przeoczyliśmy „Dację”. Takie porażki się zdarzają, a my miast się rozczarować, tylko się z tego ucieszyliśmy. W tej sytuacji musieliśmy wracać do Wilhelmshaven. W południe dwudziestego ósmego czerwca skręciliśmy na północny zachód i mimo dość zabawnych przepychanek ze stadem delfinów wreszcie wyruszyliśmy w drogę powrotną.

Wybuch w maszynowni o drugiej w nocy zupełnie nas zaskoczył. Nie zauważyliśmy żadnego defektu, nie nastąpiło najdrobniejsze zaniedbanie, a mimo to ni stąd, ni zowąd całym okrętem potężnie zatrzęsło.

Porucznik Klenze pospieszył do maszynowni, by stwierdzić, że zbiornik paliwa i większość maszyn zostały bezpowrotnie zniszczone. Mechanicy Raabe i Schneider zginęli na miejscu. Nasza sytuacja natychmiast zrobiła się poważna, bo chociaż chemiczne regeneratory powietrza pozostały nietknięte i choć mogliśmy korzystać z urządzeń do podnoszenia okrętu i wynurzać się

na powierzchnię oraz otwierać włazy, póki starczy powietrza i mocy w akumulatorach awaryjnych, nie mogliśmy sterować okrętem ani płynąć dalej. Szukanie ratunku na tratwach równałoby się oddaniu w ręce nieprzyjaciela, nieprzychylnie nastawionego (skądinąd bez przyczyny) wobec wielkiego narodu niemieckiego, a od ataku na „Victory” nasz telegraf nie działał i nie mogliśmy skontaktować się z innym U-Bootem.

Od chwili wypadku do drugiego lipca dryfowaliśmy nieustannie na południe, prawie bez żadnych planów, i nie napotkaliśmy po drodze innych jednostek. Wokół U-29 wciąż krążyły delfiny, co mogło wydać się dziwne, zważywszy na odległość, jaką pokonaliśmy.

Rankiem drugiego lipca dojrzeliliśmy okręt wojenny pod banderą Stanów Zjednoczonych i załoga stała się niespokojna, pragnąc oddać się w ich ręce. W końcu porucznik Klenze musiał zastrzelić marynarza Traubego, który szczególnie domagał się tego tak niegodnego dla Niemca rozwiązania. To na pewien czas uspokoiło załogę i nie zauważeni zeszliśmy pod wodę.

Następnego dnia z południa nadleciało olbrzymie stado morskich ptaków, a ocean wzburzył się złowrogo. Zamknąwszy luki, oczekiwaliśmy na dalszy rozwój wypadków, gdy uświadomiliśmy sobie, że albo zejdziemy na większą głębokość, albo pochłoną nas rosnące bez przerwy fale. Mieliśmy coraz mniej mocy i ciśnienia i chcieliśmy zminimalizować użycie maszyn.

W tym wypadku wszelako nie mieliśmy wyboru.

Nie zanurzyliśmy się na dużą głębokość, a kiedy kilka godzin później morze uspokoiło się, postanowiliśmy wrócić na powierzchnię. Tu pojawiły się nowe kłopoty, okręt bowiem nie reagował na nasze polecenia, mimo iż mechanicy robili, co mogli. Gdy załoga w tym podwodnym więzieniu zaczęła nie na żarty się trwożyć, niektórzy znów podjęli temat figurki porucznika Klenzego, ale widok pistoletu skutecznie zamknął im usta. Dawaliśmy tym nieszczęśnikom możliwie jak najwięcej zajęć, zmuszając do kolejnych prób naprawienia maszyn, które całkiem wysiadły.

Klenze i ja spaliśmy zwykle na zmianę – i to podczas mojej drzemki około

piątej nad ranem czwartego lipca wybuchł bunt załogi. Sześciu pozostałych marynarzy, podejrzewając, że byliśmy straceni, wpadło nagle w obłąkańczą furję, zarzucając nam, że nie chcieliśmy przystać na poddanie się jankeskiemu okrętowi wojennemu przed dwoma dniami. To czyniąc, klęli na czym świat stoi i demolowali, co popadło. Ryczeli niby zwierzęta, którymi byli, niszcząc urządzenia pokładowe i sprzęty. Przez cały czas bredzili o rzekomej klątwie figurki z kości słoniowej oraz o śniadolicym martwym młodzieńcu, który spojrział na nich, a następnie odpłynął. Porucznik Klenze wydawał się sparaliżowany i pozbawiony kompetencji, czego można się było spodziewać po miękkim, zniewieściałym Nadreńczyku. Zastrzeliłem szóstkę marynarzy, było to bowiem konieczne, i upewniłem się, że wszyscy umarli.

Wyrzuciliśmy ciała przez podwójne luki i zostaliśmy na pokładzie U-29 tylko we dwóch. Klenze wydawał się bardzo zdenerwowany i dużo pił. Postanowiliśmy, że przeżyjemy, jak długo się da, wykorzystując nasz spory zapas powietrza i tlenu, który nie ucierpiał wskutek obłąkańczych niszczycielskich ataków struchlałych z przerażenia marynarzy-kretynów. Nasze kompasy, głębokościomierze i inne delikatne instrumenty zostały strzaskane, toteż odtąd wszelkie informacje o naszym położeniu będą przybliżone, oparte na domysłach i przypuszczeniach, zegarkach i kalendarzu, jako że dryf nasz, jego prędkość i kierunek mogliśmy oceniać, wypatrując przez bulaje umiejscowione w kiosku. Na szczęście nasze akumulatory awaryjne miały jeszcze sporo mocy i mogliśmy skorzystać z nich do oświetlenia wnętrza okrętu oraz zasilania zewnętrznego reflektora. Promieniem tego ostatniego często omiataliśmy otchłań dokoła statku, ale widzieliśmy jedynie delfiny, płynące równoległym do naszego kursem. Te delfiny interesowały mnie z punktu widzenia nauki, jako że pospolity *Delphinus delphis* jest ssakiem z rodziny waleni i nie może żyć bez powietrza, ja natomiast obserwowałem jedno w owych stworzeń przez blisko dwie godziny i nie dostrzegłem, by choć raz wynurzyło się, aby zaczerpnąć powietrza.



W miarę upływu czasu Klenze i ja stwierdziliśmy, że wciąż płyniemy na południe, zanurzając się przy tym coraz to głębiej. Dostrzegaliśmy rozmaite okazy fauny i flory i czytaliśmy na ich temat w wolnych chwilach, korzystając z książek, które miałem na pokładzie. Nie mogłem wszelako nie zwrócić uwagi na ograniczoność wiedzy naukowej mego towarzysza. Nie miał pruskiego umysłu, lecz oddawał się bezwartościowym imaginacjom i dociekaniom. Nieuchronność naszej śmierci osobliwie nań wpłynęła i często modlił się w intencji tych wszystkich kobiet, mężczyzn oraz dzieci, których posłaliśmy na dno, zapominając, że wszystkie te rzeczy są szlachetne, służą bowiem państwu niemieckiemu.

Po pewnym czasie stał się kompletnie niezrównoważony, wpatrywał się całymi godzinami w swój kościany posążek i snuł zabawne opowiadki o zaginionych i zapomnianych rzeczach znajdujących się w morskiej głębinie. Czasami, w formie eksperymentu psychologicznego, pozwalałem mu mówić bez przerwy, przysłuchując się jego wynurzeniom poetyckim, cytatom i opowiadaniom o zatopionych statkach.

Było mi go żal, okropny to widok, gdy cierpi Niemiec, ale nie należał on do ludzi, u których boku można by śmiało umrzeć. Ja ze swej strony byłem dumny, wiedząc, że Vaterland nie zapomni mnie, a moi synowie wyrosną na takich jak ja dumnych patriotów.

Dziewiątego sierpnia dojrzeliliśmy dno oceanu i zlustrowaliśmy je w świetle naszego reflektora. Była to rozległa, pofałdowana równina, porośnięta głównie wodorostami i usłana skorupami drobnych mięczaków.

Tu i ówdzie dostrzec można było śliskie obiekty o zdumiewających kształtach, przyozdobione glonami i barnaklami, które, jak oznajmił Klenze, musiały być starymi okrętami spoczywającymi w swych grobach. Dziwiło go jedno – iglica twardej materii wystająca ponad powierzchnię dna oceanu, mierząca u podstawy prawie cztery stopy średnicy, dwie stopy szerokości, o płaskich bokach i gładkich częściach górnych, które schodziły się pod rozwartym kątem.

Powiedziałem, że jest to występ skalny, lecz Klenze stwierdził, że dostrzegł na nich jakieś żłobienia. Po chwili zaczął dygotać i odwrócił się od bulaju, jakby zdjęty przerażeniem, mimo to nie potrafił udzielić mi żadnych wyjaśnień, z wyjątkiem tego, że oładnęły nim przestwór, mrok, starożytność, odosobnienie i zagadkowość morskich głębin. Jego umysł był zmęczony, ale ja zawsze pozostaję Niemcem i uderzyły mnie dwie rzeczy – a mianowicie, że U-29 w zdumiewający sposób wytrzymywał napór potężnego na dnie oceanu ciśnienia i że tajemnicze delfiny wciąż nam towarzyszyły, nawet tu, na głębokości, gdzie większość biologów wyklucza możliwość istnienia wyższych organizmów. Byłem pewien, że wcześniej błędnie określiłem naszą głębokość, ale tak czy inaczej, musieliśmy zejść dostatecznie daleko, by zjawisko to uznać za godne najwyższej uwagi.

Prędkość dryfu na południe, jak również opadanie oszacowywałem na podstawie organizmów dostrzeganych w wyższych warstwach oceanu.

Była trzecia piętnaście po południu dwunastego sierpnia, kiedy nieszczęsny Klenze do reszty postradał rozum. Był w kiosku, obsługując reflektor, gdy nagle wpadł jak burza do biblioteki, gdzie siedziałem pogrążony w lekturze, a jego twarz zdradzała oznaki szaleństwa.

Powtórzę tu, co powiedział, podkreślając słowa, na które kładł szczególny nacisk: – On wzywa! On wzywa! Słyszę go! Musimy iść! – Mówiąc to, wyjął z biurka kościaną figurkę, schował do kieszeni i schwycił mnie za ramię, pragnąc pociągnąć za sobą po zejściówce na pokład. W tej chwili pojąłem, że zamierzał otworzyć luk i wywlec mnie w odmęty na zewnątrz, co było przejawem samobójczej i morderczej manii, na którą nie byłem należycie przygotowany. Gdy ociągając się, usiłowałem go ułagodzić, stał się brutalniejszy, mówiąc: – Chodźże już, nie zwlekaj. Lepiej się ukorzyć i zyskać przebaczenie, niż stawić opór i zostać potępionym.

W tej sytuacji zaprzestałem prób uspokajania go i rzuciłem mu prosto w twarz, że jest szalony, żałośnie obłąkany. On jednak w ogóle tego nie przyjął i zawołał: – Jeśli jestem obłąkany, to zostałem obdarowany wielką łaską!

Niechaj bogowie żałuj ą tego, kto w swej niewzruszoności jest w stanie zachować zdrowe zmysły, aż po odrażający kres! Pójdź i oszalej, póki on przyzywa nas z miłosierdziem!

Ten wybuch jakby złagodził tkwiące w nim napięcie, gdy bowiem skończył, złagodniał, prosząc, by mógł odejść sam, skoro nie chcę mu towarzyszyć. Był Niemcem, ale Nadreńczykiem, i do tego z pospólstwa, a obecnie również potencjalnie groźnym szaleńcem.

Godząc się na jego absurdalną prośbę, by mógł popełnić samobójstwo, uwolniłbym się natychmiast od towarzysza, który obecnie stał się dla mnie zagrożeniem.

Poprosiłem, by przed odejściem oddał mi kościaną figurkę, lecz na tę prośbę wybuchnął tak nienormalnym śmiechem, że już jej nie powtórzyłem. Zapytałem potem, czy chce zostawić po sobie jakąś pamiątkę, choćby kosmyk włosów dla rodziny w Niemczech, w razie gdybym został ocalony, ale on raz jeszcze wybuchnął tym dziwnym śmiechem. Zaczął wspinać się po drabinie, ja zaś stanąłem przy dźwigniach, aby uruchamiając maszyny we właściwych odstępach czasu, posłać go, jak tego żądał, na zatracenie. Kiedy stwierdziłem, że opuścił łódź, omiotłem reflektorem okolicę, aby spojrzeć nań po raz ostatni. Chciałem ponadto przekonać się, czy ciśnienie wody spłaszczy go, jak teoretycznie powinno było się stać, czy może jego ciało, jak w przypadku niezwykłych delfinów, pozostanie nie zmienione. Nie udało mi się nigdzie dojrzeć mego nieżyjącego towarzysza, wokół bowiem zgromadziło się zbyt wiele delfinów.

Tego wieczoru pożałowałem, że ukradkiem nie wyjąłem z kieszeni Klenzego kościanej figurki, gdy odchodził. Jej wspomnienie wciąż mnie nieodparcie fascynowało. Nie mogłem zapomnieć pięknej, młodzieńczej głowy z liśćmi laurowymi dokoła, mimo iż nie mam natury artysty. Żałowałem także, że nie mam z kim rozmawiać. Klenze, choć nie dorównywał mi pod względem umysłowym, był przy najmniej bratnią duszą. Tej nocy nie spałem dobrze i zastanawiałem się, kiedy nastąpi koniec. Rzecz

jasna, moje szansę ocalenia były prawie zerowe.

Następnego dnia wszedłem do kiosku i tradycyjnie zlustrowałem reflektorem otoczenie. Od północy widok był identyczny jak przez cztery dni, odkąd ujrzeliśmy dno, ale oszacowałem, że nasz dryf nieco stracił na sile. Gdy skierowałem reflektor na południe, zauważyłem, że dno oceanu opada tam wyraźnym, ostrym uskokiem, a w niektórych miejscach znajdują się dziwnie regularne bloki kamienne wyglądające, jakby ustawiono je tam z rozmysłem. Okręt nie zszedł od razu na samo dno tej otchłani, toteż wkrótce musiałem wyregulować reflektor, by skierować promień ostro ku dołowi. Gwałtowność tej zmiany zaowocowała odłączeniem przewodu i wielominutową zwłoką, jaką zajęła mi naprawa, ale w końcu światło pojawiło się na nowo, zalewając dolinę pode mną.

Nie zwykłem wyrażać otwarcie swych emocji, lecz jak wielkie było moje zdumienie, kiedy ujrzałem to, co ujawnił przede mną promień reflektora. A przecież jako osoba wychowana w najlepszej Prussisch Kultur, nie powinienem był się dziwić, zarówno bowiem geologia, jak i tradycja uczą nas o wielkich przemieszczeniach oceanów i kontynentów. To, co zobaczyłem, było złożonym, długim, chaotycznym skupiskiem ruin, budowli wspaniałych, choć nie należących do stylów znanej nam architektury, w najróżniejszym stadium przetrwania. Większość wyglądała jak wzniesiona z marmuru, połyskując bielą w świetle reflektora i generalnie rzecz biorąc, miałem przed sobą ogromne miasto na dnie wąskiej kotliny z licznymi, stojącymi na uboczu świątyniami i willami na zboczach powyżej. Dachy zapadły się, kolumny popękały, lecz wciąż w miejscu tym panowała aura pradawnej świetności, której nie mógł przyćmić nawet upływ czasu.

Stając naprzeciw Atlantydy, którą dotąd uważałem za mit, stałem się natychmiast najgorliwszym i najbardziej zawziętym z badaczy. Na dnie kotliny płynęła ongiś rzeka, kiedy bowiem przyjrzałem się uważniej, dostrzegłem pozostałości kamiennych i marmurowych mostów oraz nabrzeży, tarasów i pirsów, które niegdyś musiały być dumne i piękne.

W mym entuzjazmie stałem się niemal równie obłąkany i sentymentalny jak nieszczęsny Klenze i bardzo późno zauważyłem, że prąd południowy ustał w końcu zupełnie, pozwalając, by U-29 opadła do tego zatopionego miasta tak, jak samolot osiada na ziemnym lotnisku. Równie późno uświadomiłem sobie, że zniknęły też delfiny.

Po dwóch godzinach okręt osiadł w końcu na brukowanym placu przy kamiennej ścianie kotliny. Po jednej stronie widziałem rozległy fragment miasta aż do starego nasypu rzeki, po drugiej w zdumiewającej bliskości stanąłem przed bogato zdobioną i doskonale zachowaną fasadą ogromnego budynku, najwyraźniej świątyni, wykutej w litej skale. Mogę jedynie domyślać się, kto był twórcą tego tytanicznego dzieła. Potężna fasada ma w sobie liczne zagłębienia i otwory, widnieje w niej wiele rozmaicie rozmieszczonych okien.

Pośrodku zieją wielkie, otwarte odrzwia, do których dotrzeć można po gigantycznych długich schodach, które otaczają posągi przypominające jakby spoczywających uczestników bachanalii. W oczy rzucają się przede wszystkim wielkie kolumny i fruzy, zdobione rzeźbami niemożliwej do opisanego urody; wygląda na to, że przedstawiają one wyidealizowane sielankowe scenki oraz procesje kapłanów i kapłanek niosących osobliwe artefakty rytualne ku czci świetlistego bóstwa. Sztuka emanuje fenomenalną wręcz doskonałością, jest w dużej mierze helleńska, a jednak ma w sobie jakiś inny, niesprecyzowany bliżej pierwiastek. To dzięki niemu odnosi się wrażenie, że obcuje się z czymś przeraźliwie starym, z odległym przodkiem, miast bezpośredniego potomka greckiej sztuki klasycznej. Nie mogę również wątpić, że każdy szczegół tej masywnej doskonałości został wykuty w litej skale. Jest to bez wątpienia fragment ściany kotliny, choć nie potrafię pojąć, w jaki sposób wydrążono w kamieniu tak wiele otworów i jak wygląda owa świątynia od środka. Być może wykorzystane zostały naturalne jaskinie lub nawet cała sieć jaskiń. Ani upływ czasu, ani woda nie zdołały naruszyć pierwotnej chwały tego budzącego grozę miejsca, niewątpliwie świątyni, i

dziś po tysiącletniach od swego stworzenia trwało one nietknięte i niezbrukane, pośród bezkresnej nocy i ciszy oceanicznej otchłani.

Nie pamiętam, ile czasu zmitrężyłem, gapiąc się na zatopione miasto z jego budowlami, łukami, mostami i posągami oraz kolosalną świątynię otoczoną aurą piękna i tajemnicy. Choć wiedziałem, że śmierć jest bliska, zżerała mnie ciekawość i poszukiwałem odpowiedzi w świetle reflektora. Ten jasny promień pozwolił mi poznać wiele szczegółów, lecz nie ujawniał nic, co znajdowało się za drzwiami wykutej w skale świątyni – i po pewnym czasie wyłączyłem prąd, świadom, że muszę go oszczędzać. Reflektor świecił teraz dużo słabiej niż podczas tygodni rejsu. I jakby pod wpływem ciemności, poczułem, że narasta we mnie pragnienie poznania podwodnych sekretów. Ja, Niemiec, powinienem być pierwszy, który przemierzy owe zapomniane od wieków ścieżki!

Wydobyłem i sprawdziłem metalowy, głębinowy kombinezon do nurkowania i przeprowadziłem próbę z przenośną latarką i regeneratorem powietrza. Chociaż powinienem mieć kłopoty z obsługą w pojedynkę podwójnych luków, wierzyłem, że pokonam wszelkie trudności dzięki swym naukowym umiejętnościom i odbędę spacer po ulicach wymarłego miasta.

Szesnastego sierpnia opuściłem U-29 i z mozołem ruszyłem zasłanymi gruzem i mułem uliczkami w kierunku prastarego koryta rzeki. Nie natrafiłem na żadne szkielety czy inne ludzkie szczątki, lecz monety i rzeźby, które znalazłem, były z punktu widzenia archeologa prawdziwym skarbem. Nie mogę teraz nic więcej powiedzieć na ten temat, a jedynie wyrazić swą trwogę wobec kultury znajdującej się u szczytu swej chwały, kiedy lud jaskiniowy zamieszkiwał tereny Europy, a Nil wpływał przez nikogo nie oglądany do morza. Inni, kierowani tym manuskrytem, jeżeli kiedykolwiek zostanie odnaleziony, muszą zgłębić tajemnice, które ja mogę jedynie przybliżyć w formie mglistych aluzji. Wróciłem do łodzi, gdy moje baterie elektryczne zaczęły słabnąć, postanawiając zbadać kamienną świątynię dnia następnego.

Następnego dnia, gdy me pragnienie odkrycia sekretu świątyni stało się nie do odparcia, doznałem ogromnego rozczarowania, okazało się bowiem, że rzeczy niezbędne do wymiany w przenośnej latarce uległy zniszczeniu podczas buntu tych cuchnących wieprzy w lipcu.

Moja wściekłość nie miała sobie równych, a mimo to niemiecki rozsądek nie pozwolił mi wejść bez źródła światła do mrocznego wnętrza kamiennej świątyni, która mogła okazać się kryjówką jakiegoś nieopisanego morskiego potwora lub labiryntem, z którego po ciemku nigdy nie znalazłbym wyjścia. Mogłem jedynie ustawić gasnący reflektor we właściwym kierunku i w jego świetle zbliżyć się do świątyni, wejść po jej schodach i zbadać zewnętrzne rzeźbienia.

Promień światła wpływał do wnętrza budowli pod kątem i choć usiłowałem zajrzeć do środka, moje wysiłki spełzły na niczym. Nie mogłem dostrzec nawet sufitu i choć widziałem na krok lub dwa poza próg, sprawdzając uprzednio laską podłoże, nie odważyłem się postąpić dalej. Co więcej, po raz pierwszy w życiu ogarnął mnie paniczny lęk. Zacząłem zdawać sobie sprawę, skąd wzięły się pewne chimery nieszczęsnego Klenzego, kiedy bowiem świątynia zaczęła przyciągać mnie coraz bardziej ku sobie, w przypiływie nagłej, paraliżującej grozy, narastającej z każdą chwilą, zacząłem lękać się jej mrocznych otchłani. Powróciwszy do okrętu, wyłączyłem światła i siedziałem w mroku, rozmyślając. Musiałem oszczędzać prąd na sytuacje awaryjne.

Sobotę spędziłem w egipskich ciemnościach dręczony myślami i wspomnieniami, grożącymi zdruzgotaniem mej silnej niemieckiej woli. Klenze oszalał i umarł, zanim dotarł do tej złowieszczej pozostałości z odległej, dawno zapomnianej przeszłości, i radził, abym i ja uczynił to samo. Czy zaiste los oszczędził mi zdrowe zmysły tylko po to, by sprowadzić na mnie bezlitośnie koniec bardziej przerażający i okrutny, niż można by sobie wyobrazić? Nerwy miałem zszarpane i uznałem, że powinienem porzucić rozmyślania, godne jeno ludzi słabszej natury.

Sobotniej nocy nie mogłem zasnąć, i nie myśląc o przyszłości, włączyłem światła. Drażniło mnie, że prądu nie starczy mi na równi z powietrzem i zaopatrzeniem. Ponownie nawiedzały mnie myśli o eutanazji i raz jeszcze przyjrzałem się bacznie memu pistoletowi.

Nad ranem musiałem zasnąć z włączonym światłem, bo gdy obudziłem się w południe, baterie były do cna wyczerpane. Zapaliłem kilka zapalek, jedną po drugiej, żałując, że z braku przezorności wypaliliśmy podczas rejsu kilka znajdujących się na pokładzie świec.

Po spaleniu ostatniej zapalki, którą odważyłem się zużyć, siedziałem czas jakiś po ciemku w kompletnym bezruchu. Rozważając nieuchronny koniec, przebiegłem w myślach ostatnie wypadki, budząc w sobie uśpione dotąd wrażenie, na które człowiek słabszy i bardziej zabobonny niewątpliwie musiałby się wzdrygnąć – głowa świetlistego bóstwa na płaskorzeźbach na ścianie świątyni jest identyczna jak u figurki, którą miał przy sobie martwy marynarz, a teraz Klenze zabrał ze sobą w otchłań.

Ten zbieg okoliczności nieco mnie poruszył, ale jeszcze nie przeraził. Tylko gorszy myśliciel spieszy tłumaczyć złożone i osobliwe zdarzenia prymitywnymi paranormalnymi wyjaśnieniami. Zbieg okoliczności był dziwny, ale ja miałem nazbyt racjonalną naturę, by łączyć ze sobą przesłanki, nie mające ze sobą nic wspólnego lub nie związane w żaden jawny sposób z tragicznymi wypadkami, biorącymi swój początek od sprawy „Victory” i prowadzącymi poprzez łańcuch zdarzeń aż do mego obecnego, dość opłakanego położenia.

Ponieważ potrzebowałem wypoczynku, wziąłem środek nasenny i ułożyłem się do snu. Mój niepokój odbijał się nawet we snach, wydawało mi się bowiem, że słyszę krzyki tonących i widzę twarze umarłych przylepione do bulajów statku. Wśród tych umarłych twarzy jedna była żywą, drwiącą, wykrzywioną ironicznie twarzą młodzieńca z figurką z kości.

Muszę uważać, jak opowiem o tym dziwnym przebudzeniu, gdyż mam rozstrojone nerwy i wydarzenia rzeczywiste mieszają się z halucynacjami.



Psychologicznie rzecz biorąc, mój przypadek jest wielce interesujący, aż szkoda, że nie może być przebadany przez kompetentnych niemieckich lekarzy specjalistów. Od momentu gdy otworzyłem oczy, pierwsze, czego pragnąłem, to odwiedzić kamienną świątynię. Pragnienie to narastało z każdą chwilą, a jego przeciwieństwem był rodzący się gdzieś we mnie, bliżej niesprecyzowany lęk.

Niedługo potem odniosłem wrażenie, że dostrzegam światło. Mimo ciemności i wygasłych baterii wydawało mi się, że widzę jakby fosforescencję jarzącą się w wodzie za okienkiem bulaju od strony świątyni. Zanim jednak zdołałem to zbadać, pojawiło się trzecie wrażenie, które z powodu swej irracjonalności nakazało mi wątpić w obiektywność tego, co mogły zarejestrować zmysły. Było to złudzenie słuchowe, wrażenie obecności rytmicznego, melodyjnego dźwięku przypominającego dziki, nieujarzmiony hymn lub chorał dochodzący spoza w pełni dźwiękoszczelnego kadłuba U-29. Przeświadczony o mych psychicznych zaburzeniach, zapaliłem kilka zapalek i przyrzadziłem sobie roztwór potężnej dawki bromu mający uspokoić mnie i w rezultacie uwolnić od iluzji słuchowych. Fosforescencja pozostała jednak i trudno mi było przewyciężyć dziecinny impuls zbliżenia się do bulaju i odnalezienia wzrokiem jej źródła. Była tak upiornie realna, że już wkrótce za jej pomocą zdołałem dostrzec wszystkie otaczające mnie, a znajome obiekty, podobnie jak pustą szklanę po bromie, którą wcześniej postawiłem „w ciemności” w nie określonym bliżej miejscu. To dało mi wiele do myślenia i przeszedłszy przez kajutę, zatrzymałem się przy bulaju, dotykając szkła. Było na swoim miejscu. Wszystko wyglądało normalnie. Teraz wiedziałem już, że światło albo istniało naprawdę, albo też element halucynacji był tak silny i zafiksowany, że nic nie było w stanie go unicestwić, toteż zaprzestając dalszego stawiania oporu, wszedłem do kiosku, aby odnaleźć źródło owej luminescencji. Może był to inny U-Boot, a wraz z nim nadchodziła nadzieja ocalenia?

Zdaję sobie sprawę, że czytelnik najprawdopodobniej nie przyjmie tego, o

czym teraz napiszę, jako prawdy obiektywnej, i bardzo dobrze, bo skoro wydarzenia wykraczają poza granice prawa naturalnego, muszą być one z konieczności subiektywnym i nierzeczywistym tworem mego przemęczonego, zaburzonego umysłu.

Gdy dotarłem do kiosku, stwierdziłem, że otchłań wcale nie jest tak mocno oświetlona, jak mi się wydawało. W pobliżu nie było świecących roślin ani zwierząt, a miasto opadające w dół, ku rzece, tonęło w mroku. To, co ujrzałem, nie było spektakularne, groteskowe ani przerażające, a jednak odebrało mi resztki wiary w przytomność umysłu. Drzwi bowiem i okna podwodnej świątyni wykutej w kamieniu zbocza pałały intensywną migotliwą poświatą, jakby w jej wnętrzu gdzieś głęboko, na ołtarzu płonął dziwaczny ogień.

Późniejsze wypadki zdają mi się dość chaotyczne.

Gdy tak patrzyłem na oświetlone drzwi i okna, doznałem najbardziej osobliwych wizji, wizji tak nieprawdopodobnych, że nawet trudno mi je zrelacjonować. Wydawało mi się, że widzę obiekty wewnątrz świątyni, obiekty zarówno unieruchomione, jak i poruszające się, i odniosłem wrażenie, że słyszę znów ten nierzeczywisty śpiew, który doszedł mnie po raz pierwszy po przebudzeniu. Znów ogarnęły mnie myśli i lęki koncentrujące się wokół osoby młodzieńca z morza i kościanej figurki, której wizerunek przedstawiono tylekroć na frezach i kolumnach świątyni znajdującej się przede mną. Pomyślałem o nieszczęsnym Klenze'u i zastanawiałem się, gdzie spoczęło jego ciało z figurką, którą zabrał z sobą w odmęt. Ostrzegął mnie przed czymś, ale go nie usłuchałem, on wszelako był tylko miękkim, uległym Nadreńczykiem, który oszalał w sytuacji, z którą Prusak był gotów poradzić sobie bez większego trudu.

Reszta jest bardzo prosta. Pragnienie odwiedzenia i wejścia do świątyni stało się teraz dla mnie niewytłumaczalnym imperatywem, rozkazem, któremu nie potrafię się już dłużej opierać. Nie panuję już nad swą dotąd niezłomną, niemiecką wolą i potrafię podejmować decyzje jedynie dotyczące

najbardziej błahych spraw.

Takie samo szaleństwo popchnęło Klenzego do śmierci, skłoniło go do wyjścia bez skafandra na dno oceanu, ja jestem jednak Prusakiem, człowiekiem twardym i przytomnym, zamierzam, jak długo się da, ocalić tę resztkę rozsądku i woli, jaka mi jeszcze pozostała.

Kiedy zorientowałem się, że prędzej czy później opuszczę okręt, przygotowałem mój kombinezon, hełm i regenerator powietrza do natychmiastowego założenia, po czym bezzwłocznie zabrałem się do spisania tej kroniki w nadziei, że któregoś dnia dotrze ona do świata powyżej.

Włożę manuskrypt do butelki i wrzucę do morza, z chwilą gdy na zawsze opuszczę mój okręt. Nie lękam się, nawet proroctwa szaleńca Klenzego nie budzą we mnie strachu. To, co ujrzałem, nie może być prawdą i zdaję sobie sprawę, że to szaleństwo i utrata woli doprowadzi mnie co najwyżej do śmierci przez uduszenie, gdy wyczerpie się mój zapas tlenu.

Światło w świątyni jest czystą iluzją, złudzeniem i odejdę spokojnie, jak prawdziwy Niemiec, umierając w czarnych i zapomnianych głębinach. Demoniczny śmiech, który słyszę, pisząc te słowa, dochodzi wyłącznie z mego własnego, odmawiającego posłuszeństwa mózgu.

Teraz zaś skrzętnie włożę swój kombinezon i ruszę dzielnie po schodach w głąb tej pierwotnej świątyni, owego cichego sekretu bezdennych morskich głębin i niezmiernie otchłani czasu.

## Przerażający staruch

Pewnego dnia Angelo Ricci, Joe Czanek i Manuel Silva wpadli na pomysł ograbienia Przerażającego Starucha. Staruszek ów mieszka samotnie w bardzo starym domu nad morzem, przy Water Street, i mówi się o nim, że jest zarazem niewiarygodnie bogaty i niewiarygodnie zgrzybiały; było to nader korzystne i atrakcyjne połączenie dla ludzi, którzy jak panowie Ricci, Czanek i Silva trudnili się niespecjalnie szanowaną sztuką rozboju.

Mieszkańcy Kingsport sporo mówią i myślą o Przerażającym Staruchu i chyba właśnie to chroni go przed nieproszonymi wizytami ludzi pokroju pana Ricciego i jego kompanów, pomimo iż jest nieomal pewne, że gdzieś w mrocznych, cuchnących stęchlizną zakamarkach swego starego domu skrywa nielichą fortunę.

Jest on prawdę mówiąc, nader osobliwym człowiekiem. Ponoć był niegdyś kapitanem wschodnioindyjskiego klipra. Jest tak stary, że nikt nie pamięta go młodego i tak małomówny, że niewielu zna jego prawdziwe imię. Wśród poskręcanych, gruzłowatych drzew rosnących na frontowym trawniku przed jego zaniebanym, prastarym domem, przechowuje przedziwną kolekcję wielkich głazów ułożonych w tajemnicze kopce i pomalowanych tak, że przypominają wizerunki bogów z jakiejś zapomnianej świątyni Wschodu. Owa kolekcja wypłasza większość chłopców, którzy lubią drwić z Przerażającego Starucha, jego długich siwych włosów i brody, albo wybijać kamieniami niewielkie okna w jego domu. To jednak nic wszystko: istnieją inne rzeczy budzące lęk w starszych i nieco bardziej ostrożnych ludziach, którzy podkradają się niekiedy do odludnego domu, by zajrzeć do środka przez zakurzone szyby. Ludzie ci powiadają, że na stole w prawie pustym pokoju stoi kilkanaście ozdobnych butelek, wewnątrz których znajdują się

prymitywne wahadła sporządzone z kawałków sznurka i małych ołowianych ciężarków. Powiadają również, że Przeróżający Staruch rozmawia z tymi butelkami używając takich imion jak Jack, Blizna, Długi Tom, Joe Latynos, Peters i Matę Elis, a gdy zwraca się do konkretnej butelki, małe ołowiane wahadło wewnątrz kręci się i podryguje jakby w odpowiedzi. Ci którzy widzieli wysokiego, szczupłego Przeróżającego Starucha podczas owych tajemnych rozmów nie chcą doświadczyć tego ponownie.

Jednakże Angelo Ricci, Joe Czanek i Manuel Silva nie pochodzili z Kingsport, były im obce uroki życia i tradycje nowej Anglii, zaś w Przeróżającym Staruchu widzieli jedynie zgrzybiałego, prawie bezradnego siwego jak gołąbek ramola, który nie potrafił zrobić jednego kroku bez pomocy swej sękatej laski i którego szczupłe, słabe dłonie trzęsły się żałością. Ma swój sposób żałowali samotnego, nie lubianego przez nikogo staruszka, którego wszyscy unikali i na którego czekały wszystkie psy. Jednak biznes to biznes, a dla złodzieja oddanego całym sercem swojej profesji zniedołężniały człowiek nie mający służby i płacący za towary nabyte w lokalnym sklepie złotem i srebrem sprzed dwóch stuleci, stanowi pokusę nie do odparcia.

Panowie Ricci, Czanek i Silva wybrali na skok noc, 11 kwietnia. Panowie Ricci i Silva mieli zająć się pechowcem, a pan Czanek zaczekać na nich i spodziewane łupy w zakrytym samochodzie zaparkowanym przy Skip Street, opodal bramy w wysokim murze, na tyłach posesji należącej do wybranej przez nich ofiary. Opracowali ten plan pragnąc uniknąć udzielania niepotrzebnych wyjaśnień, w razie gdyby niespodziewanie na scenę wkroczyła policja. Samochód miał gwarantować, że opuszczą miejsce skoku szybko, cicho i przez nikogo nie zauważeni.

Jak to zostało ustalone wcześniej, trójka złodziejasków wyruszyła oddzielnie z trzech różnych miejsc, aby nie wzbudzić podejrzeń. Panowie Ricci i Silva spotkali się na Water Street przed frontową bramą domu

Przerażającego Starucha, i choć nie podobało im się w jaki sposób księżyc oświetlał malowane kopce, widoczne pomiędzy gałęziami sękatych, zdeformowanych drzew, mieli na głowie ważniejsze sprawy aniżeli przejmowanie się byle przesądami. Obawiali się, że ustalenie gdzie Staruch ukrył swoje skarby może okazać się niezbyt przyjemnym zajęciem, jako że byli kapitanowie bywają zwykle uparci i złośliwi, niemniej jednak ich było dwóch, on tylko jeden – na dodatek stary i zniedołężniały. Panowie Ricci i Silva mieli pewną wprawę w nakłanianiu opornych osób do mówienia, a przeraźliwe wrzaski słabego, steranego życiem człowieka z łatwością można było zagłuszyć.

Tak oto dwaj złodzieje podeszli do jednego z oświetlonych okien i usłyszeli jak Przerażający Staruch przemawia z czułością do swoich butelek z wahadełkami. nałożyli maski i delikatnie zapukali do nadgryzionych zębem czasu i warunkami pogodowymi dębowych drzwi.

Pan Czankowski, siedząc za kierownicą automobilu, przy tylnej bramie posesji Przerażającego Starucha, na Skip Street zaczął się niepokoić. Miał wrażenie, że czeka już bardzo długo, nie miał serca z kamienia i nie przypadły mu do gustu przeraźliwe krzyki jakie dobiegły z wnętrza starego domu, po czasie wyznaczonym na realizację skoku. Czy nie nakazał swoim kompanom, aby potraktowali patetycznego starego wilka morskiego możliwie jak najłagodniej? Popatrywał nerwowo na wąską dębową bramę osadzoną w wysokim, porośniętym bluszczem, kamiennym murze. Raz po raz spoglądając na czasomierz, zastanawiał się co było powodem opóźnienia.

Czyżby stary marynarz wyzionął ducha zanim zdradził miejsce ukrycia skarbu i konieczne było drobiazgowo przeszukanie całego domu? Panu Czankowskiemu nie podobało się tak długie wyczekiwanie, pośród ciemności, w tym niezbyt przyjemnym miejscu. Nagle usłyszał ciche kroki oraz stukot dobiegający od strony chodnika po drugiej stronie muru, delikatny szelest i zgrzyt starej zardzewiałej zasuwki, po czym wąskie ciężkie drzwi uchyliły się do wewnątrz. Wytężył wzrok w słabym, bladym świetle pojedynczej latarni,

by dostrzec jakie to łupy wynoszą ze starego złowieszczego domu jego kompani, że zajęło im to tak wiele czasu.

Ale kiedy spojrzał w tę stronę, ogarnęło go bezgraniczne zdumienie. Nie dostrzegł bowiem żadnego ze swoich kompanów, lecz ni mniej ni więcej, tylko Przeróżającego Starucha opierającego się łagodnie na gałce sękatej laski i uśmiechającego się złowieszczo. Pan Czanek nie miał dotąd okazji, by przyrzeć się oczom tego mężczyzny – dopiero teraz zauważył, że były one żółte.

W małych miasteczkach dzieje się raczej niewiele, toteż mieszkańcy Kingsport przez całą wiosnę i lato dyskutowali o trzech niemożliwych do zidentyfikowania zwłokach wyrzuconych na brzeg falą przypiływu. Były rozszarpane, jakby pocięte tuzinem kordelasów i zmasakrowane, jak gdyby zdeptały je obcasy wielu par podkutych butów. Niektórzy, wspominali również o rzeczach tak trywialnych jak porzucony automobil odnaleziony przy Skip Street lub osobliwych, nieludzkich krzykach – prawdopodobnie jakiegoś zbłąkanego zwierzęcia lub wędrownego ptaka – które słyszało w nocy kilkoro, nie mogących zasnąć mieszkańców. Jednak Przeróżający Staruch nie przejmował się lokalnymi plotkami. Był z natury powściągliwy, a w jego wieku i przy jego stanie zdrowia powściągliwość zalecana jest w dwójnasób. Poza tym, tak stary wilk morski w latach swej na poły już zapomnianej przeszłości musiał być świadkiem wielu różnych, dużo bardziej osobliwych wydarzeń.

## Pełzający Chaos

Wiele napisano o rozkoszach i bólu wywołanych przez opium. Ekstaza i zgroza de Quinceya oraz *Paradis artificiels* Baudelaire'a zostały zachowane i przedstawione w dramacie, który czyni je nieśmiertelnymi. Świat zna doskonale piękno, grozę i tajemnicę owych mrocznych krain, do których przenosi się uniesiony inspiracja marzyciel. Mimo, że tak wiele zostało powiedziane, nikt jak dotąd nie odważył się jednak zgłębić natury wizji ujawnionych w ten sposób umysłowi ani doszukać się kierunku, w jakim podążają niewiarygodne drogi otwierające się przed człowiekiem, który zażywa narkotyki. De Quincey przeniesiony został do Azji, owej tętniącej życiem krainy posępnych cieni, starożytnych, upiornych i tak imponujących, że "sam wiek i nazwa tej rasy zabija w człowieku wszelką młodość"; dalej wszakże podążyć już się nie odważył. Z tych, którzy dotarli dalej, mało kto powrócił, a i ci oniemieli ze zgrozy lub też stracili zmysły. Ja wziąłem opium tylko raz, w roku plagi, kiedy lekarze poszukiwali sposobów na ukojenie bólu tych, których nie potrafili uleczyć. Opium przedawkowano. Mój lekarz był przerażony, a ja dotarłem naprawdę daleko.

Ostatecznie powróciłem i zachowałem życie, lecz moje noce przepełniają osobliwe wspomnienia, a lekarzowi zabroniłem podawać mi jeszcze kiedykolwiek opium.

Ból i pulsowanie w mojej czasce, kiedy wstrzyknięto mi narkotyk, były wręcz nie do wytrzymania. Nie myślałem o przyszłości, nie obchodziła mnie, chciałem uciec, nieważne jak, czy to przez uzdrowienie, utratę przytomności, czy śmierć. Trochę majaczyłem, więc trudno mi określić dokładną chwilę przejścia, ale wydaje mi się, iż musiało ono nastąpić na krótko przed ustąpieniem bolesnego pulsowania. Jak wspomniałem, z powodu



przedawkowania moje reakcje były prawdopodobnie dalekie od normalnych. Wrażenie spadania, dziwnie oderwane od pojęcia siły ciężkości czy kierunku, było niewiarygodne; widziałem ledwo wyraźnie niezliczone tłumy, tłumy nieskończenie odmiennej natury, ale w większym lub mniejszym stopniu ze mną powiązane.

Czasami miałem wrażenie, że nie tyle spadam, ile raczej cały wszechświat albo ery przemykają obok mnie. Nagle ból minął i zacząłem kojarzyć pulsowanie bardziej z zewnętrznym niż wewnętrznym źródłem. Opadanie ustało, ustępując miejsca wrażeniu niepewnego, chwilowego spokoju, a gdy wyteżyłem słuch, wyobraziłem sobie, że owo pulsowanie kojarzy się z przeogromnym, niezmiernym morzem, którego złowieszcze, kolosalne fale rozbryzgują się o pusty, posępny brzeg po gigantycznym sztormie.

Otworzyłem oczy.

Przez chwile wokół mnie panował chaos, nie potrafiłem uchwycić wszystkiego wyraźnie, stopniowo jednak uświadomiłem sobie, iż byłem sam w dziwnym, acz uroczym pokoju, do którego przez liczne okna wpadało światło. Nie potrafiłem go określić wyraźnie, gdyż ciągle byłem rozkojarzony, ale dostrzegłem różnobarwne kobierce i draperie, ozdobnie rzeźbione stoliki, krzesła, otomany i kanapy, a także delikatne wazy i ornamenty o egzotycznym, choć niezupełnie obcym wzorze. To wszystko zauważyłem, niemniej rzeczy te nie na długo zaprzątnęły mój umysł. Wolno, acz nieubłaganie mą świadomość zaczął zajmować i górować nad innymi emocjami oszałamiający strach przed nieznanym, strach tym większy, że nie potrafiłem dociec jego przyczyn. Kojarzył mi się z nadciągającym niechybnie zagrożeniem, nie, nie śmiercią, lecz czymś nienazwanym, nie wyjaśnionym, a co za tym idzie, bardziej upiornym i odrażającym niż wszystko inne.

Wreszcie zdałem sobie sprawę, że bezpośrednią przyczyną mych leków było upiorne dudnienie, pulsowanie, rozbrzmiewające przyprowadzającym o utratę zmysłów rytmem wewnątrz mego wyczerpanego mózgu. Zdawało się ono dochodzić z jakiegoś miejsca spoza pomieszczenia, gdzie się

znajdowałem, a skojarzenia, jakie mi się w związku z nim nasuwały, mroziły krew w żyłach. Czułem, że coś przeraźliwego czaiło się za obwieszonymi jedwabiami ścianami, i wzbraniałem się przed wyrzeniem przez jedno z łukowatych, żebrowanych okien, których w pokoju nie brakło. Dostrzegłszy przy nich okiennice, pozamykałem je niezwłocznie, mrużąc przy tym powieki, by nie wyrzeć na zewnątrz. Następnie posługując się krzemieniem i stalą, znalezionymi na jednym z niewielkich stolików, pozapalałem świece umieszczone w arabskich obsadach na ścianach. Zamknięcie okiennic przyniosło mi ulgę i poczucie bezpieczeństwa, a sztuczne światło do pewnego stopnia uspokoiło me nerwy, choć nie udało mi się zagłuszyć monotonnego, pulsującego dudnienia. Teraz, gdy byłem nieco spokojniejszy, dźwięk stał się tyleż fascynujący co przeraźliwy, i dręczyło mnie, sprzeczne z uczuciem niepokoju, pragnienie ujżenia źródła owego dźwięku. Otworzywszy portierę znajdującą się w tej ścianie pokoju, zza której najgłośniej było słyszeć uporczywy dźwięk, ujrzałem niewielki, bogato zdobiony korytarz kończący się rzeźbionymi drzwiami i potężnym wykuszowym oknem. Ku niemu coś mnie nieodparcie ciągnęło, choć niesprecyzowane obawy równie mocno mnie przed tym powstrzymywały. Kiedy podszedłem bliżej, ujrzałem w oddali chaotycznie wirującą wodę. Skoro tylko stanąłem przy oknie i rozejrzałem się wokoło, zobaczyłem coś, co zaatakowało me zmysły z niepojętą, niszczycielską mocą.

Ujrzałem coś, czego nie widziałem nigdy przedtem i czego nie ogląda nikt spośród żyjących, z wyjątkiem deliryków cierpiących w malignie lub opiumowym piekle. Budynek stał na wąskim cyplu lub czymś, co się nim wydawało, pełne trzysta stóp ponad rozszalałymi falami wodnego wiru. Po obu stronach budynku opadały w dół pionowe, obmyte wodą ściany czerwonej ziemi, a przede mną upiorne fale przetaczały się bez końca, z przeraźliwą mocą zalewając łąd z mroczną, demoniczną monotonią i rozważą. Mniej więcej o mile dalej wznosiły się i opadały groźne bałwany fal o wysokości pięćdziesięciu stóp, a na horyzoncie majaczyły jak padlinożerne

sępy niepokojące czarne chmury o groteskowych konturach. Fale były ciemnofioletowe, prawie czarne; chwyciły miękkie czerwone błocko brzegów i pochłaniały je niczym nieczyste, chciwe dłonie. Miałem przeczucie, jakby jakiś złowieszczy morski umysł wypowiadał wojnę wszystkim lądom świata i być może wspomagało go w tej walce zagniewane niebo.

Ocknąwszy się w końcu z odrętwienia wywołanego tym nienaturalnym widokiem, zrozumiałem, że naprawdę groziło mi niebezpieczeństwo. Na moich oczach zniesiony został wielostopowej długości fragment brzegu i wiedziałem, że już niebawem cały dom runie w żarłoczną czeluść nienasyconych fal. Niezwłocznie pospieszyłem w przeciwną stronę i znalazłszy drzwi, wyszedłem przez nie natychmiast, zamykając je za sobą dziwnym kluczem, który tkwił w zamku. Ujrzałem teraz więcej szczegółów miejsca, w którym się znalazłem, i zwróciłem uwagę na dziwny rozdział, istniejący najwyraźniej w głębinach wrogiego oceanu i na firmamencie. Po obu stronach cypla panowały zupełnie odmienne warunki. Po lewej, stojąc zwrócony w stronę lądu, miałem łagodne morze z wielkimi zielonymi falami przetaczającymi się spokojnie w jasnych promieniach słońca. Coś w jego naturze i wyglądzie sprawiło, że aż zadrzałem, ale ani wówczas, ani teraz nie potrafię stwierdzić, co to było. Po prawej również miałem morze, było ono jednak błękitne, spokojne i falowało niemal niezauważalnie, podczas gdy niebo ponad nim wyglądało na ciemniejsze, a wymyty brzeg był biały.

Teraz zwróciłem uwagę na ląd i znowu się zdumiałem, roślinność bowiem nie przypominała żadnej, jaka kiedykolwiek widziałem czy o której czytałem. Była to najwyraźniej roślinność tropikalna lub subtropikalna, wniosek taki nasunął mi panujący w powietrzu żar. Czasami wydawało mi się, że dostrzegam dziwne podobieństwo z florą mego rodzinnego kraju, wyobrażając sobie, iż doskonale znane rośliny i krzewy mogły przyjąć takie formy pod wpływem bardzo dużych zmian klimatycznych, lecz gigantyczne i wszechobecne palmy wyglądały zupełnie obco. Dom, który właśnie

opuściłem, był bardzo mały, prawie jak domek plażowy, tyle że zbudowany z marmuru, a jego kształt, dziwny i zwarty, wyglądał jak niespotykany zlepek form znanych na wschodzie i zachodzie. W rogach znajdowały się kolumny korynckie, ale czerwone gonty dachu były całkowicie przejęte z chińskiej pagody.

Od drzwi w głąb lądu wiodła ścieżka nienaturalnie białego piasku, szerokości około czterech stóp i otoczona z dwóch stron strzelistymi palmami i nieznanymi, ukwieconymi krzewami i roślinnością. Biegła w kierunku tej strony cypla, gdzie morze było błękitne, a brzeg pełen białego piasku. Chciałem uciekać tą właśnie drogą, jakby z rozszalałego oceanu w pogoń za mną wyruszył jakiś złowieszczy upiór. Początkowo ścieżka pięła się pod górę, aż w końcu dotarłem do łagodnego grzbietu. Obejrzałem się za siebie, by dokładnie przyjrzeć się miejscu, które opuściłem; cypel z małym domkiem, czarna woda, zielone morze po jednej i błękitne z drugiej strony, a nad wszystkim tym – cień nienazwanej i niewysłowionej klątwy.

Nigdy więcej tego nie zobaczyłem i zastanawiam się często...

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na to miejsce, zacząłem obserwować teren rozciągający się przede mną. Ścieżka, jak już wspomniałem, biegła w głąb lądu, po prawej stronie brzegu. Przede mną i po lewej ujrzałem teraz wspaniałą dolinę o powierzchni tysięcy akrów, porośniętą tropikalną trawą sięgającą powyżej mojej głowy. Niemal na skraju mego pola widzenia znajdowała się gigantyczna palma, która fascynowała mnie i przyzywała. Do tej pory zdumienie i ucieczka z zagrożonego półwyspu w znacznym stopniu rozproszyły mój strach, kiedy jednak przystanąłem i osunąłem się zmęczony na ścieżkę, leniwie grzebiąc dłońmi w ciepłym, białozłotym piasku, ogarnęło mnie nowe, wyrazistsze uczucie zagrożenia.

Coś przerażającego wśród tych kołyszących się traw dołączyło do owego diabolicznie falującego morza i głośno, i niemal irracjonalnie zacząłem wykrzykiwać:

– Tygrys? Tygrys? Czy to tygrys? Bestia? Bestia? Czy to Bestia, której się

obawiam?

Powróciłem w myślach do starej, klasycznej opowieści o tygrysach, która kiedyś czytałem – usiłowałem przypomnieć sobie autora, lecz bez powodzenia. I nagle, przerażony, przypomniałem sobie, że było to opowiadanie Rudyarda Kiplinga; nie przyszło mi do głowy, że uznanie go za starożytnego autora było, delikatnie mówiąc, groteskowe. Żałowałem, że nie mam przy sobie tomu z tym opowiadaniem, i nieomal zawróciłem w stronę skazanego na zagładę domku, gdzie, jak sądziłem, powinien się znajdować, kiedy przyptyw zdrowego rozsądku i cień palmy sprawiły, iż oprzytomniałem.

Nie mam pojęcia, czy nie zawróciłbym, gdyby nie fascynacja i zew palmy. Owo przyciąganie było teraz tak silne, że zszedłem ze ścieżki i zacząłem piąć się na czworakach w górę zbocza, pokonując strach przed trawami i węzami, które mogły żyć pośród nich.

Postanowiłem walczyć o życie i zdrowe zmysły tak długo, jak tylko będę w stanie, i stawić czoło zagrożeniom z morza i lądu, choć czasami obawiałem się, że poniosę sromotną klęskę. Wrażenie to nachodziło mnie pod wpływem przyprawiającego o szaleństwo szelestu traw i wciąż słyszalnego rytmicznego łoskotu fal. Od czasu do czasu przystawałem i przykładałem dłoń do uszu, by choć na chwilę zagłuszyć odrażające dźwięki. Odnosiłem wrażenie, że minęły całe wieki, zanim w końcu doczołgałem się do gigantycznej palmy i padłem zdyszany w jej bezpiecznym cieniu.

I wtedy nastąpiła seria wypadków, które doprowadziły mnie na skraj ekstazy i grozy – wypadki, których wspomnienie budzi we mnie trwogę i których nie ośmielę się interpretować.

Kiedy szybko wczołgałem się pod opadające nisko liście palmy, z góry, z gałęzi spadło nagle dziecko o wyjątkowej urodzie. Choć obszarpane i zakurzone, miało rysy fauna lub półboga i zdawało się promienieć blaskiem, który rozpraszał cienie panujące pod koroną drzewa.

Dziecię uśmiechnęło się i wyciągnęło rękę, ale zanim zdążyło wstać i

przemówić, w powietrzu rozległy się dźwięki niezwyklej melodii, dźwięki wysokie i niskie, zlewające się ze sobą i współgrające w eterycznej harmonii. Tymczasem słońce zaszło za horyzont i w świetle zmierzchu ujrzałem aureolę mlecznego światła okalającą główkę dziecka. I wówczas odezwało się do mnie dźwięcznym jak srebrzyste dzwonki głosem:

– Oto koniec. Zeszli z gwiazd pośród zmierzchu. Teraz jest już po wszystkim i będziemy wieść odtąd błogi żywot w Teloe za strumieniami arynuriańskimi.

Kiedy dziecko przemówiło, ujrzałem łagodną poświatę przebijającą między liśćmi palm i powstałem, by przywitać parę, będącą, jak wiedziałem, głównymi wykonawcami podziwianej przeze mnie pieśni. Musiała to być boska para, takie bowiem piękno nie jest przymiotem śmiertelników. Ujęli mnie za ręce mówiąc:

– Pójdź, dziecie, usłyszałeś glosy, aleć wszystko dobrze się dzieje. W Teloe za Droga Mleczna i strumieniami arynuriańskimi są miasta z bursztynu i chalcedonu. Na ich wielofasetowych kopułach migocą wizerunki starych i przecudnych gwiazd. Pod mostami z kości słoniowej ciągną się rzeki płynnego złota, a po ich falach suną barki i lodzie rozkoszy zmierzające ku wielkiemu Cytharionowi Siedmiu Słońc. W Teloe i Cytharionie królują młodość, piękno i rozkosz, słysząc tylko śmiech, pieśni i dźwięki lutni. Jeno bogowie zamieszkują w Teloe, mieście złotych rzek, ale i ty zamieszkaż pośród nich.

Kiedy tak słuchałem, oczarowany, uświadomiłem sobie nagle, że wokół mnie zaszła jakaś zmiana. Drzewo palmowe, które dotąd ocieniało me zmęczone ciało, znalazło się niespodzianie po lewej stronie i poniżej mnie. Najwyraźniej unosiłem się w powietrzu, w towarzystwie nie tylko osobliwego dziecka i świetlistej pary, ale również powiększającego się z każdą chwilą tłumu na wpół jaśniejących, ozdobionych laurami młodzieńców i dziewcząt z rozwianymi włosami i uśmiechniętymi twarzami. Powoli wznosiliśmy się razem, jak unoszeni wonna bryza wiejąca nie z ziemi, lecz ze

złocistej mgławicy, a dziecko wyszeptało mi do ucha, że muszę zawsze spoglądać w górę ku ścieżce światła, a nie wstecz, w stronę kuli, która właśnie opuściłem. Młodzieńcy i dziewczęta zaintonowali teraz miódopłynne choriamby przy akompaniamencie lutni, a mnie ogarnął nagle spokój i uczucie szczęśliwości dużo głębsze, niż kiedykolwiek mógłbym sobie wyobrazić. Wtem pojedynczy dźwięk jak intruz zmienił me przeznaczenie i strzaskał opokę duszy. Poprzez porywające śpiewy i dźwięk intruzów, niczym drwiący, demoniczny asonans przebiło się płynące z otchłani poniżej odrażające, potworne w swojej ohydzie falowanie oceanów. I kiedy wiadomość tych czarnych fal dotarła do mych uszu, zapomniałem o słowach dziecka i odwróciłem się, by ujrzeć obraz zagłady, której, jak mi się zdawało, uniknąłem. Hen, w dole zobaczyłem przeklętą ziemię, obracającą się nieprzerwanie i gniewnie, rozszalałe morze wdzierające się w dalekie, odludne brzegi i strumienie piany rozbryzgujące się o rozchwiane wieże opuszczonych miast. A w wieczornym blasku księżycy oczom moim ukazały się obrazy, których nigdy nie zdołam opisać, ale których nigdy nie zapomnę: pustynie trupiej gliny, dżunglę ruin i ostatecznego upadku, gdzie niegdyś rozciągały się żyzne równiny zamieszkałe przez mych ziomków, w miejscach zaś gdzie niegdyś wznosiły się strzeliste wieżycy moich przodków, szalały spiętrzone wody wzburzonego oceanu. Wokół bieguna północnego rozciągały się parujące, cuchnące moczary, buchające miazmatycznymi wyziewami i syczące pod wpływem ataków narastających stale fal, podnoszących się nieubłagane ze wzburzonej głębiny. Nagle potężny huk rozdarł noc i w poprzek pustyni pojawiła się dymiąca szczelina. A czarny ocean wciąż pieniał się i atakował zajadle, pożerając brzegi pustyni, podczas gdy rozpadlina w samym jej środku poszerzała się coraz bardziej.

Nie pozostało nic z wyjątkiem pustyni, a szalejący ocean pożerał suchy ląd, ogryzając jego brzegi. Pomyślałem nagle, że nawet falujące morze zdało się obawiać czegoś, może tego, iż ciemni bogowie wnętrza ziemi są potężniejsi od złego bóstwa wód, ale nawet to go nie powstrzymało –

pustynia zaś wycierpiała zbyt wiele ze strony tych koszmarnych fal, aby mogła im teraz pomóc. I tak ocean pochłonął ostatni skrawek lądu, po czym wpłynął w głąb dymiącej szczeliny, oddając tym samym wszystko, co zdołał podbić. Znów pojawił się suchy ląd, ukazując mym oczom wizje śmierci i rozkładu, a w miejscach, gdzie niegdyś królowało morze, ujawnione zostały mroczne relikty z okresu, kiedy Czas był jeszcze młody, a bogowie nawet się jeszcze nie narodzili. Przed falami wznosiły się pokryte algami dobrze znane wieżyce. Księżyc złożył blade lilie światła na wymarłym Londynie i Paryżu, podnoszących się ze swego wodnego grobu, aby zostały uświęcone gwiazdnym pyłem. Potem podniosły się wieżyce i monolity, które również pokrywały wodorosty, ale tych nikt już nie pamiętał – przeraźliwe wieże i monolity lądów nie znanych człowiekowi.

Nie było już słycać szumu fal, a jedynie nieziemski krzyk i syk wód wlewających się w głąb szczeliny. Dym z niej bijący zastąpiła para, która, gęstniejąc, niemal zakryła cały świat. Okryła mi dłonie i twarz, a kiedy się rozejrzałem, aby sprawdzić, jak wpłynęła na mych towarzyszy, okazało się, iż wszyscy zniknęli.

Nagle wszystko się skończyło, a ja ocknąłem się na łóżko w szpitalu. W ostatniej chwili zdołałem jednak dostrzec, usłyszeć i poczuć, kiedy kłęby pary z hadesowej czeluści zakryły w końcu przed mym wzrokiem całą kulę ziemską, jak bezmiar eterycznego firmamentu rozbrzmiał rykiem dojmującej agonii, wywołanej szaleńczym echem, od którego zatrzęsło się całe niebo. Stało się to w jednym, delirycznym rozbłysku i huku, pojedynczej oślepiającej, ogłuszającej zagładzie dymu i grzmotu, która obróciła w perzynę blade księżyc, rozchodząc się na zewnątrz w kosmiczną próżnię. A kiedy dym się rozwiął, a ja oderwałem od owego widoku wzrok, by spojrzeć w stronę Ziemi, ujrzałem na tle zimnych, zabawnych gwiazd jedynie dogorywające słońce i blade, pogrążone w żałobie planety, na próżno poszukujące jednej ze swych sióstr.



## Drzewo

### Księżycowe Moczary

Nie wiem w jakiej części tej odległej i przerażającej krainy zniknął Denys Barry. Byłem z nim ostatniej nocy, gdy znajdował się wśród żywych i słyszałem wrzask, kiedy przyszła po niego ta Istota. Żaden z wieśniaków i policjantów z hrabstwa Meath nie zdołał go odnaleźć, mimo iż poszukiwania zakrojone były na szeroką skalę. Teraz zaś wzdrygam się słysząc kumkanie żab na moczarach, albo gdy widzę księżyc przebywając w samotnych, odludnych miejscach.

Doskonale znałem Denysa Barry'ego jeszcze w Ameryce, gdzie się wzbogacił i pogratulowałem mu, kiedy wykupił stare zamczysko nad moczarami w sennym Kilderry.

Stamtąd właśnie pochodził jego ojciec i tam też Denys pragnął radować się swym bogactwem w rodzinnych stronach. Niegdyś w Kilderry rządzili jego przodkowie i to oni wzniesli zamczysko, w którym później zamieszkali, niemniej były to bardzo odległe czasy i przez wiele pokoleń opuszczony zamek popadł w ruinę. Po wyjeździe do Irlandii Barry często do mnie pisywał opowiadając, jak pod jego opieką szary zamek, wieża po wieży, odzyskiwał dawny splendor, jak bluszcz pięł się z wolna w górę po odrestaurowanych ścianach, niczym przed setkami lat i jak wieśniacy dziękowali mu, że za przywiezione z za morza złoto ożywił pamięć dawnych dni. Potem jednak coś się wydarzyło i wieśniacy opuścili Kilderry, uciekając niby przed zarazą. Jakiś czas później przysłał mi list i poprosił bym do niego przyjechał, gdyż czuł się w zamku samotny nie mając nikogo, z kim mógłby porozmawiać za wyjątkiem nowych służących i robotników, sprowadzonych z Północy.

Powodem wszystkich jego kłopotów były moczary – o czym Barry

poinformował mnie tej samej nocy, kiedy zjawiłem się w zamku. Dotarłem do Kilderry o zmierzchu pewnego letniego dnia, gdy złocisty blask bijący z nieba omiatał wzgórza, gaje i błękitną połąć bagien, gdzie w oddali, na niewielkiej wysepce migotały widmowo dziwaczne, stare ruiny. Zachód słońca był zaiste urzekający, ale wieśniacy z Ballylough nie omieszkali mnie przed nim ostrzec i stwierdzili, że Kilderry zostało przeklęte, ja zaś prawie zdrząłem na widok pałających złocistym ogniem wież zamczyska. Automobil Barry'ego czekał na mnie na stacji Ballylough, gdyż Kilderry znajduje się w pewnym oddaleniu od linii kolejowej. Wieśniacy, którzy trzymali się z dala od auta i kierowcy z Północy, pobledli na twarzach usłyszawszy, że wybieram się do Kilderry i uraczyli mnie kilkoma trwożliwie wyszeptanymi informacjami.

Tej nocy zaś, Barry wyjaśnił mi całą sytuację.

Wieśniacy opuścili Kilderry ponieważ Denys Barry zamierzał osuszyć wielkie trzęsawisko. Pomimo miłości jaką darzył Irlandię, pobyt w Stanach wycisnął na nim swe piętno i Denys nienawidził owej wspaniałej, bezużytecznej przestrzeni, z której można by wybrać warstwę torfu i przystosować cały ten teren pod uprawy.

Legendy i przesady Kilderry nie wywarły na nim najmniejszego wrażenia i kwitował śmiechem, gdy wieśniacy najpierw odmówili mu pomocy, a następnie przeklęli go i, przekonani iż nic nie zdoła zmienić jego decyzji, zabrawszy swoje rzeczy, wynieśli się do Ballylough. Zastąpił ich robotnikami z Północy, a gdy opuścili go służący. sprowadził z Północy następnych. Czuł się jednak samotny wśród obcych, dlatego poprosił abym go odwiedził.

Kiedy usłyszałem o lękach, które były przyczyną tego exodusu. śmiałem się równie głośno jak mój przyjaciel, gdyż były to obawy niejasnego, dzikiego a nawet absurdalnego wręcz charakteru. Miały coś wspólnego z jakąś nedorzeczną legendą dotyczącą moczarów i strzegącego ich posępnego ducha, zamieszkującego w dziwnych, starych ruinach na odległej wysepce, którą dostrzegłem o zachodzie słońca.

Krążyły tu historie o światłach tańczących przy blasku księżyca i chłodnych wiatrach wiejących w ciepłe noce; o widmach w bieli, unoszących się nad wodami i o domniemanym kamiennym mieście, znajdującym się głęboko pod powierzchnią bagna. Wszyscy jednak zgodnie twierdzili – i nie mieli co do tego najmniejszych wątpliwości – że na tego, kto ośmieli się tknąć lub osuszyć rozległą połąć czerwonych moczarów, spadnie okrutna klątwa.

Są tam sekrety, twierdzili wieśniacy, których nie należy ujawniać, tajemnice ukryte odkąd zaraza spadła na dzieci Partholanu w bajecznych latach, niepamiętnej już dziś, przeszłości. W Księdze najeźdźców powiedziane jest, że owych synów Grecji pogrzebano w Tallaght, ale starcy z Kilderry twierdzą, że jedno z miast zostało ocalone dzięki jego patronce – bogini Księżycy, ukryte w samym sercu zalesionego pagórka, kiedy Memedyjczycy przybyli ze Scytii do brzegów tej krainy na pokładach trzydziestu okrętów.

Takie to historie skłoniły wieśniaków do opuszczenia Kilderry i gdy je usłyszałem, nie zdziwiło mnie, iż Denys Barry nie chciał ich wysłuchać. Interesował się on starożytnością i zamierzał dokładnie zbadać bagnisko, kiedy zostanie należycie osuszone. Często odwiedzał białe ruiny na wysepce, ale choć niewątpliwie bardzo wiekowe i nie przypominające żadnych innych tego typu budowli w całej Irlandii, były one zbyt zniszczone, aby mogły powiedzieć coś więcej na temat czasów swojej świetności.

Niebawem miano rozpocząć proces osuszania moczarów, a robotnicy z Północy czekali na rozkaz, by zacząć zdejmować z zakazanych trzęsawisk warstwę mchu i czerwonych wrzosów oraz, by zlikwidować, jeden po drugim, cienkie jak wstążki strumyki i ciche, błękitne sadzawki porośnięte sitowiem.

Kiedy Barry zakończył swą opowieść byłem już bardzo śpiący, gdyż całodzienna podróż nader mnie wyczerpała, a mój gospodarz snuł swój monolog do późnej nocy. Służący wskazał mi pokój, który znajdował się w

odległej wieży, z widokiem na wioskę, równinę na skraju trzęsawiska i na same moczary – z mego okna widziałem błyszczące w księżycowym blasku dachy milczących chat, z których uciekli wieśniacy i gdzie zamieszkali obecnie nowi robotnicy; jak również kościółek parafialny z antyczną iglicą. Daleko, na niewielkiej wysepce po drugiej stronie bagien, widniały prastare, zapuszczone mury – zdające się emanować białym widmowym światłem.

Położyłem się i już miałem usnąć, gdy odniosłem wrażenie, że słyszę dochodzące z oddali słabe dźwięki; odgłosy dzikie i na wpół harmonijne, które przepełniły mnie osobliwym podnieceniem i przydały barw moim snom. Kiedy jednak obudziłem się następnego ranka stwierdziłem, że wszystko musiało mi się przyśnić, bowiem wizje jakich doznałem były cudowniejsze aniżeli jakiegokolwiek szaleńcze dźwięki fletów, rozlegające się wśród nocy. Pod wpływem legend przekazanych przez Barry'ego, umysł mój stworzył obraz majestatycznego miasta położonego w zielonej dolinie, a marmurowe ulice, posągi, wille, świątynie, płaskorzeźby oraz inskrypcje zdawały się świadczyć, iż była to Grecja. Kiedy opowiedziałem o moim śnie Barry'emu obaj się roześmialiśmy – ja głośniej, ponieważ on martwił się o swoich robotników. Po raz szósty z rzędu zaspali, budzili się wolno – oszołomieni – zachowując się jakby przez całą noc nie zmrużyli oka.

Tego ranka i popołudnia wędrowałem samotnie przez skąpaną w słonecznym blasku wioskę i rozmawiałem z napotkanymi przygodnie robotnikami – Barry bowiem zajęty był ostatecznym opracowywaniem planów przed rozpoczęciem osuszania bagien. Robotnicy nie byli tak szczęśliwi, jak można by się tego spodziewać, a większość z nich sprawiała wrażenie zaniepokojonych snami, które na próżno usiłowali sobie przypomnieć. Opowiedziałem im o moim śnie, ale nie zainteresował ich dopóki nie wspomniałem o wyimaginowanych wrażeniach słuchowych. Spojrzeli na mnie dość dziwnie i potwierdzili, że im również wydawało się, iż słyszą jakieś dźwięki.

Wieczorem Barry zjadł ze mną wieczerzę i oświadczył, że za dwa dni

rozpocznie osuszanie. Jego słowa podniosły mnie na duchu, bo choć trudno mi było pogodzić się z myślą, iż pokrywające moczary mech i wrzosa oraz błyszczące jeziora i strumyki będą musiały zniknąć, coraz bardziej narastało we mnie pragnienie odkrycia prastarych sekretów, niewątpliwie skrytych pod grubą warstwą torfu. Tej nocy moje sny o grających fletach i marmurowych perystylach zakończyły się w nader gwałtowny i niepokojący sposób; zobaczyłem bowiem jak na miasto w dolinie spada zaraza, potem zaś – przerażająca wizja – trupy spoczywające na ulicach. Nie pogrzebana pozostała jedynie świątynia Artemidy, znajdująca się na najwyższym ze szczytów, gdzie stara kapłanka, bogini Księżycy, Cleis leżała martwa w koronie z kości słoniowej.

Powiedziałem już, że obudziłem się gwałtownie i nagle. Przez jakiś czas nie byłem w stanie odróżnić jawy od snu, gdyż wciąż miałem w uszach przenikliwe dźwięki fletów; kiedy wszakże zobaczyłem podłogę komnaty skąpaną w księżycowym blasku i zarys gotyckiego okna, stwierdziłem, iż powróciłem do świata jawy i znów znajduję się w Kilderry. Później usłyszałem jak zegar na dole wybija drugą i upewniłem się, że to jawa. Mimo to, wciąż słyszałem dochodzące z oddali dźwięki fletów; dzikie, osobliwe tony, które przywodziły mi na myśl tańce faunów na zboczach odległego Maenalus. Nie dawały mi zasnąć i wyczerpany wyskoczyłem z łóżka. Zupełnie przypadkiem podszedłem do północnego okna i spojrzałem w kierunku cichej wioski i równiny na skraju bagien, nie miałem ochoty się rozglądać – chciałem jedynie zasnąć – jednak dźwięki fletów nie dawały mi spokoju i musiałem coś zrobić, albo coś zobaczyć. Skąd mogłem przypuszczać jaki widok ujrzą moje oczy?

W blasku księżycy zalewającym całą rozległą równinę, rozgrywał się spektakl. Przy dźwiękach trzcinowych piszczałek, które roznosiły się gromkim echem ponad całym trzęsawiskiem przesuwał się tamtędy bezgłośny i osobliwy korowód różnorodnych, kołyszących się i płasających rażno postaci. Pogrążone w spontanicznym, szaleńczym uniesieniu mogły

przypominać Sycylińczyków, którzy w dawnych czasach tańczyli przy blasku księżyca, oddając w ten sposób cześć bogini Demeter. Rozległa równina, złocisty blask księżyca, cieniste, poruszające się postaci, a przede wszystkim monotony, przenikliwy dźwięk piszczałek – wszystko to wywarło na mnie paraliżujące wręcz wrażenie. Pomimo tego zdołałem stwierdzić, iż połowę spośród tych niestrudzonych, mechanicznych tancerzy stanowili robotnicy, o których sądziłem, że spali. Pozostałymi uczestnikami korowodu były dziwne, mgliste istoty w bieli, na wpół materialne, ale sugestywnie blade, smętne najady z nawiedzonych źródeł wytryskujących na trzęsawisku.

Nie wiem jak długo obserwowałem tę scenę z okna komnaty na szczycie wieży, zanim nie pogrążyłem się w dziwnej, mrocznej, pozbawionej snów nieświadomości, z której wyrwały mnie dopiero ciepłe, złociste promienie porannego słońca.

W pierwszej chwili po przebudzeniu miałem ochotę podzielić się mymi obserwacjami i obawami z Denysem Barry'ym, lecz kiedy zobaczyłem promienie słońca przenikające przez kratowane wschodnie okno, nabrałem pewności, że wszystko to wydawało mi się. Miewam różne dziwne wizje, jednakże nie jestem na tyle słaby, aby w nie wierzyć – w tym zaś przypadku zadowolilem się jedynie wypytaniem kilku spośród robotników, którzy spali do bardzo późna i z poprzedniej nocy nie pamiętali nic, prócz mglistych snów o przeciągłych i piskliwych dźwiękach. Sprawa widmowej muzyki wielce mnie niepokoiła i zastanawiałem się czy nie złożyć tego na karb jesiennych świerszczy, które tego roku pojawiły się wcześniej i swoim graniem zakłócały nocną ciszę oraz spokojny sen robotników.

Później – tego dnia – obserwując Barry'ego w bibliotece. jak pochyla się nad planami wielkiego dzieła, mającego rozpocząć się już nazajutrz, po raz pierwszy poczułem owo dziwne, nieuchwytnie tchnienie grozy, które nakazało wieśniakom, by opuścili to miejsce. Z jakiegoś niewiadomego powodu poczęła napawać mnie lękiem myśl o zakłóceniu spokoju prastarego trzęsawiska i jego mrocznych tajemnic; wyobraziłem sobie jednocześnie

okropny widok spoczywających pośród czerni, ukrytych głęboko w niezgłębionej otchłani moczarów, pod grubą warstwą prastarego torfu – szkieletów. Wydobyte owych na światło dzienne wydawało się zgoła nieroztropne i zacząłem szukać jakiejś wymówki, by móc opuścić zamek i wioskę. Posunąłem się nawet do tego, by porozmawiać z Barry'ym, ale kiedy mnie wyśmiał, nie podjąłem więcej przerwane go tematu. Milczałem więc, kiedy nad odległymi wzgórzami leniwie zaczęło zachodzić słońce, a całe Kilderry skąpały, zdawałoby się, złowrogie potoki złotawoczerwonego, ognistego blasku.

Nigdy nie będę mógł powiedzieć, czy wypadki tej nocy miały miejsce naprawdę, czy też były jedynie ułudą. Z całą pewnością przewyższają wszystko, co jesteśmy w stanie wyjaśnić, a co związane jest z naturą wszechświata. W żaden bowiem normalny sposób nie potrafię wytłumaczyć tajemniczych zaginięć, które stwierdzono, kiedy było już po wszystkim.

Położyłem się na spoczynek wcześniej i – pełen niepokoju – nie byłem w stanie przez długi czas zasnąć w nieziemskiej, złowrogiej ciszy panującej w wieży. Było dziwnie ciemno, choć niebo było czyste, jednak księżyc świecił bardzo słabo i miało tak być aż do późnych godzin nocnych. Leżąc w łóżku rozmyślałem o Denysie Barry'ym i o tym, co wydarzy się na trzęsawisku, kiedy nadejdzie dzień, a jednocześnie ogarnęło mnie szaleńcze wręcz pragnienie, aby wybiec w noc, wziąć wóz Barry'ego i jak najszybciej opuściwszy te złowrogie ziemie, udać się do Ballylough. Zanim jednak zdołałem wprowadzić swe zamierzenia w czyn, usnąłem i we śnie znów ujrzałem miasto w dolinie, zimne i martwe, otulone całunem upiornych cieni.

Prawdopodobnie obudziły mnie ochryple dźwięki fletów, ale to nie one przykuły moją uwagę, kiedy otworzyłem oczy. Leżałem odwrócony plecami w stronę wschodniego okna wychodzącego na trzęsawisko, nad którym wisiał błądy księżyc, toteż spodziewałem się, że na ścianie przede mną zobaczę światło; to co ujrzały moje oczy przeszło jednak wszelkie oczekiwania. Ściana na wprost rzeczywiście skąpana była w blasku, ale bez wątplenia nie

płynął on z księżycy. Czerwona poświata przepływająca przez kratowane gotyckie okno i omiatająca całą komnatę była niewiarygodnie, upiornie wręcz intensywna.

Moje poczynania w tej sytuacji mogły wydawać się dość osobliwe, ale jedynie w książkach bohater jest w stanie postępować w dramatyczny i przewidywalny sposób. Zamiast spojrzeć na drugi koniec moczarów w kierunku źródła nowego światła, ogarnięty paniczną zgrozą odwróciłem głowę od okna i niezdarnie się ubrałem, powodowany dojmującym pragnieniem ucieczki. Pamiętam, że zabrałem swój rewolwer i kapelusz, ale zanim całe zdarzenie dobiegło końca porzuciłem je. nie nałożywszy kapelusza, ani nie oddawszy jednego choćby strzału. Po pewnym czasie uczucie fascynacji czerwoną poświatą przemogło mój strach i podkradłszy się do wschodniego okna wyjrzałem na zewnątrz, podczas gdy przyprawiające o utratę zmysłów, nieprzerwane dźwięki fletów rozchodziły się szerokim echem ponad wioską, docierając do najdalszych nawet zakamarków starego zamczyska.

Połąć trzęsawiska rozplómięta była feerią ognistego światła, szkarłatnego i złowieszczonego, bijącego z dziwnych, prastarych ruin na odległej wysepce. Nie potrafię opisać aspektu owych ruin – musiałem chyba postradać zmysły – bowiem odniosłem wrażenie, iż wznoszą się one doskonałe, majestatyczne i nienaruszone, nietknięte zębem czasu, okolone smukłymi kolumnami. Marmurowe belkowania, w których odbijał się płomienisty blask strzelały w niebo, niczym iglica świątyni stojącej na szczycie wysokiej góry. Flety zawodziły, niebawem zawtórowały im bębny i gdy tak patrzyłem sparaliżowany, wydawało mi się, że dostrzegam mroczne płasające postaci odbijające się groteskowo na tle czerwonych promieni marmurów. Efekt był tytaniczny, aczkolwiek niewyobrażalny –i mógłbym przyglądać mu się bez końca, gdyby po mojej lewej stronie nie rozległ się nagle przybierający na sile dźwięk piszczałek. Przełamując przerażenie mieszające się przedziwnie z ekstazą, przeszedłem przez owalny pokój do



północnego okna, z którego roztaczał się widok na wioskę i równinę na skraju trzęsawiska. Moje oczy ponownie się rozszerzyły w wyrazie szaleńczego zdumienia, jak gdybym zaledwie przed chwilą nie oglądał niezwykłych i nadnaturalnych scen. Skąpaną w upiornym krwistym blasku równiną podążał korowód istot, jakich nigdy dotąd nie miałem okazji oglądać, z wyjątkiem najgorszych koszmarów sennych. Na wpół ślizgające się, na wpół unoszące się w powietrzu, odziane w biel bagienne widma wycofywały się z wolna w kierunku nieruchomych wód i wyspy z ruinami, ustawione w szyku zdającym się sugerować układ jakiegoś prastarego, poważnego tańca rytualnego. Ich na wpół przezroczyste ręce, kołyszące się w rytm nie cichnącego dźwięku fletów, przywoływały w niesamowity sposób tłum ślaniających się robotników, którzy podążali za nimi jak psy, wolno, sennie, bezmyślnie, powłócząc nogami, jak gdyby przyciągani jakąś nieodpartą demoniczną mocą. Gdy najady zbliżyły się do moczarów nie zmieniając kierunku marszu, nowy szereg sunących ociężale, zataczających się jak pijani mężczyźni, opuścił zamczysko wyjściem, które musiało znajdować się mniej więcej poniżej mojego okna, po czym przemierzył na ukos dziedziniec i dołączył do wlokącej się kolumny robotników na równinie. Pomimo odległości, jaka ich ode mnie dzieliła w mgnieniu oka rozpoznałem służących sprowadzonych z Północy, gdyż wzrok mój przykuła charakterystyczna, brzydka i nieforemna sylwetka kucharza, której absurdalność stała się teraz uderzająco tragiczna. Piszczalki zamilkły, od strony ruin ponownie dobiegł odgłos bębnow. Potem zgoła bezgłośnie i z gracją, najady dotarły do wody i jedna po drugiej wtopiły się w prastare trzęsawisko; podążający ich śladem robotnicy, nawet na chwilę nie zwalniając tempa marszu, wkroczyli w mętne fale i jedynym śladem określającym miejsce ich zniknięcia była niewielka chmura niezdrowych bąbelków, które z trudem mogłem dostrzec w blasku szkarłatnego światła. Kiedy tłusty kucharz, ostatni patetyczny uczestnik tego upiornego korowodu, znikł pośród szarawej, cuchnącej toni bagniska, dźwięk umilkł, a oślepiające

czerwone promienie płynące z ruin zgasły nieoczekiwanie, pozostawiając wioskę samotną i opuszczoną, skąpaną w słabym świetle księżyca. Mój stan wówczas określić można jedynie jako nieopisany chaos, nie wiedząc czy postradałem zmysły czy też byłem normalny, śniłem czy też może przebywałem w świecie jawy, popadłem w litościwe odrętwienie.

Wydaje mi się, że robiłem zgoła niedorzeczne rzeczy, zanosilem modły do Artemidy, Latony, Demeter, Persefony i Plutona. Wszystko, co sobie przypominałem z klasycznej edukacji, trafiało na me usta. w miarę jak groza sytuacji pobudzała tkwiące głęboko w moim sercu przesady. Czułem, że byłem świadkiem śmierci całej wioski i wiedziałem, że zostałem w zamku sam, jedynie z Denysem Barry'ym, którego śmiałość i duma były przyczyną tragedii.

Kiedy go wspomniałem, nowa groza przyprawiła mnie o atak konwulsji i runąłem na podłogę, nie zemdlałem, ale fizycznie byłem zupełnie bezradny. Potem zaś poczułem lodowaty podmuch od strony okna, w którym świecił teraz błądy księżyc i usłyszałem krzyki dobiegające z dolnej części zamczyska. Niebawem wrzaski przybrały na sile, a ich brzmienie i tego co w sobie zawierały wręcz nie sposób było opisać. Kiedy o nich myślę, ogarnia mnie fala niewypowiedzianej słabości. Jedyne, co mogę powiedzieć to to, iż wydawał je ktoś, kogo uważałem za swego przyjaciela.

W którymś momencie owego przerażającego, wstrząsającego epizodu, zimny wiatr i hałas musiały mnie zmusić do działania, gdyż następną rzeczą jaką pamiętam jest szaleńczy bieg przez atramentowoczarne pokoje i korytarze. Jak oszalały wybiegłem w upiorną posępną noc i przebiegłem przez dziedziniec...

Znaleźli mnie o świcie, krążącego bez zmysłów niedaleko Ballylough, ale z równowagi nie wytrąciły mnie bynajmniej koszmary jakie zobaczyłem, czy usłyszałem wcześniej.

Mamrotałem pod nosem o dwóch fantastycznych zdarzeniach jakie miały miejsce podczas mojej ucieczki – incydentach zgoła bez znaczenia w całej

sprawie, które jednak w dalszym ciągu nie dają mi spokoju i dręczą czasami, gdy przebywam sam, na posępnych, pustych trzęsawiskach, skąpanych w blasku księżyca.

Kiedy wybiegłem z przeklętego zamku i gnałem co sił w nogach wzdłuż skraju moczarów dobiegł mnie nagle zupełnie nowy dźwięk: pospolity, aczkolwiek nigdy dotąd, będąc w Kilderry, nie miałem okazji go słyszeć.

Stojące wody moczarów, w których ostatnimi czasy nie było żadnych zwierząt, były aż czarne od hord oślizłych, ogromnych ropuch, które rechotały ochryple i, co mogło wydawać się niemożliwe czy wręcz nieprawdopodobne, zdawałoby się – nieprzerwanie. Ich obrzmiałe, śliskie ciała zieleniły się w blasku księżyca, a ropuchy zdawały się spoglądać w górę, w kierunku źródła światła.

Podążyłem za spojrzeniem jednej wyjątkowo dużej i odrażająco szpetnej ropuchy; to była druga rzecz, która odjęła mi zmysły.

Dostrzegłem mianowicie ślad promienia – słabego, falującego światła – ciągnącego się od dziwacznych, prastarych ruin na odległej maleńkiej wyspie do zawieszzonego na atramentowoczarnym niebie bladego, posępnego księżyca. Co więcej, światło to nie odbijało się w wodach trzęsawiska. W górze zaś, na tle blednącej smugi widmowego blasku moja rozgorączkowana wyobraźnia zarejestrowała cienki, wijący się wolno cień; mglisty, zdeformowany, skręcający się i szamoczący, jakby ciągnęły go niewidzialne demony.

Pomimo, iż u kresu wytrzymałości i bliski utraty zmysłów, zdołałem jeszcze wychwycić w owym upiornym cieniu monstrualne podobieństwo. W przyprawiający o mdłości, niewiarygodny, karykaturalny, a nawet wręcz bluźnierczy sposób przypominał on człowieka, którego znałem pod nazwiskiem Denysa Barry'ego.

# 1. W mroku

## Reanimator

O Herbercie Weście, który był moim przyjacielem w college'u i "innym" życiu, mogę mówić jedynie z dojmującą zgrozą. Lęk ów nie jest jedynie efektem jego niedawnego zniknięcia w nader złowieszczy sposób, ale zrodził się z całej natury prac, które prowadził i w których po raz pierwszy osiągnął jawny sukces, przed ponad siedemnastu laty, kiedy byliśmy studentami trzeciego roku studiów medycznych na Uniwersytecie Miskatonic w Arkham.

Wtedy, fascynowała mnie dogłębnie wspaniałość i diaboliczność jego eksperymentów i byłem jego najbliższym przyjacielem. Teraz, kiedy go nie ma, czar prysnął, a rzeczywisty lęk jest dużo głębszy. Wspomnienia i możliwości, wydają się jeszcze bardziej okropne aniżeli rzeczywiste zdarzenia.

Pierwszy upiorny incydent w naszej znajomości był największym szokiem jakiego doświadczyłem i opowiadam o nim z ogromnym wahaniem.

Jak już wspomniałem, wydarzyło się to gdy studiowaliśmy medycynę, zaś West był już na uczelni powszechnie znaną postacią z uwagi na swe wstrząsające teorie dotyczące natury śmierci i możliwości sztucznego jej pokonywania. Jego poglądy, szeroko wyśmiewane i wyszydzane przez wykładowców i kolegów ze studiów, opierały się na całkowicie mechanistycznej naturze życia i dotyczyły sposobów operowania organiczną maszyną ludzkości, poprzez zastosowanie ściśle określonych działań chemicznych, po ustaniu procesów naturalnych. Podczas swoich eksperymentów z różnymi roztworami animacyjnymi, zabił i poddał terapii ogromną liczbę królików, świnek morskich, kotów, psów i małą, zdobywając przy tym opinię najbardziej zniechęconego studenta uczelni.

Kilkakrotnie udało mu się uzyskać u zwierząt, będących przypuszczalnie

martwymi oznaki życia; w wielu przypadkach były one nader brutalne, West zaś uświadomił sobie niebawem, że doprowadzenie do perfekcji swego eksperymentu i jego wyników – jeżeli w ogóle było to możliwe – będzie wymagało żmudnych badań i prawdopodobnie zabierze mu resztę życia.

Jasne stało się również, że skoro ten sam roztwór nigdy nie działa jednakowo na przedstawicieli różnych gatunków zwierząt, do dalszych i bardziej specjalistycznych badań będzie potrzebował okazów ludzkich. Właśnie w związku z tą kwestią po raz pierwszy popadł w konflikt z władzami uczelni i ni mniej, ni więcej tylko dziekan uniwersytetu – uczony i dobroduszny doktor Allan Malsey, którego walkę o życie chorych pamiętają wszyscy starzy mieszkańcy Arkham, osobiście zabronił Westowi kontynuowania eksperymentów.

Zawsze byłem wyjątkowo tolerancyjny, jeśli chodziło o prowadzone przez Westa badania i często dyskutowaliśmy na temat jego teorii, których rozgałęzienia i konsekwencje zdawały się niemal nieograniczone. Popierając teorię Maeckla, że życie jest procesem chemiczno – fizycznym, a tak zwana dusza nie istnieje, przyjaciel mój wierzył, iż sztuczne reanimowanie umarłych może zależeć jedynie od stanu tkanek, i że dopóki nie rozpoczną się procesy gnilne, zwłoki wyposażone we wszystkie organy przy pomocy specjalnych środków można ponownie przywrócić do szczególnego stanu zwanego życiem. West w pełni zdawał sobie sprawę, iż psychiczne bądź intelektualne życie może zostać bezpowrotnie zniszczone wskutek najdrobniejszej nawet degeneracji sensorywnych komórek mózgowych spowodowanej względnie krótkim okresem śmierci. Z początku miał nadzieję wynaleźć reagent, który przywracałby życie przed właściwym nadejściem śmierci, ale kolejne nieudane eksperymenty na zwierzętach uświadomiły mu, iż naturalne i sztuczne przejawy życia były niekompatybilne względem siebie.

Następnie zajął się eksperymentami na wyjątkowo młodych okazach, wstrzykując im swój roztwór do krwi, tuż po ich zgonie. Ta właśnie

okoliczność sprawiła, iż profesorowie zaczęli odnosić się nader sceptycznie do jego poczynań, uważając iż w żadnym z przypadków, nie nastąpiła faktyczna śmierć obiektu badanego, nie zadali sobie trudu, by przyjrzeć się całej sprawie bliżej i bardziej racjonalnie. Dlatego, potem, jak władze uczelni zawiesiły jego eksperymenty, West zwierzył mi się, iż postanowił w jakiś sposób zdobyć świeże zwłoki i kontynuować w sekrecie badania, których nie mógł już prowadzić otwarcie.

Słuchanie go, gdy rozprawiał o sposobach i celu swych działań było raczej makabryczne, gdyż na uczelni nigdy sami nie przygotowywaliśmy obiektów do badań anatomicznych. Kiedy kostnica nie mogła nam pomóc, sprawą zajmowali się dwaj Murzyni, i raczej rzadko pytano ich o cokolwiek.

West był wówczas niskim, szczupłym młodzieńcem w okularach, o delikatnych rysach twarzy, blond włosach i łagodnym głosie, toteż mogło się wydawać niewiarygodne, że ktoś taki mógł rozprawiać o nikłych korzyściach z poszukiwań obiektów do badań na terenie cmentarza Christ Church i Potter's Field, ponieważ prawie wszystkie chowane tam ciała były balsamowane, co rzecz jasna obracało eksperymenty Westa w niwecz. Byłem wtedy jego aktywnym i zagorzałym asystentem i pomagałem mu przy podejmowaniu wszelkich decyzji, nie tylko dotyczących źródła ciał, ale i znalezienia dogodnego miejsca, w którym moglibyśmy prowadzić naszą ohydłą pracę. To mnie przyszła na myśl opuszczona farma za Meadow Hill, w której w pokojach na parterze urządziliśmy laboratorium i salę operacyjną, a we wszystkich oknach zawiesiliśmy czarne zasłony, by skutecznie zamaskować nasze nocne działania. Dom stał z dala od drogi, w pobliżu zaś nie było żadnych posesji, aczkolwiek konieczne było podjęcie wszelkich możliwych środków ostrożności. Byle plotki o dziwnych światłach, rozpuszczone przez nocnych marków mogły doprowadzić do fiaska całego naszego przedsięwzięcia. Byliśmy zgodni, że w razie niespodziewanego odkrycia przyznamy, iż jest to laboratorium chemiczne. Stopniowo wyposażyliśmy naszą placówkę naukową w sprzęt zakupiony w Bostonie,

bądź wypożyczony cichaczem z uniwersytetu – staraliśmy się zamaskować go tak, by laicy nie zdołali zorientować się do czego służył – zaopatrzyliśmy się również w łopaty i oskardy, by przy ich pomocy grzebać w piwnicy domu użyte do eksperymentów okazy.

Ma uczelni mieliśmy piec krematoryjny, ale urządzenie było zbyt drogie jak na nasze nieautoryzowane laboratorium. Ciała zawsze stanowiły poważny problem, nawet truchła świnek morskich po drobnych eksperymentach prowadzonych przez Westa w jego pokoju w akademiku.

Przeglądaliśmy nekrologi, niczym ghule, gdyż poszukiwane przez nas okazy musiały spełniać kilka podstawowych warunków. Po pierwsze musiały być świeże i nie poddane zabiegom balsamującym, nie mogły być również ofiarami żadnych powodujących deformację chorób i musiały posiadać wszystkie organy.

Największą nadzieję pokładaliśmy w ofiarach wypadków. Przez wiele tygodni nie słyszeliśmy o żadnym, który odpowiadałby naszym wymaganiom, choć – z pozoru w imieniu uczelni, ale nie tak często by zwrócić na siebie uwagę – rozmawialiśmy z władzami kostnicy i szpitala. Dowiedzieliśmy się, że w każdym przypadku uniwersytet miał prawo pierwszeństwa przy otrzymaniu ciała, toteż mogło okazać się konieczne abyśmy pozostali w Arkham przez lato, kiedy zajęcia miały nieliczne osobowo grupy semestru letniego.

Koniec końców, jednak uśmiechnęło się do nas szczęście, gdyż któregoś dnia dowiedzieliśmy się o niemal idealnym dla nas przypadku zgonu: poprzedniego ranka w Summer's Pond utonął młody, silny robotnik i został niezwłocznie pochowany na koszt miasta. Ciała nie zabalsamowano.

Tego popołudnia odnaleźliśmy nowy grób i postanowiliśmy zabrać się do pracy krótko po północy. Rozpoczęliśmy nasze makabryczne dzieło w czarną, mroczną noc, choć wówczas nie znaleźliśmy jeszcze jedynej w swoim rodzaju cmentarnej grozy, której przysporzyły nam późniejsze nasze doświadczenia. Mieliśmy łopaty i zaciemnione naftowe lampy, bo, choć

wynaleziono już latarki, nie były wtedy jeszcze tak dobre jak dzisiejsze, te tungstenowe.

Odkopywanie szło nam okropnie wolno i gdybyśmy byli artystami moglibyśmy uznać naszą pracę za makabrycznie poetycką, byliśmy jednak naukowcami toteż ucieszyliśmy się, gdy nasze łopaty zgrzytnęły w drewno.

Kiedy pokrywa sosnowej skrzyni została zupełnie odkryta, West zsunął się do dołu i zdjął wieko, po czym wyciągnął nieboszczyka z trumny. Sięgnąłem w dół, wyciągnąłem go z dołu, po czym wraz z Western przywróciliśmy grób do poprzedniego stanu. Cała sprawa nieco nas zdenerwowała, zwłaszcza zaś sztywne ciało – nieruchome oblicze naszej pierwszej zdobyczy – niemniej jednak zdołaliśmy skutecznie zatrzeć wszelkie ślady nocnej wizyty.

Kiedy przyklepaliśmy łopatami ziemię na wierzchu grobu, włożyliśmy okaz do płóciennego worka i wyruszyliśmy w powrotną drogę do starego domu Chapmana, za Meadow Mili.

Tam, na prowizorycznym stole sekcyjnym w świetle silnej acetylenowej lampy, okaz nie wyglądał zbyt upiornie. Był to muskularny, i z wyglądu tępy osiłek, typ prostego plebejusza, potężny, szarooki szatyn, jurny zwierzak, pozbawiony psychologicznych subtelności i prawdopodobnie ograniczający wszelkie witalne procesy do najbardziej zdrowych i prostych. Teraz, z zamkniętymi oczyma wyglądał bardziej na śpiącego niż martwego, choć przeprowadzona przez mojego przyjaciela ekspertyza wstępna, nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości co do jego stanu.

Mieliśmy nareszcie to, czego West pragnął: prawdziwego trupa, w idealnym stanie, gotowego do przyjęcia roztworu przygotowanego zgodnie z najostrożniejszymi kalkulacjami i teoriami, do użycia na ludzkim okazie. Napięcie z naszej strony stało się ogromne.

Wiedzieliśmy, że szansę na całkowity sukces są nikłe, i nie mogliśmy wyzbyć się dojmującej zgrozy wynikającej z możliwości groteskowych rezultatów częściowej animacji. Nasze największe obawy związane były z



umysłem i reakcjami "istoty", gdyż w czasie, jaki upłynął od śmierci, bardziej delikatne komórki mózgowe mogły ulec degradacji. Co do mnie, nadal ciekawiła mnie kwestia tak zwanej "ludzkiej duszy" i lękałem się nieco sekretów, jakie mogły nam zostać wyjawione przez kogoś, kto powrócił z zaświatów. Zastanawiałem się jakie rzeczy mógł widzieć ów spokojny młodzian w niedostępnych sferach i co mógłby nam opowiedzieć, gdyby został w pełni przywrócony do życia. Jednak moja ekscytacja i zdumienie nie były wszechogarniające, gdyż w dużej mierze podzielałem materializm mojego przyjaciela. Był spokojniejszy ode mnie, gdy wpuścił pokąsną dawkę swego roztworu do żyły trupa i błyskawicznie zabezpieczył powstałą ranę.

Oczekiwanie było potworne, ale West nie zasypiał gruszek w popiele. Co kilka chwil przykładał stetoskop do piersi okazu i filozoficznie oznajmiał o negatywnych wynikach. Gdy po trzech kwadransach okaz nie dał najmniejszych oznak życia, z wyraźnym rozczarowaniem uznał roztwór za nieudany, ale postanowił wykorzystać okazję i przed pozbyciem się ciała spróbować jeszcze jednej, nieco zmienionej formuły. Tego wieczora wykopaliśmy w piwnicy dół i przed świtem mieliśmy go zapełnić, bo choć zaopatrzyliśmy dom w mocne zamki, chcieliśmy uniknąć wszelkiego, najmniejszego nawet ryzyka, odkrycia naszych posępnych praktyk. Poza tym następnego wieczoru ciało nie byłoby zbyt świeże. Dlatego też, zabierając jedyną acetylenową lampę do sąsiedniego laboratorium, pozostawiliśmy naszego milczącego gościa na stole, w ciemności, i poświęciliśmy całą energię na sporządzenie nowego roztworu; ważenie i odmierzanie mieszanki nadzorował West z niemal fanatyczną troskliwością.

Upiorne zdarzenie nastąpiło nagle i zgoła nieoczekiwanie. Przelewałem coś z jednego naczynia laboratoryjnego do drugiego, zaś West pochylał się nad palnikiem spirytusowym, gdyż w tym pozbawionym dopływu gazu domu nie można było podłączyć bunsena – gdy z mrocznej czeluści pokoju, który niedawno opuściliśmy, buchnął potok najbardziej przerażających, demonicznych wrzasków, jakie mieliśmy kiedykolwiek okazję słyszeć.

Upiorny dźwięk nie mógłby być okropniejszy, nawet gdyby otwarły się wszystkie bramy piekieł, i rozległo się dobiegające z otchłani wycie potępionych, gdyż w tej jednej niesłychanej kakofonii zawierała się cała nadnatura, groza i rozpacz animowanej natury, nie ludzkiej, gdyż żaden człowiek nie byłby w stanie wydać z siebie takich odgłosów. Mię myśląc wcale o naszym martwym okazie, obaj, ja i West rzuciliśmy się jak spłoszone zwierzęta, w stronę najbliższego okna, po czym przewracając naczynia laboratoryjne, lampę i retorty, pognaliśmy jak szaleni w rozgwieżdżoną sielską, wiejską noc. Sądzę, że krzyczeliśmy w czasie biegu zataczając się obłąkańczo, aczkolwiek, gdy dotarliśmy do przedmieścia, pozwoliliśmy sobie na odrobinę wytchnienia. Wyglądaliśmy teraz jak dwaj rewelersi, wracający do domu z nocnej bibki.

Nie rozdzieliliśmy się, ale dotarliśmy do wynajętego pokoju Westa, gdzie do świtu szeptaliśmy z ożywieniem, przy zapalonym świetle. Do tej pory zdołaliśmy się już uspokoić, opracowaliśmy racjonalne teorie i plany dalszego działania, abyśmy mogli przespać resztę dnia; zajęcia postanowiliśmy sobie odpuścić.

Jednak wieczorem dwa artykuły w gazecie, zupełnie ze sobą nie związane, sprawiły, iż ponownie odechciało się nam spać. Z niewyjaśnionych przyczyn, stary, opuszczony dom Chapmanów spłonął doszczętnie, do fundamentów; fakt ten byliśmy w stanie wytłumaczyć, przewróconą podczas naszej pośpiesznej ucieczki lampą naftową. Drugi artykuł wszakże, wspominał o próbie zbeczeszczenia nowego grobu na Potter's Field, przy czym wydaje się jakoby miał łopatą, ktoś próbował rozkopać ziemię gołymi rękami. Tego nie byliśmy w stanie pojąć, ani wytłumaczyć, gdyż łopatom bardzo starannie ubiliśmy ziemię na całym grobie.

Przez kolejnych siedemnaście lat, West często oglądał się przez ramię i skarżył się, że słyszy za sobą odgłosy dziwnego stąpania. A teraz zniknął.

## Demon Plagi

Nigdy nie zapomnę upiornego lata, szesnaście lat temu, kiedy Arkham, niczym anioł śmierci nawiedziła fala tyfusu. Właśnie przez ową szatańską plagę rok ów tak dobrze wrył mi się w pamięć, przez rzeczywisty terror przelatujący na nietoperzych skrzydłach ponad stosami trumien w grobowcach Cmentarza Christ Church, niemniej jednak w tamtym okresie byłem świadkiem jeszcze większego koszmaru, koszmaru, o którym teraz, kiedy Herbert West zaginął, wiem już tylko ja.

West i ja pracowaliśmy, po uzyskaniu dyplomów magisterskich, jako asystenci na wydziale medycyny Uniwersytetu Miskatonic, zaś mój przyjaciel stał się szeroko znany, z powodu swoich eksperymentów prowadzących do ożywiania umarłych.

Po rzezi – w imię nauki – niezliczonej ilości małych zwierzątek, owo dziwaczne dzieło zostało ostentacyjnie przerwane nakazem naszego sceptycznego dziekana, doktora Allana Malsey'a; mimo to West kontynuował pewne testy potajemnie, w wynajętym pokoju w akademiku, a w jednym przerażającym i niezapomnianym wypadku wydobył ludzkie ciało z grobu na Potter's Field i przeniósł na opuszczonej farmę za Meadow Mili.

Byłem z nim wówczas, i widziałem jak wstrzykuje do nieruchomych żył eliksir, mający, jak przypuszczał, pobudzić w pewnym stopniu chemiczne i fizyczne procesy życiowe okazu. Skończyło się to w potworny sposób – istnym delirium strachu, które dawkowaliśmy stopniowo naszym starganym nerwom – zaś West już nigdy od tej pory nie zdołał pozbyć się przyprawiającego o obłęd wrażenia bycia prześladowanym i ściągającym.

Ciało nie było dość świeże; nie ulega wątpliwości, iż aby odzyskać normalne zdolności mentalne, ciało musi być naprawdę bardzo świeże;

natomiast spalenie starego domu, uchroniło nas przed koniecznością pogrzebania "istoty". Byłoby lepiej, gdybyśmy wiedzieli, że spoczywa kilka stóp pod ziemią.

Po tym doświadczeniu, West na pewien czas zarzucił swoje eksperymenty, niemniej jednak jego zapał urodzonego naukowca z wolna zaczął powracać, znowu nagabywał władze uczelni o umożliwienie mu dostępu do sali sekcyjnej i ludzkich okazów do prac, które uważał za ogromnie ważne. Jego prośby i błagania spełzły na niczym. Decyzja doktora Malsey'a była niepodważalna, a wszyscy profesorowie z uczelni podzielali decyzję ich szefa. W radykalnej teorii reanimacji dostrzegli jedynie niedojrzałe wynaturzenia młodego entuzjasty, którego szczupła sylwetka, blond włosy, niebieskie oczy za okularami w drucianych oprawkach i łagodny głos nie pozwalały domyślać się nadnaturalnej diabolicznej wręcz mocy zimnego mózgu, którym był obdarzony.

Widzę go teraz takim, jakim był wtedy – i przeszywa mnie dreszcz. Jego twarz sposepniała, ale nigdy się nie postarzała. A teraz w Sefton miało miejsce to okropne zdarzenie, a West zaginął...

Ostatecznie West pokłócił się z doktorem Malsey'em pod koniec naszego ostatniego semestru, przed obroną pracy, a wymiana zdań jaką odbyli nie była bynajmniej stonowana, przy czym mój przyjaciel, bardziej niż dobrotliwy dziekan nie popisał się ogładą. Czuł, że stale i zgoła irracjonalnie opóźniano jego wiekopomne dzieło; dzieło, które rzecz jasna mógł kontynuować w latach późniejszych, ale które pragnął rozpocząć, gdy miał jeszcze dostęp do sal i sprzętu na uniwersytecie.

Fakt, iż starsi tradycjoniści zignorowali rezultaty jego eksperymentów na zwierzętach i uparcie zaprzeczali możliwościom reanimacji, był dla młodego, pełnego temperamentu, logicznego umysłu Westa wielce odrażający i niemal niezrozumiały. Jedyne większa dojrzałość mogła pomóc mu w zrozumieniu chronicznych ograniczeń umysłowych ludzi typu "profesorowie – doktorzy", będących produktami pokoleń patetycznych

Purytanów, łagodnych, sumiennych, niekiedy dobrodusznym i życzliwych, aczkolwiek zawsze nietolerancyjnych, ograniczonych, nastawionych tradycjonalistycznie i pozbawionych perspektyw. Wiek jest bardzo łaskawy dla tych niedoskonałych, acz wielkodusznym osobników, których największą słabością była bojaźliwość i którzy są ostatecznie karani powszechnym wyszydzeniem, za swe intelektualne grzechy, grzechy takie jak: ptolemeizm, kalwiznizm, anty-darwinizm, anty-Nietzscheanizm czy wszelkie odmiany sabbateanizmu.

Westowi – ostatecznie młodemu człowiekowi – pomimo jego cudownych naukowych osiągnięć, brakowało cierpliwości w stosunkach z dobrotliwym doktorem Malsey'em i jego wykształconymi kolegami. Tłumił w sobie coraz większe oburzenie, a w głębi serca pragnął w jakiś widowiskowy i dramatyczny sposób udowodnić swoje teorie tym tępym jajogłowym.

Jak większość młodych, tak i on snuł skomplikowane marzenia na jawie, marzenia o zemście, triumfie i ostatecznym, wielkodusznym przebaczeniu.

I wtedy pojawiła się zaraza, uśmiechnięta i zabójcza. przybywająca wprost z koszmarnych jaskiń Tartaru. Zanim się zaczęła, West i ja zdążyliśmy obronić prace, ale pozostaliśmy na uczelni w charakterze asystentów dla semestru letniego, toteż znajdowaliśmy się w Arkham, kiedy plaga z iście demoniczną furią uderzyła na miasto. Choć nie byliśmy jeszcze licencjonowanymi lekarzami, mieliśmy już tytuły magisterskie i w miarę jak rosła liczba zagrożonych, posłano nas pospiesznie, byśmy pomagali chorym. Sytuacja niemal całkowicie wydostała się spod kontroli, a ludzie marli jak muchy, tak że grabarze nie mogli nadążyć z pochówkiem.

Pogrzeby bez balsamowania zwłok przeprowadzano błyskawicznie, jeden za drugim i nawet krypta grobowca na cmentarzu Christ Church była zastawiona trumnami pełnymi nie zabalsamowanych zmarłych. Te okoliczności nie mogły nie wywrzeć żadnego wrażenia na Weście, który często zastanawiał się nad ironią całej sytuacji: tyle świeżych okazów, a mimo to nie miał żadnego do swoich zawieszonych eksperymentów!

Byliśmy przeraźliwie przepracowani, a upiorne napięcie umysłowe i nerwowe wprawiło mojego przyjaciela w grobowy nastrój.

Jednak łagodni wrogowie Westa również obarczeni byli piętrzącymi się coraz bardziej obowiązkami. Uczelnia została zamknięta, a każdy lekarz z wydziału medycyny niósł pomoc w walce z plagą tyfusu. Doktor Malsey zasłużył się szczególnie w ofiarnej służbie, poświęcając swe wyjątkowe umiejętności i nie słabnącą energię ducha przypadkom, które inni porzucali, z uwagi na niebezpieczeństwo, lub ich ewidentną beznadziejność. W ciągu miesiąca nieustraszony dziekan stał się ludowym bohaterem, aczkolwiek wydawał się absolutnie nieświadomy swojej sławy walcząc z wyczerpaniem, gdyż o mało nie padał z nóg wskutek Fizycznego zmęczenia i wycieńczenia psychicznego. West nie potrafił ukryć podziwu dla męstwa swego przeciwnika, ale również i z tego powodu pragnął, z jeszcze większą determinacją, udowodnić mu prawdziwość swych zadziwiających doktryn.

Wykorzystując dezorganizację i chaos, zarówno w pracy uczelni, jak i w lokalnych przepisach dotyczących ochrony zdrowia, zdołał zdobyć świeże zwłoki, przetransportować je nocą do sali sekcyjnej na uniwersytecie i tam, w mojej obecności, wstrzyknął trupowi zmodyfikowaną wersję swego roztworu. Istota faktycznie otworzyła oczy, ale tylko wpatrywała się w sufit z wyrazem porażającej duszę zgrozy, zanim popadła w stan całkowitego odrętwienia, z którego nic nie mogło jej wytrącić. West stwierdził, iż nie było dostatecznie świeże –gorące, letnie powietrze nie wpływa korzystnie na zwłoki. Tymczasem o mało nas nie przyłapano, zanim zdążyliśmy spalić ciało, i West wątpił czy byłoby rozsądnym powtarzanie jego śmiałego wyczynu związanego z nieco innym wykorzystaniem uczelnianego laboratorium.

Epidemia osiągnęła swą kulminację w sierpniu. West i ja o mało nie wyzionęliśmy ducha, zaś czternastego tego miesiąca zmarł doktor Malsey. Piętnastego wszyscy studenci przybyli na pospiesznie wyprawiony pogrzeb i kupili ogromny wieniec, choć ten ostatni, znikł pośród góry kwiatów i

wieńców przysłanych przez zamożnych mieszkańców Arkham i przez radę miejską. Była to bądź co bądź, sprawa publiczna, gdyż dziekan z całą pewnością był

publicznym beneficjentem. Po pogrzebie wszyscy byliśmy nieco przygnębieni i spędziliśmy popołudnie w barze Izby Handlowej, gdzie West, pomimo iż wstrząśnięty śmiercią swego głównego przeciwnika, zmroził nas wszystkimi wzmiankami o swych śmiałych teoriach.

Większość studentów pod wieczór udała się do domów, lub miała jakieś obowiązki, ale West przekonał mnie abym pomógł mu uczynić tę noc, nocą przez duże M. Właścicielka domu, w którym West wynajmował pokój, zobaczyła nas, jak wchodziliśmy tam, około drugiej nad ranem, w towarzystwie trzeciego mężczyzny, którego wspólnie z Herbertem podtrzymywaliśmy i powiedziała swemu mężowi, iż niewątpliwie musieliśmy sobie dobrze podjąć i z całą pewnością nie wylewaliśmy przy tym za kołnierz.

Owa zgryźliwa kobieta miała najwyraźniej rację, gdyż około trzeciej nad ranem cały dom został postawiony na nogi wrzaskami dobiegającymi z pokoju Westa. a gdy wdarto się do środka, wyważając drzwi, znaleziono nas obu nieprzytomnych, leżących na zbryzganym krwią dywanie, pobitych, podrapanych i posiniaczonych, zaś wokół nas po podłodze wały się potłuczone szczątki butelek i instrumentów Westa. Jedyne otwarte okno powiedziało im, co się stało z naszym napastnikiem, a wic to zastanawiało się, jak udało mu się przeżyć przerażający skok z okna pierwszego piętra na znajdujący się poniżej trawnik. W pokoju natrafiono na fragmenty dziwnego odzienia, ale West odzyskawszy przytomność wyjaśnił, że nie należały do obcego, lecz były obiektami zebrany mi w celu dokonania analizy bakteriologicznej w związku z badaniami dotyczącymi przenoszenia zakażeń bakteryjnych.

Nakazał spalić je tak szybko jak to możliwe, w dostatecznie dużym kominku. Policji zeznaliśmy, że nie znaleźliśmy tożsamości człowieka, który

nas napadł. Był to, jak stwierdził rzeczowo West, zwykły nieznajomy, którego spotkaliśmy w jednym z tych anonimowych barów w śródmieściu. Zachowaliśmy się raczej jowialnie i ani West, ani ja nie złożyliśmy wniosku o ściganie naszego krewkiego kompana.

Tej samej nocy w Arkham rozpoczął się nowy koszmar, koszmar który, moim zdaniem, przewyższył nawet grozę plagi tyfusu. Cmentarz Christ Church stał się sceną potwornej zbrodni; nocny stróż został rozdarty na śmierć w sposób, nie tylko zbyt okrutny, by można go było tu przytoczyć, ale który wzbudził wątpliwości co do tego, czy sprawca zabójstwa był w ogóle człowiekiem. Ofiarę po raz ostatni widziano żywą już po północy, a o świcie odkryto jej rozszarpane na strzępy szczątki. Przesłuchano kierownika cyrku z pobliskiego miasteczka Bolton, ale mężczyzna zaklinał się, że wszystkie jego drapieżniki znajdowały się zamknięte bezpiecznie w swoich klatkach. Ci, którzy znaleźli ciało zauważyli ślady krwi prowadzące do zbiorowego grobowca, na betonie zaś, za bramą, widniała niewielka kałuża szkarłatu. nieco słabsze ślady wiodły w kierunku lasu, ale w pewnym momencie, ni stąd, ni zowąd się urywały.

Następnej nocy diabły tańczyły na dachach Arkham, a wiatr zawodził bluźniercze, szalone pieśni. Poprzez nękaną plagą miasto przemykała klątwa, o której wielu sądziło, iż była gorsza od zarazy, a nieliczni szeptali, że stanowiła ucieleśnienie demonicznej duszy samego moru. Bezimienna istota, pozostawiająca po sobie krwawe ślady, wdarła się do ośmiu domów, a pokłosiem wizyty owego milczącego, sadystycznego monstrum było siedemnaście zmasakrowanych, niemożliwych do rozpoznania szczątków ciał.

Kilka osób, które zdołało ją dostrzec w ciemności stwierdziło, iż była biała i wyglądała, jak zdeformowana małpa albo antropomorficzny czart, nie zawsze zdarzało mu się pozostawiać ofiarę w takim stanie, w jakim była gdy ją zaatakował, gdyż niekiedy bywał głodny. Zabił w sumie czternaście osób – trzy, które padły ofiarą zarazy, zastał w ich domach już martwe.



Trzeciej nocy grupka zapalonych poszukiwaczy zdołała ją pochwycić w domu przy Crane Street, opodal miasteczka uniwersyteckiego Miskatonic. Obława była zorganizowana nader przemyślnie i bez rozgłosu, dzięki pomocy ochotniczych stacji radiowych. Z powodu generalnego alarmu i podjętych środków ostrożności, tym razem były już tylko dwie ofiary, zaś pojmanie sprawcy odbyło się bez strat w ludziach.

W końcu istota została powstrzymana przez kulę –ale tylko zraniona, nie zabita – po czym przewieziono ją do miejscowego szpitala, przy powszechnej ekscytacji i odrazie ze strony ogółu.

Był to bowiem człowiek. Co do tego nie ulegało wątpliwości, pomimo ohydnych oczu, małpiej niemoty i demonicznej dzikości. Opatrzono mu ranę i wywieziono do zakładu dla obłąkanych w Sefton, gdzie przez szesnaście kolejnych lat, stworzenie to zawzięcie biło głową w wyłożone miękką gąbką ściany swojej celi, aż do niedawnego incydentu, kiedy, w okolicznościach, o których mało kto chce wspominać, zdołało uciec. Tym co przyprawiło grupę poszukiwaczy z Arkham o największą odrazę, było oblicze bestii – kiedy w końcu ją umyło i doprowadzono do porządku – ironiczne, niewiarygodne wręcz podobieństwo do uczonego samarytanina, szlachetnego męczennika, który został pochowany zaledwie przed trzema dniami: świętej pamięci doktora Allana Malsey'a. dobroczyńcy publicznego i dziekana wydziału medycyny Uniwersytetu Miskatonic.

Dla zaginionego Herberta Westa, jak i dla mnie, reakcją na ten fakt było bezgraniczne obrzydzenie i zgroza. Wzdragam się, jeszcze dzisiaj, kiedy o tym myślę, bardziej nawet niż tamtego ranka, kiedy West mruknął przez bandażę:

– "Do diaska, nie było dość świeże!"

## Sześć strzałów w blasku księżyca

Jest rzeczą raczej niesłychaną, by oddawać, jeden za drugim, sześć strzałów z rewolweru, skoro przypuszczalnie wystarczyłby tylko jeden, ale w życiu Herberta Westa było doprawdy wiele niezwykłości. Ma ten przykład, nie często zdarza się, że młody lekarz, opuszczający uczelnię, ukrywa powody dotyczące, takiego a nie innego wyboru domu czy gabinetu, jednak w przypadku Westa tak właśnie było. Kiedy uzyskaliśmy dyplomy i wypłynęliśmy na szerokie wody, by rozpocząć prywatną praktykę, staraliśmy się, możliwie najdyskretniej pomijać fakt, iż wybraliśmy nasz dom, ponieważ znajdował się na uboczu i w miarę niedaleko cmentarza.

Odosobnienie tego typu rzadko pozbawione jest przyczyn – i z nami było podobnie – gdyż badania jakie prowadziliśmy wymagały raczej niezbyt popularnych i niemile widzianych rozwiązań. Z pozoru byliśmy zwykłymi lekarzami, ale w głębi serca nasze działania skierowane były ku większemu i bardziej przerażającemu celowi. Herbert West bowiem poświęcił swe życie prowadzeniu poszukiwań wśród mrocznych i zakazanych "krain nieznanego", na rubieżach których miał nadzieję odkryć tajemnicę życia i przywracania zimnej, cmentarnej gliny do stanu niekończącej się animacji. Tego typu badania wymagają dziwnych materiałów – między innymi świeżych ludzkich ciał – i aby mieć ich stały zapas, należało prowadzić ciche i spokojne życie nieopodal' miejsca ich spoczynku.

West i ja poznaliśmy się na studiach, i tylko ja jeden byłem nastawiony przychylnie do jego okropnych eksperymentów, tak że w miarę upływu czasu stałem się jego nieodłącznym asystentem. Dzięki poparciu uniwersytetu załatwiono nam praktykę w Bolton, przemysłowym mieście opodal Arkham, gdzie mieściła się nasza uczelnia. Fabryka Włókiennicza Bolton, to

największy tego typu zakład w dolinie Miskatonic, a zatrudnieni tam cudzoziemcy bywają nader częstymi gośćmi u lokalnych lekarzy. Wybraliśmy nasz dom z największą troskliwością, decydując się na zajęcie ostatniego, raczej zapuszczonego domku na samym końcu Pond Street, o pięć minut od najbliższego sąsiedztwa i oddalonego od miejscowego cmentarzyka łąką, przedzieloną w połowie wąskim pasmem, leżącego na północy, dość gęstego lasu.

Odległość była większa, niż byśmy sobie tego życzyli, ale po tej stronie łąki nie było innego domu, zaś te po przeciwnej nie podlegały okręgowi fabryki. Niemniej jednak, byliśmy ogólnie zadowoleni, gdyż pomiędzy naszym domem a złowieszczym źródłem zaopatrzenia, nie było domów mieszkalnych. Fakt, szło się tam dosyć długo, aczkolwiek bez najmniejszych przeszkód mogliśmy przynosić nasze milczące obiekty badań do domu.

Od samego początku nasza praktyka ruszyła ostro z kopyta, mieliśmy dostatecznie dużo pracy, by jako młodzi lekarze poczuć się zadowoleni, ale i na tyle dużo, byśmy poczuli się znudzeni i zatroskani, gdyż rzecz jasna, interesowało nas wówczas coś zupełnie innego.

Robotnicy z fabryki byli raczej krewkiej natury, i poza wieloma naturalnymi potrzebami, musieli wyładowywać swój temperament w rozlicznych bójkach na pięści i noże, dzięki czemu mieliśmy obaj z Western pełne ręce roboty. Jednak nasze umysły pochłonięte były w głównej mierze sekretnym laboratorium, które urządziliśmy w piwnicy: było tam światło elektryczne i długi stół, na którym późną nocą składaliśmy wykopane z cmentarza okazy Westa, by wstrzyknąć im do żył rozmaite roztwory. West jak szalony prowadził szeroko zakrojone eksperymenty, usiłując wynaleźć miksturę, która na nowo pobudziłaby wszelkie funkcje życiowe organizmu, zahamowane przez proces zwany potocznie śmiercią, ale natrafiał w swych badaniach na wiele ogromnych przeszkód. Dla poszczególnych gatunków trzeba było preparować oddzielne specyfiki, to co nadawało się dla świnek morskich, nie służyło ludziom, zaś inne gatunki wymagały jeszcze większych

modyfikacji.

Ciała musiały być wyjątkowo świeże, gdyż już lekki rozkład tkanki mózgowej czynił idealną reanimację niemożliwą. nie ulega wątpliwości, iż największym problemem było pozyskiwanie możliwie jak najświeższych ciał;

Węst podczas swych sekretnych badań na uczelni miał przerażające doświadczenia ze zwłokami wątpliwej świeżości. Rezultaty częściowej lub niedoskonałej animacji były bardziej przerażające, niż zupełne niepowodzenia, i obaj mieliśmy szokujące wspomnienia kilku tego typu przypadków. Poza tym, od czasu naszej pierwszej demonicznej sesji na opuszczonej farmie, na Meadow Mili w Arkham, dręczyło nas dziwne, mroczne uczucie zagrożenia, zaś West, ów spokojny, niebieskooki blondyn – okularnik, pomimo iż pod wieloma względami przypominał robota wykazującego mechanicznie naukowe czynności, zwierzał mi się często, że ma wrażenie, jakby ktoś go śledził. Owo niejasne odczucie – wywołane było przez stargane nerwy, wzmożone niezaprzeczalnie niepokojącym faktem, iż co najmniej jeden z naszych okazów wciąż jeszcze pozostawał przy życiu: owa przerażająca drapieżna istota, zamknięta w pokoju bez klamek, w zakładzie w Sefton. I był jeszcze drugi fakt: nasz pierwszy okaz, o którego losie nigdy się nie dowiedzieliśmy.

W Bolton mieliśmy szczęście; jeżeli chodzi o okazy do badań, powiodło się nam dużo lepiej niż w Arkham. Nie minął tydzień, odkąd się tam zadowiliśmy, gdy trafiła się nam ofiara wypadku. Wykopaliśmy ją w nocy, po pogrzebie, a zanim roztwór przestał działać, otworzyła oczy, i ich wyraz wydawał się całkiem racjonalny. Straciła rękę; być może odnieśliśmy większy sukces, gdyby ciało nie było uszkodzone.

Pomiędzy tym dniem, a styczniem przyszłego roku dokonaliśmy trzech kolejnych eksperymentów: jeden zakończył się kompletnym fiaskiem, w drugim nastąpiły zauważalne ruchy mięśni okazu, w trzecim zaś, najbardziej wstrząsającym, obiekt wyprostował się i krzyknął. Potem nastąpił raczej

pechowy okres – było mniej zgonów, a jeżeli już miały miejsce, okazały były zbyt chore, lub zbyt okaleczone, by mogły służyć do naszych celów. Śledziliśmy uważnie okoliczności i przyczyny każdego ze zgonów.

Pewnej marcowej nocy, nieoczekiwanie trafił w nasze ręce okaz nie pochodzący z Potter's Field. W Bolton, przeważający duch purytanizmu umieścił boks w kategorii sportów zakazanych, z typowym rzecz jasna rezultatem. nielegalne walki były wśród robotników fabryki na porządku dziennym, zaś od czasu do czasu w pojedynkach brał udział zawodowy talent bokserski, niższego szczebla. Taki właśnie pojedynek odbył się owej ciemnej zimowej nocy, i najwidoczniej zakończył się w nader brutalny sposób, skoro do naszego domu przybyło cichaczem dwóch mocno zdenerwowanych Polaków, prosząc nas usilnie – i szeptem – abyśmy pospieszyli do sekretnego i nie cierpiącego zwłoki przypadku. Poszliśmy za nimi do opuszczonej stodoły, gdzie niewielka gromadka przerażonych cudzoziemców –jaka zdecydowała się tam pozostać – wpatrywała się w milczącą czarną sylwetkę leżącą na podłodze.

Pojedynek odbył się pomiędzy Kidem O'Brienen, potężnie zbudowanym – a obecnie drżącym, jak osika, młodzieńcem o haczykowatym nosie, a Buckiem Robinsonem znanym jako "Dymek z Harlemu". Czarny został znokautowany i nawet pobieżne badania powiedziały nam, że człowiek ów już nigdy nie wstanie. Był odrażającym, przypominającym goryla osiłkiem, o nienormalnie długich ramionach, które nieodmiennie kojarzyły mi się z małpimi, a jego oblicze przywodziło myśli o niewypowiedzianych, mrocznych tajemnicach Konga i dźwiękach tamtamów rozbrzmiewających podczas każdej pełni księżyca, nieszczęsnych widzów pojedynku ogarnęła zgroza; nie wiedzieli, jak zachowałyby się policja, gdyby cała sprawa nie została zatuszowana, i zareagowali z nieskrywaną wdzięcznością, gdy West, pomimo moich mimowolnych oporów, zaproponował, że po cichu pozbędzie się ciała, zamierzając – o czym doskonale wiedziałem – wykorzystać je do swoich mrocznych celów.

Bezśnieżny krajobraz skąpany był w księżycowym blasku, my zaś przyodziawszy trup, zanieśliśmy go do domu, przez opustoszałe uliczki i puste łąki, podobnie jak uczyniliśmy to owej przerażającej nocy w Arkham. Zbliżyliśmy się do domu przez łąkę, od tyłu, wnieśliśmy nasz okaz do środka tylnym wejściem i znieśliśmy schodami do piwnicy, tam zaś przygotowaliśmy go do zwyczajowego eksperymentu. Masz lęk przed policją był tak absurdalnie wielki, że nadłożyliśmy czasu i drogi, aby ominąć pojedynczego policjanta patrolującego ten teren.

Rezultat był nieco bezbarwny i zgoła rozczarowujący. Pomimo iż nasz okaz wyglądał upiornie i groźnie, okazał się absolutnie nieczuły na wszelkie roztwory, jakie wstrzyknęliśmy w jego czarne ramię, roztwory, które przygotowaliśmy bazując jedynie na doświadczeniach z białymi okazami. Gdy świt był już niepokojąco blisko, przenieśliśmy ciało przez pola, na skraj lasu opodal cmentarza i pogrzebaliśmy tam, w najlepszym grobie jaki byliśmy w stanie wykopać w zmarzniętej ziemi.

Po milczącym powrocie, położyłem się otepiały, nie reagując na księżyc świecący mi prosto w oczy. I nagle rozległo się jednostajne stukanie do tylnych drzwi. West również je usłyszał i wszedł do mojego pokoju. Miał na sobie koszulę nocną i pantofle; w jednym ręku trzymał rewolwer, w drugim zaś latarkę. Sądząc z rewolweru, bardziej spodziewał się wizyty kogoś innego, niż policji.

– Lepiej chodźmy we dwóch – wyszeptał. – Tak czy inaczej, lepiej żebyśmy otworzyli – może to jakiś pacjent, tylko tym kretynom mogło wpaść do głowy, by dobijać się do tylnego wejścia.

Zeszliśmy cichutko, ostrożnie, po schodach, ogarnięci częściowo tylko usprawiedliwionym lękiem, po części zaś, nasze obawy wynikały jedynie z nietypowej pory, o jakiej ów tajemniczy gość zawitał w nasze progi. Łomotanie nie ustawało, a wręcz przeciwnie, wyraźnie przybrało na sile. Kiedy dotarliśmy do drzwi, ostrożnie odsunąłem zasuwę i otworzyłem je gwałtownie, a gdy srebrzysty księżycowy blask spłynął na znajdującą się za

nimi postać, West uczynił zdumiewającą rzecz. Pomimo oczywistego zagrożenia jakie niosło zwracanie na siebie uwagi, które mogło doprowadzić do fatalnej w skutkach wizyty policji i męczących przesłuchań – mój przyjaciel, nagle gwałtownie, i zgoła niepotrzebnie, opróżnił cały bębenek rewolweru, faszując naszego nocnego gościa ołowiem.

Okazało się bowiem, iż nie był to policjant. W upiornym blasku księżyca, na progu czał się gigantyczny, zdeformowany stwór, rodem z najgorszych koszmarów – szklisko, czarne widmo, kucające na progu, prawie na czworakach, pokryte grudami ziemi, liśćmi i pędami winorośli, zbryzgane zaschniętą posoką i trzymające między błyszczącymi zębami śnieżnobiały, potworny cylindryczny przedmiot zakończony drobną rączką.

## Krzyk umarłego

Krzyk wyjącego nieboszczyka sprawił, iż w moim sercu zrodził się lęk przed Herbertem Western, nie tłumiona, jawna zgroza, która dominowała w ostatnich latach naszej współpracy.

To całkiem normalne, że coś takiego, jak wrzask trupa, powinno budzić przerażenie; niemniej jednak byłem przyzwyczajony do tego typu rzeczy, a ten przypadek wstrząsnął mną jedynie ze względu na niezwykle okoliczności. I, jak już wspomniałem, to nie samego trupa zacząłem się obawiać.

Herbert West, którego byłem współpracownikiem i asystentem, przejawiał naukowe zainteresowania przekraczające zwyczajową rutynę małomiasteczkowego lekarza. Z tego właśnie powodu, kiedy uzyskał praktykę w Bolton, wybrał stojący na uboczu dom, niedaleko cmentarza. Mówiąc krótko i dobitnie, głównym zainteresowaniem Westa było potajemne studiowanie fenomenu życia i śmierci, prowadzące do reanimowania zmarłych za pomocą zastrzyków z roztworem pobudzającym. Właśnie ze względu na owe upiorne eksperymenty, konieczny był stały dostęp do bardzo świeżych ludzkich ciał; bardzo świeżych, ponieważ nawet najdrobniejszy rozkład bezpowrotnie niszczył strukturę mózgu; a ludzkich, gdyż okazało się, iż roztwór ów musiał być preparowany w różny sposób dla różnych typów organizmów.

Zginęły setki królików i świnek morskich, które następnie zostały poddane terapii, ale okazało się, iż brnęliśmy w ślepią uliczkę. West nigdy nie odniósł pełnego sukcesu, ponieważ nigdy nie udało mu się zdobyć dostatecznie świeżych zwłok.

Tym, czego pragnął były trupy, z których dopiero co uciekło życie; ciała, że wszystkimi komórkami nienaruszonymi, zdolnego do ponownego



przyjęcia impulsu, prowadzącego ku formie ruchu zwanej życiem. Istniała nadzieja, że to drugie, sztuczne życie może być powtarzane, dzięki seriom zastrzyków, ale dowiedzieliśmy się, że zwyczajne, naturalne życie nie reaguje na ten typ działań. Aby uzyskać w pełni sztuczną formę życia, prawdziwe życie musi przestać istnieć, okazy muszą być bardzo świeże, ale przy tym faktycznie martwe.

Przerażające eksperymenty rozpoczęły się, kiedy West i ja byliśmy studentami na wydziale medycyny Uniwersytetu Miskatonic, po raz pierwszy mając pełną świadomość w pełni mechanistycznej natury życia. Było to już siedem lat temu, ale od tego czasu West ani trochę się nie zmienił: nadal był niskim, blondwłosym, gładkolicym okularnikiem o łagodnym głosie i tylko od czasu do czasu, lodowaty błysk w jego oku mówił o narastającym i przybierającym na sile fanatyzmie jego charakteru, spowodowanym przez nie słabnący nacisk jego upiornych poszukiwań. Nasze doświadczenia byty często wyjątkowo odrażające – zwłaszcza zaś, rezultaty nieudanych reanimacji, kiedy to bryły cementarnej gliny dzięki różnym modyfikacjom ożywczego roztworu stawały się przerażającą, nienaturalną i bezmózgową formą ruchu.

Jedna z istot wydała przeraźliwy, rozdzierający dusze i nerwy wrzask; inna ożywszy gwałtownie, pobiła nas obu do nieprzytomności i uciekła ogarnięta morderczym szałem, nim zdołano ją pochwycić i umieścić za kratami zakładu dla obłąkanych; jeszcze inna, odrażające, afrykańskie monstrum, wygrzebało się z płytkiego grobu i dokonało potwornego czynu, West musiał zastrzelić ten obiekt, nie mogliśmy zdobyć ciał dostatecznie świeżych, aby po dokonaniu reanimacji wykazywały chęć rozumnego myślenia; w efekcie prowadzonych przez nas badań powstawały tylko bezimienne koszmarne upiory, niepokój budziła myśl, że jeden, a może nawet dwa z tych potworów, wciąż jeszcze żyły – świadomość ta spędzała nam sen z powiek. Jednak mimo tego, jedyne czym się niepokoiiliśmy to trudność zdobycia dostatecznie świeżych okazów do naszych

eksperymentów. West był bardziej zapalony ode mnie, toteż niekiedy odnosiłem wrażenie, że patrzył na każdą zdrową, czerstwą, żywą fizys, niczym na potencjalny okaz do reanimacji.

Dopiero w lipcu 1910 roku pech związany ze zdobywaniem okazów zaczął się odwracać. Wyjechałem wówczas na dłuższą wizytę do moich rodziców w Illinois, a kiedy wróciłem, zastałem Westa w stanie jednoznacznego podniecenia. Z ekscytacją, poinformował mnie, że najprawdopodobniej udało mu się rozwiązać problem świeżości ciał, a dokonał tego, podchodząc do owej kwestii z zupełnie innej strony, mianowicie dzięki sztucznej konserwacji. Wiedziałem, że pracował nad nową i wielce niezwykłą mieszanką balsamującą i nie zdziwiło mnie, gdy okazało się, iż jego trud zakończył się sukcesem; jednak dopóki nie wyjaśnił mi szczegółów, byłem raczej zdumiony, jak tego typu mieszanka mogłaby pomóc w naszym dziele, skoro uszkodzenie zwłok, stanowiące nasz najpoważniejszy problem, spowodowane było procesami gnilnymi rozpoczynającymi się, zanim obiekty trafiały w nasze ręce.

Teraz przekonałem się, że West doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Stworzył mianowicie substancję nadającą się raczej do przyszłego, niż natychmiastowego użycia licząc, że los ponownie ześle mu jakiegoś świeżego i nie pochowanego umrzyka, tak jak przed laty, kiedy trafił się nam Murzyn, zabity w pięściarskim pojedynku, w Bolton.

Ostatecznie los się do niego uśmiechnął, gdyż obecnie w sekretnym piwnicznym laboratorium znajdowało się ciało, którego proces rozkładu, z całą pewnością, nie mógł się jeszcze rozpocząć. West nie ośmielił się prorokować, jak potoczy się reanimacja, i czy mógł liczyć na ożywienie umysłu trupa. Eksperyment byłby kamieniem milowym w naszych badaniach, postanowił więc zatrzymać nowe zwłoki do mego powrotu, tak byśmy obaj mogli, w tradycyjny sposób, być świadkami tego niezwykłego spektaklu.

West powiedział mi w jaki sposób zdobył okaz. Był to żwawy, rzeński

mężczyzna, dobrze ubrany przyjezdny, który dopiero co wyszedł z pociągu, gdyż miał załatwić jakieś interesy w fabryce włókienniczej. Wędrówka przez miasto była długa i zanim przybysz zatrzymał się przy naszym domu, aby spytać o drogę do fabryki, ni stąd, ni zowąd jego serce zaczęło szwankować. Odmówił przyjęcia kropli nasercowych, a w chwilę potem skonał. Można by przypuszczać, iż zwłoki te zostały zesłane Westowi przez niebiosy.

Podczas swej krótkiej rozmowy z Western przybysz stwierdził, że w Bolton był zupełnie nie znany, a po przeszukaniu jego kieszeni okazało się, iż nazywał się Robert Leavitt, pochodził z St. Louis i prawdopodobnie nie miał rodziny, która mogłaby zacząć zadawać pytania w związku z jego zniknięciem. Gdyby mężczyzny tego nie udało się przywrócić do życia, nikt nie dowiedziałby się o naszym eksperymencie. Flasze okazy grzebaliśmy w gęstym paśmie leśnym, pomiędzy domem a cmentarzem. Gdyby jednakże został on ożywiony, zyskalibyśmy sobie sławę i poczesne miejsce w panteonie nauki. Dlatego też West niezwłocznie wstrzyknął do nadgarstka trupa mieszankę, dzięki której okaz miał w stanie pełnej świeżości doczekać do dnia mego powrotu. Kwestia przypuszczalnie słabego serca, która w moim rozumowaniu stanowiła poważne zagrożenie naszego eksperymentu, najwyraźniej nie trapiła Westa zanadto. Nareszcie miał nadzieję na uzyskanie tego, czego nie zdołał dotychczas osiągnąć: ponowne zapalenie iskierki inteligencji i być może przywrócenie światu normalnej, żywej istoty.

Tak więc nocą osiemnastego lipca 1910 roku Herbert West i ja staliśmy w piwnicznym laboratorium i wpatrywaliśmy się w białą, milczącą sylwetkę skapaną w oślepiającym blasku łukowych lamp. Mieszanka balsamująca zadziałała zadziwiająco skutecznie, ponieważ kiedy patrzyłem z fascynacją na silnie zbudowane zwłoki, nie wykazujące od dwóch tygodni oznak zeszywnienia, mimowolnie spytałem Westa czy ten człowiek na pewno nie żyje. Upewnił mnie o tym skwapliwie, przypominając jednocześnie, iż roztworu reanimującego nigdy nie używał bez uprzedniego przeprowadzenia dokładnego badania okazu, jako iż specyfik był bezużyteczny jeżeli w ciele

tliła się choć isierka życia. Podczas gdy West zajął się czynnościami wstępnymi, ja nadal byłem pod wrażeniem niewiarygodnej złożoności nowego eksperymentu; był on złożony do tego stopnia, iż West nie ufał żadnym innym dłoniom, mniej delikatnym niż jego własne. Zabraniając mi, bym dotykał czoła, najpierw wstrzyknął narkotyk do nadgarstka, tuż obok miejsca, w które wkłuł igłę, kiedy wstrzykiwał okazowi swoją mieszankę balsamującą. Miało to na celu, jak stwierdził, rozluźnienie całego systemu i neutralizację mieszanki, aby roztwór reanimacyjny mógł swobodnie zadziałać, kiedy zostanie wstrzyknięty do krwioobiegu.

Nieco później, kiedy mogło się zdawać, że ciało uległo drobnej przemianie a jego kończyny poczęły niemal niezauważalnie drżeć. West brutalnie przycisnął do przeszywanej dreszczami twarzy okazu poduszkę i nie odjął jej, dopóki trup nie znieruchomiał, będąc tym samym gotowy do naszej próby reanimacji. Błady entuzjasta wykonał skrzętnie jeszcze jeden test, aby upewnić się, że okaz jest z całą pewnością martwy, po czym – nareszcie – wstrzyknął w jego lewe ramię dokładnie wymierzoną dawkę ożywczego eliksiru, przygotowanego po południu z dużo większą starannością, niż gdy robiliśmy to na uczelni, kiedy wszystko było dla nas nowe. nie potrafię wyrazić dzikiego, zapierającego dech w piersiach napięcia z jakim oczekiwaliśmy na rezultat eksperymentu z udziałem pierwszego, naprawdę świeżego okazu – pierwszego, co do którego mogliśmy się spodziewać, iż otworzy usta aby wypowiedzieć jakieś składne słowa, a być może również opowiedzieć nam, co widział po drugiej stronie najgłębszej otchłani.

West był materialistą, nie wierzył w duszę, zaś wszystkie świadome działania człowieka składał na karb cielesnego fenomenu, dlatego też konsekwentnie nie spodziewał się objawień upiornych tajemnic z czeluści i mrocznych miejsc znajdujących się poza granicami śmierci.

W pewnym sensie, teoretycznie, się z nim zgadzałem. ale pozostały we mnie szczątkowe, instynktowne ślady prymitywnej wiary mych przodków, a

co za tym idzie, nie mogłem nie przyglądać się ciału z pewną dozą niepokoju i budzącego dreszczyk emocji wyczekiwania.

Poza tym nie byłem w stanie zatrzeć w pamięci wspomnienia tamtego straszego, nieludzkiego wrzasku, który usłyszeliśmy owej nocy, kiedy przeprowadziliśmy nasz pierwszy eksperyment, na opuszczonej farmie w Arkham.

Niewiele czasu upłynęło nim naocznie przekonałem się, że nasza próba nie zakończyła się totalną porażką. Kredowobiałe policzki okazu zaczęły nabiegać kolorami. Różowy odcień zaczął się również pojawiać pod jego szczeciniastym – piaskowej barwy – zarostem. West, który trzymał dłoń na lewym nadgarstku trupa, czując puls, pokiwał głową znacząco i niemal równocześnie, na lusterku trzymanym nad ustami martwego mężczyzny pojawiła się mgiełka, nastąpiła luka w spazmatycznych skurczach mięśni, po czym rozległ się świszczący dźwięk oddechu i klatka piersiowa zaczęła się poruszać. Spojrzałem na zamknięte powieki i wydawało mi się, że dostrzegam, ich drżenie. W chwilę potem powieki uniosły się ukazując oczy – szare, spokojne i żywe, ale nadal pozbawione inteligencji i choćby odrobiny zaciekawienia.

W chwili fantastycznego wzruszenia zacząłem szeptać pytania, wprost do różowiejącego ucha okazu; pytania o inne światy, które wciąż jeszcze mógł pamiętać. W miarę upływu czasu zostały wyrugowane z mego umysłu przez narastającą zgrozę, ale wydaje mi się, że ostatnie, które powtarzałem po wielokroć, brzmiało: – Gdzie byłeś? nie wiem czy naprawdę mi odpowiedział, czy nie, ale wiem, że w tej właśnie chwili wydało mi się, iż jego usta poruszyły się bezgłośnie formułując sylaby, którym nadałem formę dźwiękową brzmiącą jako: "tylko teraz", jakby te dwa krótkie słowa mogły mieć jakiegokolwiek znaczenie czy związek z moim pytaniem.

Jednak muszę przyznać, że w tej chwili byłem pochłonięty przeświadczeniem, iż oto w końcu udało się nam osiągnąć upragniony wielki cel i po raz pierwszy reanimowany trup zdołał wyraźnie wypowiedzieć

jakiegokolwiek sensowne słowa. W następnej chwili nie mieliśmy już najmniejszych wątpliwości co do tego, że odnieśliśmy sukces; niewątpliwie roztwór okazał się skuteczny i przynajmniej na pewien czas, zdołał spełnić swoje zadanie, przywracając zimnego trupa do stanu w pełni racjonalnego i artykułowanego życia. Jednak wraz z uczuciem triumfu ogarnęła mnie również dojmująca zgroza i nie był to bynajmniej mrozący krew w żyłach lęk przed koszmarną istotą, która przemówiła, lecz przed czynem, którego byłem świadkiem i przed człowiekiem, z którym złączył mnie zawodowy los.

W tej samej chwili bowiem, bardzo świeże ciało, które zdołało w końcu odzyskać pełną i przerażającą świadomość, na wspomnienie swoich ostatnich chwil życia, gwałtownym ruchem wyrzuciło w górę obie ręce, tocząc ostatni bój na śmierć i życie z powietrzem, po czym zaś z ostatnim przeraźliwym krzykiem, którego słowa już zawsze będą pobrzmiwać w mym zbolałym mózgu, po raz drugi i ostatni wyzionęło ducha, przekraczając granicę, skąd nie było już dlań powrotu. Jego ostatnie słowa brzmiały: – Pomocy! Mię zbliżaj się do mnie ty przeklęty mały czterooki czorcie! Zabierz ode mnie tę cholerną igłę!

## Koszmar wśród cieni

Wielu ludzi opowiadało o rozmaitych upiornych rzeczach (wiele z tych historii zostało opublikowanych), które miały miejsce na polach bitewnych Wielkiej Wojny. niektóre niemal pozbawiały mnie przytomności, inne przyprawiały o mdłości, jeszcze inne wzbudzały zimny dreszcz i sprawiały, że mimowolnie w mroku oglądałem się za siebie. Wydaje mi się, że jestem w stanie opowiedzieć o najbardziej koszmarnym ze zdarzeń jakie tam zaistniało, szokującym, niewiarygodnym koszmarze wśród cieni.

W 1915 roku byłem lekarzem w randze podporucznika, w pułku stacjonującym we Flanders, jednym z wielu Amerykanów wyprzedzających nasz rząd we włączeniu się w gigantyczne starcie narodów, nie wstąpiłem do wojska z własnej inicjatywy, ale niejako na przyczepkę, gdyż w armii znalazł się człowiek, którego byłem nieodłącznym, niezastąpionym asystentem: słynny bostoński specjalista w dziedzinie chirurgii, doktor Herbert West. Doktor West niecierpliwie czekał na okazję, by móc służyć jako chirurg na frontach Wielkiej Wojny, a gdy dano mu ją, zabrał mnie ze sobą, wbrew mojej woli. Istniało wiele powodów, dla których cieszyłbym się, gdyby wojna nas rozdzieliła – powody które sprawiały, iż zarówno praktyka medyczna, jak i towarzystwo Westa stawały się dla mnie coraz bardziej irytujące – kiedy jednak wyjechał do Ottawy i dzięki poparciu swego kolegi, załatwił sobie najwyższy wynik na komisji wojskowej, nie mogłem oprzeć się jego władczej perswazji, gdy uświadomił mi, że jak zawsze muszę mu towarzyszyć.

Kiedy mówię, iż doktor West pragnął służyć na froncie, nie mam na myśli stwierdzenia, iż był z natury miłośnikiem wojen, czy zżerał go niepokój o bezpieczeństwo cywilizacji. Nie, West był zimną niczym lód intelektualną

maszyną; chudym, jasnowłosym, niebieskookim okularnikiem; wydaje mi się, iż w duchu wyszydzał moje napady wojennego entuzjazmu i cezurę całkowitej neutralności. W ogarniętym wojenną pożogą Flanders, było jednak coś, czego pragnął, i aby to zdobyć musiał zaciągnąć się do wojska. Nie pragnął tego samego co inni, lecz czegoś co wiązało się z dość specyficzną ścieżką nauki, którą uparcie podążał i na której udało mu się uzyskać zadziwiające i nader odrażające rezultaty. Był to, najkrócej mówiąc, stały zapas świeżo zabitych ludzi, w rozmaitych stadiach rozkawałkowania.

Herbert West potrzebował świeżych ciał, gdyż jego pasją życiową była reanimacja umarłych. O jego zainteresowaniach nie wiedzieli szacowni pacjenci, którzy w błyskawicznym tempie uczynili Westa sławnym po jego przybyciu do Bostonu; ja wszakże wiedziałem o tym, aż za dobrze, gdyż byłem jego najbliższym przyjacielem i jedynym asystentem od lat, kiedy studiowaliśmy jeszcze medycynę na uniwersytecie Miskatonic w Arkham. Właśnie na studiach West rozpoczął swe okropne eksperymenty, początkowo na małych zwierzątkach, później zaś na zdobytych w szokujący sposób ludzkich okazach.

Opracował roztwór, który wstrzykiwał do żył martwych istot i jeżeli były dostatecznie świeże, reagowały w różnorodny, dziwaczny sposób.

Sporo kłopotów przysporzyło mu opracowanie właściwej formuły, gdyż każdy z gatunków zwierząt wymagał zmienionego składu preparatu. Przeszywała go zgroza, gdy przypominał sobie częściowo udane eksperymenty: Bezimienne istoty powstałe z niezupełnie świeżych ciał, przy użyciu niedoskonałych roztworów, niektóre z tych okazów pozostały przy życiu –jeden znajdował się w zakładzie dla obłąkanych w Sefton, podczas gdy inne zniknęły, a kiedy powracał pamięcią do owych wyobraźalnych, acz zdawałoby się niemożliwych przypadków, pomimo swej zwykle nieugiętej postawy i stoickiego spokoju, przeszywał go dreszcz zgrozy.

West przekonał się niebawem, iż absolutna świeżość była podstawowym warunkiem dla używanych do badań okazów i zgodnie z tą regułą zajął się



przeróżającymi, nienormalnymi praktykami polegającymi na wykradaniu zwłok, na uczelni i podczas naszej wczesnej praktyki, w robotniczym miasteczku Bolton, odczuwałem wobec Westa pełen fascynacji podziw; jednak w miarę jak stosowane przez niego metody stały się coraz bardziej bezwzględne, poczęła trawić mnie dojmująca zgroza, nie podobał mi się sposób w jaki przyglądał się zdrowym, żywym ciałom; później zaś miała miejsce owa koszmarna sesja w laboratorium, kiedy dowiedziałem się, że jeden z okazów był jeszcze żywy, kiedy został przez Westa spreparowany. Wtedy to po raz pierwszy udało mu się uzyskać w trupie oznaki racjonalnego myślenia i, rzecz jasna, ów sukces uczynił go do reszty nieczułym. Nie ośmielałem się mówić o metodach stosowanych przez niego przez ostatnie pięć lat.

Trzymała mnie przy nim jedynie czysta chorobliwa ciekawość i widziałem rzeczy, których język ludzki nie byłby w stanie powtórzyć. Stopniowo Herbert West stał się w moich oczach postacią potworniejszą niż okropności, które były jego dziełem. Uświadomiłem sobie, że jego niegdyś zwyczajny naukowy zapal związany z przedłużeniem życia zaczął przyjmować bardziej zdegenerowaną formę, przeradzając się w makabryczną, plugawą ciekawość i sekretny zmysł kostnicowego wizjonerstwa. Jego zainteresowania prócz tego, że odrażające i diabolicznie nienormalne były od tej pory piekielne i perwersyjne; ze stoickim spokojem podziwiał sztuczne monstra, na widok których każdy zdrowy człowiek z miejsca padłby trupem, zdjęty bezgranicznym przerażeniem i odrazą; za fasadą bladego intelektualnego oblicza, stał się nieubłaganym Baudelairem fizycznych eksperymentów, obojętnym Elagabalusem grobowców.

Bez mrugnięcia powieką stawiał czoła niebezpieczeństwom; zabić kogoś było dlań równie łatwo jak splunąć. Wydaje mi się, że osiągnął ów stan z chwilą, kiedy udowodnił swoją tezę, iż racjonalne życie może zostać przywrócone, i, prowadząc eksperymenty reanimujące, na oderwanych fragmentach ludzkich ciał, poszukiwał nowych światów, które mógłby

podbić.

Wyznając dzikie i oryginalne idee na temat niezależnych właściwości życiowych komórek organicznych i tkanek nerwowych, oddzielonych od ich naturalnych systemów fizjologicznych, osiągnął pewne, dość odrażające rezultaty wstępne w postaci nigdy nie umierającej, sztucznie odżywianej i rozrastającej się tkanki, uzyskanej z niewyklutych jaj pewnego tropikalnego gada.

Pragnął zawzięcie ustalić dwie rzeczy: po pierwsze –czy jest możliwe uzyskanie stanu świadomości i racjonalnego działania bez udziału mózgu połączonego z rdzeniem Kręgowym i różnymi ośrodkami nerwowymi, po drugie zaś – czy istnieje jakikolwiek, eteryczny, nieuchwytny, pozafizyczny związek, mogący łączyć chirurgicznie oddzielone fragmenty, będące niegdyś jednym żyjącym organizmem.

Jego badania wymagały ogromnego zapasu świeżo zabitych, ludzkich ciał, i dlatego właśnie Herbert West zdecydował się wyruszyć na front Wielkiej Wojny.

Potworne, niewyobrażalne zdarzenie miało miejsce o północy, pod koniec marca 1915 roku, w lazarecie za liniami frontu, w St. Eloi. Nawet dziś zastanawiam się czy stało się to naprawdę, czy też może doświadczyłem demonicznego przypadku delirium. West miał prywatne laboratorium we wschodnim pomieszczeniu czegoś, co przypominało oborę, którą przydzielono mu na jego prośbę popartą twierdzeniem, iż pracował nad nowymi, radykalnymi metodami leczenia beznadziejnych z pozoru przypadków okaleczeń. Pracował tam jak rzeźnik, wśród swoich okrwawionych okazów, nigdy nie mogłbym przywyknąć do lekkości z jaką przyjmował i klasyfikował niektóre rzeczy. Fakt, iż od czasu do czasu dokonywał dla innych żołnierzy prawdziwych cudów, jednakże jego większe sukcesy i powody do radości były mniej jawnej i filantropijnej natury. Wyjaśnieniem mogły być dźwięki, które nawet w tej wieży Babel zdawały się dziwne i podejrzane. Częstymi odgłosami był wśród nich huk

rewolwerowych wystrzałów – niewątpliwie pospolity dla pól bitewnych, ale z całą pewnością niespotykany w wojskowym lazarecie. Reanimowanym okazom doktora Westa nie dane było długie życie ani podziw szerszego grona.

Poza ludzką tkanką, West zajmował się sporo tkanką embrionalną węży, którą hodował z tak zaskakującym rezultatem. Była lepsza od materiału ludzkiego do podtrzymywania życia w rozczłonkowanych fragmentach, i to było obecnie głównym przedmiotem jego badań.

W mrocznym kącie laboratorium trzymał ogromne naczynie z pokrywą, pełne gadziej materii komórkowej, która mnożyła się i rosła, pęczniejąc w odrażający sposób.

W nocy, o której mowa, w nasze ręce dostał się wspaniały nowy okaz mężczyzny, ongi fizycznie silny i obdarzony tak wielkim umysłem, że pewne było, iż musiał posiadać wyjątkowo czuły system nerwowy. Jak na ironię, był to ten sam oficer, który dopomógł Westowi w pomyślnym przejściu przez komisję wojskową i który miał być naszym współpracownikiem. Co więcej, w przeszłości przez pewien czas studiował u Westa teorię reanimacji.

Major sir Eric Moreland Ciapham Lee, odznaczony Distinguish Serviced Order, był najlepszym chirurgiem w naszej dywizji i został ponownie przydzielony do sektora St. Eloi. Kiedy tylko sztab otrzymał wieści o zaciętych walkach w tym regionie. Przyleciał aeroplanem pilotowanym przez nieustraszonego porucznika Ronalda Milla, tylko po to, by zostać zestrzelonym nad samym celem. Wypadek był tyleż spektakularny, co potworny. Ciało Milla zostało zmasakrowane nie do poznania, ale zwłoki wielkiego chirurga, pomimo iż niemal całkiem zdekapitowane, nie odniosło praktycznie żadnych innych obrażeń. West pospiesznie przeniósł do swego laboratorium pozbawioną życia istotę, będącą niegdyś jego przyjacielem i kolegą po fachu; ja zaś wzdrygnąłem się, kiedy skończył odcinanie głowy i umieścił ją w tym piekielnym pojemniku pełnym galaretowatych gadzich jajeczek, aby zachować ją do przyszłych eksperymentów. następnie

ułożywszy zdekapitowane ciało na stole operacyjnym, zabrał się do dzieła. Wstrzyknął trupowi nową krew, podwiązał pewne żyły i arterie, połączył nerwy na bezgłowym kikucie szyi, i zamknął go, przy pomocy skrawka skóry pobranego z okazji w mundurze oficerskim. Wiedziałem czego pragnął, sprawdzić czy wysoce zorganizowane ciało mogło, pozbawione głowy, przejawiać jakiegokolwiek oznaki życia umysłowego, które było udziałem dostojnego sir Erica Morelanda Clapham Lee.

Niegdyś student reanimacji, obecnie zimny trup, miał zostać w upiorny sposób wezwany, aby to zilustrować. Wciąż jeszcze widzę Herberta Westa, skapanego w złowieszczym elektrycznym świetle, jak wstrzykiwał swój roztwór reanimacyjny w ramię bezgłowego korpusu. Sceny tej nie jestem w stanie opisać, przypuszczam, że gdybym spróbował, straciłbym przytomność, gdyż w pomieszczeniu pełnym zwłok, nadających się jedynie do kostnicy, panuje atmosfera obłędu: krew i pomniejsze ludzkie szczątki zaścielają podłogę śliską, tłustą, brejowatą, sięgającą prawie do kostek warstwą szlamu, a w odległym kącie – pośród cieni – smażąc się na mrugającym, błękitnozielonkawym, widmowym ogniu, bulgocząc odrażająco, mnożą się i powiększają ohydne, upiorne, gadzie tkanki.

Okaz, jak raz po raz powtarzał West, miał wspaniały system nerwowy. Wiele się po nim spodziewało, a gdy pojawiło się kilka konwulsyjnych skurczów mięśni, zauważyłem na twarzy Westa wyraz gorączkowego zaciekawienia. Sądzę, że był gotowy zobaczyć na własne oczy dowód swojego przybierającego na sile przekonania, iż świadomość, logiczne myślenie i osobowość mogą istnieć niezależnie od mózgu, że człowiek nie ma żadnego centralnego, łączącego ducha, ale jest jedynie maszyną, organizacją tkanki nerwowej, której każdy fragment jest w mniejszym lub większym stopniu samoistną całością. Jedną triumfalną demonstracją West zamierzał sprowadzić całą tajemnicę życia do kategorii mitu. Ciało drgało teraz dużo gwałtowniej i, dosłownie na naszych oczach, poczęły nim targać przerażające konwulsyjne skurcze. Ręce zadygotały niepokojąco, nogi

uniosły się, zaś rozmaite mięśnie napięły się w odruchowych spazmach. Następnie bezgłowy stwór wyciągnął obie ręce przed siebie w geście, oznaczającym bez wątpienia bezdenną rozpacz – inteligentną rozpacz i desperację, z całą pewnością wystarczającą do udowodnienia każdej teorii Herberta Westa.

Rzecz jasna nerwy kontynuowały ostatnią czynność wykonywaną przez okaz, tuż przed jego śmiercią; rozpaczliwą próbę wydostania się ze spadającego aeroplanu.

Nigdy nie będę wiedział na pewno, co wydarzyło się później. Mogła to być jedynie upiorna halucynacja wywołana wstrząsem spowodowanym przez niemiecki ostrzał – gdyż właśnie w tej chwili pocisk artyleryjski trafił w budynek, obracając go w mgnieniu oka w perzynę. Któż to wie – skoro jedynie ja i West zdołaliśmy wyjść cało z tego piekła?

Ciało na stole podniosło się, w przerażający sposób szukając na oślep rękoma wokół siebie, a w chwilę potem usłyszeliśmy dźwięk. Nie nazwę tego głosem, gdyż było to zbyt straszne, nie mniej jednak krwi w żyłach nie zmroził mi ani tembr tego dźwięku, ani treść słów – to krzyknęło jedynie: – Skacz, Ronaldzie, na miłość boską, skacz! Przerażające było przede wszystkim samo źródło owego dźwięku. Dobywał się on bowiem z ogromnego, zakrytego pojemnika stojącego w skąpanym w głębokich, upiornych cieniach, kącie laboratorium.

## Legiony umarłych

Kiedy doktor Herbert West zniknął, rok temu, bostońska policja dokładnie mnie przesłuchała. Sądziła, że coś zatajam, być może nawet podejrzewali coś o wiele gorszego, niemniej jednak nie mogłem powiedzieć im prawdy, gdyż na pewno by w nią nie uwierzyli.

Wiedzieli rzecz jasna, że West prowadził działania w które nie uwierzyłyby żaden zwykły śmiertelnik; jego potworne eksperymenty dotyczące reanimacji ciał zmarłych już od dawna nie były całkowitą tajemnicą, aczkolwiek ostatnia, rozdzierająca duszę katastrofa miała w sobie elementy demonicznego majaku, który sprawił, iż nawet ja zwątpiłem w prawdziwość tego, co zobaczyłem.

Byłem najbliższym przyjacielem Westa i jeep jedynym, zaufanym asystentem. Spotkaliśmy się wiele lat temu, na wydziale medycyny i od samego początku uczestniczyłem w jego straszliwych badaniach. Z wolna starał się udoskonalić roztwór, który wstrzyknięty do żył świeżo umarłych, przywraca ich do życia. Dzieło to wymagało stałej dostawy zwłok i wielce nietypowych działań. Mimo to, bardziej szokujące były efekty niektórych z tych eksperymentów: posępne masy martwych tkanek, które West przywrócił do stanu ślepej, bezmózgiej, przyprawiającej o mdłości animacji. Takie były typowe symptomy, gdyż, aby ożywić umysł, okazy musiały być absolutnie świeże, proces rozkładu nic mógł w najmniejszym stopniu naruszyć delikatnych komórek mózgowych. Potrzeba zdobycia bardzo świeżych zwłok doprowadziła morale Westa do ruiny.

Trudno było je uzyskać i któregoś dnia zabezpieczył dla siebie okaz, który wciąż jeszcze był żywy i zdrowy. Walka, zastrzyk i silny alkaloid zmienił go w bardzo świeżego trupa, zaś eksperyment zakończył się pozostającym w

pamięci – choć krótkim – triumfem. W efekcie jednak, dusza Westa stała się od tego dnia zimna i nieczuła. Zdarzało się również, iż obrzucał ludzi, obdarzonych bystrym mózgiem i właściwym wigorem, taksującym spojrzeniem, jakby oglądał okazy. Ostatnimi czasy zacząłem otwarcie obawiać się Westa, gdyż wyraźnie począł przyglądać mi się w ten szczególny sposób.

Ludzie zdawali się nie zauważać jego spojrzeń, ale dostrzegali mój strach; zaś po jego zniknięciu wykorzystali to, jako podstawę do swych absurdalnych podejrzeń. W rzeczywistości, West bał się bardziej niż ja; odrażające poszukiwania zmieniły jego życie w koszmar, w którym stale czuł się niepewnie i lękał się byle cienia. Po części obawiał się policji. Czasami jednak, jego nerwowość była głębsza i bardziej mglista, związana z kilkoma niemożliwymi do opisanía istotami, którym zaszczepił upiorną formę życia, i których naocznie nic widział konających. Zwykle kończył swoje eksperymenty przy pomocy rewolweru, ale kilkakrotnie okazał się zbyt wolny. Ma przykład w przypadku pierwszego okazu, na którego grobie widziano później wyraźne ślady rycia pazurami. Ponadto było jeszcze ciało profesora z Arkham, który popełnił kilka odrażających zbrodni, z aktami kanibalizmu włącznie, zanim go schwytano i osadzono w Zakładzie dla Obłąkanych w Sefton, gdzie przez szesnaście lat uparcie walił głową o ścianę. O większości innych, najprawdopodobniej ocalałych okazów, jest mi dużo łatwiej mówić – gdyż w latach późniejszych naukowy zapał Westa uległ degeneracji, zmieniając się w formę niezdrowej i fantastycznej manii, zgodnie z którą poświęcał swe umiejętności reanimacji, aby ożywić nic całe ciała, a poszczególne jego części, lub fragmenty połączone z tkanką organiczną inną niż ludzka. Zanim zniknął, jego działalność zmieniła się w diabelski, odrażający koszmar, o wielu eksperymentach nigdy nie ukaże się drukiem nawet najdrobniejsza wzmianka.

Wielka Wojna, podczas której obaj pełniliśmy funkcję chirurgów polowych, zintensyfikowała tę stronę Westa. Mówiąc, iż lęki Westa przed

jego okazami były mgliste, mam na myśli głównie ich złożoną naturę. Po części brały się one jedynie ze świadomości istnienia owych bezimiennych potworów, poniekąd zaś z obawy przed uszkodzeniami ciała, jakie w pewnych okolicznościach mogłyby mu zadać. Ich zniknięcie nadało całej sytuacji wrażenia jeszcze głębszej grozy – z nich wszystkich, West znał miejsce pobytu tylko jednego – nieszczęsnego monstrum zamkniętego w zakładzie dla obłąkanych.

I był jeszcze inny, bardziej subtelny lęk: nader fantastyczna sensacja, będąca rezultatem niezwykłego eksperymentu w armii kanadyjskiej w 1915 roku. West, w samym sercu zaciętej bitwy reanimował majora sir Erica Morelanda Ciapham Lee, odznaczonego Distinguished Service Order, kolegę po fachu, który wiedział o jego eksperymentach i mógłby zacząć je naśladować. West odjął mu głowę, aby sprawdzić czy po korpusie można się spodziewać oznak quasi inteligentnego życia. Eksperyment zakończył się sukcesem i w tej samej chwili, w budynek uderzył pocisk artyleryjski. Kadłub poruszał się i, co może wydawać się niewiarygodne, obaj byliśmy dogłębnie przekonani, że usłyszeliśmy słowa płynące z leżącej w zacienionym kącie laboratorium, odciętej głowy oficera. Pocisk, okazał się w pewnym sensie litościwy, niemniej West nigdy nie czuł się tak pewnie, jak by sobie tego życzył, i wątpił czy tylko my dwaj zdołaliśmy przeżyć wybuch. Przywykł do wymyślania koszmarnych scenariuszy dalszego możliwego działania bezgłowego lekarza, obdarzonego mocą reanimowania umarłych.

Ostatnia siedziba Westa mieściła się w starym, nader eleganckim domu z widokiem na jeden z najstarszych cmentarzy w Bostonie. Wybrał to miejsce z czysto symbolicznych i fantastycznie estetycznych powodów, bowiem większość pochowanych tam zwłok pochodziła z okresu kolonialnego, a tym samym przedstawiałyby niewielką wartość dla naukowca poszukującego bardzo świeżych ciał. Laboratorium mieściło się w pomieszczeniu podpiwnicznym, wybudowanym potajemnie przez zagranicznych robotników; mieścił się tam wielki piec do spalania nieczystości, w którym



West mógł szybko i całkowicie pozbywać się wszystkich tych zwłok, ich fragmentów, bądź syntetycznych namiastek ciał, jakie mogły pozostać po jego makabrycznych eksperymentach; zarówno tych bardziej, jak i mniej poważnych. Podczas wykuwania tej piwnicy robotnicy natrafili na wyjątkowo stary mur – bez wątpienia połączony z dawnym cmentarzyskiem – niemniej jednak umieszczony zbyt głęboko, by mógł odpowiadać któremuś ze znajdujących się tam grobowców. Po dłuższym namyśle West stwierdził, iż musiał to być fragment jakiejś sekretnej komory pod grobem Averillów, gdzie ostatniego pochówku dokonano w 1768 roku.

Byłem z nim, gdy przyglądał się badawczo cuchnącym, zawilgłym ścianom, obnażonym przez łopaty i oskardy robotników i byłem przygotowany na okropny dreszcz, który towarzyszyć miał mi przy otwarciu ponad stuletnich grobowych tajemnic, ale, po raz pierwszy, niepokój Westa zdołał przewyciężyć jego naturalną ciekawość i zdradził swą zdegenerowaną żyłkę, rożka żując by ściana pozostała nietknięta, a na dodatek jeszcze zamurowana.

Taką też pozostała do owej ostatniej, piekielnej nocy, stając się jedną ze ścian sekretnego laboratorium. Mówiąc o dekadencji Westa muszę dodać, iż była ona rzeczą czysto mentalną i zasadniczo nieuchwytną. Zewnętrznie do końca się nie zmienił, pozostając spokojnym, zimnym wręcz chudym, blondwłosym, niebieskookim okularnikiem – ot typowy, chłopak tryskający młodością, której zdawałoby się, nigdy nie zdołają skalać lęk i strach.

Wydawał się spokojny, nawet kiedy myślał o rozkopanym grobie i oglądał się przez ramię, nawet kiedy myślał o drapieżnej istocie, drapiącej i bijącej głową w ściany swej celi w zakładzie dla obłąkanych w Sefton.

Koniec Herberta Westa rozpoczął się pewnego wieczoru, w naszej wspólnej pracowni, kiedy na przemian popatrywał z zaciekawieniem, to na mnie, to na gazetę. Dziwaczny tytuł na jednej z pomiętych stron przykuł jego uwagę, zupełnie jakby szpon bezimiennego tytana, dosięgnoł go poprzez przestrzeń szesnastu długich lat. W zakładzie dla obłąkanych w Sefton,

oddalonym o pięćdziesiąt mil stąd, wydarzyło się coś strasznego i niewiarygodnego, powodując zakłopotanie wśród okolicznych mieszkańców i zmieszanie wśród policji.

We wczesnych godzinach rannych grupka milczących mężczyzn weszła na teren ośrodka, a ich przywódca obudził pracowników zakładu. Był to budzący grozę wojskowy, który mówił nie poruszając wargami, i którego głos, jak głos brzucho mówcy, wydawał się dobywać ze sporego pudła, trzymanego w ręku przez oficera. Jego pozbawione wyrazu oblicze wydawało się niemal olśniewająco piękne, ale dyrektor zakładu przeżył szok, kiedy spostrzegł je w świetle lamp znajdujących się w głównym holu, była to bowiem woskowa twarz z oczyma z malowanych szkiełek. Mężczyzna ów musiał paść ofiarą jakiegoś strasznego wypadku. Tuż za nim podążał wyższy mężczyzna, odrażający osiłek, którego posiniąte oblicze wydawało się na wpół wyżarte przez jakąś nie znaną chorobę. Przywódca zażądał przekazania mu potwornego zbrojcy znanego jako kanibal z Arkham, przebywającego w Sefton od szesnastu lat, a gdy mu odmówiono, dał znak, który spowodował, iż rozpętało się piekło. Diabły z piekła rodem pobiły, podeптаły i pogryzły wszystkich pracowników zakładu, którzy nie zdążyli zbiec; zabiły czterech ludzi a na końcu uwolniły szalone monstrum. Ofiary pamiętające szczegóły wypadków i nie popadające przy tym w histerię, przysięgały że stworzenia zachowywały się mniej jak ludzie, a bardziej jak bezmyślne automaty sterowane przez wojskowego o woskowej twarzy. Zanim zdołano wezwać pomoc, po napastnikach i ich przywódcy zniknął wszelki ślad.

Od czasu, gdy przeczytał ów artykuł, do północy West siedział kompletnie nieruchomo, jak sparaliżowany. O północy ktoś zadzwonił do drzwi, a West, kompletnie zaskoczony i zaniepokojony drgnął gwałtownie. Wszyscy służący spali na poddaszu, toteż ja poszedłem aby otworzyć. Jak już wspomniałem o tym policji, na ulicy nie było żadnego pojazdu, a jedynie grupka dziwnie wyglądających postaci dźwigających sporych rozmiarów pudła, które ułożyli

w holu po tym jak jeden z nich, wysokim, zgoła nienaturalnym głosem oznajmił:

–"Przesyłka Ekspresowa, opłata uiszczona z góry".

Wyszli z domu chwiejnym, jakby niepewnym krokiem, a gdy za nimi spoglądałem odniosłem dziwne wrażenie, iż kierowali się w stronę cmentarza, na tyłach domu. Kiedy zamknąłem za nimi drzwi, West zszedł na dół i spojrzał na pakę. Miała około dwóch stóp kwadratowych i widniało na niej napisane poprawnie nazwisko Westa oraz jego obecny adres zamieszkania. Znajdował się tam również podpis: "Od Erica Morelanda Ciaphama Lee, St. Eloi, Flanders". Przed sześcioma laty, we Rianders, zburzony artyleryjskim pociskiem budynek szpitala zawalił się na bezgłowy korpus doktora Ciaphama Lee i jego odjętą od ciała głowę, która – być może – zdołała wydać z siebie artykułowane dźwięki.

West nie był teraz nawet poruszony. Jego stan był o wiele bardziej mroczny. – To koniec – powiedział – ale najpierw spalmy "to". Znieśliśmy pakę do laboratorium, nasłuchując. Nie pamiętam wielu szczegółów, niemniej wierutnym kłamstwem jest twierdzenie, iż to ciało Herberta Westa umieściłem wewnątrz pieca. Obaj wstawiliśmy tam całe, nie otwierane pudło, zamknęliśmy drzwi i włączyliśmy prąd. Z pudła nie dobył się żaden nawet najcieńszy dźwięk.

To West pierwszy zauważył odpadające tynki na tej części ściany, gdzie został zamurowany fragment starego grobowca. W chwilę potem dostrzegłem małą, czarną szczelinę, poczułem demoniczny, lodowaty podmuch wiatru, a w moje nozdrza uderzył odór gnijących trzewi ziemi. Nic nie było słychać, ale w tej samej chwili zgasło światło i w blasku jakiejś dziwnej fosforescencji płynącej z innego świata dostrzegłem sylwetki całej hordy pracujących w milczeniu, upiornych istot, które mogła stworzyć jedynie chora wyobraźnia, lub coś o wiele gorszego.

Ich postacie były ludzkie, pół ludzkie, częściowo ludzkie, i nie ludzkie – horda była groteskowo heterogeniczna. Jeden po drugim usuwały kamienie z

ponad stuletniego muru. Później zaś, kiedy wyłom był dostatecznie duży. pojedynczym szeregiem weszły do laboratorium. Na ich czele podążał kroczący majestatycznie stwór z cudowną głową wykonaną z wosku. Idące za swym przywódcą maskary zatrzymały spojrzenia pałających obłędem ślepi na Merbercie Weście.

West nie opierał się, ani nie próbował krzyżeć. Wszystkie monstra, w jednej chwili rzuciły się na niego i na moich oczach rozdarły go na strzępy, zabierając fragmenty jego ciała w głąb podziemnej krypty grobowej. Głowę Westa zabrał ze sobą woskowogłowy oficer w kanadyjskim mundurze. Zanim zniknął dostrzegłem, iż niebieskie oczy za szklami okularów w drucianych oprawkach pały odrażającym błyskiem pierwszego, jeszcze nie uporządkowanego wrażenia wzrokowego.

Rankiem nieprzytomnego odnaleźli mnie służący. West zniknął. W piecu znajdowały się jedynie niezidentyfikowane popioły. Policjanci przesłuchiwali mnie, ale cóż im mogłem powiedzieć? nie powiążą z Western tragedii jaka wydarzyła się w Sefton – ani jej, ani wizyty mężczyzn z pudłem, gdyż uparcie zaprzeczają ich istnieniu. Powiedziałem im o grobowcu, a oni wskazali na nienaruszony tynk na zamurowanej ścianie i skwitowali moje słowa śmiechem. W tej sytuacji nie powiedziałem im już nic więcej. Sugerują, że albo jestem szaleńcem, albo mordercą – prawdopodobnie obłąkanym. Ale nie stałbym się nim, gdyby te przeklęte legiony umarłych nie były tak piekielnie ciche.

Przyczajona groza

# 1

## Cień na kominie

Tej nocy, kiedy udałem się do opuszczonej posiadłości na szczycie Góry Gromów, by odnaleźć tam przyczajoną grozę, wokoło szalała burza. Nie byłem sam, nieostrożność i brawura nie łączyły się bowiem w mej duszy z zamiłowaniem do rzeczy osobliwych i przerażających, które ugruntowały mą karierę i skłoniły do poszukiwań tajemniczych a budzących grozę koszmarów, zarówno w życiu, jak i literaturze. Towarzyszyło mi dwóch wiernych krzepkich mężczyzn, po których posłałem, gdy nadeszła pora; ludzie ci ze względu na swe szczególne umiejętności od dawna towarzyszyli mi w upiornych ekspedycjach.

Wyruszyliśmy z wioski po cichu, z uwagi na reporterów, którzy wciąż tam przebywali, od czasu owej mrocznej, posępnej paniki, jaka wybuchła zaledwie miesiąc wcześniej, a ściślej od koszmarnej nocy, gdy nieuchwytna śmierć nawiedziła niewielką wioskę. Skonstatowałem, iż przydadzą mi się później, teraz wszelako nie zależało mi zbytnio na ich obecności. Gdzieś w głębi serca chciałem, by wzięli udział w tych poszukiwaniach, bym nie musiał tak długo nosić w sobie brzemienia owego sekretu, w grę wchodziła bowiem obawa, że świat uzna mnie za obłąkanego lub że ja sam stracę zmysły za sprawą demonicznych implikacji tej mroźnej krew w żyłach tajemnicy. Teraz jednak postanowiłem wyznać wszystko, niechaj kto chce nazwie mnie szaleńcem, żałuję jedynie, że tak długo trzymałem ową rzecz w sekrecie. Ja bowiem i tylko ja wiem, jakiego rodzaju groza czai się na szczycie tej widmowej, opuszczonej góry.

Niewielkim automobilem przebrnęliśmy przez mierzącą wiele mil połąć

pradawnego lasu i wzgórza, póki stromizna nie okazała się dla naszego pojazdu nie do pokonania. Miejsce to, oglądane nocą i bez tłumów śledczych, którzy kręcili się tu za dnia, wydało się nam o wiele bardziej złowrogie i nieraz kusiło nas, by zrobić użytek z acetylenowego reflektora, nie zważając na to, co silny blask mógłby ku nam przywabić. Po zmierzchu krajobraz wcale nie wydawał się przyjazny i urokliwszy; podejrzewam, że nawet nie wiedząc o grozie, która tutaj czyhała, mimo woli wyczułbym zawartą w owym miejscu złą aurę. W pobliżu nie było widać żadnych dzikich zwierząt, są one bowiem roztropne, wyczuwają od razu obecność zagrożenia i śmierci. Prastare, poorane przez pioruny drzewa wydawały się nienaturalnie wielkie i poskręcane, inna roślinność natomiast nienaturalnie gęsta i wybujała, podczas gdy porośnięte chwastami fulgurytowe pagórki i wzniesienia kojarzyły mi się z węzami i czaszkami trupów powiększonymi do gigantycznych rozmiarów.

Groza czaiła się na Górze Gromów od ponad stu lat. Dowiedziałem się tego dzięki artykułowi w gazecie dotyczącemu tragedii, który po raz pierwszy przybliżył światu to niesamowite miejsce. Jest to odległy, odludny region Catskills, gdzie ongi przez krótki czas próbowała osiąść grupa osadników – Holendrów, pozostawiając po sobie jedynie kilka zrujnowanych posesji oraz zaludnione grupkami zdegenerowanych indywidualów żałosne wioski rozrzucone na zapomnianych przez Boga górskich zboczach. Normalni ludzie rzadko odwiedzali te rejony, póki nie sformowano oddziałów policji stanowej, lecz nawet wówczas stróże prawa patrolowali je sporadycznie i z wielką niechęcią. Groza wszelako należy do elementów prastarej tradycji, obecnych w sąsiadujących ze sobą wioskach, jest ona bowiem głównym tematem niewyszukanych rozmów owych nieszczęsnych wiejskich prostaków, którzy z rzadka opuszczają swe doliny, by wymieniać ręcznie plecione kosze na prymitywne, acz niezbędne do życia rzeczy, których sami nie byli w stanie ustrzelić, zrobić lub wyhodować.

Przyczajona groza zamieszkała w unikanej przez ludzi, opuszczonej posesji Martense'ów wzniesionej na szczycie wysokiego, tarasowego

wzgórza, które z uwagi na częstość szalejących nad nim burz nazwano Górą Gromów. Przez ponad sto lat prastary, otoczony gajem, kamienny dom był tematem niewiarygodnych, mrozących krew w żyłach historii, opowiadań o potężnej, sunącej cicho i nieubłaganej śmierci, która latem nawiedziła okoliczne tereny. Wieśniacy z trwogą i zapamiętaniem zarazem mówili o demonie, który po zmierzchu czyhał na samotnych wędrowców, aby porwać ich w nieznaną lub pozostawić rozszarpane na strzępy szczątki w pobliżu leśnego duktu, nadzarte, jakby to uczyniły wielkie, okrutne bestie. Czasami miejscowi szeptali także o śladach krwi wiodących jakoby ku odległej posesji. Niektórzy zarzekali się, że to grzmoty wywoływały przyczajoną grozę z jej domeny, inni natomiast twierdzili, iż huk gromu był jej prawdziwym głosem.

Nikt, kto mieszkał poza leśnymi ostępami, nie wierzył w te różnorodne, częstokroć sprzeczne historie, pełne niespójnych, wynaturzonych opisów na wpół dostrzeżonego demona; żaden farmer ani wieśniak nie wątpił jednak, że posiadłość Martense'ów była nawiedzona. Historia tej okolicy nie pozostawiała miejsca na jakiegokolwiek powątpiewanie, mimo iż śledczy, którzy odwiedzali posesję, gdy jakaś rozgłaszana przez miejscowych historia okazywała się wyjątkowo barwna, nie natrafili na jakiegokolwiek ślady istnienia upiornych mocy. Babki snuły osobliwe opowieści o duchu Martense'a, legendy związane z jego rodem, dziwaczną wadą wrodzoną, przekazywaną genetycznie z pokolenia na pokolenie, a polegającą na odmienności barw obojga oczu, burzliwymi nienaturalnymi dziejami owej rodziny, zapisywanymi w opasłej kronice, i morderstwem, którego klątwa ciążyła nad kolejnymi dziedzicami.

Groza, która przyciągnęła mnie tutaj, była jak nagły omen, potwierdzający najwymyślniejsze spośród osobliwych historii rozgłaszanych wśród górali. Pewnej letniej nocy, po wyjątkowo silnej burzy, w okolicy odnotowano gwałtowną ucieczkę ogarniętych paniką wieśniaków, których trwogi nie mogły wywołać zwykłe przywidzenia czy iluzje.

Żałosne tłumy prymitywnych górali, wyjąc i wrzeszcząc wniebogłosy, bełkotały o nienasyconej grozie, która ich nawiedziła. Co do tego ludzie nie mieli wątpliwości. Nie widzieli, co to było, ale słyszeli straszliwe wrzaski dochodzące z jednego z siół i wiedzieli, że miejsce to odwiedziła okrutna śmierć.

Rankiem mieszkańcy i policja podążyli za wstrząśniętymi góralami do miejsca, którego, jak powiadano, dotknął palec śmierci. Tak było w istocie. Ziemia pod jedną z wiosek górali zapadła się po uderzeniu pioruna, obracając w perzynę kilka cuchnących, brudnych szałasów; było to jednak niczym w porównaniu ze zniszczeniami bez wątpienia organicznej natury.

Mimo iż zamieszkiwało tu około siedemdziesięciu pięciu osób, w pobliżu nie było żywego ducha. Wzburzoną ziemię pokrywały plamy krwi i ludzkie szczątki, aż nadto wyraziście obrazujące okrucieństwo szponów i kłów nie nazwanego demona. Od miejsca masakry nie odchodziły jednak żadne widoczne ślady, które znaczyłyby jego drogę ucieczki. Wszyscy zgodnie potwierdzali, że sprawcą owej zbrodni musiało być jakieś potworne zwierzę, nikt wszakże nie wspomniał, iż okrutnością mord ten przypominał najbardziej posępne rzezie dokonywane wśród głęboko dekadentkich wspólnot. Sprawę ponownie nagłośniono, kiedy okazało się, że w nie wyjaśniony sposób zginęło około dwudziestu pięciu mieszkańców wioski, nawet jednak w tych okolicznościach nikt nie potrafił wytłumaczyć, w jaki sposób ludzie ci byliby w stanie zamordować ze szczególnym okrucieństwem, jak dzikie bestie, prawie pięćdziesiąt osób. Niezbitym dowodem było to, że owej letniej nocy niebo rozcięła błyskawica, a po burzy pozostała wymarła wioska pełna upiornych, zmasakrowanych, rozszarpanych i nadżartych ciał.

W okolicy natychmiast zaczęto szemrać, łącząc owo koszmarnie zdarzenie z nawiedzoną posesją Martense'ów, choć oba miejsca dzieliła odległość ponad trzech mil. Policjanci byli bardziej sceptyczni, włączyli posiadłość do śledztwa jedynie z obowiązku i po pobieżnym przeszukaniu, stwierdziwszy,



że jest opuszczona, natychmiast skreślili ją z rejestrów.

Wieśniacy i okoliczni mieszkańcy natomiast przeczesali całe to miejsce z niezwykłą pieczołowitością. Wywrócili wszystko w domu do góry nogami, przebagrowali stawy i strumienie, przetrząsnęli zarośla i przebadali uważnie każdy skrawek pobliskiego lasu. Wszystko na próżno; śmierć pojawiła się i odeszła, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów, z wyjątkiem zniszczeń i trupów.

Drugiego dnia poszukiwań całą sprawę nagłośniła skutecznie prasa, na Górze Gromów zaroilo się nagle od dziennikarzy. Pismacy skoncentrowali się przede wszystkim na makabrycznych szczegółach, a przeprowadzając wywiady, starali się ukazać całą sprawę jak pradawny koszmar w historycznej otoczce legend i mitów opowiadanych przez miejscowe babiny. Z początku śledziłem te doniesienia bez większego entuzjazmu, jeżeli bowiem chodzi o grozę, uważam siebie za konesera, jednak po tygodniu wyczułem coś dziwnego, co wzbudziło me zainteresowanie, i tak oto piątego sierpnia 1921 roku wynająłem pokój w hotelu w Lefferts Corners, wiosce leżącej najbliżej Góry Gromów, w hotelu pełniącym zarazem funkcję kwatery głównej badających okolicę dziennikarzy. Trzy tygodnie później dziennikarzy pozostało tu już niewiele, mogłem zatem rozpocząć swe przerażające śledztwo, oparte na pobieżnych wywiadach, badaniach i obserwacjach, czyli tym wszystkim, czym zajmowałem się do tej pory.

Tak więc owej letniej nocy, gdy z oddali dobiegał ryk grzmotów, zostawiłem swój cichy automobil i z dwoma uzbrojonymi towarzyszami wspiąłem się na szczyt Góry Gromów.

W świetle mej latarki elektrycznej już niebawem pośród wielkich dębów zaczęły ukazywać się widmowe, szare mury. W mrokach tej posępnej nocy, rozjaśniona jedynie falującym snopem światła, owa wielka budowla zdawała się mgliście sugerować koszmary, których za dnia nie sposób było dostrzec; niemniej jednak nie zawahałem się, jako że przybyłem tu z głębokim postanowieniem doprowadzenia mojej misji do końca. Chciałem upewnić się,

czy moje przypuszczenia były słuszne. Wierzyłem, że odgłos grzmotów przywoływał demona śmierci z jakiegoś przerażającego sekretnego miejsca i, czy demon ów był istotą z krwi i kości, czy też widmową zjawą, zamierzałem go ujrzeć.

Jako że uprzednio starannie przeszukałem starą posesję, plan miałem gruntownie opracowany; na miejsce czuwania wybrałem stary pokój Jana Martense'a, ofiary mordu, o którym pamięć po dziś dzień żyje w wieśniaczych legendach. Coś mi mówiło, że jego apartament najlepiej będzie się nadawać do moich celów. Komnata mierząca około dwudziestu stóp kwadratowych zawierała, podobnie jak inne pokoje, sterty połamanych gratów, które ongiś były meblami. Znajdowała się na pierwszym piętrze w południowo-wschodnim narożniku domu, miała wielkie okno od wschodniej i wąskie od południowej strony, oba wszelako pozbawione były szyb oraz okiennic. Naprzeciw dużego okna mieścił się potężny holenderski kominek, na kaflach którego przedstawiono historię syna marnotrawnego, naprzeciw wąskiego okienka zaś w ścianę wbudowano szerokie łożo.

Gdy grzmoty, stłumione przez drzewa, przybrały na sile, zająłem się realizacją szczegółów mego planu. Najpierw przymocowałem do parapetu okna trzy, jedną obok drugiej, drabinki sznurowe, które przyniosłem ze sobą. Wiedziałem, że sięgają szerokiego spłachcia trawnika pod oknem, ponieważ wcześniej dokładnie je sprawdziłem. Następnie we trzech przyciągnęliśmy z drugiego pokoju szerokie łożo z baldachimem i ustawiliśmy je przy oknie. Zamaskowaliśmy je gałęziami jedliny i rozciągnęliśmy się we trzech na łożku, z przygotowanymi pistoletami automatycznymi. Dwóch odpoczywało, podczas gdy trzeci trzymał wartę. Niezależnie od tego, z której strony mógł się pojawić demon, mieliśmy zapewnioną drogę ucieczki. Gdyby przybył z wnętrza domu, mieliśmy drabinki sznurowe, gdyby zaś zjawił się z zewnątrz, pozostawały nam schody i drzwi. Mając na uwadze precedens, nie sądziliśmy, aby nawet w najgorszej sytuacji upiór ścigał nas daleko od domu.

Trzymałem wartę między północą a pierwszą i nagle, pomimo posepności

domostwa, nie strzeżonego okna i zbliżającej się burzy, poczułem niezwykłą senność. Znajdowałem się pomiędzy dwoma moimi towarzyszami, George'em Bennettem zwróconym ku oknu i Williamem Tobeyem wpatrującym się w kominek. Bennett spał, najwyraźniej porażony tą samą tajemniczą sennością, która dotknęła i mnie, toteż wyznaczyłem na kolejną wartę Tobeya, choć i jemu kiwała się lekko głowa. To zadziwiające, z jakim zapamiętaniem wpatrywał się w ten kominek.

Przybierający na sile grzmot musiał wywrzeć znaczący wpływ na moje sny, gdyż podczas krótkiej drzemki, która mnie zmogła, nawiedziły mnie iście apokaliptyczne wizje.

Raz o mało się nie obudziłem, prawdopodobnie dlatego, że śpiący pod oknem przypadkiem położył mi rękę na piersi. Nie rozbudziłem się jednak na tyle, by sprawdzić, czy Tobey wypełniał należycie swe obowiązki wartownika, lecz poczułem w związku z tym niewysłowiony a niejasny niepokój. Nigdy dotąd nie doświadczyłem równie silnego wrażenia obecności zła. Później znów musiałem zapaść w sen, wyrwały mnie bowiem z objęć karmiącego mój umysł koszmarami Morfeusza przeraźliwe, przeszywające noc krzyki, jakich nigdy dotąd nie słyszałem ani nawet nie byłem w stanie sobie wyobrazić.

We wrzaskach tych zawierał się odgłos, z jakim sama esencja ludzkiego strachu, agonii i cierpienia mogłaby dobijać się bezradnie i szaleńczo do hebanowych bram mrocznego zapomnienia. Obudziłem się pośród czerwonego obłędu i diabolicznej drwiny, podczas gdy niepojęte wizje owej chorobliwej i krystalicznie wyrazistej udręki umykały gdzieś hen, wycofując się z mego umysłu. Nie było światła, lecz wyczuwając po swej prawej stronie puste miejsce, zorientowałem się, że Tobey gdzieś zniknął. Bóg jeden wiedział, dokąd mógł się udać. Na mojej piersi wciąż spoczywało ciężkie ramię śpiącego przy oknie mężczyzny.

I nagle błysnęło, a zaraz potem huknął grom, wstrząsając w posadach całą górą, i rozłupał patriarchę pokrzywionych, gruzłowatych drzew. Gdy rozbłysł

potworny, zygzakowaty piorun, śpiący drgnął i nagle się obudził, a blask zza okna sprawił, że na przewodzie kominkowym, powyżej paleniska, pojawił się jego cień, od którego nie byłem potem w stanie oderwać wzroku. To, że nadal żyję i zachowałem zdrowe zmysły, jest cudem, którego nie potrafię wytłumaczyć. Nie jestem w stanie tego wyjaśnić, gdyż cień na kominie nie należał do George'a Bennetta ani jakiegokolwiek innej istoty ludzkiej, lecz do bluźnierczej potworności z najdalszych zakamarków piekieł; bezimiennej, bezkształtnej potwornej istoty, której żaden umysł nie potrafi w pełni objąć i żadne pióro nie jest w stanie jej opisać. W następnej chwili pozostałem w przeklętej posiadłości sam, rozdygotany i bełkoczący jak obłąkaniec. Po George'u Bennecie i Williamie Tobeyu nie pozostał żaden ślad, nie było żadnych oznak walki. I nikt nigdy już o nich nie usłyszał.

## Chodzący wśród burzy

Następne kilka dni po tym przerażającym doświadczeniu w posiadłości leżącej pośród leśnej głuszy przeleżałem do cna wyczerpany w hotelowym pokoju w Lefferts Corners. Nie pamiętam dokładnie, jak udało mi się dotrzeć do samochodu, uruchomić go i wrócić niepostrzeżenie do wioski; nie mam bowiem żadnych konkretnych wspomnień, jedynie mgliste, ulotne wizje dzikorękich gigantycznych drzew, demonicznego mamrotania gromów i charonicznych cieni przecinających w poprzek niskie pagórki, od których w tej okolicy aż się roiło.

Gdy rozdygotany rozmyślałem, co mogło rzucić ów porażający zmysły cień, zorientowałem się, że ujrzałem na własne oczy jeden z najokropniejszych koszmarów ziemi, nie nazwaną grozę z zewnętrznej pustki, której słabe demoniczne skrobanie słyszemy niekiedy na najdalszych obrzeżach kosmosu, której oblicza jednak litościwie oszczędzono nam ujrzeć. Nie mam dość odwagi, by starać się przeanalizować lub zidentyfikować cień, który ujrzałem. Tamtej nocy coś leżało pomiędzy oknem a mną i dreszcz mnie przechodził za każdym razem, gdy instynkt nakazywał, bym próbował to jakoś określić. Gdyby przynajmniej zawarczało, zawyło lub zaśmiało się zawodzącym, piskliwym chichotem, to przynajmniej do pewnego stopnia złagodziłoby przepastną potworność owego zdarzenia.

Lecz to było ciche, tak ciche... Położyło mi na piersi ciężkie swe ramię lub nogę...

Najwyraźniej była to istota organiczna, no, przynajmniej kiedyś była organiczna... Jan Martense, którego pokój zająłem, został pogrzebany na cmentarzu w pobliżu swej posiadłości... muszę odnaleźć Bennetta i Tobeya, jeżeli żyją... Czemu to zabrało ich, a mnie zostawiło na koniec?... Senność

jest tak przytłaczająca... nieodparta... a sny tak upiorne...

Wkrótce uświadomiłem sobie, że muszę opowiedzieć komuś mą historię, bo w przeciwnym razie załamie się całkowicie. Postanowiłem już, że nie porzucę poszukiwań przyczajonej grozy, gdyż w błogiej nieświadomości sądziłem, iż niepewność gorsza jest od poznania, jakkolwiek miałyby się ono okazać zatrważające. Obmyśliłem przeto najlepszy w moim mniemaniu plan działania; wiedziałem już, komu mam się zwierzyć ze swych przeżyć i jak wysledzić i dopaść istotę, która w niewiadomy sposób porwała dwóch moich ludzi i rzuciła koszmarny cień.

W Lefferts Corners zapoznałem się z kilkoma uprzejmymi dziennikarzami, którzy zdecydowali się pozostać w wiosce, by zrelacjonować ostatnie echa tragedii. Spośród nich właśnie postanowiłem wybrać mego powiernika i im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej byłem przekonany, by opowiedzieć o swych makabrycznych przeżyciach niejakiemu Arthurowi Munroe, ciemnowłosemu, szczupłemu mężczyźnie w wieku około trzydziestu pięciu lat, którego wykształcenie, gusta i inteligencja oraz temperament sugerowały, iż nie ograniczał się on jedynie do konwencjonalnych pomysłów oraz doświadczeń.

Pewnego wrześnieowego popołudnia Arthur Munroe wysłuchał mej opowieści. Od początku zauważyłem, że okazywał zainteresowanie i sympatię, kiedy natomiast skończyłem, zaczął dyskutować ze mną, analizując dogłębnie i wnikliwie całe zdarzenie. Rada wszelako, jakiej mi udzielił, była jak najbardziej praktyczna, zalecił bowiem odroczenie dalszych działań na terenie posesji Martense'ów, póki nie zdobędziemy bardziej szczegółowych informacji historycznych oraz geograficznych.

Z jego inicjatywy przeczesaliśmy okolicę w poszukiwaniu informacji dotyczących straszliwej rodziny Martense'ów i odkryliśmy, że pewien człowiek posiada ich cudownie iluminowaną, rodową kronikę. Sporo rozmawialiśmy również z prymitywnymi osadnikami z gór, którzy nie umknęli przed zgrozą i szaleństwem w odleglejsze zakątki Catskills, co miało

być zaczątkiem zwieńczenia naszych badań, a mianowicie wyczerpującej i definitywnej analizy posiadłości w świetle jej szczegółowo zarejestrowanej historii, a także skrupulatnego i ostatecznego zbadania miejsc wiążących się z licznymi tragediami uwiecznionymi w ludowych opowieściach górali.

Rezultaty badań początkowo nie były zbyt zachęcające, aczkolwiek ich zestawienia zdawały się zdradzać wyraźny i znaczący trend; mianowicie, liczba doniesień związanych z koszmarnymi, przerażającymi zdarzeniami była zdecydowanie większa w rejonach znajdujących się w pobliżu opuszczonej posesji lub w miejscach łączących się z nią poprzez połacie mrocznego, posepnego lasu. Zdarzały się, rzecz jasna, wyjątki, tragedia, o której dowiedział się cały świat, wydarzyła się na płaskiej pozbawionej drzew przestrzeni w miejscu równie odległym od lasu, jak i od podejrzanej, powszechnie unikanej posesji.

Jeżeli chodzi o naturę i wygląd przyczajonej grozy, przerażeni i mało rozgarnięci mieszkańcy szalasu nie mogli lub nie chcieli nam pomóc. Mówili o niej pospołu jako o wężu i olbrzymie, diabelskim gromie i nietoperzu, sępie i krocącym drzewie. My wszelako domniemywaliśmy, iż była to żywa istota, wysoce wrażliwa na wyładowania elektryczne. W niektórych wersjach sugerowano, że miała ona skrzydła, uznaliśmy jednak, z uwagi na jawną wręcz niechęć do otwartych przestrzeni, że musi ona raczej poruszać się po ziemi. Jedynym czynnikiem zdającym się przeczyć powyższej teorii, była szybkość, z jaką musiałyby przemieszczać się owa istota, by dokonać rzeczy, które jej przypisywano.

Kiedy poznaliśmy górali nieco lepiej, stwierdziliśmy, iż są to ludzie pod wieloma względami sympatyczni i mili. Byli prości, to prawda, i znajdowali się po opadającej stronie na skali ewolucyjnej ze względu na swe niefortunne pochodzenie i ogłupiającą izolację.

Lękali się obcych, lecz z wolna do nas przywykli, a nawet służyli nam swą pomocą, gdy wycięliśmy zarośla i zerwaliśmy wszystkie przepierzenia na terenie posesji, poszukując, aczkolwiek na próżno, przyczajonej grozy. Kiedy

poprosiliśmy, by pomogli nam odnaleźć Bennetta i Tobeya, zareagowali ze szczerą konsternacją. Chcieli nam pomóc, ale wiedzieli, że przyjaciele moi opuścili ten padół równie skutecznie i nieodwołalnie, jak zaginieni górale z pobliskiego sioła i inni, których porwała tajemnicza groza. Byliśmy przekonani, że wiele spośród ich ofiar padło ofiarą wewnętrznych porachunków i mordów, tak jak odstrzeliwane są dzikie zwierzęta, niemniej z niecierpliwością i niepokojem oczekiwaliśmy na kolejną tragedię.

W połowie października nie na żarty zaczęliśmy się niepokoić przedłużającym się impasem. Noce były pogodne i spokojne, demoniczny napastnik nie zaatakował ponownie, przeprowadzone zaś przez nas na próżno badania domu i okolicy przywiodły nas niemal do przekonania, że mieliśmy do czynienia z istotą niematerialnej natury. Obawialiśmy się, że nadejdą chłody i położą kres naszym badaniom, wszyscy bowiem zgodnie przyznawali, iż zimą demon nie dawał o sobie znać. Dlatego też w pośpiechu i desperacji przepasywaliśmy w promieniach zachodzącego słońca nawiedzony przez grozę zaścianek. Osada świeciła teraz pustkami, gdyż górale bali się tu zachodzić, a co dopiero zamieszkać. Feralna osada nie miała nazwy, mieściła się na niewielkiej połaci bezdrzewnej przestrzeni pomiędzy skalnymi wzniesieniami o nazwach Stożkowa Góra i Klonowe Wzgórze. Wioska leżała bliżej Klonowego Wzgórza niż Stożkowej Góry, a niektóre z prymitywnych sadyb wzniesione były wręcz w jaskiniach w zboczu pierwszego ze wspomnianych wzniesień. Miejsce to oddalone było o jakieś dwie mile na północny zachód od podnóża Góry Gromów i trzy mile od otoczonej dębami starej posiadłości. Jeżeli chodzi o odległości pomiędzy osadą a posesją, teren na przestrzeni dwóch i jednej czwartej mili był otwarty i równy, jeśli nie liczyć tych kilku zygzakowatych jak zastygłe pod ziemią węże pagórków, porośniętych trawą i gdzieś tam również chwastami. Rozpatrując te szczegóły topograficzne, doszliśmy w końcu do wniosku, że demon musiał nadejść od Stożkowej Góry, której zalesiony południowy kraniec nieznacznie tylko oddalony był od najdalej wysuniętej ku zachodowi



odnogi Góry Gromów. Odnaleźliśmy także osuwisko znajdujące się na stoku Klonowego Wzgórza oraz strzeliste, rozłupane drzewo, gdzie trafił piorun, który przywołał złe moce. Gdy niemal dwudziesty raz Arthur Munroe i ja przepatrywaliśmy z uwagą każdy cal obróconej w perzynę osady, ogarnęło nas wyjątkowe zniechęcenie, rezygnacja zmieszana z całkiem nowym, niewytłumaczalnym lękiem. Było to zgoła niewiarygodne, nawet dla pospolitych, przerażających i niezwykłych wypadków, że w miejscu, gdzie wydarzyła się tak okrutna i budząca trwogę tragedia, nie pozostał żaden ślad, który mógłby rzucić choć odrobinę światła na materię owego wydarzenia. Prowadziliśmy przeto nasze badania pod ołowianym, mrocznym niebem, z tragicznym, acz honorowym zapalem godnym lepszej sprawy, mimo iż doskonale wiedzieliśmy, że nasze działania, choć konieczne i niezbędne, skazane były nieuchronnie na porażkę. Działaliśmy z ogromną dokładnością, odwiedziliśmy wszystkie chaty, jedną po drugiej, przeszukaliśmy każdą kamienną chudobę w poszukiwaniu ciał, przepatrywaliśmy bacznie każdy skrawek górskiego zbocza, lecz bezskutecznie – nie znaleźliśmy w skałach żadnych jaskiń ani grot.

A jednak, jak już wspomniałem, czułem unoszące się gdzieś ponad nami groźne i nie wyjaśnione lęki, jakby z otchłani kosmicznej pustki obserwowały nas wielkie nienasycone gryfy o nietoperzych skrzydłach.

Gdy nadeszło popołudnie, zrobiło się nagle ciemno, usłyszeliśmy także pierwszy grzmot. Nad Górą Gromów zbierało się na burzę. Dźwięk ten w takim miejscu mocno nami wstrząsnął, lecz naturalnie nie tak, jakby to było w nocy. Łudziliśmy się jeszcze, że burza rozpęta się dopiero po zmierzchu i z tą nadzieją kończąc bezowocną inspekcję osady, ruszyliśmy do najbliższego zamieszkanego sioła, by zebrać grupkę górali, którzy mogliby pomóc nam w poszukiwaniach. Mimo że mocno strwożeni, kilku młodszych mężczyzn pod naszym przywództwem obiecało nam swą pomoc.

Ledwie ruszyliśmy w drogę powrotną, kiedy lunęło jak z cebra, deszcz był tak rzęsisty, że nieodzowne okazało się znalezienie jakiegoś schronienia.

Było ciemno choć oko wykol i potykaliśmy się niemal przy każdym kroku, lecz w świetle przecinających niebo raz po raz błyskawic i znając „na pamięć” drogę do wioski, dotarliśmy wkrótce do znajdującej się tam najlepiej zachowanej chaty. Prymitywny szałas zbity był z grubych pni drzew i szorstkich nie heblowanych desek. Jedyne małe okienko i drzwi wychodziły na Klonowe Wzgórze.

Zaryglowaliśmy drzwi przed deszczem i wiatrem, zablokowaliśmy też okno toporną okiennicą, jako że po wielokrotnej inspekcji chat odnalezienie jej nie sprawiło nam trudności.

Siedzenie w egipskich ciemnościach na drewnianych, rozchwierutanych skrzyniach nie było przyjemne, ogarnięci posępnym nastrojem paliliśmy fajki, włączając co pewien czas nasze kieszonkowe latarki. Światło piorunów przebijało raz po raz przez szczeliny w ścianie; owo popołudnie było tak mroczne, że każdy błysk wydawał się wręcz oślepiający.

Burzliwe czuwanie skojarzyło mi się z tamtą upiorną, przerażającą nocą na Górze Gromów. W umyśle mym kołatało się wciąż pytanie, które nie dawało mi spokoju od owego straszliwego wydarzenia. Znowu pytałem sam siebie, dlaczego demon, zbliżając się do trójki badaczy od strony okna lub z wnętrza domu, rozpoczął od ludzi znajdujących się po bokach, pozostawiając mnie, umieszczonego pomiędzy nimi, na koniec, zanim wyjątkowo silny grzmot nie przegnał go z powrotem. Dlaczego nie porywał swych ofiar w kolejności, niezależnie od tego, od której strony się pojawił? Czemu nie zabrał mnie drugiego? Jaką zasadą się kierował, gdy chwycił w swe macki moich przyjaciół? A może wiedział, że byłem szefem grupy, i oszczędziwszy mnie, zarezerwował dla mnie los dużo gorszy niż ten, jaki czekał mych towarzyszy?

Gdy tak rozmyślałem, zupełnie jakby dramatyzm moich refleksji wpłynął na intensywność wyładowań, kolejny piorun uderzył gdzieś niedaleko, z potworną siłą, a po huk grzmotu dał się słyszeć odgłos przesuwającej się ziemi. Równocześnie skowyt wichru przybrał na sile, przechodząc w

zawodzenie, posępne crescendo. Byliśmy przekonani, że błyskawica ponownie trafiła w samotne drzewo na Klonowym Wzgórzu; Munroe wstał ze swojej skrzynki i podszedł do małego okienka, by oszacować rozmiary zniszczeń. Kiedy zdjął okiennicę, deszcz i wyjący opętańczo wicher wtargnęły dziko do środka, nie słyszałem więc, co powiedział. Czekałem cierpliwie, podczas gdy Munroe wychylił się na zewnątrz, próbując określić pandemionium żywiołu. Stopniowo wiatr się uspokoił, chmury rozwiały, burza minęła. Miałem nadzieję, że burzliwa pogoda utrzyma się do wieczora, byśmy mogli przeprowadzić nasze poszukiwania, ale promień słońca wnikający bojaźliwie przez otwór po sęku w desce za mymi plecami w okamgnieniu obrócił moje nadzieje wniwecz.

Wołając do Munroe, abyśmy wykorzystali słoneczną pogodę, bo burza mogła wszak powrócić, odrygłowałem i otworzyłem toporne odrzwia. Plac na zewnątrz pokrywały kałuże błocka i deszczówki, widać też było świeże zwały ziemi z osuwiska, które pojawiło się nieopodal, nie dostrzegłem jednak niczego, co wyjaśniałoby zainteresowanie mego towarzysza, stojącego w bezruchu i milczeniu przy maleńkim oknie. Podchodząc do miejsca, skąd się wychylał, dotknąłem jego ramienia. Munroe nie poruszył się jednak. Potrząsnąłem nim lekko i poczułem dławiące macki rakowatej grozy, której korzenie sięgały niepamiętnej przeszłości i bezdennych otchłani nocy, wykraczając poza znane nam granice czasu i przestrzeni.

Arthur Munroe był martwy. A to, co pozostało z jego nadzartej, zmasakrowanej głowy, było zupełnie pozbawione twarzy.

## Co oznaczała czerwona poświęta

W burzliwą noc ósmego listopada 1921 roku, gdy blask latarni rzucał dokoła posępne, trupie cienie, stałem samotnie, jak kretyn rozkopując grób Jana Martense'a. Zacząłem kopać już po południu, ponieważ zbierało się na burzę, teraz natomiast cieszyłem się, że było ciemno, a przed deszczem chroniło mnie gęste listowie drzew powyżej.

Wydaje mi się, że wypadki, jakie zdarzyły się od pamiętnego piątego sierpnia, częściowo pomieszały mi rozum: demoniczny cień w starym domu, ogólne napięcie i rozczarowanie oraz to, co wydarzyło się w wiosce podczas październikowej burzy. Po tym zdarzeniu wykopałem grób człowiekowi, którego śmierci nie potrafiłem pojąć. Wiedziałem, że inni także by tego nie zrozumieli, toteż pozostawiłem ich w przeświadczeniu, że Arthur Munroe odszedł gdzieś w nieznane. Górale mogliby to pojąć, lecz nie chciałem ich bardziej trwożyć. Szukali Arthura, lecz go nie odnaleźli. Co do mnie, sprawiałem wrażenie wyjątkowo nieczułego i gruboskórnego. Wstrząs, jakiego doznałem w starej posesji, uczynił coś z moim mózgiem i mogłem obecnie myśleć wyłącznie o poszukiwaniu grozy, która w mej wyobraźni urosła do gigantycznych rozmiarów. Poszukiwania te, z uwagi na los Arthura Munroe, poprzysiągłem sobie prowadzić potajemnie i w samotności.

Już sama sceneria miejsca, w którym kopałem, mogłaby wzbudzić trwogę w sercu każdego normalnego człowieka. Ogromne, prastare drzewa, groteskowe, posępne i złowrogie, wznosiły się nade mną niczym kolumny jakiejś piekielnej świątyni druidów, tłumiąc odgłosy grzmotów, uciszając wyjący wiatr i prawie nie dopuszczając do mnie deszczu. W tle, za pooranymi, gruzłowatymi pniami, oświetlone słabymi błyskami niemal tu niewidocznych piorunów strzelały w górę spowite wilgotnym blaskiem mury

opuszczonej posesji, nieco bliżej zaś znajdował się zapuszczony holenderski ogród, którego ścieżki i klomby pokrywała biała, grzybiasta, cuchnąca, nadmiernie wybujała roślinność, która nigdy nie widziała prawdziwego dziennego światła. Najbliżej wszelako rozciągał się cmentarz z pokrzywionymi, zdeformowanymi drzewami, unoszącymi w górę szaleńczo skręcone konary, korzenie ich zaś, przemieściwszy plugawe płyty nagrobne, łąpczywie wysysały jadowite, trujące płyny z tego, co znajdowało się w ziemi. Od czasu do czasu pod brązowymi całunami liści, które gniły i rozkładały się w mrokach przedpotopowego lasu, udało mi się wypatrzyć zarys jednego z owych niskich pagórków tak charakterystycznych dla tego umiłowanego przez pioruny obszaru.

Historia doprowadziła mnie do tego archaicznego grobu. Skądinąd tylko na historii mogłem się oprzeć, inne ślady bowiem prowadziły niechybnie ku posądzeniom o uprawianie plugawych satanistycznych praktyk. Wierzyłem teraz, że przyczajona groza nie była istotą z krwi i kości, lecz upiorem, zjawą o wilczych kłach sunącą jak jeździec na rumaku burzy.

Wierzyłem również, z uwagi na mnóstwo ludowych podań i legend, zebranych podczas mych poszukiwań wraz z Arthurem Munroe wśród okolicznej ludności, że musiał to być duch Jana Martense'a, zmarłego w 1762 roku. Oto, dlaczego zachowując się jak ostatni kretyn, zawzięcie rozkopy wałem jego mogiłę.

Rezydencję Martense'ów zbudował w roku 1670 Gerrit Martense, bogaty kupiec z Nowego Amsterdamu, któremu nie spodobała się zmiana porządków pod rządami Brytyjczyków i wznosił ową wspaniałą posesję w odległym górzystym zakątku, jako że odludne położenie i niezwykła sceneria tego miejsca wielce przypadły mu do gustu. Jedyńm minusem owej urokliwej skądinąd pustelni była niespotykana częstość i gwałtowność letnich burz z piorunami. Wybierając wzgórze i wznosząc na nim swą posiadłość, Mynheer Martense przypisał częstotliwość owych naturalnych zjawisk anomaliiom pogodowym zachodzącym w danym roku. W mi arę upływu

czasu stwierdził jednak, iż zjawiska te były niemal wizytówką obranego przez niego wzgórza. W końcu, kiedy nawałnice szczególnie mocno dały mu się we znaki, przysposobił jedną z piwnic, by stała się dlań oazą spokoju na czas trwania najgwałtowniejszych burz.

O potomkach Gerrita Martense'a wiadomo znacznie mniej aniżeli o nim samym, wszyscy oni bowiem dorastali w nienawiści do cywilizacji angielskiej i szkolono ich, by unikali przyjmujących ją kolonistów. Wiedli życie prawdziwych odludków, a ludzie twierdzili, że izolacja wywołała u nich zaburzenia mowy i rozumowania. Cechą charakterystyczną ich wszystkich była wrodzona wada polegająca na odmienności barwy tęczówek – jedno oko mieli niebieskie, drugie natomiast brązowe.

Ich kontakty z innymi ludźmi stawały się coraz to rzadsze, aż w końcu doszło do zawierania małżeństw z członkami licznej w rezydencji służby, zamieszkującej na terenie posiadłości. Niektórzy przedstawiciele rodu przeprowadzili się na drugi kraniec doliny, by związać się z żyjącymi w tamtych wioskach góralami i dać początek prymitywnym, debilowatym wieśniakom zamieszkującym obecnie te tereny. Inni z uporem i zapamiętaniem pozostali w rezydencji swych przodków, tworząc zamkniętą i posępną społeczność, która wszelako nerwowo i wrażliwie reagowała na nawiedzające ich górę burze.

Większość tych informacji została rozgłoszona całemu światu za pośrednictwem młodego Jana Martense'a, który z pewną niefrasobliwością zaciągnął się do armii kolonialnej, kiedy na Górę Gromów doszły wieści o Konwencji w Albany. Był on pierwszym spośród potomków Gerrita, który zwiedził niemały kawałek świata, a kiedy w 1760 roku powrócił, po sześciu latach wojaczki, został przez swego ojca, stryja i braci znienawidzony i wyklęty jako odmieniec, mimo iż podobnie jak oni miał oczy w dwóch różnych kolorach. Nie dzielił już z nimi osobliwych obyczajów i zachowań, a i burze nie wywierały nań równie silnego wpływu jak na resztę rodziny. Co więcej, otoczenie, w jakim się znalazł, coraz bardziej go przygnębiało, do

tego stopnia, iż często pisywał do przyjaciela w Albany, zwierając mu się w listach, że zamierza opuścić rodzinny dom.

Wiosną 1763 roku Jonathan Gifford, przyjaciel Jana Martense'a z Albany, zaczął niepokoić się przedłużającym się brakiem korespondencji od swego druha, zwłaszcza że wiedział o jego kłopotach rodzinnych i częstych sprzeczkach z najbliższymi. Postanowiwszy złożyć mu wizytę, wybrał się w góry konno. Zapis w jego dzienniku głosił, iż dotarł na Górę Gromów dwudziestego września i stwierdził, że posesja obróciła się w ruinę. Posępni, dziwnoocy Martense'owie, którzy zaszokowali go swym niechlujnym, niemal zwierzęcym wyglądem, gardłowym głosem, z trudem artykułując słowa, poinformowali go, że Jan nie żyje. Powiedzieli, że poprzedniej jesieni został porażony piorunem i pochowano go przy domu, za zaniedbanym, porośniętym przez chwasty ogrodem. Pokazali gościowi mogiłę, zwykły grób, bez żadnych oznaczeń czy napisów. Coś w zachowaniu Martense'ów wzbudziło w Giffordzie odrazę i podejrzliwość, toteż tydzień później powrócił uzbrojony w łopatę i oskard, by zbadać, co naprawdę stało się z jego przyjacielem. Jego podejrzenia okazały się słuszne – czaszka była okrutnie zmiażdżona, jakby serią potężnych, brutalnych ciosów, toteż powróciwszy do Albany, wniósł przeciwko Martense'om oskarżenie o zamordowanie ich krewniaka.

Brakowało dowodów prawnych, niemniej historia jak błyskawica rozniosła się po okolicy i od tej pory świat całkowicie odciął się od Martense'ów. Nikt nie chciał prowadzić z nimi interesów, posiadłości zaś powszechnie unikano i uważano za przeklętą. Mimo to jakimś cudem przetrwali, żyjąc z produktów wytworzonych na terenie posiadłości, światła dostrzegane od czasu do czasu z odległych wzgórz świadczyły bowiem o ich ciągłej obecności na Górze Gromów. Światła te widywano aż do 1810 roku, lecz ostatnio zdarzało się to nader rzadko.

Tymczasem wokół posesji narosła mroczna, diabelska legenda. Miejsca tego unikano jak ognia i kojarzono z wszelkimi wytworami ludowych

zabobonów. Nikt tu nie przyjeżdżał, aż do 1816 roku, kiedy górale zwrócili uwagę, że w rezydencji od dłuższego już czasu nie paliło się światło. Wtedy też zebrana naprędce drużyna odwiedziła to miejsce i zbadawszy je gruntownie, stwierdziła, iż dom był opuszczony i w większej mierze zrujnowany.

Nie natrafiono na żadne szczątki, toteż uznano, iż mieszkańcy nie tyle powymierali, ile raczej cichaczem wynieśli się z rezydencji. Musieli oni opuścić to miejsce parę lat temu, mnogość zaś pomieszczeń rezydencji przerobionych na pokoje mieszkalne pozwoliła jedynie pobieżnie domyślić się, jak liczną tworzyli tu ostatnio społeczność. Ich poziom kultury mocno się obniżył, czego dowodem były gnijące, rozpadające się meble i rozsypane wszędzie srebra, porzucone wraz z odejściem ich właścicieli. Chociaż przerażający Martense'owie odeszli, lęk przed nawiedzonym domem pozostał; co więcej, narastał z roku na rok, w miarę jak wśród górskich dekadentów zaczęły krążyć nowe, dziwne historie. I oto stał tam, opuszczony, budzący grozę, związany nieodłącznie z mściwym duchem Jana Martense'a. Stał tam, owej nocy, gdy rozkopywałem grób Jana Martense'a.

Określiłem wykonywaną przez siebie czynność jako kretyńską, zarówno bowiem to, co robiłem, jak i metoda mego działania były idiotyczne. Niebawem dokopałem się do trumny Jana Martense'a – zawierała ona teraz jedynie kurz i saletrę, jednak ogarnięty wściekłym pragnieniem ekshumowania ducha, jąłem grzebać, irracjonalnie i niezdarnie, pod miejscem, gdzie złożone były jego szczątki. Bóg jeden wie, co spodziewałem się tam odnaleźć, czułem jedynie, że rozkopuję grób człowieka, którego duch wędruje nocami po okolicy.

Nie sposób stwierdzić, jak monstrualną głębokość osiągnąłem, kiedy ostrze mojej łopaty, a niebawem i moje stopy przebiły się przez grunt, na którym stałem. Wydarzenie to, nawet w obecnych okolicznościach, było niezwykle i zatrważające, istnienie bowiem podziemnego tunelu stanowiło budzące grozę potwierdzenie mych szaleńczych teorii.



Podczas upadku, choć nastąpił on z niewysoka, zgasła moja lampa, wyjąłem jednak z kieszeni małą elektryczną latarkę i zlustrowałem niewielki, poziomy tunel ciągnący się nieskończenie w obu kierunkach. Był dostatecznie szeroki, by mógł się przezeń przecisnąć rosły mężczyzna, i choć w owej chwili nie postąpiłby tak żaden logicznie rozumujący mężczyzna, zapomniałem o niebezpieczeństwie, rozsądku i możliwości ubrudzenia się ziemią, ogarnięty trawiącą umysł gorączką, pragnieniem odkrycia przyczajonej grozy. Wybierając drogę ku posesji, wpełzłem do tunelu i zacząłem się czołgać, macając przed sobą energicznie, na oślep, obiema rękami i od czasu do czasu przyświecając sobie latarką.

Jakiż język mógłby opisać sytuację człowieka zagubionego w nieskończonych trzewiach ziemi, drapiącego, zdyszanego, wijącego się, orzącego szaleńczo rękami przed sobą, macającego i wyszukującego drogę przez zapadnięte czeluście zapomnianej bezdennej czerni, pozbawiony poczucia czasu, bezpieczeństwa, kierunku i konkretnego celu, ku któremu zmierza? Jest w tym coś upiornego, niemniej tak właśnie uczyniłem. I trwało to tak długo, że życie zbladło w mych myślach, stając się jeno odległym wspomnieniem, a ja zlałem się w jedno z kretami i pędrakami zamieszkującymi mroczne, podziemne czeluście. W gruncie rzeczy przez czysty przypadek po długim czołganiu się tunelem przypomniałem sobie o latarce i zapaliłem ją, oświetlając słabym snopem elektrycznego światła rozciągający się przede mną gliniasty, skręcający w oddali korytarz.

Pełzłem tak przez czas jakiś i bateria latarki wyczerpała się niemal do końca, gdy nagle tunel ostro jął unosić się w górę, zmuszając mnie do zmiany sposobu poruszania się. Gdy uniosłem wzrok, ni stąd, ni zowąd dojrzałem błyszczące w oddali dwa demoniczne odbicia mojej gasnącej latarki, dwa błyskające odbicia promieniujące wręcz namacalnie złem i przywodzące szaleńcze, mgliste wspomnienia. Automatycznie przystanąłem, choć umysł mój nie pracował na tyle sprawnie, by nakazał mi natychmiast zawrócić. Ślepa przybliżyły się, choć dostrzegłem jedynie szpon istoty, która na mnie

patrzyła. Cóż to jednak był za szpon!

Naraz gdzieś z góry dobiegł głośny łoskot, który rozpoznałem. Był to huk gromu, narosły do isticie histerycznej furii. Musiałem widocznie przez czas jakiś piąć się pod górę i teraz znajdowałem się niedaleko powierzchni. Podczas gdy odgłos grzmotu z wolna cichł, te błyszczące ślepia wciąż przyglądały mi się z bezmyślną, tępą złośliwością.

Dzięki Bogu, że nie wiedziałem wtedy, czym było to coś, w przeciwnym razie niechybnie bym umarł. Ocalił mnie ten sam grzmot, który ową istotę przywołał, w tej samej chwili bowiem w zbocze góry znowu uderzył piorun i ujrzałem sypiące się na mnie większe i mniejsze grudy ziemi oraz odłamki fulgurytu. Stwór z cyklopową wściekłością zaczął orać ziemię powyżej tej przeklętej jamy, oślepiając mnie i ogłuszając, lecz nie pozostawiając całkiem bez zmysłów. W chaosie osuwającej się, przesypującej ziemi brnąłem bezradnie, torując sobie drogę obiema dłońmi, póki padający na mą głowę deszcz nie pomógł mi złapać równowagi i ujrzałem, że wydostałem się na powierzchnię w znanym mi miejscu. W świetle błyskawic dostrzegłem rozgrzebaną ziemię dokoła i pozostałości osobliwego, niskiego pagórka, ciągnącego się od wyższych partii porośniętego lasem zbocza. W chaosie tym wszelako nic nie wskazywało, jakobym wydostał się przed chwilą z sekretnych, zabójczych katakumb. W moim umyśle, jak i w tej ziemi panował chaos, a gdy od południa okolicę spowiła osobliwa czerwona poświata, niemal nie zdawałem sobie sprawy z ogromu koszmaru, jaki właśnie przeżyłem.

Jednak dwa dni później, kiedy górale powiedzieli mi, co oznaczała czerwona poświata, ogarnęła mnie jeszcze większa zgroza niż wówczas, gdy odnalazłem tajemny podziemny tunel i spotkałem się w nim z mroczną, zaopatrzoną w szpony istotą o błyszczących ślepiach.

Zgroza była tym większa, że wiązały się z nią niewyobrażalne niemal implikacje. W odległej o dwadzieścia mil wiosce mniej więcej w tej samej chwili, gdy w zbocze Góry Gromów uderzył piorun, dzięki czemu

wydostałem się z podziemi na powierzchnię, wydarzył się istny koszmar. Z korony drzewa na dziurawy, zniszczony dach starej chaty zeskoczyła potworna, nie nazwana istota. Dokonała co prawda rzezi, lecz górale pospiesznie podpalili chatę, zanim monstrum zdołało się z niej wydostać. Stało się to w tym samym momencie, gdy na istotę o długich szponach i błyszczących ślepiach zaczęły osypywać się w tunelu kaskady ziemi.

Nie może być nic normalnego w umyśle człowieka, który wiedząc to, co ja wiedziałem o koszmarach Góry Gromów, szukałby samotnie przyczajonej tam grozy. Fakt, że co najmniej dwa ucieleśnienia grozy zostały zniszczone, rodził cień nikłej gwarancji mentalnego i fizycznego bezpieczeństwa w tym Acheroncie wielokształtnego diabelstwa. Mimo to kontynuowałem swe poszukiwania z jeszcze większym zapałem, chociaż wydarzenia i odkryte przeze mnie rewelacje stawały się coraz potworniejsze.

Kiedy w dwa dni po tym, jak rozdygotany z przerażenia wyczołgałem się z krypty istoty o zakrzywionych szponach i lśniących ślepiach, dowiedziałem się, iż dwadzieścia mil dalej, w tym samym czasie, gdy byłem obserwowany przez mrocznego stwora, inny maskaron dokonał potwornej zbrodni, poczułem, że ze zgrozy krew zastyga mi w żyłach. Przerażenie to wszelako było w tak dużym stopniu zmieszane z zadziwieniem, ciekawością i nęcącą groteskowością, że uczucie to stało się nieomal przyjemne. Czasami w wirze kosmaru, gdy niewidzialne potęgi unoszą cię w swych objęciach ponad dachami osobliwych, umarłych miast ku wyszczerzonej szczelinie Nis, odczuwasz ulgę, a nawet rozkosz, mogąc wrzasnąć wniebogłosy i dać się ponieść upiornemu wirowi sennego przeznaczenia na samo dno nieznannej i niezgłębionej czeluści, gdzie ma on swój kres.

Tak było i z koszmarem na jawie, który przydarzył mi się na Górze Gromów. Odkrycie, że miejsce to nawiedzały aż dwa potwory, natchnęło mnie niepohamowaną żądzą natychmiastowego udania się do przeklętego rejonu i wygrzebania gołymi rękami śmierci łypiącej złowrogo z każdej grudki tej zatrutej, plugawej ziemi.

Najszybciej, jak było to możliwe, odwiedziłem grób Jana Martense'a, ale

na próżno zacząłem kopać w tym samym miejscu, co poprzednio. Jakiś ogromny zawał zasypał ślady sekretnego tunelu, deszcz natomiast zmył do jamy sporo ziemi, tak więc nie potrafiłem stwierdzić, jak głęboko dokopałem się tamtego dnia. Odbyłem również znojną wyprawę do odległej wioski, gdzie spalono morderczą istotę, lecz mój trud nie przyniósł spodziewanych efektów. W popiołach feralnej chaty natrafiłem na kilka kości, żadne jednak raczej nie należały do monstrum. Górale stwierdzili, że potwór dopadł jedną tylko ofiarę, choć w tym względzie chyba się mylili, obok kompletnej czaszki istoty ludzkiej odnalazłem bowiem kościsty fragment pochodzący z pewnością z czaszki człowieka.

Chociaż wieśniacy zauważyli atakującą istotę, nikt nie potrafił powiedzieć, jak ona właściwie wyglądała, ci, którzy ją ujrzeli, twierdzili, iż był to po prostu diabeł.

Zbadawszy wielkie drzewo, gdzie czyhało monstrum, ni odnalazłem na nim żadnych wyraźnych śladów. Usiłowałem odnaleźć w lesie trop owej dziwnej istoty, lecz nie byłem w stanie znieść widoku tych upiornie wielkich, posępnych pni ani grubych wijących się jak węże korzeni, poskręcanych złowrogo i niknących w trzewiach ziemi.

Moim następnym posunięciem było przebadanie z mikroskopijną dokładnością opuszczonej wioski, gdzie śmierć uderzyła z nie mającą sobie równej srogością i gdzie Arthur Munroe ujrział coś, czego, niestety, nie zdołał przed śmiercią wyjawić. Chociaż poprzednie badania, jakie wykonałem, były nad wyraz staranne, miałem teraz nowe dane, które mogłem i powinienem wykorzystać. Przerazające doświadczenie w tunelu upewniło mnie, że przyczajona groza, przynajmniej w jednej ze swych faz, posiada formę istoty podziemnej.

Tym razem, czternastego listopada, skoncentrowałem swe poszukiwania na niegościnnych stokach Stożkowej Góry i Klonowego Wzgórza, otaczających z dwóch stron nieszczęsne sioło, szczególną zaś uwagę skupiłem na zwałach świeżej ziemi w rejonie niedawnego osuwiska, przy

drugim ze wspomnianych wzniesień.

Przez całe popołudnie nie odkryłem nic rewelacyjnego, a gdy nadszedł zmierzch, stojąc na Klonowym Wzgórzu, spojrzałem w dół na wioskę i znajdującą się po drugiej stronie doliny Górę Gromów. Zachód słońca był wprost urzekający, a kiedy wzeszedł księżyc zbliżający się do pełni, zalał swą srebrzystą poświatą całą równinę, odległe góry i osobliwe, widniejące tu i ówdzie, niskie pagórki. Była to iście sielankowa scena, lecz we mnie, świadomym, co skrywała, wzbudziła jedynie odrazę i wstręt. Nienawidziłem tego drwiącego księżyca, zdradliwej równiny, przeżartej zgnilizną góry i tych złowieszczych pagórków, wszystko zdawało mi się skażone odrażającą plugawością i związane jakimś ohydny paktem z wynaturzonymi, ukrytymi mocami.

Gdy tak popatrywałem obojętnie na skąpaną księżycowym blaskiem panoramę, wzrok mój przykuła pewna niezwykłość w naturze i układzie jednego elementu topograficznego. Nie miałem głębszej wiedzy z dziedziny geologii, od początku jednak zainteresowały mnie tak liczne w tej okolicy pagórki i wzniesienia. Zauważyłem, że były rozrzucone dość szeroko wokół Góry Gromów, choć mniej liczne na równinie niżli w pobliżu samego szczytu góry, gdzie prehistoryczne zlodowacenia bez wątplenia natrafiły na słabszy opór i mogły swym zdumiewającym fantazyjnym zachciankom dać większy upust. Teraz, w świetle wiszącego nisko na niebie księżyca tworzącym długie, dziwaczne cienie, uderzyło mnie, że rozliczne linie i punkty układu pagórków są w niezwykle sposób powiązane z wierzchołkiem Góry Gromów. Szczyt ów był bez wątplenia środkiem, skąd rozchodziły się linie lub rzędy punktów, niezliczone i nieregularne, jakby z rezydencji Martense'ów na wszystkie strony wysuwały się widmowe macki zgrozy. Myśl o nich sprawiała, że ciarki przeszły mi naraz po plecach i oto w jednej chwili przestałem uważać owe pagórki za dzieło pradawnych zlodowaceń.

Im dłużej nad tym rozmyślałem, tym słabiej wierzyłem w me dotychczasowe przekonania. Na podstawie dokonanych wcześniej badań

umysł mój, który otworzył się na nowo, zaczął analizować uznawane dotąd za groteskowe i niewiarygodne, mrozące krew w żyłach analogie na bazie aspektów paranormalnych oraz mych doświadczeń w podziemnym tunelu. Zanim się zorientowałem, mruczałem już pod nosem jak oszalały oderwane, pełne emocji słowa: – Mój Boże... kretowiska... to przeklęte miejsce musi przypominać od wewnątrz wielki plaster miodu... ile ich jest... tamtej nocy, w posiadłości... najpierw zabrały Bennetta i Tobeya... podchodząc nas z obu stron... – A potem zacząłem rozgrzebywać opętańczo pagórek znajdujący się najbliżej mnie; kopałem pełen desperacji i rozdygotany, ale w głębi duszy nieomal się radowałem; kopałem i koniec końców zakrzyknąłem w głos pod wpływem jakiejś nieokreślonej emocji, kiedy napotkałem wylot tunelu lub jamy, identyczny jak ten, którym wyczołgałem się na powierzchnię owej upiornej nocy.

Pamiętam potem, że biegłem z łopatą w dłoni. To był straszny bieg, gnałem przez skąpane srebrzystym blaskiem, naznaczone pagórkami łąki i trawione chorobą, mroczne otchłanie nawiedzonego lasu porastające strome zbocze góry. Zdyszany przeskakiwałem znajdujące się na mej drodze przeszkody, zmierzając ku przeraźliwej posesji Martense'ów.

Pamiętam, jak zupełnie irracjonalnie zacząłem kopać po kolei w kilku zakamarkach zarośniętej krzewami wrzośca piwniczki. Kopałem, by odnaleźć środek, centrum plugawego serca tego bluźnierczego, złowrogiego uniwersum pagórków. Potem, przypominam sobie, wybuchnąłem gromkim śmiechem, gdy natknąłem się na sekretne przejście, otwór u podstawy starego komina, gdzie rosły gęste chwasty rzucające dziwaczne, niepokojące cienie w migotliwym blasku świecy, jedynej skądinąd, jaką miałem przypadkiem przy sobie. Nie wiem, co jeszcze pozostało tam, na dole, w głębi owego piekielnego ula, czając się i wyczekując, aż odgłos gromu wyrwie je z sennego odrętwienia. Dwa zostały zabite, może to położyło kres grozie. Wciąż jednak pozostała we mnie niepoohamowana determinacja, by poznać najgłębszy sekret owej grozy, którą znów uważałem za coś

określonego, materialnego i organicznego.

Z pełnych niezdecydowania rozważań, czy mam zbadać przejście sam i niezwłocznie, posiłkując się mą niezawodną kieszonkową latarką, czy spróbować zwołać grupę górali, którzy wsparliby mnie w tej wyprawie, wyrwał mnie po chwili nagły podmuch wiatru napływający z zewnątrz, który zgasił wąty płomyk świecy, pozostawiając mnie w iście egipskich ciemnościach. Księżyc nie przeświecał już przez szczeliny i otwory powyżej, a po chwili, z narastającym niepokojem, usłyszałem złowrogi i znaczący odgłos odległego jeszcze grzmotu.

W głowie miałem mętlik, lecz ostatecznie zacząłem macać na oślep w poszukiwaniu najodleglejszego kąta piwnicy. Ani na chwilę nie odrywałem wzroku od przerażającego otworu u podstawy komina, wkrótce zaś zacząłem dostrzegać zarysy zmurszałych cegieł i odrażających chwastów, gdy słaby blask piorunów przeniknął plugawe zarośla na zewnątrz i oświetlił szczeliny w górnej części muru. Z każdą mijającą sekundą coraz bardziej trawiła mnie mieszanina lęku i zaciekawienia.

Co mogła przywołać burza... i czy pozostało jeszcze coś, co mogły zawezwać grzmoty? W świetle pioruna ukryłem się za gęstą kępą roślinności, zza której mogłem obserwować otwór, nie będąc samemu zauważonym.

Jeśli niebiosa są miłosierne, wymażą pewnego dnia z mej świadomości widok, który wówczas ujrzałem, i pozwolą mi przeżyć w spokoju ostatnie lata, jakie pozostały mi na tym padole. Obecnie nocami dokucza mi bezsenność, a gdy nadchodzi burza i zaczyna grzmieć, muszę uspokajać sterane nerwy opiatami. Istota pojawiła się nagle, zupełnie niezapowiedzianie, demon wypełził żwawo, niby szczur z jakichś odległych i niewyobrażalnych czeluści, dało się słyszeć piekielne sapanie, zduszone pochrząkiwanie i naraz z otworu w podstawie komina wypłynęły niezliczone tłumy plugawych w swej trędowatej, niezdrowej potworności istot, istna rzeka odrażających pomiotów nocy, najprzeróżniejszych okazów organicznego zepsucia, bardziej zatrważających niż najpotworniejsze



przykłady dostępnego śmiertelnikom szaleństwa i zwichrowanej patologii.

Wrząc, kipiąc i falując, bulgocząc niczym węzowy jad, potok istot wypłynął z przepastnego otworu, rozprzestrzeniając się jak bezlitosna zaraza lub śmiertelne zakażenie i kierując ku kolejnym wyjściom, rozdzielając się, by rozproszyć się wśród ostępów mrocznego, nocnego lasu, siać strach, szaleństwo i śmierć.

Bóg jeden wie, ile ich tam było, ale z pewnością tysiące.

Widok tych szeregów w słabych, krótkotrwałych błyskach piorunów był zaiste szokujący. Kiedy rozproszyły się na tyle, bym mógł przyjrzeć się pojedynczym osobnikom, stwierdziłem, że były to skarłale, zdeformowane włochate diabły lub może małpy. Owe monstrualne i diaboliczne karykatury małpiego rodu były zarazem przeraźliwie ciche. Nie usłyszałem nawet głośniejszego pisku, gdy jeden z maruderów z wprawą wskazującą na długą praktykę rzucił się na młodszego, wyraźnie słabszego towarzysza, by bez zwłoki zaspokoić jego kosztem doskwierający mu głód. Inne istoty rozdrapały w okamgnieniu resztki i pożarły ze smakiem, śliniąc się przy tym niepomrotnie. I wtedy pomimo oszołomienia i zgrozy moja posępna ciekawość wzięła górę; gdy ostatnie monstrum wyłoniło się z podziemnego świata nieznanymi i niespotykanymi koszmarami, wyjąłem swój pistolet automatyczny i zastrzeliłem potworka, odczekawszy, aż huk gromu zagłuszy odgłos wystrzału.

Wrzeszczące, wijące się, pełzające, rwące cienie czerwonego lepkiego szaleństwa ścigające się między sobą wśród niekończących się, ociekających krwią korytarzy fioletowego, fulgurytowego nieba... bezkształtne fontanny i kalejdoskopowe mutacje upiornej, zapamiętanej sceny; lasy pełne monstrualnych, przerośniętych dębów z węzowymi korzeniami, poskręcanyimi i spijającymi nie nazwane soki z trzewi ziemi rojących się od milionów kanibalistycznych diabłów; macki jak rzędy pagórków sięgające z podziemnego nukleusu polipowego plugastwa... szaleńczy piorun rozświetlający porośnięte zjadliwym bluszczem mury i demoniczne przejścia,

zdławione porastającą je gąbczastą, grzybiastą, odrażającą roślinnością...

Niebiosom niech będą dzięki za instynkt, który nieświadomie przywiódł mnie z powrotem do miejsc zamieszkałych przez ludzi, do spokojnej osady śpiącej pod baldachimem czystego nieba pełnego spokojnych, migoczących radośnie gwiazd.

Po tygodniu doszedłem do siebie na tyle, że posłałem do Albany po zespół ludzi, polecając im, aby wysadzili dynamitem posiadłość Martense'ów i cały wierzchołek góry, zrównali z ziemią wszelkie pagórki – wyjścia wchodzące w skład sieci podziemnych tuneli – i zniszczyli pewne, nadmiernie wyrosnięte drzewa, których istnienie zdawało się obelgą dla zdrowego rozsądku. Gdy wypełnili to zadanie, mogłem wreszcie spać nieco spokojniej, lecz prawdziwego ukojenia nie zaznam nigdy, póki w pamięci mej pozostanie owa niewypowiedziana straszliwa tajemnica przyczajonej grozy. Sekret ten będzie mnie nękał aż do śmierci, któż bowiem zaręczy, że dokonano całkowitej eksterminacji tego niewypowiedzianego plugastwa i że podobne makabryczne fenomeny nie kryją się w mrocznych zakątkach na całej kuli ziemskiej? Kto, dysponując taką wiedzą, nie myślałby o istniejących na ziemi, nieznanymi jaskiniach, nie czując przy tym na plecach lodowatych dreszczy zgrozy wywołanych mglistymi, acz jak najbardziej usprawiedliwionymi podejrzeniami? Nie jestem w stanie spojrzeć na studnię czy na wylot tunelu, by widok ten nie wzbudził we mnie uczucia zatrwającego lęku... dlaczego lekarze nie dadzą mi czegoś, bym mógł spokojnie zasnąć lub uspokoić skołatane nerwy, gdy na dworze zaczyna grzmieć? To, co ujrzałem w blasku pioruna, gdy zastrzeliłem ostatniego wyłaniającego się z czeluści piekielnych marudera, było tak proste i banalne, że minęła niemal minuta, zanim to pojąłem i o mało nie straciłem zmysłów. Istota wyglądała odrażająco. Był to brudny, cuchnący, biały, podobny do goryla stwór o ostrych, żółtych kłach i zmierzwionym futrze. Ostateczny wytwór ssaczej degeneracji, przerażający wynik parzenia się w odizolowanych grupach, takiegoż rozrodu i kanibalizmu, który praktykowany zarówno na powierzchni, jak i pod ziemią,

dostarczał im niezbędnego pożywienia; ucieleśnienie całego gniewu, dzikości, chaosu, szaleństwa i roześmianej grozy czyhającej gdzieś poza życiem. To spojrzało na mnie, umierając, a jego ślepie wyglądały równie osobliwie jak te, które obserwowały mnie w podziemnym tunelu i które wywołały we mnie wtedy jeszcze bliżej nie sprecyzowane przypuszczenia i skojarzenia. Jedno oko było niebieskie, drugie zaś brązowe. Jak głosiły stare legendy, zróżnicowanie barwy tęczówek było cechą wrodzoną charakteryzującą wszystkich Martense'ów, i w jednej, mrożącej krew w żyłach ową gwałtownością chwili iluminacji pojąłem, co stało się z owym zaginionym klanem, co naprawdę spotkało przerażającą i doprowadzoną przez grzmoty do szaleństwa rodzinę Martense'ów.

# Festyn

Wezwany przez Ojców, szedłem wzdłuż brzegu Wschodniego Morza. Wędrowałem do miejsca, którego nigdy nie widziałem, ale o którym często śniłem – ku pradawnemu miastu moich przodków.

Był czas Yuletide, które ludzie nazywają Bożym narodzeniem. choć jednak w głębi serc wiedzą, że jest starsze niż Betlejem i Babilon, starsze niż Memphis i cała ludzkość. To właśnie jest Yuletide!

Dotarłem w końcu do pradawnego nadmorskiego miasteczka, gdzie zamieszkiwał mój lud i zachowywał tradycję festynu nawet w tych czasach, kiedy był zakazany; Ojcowie nakazali synom, aby urządzali podobny festyn raz na sto lat; nie chcieli bowiem, by pamięć o starych sekretach poszła w zapomnienie. Lud mój był stary; był już stary, kiedy przed trzystu laty do kraju tego przybyli osadnicy. Był dumny, bowiem jego śniadolicy, skryci członkowie pochodzili z południa, gdzie rosły gaje orchidei i opium i mówili innym językiem, zanim nauczyli się języka błękitnookich rybaków.

Teraz zaś byli rozproszeni i łączyły ich jedynie rytuały misteriów, których żaden żyjący nie był w stanie zrozumieć. Ja byłem tym, który wracał tej nocy do starej rybackiej osady, bowiem, jak każe legenda, tylko biedni i samotni pamiętają. Za załomem wzgórza ujrzałem Kingsport rozpościerające się w mroźnej, srebrnej poświacie; ośnieżone Kingsport ze swymi pradawnymi chorągiewkami, wieżyczkami. kominami, kalenicami, nabrzeżem i niewielkimi mostkami, wierzbami i cmentarzami, z bezkresnym labiryntem wąskich, stromych, krętych uliczek i przyprawiającym o zawrót głowy wzniesieniem centralnym, nad którym górował, nietknięty przez czas, kościół.

Przypominająca gąszcz kombinacja kolonialnych domków, rozstawionych

pod różnorakim kątem, dużych i małych, parterowych i piętrowych przywozila na myśl klocki, rozsypane przez rozkapryszone dziecko. Ponad osadą unosił się na mrocznych skrzydłach cień starożytności; przemukał ponad pobielonymi przez zimę topolami i dwuspadowymi dachami.

Latarnie i wielopanelowe okna, jedno po drugim, rozpałały się w zimnym zmierzchu dołączając do Oriona i archaicznych gwiazd.

Fale tłukły zaciekle o przegniłe nabrzeże; tajemnicze odwieczne morze, z którego w dawniejszych czasach przybył mój lud.

Obok drogi, w pewnej odległości od posępnego wierzchołka wzniesienia, omiecionego do czysta podmuchami wiatru, ujrzałem cmentarz, na którym czarne nagrobne kamienie wyzierały upiornie ze śniegu, niczym gnijące paznokcie gigantycznego trupa. Niewidoczna droga była bardzo odludna i czasami wydawało mi się, że słyszę dobiegający z oddali skrzyp szubienicy na wietrze.

Leżało tu czterech moich ziomków. Powieszono ich w 1692 roku, podejrzewając o czary, choć nie wiedziałem, gdzie to dokładnie się stało.

Schodząc ze wzgórza ku brzegowi morza nasłuchiwałem radosnych wieczornych odgłosów dochodzących z wioski, ale – jak się okazało – bezskutecznie. Pomyślałem o porze roku i doszedłem do wniosku, że ci starzy Purytanie mogą mieć zupełnie inne świąteczne zwyczaje i być może siedzą teraz przy kominkach pogrążeni w cichej, acz żarliwej modlitwie.

Przestałem oczekiwać radosnych odgłosów ani nie wypatrywałem wędrowców. Schodziłem dziarsko w dół mijając ciche, oświetlone wiejskie chaty i mroczne kamienne ściany. Szyldy starych sklepów i nadmorskich tawern skrzypiały w podmuchach słonej bryzy, a groteskowe kołatki na drzwiach otoczonych z dwóch stron kolumnkami, lśniły w blasku płynącym z niewielkich, zaciągniętymi zasłonami, okien.

Widziałem mapy miasta i wiedziałem gdzie znajdę dom mego ludu. Powiedziano, że zostanę rozpoznany i powitany z radością – legendy w osadzie mają bowiem długi żywot. Pospiesznie dotarłem przez Back Street

do Circie Court i poprzez świeży śnieg, pokrywający jedyną brukowaną ulicę w mieście, przeszedłem do rozgałęzienia Green Lane, na tyłach Market House. Stare mapy okazały się dokładne i nie miałem najmniejszych problemów. W Arkham musieli jednak kłamać twierdząc, że docierają tu tramwaje, gdyż nie zauważyłem przeciągniętych w górze przewodów. Szyny ukryłby śnieg. Byłem zadowolony, że idę pieszo, bowiem ze wzgórza osada prezentowała się wręcz urzekająco. Nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie zastukam do drzwi mego ludu, siódmego budynku po lewej, przy Green Lane, ze starym spiczastym dachem i wystającym pięterkiem, zbudowanego przed 1650 rokiem.

Kiedy tam dotarłem, w domu paliło się światło, a ujrawszy "diamentowe" szybki okna stwierdziłem, że budynek musiał być zachowany w niemal nienaruszonym stanie. Górna część zwieszała się nad wąską, zarośniętą przez trawę ulicą i niemal stykała się z nawisem piętra domu naprzeciwko. Tym samym znalazłem się w swego rodzaju tunelu, gdzie na pojedynczym kamiennym stopniu nie było nawet płątka śniegu. Chodnika tu nie uświadczyleś, ale w wielu domach do wysoko umieszczonych drzwi dochodziło się wzdłuż podwójnej kondygnacji schodów z barierkami z kutego żelaza.

Było to nader osobliwe a ponieważ nie znałem Nowej Anglii nigdy dotąd nie widziałem czegoś podobnego. Pomimo iż wszystko to bardzo mi się podobało, byłbym bardziej rad gdybym ujrzał na śniegu ślady stóp ludzi na ulicach i odciągnięte zasłony w przynajmniej kilku mijanych oknach.

Kiedy zastukałem, posługując się przy tym starą żelazną kołatką, byłem już na wpół przerażony. W moim wnętrzu wzbierał jakiś nieokreślony strach, być może wywołała go osobliwość mojego dziedzictwa, posępność wieczoru lub też dziwna cisza panująca w tym osobliwym mieście. Kiedy zaś odpowiedziano na moje stukanie, przeraziłem się jeszcze bardziej, bo zanim drzwi uchylły się ze skrzypnięciem, nie słyszałem aby ktoś do nich podchodził. Strach mój nie trwał jednak długo, gdyż zobaczyłem przed sobą

odzianego w nocną koszulę starca w papuciach i widok ten, oraz jego dobrotliwy wyraz twarzy, w znacznym stopniu mnie uspokoił. Staruszek dał mi znak, że był niemową. Rysikiem na woskowej tabliczce, którą miał przy sobie, napisał mi nader oryginalne, pradawne powitanie.

Skinął na mnie i wszedłem do niskiego, oświetlonego blaskiem świec pokoju z masywnymi, odsłoniętymi belkami stropowymi i ciemnymi, mocnymi – choć nielicznymi – siedemnastowiecznymi meblami. Przeszłość nadal żyła w tym domu – nie zapomniano o najdrobniejszych szczegółach. Był tu ogromny kominek oraz kołowrotek, przy którym siedziała zgrzybiała staruszka odwrócona do mnie plecami. Miała na sobie luźny szlafrok i czepek na głowie. Przędła w milczeniu, co mogło wydawać się dziwne, była przecież pora świąt. Miejsce to zdawało się być przesiąknięte do cna wilgocią i w głębi duszy zastanawiałem się jak to możliwe, iż pali się tu ogień.

Ława z wysokim oparciem stała na wprost zasłoniętego okna i wydawało mi się, że ktoś na niej siedział; nie byłem tego jednak zbyt pewny. To, co zobaczyłem, bynajmniej nie przypadło mi do gustu i ponownie ogarnął mnie dziwny lęk.

Strach ów, pomimo iż wcześniej zelżał, zaczął narastać ze wzmożoną siłą, bo im dłużej wpatrywałem się w rozjaśnioną dobrotliwym uśmiechem twarz staruszka, tym bardziej mnie ona przerażała. Oczy w ogóle się nie poruszały, a skóra przypominała bardziej wosk.

Ostatecznie doszedłem do wniosku, iż nie była to wcale twarz, ale diabelska, sprytnie spreparowana maska. Magle stare, zwiotczałe dłonie odziane – nie wiedzieć czemu – w czarne rękawiczki poruszyły się przesuwając rysikiem po tabliczce i dowiedziałem się, że muszę zaczekać zanim zostanę zaprowadzony na miejsce festynu.

Wskazawszy na krzesło, stół i stertę ksiąg starzec wyszedł z pokoju; kiedy zaś usiadłem zamierzając pogрузić się w lekturze, poczułem iż księgi, bez wyjątku, cuchnęły pleśnią i wilgocią. Natrafiłem wśród nich na niesamowite "Cuda Nauki" starego Marraystera, przerażające "Saducismus Triumphatus"

Josepha Olanvila, opublikowane w 1681 roku, szokującą "Daemonaatreję" Remigiusa, wydaną w 1595 roku w Lyonie i najgorszy ze wszystkich. odrażający, plugawy "Necronomicon" szalonego Araba Abdula Alhazreda w zakazanym tłumaczeniu łacińskim Olaus Wormiusa. Książki tej nigdy nie widziałem, ale słyszałem krążące na jej temat bluźniercze plotki. Nikt się do mnie nie odezwał, ciszę zakłócało jedynie skrzywienie poruszanych wiatrem szyldów na zewnątrz i turkot kołowrotka, gdyż staruszka w czepku przedła z nieprzerwaną milczącą zaciętością. Zarówno pokój, jak i ludzie, i księgi wydali mi się wyjątkowo pośepni i niepokojący, ale ponieważ pradawna tradycja mych ojców przyzwyczaiła mnie do dziwnych obrzędów, osobliwość tego, co tu zobaczyłem nie zaskoczyła mnie aż tak bardzo. Próbowałem więc czytać i niebawem, dygocząc z niepokoju, pogrążyłem się w lekturze szalonego "Necronomiconu" odnalazłszy w nim pewien wyjątkowo zajmujący fragment, myśli i legendę, zbyt upiorną, aby człowiek mógł zachować zdrowe zmysły i świadomość. Nagle wydało mi się, że usłyszałem trzask zamykanego okna, przy którym stała ława. jakby wcześniej ktoś ukradkiem je odchylił.

Zaraz potem rozległo się brzęczenie i turkot, ale inny niż dźwięk pracującego kołowrotka staruszki. Było jednak bardzo ciche, gdyż kądziel staruszki wirowała przeraźliwie szybko, a niebawem do odgłosów w pokoju dołączyło bicie starego zegara. Nie widziałem już osób siedzących na ławie i do reszty pogrążyłem się w przerażającej lekturze, gdy nagle do pokoju powrócił starzec w butach, ubrany w luźny stary strój i usiadł na ławce z dala ode mnie tak, że nie mogłem go widzieć.

Wyczekiwanie było bardzo denerwujące a wrażenie to podwajała obecność bluźnierczej książki, którą trzymałem w dłoniach. Kiedy wybiła jedenasta starzec wstał, prześlizgnął się do masywnej, rzeźbionej komody stojącej w rogu i wyjął z niej dwa płaszcze z kapturami. Jeden nałożył sam, drugim zaś owinął staruszkę, która wreszcie przestała pruć. Następnie oboje ruszyli ku drzwiom wyjściowym; kobieta wyraźnie utykała, starzec zaś



wyjawszy mi z rąk książkę, którą czytałem skinął na mnie, po czym nasunął kaptur głębiej na czoło i mroczny cień przesłonił jego nieruchome oblicze, czy może raczej maskę.

Wyszliśmy na ulicę w bezksiężycową noc i podążyliśmy przez labirynt wąskich, krętych, trudnych do przebycia uliczek. Gdy szliśmy, światła w oknach z zaciągniętymi zasłonami gasły, jedno po drugim. Psia Gwiazda łąpała z niebios na potoki odzianych w płaszcze i peleryny postaci, wypływające bezgłośnie ze wszystkich bram, wejść i drzwi, formujących gigantyczne procesje sunące ulicami, mijające skrzypiące na wietrze, zardzewiałe szyldy i przedpotopowe topole, przesuujące się obok chat ze słomianymi dachami i diamentowymi wielopanelowymi oknami, przemykające w pośpiechu alejkami, gdzie popadające w ruinę domy osuwając się nadgryzione zębem czasu na siebie, stykały się ścianami, aby później wspólnie obrócić się w gruzy, przecinające otwarte place i dziedzińce kościołów, na których kołyszące się latarnie tworzyły przeraźliwe, wirujące w obłądnym tańcu świetlne konstelacje.

Podążałem wraz z tymi milczącymi tłumami w ślad za moimi cichymi przewodnikami; czułem uderzające mnie łokcie, które wydawały się nienaturalnie miękkie, i nacisk podejrzenie wiotkich piersi i brzuchów; nigdzie jednak nie dostrzegłem żadnego oblicza, ani nie usłyszałem choćby jednego słowa. Dziwne procesje pięły się coraz wyżej i wyżej w górę: ujrzałem, że ich celem, miejscem w którym gromadziły się tłumy, był szczyt pagórka pośrodku miasta, na którym wznosił się ogromny biały kościół.

Widziałem go z drogi na zboczu wzgórza, gdy o zmierzchu przyglądałem się Kingsport i zamarłem, gdy odniosłem wrażenie, że przez krótką chwilę na końcu jego iglicy zdawał się balansować świecący jasno Aldebaran.

Wokół kościoła znajdowała się otwarta przestrzeń, po części dziedziniec z widmowymi kolumnami, po części zaś na wpół wybrukowany plac omieciony wiatrem ze śniegu i otoczony plugawymi, archaicznymi domami o spiczastych dachach i górującymi nad nimi topolami. Ogniki śmierci tańczyły

nad grobowcami ukazując przerażające wizje, choć mogło wydawać się osobliwe, iż nie rzucały one cieni. Po minięciu dziedzińca, gdzie nie było już żadnych domów, ujrzałem wierzchołek wzgórza i odbicie migoczących gwiazd w wodach zatoki, samo miasto było niewidoczne w ciemnościach. Co pewien czas zapalona latarnia kołysząc się przemierzała serpentynę alejek, aby omieść tłum, który obecnie w milczeniu zniknął wewnątrz kościoła. Odczekałem aż korowód zniknie w mrocznym wejściu i czekałem aż do środka wejdą ostatni sunący wolno maruderzy. Starzec pociągnął mnie za rękę, ja jednak uparłem się, że będę ostatni.

Przekroczywszy próg zatłoczonej świątyni, w której panowały egipskie ciemności, raz jeszcze obejrzałem się za siebie i omiotłem spojrzeniem dziedziniec skąpany w dziwnej, przerażającej, złowrogiej fosforescencji. Kiedy to uczyniłem – zadrżałem. Wiatr nie pozostawił na szczycie pagórka zbyt wiele śniegu, widać było jedynie kilka białych spłachci przy drzwiach, jednak, w tej krótkiej chwili, moje oczy nie dostrzegły na nich żadnych śladów stóp, nawet moich własnych.

Kościół był słabo oświetlony kilkoma latarniami, gdyż większość ludzi, którzy tu weszli, zniknęli. Przechodzili główną nawą ku otwartej klapie zejścia prowadzącego do krypt, ziejących upiorną czernią poniżej kazalnicy, bezgłośnie schodzili w duszną czeluść. Długość tego milczącego korowodu była zatrważająca, a jeszcze większą grozą napawał mnie widok upiornej procesji schodzącej w głąb sędziwego grobowca. Nagle zauważyłem, że w posadzce grobowca znajdowała się szczelina i tam właśnie wchodził milczący, czarno odziani ludzie; w chwilę potem wszyscy schodziliśmy po złowieszczych, kamiennych stopniach; wąskie, wilgotne schody wydzielające dziwny odór wiły się, zdawałoby się bez końca, w głąb trzewi wzgórza wzdłuż monottonnych ścian, ociekających wilgocią kamiennych bloków i odpadającej gipsowej zaprawy.

Było to milczące, szokujące zejście i po krótkiej acz przerażającej przerwie zauważyłem, że wygląd ścian i podłoża zmienił się, jakby stopnie

wykute zostały w litej skale. Najbardziej niepokoiło mnie, że setki schodzących po nich stóp nie czyniło żadnego, nawet najcichszego dźwięku czy echa. Po kolejnych eonach chodzenia, ujrzałem kilka bocznych korytarzy czy nor prowadzących do tego nocnego korytarza tajemnic z nieznanymi, atramentowe czarnych, czeluści. Niebawem stały się liczniejsze niczym bezbożne katakumby bezimiennej grozy; bijący z nich odór rozkładu stawał się wręcz nie do zniesienia.

Wiedziałem, że musieliśmy minąć zbocza góry i znajdowaliśmy się teraz gdzieś pod samym Kingsport; przeszył mnie dreszcz, kiedy uświadomiłem sobie, że miasto mogło być tak stare i do cna przeżarte podziemnym złem.

Niedługo potem ujrzałem blask posępnego, trupiego, bladego światła – i usłyszałem głuchy plusk, nie oglądających słonecznego światła, fal.

Ponownie zadrzałem, gdyż wcale nie przypadły mi do gustu rzeczy, które przyniosła ze sobą noc i przez chwilę czułem rozgoryczenie i żal do przodków, że wezwali mnie, abym przybył, by wziąć udział w pradawnym rytuale, kiedy nagle stopnie i korytarz poszerzyły się, usłyszałem kolejny dźwięk, piskliwie zawodzące, kpiące, falujące tony fletu i tuż przede mną roztoczyła się bezkresna panorama wewnętrznego świata; rozległy, zarośnięty i przeżarty grzybem brzeg oświetlony buchającą kolumną plugawego zielonkawego ognia, obmywany falami szerokiej, oleistej rzeki napływającymi z nieznanymi i przerażającymi otchłani, by złączyć się z najczarniejszymi odmętami odwiecznego oceanu.

Oslabły i zdyszany spojrzałem na ów bluźnierczy Erebus tytanicznych muchomorów, trędowaty ogień i oleiste wody i ujrzałem, że odziany w peleryny tłum utworzył półokrąg wokół buchającej ogniem kolumny. To był rytuał Yule, starszy niż człowiek, a losem jego było go przeżyć; pierwotny rytuał przesilenia dnia z nocą i obietnicy nadejścia wiosny po zimowych śniegach; rytuał ognia i wiecznej zieloności, światła i muzyki.

I w tej posępnej grocie ujrzałem jak odprawiają rytuał, adorując plugawy słup ognia i wrzucając w mroczne odmęty wyrywane garściami lepkie

fragmenty świecących pasożytniczych grzybów.

Zobaczyłem to, a później ujrzałem jeszcze coś – amorficzną istotę kucającą w oddali i grającą hałaśliwą piskliwą melodię na flecie; poprzez tony fletu wydawało mi się, że usłyszałem mrozące krew w żyłach stłumione trzepotanie, dochodzące z tonących w nieprzeniknionej ciemności czeluści jaskini.

Najbardziej przeraziła mnie jednak płonąca kolumna, wytryskająca niczym gejzer lub wulkaniczna lawa z niezgłębianych, posępnych miejsc, nie rzucająca cienia, jak powinno to mieć miejsce w przypadku zdrowego ognia i pokrywająca spękane kamienie plugawym, jadowitym grynszpanem. Szalony ten wir bowiem, nie dawał nawet odrobiny ciepła, a jedyne co się w nim zawierało to gliniasta wilgoć i zgnilizna śmierci i rozkładu.

Człowiek, który mnie tu przyprowadził przecisnął się, by stanął na wprost upiornego promienia i wykonał kilka sztywnych ceremonialnych ruchów skierowanych do stojących przed nim w półokręgu postaci. W pewnych stadiach rytuału zebrani wykonywali głęboki pokłon, zwłaszcza gdy prowadzący wznosił nad głową zabrany tu ze sobą egzemplarz odrażającego "Necronomiconu" – ja również biłem pokłony wraz z innymi. Nagle starzec dał sygnał na wpeł widocznemu w ciemności fleciście i ton dźwięków zmienił się, stając się nieco głośniejszy i mniej chwiejny niż dotychczas; było to swoiste preludium do niewyobrażalnego i zgoła nieoczekiwanego koszmaru. Ujrawszy ową zgrozę o mało nie padłem na pokrytą porostami ziemię, gdyż moje serce stanęło z przerażenia. Zobaczyłem coś, co nie pochodziło z tego czy innego świata, ale wprost z szalonych przestrzeni pomiędzy gwiazdami. Z niewyobrażalnej czerni poza gangrenicznym blaskiem zimnego ognia, z najdalszych zakamarków Tartaru, przez które przetaczały się posępnie czarne, oleiste fale rzeki, wyłoniło się trzepocząc skrzydłami stado oswojonych, wytrenowanych, chimerycznych, skrzydlatych istot, których ni słowem, ni okiem nie byłś w stanie zmierzyć, i których wyglądu twój mózg z pewnością nie zdołałby zapamiętać.

Nie były to kruki, krety, myszołowy, mrówki, nietoperze, wampiry ani gnijące ludzkie zwłoki, lecz coś czego nie potrafię i nie chcę sobie przytomnieć.

Unosiły się niezdarnie w powietrzu, pomagając sobie na poły dłońmi, o palcach połączonych błoną, na poły zaś skórzastymi. półprzezroczystymi skrzydłami; kiedy zaś dotarły do tłumu okutanych w czarne peleryny uczestników ceremonii, ci. jeden po drugim, poczęli na nie wsiadać i odlatywać ponad ponurymi czarnymi falami rzeki w głąb jaskiń i galerii mroku, gdzie trujące potoki zasilają przerażające i nieodkryte dotąd katarakty.

Stara prządka odleciała wraz z innymi, starzec zaś pozostał tylko dlatego, iż odmówiłem kiedy skinął na mnie. nakazując mi wskoczyć na grzbiet jednego z odrażających stworzeń i zrobić to samo, co pozostali. Dwie skrzydlate bestie czekały posłusznie opodal. Kiedy zwlekałem, starzec wyjął swój rysik i tabliczkę, po czym napisał, że był prawdziwym wysłannikiem moich przodków, którzy założyli kult Yule w tym pradawnym miejscu, że mój powrót został z góry przewidziany i że najbardziej sekretne tajemnice miały dopiero zostać ujawnione. Napisał te słowa bardzo starą ręką, a kiedy nadal się wahałem –spomiędzy fałd swej szaty wyjął pierścień z pieczęcią i zegarek, przy czym na obu tych przedmiotach widniał znak herbowy mojego rodu. W ten sposób starzec zamierzał potwierdzić prawdziwość swoich słów. Był to jednak odrażający dowód, ponieważ ze starych dokumentów wiedziałem, iż zegarek ów został pogrzebany wraz z moim pra-prapradziadkiem w 1698 roku.

Potem starzec zsunął z głowy kaptur. Jego oblicze nosiło pewne cechy rodzinnego podobieństwa, ale tylko się wzdrygnąłem, byłem bowiem pewny, że ta twarz była jedynie woskową maską.

Trzepoczące skrzydłami stwory, wyraźnie zniecierpliwione. drapały szponami poszycie z mchów i, jak zauważyłem, starzec był równie zaniepokojony jak one. Kiedy jeden ze stworów zaczął oddalać się

chwiejnym krokiem, starzec odwrócił się gwałtownie, by go zatrzymać; ruch ten sprawił, że woskowa maska obsunęła się z tego, co powinno być jego głową...

I wtedy, ponieważ upiorna postać oddzielała mnie od kamiennych schodów, którymi tu dotarliśmy, rzuciłem się szczupakiem w oleiste fale podziemnej rzeki docierającej gdzieś hen, do podmorskich jaskiń. Dałem nurka w głąb gnijących soków wewnątrz ziemskich koszmarów, zanim moje szalone wrzaski zdołałyby sprowadzić do tej groty wszystkie piekielne legiony, jakie mogły czaić się w tych cuchnących śmiercią, zgnilizną i morem czeluściach.

W szpitalu powiedziano mi, że o świcie znaleziono mnie na wpół zamarzniętego w zatoce Kingsport, ściskającego kurczowo unoszący się na falach fragment krokwi, którą zesłał mi los, by mnie ocalić. Powiedzieli, że poprzedniej nocy musiałem skręcić w niewłaściwą odnogę drogi prowadzącej na wzgórze i spadłem z krawędzi klifu w Orange Point; wszystko to wydedukowali na podstawie odnalezionych śladów, nic nie mogłem im powiedzieć, ponieważ teraz wszystko było zmienione. Dokładnie wszystko, począwszy od szerokich okien, za którymi było widać morze dachów, z których jedynie pięć było starych, poprzez odgłosy tramwajów i samochodów, przejeżdżających ulicami, poniżej. Upierali się, że to było Kingsport i nie mogłem temu zaprzeczyć. Kiedy doznałem ataku hysterii na wieść, iż szpital stał w pobliżu starego cmentarza na Central Mili, wysłali mnie do szpitala St. Mary's w Arkham, gdzie zapewniono mi lepszą opiekę. Podobało mi się tam, lekarze byli bardziej światli i nawet wykorzystali swoje wpływy, by wypożyczyć dla mnie skrzętnie ukrywaną kopię odrażającego "Necronomiconu" szalonego Alhazreda, trzymanego pod kluczem w bibliotece uniwersytetu Miskatonic. Powiedzieli coś o "psychozie" i przyznałem, że będzie lepiej, jeśli oczyszczą mój umysł z wszelkich kalających go potencjalnych obsesji. Dlatego też przeczytałem ów przerażający, plugawy rozdział i wzdrygnąłem się ponownie, ponieważ wcale

nie był dla mnie niczym nowym. Widziałem go już wcześniej, a ślady stóp niechaj mówią sobie co chcą; gdzie zaś zobaczyłem tę księgę, niechaj zostanie jak najszybciej zapomniane. Ma jawie nie było nikogo, kto mógłby mi o tym przypominać – niemniej jednak moje sny przepełnione są grozą wywołaną słowami, których nie odważę się przytoczyć.

Jestem w stanie zacytować tylko jeden akapit, przekładając go dość nieudolnie na angielski, ze starej, prymitywnej łaciny: "najniższe Jaskinie nie służą zgłębianiu przez oczy, które widzą; cuda ich bowiem są osobliwe i przerażające. Przeklętą jest ziemia, gdzie umarłe myśli żyją w nowych, dziwnych powłokach cielesnych, i złym jest umysł, który nie zawiera się wewnątrz czaszki.

Mądrze rzecze Ibn Schacabao, że szczęśliwym jest grób, gdzie nie spoczywa czarownik i szczęśliwe jest nocą miasto, gdzie wszyscy czarownicy zostali spaleni na proch.

Stare plotki głoszą, iż dusza zaprzedanego diabłu nie pobiera sił z cmentarnej gliny, ale z tłuszczu i rozkazuje Robakowi, który pożera; aż z gnijących tkanek budzi się nowe, upiorne życie, a ci żyjący pod ziemią modelują je i wypełniają jego puste wnętrza, aż napęcznieje do monstrualnych rozmiarów...

Wielkie otwory wykopano w sekrecie w miejscach gdzie wystarczyłyby zwyczajne, istoty zaś, które winny pełzać, nauczyły się stąpać jak ludzie."

# Nienazwane

Pewnego jesiennego popołudnia, ja i mój przyjaciel rozmawialiśmy o nienazwanym, siedząc, obok zdewastowanego grobowca, na siedemnastowiecznym cmentarzu w Arkham.

Spoglądając w stronę ogromnej wierzby, której pień był niemal wrośnięty w starą, nieczytelną płytę, rzuciłem nieco fantastyczną uwagę o upiornych i niewyobrażalnych sokach, jakie, kolosalne jej korzenie musiały wysysać z sędziwej, cmentarnej ziemi; przyjaciel mój skwitował jednak moje słowa śmiechem twierdząc, że to absurd i dodał, że skoro na cmentarzu tym, od ponad stu lat nikogo nie pochowano, w ziemi nie mogło być niczego, czym drzewo mogłoby odżywiać się w sposób inny niż normalnie.

Poza tym – dodał – moje nieustanne dyskusje o nienazwanym, nota bene zgoła dziecinne, zdawały się potwierdzać mą niską pozycję, jako autora marnych opowieści grozy.

Zbyt usilnie pragnąłem kończyć swe opowiadania obrazami lub dźwiękami paraliżującymi wszelkie poczynania bohaterów i pozostawić ich, pozbawionych resztek odwagi, słów czy świadków mogących opowiedzieć o tym, co im się przydarzyło. Poznajemy rzeczy – twierdził – jedynie dzięki naszym pięciu zmysłom albo religijnej intuicji, stąd też jest praktycznie niemożliwe mówić o jakiejś rzeczy bądź zdarzeniu, którego nie sposób opisać przy pomocy definicji faktu lub właściwych doktryn teologicznych – zwłaszcza kongregacjonalistów – oraz modyfikacji, zawdzięczanej tradycji i sir Arturowi Conan Doyle. Z tym przyjacielem, Joelem Mantonem, często prowadziłem długie, leniwe dysputy. Był on dyrektorem liceum East High, urodzonym i wychowanym w Bostonie, przejawiającym typową dla Nowej Anglii przepęknioną samozadowoleniem głuchotę wobec niektórych



delikatnych niuansów życia. Z jego punktu widzenia jedynie nasze obiektywne postrzeganie miało jakiegokolwiek znaczenie etyczne, zaś do kompetencji artysty należało nie tyle rozbudzenie silnych wrażeń poprzez działanie, ekstazę i zaskoczenie, ale raczej pozyskanie zwykłego, spokojnego zainteresowania i szacunku, dzięki dokładnym, szczegółowym transformacjom codziennych wydarzeń. Miał obiekcje przede wszystkim do moich zainteresowań tym co mistyczne i niewyjaśnione; bo choć bardziej niż ja wierzył w zjawiska paranormalne, nie przyznałby, iż są one odpowiednim tematem do opisywania w książkach.

Dla jego praktycznego i logicznego umysłu było wręcz nie do pomyślenia, że umysł może znajdować wielką przyjemność w ucieczce od codziennych obowiązków i w oryginalnych, dramatycznych rekombinacjach obrazów wypaczonych czy zbanalizowanych przez nudę i przyzwyczajenia. W jego mniemaniu wszystkie rzeczy i odczucia miały dokładnie sprecyzowane rozmiary, właściwości, przyczyny i skutki. I choć mgliście zdawał sobie sprawę, że umysł przechowuje niekiedy obrazy i wrażenia dalece mniej geometrycznej, uporządkowanej i realnej natury, uważał za usprawiedliwione wyznaczenie granicy tolerancji i wyrugowanie poza nią wszystkiego, co nie mogło być doświadczone i rozumiane przez przeciętnego obywatela. Poza tym był prawie pewny, że nie istnieje coś takiego jak "nienazwane" czy niemożliwe do opisanie. To zwyczajnie do niego nie przemawiało.

Pomimo iż zdawałem sobie sprawę, że argumenty wyobrażeń i metafizyki są niczym w porównaniu z samozadowoleniem ortodoksyjnego pragmatyka, coś w krajobrazie, na tle którego toczyliśmy nasz słowny pojedynek sprawiło, że stałem się bardziej zacięty niż zazwyczaj. Rozsypujące się płyty grobowe, majestatyczne drzewa i stuletnie dwuspadowe dachy domów otaczającego nas, nawiedzanego przez czarownice miasteczka, wprawiły mnie w bojowy nastrój, i z uporem zacząłem bronić swego stanowiska, a niebawem zdołałem nawet wdrzeć się na terytorium przeciwnika. Kontratak bynajmniej nie był trudny, wspomniałem bowiem, że Joel Manton wierzył w

wiele przesądów, których nie uznawali inni wykształceni ludzie w jego wieku: w pojawianie się w odległych miejscach duchów umierających ludzi i w to, że na szybach okien powstają odbicia twarzy ludzi, którzy przy nich siadywali.

W moich dywagacjach oparłem się właśnie na ludowych wierzeniach i przyjąłem, iż aby w nie wierzyć, należy również uwierzyć w istoty duchowe, istniejące niezależnie, nawet po oddzieleniu się od swych cielesnych powłok. Dowodziło to możliwości wiary w fenomeny nadnaturalne, bo skoro umarły może przekazywać swój widzialny, bądź wyczuwalny obraz na drugi koniec świata, albo "ukazywać się" przez stulecia po swojej śmierci, byłoby absurdem odrzucać ewentualność, że w opuszczonych domach gnieźdzą się dawne, czujące istoty, albo że cmentarze przesycone są przerażającą, bezcielesną inteligencją całych pokoleń. A skoro ducha, którego obecność przejawia się w różnorodnych formach, nie obejmują żadne prawa dotyczące materii, czemu miałyby być czymś niezwykłym wyobrażenie sobie fizycznie żyjących, "martwych" istot posiadających, bądź nie posiadających kształtów, ich materializacja zaś, z całą pewnością przez obserwatorów zjawiska została określona mianem "nienazwanego". "Zdrowy rozsądek" w odniesieniu do tych spraw – zapewniłem ciepło mego przyjaciela – jest jedynie dowodem braku wyobraźni i dwuznaczności moralnej.

Nadszedł zmierzch, ale żaden z nas nie miał ochoty przerwać dyskusji. Manton sprawiał wrażenie jakby nie poruszyły go moje argumenty i usiłował je obalać trwając niezmiennie przy swoim zdaniu, dzięki czemu niewątpliwie osiągał sukcesy jako nauczyciel; jednak czułem się zbyt mocny, by obawiać się porażki. W odległych oknach zaczęły pojawiać się światła, ale my nie ruszyliśmy się z miejsca. Na starym, rozsypującym się grobowcu siedziało się nam wyśmienicie i wiedziałem, że mój prozaiczny przyjaciel nie przejmuje się ziejącą, mroczną szczeliną w naruszonej przez korzenie murarce, nieomal tuż za naszymi plecami, ani złowrogim cieniem rzucanym przez grożący runięciem, opuszczony, zdewastowany dom znajdujący się

po między nami a najbliższą oświetloną drogą. Tak więc tkwiliśmy w ciemnościach, na uszkodzonym grobowcu, opodal opuszczonego domu, rozmawiając o "Nienazwanym", a gdy Joel przestał wreszcie szydzić z moich wypowiedzi, opowiedziałem mu o przerażającym dowodzie, potwierdzającym prawdziwość historii będącej głównym obiektem jego drwin.

Moje opowiadanie miało tytuł "Okno na poddaszu" i pojawiło się w styczniowym wydaniu "Szeptów" w 1922 roku, inspirowane opowieścią Mathera. W wielu miejscach, zwłaszcza na południu i wybrzeżu Pacyfiku, z powodu skarg tzw. "porządnych obywateli" w ogóle zaprzestano sprzedaży magazynu, w Nowej Anglii jednak nie przejęto się drukowanymi tam artykułami. Sprawa, którą udowodniłem, była, biologicznie rzecz biorąc, nieprawdopodobna, ot, jeszcze jedna szalona małomiasteczkowa historyjka, którą C. Mather uznał za dostatecznie naiwną, aby włączyć do swej "Magnalia Christi Americana", jednak dysponował tak nikłymi dowodami, że nic ośmielił się nawet wymienić nazwy miejscowości, w której wydarzył się ów koszmar. Co do mnie, to sposób w jaki uwypukliłem niektóre aspekty starej, posępnej opowieści, był raczej typowy dla pełnego fantazji lichego pisarzyny.

Mather faktycznie opowiadał o narodzinach tej Istoty, ale nikt prócz taniego łowcy sensacji nie myślał, że TO – istota z krwi i kości – mogłoby dorosnąć, a nocami zaglądać ludziom do okien i ukrywać się na poddaszu, w starym domu – aż kiedyś ktoś, dostrzegł ją w oknie i osiwił, nie mogąc opisać tego, co zobaczył. Cała sprawa zdawała się trącić tanią sensacją i Manton nie omieszkał o tym wspomnieć.

Wówczas opowiedziałem mu o tym, co wyczytałem w starym dzienniku z lat 1706 – 1725, odnalezionym wśród rodzinnych dokumentów, niecałą milę od miejsca, w którym siedzieliśmy, i o bliznach na piersi i plecach mego przodka, o których wspomniano na kartach pamiętnika. Opowiedziałem mu również o innych lękach panujących w tej okolicy, o historiach

przekazywanych szeptem, z pokolenia na pokolenie, i o tym jak zgoła nie mistyczny obłąd dosięgnął chłopca, który w 1795 roku wszedł do opuszczonego domu w poszukiwaniu pewnych konkretnych śladów, które spodziewał się tam znaleźć. To musiało być okropne – nic dziwnego, że wrażliwi studenci wzdrygali się na samą myśl o erze purytańskiej w Massachusetts. Tak niewiele wiadomo o tym co się wtedy działo – niemniej nawet drobne wzmianki o wydarzeniach jakie miały wówczas miejsce, są niczym przyprawiający o mdłości obraz rozkładającego się trupa i gnijących tkanek przesyconych wonią rozkładu. W erze tej nie było mowy o pięknie ani o wolności, widać to w architekturze i budowlach z tamtego okresu, a także w ociekających jadem kazaniach pseudoduchownych.

A wewnątrz owego zardzewiałego żelaznego kaftana bezpieczeństwa czaiły się szokujące koszmary, ohyda, perwersja i diabolizm. Oto prawdziwa apoteoza nienazwanego.

Cotton Mather w swojej demonicznej "Szóstej Księdze", której nie należy czytać po zmierzchu, rzucając klątwę bynajmniej nie przebierał w słowach. Posępny niczym żydowski prorok i lakonicznie obojętny – w czym do dziś nie ma sobie równego, opowiedział historię o bestii, którą przywołał, stworze będącym czymś więcej aniżeli zwierzęciem, ale mniej niż człowiekiem, istocie ze skazą na oku, i o nieszczęsnym wrzeszczącym pijaku, którego powieszono, bo miał takie samo oko. Tyle Ma-ther – z jego dziarskich słów nie sposób jednak domyśleć się co wydarzyło się później. Być może autor nie wiedział, a może nie odważył się o tym napisać. Inni wiedzieli, ale nie ośmielali się mówić; tajemnicą poliszynela była ciężka zasuwa wisząca na drzwiach prowadzących na poddasze w domu pewnego bezdzietnego, zubożałego, zgorzkniałego starca, który położył wielką, pozbawioną napisu płytę nagrobną przy zapomnianym, nie odwiedzanym przez nikogo grobie, choć, jeśli dobrze poszukać, można by natknąć się na opowieści, które nawet największemu śmiałkowi zmroziłyby krew w żyłach.

Wszystko to odnalazłem w pamiętniku mego przodka; niedopowiedzenia,

aluzje, insynuacje, przekazywane ukradkiem opowieści o istocie ze skazą na oku, widywanej nocami w oknie albo na opuszczonych łąkach, na skraju lasu. Któregoś wieczora coś napadło mego przodka na mrocznej drodze, w dolinie, pozostawiając mu po sobie ślady rogów na piersiach i małych pazurów na plecach; na ziemi zaś, obok miejsca napaści natrafiono na ślady jakby rozszczepionych kopyt i niezbyt wyraźnych, zamazanych antropoidalnych łap. Innego razu, tuż przed świtem, kiedy było jeszcze ciemno, na Meadow Mili, pewien pocztmistrz ścigał i nawoływał pędzącą przeraźliwymi susami, bezimienną istotę – i wielu ludzi uwierzyło w jego opowieść.

Rzecz jasna, dziwne komentarze wzbudził fakt, kiedy pewnej nocy w 1710 roku bezdziejny, zrujnowany starzec został pochowany w krypcie za domem, opodal po zbawionej napisu płyty nagrobnej. Drzwi na poddaże nigdy nie zostały otwarte, ale dom pozostawiono w nietkniętym stanie, przerażający i opuszczony. Kiedy dobiegały zeń osobliwe odgłosy, ludzie szeptali i wzdrygali się nerwowo, mając nadzieję, że zamek na drzwiach poddasza był dostatecznie silny. Ich nadzieje okazały się jednak płonne, kiedy na plebanii miała miejsce upiorna tragedia – potworna zbrodnia, z której nikt nie uszedł cało, a ciała były straszliwie zmasakrowane. W miarę upływu lat legendy nabierały coraz bardziej mrocznego charakteru – przypuszczam, że to coś, jeżeli było żywe, musiało umrzeć. Wspomnienia jednak trwały nadal w ludzkiej pamięci i z roku na rok stawały się upiorniejsze, ponieważ otoczone były tak głębokim nimbem tajemnicy.

Podczas mej opowieści, Manton praktycznie przez cały czas milczał i zauważyłem, iż moje słowa wywarły na nim ogromne wrażenie. Nie wybuchnął śmiechem kiedy przerwałem, ale, jak najbardziej poważnie, zapytał o chłopca, który w 1795 roku postradał zmysły i który był bohaterem mego opowiadania. Powiedziałem mu dlaczego chłopiec udał się do tego opuszczonego, unikanego przez wszystkich domu i stwierdziłem, że powinno go to zainteresować, gdyż wierzył, że w oknach pozostają uwiecznione

odbicia tych, którzy przed nimi siadywali. Chłopiec chciał zobaczyć okna tego upiornego poddasza, powodowany opowieściami o widywanych za nimi istotach, i wrócił wrzeszcząc jak opętany.

Manton, kiedy to mówiłem, pogrążony był w zamyśleniu, ale stopniowo odzyskiwał swój analityczny sposób rozumowania. Aby kontynuować nasz spór przyjął możliwość rzeczywistego istnienia jakiegoś nienaturalnego monstrum, ale upomniał mnie, że nawet najbardziej chory wybryk natury nie musi być NIENAZWANY lub naukowo nieopisany.

Podziwiając jego przekonanie i upór, dorzuciłem jeszcze kilka informacji zebranych wśród starych mieszkańców tych okolic. Późniejsze legendy – wyjaśniłem – dotyczą ogromnych, potwornych widm, bardziej przerażających niż jakakolwiek istota z krwi i kości, duchów przybierających kształt niewyobrażalnych bestii – niekiedy wizualnych, kiedy indziej zaś jedynie wyczuwalnych, które pojawiają się w bezksiężycowe noce aby nawiedzać stary dom, znajdującą się za nim kryptę i grób, gdzie obok pozbawionej napisu płyty cmentarnej, wyrosło młode drzewo, niezależnie od tego, czy owe widma rzeczywiście wysysały krew.

albo jak głosiły plotki, rozrywały ludzi na strzępy, nie ulega wątpliwości, że wywierały na ludzi silny i nieustający wpływ; starzy mieszkańcy tych okolic obawiali się ich jak ognia, choć przez ostatnie dwa pokolenia owe posępne historie zostały nieco zapomniane – być może umierają śmiercią naturalną, ponieważ nikt ich nie wspomina. Poza tym, wkraczając na poletko estetyki, jeśli psychiczne emanacje istot ludzkich ulegają groteskowym deformacjom, co mogłoby lepiej wyrazić skrzywione i złowrogie odbicie, jeżeli nie obraz złośliwego ducha, chaotycznej perwersji i deprawacji, apoteozę mrocznego, chorego bluźnierstwa przeciwko naturze? Czy stworzona przez "martwy" mózg hybrydycznego koszmaru mglista zgroza nie stałaby się w efekcie odrażającą w swej prawdziwości wizją jedyne go w swoim rodzaju, odrażającego i zatrważającego NIENAZWANEGO?

Musiało już być bardzo późno, nietoperz przeleciał tuż obok, ocierając się

lekką o mnie i wydaje mi się, że dotknął również Mantona, bo choć go nie widziałem, poczułem, że podniósł rękę. Odezwał się tymi słowami:

– Czy ten dom z oknem na poddaszu wciąż jeszcze stoi i jest opuszczony?

– Tak – odparłem. – Widziałem go.

– I znalazłeś tam coś – na poddaszu albo gdzieś indziej?

– Pod okapem leżał stos kości. Być może to właśnie te kości zobaczył ów chłopiec; jeżeli był dostatecznie wrażliwy, nie musiał widzieć odbicia w szybie aby postradać zmysły.

Jeżeli wszystkie należały do jednej istoty, musiał to być naprawdę zatrważający, ogromny potwór. Byłoby bluźnierstwem pozostawienie takich szczątków nie pogrzebanych, toteż wróciłem tam z workiem i zaniósłem je do grobowca za domem. Była tam szczelina przez którą wsunąłem je do środka, nie uważaj mnie za głupca – powinieneś być widzieć tę czaszkę. Miała czterocalowe rogi, ale twarz i szczęka wyglądały jak ludzkie.

W końcu poczułem wyraźnie, że siedzący tuż obok mnie Manton wzdrygnął się. Mimo to jednak, jego ciekawość ani trochę nie osłabła.

– A co z szybami?

– Wszystkie powybijane. W jednym z okien brakowało framugi, w innych zaś nie było nawet jednego kawałka szkła. To były żebrowane okna, starego typu, które wyszły z użycia przed końcem siedemnastego wieku. Wygląda na to, że szyb nie było w oknach tego domu od dobrych stu lat – może to chłopiec je powybił – legendy o tym nie wspominają.

Manton znów się zamyślił.

– Chciałbym zobaczyć ten dom. Gdzie on jest? Szyby nie szyby, chciałbym mu się przyjrzeć. Podobnie jak grobowcowi, do którego włożyłeś tamte kości i temu drugiemu, bez napisów... to wszystko musi być naprawdę przerażające.

– Widziałeś to wszystko... dopóki nie zrobiło się ciemno.

Mój przyjaciel był bardziej zdenerwowany niż przypuszczałem, bo kiedy zakończyłem moje małe przedstawienie, odsunął się ode mnie gwałtownie i

otworzywszy szeroko usta wydał najpierw zduszone chrząknięcie, a potem przeraźliwy, przeciągły krzyk, w którym zawarło się całe napięcie skumulowane w jego wnętrzu przez len długi wieczór. Był to dziwny krzyk i tym bardziej przerażający, że doczekał się odpowiedzi. Brzmiał jeszcze, kiedy w otaczającej mnie atramentowej ciemności usłyszałem głuchy trzask – dźwięk otwieranego żebrowanego okna, w stojącym nieopodal przeklętym domu.

A jako że inne framugi odpadły już przed wieloma laty, nie miałem wątpliwości, iż słyszałem skrzypnięcie framugi owego demonicznego, pozbawionego szyb, przerażającego okna na poddaszu.

Zaraz potem, również od strony domu, buchnął szumiący upiornie podmuch lodowatego, cuchnącego powietrza i usłyszałem przeszywający do szpiku kości wrzask rozlegający się tuż obok mnie, przy samej krawędzi szczeliny owego mrocznego grobowca kryjącego szczątki człowieka i potwora. W ułamek sekundy później zostałem zrzucony z mego przeraźliwego siedziska potężnym uderzeniem jakiejś diabelskiej, niewidzialnej istoty gigantycznych rozmiarów, lecz nieokreślonej natury. Oszołomiony, wylądowałem bezwładnie na wilgotnej ziemi, podczas gdy od strony grobowca doszły mnie zduszone oddechy, odgłosy szamotaniny i warknięcia. Moja wyobraźnia mimowolnie zaludniła mroczną przestrzeń wokół nas Miltonowskimi legionami zdeformowanych, zniekształconych potępieńców.

Znów powiał szumiący, przyprawiający o mdłości, lodowaty wicher, a potem rozległ się przeciągły zgrzyt obluzowanych cegieł i pękających tynków; na szczęście w tym momencie straciłem przytomność i nie zdążyłem dowiedzieć się co on oznaczał.

Manton, chociaż mniejszy ode mnie, jest bardziej wytrzymały i ma końskie zdrowie, bo pomimo iż odniósł o wiele poważniejsze obrażenia, ocknęliśmy się niemal jednocześnie.

Nasze łóżka stały obok siebie i już po kilku sekundach zorientowaliśmy



się. że znajdujemy się w szpitalu Św. Marii. Wokół nas tłoczyli się zaciekawieni pracownicy szpitala, pragnący dopomóc naszej pamięci poprzez wyjaśnienie w jaki sposób się tu dostaliśmy; niebawem dowiedzieliśmy się o farmerze, który odnalazł nas w południe, na odludnym poletku za Meadow Hill, oddalonym o milę od starego cmentarza, w miejscu, gdzie jak wieść głosi, stała niegdyś stara rzeźnia. Manton miał dwie paskudne rany na piersiach i kilka mniej groźnych ran, przypominających zadrapania, na plecach. Ja nie odniosłem poważniejszych obrażeń, poza tym, że byłem poobijany i posiniaczony, choć nie ulega wątpliwości, że ślady rozszczepionego kopyta, widniejące na moim ciele budziły ogólne zainteresowanie. Ryło jasne, że Manton wiedział więcej niż ja, ale nie udzielił zdumionym i zaciekawionym lekarzom żadnych wyjaśnień, dopóki nie poinformowali go o rodzaju ran jakie odnieśliśmy.

Dopiero wtedy stwierdził, że zostaliśmy zaatakowani przez rozszalałego byka – choć było to, rzecz jasna, nader wątpliwe i niejasne wytłumaczenie.

Kiedy lekarze i pielęgniarki wyszli, wyszeptałem, z wyraźnym przerażeniem w głosie – Dobry Boże, Manton, CO TO BYŁO? Te blizny i zadrapania – CZY RZECZYWIŚCIE BYŁO TAK JAK MÓWIŁEŚ? – Byłem jednak zbyt oszołomiony aby zakrzyknąć z radości, kiedy, również szeptem, powiedział mi to, czego się w głębi duszy spodziewałem. – nie. TO WCALE NIE BYŁO TAK. To COŚ było WSZĘDZIE – jak galareta, błoto czy szlam, a mimo to miało kształty, tysiąc różnych koszmarnych kształtów przekraczających wszelkie ludzkie wyobrażenia i możliwości zapamiętywania. To COŚ miało oczy – i skazę na jednym oku. To była otchłań, czeluść, maelstrom, apoteoza wszelkiej ohydy. Skrajny koszmar. Carter, to było NIENAZWANE!

Uwięziony wśród faraonów

1

## Przeklęty dom

Nawet najgorszym koszmarom towarzyszy zwykle odrobina ironii. Czasem łączy się ona bezpośrednio z tokiem wydarzeń, niekiedy wiąże się tylko z przypadkowością dotyczącą postaci i wypadków. Doskonały przykład drugiej ze wspomnianych odmian ironii stanowi wydarzenie, do którego doszło w starym mieście Providence, gdzie w końcu lat czterdziestych przebywał często Edgar Allan Poe, smaląc cholewki, bez powodzenia zresztą, do utalentowanej poetki, pani Whitman. Poe zatrzymywał się zwykle w Mansion House przy Benefit Street, dawnym Golden Bali Inn, pod dachem którego gościli Washington, Jefferson i Lafayette. Najbardziej zaś lubił wybierać się na przechadzkę na północ, wzdłuż tejże samej ulicy, do domu pani Whitman i na cmentarz w pobliżu stojącego na wzgórzu kościoła św. Jana Apostoła, gdzie niektóre spośród starych, osiemnastowiecznych grobów o zmurszałych, na wpół widocznych płytach przepełniały go szczególną fascynacją.

A oto ironia. W czasie swych spacerów ów największy na świecie mistrz opowieści z dreszczykiem zmuszony był wielokrotnie mijać pewien wyjątkowy dom stojący po wschodniej stronie ulicy – obskurny, stary budynek zbudowany na niewielkim wzniesieniu, z wielkim, zaniedbanym podwórzem pochodzącym z czasów, gdy okolica ta nie była jeszcze gęsto zabudowana. Nic nie wskazuje, by kiedykolwiek pisał lub wspominał o tym domu, nie istnieje żaden dowód, że w ogóle zwrócił nań uwagę. A mimo to dom ów dla dwóch osób dysponujących pewnymi informacjami dorównuje lub wręcz przewyższa pod względem potworności najwymyślniejsze spośród

upiornych fantazji geniusza, który tak często mijał go nieświadomie, i pozostaje w tym samym miejscu jako mroczny symbol wszystkiego, co plugawe, potworne i złowrogie.

Dom ten był – i jest po dziś dzień jedną z tych budowli, które przykuwają uwagę ciekawskich. Zbudowany jako farma, lub raczej półfarma, jest przykładem typowego nowoangielskiego stylu kolonialnego osiemnastego stulecia – potężny, spadzisty dach, pięterko, poddasze bez mansardy, georgiańskie wejście i wnętrze wyłożone modną na owe czasy boazerią. Był skierowany na południe, z jednym szczytem od wschodu, po niższe okna przesłonięty pagórkiem, z drugiej zaś strony od ulicy odsłonięty aż po fundamenty. Jego kształt sprzed ponad półtora wieku zmieniał się przez lata, w miarę jak prostowano i wyrównywano ciągnącą się opodal drogę – Benefit Street bowiem, zwana z początku Back Street, była najpierw aleją wijącą się pośród grobów pierwszych osadników, a prosto jak strzeżona pobiegła, dopiero gdy ciała przeniesiono na cmentarz North Burial Ground.

Początkowo zachodnia ściana znajdowała się dwadzieścia stóp od drogi, oddzielona od niej połową trawnika. Kiedy jednak w czasie rewolucji ulicę poszerzono, zajmując zielony pas graniczny, odsłonięciu uległy fundamenty budowli, wskutek czego należało wybudować ceglany mur podpiwniczenia i poszerzyć piwnice wzdłuż całego frontu domu. Drzwi i podwójne okna były odtąd skierowane ku nowej arterii komunikacyjnej. Gdy sto lat temu wyłożono chodnik, zajęty został ostatni pas szerokiego ongiś trawnika. Po podczas swych spacerów musiał widzieć tylko wznoszący się przed nim matowy, szary mur domu zlewający się z popielatym chodnikiem – na wysokości dziesięciu stóp znikający pod brudnymi gontami starego, spadzistego dachu.

Na tyłach budynku rozciągały się sięgające niemal do Wheaton Street za pagórkiem tereny gospodarskie. Obszar od południa wychodzący na Benefit Street znajdował się, rzecz jasna, sporo powyżej chodnika, tworząc taras okolony wysokim murkiem z wilgotnych, omszałych kamieni, w którym tu i

ówdzie dobudowano strome, wąskie, kamienne schodki wiodące, niby w głąb wąwozu, ku górnemu poziomowi zapuszczonego trawnika, murszejącym ceglanym ścianom i zaniedbanemu ogrodowi, gdzie zdekompletowane cementowe urny, zardzewiałe kociołki, które spadły z drewnianych, gruzłowatych trójnogów, i tym podobne parafernalia strzegły dostępu do skołatanych przez burze frontowych drzwi z wybitym półkolistym okienkiem u szczytu, przeżartymi przez grzyb jońskimi kolumnami i murszejącym trójkątnym frontonem. W młodości cała moja wiedza o przeklętym domu zawierała się w informacji, iż umarło tam niewiarygodnie wiele osób. Właśnie dlatego, jak mi wyjaśniono, pierwsi właściciele wyprowadzili się jakieś dwadzieścia lat po zbudowaniu tego budynku. Był on zwyczajnie niezdrowy, możliwe, że z powodu wilgoci i grzyba w piwnicy, nieprzyjemnej woni, którą czuło się we wszystkich pomieszczeniach, przeciągów w korytarzach lub jakości wody, zarówno tej bieżącej, jak i ze studni. Wszystko to dawało dość paskudny obraz tego miejsca, jedyny skądinąd, jaki uzyskałem od znanych mi osób. Dopiero notatniki mego stryja, antykwariusza, doktora Elihu Whipple'a ujawniły mi w końcu mroczniejsze, niejasne przypuszczenia krążące w postaci zabobonów i guseł wśród starej służby i prostego, wieśniaczego ludu, plotki i podejrzenia o niewielkim w sumie zasięgu, które w większości zostały zapomniane, w miarę jak Providence stało się metropolią o jakże zmiennej, współczesnej populacji.

Faktem jest, iż większa część owej społeczności nigdy nie uważała owego domu za „nawiedzony” w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie rozsiewano plotek o mglistych postaciach pobrzękujących smutno łańcuchami, dziwnych podmuchach zimnego powietrza, gasnących światłach czy twarzach pokazujących się w którymś z okien. Bywali wszelako tacy, którzy uważali ten dom za „pechowy”, ale nigdy nie wyjaśniali dlaczego. Jedyne, co nie podlegało dyskusji, to pokaźna liczba osób, które tam umarły, i należy wspomnieć o tym w czasie przeszłym, gdyż jakimś szczególnym zbiegiem okoliczności od ponad sześćdziesięciu lat budynek stał pusty, nie znalazł się

bowiem chętny, który by w nim zamieszkał. Dawni mieszkańcy owej posesji nie pogasnęli jak świece, złożeni do grobu jedną i tą samą przyczyną, raczej rzec by należało, iż z dnia na dzień coraz bardziej tracili swą witalność, by ostatecznie zejść z tego świata wskutek odmiennych, typowych dla każdego z nich przypadłości. Ci zaś, co nie pomarli, cierpieli na rozmaite odmiany anemii, gruźlicy i innych wyniszczających chorób, a niektórzy wykazywali także objawy poważniejszych zaburzeń psychicznych – tak czy inaczej, wszystkie te wypadki nie świadczyły najlepiej o budynku i jego wpływie na lokatorów. Dodać przy tym należy, iż okoliczne domy wydawały się pozbawione tak złowrogiego wpływu na ludzi.

To wszystko, co wiedziałem, zanim wskutek natrętnego wypytywania stryj nie pokazał był mi notatek, które ostatecznie skłoniły nas do przeprowadzenia dogłębniejszego dochodzenia. W czasach mego dzieciństwa przeklęty dom był opuszczony, wokół stały nagie, poskręcane i przerażające stare drzewa, rosła długa, niezwykle blada trawa, na wysokim tarasie zaś, gdzie nigdy nie przesiadywały ptaki, płożły się chwasty. My, chłopcy, często odwiedzaliśmy to miejsce i wciąż pamiętam grozę, jaką wówczas odczuwałem, lęk wywołany nie tylko upiorną obcością tej złowrogiej roślinności, lecz również posępną atmosferą i nieprzyjemnym odorem panującym wewnątrz wymarłego domu, którego nie zamknięte na zasuwę drzwi frontowe często przekraczaliśmy, spragnieni przygody i dreszczyku zakazanych emocji. Okienka o małych szybkach były w większości wytłuczone, w pomieszczeniach panowała niewytłumaczalna atmosfera samotności i opuszczenia, którą podkreślały jeszcze popękana boazeria na ścianach, smutne, zwisające ukośnie w zawiasach okiennice, odłóżki ze ścian tapety, odpadający tynk, rozchwierutane schody i pozostałości świetnych ongiś, a teraz żałośnie zdezelowanych mebli. Kurz i pajęczyny sprawiały, iż wygląd wewnątrz wydawał się jeszcze bardziej złowrogi i zatrważający, za bohatera zaś uchodził chłopak, który odważył się wspiąć po drabinie na poddasze – ciągnące się wzdłuż frontu budynku pomieszczenie z

małymi półokrągłymi świetlikami w głównej ścianie, zagracone przechowywanymi tam niezliczonymi kuframi, krzesłami i kołowrotkami, które ozdobione nagromadzonymi przez lata pajęczynami i kurzem, nabierały zaiste diabelskich i potwornych kształtów. Nie poddasze jednak było najbardziej przerażającym miejscem w tym domu. Była nim wilgotna, cuchnąca pleśnią piwnica, która nie wiadomo czemu, wzbudzała w nas największą odrazę, mimo iż od strony ulicy znajdowała się w całości nad ziemią, i od chodnika, po którym spacerowali przechodnie, dzieliły ją tylko cienkie drzwi i ceglany mur z wąskim okienkiem. W gruncie rzeczy nie bardzo wiedzieliśmy, czy odwiedzać ją w nadziei na odrobinę mocniejsze przeżycia, czy unikać, z obawy o nasze dusze i zdrowe zmysły. Po pierwsze, nieprzyjemny odór rozchodzący się po domu był tam najsilniejszy, po wtóre zaś, nie podobały się nam białe grzybiaste narośla, które niekiedy, zwłaszcza w deszczowe lata, wschodziły z twardego ubitego klepiska. Grzyby te, równie groteskowe jak roślinność na podwórzu, miały doprawdy odrażające kształty, wyglądały niczym parodie muchomorów i szatanów niepodobnych do żadnych innych, jakie kiedykolwiek mieliśmy okazję oglądać. Błyskawicznie gniły, a w pewnym stadium emanowały lekką fosforescencją, przeto wielu naocznych przechodniów mijających ów dom mówiło o błędnych ognikach gorejących w przesyconych odrażającym odorem pomieszczeniach z wytłuczonymi szybami.

Co do nas, nigdy, nawet w wigilię Wszystkich Świętych, kiedy nastroje mieliśmy najbardziej bojowe, nie odważyliśmy się odwiedzić tej piwnicy nocą, byliśmy bowiem świadkami owego osobliwego świecenia, nawet za dnia, zwłaszcza gdy było dżdżysto i pochmurno. Często wydawało się nam również, iż dostrzegamy coś subtelniejszego. Było to doprawdy nader niezwykle, sugestia ledwie. Mam na myśli coś w rodzaju białawego śladu, jakby mgiełki na ubitym ziemistym podłożu – słabo widoczna, ulotna pozostałość pleśni lub saletry, którą, jak się nam zdawało, dostrzegaliśmy wśród rzadkich grzybiastych narośli w pobliżu ogromnego kominka w

piwnicznej kuchni. Od czasu do czasu odnosiliśmy wrażenie, iż plama ta w dość upiorny sposób przypomina zgiętą w pół postać ludzką, choć podobieństwa zasadniczo nie było i często nie było widać również białego nalotu. Pewnego dżdżystego popołudnia, gdy iluzja owa wydała mi się wyjątkowo silna i gdy na dodatek odniosłem wrażenie, iż dostrzegam coś w rodzaju cienkich, żółtych, falujących nitek siarczanego dymu, wznoszących się z saletrowego spłachcia ku ziejącej czeluści kominka, opowiedziałem o tym stryjowi. Uśmiechnął się, słysząc moje słowa, lecz dostrzegłem w skrzywieniu jego ust grymas dziwnego wspomnienia. Później dowiedziałem się, że podobna wzmianka stanowi element jednego z mrocznych ludowych podań, legend opowiadających o upiornych, wilczych kształtach tworzących się z dymu z wielkiego kominka i dziwacznych konturach przyjmowanych przez pewne poskręcane korzenie drzew, które wdarły się do wnętrza piwnicy pomiędzy obluzowanymi cegłami fundamentów.

# 2

Dopiero gdy stałem się dorosłym mężczyzną, stryj pokazał mi notatki i informacje, jakie zebrał na temat wymarłego domu. Doktor Whipple był rozsądnym, konserwatywnym lekarzem, ze starej szkoły, i pomimo swych zainteresowań dość niechętnie kierował swe myśli ku sprawom paranormalnym, którymi pasjonował się w młodości. Jego punkt widzenia, zasadzający się na teorii niezdrowej atmosfery domu wynikłej z niewłaściwej lokalizacji budynku, nie miał nic wspólnego ze zjawiskami nadprzyrodzonymi. Zdawał sobie wszelako sprawę, że obrazowość zdarzeń, która ożywiła w nim owo zainteresowanie, mogłaby przyjąć w umyśle młodego chłopaka formę najbardziej fantastycznych i przerażających przypuszczeń.

Doktor był kawalerem, siwowłosym, gładko ogolonym, staroświeckim dżentelmenem i znanym lokalnym historykiem, który często kruszył kopie z tak kontrowersyjnymi strażnikami miejscowych tradycji, jak Sidney S. Rider i Thomas W. Bicknell. Mieszkał z jednym tylko służącym w georgiańskiej posesji z kołatką na drzwiach i barierkami przy schodach, przycupniętej na szczycie stromo wznoszącej się North Court Street, opodal starego, ceglanego gmachu sądu kolonialnego, gdzie jego ojciec, kuzyn sławnego korsarza, kapitana Whipple'a, który spalił w 1772 roku bojowy szkuner JKM, czwartego maja 1776 roku brał udział w głosowaniu za uznaniem niepodległości kolonii Rhode Island. Wokoło, w cuchnącej wilgocią bibliotece o niskim stropie, ścianach wyłożonych spleśniałą jasną boazerią i maleńkich, zasnutych winoroślą okienkach znajdowały się pamiątki i kroniki jego rodu, wśród których można było znaleźć liczne, dwuznaczne aluzje dotyczące wymarłego domu przy Benefit Street. To przeklęte miejsce



znajduje się niedaleko stąd, ulica Benefit bowiem ciągnie się tuż powyżej gmachu sądu, wzdłuż stromego zbocza, na którym pobudowano pierwsze w tej okolicy domy.

Kiedy po długich staraniach i przekonywaniach namówiłem mego stryja, by podzielił się ze mną wiedzą, której pożądałem, ujrzałem przed sobą dość osobliwą kronikę. Rozwlekła, pełna danych, opisująca aż nadto dokładnie wszelkie genealogiczne niuanse rodu, nieodmiennie snuła jednak nic upiornego, pozostającego w cieniu koszmaru i pierwotnego zła, które wywarło na mnie dużo silniejszy wpływ aniżeli na dobrego doktora. Odrębne wypadki zdawały się pasować do siebie nawzajem, aczkolwiek w dość charakterystyczny sposób, a z pozoru banalne szczegóły w mym odczuciu rodziły całkiem odrażające przypuszczenia. Zaczęła we mnie kiełkować nie zaspokojona ciekawość, w porównaniu z którą me dziecięce doznania zdawały się błahe i irracjonalne. Pierwsze objawienie zaowocowało badaniami, a w końcu ową mrozącą krew w żyłach wyprawą, która okazała się zgubna w skutkach. Któregoś dnia bowiem mój stryj jął nalegać, by mógł towarzyszyć mi w dochodzeniu, jakie prowadziłem, i wybraliśmy się razem do przeklętego domu, by spędzić tam noc. Wróciłem stamtąd już bez niego.

Brak mi tego łagodnego, pogodnego człowieka, którego żywot nacechowany był takimi przymiotami, jak honor, prawość, dobry smak, łagodność i uczoność. By uczcić jego pamięć, pobudowałem marmurową urnę na cmentarzu przy kościele św. Jana – w miejscu tak uwielbianym przez Poego, na wzgórzu, wśród potężnych wierzb, gdzie krypty i kamienne nagrobki tłoczyły się w wiekuistej ciszy pomiędzy ogromnym masywem kościoła a domami stojącymi wzdłuż Benefit Street.

Historia tego domu, jawna i wyrazista pośród labiryntu dat, nie zawierała żadnych złowrogich szczegółów, zarówno jeżeli chodzi o jego powstanie, jak i zamożną i cieszącą się poważaniem rodzinę, która go zbudowała. Mimo to nietrudno było wychwycić pierwsze mroczne sygnały, które już niebawem przerodzą się w posępną rzeczywistość. Starannie prowadzone zapiski mego

stryja zaczynały się od wzniesienia owej budowli w roku 1763 i szczegółowo opisywały związane z nią wypadki. Wymarły dom zamieszkiwali z początku, jak się wydaje, William Harris i jego żona, Rhoby Dexter, oraz ich dzieci – Elkanah, ur. w 1755, Abigail, ur. w 1757, William jun., ur. w 1759 i Ruth, ur. w 1761 roku. Harris był kupcem pływającym szlakami handlowymi do Indii Zachodnich i związanym z firmą Obadiaha Browna i jego bratanków. Po śmierci Browna, w 1761 roku, szef nowej firmy Nicholas Brown i s-ka uczynił go szyprem brygu „Prudence” zwodowanego w Providence 120-tonowca, a tym samym dał szansę wybudowania nowego domu dla jego rodziny. O takim domu Harris marzył od dnia zawarcia małżeństwa.

Miejsce zostało wybrane – fragment niedawno wyrównanej, nowej i modnej Back Street, ciągnący się wzdłuż zbocza wzgórza nad zatłoczonym Cheapside – było to wszystko, o czym mógł zamarzyć, a budynek jak najbardziej pasował do otoczenia – był wytworny, ale gustowny, Harris pragnął wprowadzić się do niego przed narodzinami piątego dziecka, którego się spodziewali. Dziecko to, chłopiec, przyszło na świat w grudniu, lecz narodziło się martwe. Przez półtora wieku w domu tym ani jedno dziecko nie urodziło się żywe. W kwietniu następnego roku dzieci zaczęły chorować, nim minął miesiąc Abigail i Ruth zmarły.

Doktor Job Ives zdiagnozował chorobę jako wyjątkowo groźną dziecięcą gorączkę, choć inni upierali się, że w grę wchodziło coś więcej aniżeli zwyczajne suchoty czy wycieńczenie organizmu. Tak czy inaczej, choroba okazała się zaraźliwa, Hannah Bowen bowiem, jedna z dwójki służących, zmarła na tę samą dolegliwość w czerwcu. Eli Lideason, drugi służący, stale uskarżał się na ogólne osłabienie. Zapewne wróciłby w rodzinne strony, na farmę swego ojca, gdyby nie zadurzył się w Mehitabel Pierce, którą wynajęto po śmierci Hannah. Zmarł w roku następnym, który był wyjątkowo smutny, wtedy bowiem odszedł również sam William Harris, osłabiony klimatem Martyniki, gdzie często mieszkał i pracował w ostatnim dziesięcioleciu.

Wdowa, Rhoby Harris, nigdy już nie doszła do siebie po śmierci

małżonka, a zgon pierwородnego Elkanaha, dwa lata później, okazał się ostatecznym ciosem dla jej zdrowych zmysłów. W 1768 roku popadła w lekki obłąd i od tej pory przebywała stale w zamknięciu, w górnej części domu. Jej starsza siostra, Mercy Dexter, wprowadziła się do domu, by przejąć opiekę nad rodziną. Była to prosta, silna i twarda z natury kobieta, lecz odkąd przestąpiła próg feralnego budynku, zaczęła z wolna podupadać na zdrowiu. Cechowało ją niezwykle wręcz oddanie nieszczęsnej siostrze; wielkim uczuciem darzyła również jedyne pozostałego przy życiu siostrzeńca, Williama, który z silnego dziecka wyrósł na słabowitego, niedomagającego młodzieńca. W roku śmierci Mehitabel odszedł również służyący Preserved Smith, nie podając żadnego konkretnego powodu swej decyzji, a jedynie mgliste sugestie poparte tezą, jakoby nie podobał mu się unoszący się w całym domu dziwny zapach. Przez pewien czas Mercy nie była w stanie zatrudnić do pomocy żadnej służby, gdyż siedem zgonów i przypadek utraty zmysłów w ciągu niespełna pięciu lat wywołały lawinę plotek, które z czasem nabiorą nader osobliwego, mrocznego charakteru. W końcu jednak zatrudniła nowych służyących spoza miasta, Ann White, smętną kobietę z tej części North Kingstown, która teraz stanowi odrębne miasto Exeter, i bystrego mężczyznę z Bostonu nazwiskiem Zenas Low.

To Ann White pierwsza skonkretyzowała posępne, przerażające plotki. Mercy nie powinna była wynajmować do służby nikogo z okręgu Szubienicznego Wzgórza, rejon ten bowiem był i pozostaje do dziś siedzibą najbardziej niewyobrażalnych, mrozących krew w żyłach przesądów i zabobonów. Jeszcze niedawno, bo w roku 1892, ludzie z Exeter odkopali zwłoki i ceremonialnie spalili serce trupa, aby zapobiec kolejnym nawiedzeniom, które mogły okazać się szkodliwe dla ludzkiego zdrowia i ogólnego spokoju wspólnoty. Można się tylko domyślać, że ich punkt widzenia nie zmienił się zbyt wiele od połowy osiemnastego wieku. Ann nie umiała trzymać języka za zębami, toteż po kilku miesiącach Mercy zwolniła ją, na jej miejsce zaś zatrudniła wierną i przyjacielską amazonkę z Newport –

Marię Robbins.

Tymczasem nieszczęsna Rhoby Harris, trawiona obłędem, jęła opowiadać w głos o swych koszmarach i niepojętych, a przeraźliwych imaginacjach. Wreszcie wrzaski jej stały się nie do zniesienia, zmieniły się w długotrwałe tyrady okropieństw i plugawych wymysłów, co sprawiło, że jej syn zmuszony był zamieszkać tymczasowo u swego kuzyna, Pelega Harrisa, w nowym gmachu college'u przy Presbyterian Lane. Po tych wizytach zdrowie chłopca nieco się poprawiło, a Mercy, mając na uwadze jego dobro, pozwoliła mu zamieszkać u Pelega na stałe.

W tym też okresie napady szaleństwa u pani Harris przybrały jeszcze na sile, treść zaś jej wrzasków pozostaje niejasna, a raczej do tego stopnia niesamowita, że nie sposób traktować jej inaczej aniżeli jako stek bzdur zrodzonych w umyśle szaleńca. Niewątpliwie brzmi absurdalnie, gdy mówi się, że kobieta znająca tylko pobieżnie francuski całymi godzinami wywrzaskiwała ochryple zdania w slangowej odmianie tego języka lub że osoba ta, samotna i strzeżona, skarżyła się zawzięcie, jakoby jakaś łypiąca dziko istota kąsała ją i wyżerała kawałki ciała. W 1772 roku zmarł służący Zenas, a kiedy dowiedziała się o tym pani Harris, zaczęła zaśmiewać się ze zgoła nietypowym dla niej zadowoleniem. W roku następnym ona również opuściła ten padół i została złożona na Cmentarzu Pomocnym obok swego męża.

Gdy w 1775 roku wybuchł konflikt z Wielką Brytanią, William Harris pomimo swych szesnastu lat i słabego zdrowia zaciągnął się do Regimentu Zwiadowczego pod dowództwem pułkownika Greene' a. Od tej pory jego zdrowie regularnie się poprawiało, zyskiwał też na prestiżu. W 1780 roku jako kapitan sił Rhode Island w New Jersey pod pułkownikiem Angellem, napotkał i poślubił Phebe Hetfield z Elizabethtown, którą przywiózł do Providence, opuściwszy z honorami szeregi armii.

Powrót młodego żołnierza nie był tak wspaniały, jak można by oczekiwać. Dom co prawda był wciąż w dobrym stanie, ulicę poszerzono i

przemianowano z Back Street na Benefit Street. Mercy Dexter jednak, ongiś postawna i silna, podupadła na zdrowiu, wydawała się wycieńczona i słaba, chodziła zgięta patetycznie wół, cerę miała niezdrową i ziemistą, głos pusty i wyjątkowo cichy, jak szept zza grobu. Cechy te przejęła również jedyna pozostała w domu służąca, Maria. Jesienią 1782 roku Phebe Harris urodziła martwą córeczkę, a piętnastego maja następnego roku Mercy Dexter, dzielna do końca, pożegnała się z życiem.

William Harris, przekonany ostatecznie o wyjątkowo niezdrowej naturze swego mieszkania, podjął niezbędne kroki, by opuścić i na zawsze porzucić dom. Zamieszkali tymczasem z żoną w nowo otwartym Golden Bali Inn, po pewnym czasie zaś William wznosił nowy, wspaniały dom przy Westminster Street, w rozbudowywanej części miasta, po drugiej stronie Wielkiego Mostu. Tam, w 1785 roku, przyszedł na świat jego syn, Dutee, i tam w spokoju i dobrobycie mieszkała cała rodzina, póki z uwagi na gwałtowną ekspansję sklepów nie zostali zmuszeni przenieść się z powrotem za rzekę i na drugą stronę wzgórza, na Angell Street, do nowej dzielnicy willowej East Side, gdzie śp. Archer Harris zbudował w 1876 roku okazałą, lecz szpetną rezydencję z francuskim dachem. Oboje, William i Phebe, padli ofiarą epidemii żółtej febry w 1797 roku, ale Dutee'a wziął na wychowanie kuzyn, Rathbone Harris, syn Pelega.

Rathbone był praktycznym mężczyzną i wynajął dom przy Benefit Street, wbrew żądaniom Williama, by pozostał on nie zamieszkany. Czuł się zobowiązany zapewnić jak najlepszą przyszłość chłopcu i ani trochę nie przejmował się zgonami czy chorobami, które wyniszczały jego mieszkańców, jak również narastającą coraz bardziej niechęcią, jaką darzono ów budynek. Z irytacją przyjął więc decyzję rady miejskiej, która w 1804 roku nakazała mu odkażenie domu siarką, smołą i kamforą, w związku z mocno dyskutowanymi zgonami czterech osób, spowodowanymi przypuszczalnie przez dobiegającą kresu epidemię żółtej febry. Powszechnie powiadano, że cały dom przesiąknięty był niezdrową, chorobliwą wonią.

Co się tyczy Duteego, nie myślał on wiele o domu, gdyż kiedy dorósł, zaciągnął się na okręt kaperski i służył z honorem na „Vigilancie” pod dowództwem komandora Cahoone’a w wojnie 1812 roku. Wrócił z wojny cały i zdrowy, w 1814 roku ożenił się i został ojcem owej pamiętnej nocy dwudziestego trzeciego września 1814, kiedy wielka fala sztormowa zalała połowę miasta i zniosła potężny siup aż na Westminster Street, tak daleko, że maszty okrętu prawie dotykały okien domu Harrisów, jakby potwierdzając w ten sposób, że nowo narodzony chłopiec, Welcome, był synem marynarza.

Welcome nie przeżył swego ojca, lecz zginął chwalebnie pod Fredericksburgiem w 1862 roku. Ani on, ani jego syn, Archer, nie znali prawdy o przeklętym domu. Wiedział tylko, że prawie nie sposób go wynająć – być może z uwagi na zagrzybienie i chorobliwy, mdlący odór powstały zapewne wskutek wilgoci i starości budowli. W rzeczy samej, dom nie został podnajęty po serii tragicznych zgonów, których kulminacja przypadła na rok 1861, a które z uwagi na wydarzenia wojenne poszły niemal natychmiast w zapomnienie. Carrington Harris, ostatni męski potomek rodu wiedział tylko, że dom był opuszczony i stanowił przedmiot licznych związanych z nim legend i zabobonów, póki nie opowiedziałem mu o swoim przeżyciu. Zamierza] zburzyć budynek i wznieść na tym miejscu czynszówkę, lecz za moją radą postanowił go zachować, skanalizować i wynająć. Nie miał większych problemów ze znalezieniem chętnych. Groza odeszła.

# 3

Nietrudno sobie wyobrazić, jak silny wpływ wywarły na mnie kroniki Harrisów. W kronikach tych zdawało się tkwić przyczajone zło, wykraczające swym ogromem ponad wszystko, co dotąd znałem; zło wyraźnie związane z domem, nie z rodziną. Wrażenie to potwierdziły dość chaotyczne w zapisie notatki mego stryja, zapiski zasłyszanych historii i plotek krążących wśród służby, kopie aktów zgonu wystawionych przez jego kolegów, lekarzy, wycinki prasowe itp. Nie jestem w stanie wymieni ć tu ogromu tych materiałów, gdyż stryj mój był niezmordowanym antykwariuszem, a przeklęty dom szczególnie go interesował.

Mogę jednak nadmienić o kilku nader interesujących sprawach, na które zwróciłem uwagę, gdyż wzmianki o nich pochodziły z kilku różnych źródeł. Na przykład, plotki służby były niemal jednakowe, jeżeli chodziło o zagrzybioną i cuchnącą, nieprzyjemną piwnicę – jednocześnie uznano to właśnie pomieszczenie za emanujące najsilniej i do cna przesiąknięte złą aurą. Niektóre służące, na przykład Ann White, w ogóle nie korzystały z piwnicznej kuchni, a co najmniej trzy dobrze udokumentowane historie mówiły o dziwnych, quasi– ludzkich lub wręcz diabolicznych kształtach przyjmowanych przez korzenie drzew lub spłachcie pleśni w tym mrocznym miejscu. Te właśnie opowieści zainteresowały mnie szczególnie z uwagi na to, co miałem okazję ujrzeć w dzieciństwie, czułem wszelako, że w każdej z tych relacji zbyt wiele było przekłamań i naleciałości miejscowych wierzeń oraz opowieści o duchach.

Ann White, dorastająca w Exeter, w atmosferze tamtejszych przesądów i zabobonów wysnuła najbardziej niesamowitą, lecz i najbardziej spójną zarazem opowieść – jakoby pod domem spoczywał pogrzebany jeden z

wampirów nieumarłych, które zachowują ludzką postać i żywią się krwią lub tchnieniem żyjących, a których plugawe legiony wysyłają nocami na żer swe cienie lub cielesne powłoki. Aby unicestwić wampira, jak mówiły stare babiny, należy go ekshumować i spalić jego serce lub przynajmniej przebić je drewnianym kołkiem.

Do zwolnienia Ann w znacznej mierze przyczynił się fakt, że uparcie nalegała ona na przekopanie gruntu pod piwnicą. Jej historie zyskały sobie spory rozgłos i przyjmowano je tym łacniej, że dom istotnie stał na terenie, gdzie ongiś grzebano zmarłych.

Dla mnie ich zainteresowanie mniej łączyło się z tą okolicznością, bardziej natomiast ze swobodą, z jaką przyjęto kilka innych związanych ze sprawą szczegółów – skargę zwolnionego Preserveda Smitha, który służył w domu przed Ann i nigdy o niej nie słyszał, który twierdził, jakoby nocą „coś wysysało mu dech”; akty zgonu ofiar żółtej febry w 1804 roku wystawione przez doktora Chada Hopkinsa, stwierdzające, że u czterech zmarłych osób wystąpił znaczny niedobór krwi; a także mgliste wzmianki o szalonych majaczeniach nieszczęsnej Rhoby Harris wspominającej o ostrych zębach szklitookiej, na wespół widocznej zjawy.

Choć wolny jestem od przesądów i zabobonów, niniejsze szczegóły całej sprawy wzbudziły moje zainteresowanie, podsycane jeszcze kilkoma wycinkami z gazet, opisującymi przypadki zgonów w przeklętym domu – jeden z „Providence Gazette and Country Journal” z dwunastego kwietnia 1815 roku, drugi natomiast z „Daily Transcript and Chronicle” z dwudziestego siódmego sierpnia 1845 roku, opisujące nader szczegółowo upiorne wypadki, do tego stopnia, że nie sposób było nie zauważyć ich przerażającej zbieżności. Wydaje się, że w obu przypadkach umierająca osoba – w 1815 roku spokojna leciwa dama nazwiskiem Strafford, a w 1845 nauczyciel w średnim wieku, niejaki Eleazar Durfee, ulegli przeraźliwej przemianie. Ich oczy stały się szkliste i oboje starali się ukąsić w szyję zajmującego się nimi lekarza. Jeszcze bardziej zdumiewający był ostatni



przypadek, po którym przestano wynajmować ów dom – była to cała seria śmierci wywołanych przez anemię, poprzedzonych postępującym obłędem i atakami, podczas których pacjent próbował pozbawić życia swoich krewnych poprzez rozplatanie im żył na nadgarstkach lub tętnic szyjnych.

Było to w roku 1860 i 1861, kiedy mój stryj rozpoczął właśnie praktykę lekarską i przed wyruszeniem na front sporo usłyszał o tych wydarzeniach od swoich starszych kolegów po fachu. Naprawdę nie wyjaśnione w tej sprawie było to, że ofiary, ludzie prości – gdyż domu uznawanego powszechnie za przeklęty bądź wymarły i przesyconego osobliwym odorem, nie sposób było wynająć nikomu innemu – mamrotały złowieszcze słowa we francuskim slangu, języku i dialekcie, którego nie mieli prawa znać ze względu na brak wykształcenia.

Przywodziło to na myśl nieszczęsną Rhoby Harris sprzed blisko stu lat i to poruszyło mego stryja do tego stopnia, że po powrocie z wojny zaczął zbierać dane historyczne dotyczące feralnego domu i nie omieszkał również zasięgnąć informacji u doktora Chase'a i Whitmarsha. Było dla mnie oczywiste, że mój stryj mocno zafascynował się tą sprawą i ucieszył się, gdy i mnie ona zaciekała, skutkiem czego mógł rozmawiać ze mną o rzeczach, które inni skwitowaliby jedynie drwiącym śmiechem. Nie posunął się w supozycjach tak daleko jak ja, niemniej czuł, że dom ten stanowił ewenement dla ludzi obdarzonych wyobraźnią, zawierał w sobie pod tym względem ogromny potencjał i wart był odnotowania jako inspiracja w sferze grozy, niesamowitości i makabry.

Ze swej strony zamierzałem przyjrzeć się tej sprawie z absolutną powagą i zacząłem nie tylko przeglądać dowody, lecz również je gromadzić, na tyle, na ile byłem w stanie.

Rozmawiałem wielokrotnie z mocno już posuniętym w latach Archerem Harrisem, podówczas właścicielem domu, zanim zmarł w 1916 roku, i uzyskałem od niego i jego niezamężnej siostry Alice potwierdzenie autentyczności wszelkich danych zebranych przez mego stryja. Kiedy jednak

zapytałem ich o ewentualny związek z Francją czy językiem francuskim, wyznali, że nie mają pojęcia, o co może chodzić, i byli równie jak ja zbici z tropu. Archer był w kropce, a panna Harris powiedziała, że przypomina sobie pewne mgliste aluzje dotyczące jej dziadka, Dutee Harrisa, i być może one rzuciłyby jakieś światło na tę sprawę. Stary wilk morski, który przeżył o dwa lata swego syna, sam nie znał tej legendy.

Przypomniał sobie jednak, że jego dawna pielęgniarka, niejaka Maria Robbins, znała jakąś mroczną prawdę mogącą przydać znaczenia francuskim majaczeniom Rhoby Harris, słyszanych tak często, zwłaszcza w ostatnim okresie życia nieszczęsnej kobiety. Maria przebywała w przeklętym domu od 1769 roku do wyprowadzki rodziny w 1783 i była obecna przy śmierci Mercy Dexter. Któregoś razu wspominała małemu Dutee o pewnych niezwykłych rzekomo zdarzeniach, jakie zaszły podczas śmierci Mercy, lecz on wkrótce o tym zapomniał i jedyne, co utkwilo mu w pamięci, to wzmiankowana już wcześniej osobliwość. Jego prawnuczka nawet to wspominała z olbrzymim trudem. Ani ona, ani jej brat nie interesowali się zbyt domem, podobnie jak syn Archera, Carrington, jego obecny właściciel, z którym odbyłem rozmowę po zdarzeniu, w którym uczestniczyłem.

Zebrawszy od rodziny Harrisów wszelkie możliwe informacje, jakie mogłem uzyskać, skoncentrowałem uwagę na wczesnych kronikach miejskich i zapiskach o zdarzeniach, jakie w nim zachodziły, pochłaniając je z zapałem większym, niż wykazywał przy tej samej czynności mój stryj. Pragnąłem poznać zborną i logiczną historię całego tego miejsca, począwszy od pojawienia się tu pierwszych osadników, w roku 1636, a nawet wcześniej, jeżeli tylko uzyskałbym możliwość uzupełnienia informacji o legendy żyjących wcześniej na tych terenach Indian Narragansett. Dowiedziałem się, że długi pas tutejszych ziem należał początkowo do Johna Throckmorta. Jedno z takich pasm zaczynało się przy Town Street, przy rzece, ciągnąc się poprzez wzgórze mniej więcej równoległe do istniejącej obecnie Hope Street.

Ziemie Throckmortonów zostały później rozdzielone, ja natomiast skupiłem swą uwagę na tym odcinku, gdzie później znajdowała się Back, a następnie Benefit Street.

Zgodnie z tym, co mówiły plotki, rzeczywiście znajdował się tam cmentarz Throckmortonów. Gdy jednak baczniej przejrzałem kroniki, okazało się, że ciała zostały później ekshumowane i przeniesione na Cmentarz Północny przy Pawtucket West Road.

Nagle, zupełnie przypadkiem, gdyż informacja ta nie znajdowała się w oficjalnych kronikach i z łatwością mogłem ją przeoczyć, natknąłem się na coś, co obudziło we mnie szczególną ciekawość, pobudziło do działania i co więcej, pasowało do kilku wyjątkowo niezwykłych aspektów tej sprawy. Był to akt dzierżawy z 1697 roku niewielkiego odcinka gruntu niejakiemu Etienne Roulet z żoną. Wreszcie pojawił się w tej aferze akcent francuski oraz kolejny, znacznie bardziej dojmujący element grozy, który ożywił brzmienie tego nazwiska, przywołując jego wspomnienie z mrocznej otchłani przeczytanych ongi zakazanych i mrozących krew w żyłach lektur, przeto z nowym zapałem zacząłem badać dane o lokalizacji wymarłego domu i miejsc, gdzie go wzniesiono. Sprawdziłem wszystkie dostępne kroniki mówiące o układzie tamtego terenu przed jego podziałem i częściowym wypoziomowaniem Back Street pomiędzy 1747 a 1758 rokiem. Dowiedziałem się tego, czego w głębi duszy się spodziewałem, że w miejscu, gdzie stał teraz przeklęty dom, Rouletowie założyli swój własny cmentarz, na tyłach niewielkiego parterowego domku z poddaszem, i nigdzie nie natknąłem się na wzmiankę o przenosinach spoczywających tam zwłok.

Dokument, nawiasem mówiąc, kończył się dość chaotycznie i zmuszony byłem przetrząsnąć archiwa Towarzystwa Historycznego Rhode Island i biblioteki Shepleya, zanim natknąłem się na jakąkolwiek wzmiankę otwierającą drzwi oznaczone nazwiskiem Etienne Roulet. Wreszcie coś znalazłem; coś nader mglistego i niejasnego, lecz o tak ogromnym, choć przerażającym znaczeniu, że natychmiast postanowiłem zbadać piwnicę

wymarłego domu. Rouletowie, jak się zdawało, przybyli w tę okolicę z East Greenwich w roku 1696. Byli hugenotami z Caude i napotkali wyjątkowo silny sprzeciw ze strony notabli z Providence, nim pozwolono im osiedlić się w mieście. W East Greenwich, dokąd przybyli w 1686 roku, po zniesieniu edyktu nantejskiego, nie cieszyli się zbytnią popularnością i jak głosiły plotki, niechęć ta wykraczała poza zwyczajowe rasowe i narodowościowe uprzedzenia czy nawet spory o ziemię, tak częste pomiędzy francuskimi i angielskimi osadnikami, że nie był w stanie ukrócić ich nawet gubernator Andros. Jednak ich żarliwy protestantyzm – niektórzy powiadali, że zbyt żarliwy – oraz wyraźny niepokój, gdy przegnano ich z wioski, zapewniły im ostatecznie bezpieczną przystań. Etienne Roulet bowiem, niezbyt zdolny w uprawie roli, natomiast uczony w mowie, piśmie i kreśleniu osobliwych diagramów według wzorów z tajemniczych ksiąg, otrzymał posesję duchownego na placówce przy przystani Pardona Tillinghasta, na południowym krańcu Town Street. Jednak jakieś czterdzieści lat później wybuchły tam bliżej nieokreślone zamieszki. Rozpoczęły się one po śmierci starego Rouleta, potem zaś nikt już więcej nie słyszał o tej rodzinie.

Wydaje się, że przez ponad sto lat wspomniano Rouletów i często o nich mówiono jako o rodzinie, która wniosła pewne ożywienie do sennego portowego miasteczka. Syn Etienne'a, Paul, posępny, zgryźliwy mężczyzna, którego dziwaczne prowadzenie się wywołało zapewne zamieszki, w rezultacie których doszło do unicestwieni a całej rodziny, stanowił szczególny obiekt najprzeróżniejszych spekulacji, i choć w Providence nie dochodziło do przypadków paniki i lęku przed czarami, jak to działo się w pobliskich purytańskich osadach, stare babiny otwarcie mówiły, że nigdy nie odmawiał on modłów, kiedy należało, ani też nie zanosił ich do konkretnej osoby. Bez wątplenia te właśnie plotki stały się podstawą legendy, którą znała stara Maria Robbins. Jaki związek z nią miały obłąkańcze bredzenia posługującej się francuskim slangiem Rhoby Harris i innych mieszkańców przeklętego domu, określić mogły jedynie przypuszczenia lub przyszłe

odkrycia. Zastanawiałem się, jak wielu z tych, którzy znali legendy, uświadamiało sobie istnienie dodatkowego ogniwa, które napotkałem, ślęcząc nad starymi annałami pewnego wyjątkowo odrażającego fragmentu opowiadającego o potwornej kreaturze znanej jako Jacques Roulet z Caude, który w 1598 roku został za czary skazany na śmierć. Później wszelako parlament paryski ocalił go przed stosem i wtrącił do zakładu dla obłąkanych. Znalaziono go w lesie zbryzganego krwią i oblepionego strzępami tkanek, wkrótce po tym, jak dwa wilki zabiły i rozdarły na kawałki małego chłopca.

Widziano, jak jeden z wilków pierzchnął bez szwanku. Historia ta bez wątplenia nadaje się do opowiadania przy kominku, a jest tym ciekawsza, że występuje zbieżność nazwisk i miejsca.

Uznałem wszelako, że plotkarze z Providence nie mogli o niej wiedzieć. Gdyby tak było, wspomniana zbieżność zaowocowałaby bardziej drastycznymi i okrutnymi czynami. Czyż jednak było możliwe, że to właśnie tego rodzaju plotki doprowadziły do wybuchu zamieszek i ostatecznie do wygnania Rouletów z miasta?

Teraz coraz częściej odwiedzałem przeklęty– dom, badałem niezdrową roślinność pieniającą się w ogrodzie i studiowałem uważnie każdy cal piwnicznego klepiska. Wreszcie, za pozwoleniem Carringtona Harrisa, dorobiłem klucz do nie używanych z dawien dawna drzwi wiodących z piwnicy wprost na Benefit Street, wolałem bowiem mieć możliwość szybszego wydostania się na ulicę, niżli piąć się po mrocznych schodach i przez hol na piętrze dochodzić do frontowych drzwi. Miejsca, gdzie moim zdaniem zła aura była najsilniejsza, badałem wnikliwie całymi popołudniami, póki promienie słońca przezierały przez zasnuty pajęczyną świetlik nad piwnicznymi drzwiami, dzięki którym tylko kilka stóp dzieliło mnie od zatłoczonego zwykle chodnika na zewnątrz.

Moje wysiłki nie zaowocowały odkryciami, natknąłem się jedynie na pleśń, która trawiła badane przeze mnie pomieszczenie, nieprzyjemny odór, aczkolwiek niezbyt silny, i widniejące na podłodze mgliste, niepokojące

zarysy. Podejrzewam, że wielu przechodniów, którzy widzieli mnie przez powybijane szyby, musiało ze zdziwieniem obserwować me poczynania.

Wreszcie, za namową stryja, postanowiłem zbadać to miejsce po zmierzchu i pewnej burzliwej nocy omiotłem promieniem mej latarki zawilgłą podłogę pokrytą dziwacznymi kształtami i poskręcanyimi, lekko fosforyzującymi spłachciami pleśni. Miejsce to natchnęło mnie owego wieczoru nieokreśloną bliżej trwogą i niemal nie zdziwiło mnie, gdy ujrzałem, lub wydało mi się, że ujrzałem, wśród białego nalotu wyjątkowo wyraźnie zmaterializowaną „skurczoną postać” zapamiętaną jeszcze z dzieciństwa.

Jej przejrzystość i wyrazistość nie miały sobie równych i były doprawdy zdumiewające, a gdy tak na nią patrzyłem, odniosłem wrażenie, że dostrzegam cienkie, żółtawe, falujące pasemka niby dymu, które wzbudziły we mnie trwogę tamtego deszczowego popołudnia, wiele lat temu.

Wznosiła się ponad antropomorficzną plamą pleśni przy kominku, delikatne, niezdrowe nieomal opary, które unosząc się drżąco nad wilgotnym spłachciem ziemi, zdawały się przybierać mglisty i bulwersujący w swej sugestii kształt, stopniowo jednak rozpływały się w coraz rzadsze pasma, by, zniknąwszy w czeluści wielkiego komina, pozostawić po sobie tylko odrażający fetor. Było to zaiste przerażające, zwłaszcza dla mnie, gdyż dysponowałem szczegółowymi informacjami dotyczącymi tego miejsca. Odwracając się, by czym prędzej pierchnąć z tego przeklętego miejsca, czułem, że z kolei to coś zaczęło obserwować mnie chciwie niewidzialnymi, lecz wyczuwalnymi oczyma. Kiedy opowiedziałem o tym stryjkowi, bardzo go moja historia poruszyła i po pełnej napięcia godzinie namysłu podjęliśmy ostateczną i drastyczną decyzję. Mając na uwadze ważkość sprawy i znaczenia naszego z nią związku, zaproponował, byśmy we dwóch zbadali i – jeżeli to możliwe – unicestwili czającą się w wymarłym domu grozę, podczas trwającego jedną lub więcej nocy czuwania wewnątrz owej mrocznej, cuchnącej stęchlizną i grzybem piwniczki.

# 4

W środę, dwudziestego piątego czerwca 1919 roku, po uprzednim powiadomieniu Carringtona Harrisa, lecz bez wyjaśnienia prawdziwego celu naszej wyprawy, mój stryj i ja przenieśliśmy do wymarłego domu dwa składane krzesła oraz łóżko polowe i pewne ciężkie, nader złożone naukowe urządzenie mechaniczne. Za dnia znieśliśmy to wszystko do piwnicy, zakleiliśmy okna gazetami i oczekiwaliśmy nadejścia zmierzchu, kiedy to miało rozpocząć się nasze czuwanie. Zamknęliśmy drzwi wiodące być ona z natury wroga lub kierować się zwyczajnym instynktem samozachowawczym. Tak czy inaczej, monstrum owo musi zostać z konieczności uznane za anomalię, intruza, którego kompletne unicestwienie powinno zostać uznane za pierwszorzędną obowiązek każdego człowieka, dbającego o dobro i rozwój całego świata.

Najgorsze było, że nie wiedzieliśmy, ba, nie wyobrażaliśmy sobie nawet potencjalnego spotkania z tą istotą. Nikt przy zdrowych zmysłach dotąd jej nie widział i mało kto uświadamiał sobie w ogóle jej obecność. Mogła to być forma czystej energii, eteryczna, przeto pozostająca poza granicami świata materialnego, lub fizyczna jedynie po części, ot, jakaś nieznaną i podejrzaną natury plastyczna masa, zdolna zmieniać się wedle woli z formy materialnej w gazową, płynną lub rozproszoną tak, że całkiem niewidzialną.

Antropomorficzny kształt plamy pleśni na klepisku, żółtawe pasemka dymu i zakrzywione formy korzeni drzewa, o których mówiły pewne ludowe przekazy, zdawały się sugerować przynajmniej po części – zdawkowo wręcz – materializację sylwetki ludzkiej, lecz w jakim stopniu był on domeną owej istoty i czy kształt ten potrafiła przyjmować na dłużej, żaden z nas nie potrafił odpowiedzieć. Dysponowaliśmy dwoma rodzajami broni, by stawić jej czoło

– ogromnym, zmodyfikowanym egzemplarzem cylindra Crookesa zasilanym z przenośnych akumulatorów i zaopatrzonym w specjalne ekrany oraz reflektory, na wypadek gdyby istota okazała się bezcielesna i eteryczna, a tym samym do unicestwienia jej potrzebowalibyśmy silnego strumienia radiacji, jak również dwa wojskowe miotacze ognia, z rodzaju tych, które używane były podczas wojny światowej, w razie gdyby przyszło nam zmierzyć się z czymś choćby na poły materialnym i podatnym na zranienie konwencjonalnymi metodami. Jak wieśniacy z Exeter, gotowi byliśmy spalić na popiół serce owego stworzenia, gdyby takowe posiadało. Sprzęt bojowy rozstawiliśmy w piwnicy w ściśle określonych miejscach, podobnie jak wcześniej krzesła i łóżko, a dokładniej mówiąc, na wprost kominka, gdzie na klepisku widać było osobliwego kształtu plamę pleśni. Ów sugestywny spłachetek zgnilizny i zepsucia był, nawiasem mówiąc, słabo widoczny, kiedy rozstawialiśmy nasze meble i instrumenty, a kiedy tego wieczoru wróciliśmy, by podjąć czuwanie, przez krótką chwilę zwątpiłem w to, co wydawało mi się, że kiedyś ujrzałem, i wówczas powróciłem myślami do starych podań.

Czuwanie nasze rozpoczęliśmy o dziesiątej wieczorem i początkowo nie przyniosło spodziewanych efektów. Słabe, rozrzedzone światło płynące z sieczonych strugami deszczu latarni ulicznych na zewnątrz i blada fosforescencja odrażającej pleśni wewnątrz ukazywały ociekające gołe kamienne ściany, pozbawione najmniejszych nawet resztek wapna; wilgotne, cuchnące, skalane pleśnią klepisko z obscenicznie pieniącym się po nim grzybem; przegniłe szczątki czegoś, co było stołkami, krzesłami, stołami i niemożliwymi dziś do rozpoznania meblami; ciężkie deski i masywne belki stropowe, stare drzwi prowadzące do spiżarni i pomieszczenia pod innymi częściami domu; zmurszałe, kamienne schody ze zniszczoną drewnianą balustradą oraz toporny, ogromny kominek z poczerniałej cegły, gdzie przerdzewiałe żelazne elementy stanowiły smętne pamiątki po wspaniałych ongiś hakach, wilkach, szpikulcach różna, szczypcach i drzwiczkach



holenderskiego pieca. Wszystko to dostrzec można było w słabej poświacie, jak również nasze sprzęty, polowe łóżko, składane krzesła i ciężką broń do walki z nieznanym.

Tak jak podczas swych poprzednich wizyt w tym domu, pozostawiliśmy drzwi prowadzące na ulicę nie zamknięte, by w razie manifestacji mocy, z którą nie moglibyśmy sobie poradzić, mieć w każdej chwili szansę ucieczki. Byliśmy przekonani, że nasza obecność w domu wywabi złowrogą istotę, która się w nim gnieździła, a przy gotowaniu na spotkanie z nią, powinniśmy ją w ten lub inny sposób unicestwić, po uprzednim rozpoznaniu i przeprowadzeniu niezbędnych obserwacji. Nie mieliśmy pojęcia, jak dużo czasu może nam zająć przywołanie, zbadanie, a następnie likwidacja tej istoty. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nasza misja jest ogromnie niebezpieczna, nie sposób było bowiem stwierdzić, jaką mocą dysponować miała istota pojawiająca się przed nami. Uznaliśmy wszelako, że gra warta jest świeczki, i bez wahania tylko we dwóch podjęliśmy się tego zadania. Mieliśmy świadomość, iż szukając pomocy z zewnątrz, narazilibyśmy się jedynie na drwiny i szyderstwa, a może nawet na obrócenie wniwecz całego przedsięwzięcia. Rozmawialiśmy również na ten temat do późnych godzin nocnych, aż mój stryj, poczuwszy nieodpartą senność, za mą namową ułożył się na połówce, by pograć się w dwugodzinnej drzemce.

Osobliwy lęk zmroził mnie do szpiku kości, gdy tak czuwałem samotnie w środku nocy, sam, powiadam, gdyż ten, kto siedzi obok śpiącego, nie odczuwa wcale jego obecności, a może raczej silniej odbiera wówczas swoją własną. Stryj mój oddychał ciężko, odgłos jego wdechów i wydechów zlewał się z szumem deszczu na zewnątrz i drażniącym kapaniem wody w piwniczce, w domu tym bowiem, nawet gdy było gorąco i sucho, panowała wilgoć jak na bagnach. Przyjrzałem się bacznie obluzowanym starym kamieniom w ścianach, którym szczególnego charakteru dodawały fosforescencja pleśni i słabe światło, z trudem przenikające z ulicy przez zaklejone gazetami okna. W pewnej chwili, gdy duszna atmosfera

przytłoczyła mnie szczególnie mocno, otworzyłem drzwi i powiodłem wzrokiem wzdłuż ulicy w jedną i drugą stronę, napawając oczy znajomym widokiem, a nozdrza wypełniając rześkim, chłodnym powietrzem. Nadal nie wydarzyło się nic, co mogłoby wynagrodzić mi czas spędzony na czuwaniu, raz po raz zacząłem ziewać, zmęczenie bowiem z wolna pokonywało tkwiące we mnie lęki.

I wtem uwagę moją zwrócił stryj, który zaczął przewracać się przez sen. Poruszył się niespokojnie na łóżku kilka razy w ciągu ostatniej pół godziny, teraz wszelako oddech jego stał się dziwnie nieregularny, a od czasu do czasu z jego piersi dobywał się jakby zduszony, piskliwy jęk. Oświetliłem go promieniem elektrycznej latarki, lecz był odwrócony do ściany, przeto podszedłem do niego i ponownie zaświeciłem latarką, by sprawdzić, czy nic mu nie jest. To, co ujrzałem, mocno mną wstrząsnęło, co jest o tyle dziwne, że całe zdarzenie wydawało się raczej trywialne. Niewątpliwie na stan mój wpłynął fakt, iż znajdowaliśmy się w miejscu uznawanym za nawiedzone i byliśmy w trakcie wypełniania misji, której powodzenie uważaliśmy za rzecz najważniejszą, gdyż to, co się stało, nie było samo w sobie przerażające ani nadnaturalne. Na twarzy mego stryja widniał przedziwny grymas, wywołany bez wątpienia jakimś koszmarnym snem, grymas niezwyklego ożywienia, nadający mu niesamowity wygląd – przez chwilę nie wydawał się sobą. Zazwyczaj był to człowiek spokojny, zrównoważony i łagodnej natury, teraz natomiast ścierały się w nim sprzeczne emocje. Wydaje mi się, że to ich mnogość była powodem mego zaniepokojenia. Mój stryj, który chwytając łąpczywie dech i miotając się na łóżku, miał teraz otwarte oczy, zdawał się niejednym, lecz wieloma ludźmi, od których jego jaźń w jakiś niezwykle sposób zdołała się oddzielić.

Nagle zaczął mrużyć pod nosem, a wygląd jego zębów i ust, gdy to uczynił, zupełnie mi się nie spodobał. Słowa były z początku niezrozumiałe i nagle – jakbym doznał olśnienia – rozpoznałem je na tyle, że poczułem na plecach lodowate ciarki, a potem przypomniałem sobie rozliczne badania

stryja i jego przekłady z artykułów dotyczących antropologii i starożytności w „Revue des Deux Mondes”. Sędziwy Elihu Whipple mamrotał bowiem po francusku i kilka zrozumiałych dla mnie słów zdawało się tyczyć najmroczniejszych mitów, jakie staruszek przełożył na angielski ze słynnego paryskiego czasopisma.

Wtem na czole śpiącego zaperlił się pot i mężczyzna, na wpół przebudzony, poderwał się z łóżka. Przeszedł wpół słowa na angielski i pełnym podniecenia ochryplym głosem zakrzyknął: – Oddech! Mój oddech! – Z tymi słowy obudził się zupełnie, a rysy jego twarzy powróciły do normy i po chwili stryj, ująwszy mnie za rękę, zaczął relacjonować mi sen, którego znaczenia mogłem z trwogą tylko się domyślać.

Jak wyznał, odpłynął z domeny typowego, pospolitego snu do koszmaru tak osobliwego, z jakim nigdy dotąd się nie zetknął. Był to ten świat i nie ten zarazem, cienisty, geometryczny chaos, w którym można było dostrzec elementy znajomych rzeczy w najbardziej zaskakujących i nieprawdopodobnych kombinacjach. Jak przez mgłę widział nakładające się na siebie nawzajem obrazy, w układzie których zasady czasu i przestrzeni rozplływały się i mieszały ze sobą w sposób zdający się przeczyć wszelkiej logice. W tym kalejdoskopowym wirze fantasmagorycznych obrazów pojawiały się co chwila stop–klatki, choć słowo to niedokładnie określało to, co widział wtedy staruszek. Były to wizje niezwyklej przejrzystości, o niezmierzonej wszelako różnorodności.

Stryj mój odniósł w pewnej chwili wrażenie, jakby leżał w głębokiej ziemnej jamie, a z góry gapiły się nań gniewne oblicza ludzi, mężczyzn i kobiet w perukach i trójgraniastych kapeluszach. Innym razem wydawało mu się, że znajdował się wewnątrz domu, starego domu, lecz szczegóły i jego mieszkańcy stale się zmieniali, do tego stopnia, że nie potrafił rozróżnić twarzy, mebli ani nawet samego pomieszczenia, gdyż drzwi i okna były najwyraźniej w ciągłym ruchu, podobnie jak większość tamtejszych ruchomych przedmiotów.

Było to dziwne – diabelnie dziwne – a mój stryj mówił z wielką niepewnością, jakby się lękał, że mu nie uwierzę, gdy oświadczył, że pośród tych dziwnych twarzy wiele nosiło charakterystyczne rysy rodu Harrisów. Przez cały czas odczuwał dziwne, niezrozumiałe duszenie, jakby czyjaś obecność przenikała jego ciało, usiłując wyssać zeń wszystkie siły witalne.

Zadygotałem na myśl o tych siłach witalnych, nadwątlonych bezlitosnym zębem czasu, stawiających opór nieznanym mocom, których mógł lękać się najsprawniejszy i najsilniejszy z młodych organizmów. Jednak już po chwili skonstatowałem, że sny są tylko snami, a te niemiłe ogólnie wizje musiały zostać wywołane podświadomą reakcją mego stryja na nasze śledztwo oraz nadzieje przepelniające w ostatnich dniach umysły nas obu, pomijając wszelkie inne elementy tej sprawy.

Rozmowa niebawem zepchnęła w cień moje obawy i wrażenie obcości. Po pewnym zaś czasie zacząłem ziewać i ułożyłem się na spoczynek. Mój stryj wydawał się bardzo czujny, rozbudzony i z chęcią przejął po mnie wartę, choć koszmar wytrącił go ze snu na długo, nim upłynęły dwie godziny wyznaczone na jego odpoczynek. Sen zmorzył mnie szybko i niemal natychmiast nawiedziły mnie mroczne, bulwersujące koszmary i wizje kosmicznej, niezmierzonej samotności, a także wrażenie wrogości atakujące ze wszystkich stron ściany niby-więzienia, w którym się znalazłem. Zdawało mi się, że jestem związany i zakneblowany, dobiegało mnie płynące z oddali szydercze echo niezliczonych głosów domagających się mojej krwi. Ujrzałem twarz mego stryja w okropniejszej wszelako i bardziej osobliwej scenerii niż na jawie, i przypominam sobie, że nieraz bezskutecznie szamotałem się i próbowałem krzyczeć. To nie był przyjemny sen i przez krótką chwilę ucieszyłem się, usłyszawszy przeraźliwy wrzask, który przeniknął przez bariery snu, przywracając mnie skądinąd brutalnie do świata jawy, gdzie wszystko, co znajdowało się przed moimi oczyma, wydało mi się nagle bardziej rzeczywiste i wyraźniejsze niż kiedykolwiek.

# 5

Leżałem odwrócony plecami do krzeselka mego stryja, toteż przebudziwszy się gwałtownie, ujrzałem jedynie drzwi wiodące na ulicę, północne okno i ścianę, sufit oraz podłogę po tej stronie, odzwierciedlone z przeraźliwą wyrazistością w moim mózgu dzięki światłu jaśniejszemu niż fosforescencja pleśni czy poświata bijąca z zewnątrz. Nie było silne, w każdym razie nie na tyle, by można było przy nim czytać książkę. Spowodowało jednak pojawienie się na podłodze cienia łóżka i mnie samego, a jego żółtawa, przenikliwa moc sugerowała coś więcej niż tylko zwykłą luminescencję. To wszystko dostrzegłem z niezdrową wyrazistością, pomimo że dwa z moich zmysłów zostały w brutalny sposób zaatakowane. W uszach bowiem rozbrzmiewało mi wciąż echo tego rozdzierającego krzyku, nozdrza zaś przepełniał odór rozchodzący się po całym pomieszczeniu. Umysł mój, równie czujny jak zmysły, natychmiast oszacował sytuację jako poważną, i niemal automatycznie poderwawszy się z łóżka, odwróciłem się, by sięgnąć po narzędzie zniszczenia, które zostawiliśmy wymierzone w płamę pleśni przed kominkiem. Gdy się obróciłem, to, co ujrzałem, sprawiło, że zastygłem w bezruchu. Wrzask bowiem pochodził z ust mego stryja, ja natomiast nie wiedziałem, przed jakim zagrożeniem miałem bronić jego i siebie.

Okazało się, że widok był znacznie gorszy, niż się spodziewałem. Istnieją koszmary wychodzące poza wszelkie znane bariery potworności, ta natomiast groza, niepojęta i mrożąca krew w żyłach, była jedną z tych, którą kosmos rezerwuje dla garstki nielicznych pechowców–nieszczęśników. Z przeżartej grzybem i wilgocią ziemi płynęło widmowe, trupie światło, żółte i niezdrowe, jak ropa z zakażonych tkanek, które falując i kołysząc się, urosło do gigantycznych rozmiarów, przyjmując mglistą postać ni to człowieka, ni

to bestii, przez którą mogłem dostrzec znajdujące się dalej komin i ruszt kominka. Miało mnóstwo oczu, wilczych, wygłodniałych i drwiących, a jego toporna, jakby owalna głowa na czubku rozplynęła się w ciekłą smużkę mgiełki, która wirując przez chwilę, jąła rozpraszać się i znikać w czeluściach komina. Powiadam, że widziałem to coś, lecz dopiero otrząsnąwszy się ze zdenerwowania, po dłuższym namyśle, zdołałem przypomnieć sobie jego wygląd. W tamtych chwilach była to dla mnie jedynie wirująca, lekko fosforyzująca chmura grzybiastego plugastwa, spowijająca i rozpuszczająca z niezwykłą wręcz plastycznością jedyny obiekt, na którym skupiłem całą swą uwagę. Obiektem tym był mój stryj, sędziwy Elihu Whipple, którego czerniejące i rozkładające się oblicze łąpało na mnie i szczyrzyło się drwiąco, który wyciągał ku mnie ociekające tkankami zakrzywione w szpony palce, by rozdrzeć mnie na strzępy z nienasyconą wściekłością wywołaną tą zatrważającą grozą.

Tylko rutyna pozwoliła mi ocalić zdrowe zmysły. Byłem dobrze przygotowany na nadejście tej chwili i teraz poddałem się rutynie nabytej wskutek treningu. Ona mnie ocaliła.

Stwierdziwszy, że wirujący zły opar był niematerialny, a przeto nie sposób było go zniszczyć tak jak rzeczy fizyczne, nie sięgnąłem po miotacz płomieni po lewej, lecz po cylinder Crookesa, i uruchomiwszy aparat, skierowałem na tę nieśmiertelną, nienazwaną plugawość moc najsilniejszego promieniowania, jaką człowiek swą wiedzą jest w stanie wyzwolić z przestrzeni i fluidów natury. Pojawiła się błękitnawa mgiełka i rozległo się szaleńcze pyrkota–nie, a potem na moich oczach żółtawa fosforescencja poczęła słabnąć.

Zorientowałem się, że jej blaknięcie wywołał jedynie kontrast z niebieskim ogniem i że fale z urządzenia nie wywarły na istocie żadnego skutku.

I nagle w samym środku tego demonicznego widowiska ujrzałem nową grozę, która wydobyła z mych ust krzyk przerażenia i skierowała mnie

słaniającego się na nogach do klamki nie zamkniętych drzwi od ulicy. Nie bacząc na to, jakie koszmary mogą wypuścić na świat ani jakie zdanie będą mieli o mnie ludzie, gdy dowiedzą się, co uczyniłem, pragnąłem jedynie opuścić to przeklęte miejsce. W tym słabym świetle, będącym mieszaniną żółtej i niebieskiej poświaty postać mego stryja rozpułnęła się nagle niczym wosk. Składu tej substancji jednak nie sposób było nawet pobieżnie określić i nagle na jego roztopiającej się twarzy pojawiły się zmieniające się jak w kalejdoskopie oblicza, których wygląd mógł zrodzić się jedynie w umyśle szaleńca. Był w jednej chwili diabłem i całym legionem szatanów, trupem z kostnicy i całą rzeszą innych nienazwanych istot. Oświetlone mieszaną niepewnych promieni, owo galaretowate oblicze przyjęło dziesięć, dwadzieścia, sto odmiennych kształtów. Uśmiechając się, zaczęło spływać na ziemię gęstymi oleistymi strugami, karykatura podobizny legionów osobliwych i wcale nie tak niezwykłych zarazem.

Ujrzałem rysy twarzy rodu Harrisów, zarówno męskich, jak i żeńskich, dorosłych i dzieci, a także innych, starych i młodych, ostrych i łagodnych, znajomych i nieznajomych.

Przez sekundę mignął mi także nieco spaczony wizerunek nieszczęsnej Rhoby Harris, której podobiznę widziałem w School of Design Museum, a innym razem wydawało mi się, że dostrzegam charakterystyczne, z uwagi na kościstą budowę, oblicze Mercy Dexter, zapamiętane przeze mnie z obrazu w domu Carringtona Harrisa. Było to przerażające doświadczenie, którego nie sposób opowiedzieć aż do samego końca, kiedy ujrzałem osobliwie ze sobą związane wizerunki służącej i niemowlęcia, majaczące tuż nad porośniętym grzybem klepiskiem, gdzie rozlewała się plama zielonkawego tłuszczu. Wydawało się, jakby te zmieniające się kształty walczyły między sobą, usiłując przybrać na powrót łagodne rysy twarzy mojego stryja. Chciałbym myśleć, że jeszcze wtedy istniał i że w ten sposób próbował pożegnać się ze mną. Chyba wykrztusiłem wówczas przez zaciśnięte gardło krótkie pożegnanie i czym prędzej wybiegłem na ulicę. Cienka strużka tłuszczu

podążała za mną przez drzwi, aż do skraju zroszonego deszczem chodnika.

Reszta to mroczna, potworna zagadka. Na skąpanej w deszczu ulicy nie było żywego ducha, a na całym świecie nie było nikogo, komu odważyłbym się o tym opowiedzieć.

Szedłem przeto bez celu na południe, mijając College Hill i Ateneum, w dół ulicy Hopkinsa, a potem przez most do dzielnicy handlowej, gdzie wysokie budynki zdawały się mnie chronić, tak jak współczesne rzeczy materialne bronią świat przed pradawnymi okropieństwami i osobliwościami. A potem szary świt nadszedł w strugach deszczu, od wschodu rozjaśniając pradawne wzgórze i sędziwe dachy domów, przywabiając mnie na powrót do miejsca, gdzie pozostawiłem pewną nie dokończoną, a nader ważną sprawę. Szedłem tak i szedłem, przemoczony, z gołą głową, oszołomiony i zdezorientowany w blasku poranka, po czym przestąpiłem próg tego przeklętego domu przy Benefit Street, tą samą drogą, którą go opuściłem. Drzwi pozostawiłem otwarte i wciąż były uchylone, ku zdziwieniu przechodniów, z którymi jednak nie odważyłem się podzielić swymi rewelacjami.

Tłuszczu już nie było, gdyż wilgotne i zagrzybione klepisko pozostało porowate, przed kominkiem zaś ani śladu po wielkiej zgiętej w pół osadowej postaci. Spojrzałem na łóżko, na krzesła, instrumenty, porzucony przeze mnie kapelusz i żółty słomiany kapelusz mego stryja.

Byłem tak oszołomiony, że z trudem przypominałem sobie, co było snem, a co rzeczywistością. I wtedy wróciła mi świadomość, a wraz z nią poczucie, że doświadczyłem rzeczy dużo straszniejszych niż te, o których śniłem. Usiadłszy, spróbowałem na tyle, na ile to możliwe, z uwagi na swój obecny stan, zweryfikować, co się wydarzyło, i wykoncypować, jak położyć kres temu koszmarowi, jeżeli wydarzył się on naprawdę. Owo coś nie wydawało mi się ani materialne, ani też eteryczne, a co więcej, niepojęte dla umysłu przeciętnego śmiertelnika. Czymże więc mogło być, jeśli nie jakąś egzotyczną emanacją, diabelską manifestacją, wampirycznym, bezcielesnym



upiorem czyhającym, jak powiadają wieśniacy z Exeter, na niektórych starych cmentarzach? Był to, jak mi się zdawało, pewien ślad i ponownie spojrziałem na klepisko przed kominkiem, gdzie pleśń i saletra stworzyły plamę o dziwnym kształcie. W ciągu dziesięciu minut podjąłem decyzję i zabrawszy kapelusz, udałem się do domu, gdzie wziąłem kąpiel, przekąsiłem co nieco i zamówiłem przez telefon oskard i łopate, wojskową maskę przeciwigazową oraz sześć butli kwasu siarkowego, z prośbą, by dostarczono je następnego ranka przed drzwi piwniczki wymarłego domu przy Benefit Street. Później próbowałem choć trochę się przespać, bezskutecznie jednak, toteż zająłem się lekturą i układaniem marnych wierszy, co miało choć w pewnym stopniu ukoić me rozkołataną nerwy.

Następnego dnia o jedenastej zacząłem kopać. Dzień był słoneczny i to poprawiło mi humor. Wciąż byłem sam, gdyż choć trawił mnie lęk przed nieznanym koszmarem, którego poszukiwałem, strach przed podzieleniem się z kimś moją wiedzą okazał się silniejszy.

Później opowiedziałem o tym Harrisowi, lecz tylko z konieczności i dlatego, że Harris słyszał już od starych najróżniejsze, dziwaczne historie, przeto uznałem, iż był skłonny mi Uwierzyć.

Gdy zacząłem kopać w cuchnącej czarnej ziemi przed kominkiem, ostrze mego kilofa, trafiwszy w białe pasemka grzyba, rozplątało je, a z rozerwanych strzępków popłynęła lepka, żółtawa posoka. Zadrzałem na nieokreśloną bliżej, mglistą myśl, co mogę wkrótce napotkać. Niektóre sekrety wnętrza ziemi nie są dobre ani zdrowe dla ludzkości, ten natomiast wydawał się jednym z nich.

Ręce dygotały mi jak w febrze, ale nie przerywałem mozolnej pracy i wkrótce stałem już na dnie wykopanego przez siebie wielkiego dołu. W miarę jak pogłębiałem jamę, mającą jakieś sześć stóp kwadratowych, okropny fetor zaczął przybierać na sile, straciłem również wszelką wątpliwość co do nieuchronności zetknięcia z piekielną istotą, której złowrogi wpływ był od półtora wieku śmiertelnym przekleństwem dla

wszystkich mieszkańców tego domu.

Zastanawiałem się, jak będzie ona wyglądać, jaki będzie jej kształt i forma, a także jak wielka mogła stać się po prawie dwóch wiekach wysysania sił żywotnych z ludzkich ofiar. W końcu wygramoliłem się z jamy i rozruciwszy zwały nagromadzonej ziemi, przeniosłem wielkie butle z kwasem na skraj dołu, ustawiając je po dwóch stronach, by w razie konieczności możliwie szybko móc opróżnić ich zawartość do wnętrza dołu. Od tej pory wyrzucałem ziemię tylko na stronę przeciwną niż ta, gdzie zainstalowałem butle, pracowałem wolniej i z uwagi na coraz silniejszy fetor nałożyłem maskę przeciwgazową. Bliskość tej nienazwanej istoty znajdującej się gdzieś pode mną sprawiła, że nerwy miałem napięte do granic możliwości. Wtem ostrze mojej łopaty uderzyło w coś bardziej miękkiego niż gleba.

Zadrzałem i niewiele brakowało, bym wypełził z jamy, której skraj miałem obecnie na wysokości szyi. Naraz powróciła mi odwaga i w świetle elektrycznej latarki, którą miałem przy sobie, odgarnąłem ostatnią warstewkę ziemi z tego, na co natrafiłem łopatą.

Powierzchnia, którą odkryłem, była szklista i jakby rybia, przypominała na wpół przegniłą galaretę, zastygłą i miejscami półprzezroczystą. Odgarnąłem więcej ziemi i oczom moim ukazał się niezwykle kształt. Ujrzałem szczelinę w miejscu, gdzie część substancji nakładała się jedna na drugą. Odśloniety fragment był ogromny i jakby cylindryczny, przypominał nieco miękką, sinobiałą, złożoną wpół rurę od pieca mierzącą w najszerszej części dwie stopy średnicy. Kopałem dalej i nagle wyskoczyłem z jamy jak oparzony, gorączkowo odkorkowując i przechylając wielkie, ciężkie butle, by opróżnić ich żrącą zawartość na cielsko tej plugawej, niewyobrażalnej wręcz potworności, której tytaniczny łokieć dane mi było zobaczyć.

Oślepiający wir zielonożółtych oparów, jaki buchnął gwałtownie z wnętrza jamy, gdy zalałem ją strugami żrącego kwasu, na zawsze już pozostanie w mej pamięci. Na całym wzgórzu ludzie opowiadają o żółtym

dniu, kiedy zjadliwe, przerażające opary buchnęły gęstymi kłębami z odpadów fabrycznych wylewanych do rzeki Providence, lecz ja wiem, że wszyscy ci ludzie mylnie określają pochodzenie owej tajemniczej chmury. Mówią również o przerażającym ryku, który dobył się w tym samym czasie z jakiejś uszkodzonej rury wodociągowej lub płynących pod ziemią przewodów gazowych, i gdybym się odważył, w tym przypadku również mógłbym udowodnić, że byli w błędzie. Było to niewiarygodne, wstrząsające i przerażające – sam nie wiem, jak udało mi się pozostać przy życiu i zdrowych zmysłach. Po opróżnieniu czwartej butli straciłem przytomność, gdyż opary zdołały jakimś cudem przeniknąć w głąb mojej maski, lecz kiedy doszedłem do siebie, stwierdziłem, że z jamy przestał już wydostawać się żółty, cuchnący dym.

Opróżnienie dwóch ostatnich butli nie wywołało żadnych widocznych skutków i po pewnym czasie uznałem, że mogę już zasypać dół. Skończyłem dobrze po zmierzchu, lecz groza dotąd obecna w tym domu gdzieś prysła. Wilgoć nie emanowała już tak silnego odoru, a osobliwe grzyby wyschły i rozpadły się w szary, nieszkodliwy, sypki pył, który jak popiół rozsypał się po klepisku. Jeden z najgorszych podziemnych koszmarów tego świata został unicestwiony raz na zawsze, jeśli natomiast istniało piekło, dusza tej bluźnierczej, demonicznej istoty z pewnością musiała trafić do jego najgłębszej, najbardziej odrażającej czeluści. Uklepując ostatnią szuflę ziemi, po raz pierwszy – i nie ostatni – zapłakałem, by w ten tak patetyczny sposób oddać hołd pamięci mego ukochanego stryja.

Wiosną roku następnego w ogrodzie na tarasie przy wymarłym domu nie wyrosły już ani blada trawa, ani niezwykle chwasty, a wkrótce potem Carrington Harris wynajął posesję nowym lokatorom. Wciąż ma ona w sobie coś specyficznego, lecz ta niezwykłość szczerze mnie fascynuje i uczucie ulgi miesza się we mnie z nie skrywanym żalem, gdy w końcu budynek zostanie zburzony, by w miejscu tym powstał nowy butik dla snobów lub odpychająca kamienica czynszowa. Stare, dotąd nie rodzące drzewa w

ogrodzie zaczęły owocować – jabłka są małe, lecz słodkie, a w ubiegłym roku, wśród poskręcanych gruzłowatych konarów po raz pierwszy uwiły gniazdo ptaki.

On \_\_\_\_\_

Ujrzałem go pewnej bezsennej nocy, kiedy krążyłem rozpaczliwie ulicami, usiłując uchronić mą duszę i wizję. Przyjazd do Nowego Jorku okazał się pomyłką – poszukiwałem bowiem cudów, uroku i inspiracji, które miałem nadzieję znaleźć wśród labiryntu starych uliczek wijących się bez końca od zapomnianych podwórców, placów i nabrzeży po równie zapomniane podwórza, place i nabrzeża w cyklopowych, nowoczesnych wieżowcach i pinaklach wznoszących się niczym czarne wieże Babilonu pod bladym sierpem księżyca.

Odnalazłem zaś jedynie grozę i uczucie osobliwego nacisku, które groziły mi zdominowaniem, sparaliżowaniem i absolutnym unicestwieniem.

Rozczarowanie przychodziło stopniowo. Przybywając do miasta, ujrzałem je po raz pierwszy z mostu wznoszącego się majestatycznie ponad wodami rzeki, a niewiarygodne szczyty i piramidy podnosiły się delikatnie, niczym główki kwiatów z oparów fioletowej mgły, aby igrać z rozpalonymi do czerwoności chmurami i pierwszymi wieczornymi gwiazdami. Później ponad toczącymi się leniwie falami zapłonęły światła w oknach, rozpały się jedno po drugim, a poniżej, na wodzie kiwały się i migotały latarnie, syreny mgielne zawodziły swe smętne, charakterystyczne melodie i ogólnie widok ten przywiódł mi na myśl rozgwieżdżony firmament snów przesycony niebiańską muzyką, dorównujący swym majestatem tudom Carcassonne, Samarkandy, Eldorado i innych wspaniałych, na wpół mitycznych miast. Niedługo potem wyruszyłem owymi pradawnymi uliczkami tak drogimi mej wyobraźni – wąskimi, krętymi alejkami i przesmykami, gdzie rzędy murów z czerwonej, georgiańskiej cegły mrugały małymi okienkami z drobnych szybek ponad oflankowanymi kolumnami, drzwiami do domów, łypiącymi

wyniośle na pozłacane karoce i panelowe powozy – wówczas po raz pierwszy stwierdziłem, że skoro udało mi się urzeczywistnić to z dawna odczuwane pragnienie, nic nie stoi na przeszkodzie, abym w swoim czasie stał się również poetą.

Sukces i szczęście nie były mi jednak dane. Jasny dzień ujawnił jedynie brud, obcość i drażliwą obskurność wszechobecnych, pnących się jak najwyżej kamieni wszędzie tam, gdzie księżyc zapowiadał istnienie piękna i starszej magii. Tłumy zaś, zaludniające ciasne, kręte uliczki, okazały się należeć do rasy śniadych, krępych cudzoziemców o zhardziałych obliczach i wąskich oczach, sprytnych, inteligentnych, obcych, pozbawionych snów i więzi z tym, co rozgrywało się wokół nich, którzy nie mieli nic do zaoferowania błękitnookiemu potomkowi starego ludu, w którego sercu płonęło umiłowanie czystych, zielonych plantów i białych dachów domów, jakie widuje się na terenie Nowej Anglii.

Tak więc zamiast weny, na którą liczyłem, doznałem jedynie uczuci a niezmożonej samotności i przyprawiającej o zimny dreszcz ciemności otaczającej mnie z wszystkich stron.

Poznałem również ostatnią, przeraźliwą prawdę, której nikt nigdy nie ważył się wcześniej wyjawić, niewysłowioną tajemnicę tajemnic, która brzmiała, że owo miasto z kamieni i szkła nie stanowi przedłużenia żywota dawnego miasta, które znajdowało się kiedyś w tym miejscu, tak jak Londyn jest Starym Londynem, a Paryż Starym Paryżem, ale że jest ono martwe, a jego rozciągnięte bezładnie cielsko zostało niedokładnie zabalsamowane i zaroilo się, niczym robactwem, osobliwymi, animowanymi istotami, które ma z nim tyleż wspólnego, co ów nieżywy twór z prawdziwym istnieniem. Dokonawszy tego odkrycia, nie mogłem sypiać spokojnie, w końcu jednak osiągnąłem stan pewnej (aczkolwiek zrezygnowanej) równowagi, w miarę jak wyrobiłem w sobie nawyk unikania ulic za dnia i przemierzania ich wyłącznie nocą, która wydobywa z zapomnienia tę odrobinę przeszłości, jaka jeszcze w nich pozostała, a stare bielone odrzwia przypominają sobie skulone

sylwetki, które dawno temu prześlizgiwały się przez nie cichaczem. Z pewną ulgą napisałem kilka wierszy, ale wciąż nie chciałem powrócić do mego ludu, nie dopuszczając do siebie myśli o porażce.

I wtedy, pewnej bezsennej nocy, spotkałem tego mężczyznę. Stało się to na ukrytym podwórzu w dzielnicy Greenwich, gdzie zamieszkałem wskutek mej ignorancji, gdyż doszły mnie słuchy, że tu właśnie znajduje się największe naturalne skupisko poetów i artystów.

Archaiczne alejki, domy i niespotykane nigdzie indziej podwórza oraz dziedzińce rzeczywiście wywarły na mnie nader pozytywne wrażenie, lecz poeci i artyści, których tam odnalazłem, okazali się jedynie krzykliwymi oszustami, amatorami, sztucznymi jak tania błyskotka, ich życie zaś pozbawione było (za ich przyzwoleniem) czystego piękna składającego się na poezję i sztukę, czyli tego wszystkiego, co w głębi serca ukochałem.

Wyobrażałem sobie, że są tacy jak w czasach, gdy wioska Greenwich tętniła samoistnym życiem, nie wchłonięta jeszcze przez wielkomiejską metropolię, a w godzinach przedświt, kiedy wszyscy birbanci i lumpy układali się na spoczynek, kroczyłem samotnie pośród krętych, tajemnych alejek, rozmyślając o osobliwych sekretach pozostawionych przez pokolenia zamieszkujących tu ludzi. To utrzymywało mą duszę przy życiu i obdarzało snami oraz wizjami, które, aczkolwiek nieliczne, zaspokajały pragnienia tkwiącego we mnie poety.

Mężczyzna natknął się na mnie około drugiej pewnej chmurnej, sierpniowej nocy, kiedy przemierzałem rząd rzadko uczęszczanych, na wpół zapomnianych podwórz, do których obecnie można było dojść jedynie przez nie oświetlone przejścia dzielących je budynków, a które niegdyś tworzyły całą sieć uroczych, malowniczych alejek. Usłyszałem o nich niejako przypadkiem i nie otrzymałem ścisłych informacji, okazało się bowiem, że nie ma ich na żadnej współczesnej mapie, niemniej fakt, iż zostały zapomniane, tylko wzbudził moje zainteresowanie i ze zdwojoną gorliwością wyruszyłem na ich poszukiwanie. Teraz, gdy je odnalazłem, ożywiłem się raz

jeszcze, gdyż coś w ich układzie niejasno sugerowało, że mogły stanowić ledwie początek całej sieci mrocznych, odrzuconych alejek i uliczek, ogrodzonych i ograniczonych wysokimi murami, ścianami domów czy nie oświetlonymi przejściami, do których nigdy nie zapuszczali się śniadzi cudzoziemcy i których strzegli skryci, małomówni artyści zajmujący się rzeczami nie przeznaczonymi dla szerokiej publiczności i nie oglądającymi nigdy światła dziennego.

Odezwał się do mnie bez żadnej zachęty z mojej strony, zwracając uwagę na mój nastrój i spojrzenia, jakimi obrzucałem pewne zaopatrzone w kołatki odrzwia ponad otoczonymi balustradą schodami. Błada poświata z umieszczonych nad wejściami okienek nieśmiało oświetlała mą twarz.

Jego oblicze tonęło w cieniu. Nosił na głowie szerokoskrzydły kapelusz, który nadszpiewanie dobrze pasował do jego staroświeckiego płaszcza. Zanim jednak odezwał się do mnie, poczułem dziwny, niczym nie wytłumaczony niepokój. Był bardzo szczupły, wręcz chudy, istna skóra i kości, głos miał niewiarygodnie miękki i pusty, ale nieszczególnie głęboki. Stwierdził, że widział mnie kilkakrotnie podczas mych nocnych wędrówek, i dodał, że przypominam mu jego samego z przeszłości, kiedy to wiedziony skrywanymi w głębi ducha pragnieniami odbywał podobne wycieczki. Czy nie zechciałbym przewodnika, kogoś, kto dłużej ode mnie prowadził podobne poszukiwania, a jego zasób informacji i wiedza o tutejszych zakamarkach były dużo większe niż nowo przybyłego wędrowca takiego jak ja?

Kiedy mówił, przez mgnienie oka dostrzegłem jego twarz w strudze żółtego światła z pojedynczego okna na poddaszu. Było to przystojne, niemłode już oblicze zdradzające szlachecki rodowód, które w tym czasie i miejscu wydawało się wręcz absurdalne. Było w nim jednak coś jeszcze, co zaniepokoiło mnie równie mocno, jak widok ostrych, silnych rysów natchnął mnie radością. Być może było zbyt blade, zbyt pozbawione wyrazu i zbyt różne od fizjonomii tutejszej społeczności i właśnie dlatego poczułem się dziwnie nieswojo.



Tak czy inaczej, podążyłem za nim, w tych ponurych dniach poszukiwanie tego, co stare, piękne i tajemnicze, było bowiem wszystkim, co pozwalało utrzymać mą duszę przy życiu, i uznałem za rzadkie zrządzenie losu spotkanie z człowiekiem, który, dzieląc w pełni me zainteresowania, uzyskał rezultaty dalece przewyższające moje skromne osiągnięcia.

Coś, być może sama noc, sprawiło, że otulony płaszczem mężczyzna pogrążył się w posępnym milczeniu i przez długą godzinę prowadził mnie, nie wypowiedziawszy choćby jednego niepotrzebnego słowa; rzucał jedynie zdawkowe komentarze dotyczące prastarych nazw, dat i zmian, a pełniąc rolę mego przewodnika, posługiwał się głównie gestami. W ten oto sposób przeciskaliśmy się przez wąskie łączniki, przemierzaliśmy ciasne, mroczne korytarze, pokonywaliśmy ceglane murki, a raz nawet przepełzaliśmy na czworakach przez niskie, łukowato sklepione kamienne przejście, którego niesamowita długość i przyprawiająca o zawroty głowy liczba zakrętów pozbawiła mnie do szczętu resztek orientacji, jakie do tej pory udało mi się zachować. Rzeczy, które widzieliśmy, były bardzo stare i precudowne lub takie się wydawały, kiedy postrzegałem je w słabym, bladożółtym świetle. Nigdy jednak nie zapomnę gigantycznych jońskich kolumn, żłobkowanych pilastrów i bogato zdobionych, żelaznych ogrodzeń, oświetlonych okien o małych szybkach i ozdobnych latarni, które stawały się coraz rzadsze i coraz dziwniejsze, im głębiej zapuszczaliśmy się w ten niewyczerpany labirynt nieznanej i zapomnianej przeszłości.

Nie spotkaliśmy nikogo i w miarę upływu czasu coraz mniej było oświetlonych okien. Z początku widzieliśmy tylko latarnie naftowe, później zaś pojawiły się latarnie ze świecami, aż w końcu, pokonawszy pewne przeraźliwe, nie oświetlone podwórze, gdzie mój przewodnik musiał szukać w ciemności, po omacku swą osłoniętą rękawicą dłonią, by odnaleźć wąską, drewnianą bramę w wysokim murze, dotarliśmy do fragmentu alejki, gdzie lampy paliły się przy co siódmym domu. Były to – rzecz niesłychana – kolonialne, blaszane latarnie ze stożkowymi nasadami i otworami w

bocznych ściankach. Alejka ta wiodła stromo pod górę – bardziej stromo niż wydawało mi się to możliwe w tej części Nowego Jorku – a jej górny koniec przegradzał porośnięty bluszczem mur prywatnej posesji, za którym mogłem dostrzec szczyt bladej kopuły i wierzchołki drzew kołyszące się na tle rozjaśniającego się nieba. W murze tym znajdowała się mała, nisko sklepi ona brama z nabitego ćwiekami, czarnego dębu, którą mężczyzna otworzył olbrzymim kluczem. Wprowadziwszy mnie do środka, ruszył pośród kompletnych ciemności wzdłuż, jak mi się zdawało, żwirowej ścieżki i w końcu po kilku kamiennych stopniach do drzwi frontowych domu, które otworzył kluczem i uchylił przede mną.

Weszliśmy i w tej samej chwili zrobiło mi się słabo, gdyż poczułem niesamowity fetor przesycający powietrze, którego fala wypłynęła nam na spotkanie. Była to odrażająca woń, której nagromadzenie wytłumaczyć można było jedynie trwającym od stuleci procesem rozkładu.

Gospodarz mój zdawał się tego nie zauważać, a ja z uwagi na swe dobre wychowanie zachowałem stosowne milczenie, gdy przeprowadził mnie po krętych schodach na piętro i korytarzem do pokoju, którego drzwi, jak usłyszałem, skrzętnie zamknął za nami na klucz.

Następnie ujrzałem, jak zaciąga zasłony trzech okien o małych szybkach, które na tle jaśniejszego nieba wydawały się prawie niewidoczne. To uczyniwszy, podszedł do obramowania kominka, by przy użyciu stali i krzesiwa zapalić dwie z liczącego dwanaście świec kandelabru, po czym stosownym gestem oraz miłym słowem zaprosił mnie, bym usiadł.

W słabym, migotliwym świetle ujrzałem, że znajdowaliśmy się w przestronnej, dobrze umeblowanej, wyłożonej boazerią bibliotece pochodzącej z początku osiemnastego wieku, z przepysznyimi pedymentami przy wejściu, wspaniałym doryckim karnesem i ozdobnym obramowaniem kominka. Ponad półkami wypełnionymi księgami, w przerwach na ścianach wisiały udatne portrety rodzinne, wszystkie jednak zmatowiałe do stanu enigmatycznej szarości i noszące ślad wyraźnego podobieństwa do

mężczyzny, który wskazał mi właśnie krzesło stojące obok zgrabnego stołu chippendale. Zanim zasiadł po drugiej jego stronie, naprzeciw mnie, gospodarz mój znieruchomiał na chwilę, jakby zakłopotany, po czym skrętnie zdjął rękawiczki, szerokoskrzydły kapelusz oraz pelerynę, stając w teatralnej pozie, by ukazać strój, jaki miał na sobie, pełny kostium z połowy okresu georgiańskiego, począwszy od utrefionej, upudrowanej peruki i kryzy, po sięgające kolan bryczesy, jedwabne pończochy i buty ze sprzączkami, których wcześniej nie zauważyłem. Mężczyzna osunął się wolno na krzesło z oparciem w kształcie liry, wbijając we mnie przenikliwy wzrok.

Bez kapelusza wydał mi się dużo starszy, niż przypuszczałem, i zastanawiałem się, czy owa ledwie dostrzegalna wcześniej oznaka osobliwej długowieczności nie stanowiła zasadniczego źródła mego zaniepokojenia. Kiedy w końcu przemówił, jego miękki, pusty i starannie tłumiony głos często się łamał. Od czasu do czasu miałem więc trudności, aby za nim nadążyć, niemniej słuchałem go z nieskrywanym zdumieniem i niejasnym niepokojem, który narastał we mnie z minuty na minutę.

– Macie przed sobą, panie – zaczął mój gospodarz – człowieka wielce ekscentrycznych nawyków, za którego ubiór osoby o waszej inteligencji, skłonnościach i przekonaniach bynajmniej nie trzeba przeproszać. Rozmyślając o lepszych czasach, bez skrupułów przyjąłem tamtejszy styl ubierania oraz maniery; nawyk ów, jeśli nie nazbyt ostentacyjny, nie powinien wydać się nikomu obraźliwy. Miałem szczęście utrzymać wiejską posiadłość moich przodków, pomimo iż pochłonęły ją aż dwa miasta – najpierw Greenwich, które zbudowano tu po roku 1800, a następnie Nowy Jork, przyłączony około roku 1830. Wiele było w mojej rodzinie powodów do zachowania tej posesji i starałem się możliwie jak najlepiej wypełniać spoczywające na mnie powinności. Dziedzic, który przejął ten majątek w 1768 roku, studiował pewne sztuki i dokonał pewnych odkryć, które wiązały się nierozzerwalnie z mocą zawartą w tym szczególnym zakątku ziemi, wymagającym stałego i wzmożonego nadzoru.

Zamierzam ukazać wam pewne osobliwe rezultaty owych sztuk i odkryć, naturalnie w ścisłej tajemnicy, ufam jednak – a znam się trochę na ludziach – że zawierając wam swe sekrety, z uwagi na wasze niezwykle zainteresowania, nie sprawicie mi, panie, zawodu.

Przerwał, a ja tylko skinąłem głową. Wspomniałem już, że byłem zaniepokojony, lecz dla mojej duszy nie było nic bardziej zabójczego niż Nowy Jork za dnia, a niezależnie od tego, czy człek ten był niegroźnym ekscentrykiem czy znawcą śmiertelnie niebezpiecznych sztuk, nie miałem innego wyboru, jak tylko dać się mu poprowadzić i pozwolić, by zadziwił mnie swymi sekretnymi rewelacjami. Tak więc zamieniłem się w słuch.

– Dla mego przodka – ciągnął łagodnym tonem – ludzka wola zdawała się posiadać pewne wyjątkowe właściwości, właściwości z rzadka podejrzewanej dominacji wywierającej wpływ nie tylko na poczynania własne i innych osób, lecz na wszelkiego rodzaju siły i rzeczy istniejące w naturze, jak również na rozliczne żywioły i wymiary wydające się jeszcze bardziej uniwersalne niżli sama natura. Czy mam jeszcze dodać, iż bluźnił on tak powszechnie uznanym świętościom, jak czas i przestrzeń, przeprowadzając osobliwe rytuały pewnych półkwi Indian, którzy zamieszkiwali ongiś na tym wzgórzu? Indianie ci stali się istną plagą, kiedy zbudowano tę posiadłość, i naprzykrzali się niepomierne, domagając się, by zezwolono im na odwiedzanie tych terenów podczas każdej pełni księżyca. Przez całe lata, kiedy tylko mogli, przekradali się w określone noce przez mur i w skrytości dokonywali okrutnych, mrocznych rytuałów. W 1868 roku nowy dziedzic przyłapał ich podczas jednego z obrzędów i to, co ujrzał, wprawiło go w osłupienie. Od tej pory handlował z nimi i zezwalał na odwiedzanie posiadłości, kiedy tylko tego zapragnęli, w zamian za ścisłe informacje na temat tego, co robili. Dowiedział się, że obrzędy te były po części spuścizną ich czerwonoskórych przodków, po części zaś pochodziły od starego Holendra z czasów Stanów Generalnych. Niech go zaraza zeźre. W tydzień po tym, jak poznał tajemnicę Indian, dziedzic – czy to celowo czy

przypadkiem – poczęstował ich wyjątkowo nieświeżym rumem, tak czy inaczej, pozostał jedynym człowiekiem znającym tajemnicę starego plemienia. Wy, panie, jesteście pierwszym człowiekiem z zewnątrz, który poznał prawdę o tym zdarzeniu i niech mnie piekło pochłonie, gdybym miał ryzykować jej ujawnienie, wiem wszelako, że żywo interesujecie się tego typu sprawami – przeszłością i z dawna zapomnianymi mocami.

Wzdrygnąłem się, słysząc słowa i niezwykle, pochodzące z przeszłości akcenty w jego głosie. A mój gospodarz jak gdyby nigdy nic mówił dalej.

– Musicie jednak wiedzieć, panie, że to, czego ów dziedzic dowiedział się od tych czerwonych dzikusów, stanowiło zaledwie drobną cząstkę zdobytej przezeń wiedzy. Nie na darmo uczęszczał do Oksfordu czy wiódł długie dysputy z prastarym chemikiem i astrologiem w Paryżu. Stało się dlań jasne – a teraz pragnął to jedynie udowodnić – że cały świat jest jeno dymem naszych intelektów, który przepływa obok dla wszystkich ignorantów i wulgarnych prostaków, a którymi ludzie roztropni mogą zaciągać się z lubością niczym dymem przedniego wirgińskiego tytoniu. Jesteśmy w stanie urzeczywistnić nasze pragnienia, a to, czego nie chcemy, możemy gładko odrzucić. Nie powiem, że to wszystko jest w stu procentach prawdą, niemniej jest nią z pewnością na tyle, aby od czasu do czasu doświadczyć udatnego widowiska. Wy, jak mniemam, z zadowoleniem przyjmujecie krótki wgląd w czasy, których ujrzenia nie dozwala wam wasza wyobraźnia, przeto postarajcie się stłumić w sobie lęk przed drobnym pokazem, którego będziecie teraz świadkiem. Podejdźcie do okna i nie mówcie nic.

Gospodarz ujął mnie za rękę i podprowadził do jednego z dwóch okien w dłuższej ścianie odrażająco cuchnącego pokoju. Już pierwsze dotknięcie jego nie przyobleczonych w rękawiczkę palców zmroziło mnie do szpiku kości. Jego ciało, choć suche i twarde, było chłodne jak lód, mało brakowało, a gwałtownie wyrwałbym rękę z nieprzyjemnego uścisku.

Znów jednak pomyślałem o pustce i grozie rzeczywistości i zebrawszy w sobie śmiałość, wyruszyłem na spotkanie nieznanego. Znalazłszy się przy

oknie, mężczyzna rozsunął żółte, jedwabne zasłony i nakazał, bym wyjrzał na zewnątrz. Przez chwilę nie widziałem nic oprócz miliarda drobnych, tańczących świetlnych punkcików, daleko, bardzo daleko przede mną.

Wtem, jakby w odpowiedzi na sekretny ruch dłoni mego gospodarza, niebo przecięła błyskawica, a ja ujrzałem przed sobą morze bujnej roślinności, roślinności nieskalanej wszędzie tam, gdzie każdy normalny człowiek spodziewałby się zobaczyć morze dachów. Po mojej prawicy migotały zjadliwe fale Hudsonu, a w oddali, na wprost, dostrzegłem niezdrowe lśnienie rozległych, słonych trzęsawisk, nad którymi unosiły się chmary świetlików. Światło błyskawicy dogasło i złowieszczy uśmiech rozjaśnił woskowe oblicze starego nekromanty.

– To było przed moimi czasami – przed nastaniem nowego dziedzica. Spróbujmy raz jeszcze.

Czułem się słabo, byłem w znacznie gorszym stanie niż ten, który wywołała we mnie zniechęcona nowocześnieść przeklętego miasta.

– Dobry Boże! – wyszeptałem – czy możecie to czynić, kiedy zechcecie?  
– A gdy skinął głową i obnażył czarne pieńki tego, co było kiedyś żółtymi kłami, schwyciłem się mocno zasłony, by nie upaść. On jednak podtrzymał mnie zimnymi jak lód szponami palców i ponownie wykonał złożony, sekretny gest.

Znowu błysnęło – lecz tym razem obraz nie był już tak obcy. Było to Greenwich, takie jak w przeszłości, tu i ówdzie widać było dachy domów, przecudowne zielone alejki, pola i skrawki trawiastych plantów. W oddali wciąż skrzyły się moczary, lecz poza nimi ujrzałem już wierzchołki nowojorskich budowli – Trinity, St Paul i Brick Church górowały nad innymi, a w powietrzu unosiła się mgielka dymu palonych drewn. Oddychałem ciężko, nie tyle wstrząśnięty samym widokiem, ile raczej możliwością, iż na mą wyobraźnię rzucony został jakiś straszliwy urok.

– Czy możecie – odważycie się – pójść jeszcze dalej? – spytałem zdjęty grozą i przez chwilę wydawało mi się, że podzielał moje odczucia, lecz w

końcu znów uśmiechnął się zjadliwie.

– Dalej? To, com widział, zmieniłoby was w szalony słup soli! Wstecz i w przód, wstecz i w przód. Patrz, tępaku, patrz!

I zmełszy w ustach te słowa, wykonał jeszcze jeden gest – tym razem błysk był znacznie silniejszy niż poprzednie. Przez pełne trzy sekundy oczom moim ukazał się pandemoniczny widok, wizja, która od tej pory już zawsze prześladować mnie będzie w snach. Ujrzałem niebiosy, w których roiło się od osobliwych, latających istot, a w dole piekielne, czarne miasto z wielkimi, kamiennymi tarasami, bluźnierczymi piramidami mierzącymi wierzchołkami ku księżycowi i diabelskimi światłami gorejącymi w niezliczonych oknach. Na napowietrznych galeriach zaś dostrzegłem odrażające kłębowisko żółtoskórych, skośnookich mieszkańców tego miasta przyodzianych w przeraźliwe, pomarańczo–woczerwone szaty i płasających obłąkańczo w rytm wygrywany na groteskowych kotłach, obscenicznych krotalach i zawodzących upiornie rogach, których dźwięki wznosiły się i opadały niby fale bluźnierczego, bitumicznego oceanu.

Jak mówię, ujrzałem to wszystko i usłyszałem niejako w głębi duszy przeraźliwą, bluźnierczą kakofonię, która towarzyszyła tym obrazom. Ten wyjący koszmar niepojętej grozy, owo trupie miasto, którego widok przepelił mą duszę dojmującą grozą, sprawiły, że zapomniałem o nakazie zachowania bezwzględnej ciszy i zacząłem krzyczeć. Krzyczałem, wyłem i ryczałem, wysiadły mi bowiem nerwy, a ściany wokół mnie dygotały niczym galareta.

Wtem, kiedy światło pioruna przygasło, ujrzałem, że mój gospodarz drży również – wyraz wywołanego szokiem przerażenia na wpeł wymazał z jego oblicza grymas zjadliwego gniewu spowodowany moimi wrzaskami. Zachwiał się i schwycił kotary, tak jak ja poprzednio, i jak ścigane zwierzę jął obracać głową z boku na bok. Bóg jeden wie, że miał po temu powód, gdyż kiedy ucichło echo mego krzyku, rozległ się kolejny odgłos tak piekielnie sugestywny, że jedynie ogólne odrętwienie i przytępienie

odbieranych wrażeń pozwoliło mi zachować świadomość oraz zdrowe zmysły. Było to regularne, dziwnie ukradkowe skrzywienie schodów za zamkniętymi drzwiami, jakby wspinała się po nich cała horda bosonogich lub noszących miękkie obuwie ludzi, aż w końcu rozległo się ostrożne zrazu grzechotanie mosiężnej zasuwki, błyszczącej w wąłym świetle migoczących świec. Starzec zachwiał się na nogach i zamachnął na mnie, zakrzywiając lodowate palce w szpony. Z jego ust wraz z kropelkami śliny popłynęły warkliwe, jakby z oporem wyrzucane słowa.

– Pełnia księżycy... bądź przeklęty... ty... ty... skomlały psie... przywołałeś ich... idą po mnie! Stopy obute w mokasyny... umarli... niech was piekło pochłonie, czerwone diabły, nie zatrąłem waszego rumu... czyż nie strzegłem należycie sekretów magii, które mi powierzyliście?... przeklęte świnie, zaszkodził wam nadmiar alkoholu, odejdźcie, powiadam!

Nie wińcie dziedzica za to, co się stało! Odejdźcie, nic tu po was! Zostawcie te drzwi...

W tej samej chwili trzy powolne i bardzo silne, nieprzypadkowe uderzenia zadygotały grubymi drzwiami, a w kącikach ust rozgorączkowanego czarownika pojawiła się piana. Jego przerażenie przerodziło się w depresję i znów poczuł przyptyw wściekłości względem mnie.

Chwiejnie postąpił w stronę stołu, którego brzegu kurczowo się przytrzymałem. Zasłony, które ścisnął w prawej ręce, zamachując się lewą, naprężyły się i ostatecznie runęły wraz z wyrwanym karniszem, a wewnątrz pokoju zalał blask księżycy w pełni, srebrzyste światło rozjaśniające ciemność nieba. Migoczące świece przygasły, a cuchnący stęchlizną pokój wydał mi się jeszcze bardziej zapomniany niż dotychczas, pomieszczenie toczyła zgnilizna, boazerię zżerały korniki, klepki podłogi były wypaczone, kominek poobtłukiwany, meble stare i zniszczone, zasłony postrzępione. Wrażenie to nie ominęło również starca, choć nie wiem, czy źródłem była księżycowa poświata, czy może aura jego lęku i gorączkowej pasji, faktem jest, że ujrzałem, jak czernieje i kurczy się, podchodząc do mnie na



uginających się nogach, by ponownie spróbować mnie dosięgnąć zakrzywionymi niby szpony palcami. Tylko jego oczy pozostały nie zmienione, emanując dodający mu sił biały blask, podczas gdy reszta oblicza wokół nich marszczyła się, zapadała i przybierała barwę zwęglonego drewna.

Łomotanie narastało z minuty na minutę, aż w końcu do odgłosów głuchych uderzeń dołączył charakterystyczny zgrzyt metalu. Czarna istota naprzeciw mnie zmieniła się teraz w samą głowę z oczami, która bezskutecznie usiłowała przepęłznąć w moją stronę po zapadającej się podłodze i raz po raz wyrzucała z siebie syk przepęlniony niezmierną zjadliwością i nieśmiertelną nienawiścią. Teraz na mocno już naruszone odrzwia posypał się istny grad uderzeń, w szczelinach, jakie się na nich pojawiły, raz po raz dostrzegałem złowróżbny błysk ostrza tomahawka.

Nie ruszyłem się z miejsca, bo nie byłem w stanie, patrzyłem jedynie w niemym osłupieniu, jak drzwi rozsypują się na kawałki, by wpuścić do środka gigantyczną, bezkształtną masę atramentowej substancji upstrzoną niezliczonym mrowiem łypiących złowrogo oczu. Przelewała się szybko gęstą, oleistą strugą, jak strumień oleju przebijający przegniły bukszpryt. Rozlewając się coraz dalej, przewróciła krzesło, aż w końcu przepłynąwszy pod stołem, dotarła na drugi koniec pokoju, gdzie wciąż łypała na mnie poczerniała głowa z oczami. Zamknęła się wokół niej, zupełnie ją pochłaniając, a w chwilę później zaczęła się wycofywać, zabierając swe niewidoczne brzemie, nawet mnie nie dotknąwszy. Wypłynęła przez poczerniałe wejście i w dół niewidocznych schodów, które zaskrzypiały jak poprzednio, tyle że dokładnie na odwrót.

Właśnie wtedy runęła podłoga, a ja osunąłem się, nawet nie krzyknąwszy, w głąb sypialni poniżej, dławiąc się pajęczynami i o mało nie tracąc przytomności z przerażenia.

Zielony księżyc, świecąc przez powybijane okna, ukazał mi na wpół otwarte frontowe drzwi, a gdy podniosłem się z usłanej gruzami podłogi i, odwracając się, oderwałem wzrok od zapadniętego sufitu, ujrzałem

przepływającą opodal, odrażającą falę czerni z połyskującymi w niej dziesiątkami złowrogich oczu. To szukało drzwi do piwnicy, a gdy je odnalazło, znikło w jej mrocznym wnętrzu. Jednocześnie poczułem, że również podłoga tego pokoju, tak jak wcześniej biblioteki powyżej, zaczyna ustępować, a gdy z góry dobiegł przeraźliwy, głuchy łomot i coś wielkiego przeleciało obok zachodniego okna, zrozumiałem, że musiały to być szczątki kopuły. Pospieszyłem czym prędzej przez korytarz ku frontowym drzwiom, a gdy okazało się, że nie mogę ich otworzyć, schwyciłem za krzesło, wybiłem okno i jak oszalały wypełzłem przez nie na zarośnięty trawnik, gdzie światło księżyca tańczyło pośród wysokich na jard chwastów i źdźbeł traw. Mur był wysoki, a wszystkie bramy zamknięte, lecz przystawiwszy sobie w rogu stertę skrzyń, zdołałem wspiąć się na górę i przywrzeć do znajdującej się na szczycie ogromnej, kamiennej urny. W stanie skrajnego wyczerpania, w jakim się znalazłem, widziałem jedynie dziwne mury, okna i stare dwuspadowe dachy.

Nigdzie nie mogłem dostrzec stromej uliczki, którą tu przyszedłem, a to, co widziałem, przesłoniła niebawem gęsta mgła, która nadpłynęła od rzeki pomimo świecącego jasno księżyca. Nagle urna, którą kurczowo ścisnąłem, zaczęła dygotać, jakby udzieliło się jej moje roztrzęsienie, i nie wytrzymała tak wielkiego napięcia, gdyż w chwilę potem runąłem bezradnie w dół, ku niewiadomemu przeznaczeniu.

Mężczyzna, który mnie znalazł, stwierdził, że musiałem przepelznąć nielichy szmat drogi pomimo pogruchotanych kości, gdyż ślady krwi ciągnęły się tak daleko, jak odważył się sięgnąć wzrokiem. Ulewny deszcz zmył niebawem szkarłatne pasma wiodące ku miejscu, gdzie przeżyłem śmiertelnie niebezpieczną przygodę, a w oficjalnym raporcie stwierdzono jedynie, że do-czołgałem się z bliżej nie określonego miejsca do wylotu niewielkiego, mrocznego podwórka w pobliżu Perry Street.

Nigdy nie próbowałem powrócić do tego posępnego labiryntu ani, gdybym nawet mógł, nie skierowałbym tam żadnego zdrowego na umyśle

człowieka. Nie mam pojęcia, kim lub też czym był ów pradawny stwór, niemniej powtarzam, że to miasto jest martwe i pełno w nim niemożliwych do przewidzenia koszmarów. Nie wiem, dokąd on odszedł, ja natomiast powróciłem w rodzinne strony do nieskalanych alejek Nowej Anglii, które wieczorami omiata przesycona różnymi zapachami nadmorska bryza.

Wierzę, iż istnieją w nas sakramenty tak dobra, jak i zła, gdyż żyjemy i poruszamy się w nieznanym świecie, miejscu pełnym jaskiń, cieni i wędrowców nocy. Jest rzeczą możliwa, iż człowiek powróci kiedyś na drogę ewolucji i wierzę, iż owa okropna nauka jeszcze nie umarła – Artur Machen.

Niedawno, zaledwie kilka tygodni temu, na rogu ulicy, w miasteczku Pascoag, w Rhode Island, wysoki, mocno zbudowany, krzepko wyglądający przechodzień, swym dziwnym zachowaniem wzbudził liczne spekulacje. Wydaje się, iż zszedł ze wzgórza, przy drodze do Chepachet, a znalazłszy się wśród domów, skręcił w lewo, w główną aleję, gdzie kilka skromnych budynków biurowych tworzy złudną atmosferę miejskości. I nagle, bez widocznych powodów, uczynił coś zdumiewającego. Wpatrując się dziwnym wzrokiem w najwyższy z budynków znajdujący się przed nim, zaczął wydawać przeraźliwe, histeryczne wrzaski, po czym puścił się pędem, lecz dotarłszy do następnego skrzyżowania, potknął się i upadł. Po podniesieniu i otrzepaniu z ziemi przez wrażliwych przechodniów, stwierdzono, iż był przytomny, bez widocznych obrażeń, i najwyraźniej już uleczony z dziwnego nerwowego ataku. Zawstydzony, wymamrotał pod nosem słowa przeprosin za swoje zachowanie wynikające – jak powiedział – z napięcia w jakim się znajdował, po czym nie oglądając się za siebie, zawrócił w kierunku Chepachet Road. Był to dziwny przypadek, zwłaszcza, że jego ofiarą padł z wyglądu zdrowy, normalny mężczyzna, a odmienność tego zdarzenia podkreślał jeszcze fakt, iż jeden z przechodniów rozpoznał w nim pensjonariusza zamieszkującego u dobrze znanego mleczarza, na przedmieściach Chepachet.

Mężczyzną, jak dowiedziono, był nowojorski policjant Thomas F.

Malone, obecnie na dłuższym urlopie, w czasie którego leczył się po wykonaniu niezwykle uciążliwego zadania.

Podczas typowego policyjnego nalotu zawaliło się kilka starych ceglanych budynków; utrata życia, tak "mieszkańców", jak i kolegów, wywołała w nim głęboki i nader rzadki uraz, polegający na tym, iż na widok większych budynków, nawet nieznacznie przypominających te, które runęły, popadał w psychozę strachu. Koniec końców, specjaliści w dziedzinie chorób umysłowych zakazali mu na czas bliżej nie określony patrzenia na tego typu budowle.

Policyjny chirurg, mający krewnych w Chepachet zasugerował, iż oryginalny zaścianek drewnianych kolonialnych domków jest idealnym miejscem do psychologicznej rekonwalescencji; z tej przyczyny policjantowi, aż do czasu przewyciężenia dolegliwości nic wolno było zapuszczać się na otoczone ceglanyimi budynkami uliczki większych miast i musiał pozostawać w regularnym kontakcie ze specjalistą z Woonsocket. Spacer po Pascoag był błędem, a pacjent za swe nieposłuszeństwo zapłacił przerażeniem, siniakami i upokorzeniem. Tyle głośiły plotki rozchodzące się w Chepachet i Pascoag, to wiedzieli i w to wierzyli specjaliści, a w każdym razie większość z nich. Malone początkowo chciał opowiedzieć lekarzom dużo więcej, całą historię. Kiedy jednak stwierdził, że jedyną reakcją z ich strony jest absolutna nieufność i niewiara, postanowił trzymać język za zębami i nie zaprotestował, kiedy lekarze generalnie zgodzili się, iż jego załamanie nerwowe zostało spowodowane faktem zawalenia się kilku ceglanych domów w Red Hook w Brooklynie i wynikłą zeń śmiercią funkcjonariuszy policji.

Pracował zbyt ciężko – stwierdzili jednomyślnie – usiłując oczyścić te gniazda chaosu i przemocy –niejednokrotnie narażony na silne wstrząsy, a ta nieoczekiwana tragedia była ostatnią kroplą, która przepełniła czarę. Było to proste wytłumaczenie, zrozumiałe dla wszystkich; Malone uznał, iż w tej sytuacji, inne nie wchodzi w rachubę. Sugerowanie ludziom pozbawionym wyobraźni, koszmaru przekraczającego ich zdolności pojmowania –

koszmaru domów, dzielnic i miast przeżartych trądem i rakiem zła przywleczonego ze Starszych Światów, zamiast do przytulnego wiejskiego domku przywiodłyby go do obitej gąbką celi bez klamek, a Malone, pomimo swego zamiłowania do mistycyzmu, był człowiekiem inteligentnym i rzeczowym. Posiadał ponadto celtycki dar postrzegania tego co dziwne i zakryte. Przydało mu się to niejednokrotnie w jego czterdziestodwuletnim życiu i posyłało absolwenta uniwersytetu dublińskiego, urodzonego w georgiańskiej willi opodal Phoenix Park, do różnych, nader osobliwych miejsc.

# 2

Dla Malone'a, wrażenie ukrytej tajemnicy w istnieniu było stale obecne. W młodości czuł sekretne piękno i ekstazę otaczającego go świata i... był poetą, niemniej jednak nędza, smutek i wygnanie, których doświadczał sprawiły, iż skierował swą uwagę ku mroczniejszym rzeczom, i zaczął interesować się przejawami obecności zła na świecie. Uważał za zbawienny fakt, że wiele osób szczycących się wyższym poziomem inteligencji, drwiło z najbardziej dziwnych tajemnic, bo –jak twierdził – gdyby genialne umysły zdołały wejść w pełniejszy kontakt z mocami chronionymi przez prastare kultury, powstałe w wyniku tego anomalie nie tylko obróciłyby w perzynę nasz świat, ale wręcz zagroziłyby integralności całego wszechświata.

W czasie, kiedy przydzielono go do komisariatu przy Butler Street, w Brooklynie, jego uwagę przykuła sprawa Red Hook.

Red Hook to labirynt slumsów znajdujących się przy starym nabrzeżu, naprzeciw Governor's Island, skąd brudne, zakurzone uliczki pną się od mola na zbocza pagórka, stamtąd zaś zapuszczone zaułki Clinton i Court Streets odchodzą w kierunku Borough Mali.

Domy są tu głównie ceglane, pochodzące z pierwszej połowy dziewiętnastego stulecia, zaś niektóre z zaułków i bocznych uliczek jakie się tu znajdują, emanują powabnym, prastarym zapachem, zwanym powszechnie "dickensowskim". Mieszkańcy stanowią przedziwną enigmatyczną mieszankę: przemieszani między sobą Syryjczycy, Hiszpanie, Włosi i Murzyni, a do tego wąskie pasma zabudowań zamieszkałych przez Skandynawów i Amerykanów. Istna wieża Babel hałasu i brudu, śląc dziwaczne okrzyki w odpowiedzi na szum oleistych fal rozbijających się o posępne nabrzeże i monstrialne, organowe litanie zawodzących syren w

zatoce. Dawno temu okolica ta wyglądała dużo lepiej – zamieszkiwali ją marynarze o przenikliwych spojrzeniach, domy na wzgórzu zaś, prezentowały się dumnie i dostojnie.

Nawet dziś można jeszcze dostrzec ślady dawnej szczęśliwości w smukłych kształtach budynków, dostojnych niegdyś kościołów i drobnych, acz zauważalnych artystycznych szczegółach architektonicznych: zniszczonych schodach, nadżartych przez korniki drzwiach, rozsypujących się pilastrach dekoracyjnych kolumn czy fragmencie zielonej ongi przestrzeni trawnika, z pogiętym i nadżartym rdzą żelaznym płotkiem. Domy generalnie rzecz biorąc, stoją solidnymi blokami, a wznoszące się tu i ówdzie wielookienne kopuły przypominają dawne dni, kiedy to przebywający w domach szyprowie i właściciele statków obserwowali morze.

Z tego właśnie chaosu biją ku niebu setki głosów w setkach dialektów. Tabuny awanturników i amatorów rozmaitych rozrywek przewijają się, krzycząc i śpiewając, wąskimi alejkami i zaułkami; od czasu do czasu, nieśmiałe dłonie nieoczekiwanie gaszą światło i zaciągają zasłony, a ogorzałe, naznaczone grzechem twarze znikają z okien, kiedy goście decydują się zajrzeć do środka. Policjanci rozpaczliwie starają się zachować tu jako taki porządek, ale miast cokolwiek zmienić woleliby chyba otoczyć cały ten rejon zasiekami, by uchronić zewnętrzny świat przed skażeniem. Odgłosom patrolu towarzyszy upiorna cisza.

Aresztanci – jeśli już się zdarzają, również zwykle zachowują grobowe milczenie. Popełnione tu przestępstwa są tak różne, jak dialekty jakimi posługują się mieszkańcy, i oscylują od szmuglowania rumu i nielegalnych imigrantów, poprzez rozmaite przejawy aktów bezprawia i przemocy, aż po morderstwa i najbardziej odrażające formy zbrodni z okaleczeniem zwłok.

Fakt, iż sprawy te dość rzadko wychodzą na jaw nie przynosi chlubę okolicy – chyba, że uznałoby się za chlubę umiejętność zatajania różnych zdarzeń. W Red Mook więcej ludzi się zjawia, niż je opuszcza, w każdym razie o własnych siłach, a największą szansę na wyjście stąd na własnych



nogach mają ci, którzy trzymają język za zębami.

Malone wyczuł w tym chaosie słabą acz uchwytną woń tajemnicy, bardziej przerażającej aniżeli wszelkie grzechy wyznawane przez mieszkańców i opłakiwane przez kapłanów czy filantropów. Jako człowiek łączący wyobraźnię z naukową wiedzą, miał świadomość, że nowocześni ludzie, tam gdzie panowało bezprawie, przejawiali niewiarygodną wręcz skłonność do powtarzania w codziennym życiu i rytualnych obrzędach najmroczniejszych, instynktownych form kultów wyznawanych przez prymitywnych, na wpół małpich dzikusów. Często, czemu towarzyszyło typowe dla antropologa pełne niepokoju wyczekiwanie, przyglądał się śpiewającym, klnącym procesjom młodych ludzi o kaprawych oczach i ospowatych twarzach, przemierzających ulice w mrokach przedświt. Grupki tych młodzieńców można było dostrzec niemal nieustannie: czasami zbierali się na rogach ulic, kiedy indziej, gromadzili się w bramach, grając dziwną muzykę na tanich i marnych instrumentach, innymi razy znowu, siedzieli jak otepiali, lub rozmawiali na nieprzyzwoite tematy, przy stolikach na zewnątrz kafeterii, opodal Borough Mali, niekiedy zaś, szeptali o czymś przy brudnych, zdezelowanych taksówkach, stojących pod starymi, zmurszałymi budynkami, których okiennice zamknięte były na głucho. Przyprawiali go o dreszcz i fascynację bardziej niż ośmielał się przyznać swoim współpracownikom w policji, gdyż zdawał się dostrzegać w nich jakąś monstrualną nić sekretnej ciągłości; jakiegoś złowieszczonego, diabelskiego, tajemniczego i prastarego wzorca wykraczającego poza i ponad zbitą masę posępnych faktów, pełnych grozy, okrucieństwa i makabry, gromadzonych skrzętnie w surowych policyjnych raportach.

Czuł w głębi duszy, iż muszą oni być spadkobiercami jakiejś szokującej i pierwotnej tradycji, wyznawcami zapomnianych szczątkowych kultur, uprawiającymi ceremonie starsze niż cała ludzkość. Sugerowała to ich konsekwencja i precyzja; wskazywało na to równie/, osobliwe podejrzenie ładu i porządku zakamuflowane pod pozorami zewnętrznego chaosu.

Nie na próżno czytał traktaty takie jak "Kult wiedźm w zachodniej Europie" panny Murray i wiedział, że wśród chłopów i w niektórych kręgach w miastach istniały po dziś dzień przerażające i sekretne stowarzyszenia, zbierające się i uprawiające rytuały pochodzące z mrocznych kultów wcześniejszych jeszcze niżli świat Arian i pojawiające się w popularnych legendach pod nazwami Czarnych Mszy i Sabatów Czarownic. Ani przez chwilę nie wątpił, że te piekielne relikty starej, turańsko–azjatyckiej magii i kultów płodności nie umarły i częstokroć zastanawiał się, o ileż starsze i o ileż mroczniejsze od najgorszych, szemranych historii, mogły być niektóre spośród nich.

# 3

To sprawa Roberta Suydama sprawiła, iż Malone znalazł się w samym sercu wydarzeń w Red Hook. Suydam był wykształconym odludkiem pochodzącym ze starej holenderskiej rodziny, ongiś posiadającej śladową niezależność, i zamieszkującym przestronną acz kiepsko utrzymaną posesję, którą jego dziad wznosił we Flatbush. Było to w czasach, kiedy jeszcze miasteczko stanowiło niewielką osadę kolonialnych cottage'ów okalających strzelisty, i porośnięty bluszczem kościół reformowany, z otoczonym żelazną siatką cmentarzem pełnym niderlandzkich grobowców.

W swojej samotni znajdującej się z dala od Martense Street, okolonej zieleńcem porośniętym sędziwymi drzewami, Suydam gnuśniał i ślęczał nad księgami przez sześć dekad, za wyjątkiem okresu, kiedy to, pokolenie temu, wyruszył w podróż do Starego Świata i znikł tam, na całe osiem lat.

Nie stać go było na służących, i rzadko kto go odwiedzał, unikał bliższych znajomości, a swych nielicznych gości przyjmował w jednym z trzech, w miarę porządnie utrzymanych pokoi na parterze; ogromnej bibliotece o wysokim sklepieniu, której ściany zastawione były starymi, zniszczonymi książkami traktującymi o mrocznych, archaicznych i nierzadko odrażających kultach.

Powiększenie się miasta i ostateczne wchłonięcie przez dzielnicę Brooklynu nic dla niego nie znaczyło, a i on zaczął znaczyć dla miasta coraz mniej. Starsi ludzie wciąż jeszcze rozpoznawali go na ulicy, ale dla większości mieszkańców był jedynie dziwaczny, korpulentny staruszek, którego rozwichrzone siwe włosy, szczeciniasta broda, lśniące, czarne odzienie i laska ze złotą gałką budziły na twarzach przechodniów uśmiezek rozrzewnienia i nic poza tym. Malone nie widział go, dopóki nie

został przydzielony do sprawy, niemniej jednak słyszał o nim jako o absolutnym autorytecie w dziedzinie przesądów i demonologii średniowiecznej. Miał raz nawet okazję przejrzeć jego skrypt (nakład wyczerpany) traktujący o kabale i legendzie Fausta, który jego przyjaciel z wydziału znał wyrywkowo na pamięć.

Suydam stał się "sprawą", kiedy jego dalecy i jedyni krewni wystąpili do sądu o jego ubezwłasnowolnienie. Ich poczynania, dla zewnętrznego świata, mogły wydawać się nagłe i gwałtowne, niemniej poprzedziły je długotrwałe obserwacje i smutne, poważne dysputy.

Podstawę stanowiły pewne, dziwne okoliczności tego co mówił: szalone wzmianki o zbliżających się cudach i niezliczonych nawiedzeniach w zapuszczonej, odrażającej brooklyńskiej dzielnicy. W miarę upływu czasu wyglądał coraz bardziej niechlujnie, obecnie przypominał pospolitego żebraka. Jego zaniepokojeni przyjaciele widywali go niekiedy na stacjach metra, lub przesiadującego na ławeczkach wokół Borough Mali, pogrążonego w rozmowie z grupkami śniadoliczych, złowrogo wyglądających cudzoziemców. Majaczył o niewyobrażalnej potędze znajdującej się nieomal w zasięgu jego ręki i z głębokim przekonaniem powtarzał tak mistyczne słowa czy imiona jak "Sephiroth", "Ashmodai" i "Samael". Postępowanie ujawniło, że wykorzystał swoje zasoby materialne, a cały kapitał zużył na nabycie osobliwych ksiąg importowanych z Londynu i Paryża, i znajdujących się obecnie w jego domu w Red Hook. Spędzał tam prawie każdą noc przyjmując delegacje składające się z przedziwnej mieszanki miejscowych awanturników i cudzoziemców i, jak wszystko na to wskazywało, za zielonymi żaluzjami sekretnych okien swojej posesji odprawiał tajemnicze ceremonie. Detektywi, którzy mieli go śledzić donieśli o przerażających okrzykach, śpiewach i tupocie stóp towarzyszących owym nocnym rytuałom, i pomimo iż w tej dzielnicy niezwykle orgie czy obrzędy były na porządku dziennym, wszystkich, bez wyjątku, poruszyła a także zaniepokoiła towarzysząca im ekstaza.

Przesłuchanie Suydama niewiele jednak dało. Przed obliczem sędziego jego manieri stały się racjonalne i układne; przyznał się do dziwnego zachowania i ekstrawaganckiego języka, będących – jak stwierdził – wynikiem nadmiernego oddania badaniom naukowym.

Oznajmił, że zajmował się studiami nad pewnymi elementami europejskiej tradycji, wymagającymi możliwie najgłębszego kontaktu z grupami cudzoziemców, ich pieśniami i tańcami ludowymi. Sugerowanie – tak jak to czynili jego krewni – iż stał się ofiarą jakiegoś okrutnego, tajemniczego stowarzyszenia było totalnym absurdem i ukazywało jak żałośnie ograniczone było ich pojmowanie tak jego, jak i jego pracy. Po spokojnym udzieleniu tych wyjaśnień, został uwolniony od zarzutów i zwolniony, a detektywi wynajęci przez Suydamów, Corlearów i Van Gruntów, odsunięci od sprawy.

W tym właśnie miejscu, wskutek przymierza między inspektorami federalnymi a lokalną policją, do akcji włączył się Malone. Policja z zainteresowaniem śledziła poczynania

Suydama i niejednokrotnie w różnych przypadkach udzielała pomocy prywatnym detektywom. Podczas dochodzenia stwierdzono, że większość nowych współpracowników Suydama wywodziła się spośród najbardziej zatwardziałych przestępców z najciemniejszych zaułków Red Hook, a co trzeci z nich był recydywistą, skazanym za kradzieże, chuligaństwo bądź szmuglowanie nielegalnych imigrantów. Krótko mówiąc, krąg ludzi, którymi otaczał się Suydam składał się niemal w zupełności z mętów tamtejszego półświatka, najgorszych szumowin trudniących się szmuglowaniem takich samych jak oni, bezimiennych azjatyckich łajdaków, których roztropnie zawrócono z Wyspy Ellis.

W dzielnicy ruder – zwanej, od niedawna, Parker Place – gdzie Suydam miał swoją posesję, rozrosła się nader osobliwa kolonia niesklasyfikowanych skośnookich indywiduów, używających arabskiego alfabetu, acz znacząco omijanych przez spore grupki Syryjczyków zamieszkujących na Atlanta

Avenue i w okolicy. Wszyscy oni mogli zostać deportowani z braku odpowiednich dokumentów, ale prawo jest ogólnie nierychliwe i nic narusza pozornego spokoju Red Hook, jeżeli nie zostanie do tego zmuszone przez opinię publiczną.

Indywidualnie te odwiedzały stary, zapuszczony kamienny kościółek, który we środy pełnił funkcje tancbudy, i którego tylne gotyckie szkarpy wychodziły na najbardziej mroczną i ohydłą część nadbrzeżnej dzielnicy.

Kościół był z założenia katolicki, niemniej księża w całym Brooklynie odmawiali temu miejscu autentyczności i należytej powagi, a policjanci, którzy słyszeli hałasy dobiegające nocami z budynku, w zupełności podzielali ich opinię. Malone miał wrażenie, iż kilkakrotnie słyszał rzępolące jazgotliwie nuty organów ukrytych gdzieś w podziemiach gmaszyska, zaś kiedy kościół stał pusty i nieoświetlony, wszyscy obserwatorzy ze zgrozą mówili o krzykach i odgłosach bębnow towarzyszących obrzędowi. Suydam, kiedy go przesłuchiowano stwierdził, iż jego zdaniem rytuał był pozostałością nestoriańskiego chrześcijaństwa z domieszką tybetańskiego szamanizmu. Większość tutejszych – jak przypuszczał – wywodziła się z rasy mongoloidalnej, zamieszkującej okolice Kurdystanu, zaś Malone mimowolnie przypomniał sobie, że Kurdystan jest krainą Yezydów, ostatnich ocalałych perskich wyznawców kultu Szatana, niezależnie jak było, nowe aspekty w sprawie Suydama wykazały niezbicie, iż nielegalni imigranci napływali do Red Hook coraz liczniejszymi grupami; dostawali się na brzeg dzięki jakiemś morskemu kanałowi przerzutowemu, omijając policję i straż przybrzeżną i błyskawicznie rozpełzali się po całym Parker Place, witani z zadziwiającą, wręcz bratnią zażyłością przez innych mieszkańców tej dzielnicy. Ich niskie sylwetki i charakterystyczne skośnookie oblicza, stanowiące groteskową kombinację w połączeniu z krzykliwym amerykańskim odzieniem jakie nosili, pojawiały się coraz częściej wśród wałkoni i zatwardziałych gangsterów z okolic Borough Hali. Koniec końców stało się koniecznością aby oszacować ich liczbę, określić pochodzenie,

miejsce zamieszkania a także – jeżeli to możliwe – znaleźć jakiś sposób, aby ich wszystkich zgarnąć i przekazać odpowiednim władzom imigracyjnym. Do tego właśnie zadania federalna oraz lokalna policja przydzieliła Malone'a. Ten ostro zabrał się do dzieła i niebawem nabrał niepokojącego przekonania, że balansuje na krawędzi bezimiennego, nienazwanego koszmaru, a niechlujny, z wyglądu roztargniony uczonek nazwiskiem Robert Suydam jest jego głównym adwersarzem i prawdziwym wcieleniem Złego.

# 4

Metody policyjne są różnorodne i pomysłowe. Malone, dzięki niezbyt ostentacyjnemu szwendaniu się po Parker Place, przypadkowym rozmowom, częstowaniu napotkanych przygodnie ludzi łykiem mocniejszego trunku z piersiówki i inteligentnym dialogom z przerażonymi więźniami, dowiedział się wielu różnych faktów dotyczących ruchu, którego poczynania stały się tak niepokojące, nowo przybyli faktycznie byli Kurdami, ale posługiwali się niezrozumiałym, trudnym do zidentyfikowania dialektem.

Aby zarobić na życie, nie pozostawało im wiele do wyboru – pracowali jako robotnicy na nabrzeżu albo jako domokrażcy, również czasami jako kelnerzy w greckich restauracjach lub sprzedawcy gazet, że stoiskami na rogach ulic. Większość z nich jednak, zdawała się w ogóle nie pracować, i, co nie ulegało wątpliwości, miała kontakty z półświatkiem. Ich najbardziej intratnym i chyba najłatwiejszym do określenia zajęciem było szmugłowanie nielegalnych imigrantów czy przemyt alkoholu.

Przypływali parowcami, zapewne trampami, i w bezksiężycowe noce dobijali do brzegu niewielkimi łodziami, a potem, ukrytymi kanałami dobijali do sekretnej podziemnej sadzawki w jednym z bezpiecznych domów. Malone nie był w stanie zlokalizować owego nabrzeża, kanału i domu, gdyż wyjaśnienia jego informatorów były nader chaotyczne, a ich słowotokowi z trudem mógł sprostać nawet najlepszy tłumacz; nie udało mu się również zdobyć żadnych konkretnych informacji co do powodu ich systematycznego napływu.

Zachowywali powściągliwość jeśli chodziło o dokładne określenie miejsca skąd przybywali i nigdy nie dali się zbić z tropu na tyle, by zdradzić agencje, które ich wyłuskiwały i wskazywały drogę. Prawdę mówiąc, kiedy



wypytywał o powody ich obecności tutaj, wyczuwał wyraźne zaniepokojenie.

Gangsterzy innej maści byli również małowinni i jedyne co udało mu się od nich wyciągnąć, to to, że jakiś bóg, czy wielki kapłan obiecał im niesłychane moce, nadnaturalną chwałę i władzę w obcym kraju.

Mocne, ściśle strzeżone zebrania zarówno nowo przybyłych, jak i starych przestępców u Suydama, były bardzo regularne i niebawem policja dowiedziała się, iż niedawny odludek wynajął kolejne domy by zakwaterować w nich znających odpowiednie hasło "gości".

W sumie miał teraz trzy domy w których permanentnie przebywały grupki jego osobliwych kompanów. Obecnie spędzał w swoim domu, znanym jako Halbush coraz mniej czasu, zjawiał się tam tylko by zabierać i odnosić książki; zaś jego oblicze i zachowanie nieoczekiwanie nabrało dzikiego, wściekłego wyrazu.

Malone dwukrotnie go przesłuchiwał, ale w obu przypadkach był dość obcesowo zbywany. Suydam stwierdził, że nie ma pojęcia o jakichkolwiek tajemniczych spiskach czy ruchach; nie wiedział w jaki sposób Kurdowie dostawali się do miasta, ani czego chcieli. Jego zadaniem było prowadzenie, bez zakłóceń, badań nad folklorem emigrantów zamieszkujących dzielnicę; policja nie miała żadnych prawnych podstaw aby mieszać się w tę sprawę. Malone wyraził swój podziw wobec napisanej przez Suydama pracy na temat kabały i innych mitów, ale zdołał zmiękczyć go tylko na krótką chwilę. Uznał on bowiem pojawienie się Malone'a za zakłócenie spokoju i najnormalniej w świecie spławił swego gościa. Malone nie miał wyboru i musiał odwołać się do innych kanałów informacji.

Nigdy się nie dowiemy, co mógłby odkryć Malone, gdyby bez przerwy pracował nad tą sprawą. Nie mniej jednak, wskutek głupiego konfliktu pomiędzy władzami miejskimi a federalnymi, śledztwo na kilka miesięcy zawieszono, a detektyw musiał zająć się paroma innymi zadaniami. Ani na chwilę wszakże nie przestał się interesować Robertem Suydamem, i to co się z nim działo, napawało go bezgranicznym wręcz zdumieniem. Z chwilą kiedy

Nowy Jork ogarnęła panika związana z falą porwań i zaginięć, niechlujny, zaniedbany uczonek przeszedł metamorfozę równie zadziwiającą, co absurdalną. Któregoś dnia zauważono go w pobliżu Borough Mall, ogolonego, że starannie przyciętymi i ułożonymi włosami, ubranego w nienaganny i nader gustowny garnitur. Od tej pory każdego dnia zauważano w nim jakąś nową, drobną zmianę. Proces ten zachodził w nim praktycznie nieprzerwanie, i wraz z nagłym zamiłowaniem do schludności, pojawił się niezwykle błysk w oku, i dosadność mowy. Jednocześnie, Suydam zaczął regularnie pozbywać się nadmiaru kilogramów, które deformowały jego sylwetkę. Pomimo swego wieku krok miał teraz rażny i sprężysty niczym nastolatek; zupełnie jakby z nowym image powróciła doń, utracona dawno temu, pogoda i radość ducha, zaś jego włosy dziwnie pociemniały, choć nie wyglądało aby je farbował.

Mijały kolejne miesiące, a on ubierał się coraz mniej konserwatywnie i koniec końców zaskoczył swych nowych przyjaciół wyremontowaniem i odnowieniem swojej starej posesji Flatbush, na otwarcie której wyprawił serię przyjęć, zapraszając wszystkich znajomych, jakich tylko udało mu się spamiętać, nie zapomniał też o dziwo, o swoich krewnych, którym najwyraźniej zupełnie przebaczył, a którzy jeszcze tak niedawno usiłowali go ubezwłasnowolnić.

Jedni zjawili się z ciekawości, inni z obowiązku, wszystkich jednak oczarowała rodząca się gracia, układność i wytworność dawnego odludka. Zapewnił on, że jego praca jest już w zasadzie na ukończeniu, a jako iż właśnie uzyskał starą posiadłość, w spadku po swym na wpół zapomnianym przyjacielu z Europy, postanowił tam spędzić pozostałe mu lata życia, ciesząc się drugą młodością, którą zapewnił sobie dzięki spokojowi, właściwej opiece i diecie.

Coraz rzadziej widywano go w Red Hook, coraz częściej zaś w towarzystwie, w jakim się obracał. Policjanci zauważyli tendencję do coraz częstszych spotkań grup przestępczych w starym, kamiennym kościele –

tancbudzie, miast w posesji, przy Parker Place, choć to ostatnie miejsce i najnowsze nabytki Suydama bez przerwy tętniły odrażającym, parszywym życiem.

Nieoczekiwanie miały miejsce dwa wydarzenia – dość odległe od siebie, ale z punktu widzenia Malone'a nader istotne dla całej sprawy. Pierwszym było zamieszczenie w "Eagle'u" niewielkiego zawiadomienia o zaręczynach Roberta Suydama z panną Cornelią Gerritsen z Bayside, młodą kobietą, z bardzo dobrze sytuowanej rodziny, spokrewnioną dalece ze swym posuniętym w lalach narzeczoną. Drugim był nalot policji na kościół – tancbudę, po otrzymaniu doniesienia, iż przez krótką chwilę w jednym z piwnicznych okien budowli widać było twarzyczkę porwanego dziecka.

Malone również brał udział w tym nalocie i znalazłszy się w środku, wyjątkowo uważnie przetrząsnął całe to miejsce. Nic jednak nie znaleziono – budynek zastano całkowicie opuszczony, niemniej jednak sensytywnego Celta zaniepokoiło wiele rzeczy na jakie tam natrafił. Znajdowały się tu prymitywnie malowane kasetony, które nie przypadły mu do gustu – kasetony przedstawiające oblicza świętych, zastygłe w zadziwiająco doczesnych i sardonicznych grymasach, niekiedy lak libertyńskich, że nawet laik ze swym poczuciem dobrych obyczajów, musiałby się zmieszać, nie spodobała mu się również grecka inskrypcja na ścianie, nad kazalnicą, prastara inkantacja, na którą natknął się jeszcze w Dublinie, będąc na studiach, i którą przeczytawszy natychmiast sobie przełożył:

"O przyjacielu i towarzyszu nocy, ty który radujesz się ujadaniem psów i przelaną krwią, który wędrujesz między grobami, pośród najgłębszych cieni, który pragniesz krwi i sprowadzasz na śmiertelników dojmującą zgrozę, Gorgo, Normo, księżycu o tysiącu twarzy, spojrzij przychylnie na nasze ofiary!"

Czytając te słowa, zadrżał i mimowolnie przypomniał sobie jak wydawało mu się, że słyszał jazgoczące, atonalne dźwięki organów dobiegające w niektóre noce z podziemi kościoła. Ponownie się wzdrygnął widząc rdzę

wokół podstawy metalowego naczynia stojącego na ołtarzu i znieruchomiał nerwowo, kiedy jego nozdrza wychwyciły osobliwy i upiorny fetor dochodzący z niedaleka. Wspomnienie organów nie dawało mu spokoju i nim opuścił kościół, że szczególną wytrwałością przetrząsnął całą piwnicę. Miejsce to wydawało mu się szczególnie plugawe – ale czy bluźniercze malowidła i inskrypcje mogły być "dziełem" jakiegoś obłąkańczego ignoranta?

Do czasu ślubu Suydama, epidemia porwań stała się popularnym tematem brukowych czasopism. Większość ofiar stanowiły dzieci z ubogich rodzin, ale rosnąca liczba zaginięć spowodowała reakcję w postaci fali niepohamowanego gniewu. Gazety domagały się zdecydowanych działań ze strony policji i raz jeszcze komisariat przy Butler Street wysłał swoich ludzi do Red Hook w poszukiwaniu śladów, przestępców i możliwych rozwiązań kłopotliwej afery.

Malone cieszył się, że znów był w akcji i wziął udział w nalocie na jeden z domów Suydama, w Parker Place. Rzecz jasna nie znaleziono tam żadnego dziecka, pomimo doniesień o krzykach i czerwonej wstążki, na którą natrafiono nieopodal posesji, niemniej jednak malowidła i prymitywnie wykonane inskrypcje na łuszczących ścianach w większości pokoi upewniły detektywa, iż był na tropie czegoś naprawdę wielkiego i przerażającego, Malowidła były zatrważające – odrażające monstra wszelakich kształtów i rozmiarów, istne parodie ludzkich sylwetek, których nie sposób opisać.

Inskrypcje miały czerwoną barwę, litery zaś były arabskie, greckie, rzymskie i hebrajskie. Malone nie był w stanie odczytać większości napisów, ale to co zdołał rozszyfrować było dostatecznie złowieszcze i kabalistyczne. najczęściej powtarzającym się mottem była inskrypcja hebrajsko–hellenistyczno–grecka, stanowiąca jedno z najbardziej przerażających przywołań demonów z okresu aleksandryjskiej dekadencji:

"Bel. Belohm. Sother. Emmanuel. Sabaoth. Uglā. Tetragrammaton. Aghros. Dtheos. Ishnros. Athanatos. Jehova. Ra. Adonai. Sadan. Bomodsion. Messias. Szcherehehe"

Przy każdym z ramion napisu znajdowały się kręgi i pentagramy, świadczące niezbicie o prastarych wierzeniach i aspiracjach nędzników, którzy tu zamieszkiwali. Najdziwniejszą jednak rzecz odkryto dopiero w piwnicy: stertę sztabek czystego złota nakrytą niedbale płachtą brezentu; na ich błyszczącej powierzchni widniały te same, hieroglify, które zdobiły ściany domu. Podczas nalotu policja napotkała jedynie bierny opór ze strony skośnookich orientalnych cudzoziemców, których mrowie wylewało się z każdych drzwi, nie znalazłszy żadnych istotnych śladów, policja musiała wycofać się z kwitkiem, ale kapitan z komisariatu przy Butler Street zostawił dla Suydama kartkę z powiadomieniem, by zwracał nieco baczniejszą uwagę na lokatorów i protegowanych, których gościł w progach swojej posesji, gdyż opinia publiczna była nimi coraz bardziej zaniepokojona i sprawa zaczynała robić się kłopotliwa.

# 5

Nadszedł czerwiec, a wraz z nim ślub i wielka sensacja. Około południa Flatbush wręcz tętniło życiem, udekorowane pojazdy blokowały uliczki w pobliżu starego, holenderskiego kościoła, gdzie markizy ciągnęły się od drzwi, aż do szosy.

Żadne lokalne wydarzenie nie było w stanie przyćmić tonem i skalą ślubu Suydam – Gerritsen, a nowożeńców odprowadzały na nabrzeże Cunard prawdziwe tłumy. Po pożegnaniu, o godzinie piątej, ciężki liniowiec odbił od nabrzeża, po czym z wolna skierował swój dziób w stronę rozległej połaci morza, wyruszając w rejs ku brzegom i cudom Starego Świata. Wieczorem na redzie nie było innych jednostek i pasażerowie liniowca obserwowali gwiazdy migoczące nad nieskażoną tonią oceanu.

Nie sposób stwierdzić co – jako pierwsze – zwróciło na siebie uwagę pasażerów – głośny wrzask, czy też pojawienie się trampa – parowca. Prawdopodobnie jedno i drugie, nie mniej w tym przypadku wszelkie rozważania mijają się z celem. Krzyk dobiegał z kajuty Suydamów, a marynarz który wyważył drzwi, mógłby zapewne opowiedzieć o przerażających rzeczach – gdyby nie fakt, iż popadł w obłęd. Nieszczęśnik wrzeszcząc, zaczął biegać po całym statku, dopóki go nie schwytano i nie zamknięto związanego, pod kluczem.

Lekarz okrętowy, który wszedł do kajuty i zapalił światło w chwilę później, nie oszalał, ale nie powiedział nikomu o tym co wówczas zobaczył; uczynił to dopiero później prowadząc korespondencję z Malonem przebywającym w Chepachct. Miało tu miejsce morderstwo – ściślej mówiąc uduszenie, ale nie należało rozgłaszać, iż ślady szponów na szyi pani Suydam nie mogły być dziełem jej męża, ani czyjejkolwiek ludzkiej dłoni, ani że na

białej ścianie przez krótką chwilę migotał, skrzący się wściekłą czerwienią napis, wykonany nie inaczej, lecz owymi przerażającymi chaldejskimi literami układającymi się w słowo "Lilith". nie należało wspominać o tych rzeczach, gdyż bardzo szybko zniknęły, a co do Suydamów, najlepszym rozwiązaniem było nie dopuszczanie do ich kajuty postronnych osób; cała sprawa i tak była dostatecznie kłopotliwa.

Doktor wyraźnie powiedział Malone'owi, że Tego nie widział.

Otwarty bulaj, na chwilę przed tym jak włączył światło, zasnuwała dziwna fosforescencja i mogło się wydawać, że przez sekundę, w ciemności nocy, na zewnątrz rozbrzmiewało echo słabnącego, diabelskiego chichotu; oko doktora nie wychwyciło jednak żadnych realnych kształtów. Zdaniem lekarza, dowodem na to jest fakt, iż wciąż jeszcze pozostaje przy zdrowych zmysłach.

I wtedy uwagę wszystkich przykuło pojawienie się parowca. Łódź przybiła do burty liniowca i na pokład weszła grupa śmiałych, butnych zbójów w mundurach oficerskich.

Zażądali wydania Suydama – lub jego zwłok. Wiedzieli o jego podróży i z jakichś powodów byli przekonani, że starzec musi umrzeć, na pokładzie kapitańskim zapanowało istne pandemonium – przez krótką chwilę, pomiędzy raportem doktora z kajuty nowożeńców a żądaniem ludzi z trampa, nawet najrozsądniejszy i najroztropniejszy z marynarzy był kompletnie zbity z tropu, i nie miał pojęcia co robić. Naraz przywódca nieoczekiwanych gości. Arab o nienawistnych, negroidalnych ustach wyjął brudną, zmiętą kartkę papieru i podał kapitanowi. Była podpisana przez Roberta Suydama i widniała na niej dziwna notatka, następującej treści:

"W przypadku gdyby spotkał mnie nagły wypadek lub śmierć proszę bezspornie przekazać mnie, lub moje ciało doręczycielowi tej notatki i jego współtowarzyszom. Zarówno dla mnie jak i dla pana wszystko zależy teraz od spełnienia mej prośby, na wyjaśnienia będzie czas później – proszę mnie nie zawieść. Robert Suydam."

Kapitan i doktor spojrzeli po sobie nawzajem, zaś ten drugi, wyszeptał coś cicho do pierwszego. Koniec końców pokiwali raczej bezradnie głowami i ruszyli w kierunku kajuty Suydama. Doktor spojrzeniem nakazał kapitanowi odwrócić wzrok, po czym otworzył drzwi i wpuścił do środka osobliwych marynarzy. Nie odetchnął spokojniej, dopóki, obarczeni ciężkim brzemieniem, nie opuścili kajuty po ciągnących zdawałoby się w nieskończoność, czynnościach przygotowawczych.

Ciało owinięte zostało w prześcieradła zdarte z koi, a doktor z zadowoleniem stwierdził, iż jego obecny wygląd nie zdradzał zbyt wiele. Jakimś sposobem śniadolicy marynarze zdołali przerzucić je przez burtę i szczelnie owinięte dostarczyć na pokład trampa.

Liniowiec znów uruchomił silniki, zaś doktor i oficer pokładowy, zajmujący się czynnościami pogrzebowymi ponownie weszli do kajuty Suydama, by dopełnić ostatniej posługi wobec pozostawionej na pokładzie kobiety. Lekarz raz jeszcze został zmuszony do zachowania milczenia, a właściwie musiał posunąć do kłamstwa, z powodu przerażającej rzeczy jaka miała miejsce. Kiedy oficer odpowiedzialny za czynności pogrzebowe zapytał go dlaczego opróżnił ciało pani Suydam z krwi, nie zaprzeczył, że tego nie uczynił, ani też nie wskazał na puste miejsca na stojakach, gdzie znajdowały się butelki.

Nie zwrócił również uwagi na smród bijący ze zlewu, świadczący o pośpiechu w jakim opróżniono butelki z ich oryginalnej zawartości. Kieszenie tych ludzi –jeżeli w ogóle byli ludźmi, kiedy opuszczali statek – wydawały się dziwnie pękate, jakby powypychane. Dwie godziny później, świat dowiedział się przez radio wszystkiego, czego powinien w związku z tym przerażającym zdarzeniem.



# 6

Tego samego czerwcowego wieczoru, nieświadomy wydarzeń jakie rozegrały się na morzu. Malone niemal rozpaczliwie szalał na uliczkach Red Hook. Wydawało się, iż cała dzielnica niesłychanie się ożywiła, jak gdyby wszyscy mieszkańcy jakimś sposobem dowiedzieli się o czymś osobliwym i obecnie tłumy ich zbierały się wokół kościoła – tancbudy i domów na Parker Place. Zniknęły kolejne dzieci – tym razem trójka niebieskookich Norwegów zamieszkałych przy ulicach niedaleko Gowanus. Krążyły plotki, że nieustępliwi Wikingowie z tego kwartału poczęli tworzyć organizację zbliżoną do mafii.

Malone od tygodni nakłaniał swoich kolegów do przeprowadzenia generalnej czystki i ostatecznie, wskutek czynników bardziej do nich przemawiających niż domysły marzyciela z Dublina, zgodzili się na ostateczny atak. Czynnikiem owym był niepokój i niemal namacalne uczucie zagrożenia, jakie zdawało się emanować zewsząd owego wieczora. Około północy, grupa operacyjna złożona z policjantów zebranych z trzech komisariatów ruszyła na Parker Place i okoliczne uliczki. Wyważano drzwi, aresztowano tych, którzy usiłowali stawiać opór, a z przeszukiwanych pomieszczeń bezceremonialnie wyrzucano niewygodne tłumy cudzoziemców w ozdobnych szatach i mitrach, zaopatrzonych w różne dziwne przedmioty niewiadomego zastosowania. Wiele z nich zginęło w ogólnym chaosie, wrzucane pośpiesznie do sekretnych schowków i przemyślnie zakamuflowanych szybów, a podejrzany fetor niknął w oparach zapalanych czym prędzej wonnych kadzidełek. Wszędzie jednak widniały ślady rozbryźniętej krwi, a Malone wzdrygał się za każdym razem, kiedy spostrzegł kosz koksowy albo ołtarz z którego wciąż jeszcze unosiły się kłęby dymu.

Chciał być w kilku miejscach na raz, a zdecydował się, że weźmie udział w nalocie na dom Suydama, kiedy posłaniec doniósł, że w starym kościele, pełniącym również funkcję tancbudy, nie ma żywego ducha. Wiedział, iż w domu Suydama znajdzie jakieś ślady kultu, którego, zafascynowany okultyzmem stary uczonek, stał się przywódcą i duszą. Co do tego nie miał najmniejszej wątpliwości. Z uczuciem pełnego niepokoju wyczekiwania i nadziei przeszukiwał zżerane przez wilgoć i grzyb pokoje, zwrócił uwagę na unoszący się w nich słaby, acz zauważalny fetor krwi i śmierci, oglądał osobliwe kręgi, artefakty, sztabki złota i karafki porzucone to tu, to tam. W pewnej chwili chudy, czarnobiały kot przebiegł mu między nogami i Malone stracił równowagę. Upadł przewracając przy tym puchar wypełniony do połowy szkarłatnym płynem. Szok był ogromny; po dziś dzień Malone nie był pewny co właściwie zobaczył – niemniej jednak, w snach wciąż jeszcze widzi tego kota, umykającego z czymś nieopisanie potwornym i zdeformowanym, w pyszczku. Niedługo potem dotarł do zamkniętych drzwi piwnicy i zaczął szukać czegoś, czym mógłby je wyważyć. Opoдал stał ciężki taboret, a jego twarde siedzenie było aż nadto wystarczające, by uporać się ze starym drewnem. Parę uderzeń i w drzwiach pojawiła się szczelina, po następnych powiększyła się, aż w końcu całe drzwi runęły.

Magle, jakby pod naporem "czegoś" z drugiej strony, z wnętrza pomieszczenia buchnął podmuch zawodzącego, lodowatego wicheru, niosącego ze sobą fetor bezkresnej, mrocznej, bezdennej otchłani, a w chwilę póź niej nieziemską i nie niebiańską ssącą moc, oplótła niewidzialnymi splotami sparaliżowanego detektywa i wciągnęła go do środka, a potem jeszcze dalej, w głąb niezmiernych przestrzeni, wypełnionych jękami, szeptami i wybuchami drwiącego, szyderczego śmiechu.

Oczywiście był to tylko sen. Mówili mu tak kolejni specjaliści, do których się zgłaszał. W gruncie rzeczy pewnie by się z nimi zgodził, gdyby nie to, że widok starych, ceglanych slumsów i ciemnych, cudzoziemskich twarzy wgrzył mu się zbyt głęboko w duszę. Wszystko co widział, i czego

doświadczyl było przeraźliwie realne i nic nie mogło przyćmić wspomnienia tych mrocznych, nocnych krypt, gigantycznych arkad i na wpół uformowanych piekielnych kształtów, które przechadzały się wielkimi krokami, dzierząc w swym uścisku na wpół pożarte, ale wciąż jeszcze żywe istoty, błagające o litość, albo zaśmiewające się obłąkańczo. Woń zgnilizny, rozkładu i kadzidełek przyprawiała o mdłości, a czarne powietrze tętniło życiem, wypełnione mglistymi, na wpół widzialnymi bezcielesnymi istotami, które miały oczy. Gdzieś tam, mroczne, oleiste fale biły w onyksowe skały nabrzeża, a raz, przyprawiające o dreszcze dzwonięcie maleńkich, ochrypłych dzwoneczków splotło się z szaleńczym chichotem nagiej, fosforescencyjnej Istoty, która nagle pojawiła się w polu widzenia detektywa. Podpłynęła do brzegu, wdrapała się nań i w chwilę potem wślizgnęła na stojący nieopodal ozdobnie rzeźbiony złoty piedestał, gdzie przycupnęła, szczerząc zęby w dzikim, drwiącym grymasie.

Alejki bezkresnej nocy zdawały rozciągać się we wszystkich kierunkach i można było sobie wyobrazić, że tutaj właśnie tkwiły korzenie plagi, której celem było skażenie i pochłanianie kolejnych miast, spowijanie całych narodów fetorem hybrydycznej zarazy.

To tu po raz pierwszy pojawił się kosmiczny grzech, i pienił się, gnijąc w najlepsze dzięki bluźnierczym rytuałom, zapoczątkowującym radosny marsz śmierci.

To tu Szatan miał swój babiloński dwór, a Lililh obmywała swe fosforyzujące, trawione trądem ciało we krwi niewinnych dzieci.

Inkuby i sukuby zawodziły chwalebne pieśni na cześć Hekate, a bezgłowe cielaki beczały do Magna Mater. Kozły baraszkowały w rytm muzyki cienkich przeklętych fletów, a egipany uganiały się bez końca za zdeformowanymi faunami, skacząc po kamieniach, skręconych i wielkich niczym nabrzmiące ropuchy, nie zabrakło też Molocha i Asztarota – w tej bowiem kwintesencji wszelkiego występku i potępienia zerwane zostały okowy świadomości, i człowiek był w stanie dojrzeć każdą istniejącą krainę

grozy i wszystkie zakazane wymiary, powstałe z mocy zła. Świat i natura były bezradne wobec tego typu ataków płynących z otwartych studni nocy, podobnie jak żaden święty znak czy modlitwa nie były w stanie powstrzymać walpurgicznej feerii koszmarów, która rozpętała się, gdy Suydam natknął się na horde, w zamkniętym – niczym puszką PANDORY – pełnym po brzegi kufrem emanującym demoniczną wiedzą.

Nagle gromadę zjaw omiół i przeciął strumień fizycznego światła, a Malone poprzez potok bluźnierstw istot, które powinny być martwe, usłyszał wyraźny plusk wiosł. W jego polu widzenia pojawiła się łódź, z latarnią na dziobie; przycumowała do żelaznego kołka w wilgotnym, oślizgłym kamiennym nabrzeżu i wyrzygała z siebie kilku ciemnoskórych ludzi dźwigających długi przedmiot zawinięty w prześcieradła. Dostarczyli ciężkie brzemie nagiej fosforescencyjnej Istocie na rzeźbionym złotym piedestale, a ta głośno zachichotała i delikatnie dotknęła dłonią zawiniątka. Tragarze zdjęli prześcieradła i przytrzymali przed piedestałem, w pozycji stojącej, nadzartego gangreną trupa korpulentnego staruszka o szczeciniastej brodzie i rozwichrzonych, siwych włosach. Fosforyzująca Istota ponownie zachichotała, a mężczyźni wyjęli z kieszeni flaszki i oblali stopy stworzenia czerwonym płynem, po czym podali mu następne butelki, aby mógł się napić.

W jednej sekundzie, z otoczonych po obu stronach arkadami bezkresnych alejek, dobiegło demoniczne rżenie i zawodzenie bluźnierczych, rozstrojonych organów, wyrażające w sardonicznych, jękliwych basowych nutach całą drwinę, szyderstwo i okrucieństwo piekła. Wszystkie poruszające się widma i demony zareagowały natychmiast, tworząc długi, upiorny ceremonialny korowód; przerażający pochód wyruszył w kierunku skąd dobywał się dźwięk – satyry, egipany, inkuby, sukuby i lemury, zdeformowane ropuchy i bezcielesne duchy, psiogłowe wyjce i milczące stworzenia kroczące w ciemności – wszystkie one, podążały w ślad za fosforyzującą Istotą, która zeszła ze złotego piedestału, a teraz stąpała wolno, unosząc na rękach szkliskie zwłoki mężczyzny.

Orszak zamykali tańczący śniadolicy mężczyźni, cały zresztą korowód tańczył, podskakiwał i szalał z istic dionizyjską zaciętością. Malone zrobił chwiejnie kilka kroków.

Był oszołomiony, otepiały i bliski utraty zmysłów. Zżerały go wątpliwości co do jego miejsca, lak w tym, jak i w każdym innym ze światów. W chwilę potem odwrócił się, zachwiał i osunął na zimne, wilgotne kamienie, z trudem chwytając powietrze i dygocząc na całym cieie, podczas gdy demoniczne ograny stękały upiornie, a zawodzenia oraz dźwięk bębnów i dzwoneków szalonej procesji, cichły coraz bardziej, w oddali.

Jak przez mgłę słyszał upiorny śpiew oraz przyprawiające o zgrozę wrzaski i skrzeczenia, rozlegające się gdzieś pośród mrocznych arkad. Od czasu do czasu dochodził go przeciągły jęk czy pełne ceremonialnego oddania zawodzenie, aż w końcu usłyszał ową przeraźliwą, grecką inkantację, której tekst przeczytał ponad kazalnicą w starym kościele – tancbudzie:

*"O przyjacielu i towarzyszu nocy, ty który radujesz się ujadaniem psów (tu dało się słyszeć wściekłe skowytanie) z przelaną krwią, (beziemienne dźwięki przeplatające się z upiornymi krzykami) , który wędrujesz między grobami, pośród najgłębszych cieni, (tu rozległo się syczące westchnienie) , który pragniesz krwi i sprowadzasz na śmiertelników dojmującą zgrozę, (krótkie, ostre okrzyki dobywające się z niezliczonych gardeł) , Gorgo, (powtórzona odpowiedź) , Mormo, (powtórzone z ekstazą) , księżycu o tysiącu twarzy! (westchnienia i dźwięki fletu) Spójrz przychylnie na nasze ofiary!"*

Kiedy pieśń dobiegła końca, dał się słyszeć pojedynczy, gromki okrzyk, a syczące dźwięki niemal całkowicie zagłuszyły jęk rozstrojonych organów. Po sekundzie rozległo się głośne westchnienie, po czym nieskończona rzesza, istna wieża bąbel rozmaitych gardeł połączyła się wypluwając z siebie warkotliwe, beczące, zjadliwe słowa:

*"Lilith, Wielka Lilith, spójrz na Twego Oblubieńca!" Kolejne okrzyki,*

*dziwny hałas, tupot kroków biegnącej postaci. Odgłos przybliżył się i Malone podniósł się na łokciu, aby się przyjrzeć.*

*Oświetlenie w krypcie, które ostatnio nieco osłabło, znów przybrało na sile, i w owym upiornym, diabelskim blasku pojawiła się sylwetka uciekającego; postaci, która nie powinna móc biec, odczuwać ani w ogóle oddychać: szklistookiego, gangrenicznego trupa korpulentnego starca, którego nie musiano już podtrzymywać, a którego animowały jakieś piekielne czary zakończonego przed chwilą rytuału. Tuż za nim biegła naga chichocząca, fosforyzująca Istota, należąca do rzeźbionego piedestału, a jeszcze dalej, zdyszani, śniadolicy mężczyźni i odrażająca czereda koszmarnych, bardziej lub mniej efemerycznych postaci.*

*Trup wysforował się znacznie naprzód i, jak wszystko na to wskazywało, zmierzał ku określonemu celowi, ściślej zaś mówiąc, ku rzeźbionemu, złotemu piedestałowi, obiektowi posiadającemu niewątpliwie ogromne znaczenie nekromantycznej natury. Gnał ku niemu, co siłą, na swych przeżartych zgnilizną kończynach. Jeszcze chwila i dopadł celu, podczas gdy ścigająca go zgraja wyraźnie i rozpaczliwie przyspieszyła. Spóźnili się jednak, gdyż ostatnim wysiłkiem – zrywając przy tym jedno ścięgno po drugim i tracąc całe płaty tkanek, które spadały na ziemię niczym trawiona rozkładem galareta, zapatrzony w dal trup, będący ongi Robertem Suydamem, osiągnął swój cel i triumf. Pchnięcie było potężne i pomimo ciężaru obiektu, odniosło skutek, a gdy pchający osunął się na kamienie, zmieniony w bezkształtną masę przegniłego ciała i kości, złoty piedestał zachwiał się, przechylił i runął z onyksowej podstawy w mroczne oleiste odmęty. Gdy spadał, jego rzeźbiona, złota powierzchnia, rozbłysła po raz ostatni, a potem wielki piedestał pogrążył się ciężko w bezdennej czeluści niższego Tartaru. W tej samej chwili, Malone przestał widzieć cokolwiek, koszmarna scena rozmyła się w szarawą plamę i detektyw stracił przytomność, choć w jego uszach jeszcze przez chwilę rozbrzmiewał przeraźliwy huk, który zdawał się towarzyszyć*

*zagładzie całego Uniwersum Zła.*

Sen Malone'a, przeżyty w pełni, zanim detektyw dowiedział się o śmierci Suydama i transferze na morzu, został osobliwie uzupełniony kilkoma dziwnymi faktami, związanymi ze sprawą, aczkolwiek nie ma najmniejszych podstaw, aby ktokolwiek miał w nie uwierzyć.

Trzy stare domy w Parker Place, bez wątpienia od dawna już przeżarte zgnilizną i rozkładem w jego najbardziej zdradzieckiej formie, zawały się, bez widocznej przyczyny, podczas gdy wewnątrz znajdowała się połowa przeprowadzających nalot policjantów i większość więźniów. Prawie wszyscy zginęli na miejscu.

Uratowali się jedynie ci, którzy znajdowali się w piwnicach i suterrenach – Malone zaś, miał szczęście, że przebywał wówczas głęboko w podziemiach domu Roberta Suydama. Bo rzeczywiście tu był – nikt nie mógł temu zaprzeczyć. Znalaziono go, nieprzytomnego, na skraju czarnej jak noc sadzawki z leżącym o kilka stóp od niego groteskowym, acz przerażającym stosem przeżartych zgnilizną tkanek i kości, zidentyfikowanych później, dzięki ekspertyzie dentystycznej, jako zwłoki Roberta Suydama.

Sprawa była oczywista – to właśnie tu prowadził podziemny kanał przemytników, ludzie zaś, którzy zabrali ciało Suydama ze statku sprowadzili je do domu. Ludzi tych nigdy nie odnaleziono, ani nawet nie zidentyfikowano, zaś lekarz okrętowy nie wydaje się jak na razie zadowolony z przeświadczeń policji.

Suydam był – jak wszystko na to wskazuje – przywódcą sporej siatki przemytników szmuglujących nielegalnych imigrantów, a kanał wiodący do jego domu był tylko jednym korytarzem z ogromnego kompleksu podziemnych tuneli, przecinającego całą dzielnicę. Inny kończył się w



krypcie pod starym kościołem – tancbudą, do której prowadziło jedyne sekretne przejście, wykute w północnej ścianie, gdzie odkryto nader osobliwe i odrażające rzeczy.

Znajdowały się tam rozstrojone organy, oraz kaplica o kopułowym sklepieniu, z wieloma rzędami drewnianych ławek i ołtarzem ozdobionym dziwnymi figurami. Wzdłuż ścian umieszczonych było siedemnaście niewielkich cel, w których – cóż za koszmar – znaleziono pojedynczych, zakutych w kajdany, pozbawionych zmysłów więźniów; były wśród nich cztery matki z podejrzanie dziwnie wyglądającymi dziećmi. Dzieci te zmarły zresztą, gdy tylko wyniesiono je na światło dzienne, co lekarze uznali za przejaw miłosierdzia bożego.

Spośród tych, którzy je badali nikt prócz Malone'a nic przypomniał sobie posępnego pytania Delrio:

"An̄ sint unquam deamonēs incubi et succubae, et an̄ ex tali congressu proles nasci a queat?"

Zanim kanały zostały zasypane, starannie je wybagrowano i wydobyto szokujące ilości ludzkich kości, zarówno pogruchotanych, jak i poprzecinanych ostrymi narzędziami. Tym samym odkryto rozwiązanie zagadki tajemniczej epidemii porwań, choć tylko dwóm ocalałym aresztantom można było postawić jakiekolwiek zarzuty. Obecnie znajdują się oni w areszcie, gdyż nie zdołano im udowodnić współudziału w zabójstwie.

Rzeźbionego, złotego piedestału czy też tronu, o którym tak często wspominał Malone, pomimo szeroko zakrojonych poszukiwań nie udało się odnaleźć, aczkolwiek stwierdzono, iż w jednym miejscu, pod domem Suydama, kanał był zbyt głęboki, aby można go było wybagrować.

Koniec końców, kiedy wznoszono piwnice nowych domów, wejścia do kanałów zostały zasypane i zamurowane; ale Malone często zastanawiał się co znajduje się w ich głębinach.

Policja, zadowolona, że udało im się rozbić niebezpieczny gang szaleńców i przemytników szmuglujących nielegalnych imigrantów, przekazała

uwolnionych od oskarżeń Kurdów władzom federalnym, które przed dokonaniem ich deportacji stwierdziły, iż wszyscy oni należeli do Yezydów, perskiego klanu czcicieli Szatana. Okrętu – trampa i jego załogi nigdy nie odnaleziono, choć cyniczni detektywi są ponownie gotowi stanąć do walki z tymi przemytnikami rumu i ludzi. Malone uważa, iż wykazują oni pożałowania godne ograniczenia w rozumowaniu, gdyż nie zastanawiają się nad całą masą niewyjaśnionych szczegółów i rzucającymi się w oczy niejasnościami całej sprawy; podobnie krytycznie odnosi się do gazet, które dostrzegły w aferze jedynie posępną, krwawą sensację i napawały się informacjami o pomniejszym, sadystycznym kulcie, podczas gdy mogły wydrukować na swych łamach artykuły o koszmarze z samego jądra wszechświata. Póki co jednak, detektyw przebywa na rekonwalescencji w Chepachel, uspokajając stargane nerwy i modląc się, by czas stopniowo przeniósł jego przerażające przeżycia ze sfery posępnej teraźniejszości w odległą dal obrazowej i na wpół mitycznej przeszłości.

Robert Suydam spoczywa obok swej małżonki na cmentarzu Greenwood. Nad jego szczątkami, odnalezionymi w tak osobliwy bądź co bądź sposób, nie odprawiono ceremonii pogrzebowej, zaś krewni z wdzięcznością przyjęli fakt, iż o całej sprawie bardzo szybko zapomniano. Nigdy zresztą nie udowodniono, że stary uczyony miał jakiś związek z koszmarnymi wydarzeniami w Red Hook.

O jego śmierci mówi się raczej niewiele, a Suydamowie mają nadzieję, że dla potomności pozostanie on jedynie łagodnym odludkiem, który interesował się folklorem i parą niegroźną odmianą magii.

Jeżeli chodzi o Red Mook, nic się tu nie zmieniło. Suydam pojawił się i odszedł – koszmar wydarzył się i przeminął, jednak zły duch ciemności i plugastwa nadal pleni się pośród mieszkańców starych ceglanych kamienic, a bandy opryszków w dalszym ciągu paradują w nieznanym celu przed oknami, w których pojawiają się i znikają niezliczone, zdeformowane twarze, a światła to zapalają się, to znowu gasną.

Wiekowy koszmar jest niczym tysiącgłowa hydra, a kulty ciemności zakorzeniły się pośród bluźnierstw głębiej niż wiedza Demokryta. Dusza bestii jest wszechobecna i triumfuje, zaś zamieszkałe w Red Mook legiony mętbookich, pryszczatych młodzieńców, nadal śpiewają, przeklinają i zawodzą podążając od jednej otchłani do drugiej, nie wiadomo dokąd ani skąd, gnani prawem biologii, których być może nigdy nie będzie im dane zrozumieć. Jak dawniej, więcej ludzi przybywa do Red Hook, niż je opuszcza, a plotki mówią o nowych kanałach, prowadzących pod ziemią do zakamuflowanych centrów handlu alkoholem i innymi, mniej sprecyzowanymi towarami.

Kościół praktycznie zupełnie przestał pełnić swą zasadniczą funkcję i do reszty zmienił się w tancbudę, i bywa, że w jego oknach nocami pojawiają się dziwne twarze. Miejscowy policjant wyraził ostatnio przypuszczenie, iż stara, zasypana krypta została na nowo odkopana, choć nie sposób stwierdzić, w jakim celu mianoby to uczynić. Kimże jesteśmy, aby zwalczać trucizny starsze niż historia i ludzkość? W Azji, w takt tych koszmarów tańczyły małpy, a w przeżartych grzybem, pleśnią i zgnilizną murach ceglanych kamienic, gdzie sekrety i tajemnice są na porządku dziennym, rak może spokojnie się ukrywać i pnieć w najlepsze.

Malone nie wzdraga się bez powodu – któregoś dnia, jeden z policjantów podsłuchał jak pewna skośnooka, śniadolica wiedźma, ukryta wraz z małą dziewczynką w cieniu jednej z bram, szeptem uczyła dziecko pewnej nader dziwacznej inkantacji.

Wyteżył słuch i uznał za wielce osobliwe słowa, które zdawała się powtarzać bez końca:

*"O przyjacielu i towarzyszu nocy, ty, który radujesz się ujadaniem psów i przelaną krwią, który wędrujesz między grobami, pośród najgłębszych cieni, który pragniesz krwi i sprowadzasz na śmiertelników dojmującą grozę: Gorgo, Mormo, Księżycu o tysiącu twarzy, spojrzij przychylnie na nasze*

*oflary!"*

# Zimno

Proście, bym wyjaśnił, dlaczego obawiam się przeciągów, drzę bardziej niż ktoś inny, wchodząc do zimnego pokoju, a gdy chłód wieczoru wypiera ciepło spokojnego, jesiennego dnia, zaczynam odczuwać wyjątkową odrazę i mdłości podchodzą mi do gardła. Są tacy, którzy twierdzą, że reaguję na zimno jak inni na drażniący odór, i bynajmniej nie zamierzam temu zaprzeczać. Pragnę obecnie przedstawić najbardziej przerażające zdarzenie, jakie przytrafiło się w moim życiu, wam zaś pozostawiam dokonanie osądu, czy stanowi ono wystarczające wytłumaczenie moich dziwactw.

Błędem jest wyobrażanie sobie, że groza nierozzerwalnie wiąże się z ciemnością, ciszą i samotnością. Ja napotkałem ją w świetle popołudniowego słońca, pośród hałasu ruchliwej metropolii w obskurnej, zaniedbanej kamienicy czynszowej i nie byłem bynajmniej sam, lecz z prozaiczną, nudną właścicielką i dwoma silnymi, roslymi mężczyznami. Wiosną 1923 roku podjąłem pracę w redakcji pewnego taniego, słabo się sprzedającego czasopisma w Nowym Jorku i nie mogąc uiszczać opłat za czynsz, zmuszony byłem krążyć od jednego taniego lokum do drugiego, w poszukiwaniu pokoju, który byłby w miarę zadbane, czysty i niezbyt drogi, a na dodatek umeblowany. Wkrótce przekonałem się, że mogę co najwyżej wybierać pomiędzy różnymi odmianami zła, aż pewnego dnia natknąłem się na dom przy Czternastej Zachodniej i wzbudził on we mnie mniejszą odrazę niż pozostałe.

Był to trzypiętrowy budynek z piaskowca, pochodzący z końca lat czterdziestych, wyłożony boazerią i marmurem, którego przyćmiony teraz nieco splendor zdawał się świadczyć o dawnej świetności. W pokojach, dużych, przestronnych, ozdobionych niezwyklej tapetą i groteskowo

ornamentowanymi stiukowymi karnesami czuć było przytłaczającą woń wilgoci i niemożliwy do określenia zapach jakichś potraw. Podłogi były czyste, pościel względnie porządna, a woda dostatecznie ciepła i rzadko wyłączana, tak więc uznałem to miejsce za dogodne do zahibernowania się w nim do czasu, aż uda mi się znów stanąć na nogi. Właścicielka, niechlujna, niemal brodata Hiszpanka nazwiskiem Herrero, nie zamęczała mnie plotkami i nie miała pretensji, że zbyt długo paliłem światło w swoim pokoju na drugim piętrze od frontu, moi współmieszkańcy zaś okazali się spokojnymi, cichymi, nie szukającymi wrażeń, stroniącymi od ludzi Latynosami o dość prymitywnej, niewymagającej naturze. Drażnić mógł jedynie hałas samochodów przejeżdżających ulicą.

Mieszkałem tam około trzech tygodni, kiedy wydarzył się pierwszy osobliwy incydent. Pewnego wieczoru około ósmej usłyszałem kapanie kropel na podłogę i uświadomiłem sobie, że już od pewnego czasu czuję drażniący odór amoniaku. Unosząc wzrok, ujrzałem, że sufit był mokry i przeciekał. Zalanie musiało nastąpić w kącie od strony ulicy. Pragnąc zapobiec niebezpieczeństwu, pospieszyłem do sutereny, by powiadomić właścicielkę, ta zaś zapewniła mnie, iż problem niebawem zostanie zażegnany.

– Dochter Munoz – zawołała, wbiegając przede mną po schodach – musiał rozlać swoje chymikalia. Jest za chory, aby samemu chodzić do lykarzy – stale się jemu pogarsza – ale ni życzy sobie żadnej pomocy. Muszem rzeknąć, że jest bardzo wydziwny w swojej chorobie – cały dzień bierze dziwnie pachnące kompiele, nie wolno się jemu denerwować ani przegrzewać. Sam sobie prząta – w jego małym mieszkaniu jest pełno butelek i machin – i nie pracuje jako doktor. Ale kiedyś był wielgi, mój ojciec w Barcelonie słyszał o niem – a jeszcze ni tak dawno wyleczył rękę hydraulikowi, który nagle zachorzał. Nigdy nie wychodzi, tylko na dach, a mój chłopak, Estaban, przynosi jemu jedzenie, pranie, lekarstwa i chymikalia. Mój Boże, tyn alamoniak on używa, coby siem schładzać!

Pani Herrero znikła na schodach prowadzących na trzecie piętro, a ja wróciłem do swojego pokoju. Amoniak przestał się sączyć, wytarłem powstałą kałużę i otworzyłem okno, aby przewietrzyć pokój. W chwilę potem usłyszałem ciężkie kroki właścicielki w pokoju powyżej. Doktora Munozę nigdy nie słyszałem, z wyjątkiem odgłosów wydawanych przez jakieś znajdujące się w jego pokoju urządzenie mechaniczne, stąpał bowiem łagodnie i miękko.

Zastanawiałem się przez chwilę, na jaką nietypową chorobę mógł cierpieć ów mężczyzna i czy upór, z jakim odmawiał pomocy z zewnątrz, nie był czasem spowodowany bezpodstawną ekscentrycznością. Wybitne osobistości tego świata często charakteryzują się nadmiernym patosem. Mógłbym nigdy nie poznać doktora Munozę, gdyby nie atak serca, który dosięgnął mnie niespodziewanie pewnego przedpołudnia, gdy siedziałem, pisząc, w swoim pokoju.

Lekarze ostrzegli mnie przed tym zagrożeniem, a ja wiedziałem, że nie mam czasu do stracenia. Przypominając sobie, co właścicielka powiedziała o pomocy udzielonej przez inwalidę choremu robotnikowi, wdrapałem się na górę i niezdarnie zapukałem do drzwi pokoju znajdującego się bezpośrednio nad moim. W odpowiedzi usłyszałem dobiegający nieco z prawej strony silny głos, który doskonałym angielskim zapytał, kim jestem i co mnie tu sprowadziło. Kiedy to wyjaśniłem, drzwi, obok tych, przed którymi stałem, uchyliły się nieznacznie.

Powitał mnie powiew zimnego powietrza, i choć ów późny czerwcowy dzień był jednym z najgorętszych tego roku, zadygotałem, przestępując próg i wchodząc do olbrzymiego apartamentu, którego bogaty, urządzony ze smakiem wystrój zdumiał mnie w porównaniu z resztą zaniedbanej i ogólnie dość nędznej czynszówki. Składana kanapa pełniła obecnie rolę dziennej sofy, a mahoniowe meble, okazałe draperie, stare obrazy i wytworne regały na książki zdradzały, już na pierwszy rzut oka, iż znalazłem się w pracowni dżentelmena, a nie, jak sądziłem, w sypialni kamienicy czynszowej.

Przekonałem się teraz, że „mały pokoiik” znajdujący się bezpośrednio nad moim, pełen butelek i maszyn, o których wspomniała pani Herrero, był, najkrócej mówiąc, laboratorium doktora; salon zaś urządzony był w przestronnym pokoju sąsiednim, gdzie wygodne nisze i pokaźna, przyległa łazienka mieściły wszelkie potrzebne mu rzeczy, sprzęty i urządzenia.

Doktor Munoz musiał być bez wątpienia człowiekiem wysokiego urodzenia, wyznającym przeróżne tradycje i dyskryminacje. Postać przede mną była niska, lecz wybornie proporcjonalna i przyodziana w strój zdradzający doskonałe dopasowanie i krój.

Arystokratyczne oblicze, pozbawione jednak aroganckiego wyrazu, zdobiła krótka, stalowoszara broda i staroświeckie pince-nez. Oczy były żywe i ciemne, a orli nos nadawał fizjonomii arabskiego akcentu, choć reszta rysów była bez wątpienia celtycka. Gęste, starannie przycięte włosy świadczące o regularnych wizytach fryzjera zgrabnie rozdzielały się nad wysokim czołem, cały obraz zaś mówił wyraźnie o zdumiewającej inteligencji, wysokim urodzeniu i błękitnej krwi płynącej w żyłach tego człowieka.

Mimo to kiedy ujrzałem doktora Munozę w podmuchu zimnego powietrza, poczułem odrazę, której nie mógł usprawiedliwić żaden szczegół jego wyglądu czy zachowania. Jedyne jego chorobliwie blada cera i chłód dotyku mogły stanowić powód owego odczucia, ale nawet powyższe mankamenty powinny być wybaczone, z uwagi na inwalidztwo owego człowieka.

Być może ten właśnie chłód był przyczyną silnej odrazy, zimno wydało mi się bowiem nienormalne w tak upalny dzień, a to, co anormalne, zwykle powoduje niechęć, nieufność i strach.

Niemniej jednak już wkrótce odraza prysła, przesłonięta podziwem, gdyż dziwny lekarz od razu ujawnił swe wyjątkowe zdolności zawodowe, pomimo lodowatego zimna i drżenia dłoni, które sprawiały wrażenie, jakby zupełnie odsączono je z krwi. Najwyraźniej na pierwszy rzut oka zrozumiał



me potrzeby i udzielił pomocy z mistrzowską wprawą.

Jednocześnie niezwykle modulowanym głosem, aczkolwiek dziwnie pustym i pozbawionym tembru, zapewnił mnie, że był najzagorzalszym spośród przeciwników śmierci i utracił całą fortunę oraz wszystkich przyjaciół, prowadząc wieloletni eksperyment, dzieło swego życia, mający na celu jej ostateczne pokonanie. Miał w sobie coś z zagorzałego fanatyka i stał się niemal uciążliwie gadatliwy, gdy osłuchiwał moją klatkę piersiową, a potem przygotował mieszankę jakichś leków przyniesionych z mniejszego pokoju laboratoryjnego. Najwyraźniej towarzystwo dobrze urodzonego mężczyzny było dlań w tym obskurnym miejscu przyjemną odmianą i pod wpływem fali wspomnień z dawnych, lepszych dni rozwiązał mu się język.

Jego głos, mimo iż dziwny, miał kojący wpływ, nawet nie czułem powiewu oddechu, gdy potok słów wypływał nieprzerwanie spomiędzy jego ust. Starał się odwrócić mą uwagę od ataku, opowiadając o swoich teoriach i eksperymentach. Pamiętam, jak taktownie pocieszał mnie, mówiąc o moim słabym sercu, i z uporem maniaka twierdził, iż wola oraz świadomość są silniejsze niż życie organiczne samo w sobie, tak więc, gdyby cielesną powłokę utrzymywano w doskonałym zdrowiu i starannie konserwowano, dzięki pewnym nerwowym wzmocnieniom wymienionych właściwości, można by osiągnąć całkiem wysoki stopień animacji nerwowej, i to pomimo najpoważniejszych urazów, defektów, czy wręcz braku większości kluczowych organów. Półżartem stwierdził, że któregoś dnia mógłby nauczyć mnie żyć – lub w każdym razie osiąść pewien poziom świadomej egzystencji – pomimo braku serca, jednego z najważniejszych ludzkich organów! Co się tyczy jego, cierpiał na rozliczne choroby wymagające szczególnego postępowania, w tym przebywania w stałym chłdzie. Każdy poważniejszy wzrost temperatury mógłby na dłuższą metę okazać się dlań fatalny, panujący zaś w mieszkaniu chłód, około 55–56° Fahrenheita, uzyskiwany był dzięki systemowi pochłaniania amoniakowego chłodziwa, owemu silnikowi spalinowemu, którego pracujące pompy słyszałem często w

swoim pokoju poniżej.

Gdy w zdumiewająco krótkim czasie ustąpiły wszelkie objawy ataku, opuściłem mroźny apartament jako oddany uczeń i przyjaciel osobliwego odludka. Od tej pory okutany w gruby płaszcz często składałem mu wizyty, słuchałem, podczas gdy on opowiadał o swych sekretnych badaniach i nieomal upiornych rezultatach, a niejednokrotnie widziałem, że dygotał, gdy przeglądałem niekonwencjonalne i zdumiewające stare woluminy na półkach jego biblioteczki. Muszę dodać, że w końcu, dzięki starannej opiece doktora Munoz, zostałem nieomal całkowicie wyleczony z mej choroby. Wyglądało na to, że nie podrwiwał on ze średniowiecznych inkantacji, wierzył bowiem, iż owe tajemne, mroczne formuły zawierały rzadkie psychologiczne bodźce, które mogły wywierać niezwykle efekty na całość systemu nerwowego, skąd wypływały wszelkie impulsy organiczne. Poruszyła mnie jego opowieść o starym doktorze Torresie z Walencji, z którym dzielił niegdyś eksperymenty i który pielęgnował go podczas ciężkiej choroby przed osiemnastu laty, odkąd, nawiasem mówiąc, zaczęły się jego trwające po dziś dzień dolegliwości zdrowotne. Sędziwy praktyk uratował swego kolegę po fachu, lecz niemal natychmiast sam zapadł na tę samą posępną, śmiertelną chorobę i został przez nią pokonany. Być może napięcie było zbyt wielkie – doktor Munoz stwierdził bowiem jasno – choć z pominięciem szczegółów – że metoda leczenia była doprawdy niezwykła, aczkolwiek niektórzy starsi i konserwatywni lekarze mogliby nie zaakceptować pewnych niezbędnych dla całości elementów terapii. W miarę upływu tygodni z żalem zauważyłem, że stan zdrowia mego nowego przyjaciela z wolna, acz regularnie ulega pogorszeniu, co wcześniej niejasno zasugerowała mi pani Herrero. Bładość jego lica stała się jeszcze bardziej uderzająca, głos bardziej pusty i niewyraźny, ruchy mięśni zatracaly koordynację, umysł zaś i wola zdradzały mniejszą bystrość, inicjatywę i elastyczność. Munoz również musiał chyba zdawać sobie sprawę z tej smutnej zmiany i powoli do jego zachowania oraz słów wkradła się posępna ironia, która ożywiła we mnie uśpioną dotychczas

odrazę, tak wyrazistą podczas naszego pierwszego spotkania.

Odkrył w sobie dziwne kaprysy, zamiłowanie do egzotycznych pachnideł i egipskich kadzidełek, aż w jego pokoju zaczęło pachnieć jak w grobowcu jednego z faraonów z Doliny Królów. Jednocześnie wzrosły jego potrzeby zimnego powietrza i z moją pomocą rozbudował układ rur z amoniakowym chłodziwem znajdujący się w jego pokoju, zmodyfikował zestaw pomp i maszynę chłodzącą, dopóki nie udało mu się osiągnąć poziomu temperatury rzędu 34–40°F, a ostatecznie nawet 28°F. W łazience i laboratorium, rzecz jasna, panował nieco mniejszy ziąb, aby woda nie zamarzała i by proces chemiczny nie uległ zahamowaniu. Sąsiad z mieszkania obok zaczął skarżyć się na chłód bijący od przejściowych drzwi, toteż pomogłem doktorowi usunąć ową niedogodność, obwieszając ścianę łączną wyjątkowo grubymi, ciężkimi zasłonami.

Odniosłem wrażenie, że doktora Munozę ogarnia coraz większy, narastający z dnia na dzień lęk, najczarniejsza z możliwych, posępna groza. Bez przerwy mówił o śmierci, ale wybuchał pustym śmiechem, gdy padały wzmianki o rzeczach takich jak pogrzeb czy przygotowanie do pochówku.

Tak czy inaczej, jowialny ongiś lekarz stał się człowiekiem burkliwym, ponurym i nieprzyjemnym, ja wszakże, wdzięczny za uleczenie, nie mogłem go opuścić i pozostawić obcym, toteż każdego dnia przychodziłem doń, by posprzątać pokój i pomóc mu załatwić wszelkie codzienne potrzeby. Na te okazje zakładałem kupiony specjalnie, gruby, bardzo ciepły płaszcz.

Robiłem również dla niego sprawunki i aż otwierałem oczy ze zdziwienia, widząc, jak potężne baterie środków chemicznych zamawiał u aptekarzy i w magazynach laboratoryjnych.

Wokół jego mieszkania zaczęła narastać niewytłumaczalna atmosfera paniki. Cały dom, jak już wspomniałem, przesycony był odorem wilgoci, niemniej smród w pokoju doktora był o wiele gorszy i wyczuwalny, pomimo wszelkich wonności, kadzidełek czy silnych środków chemicznych, używanych podczas nie mających końca kąpieli, odbywanych uparcie w

samotności, stwierdziłem przeto, iż fetor ów musi mieć jakiś związek z dręczącą Munozę dolegliwością, i wzdrygnąłem się, rozmyślając nad istotą jego choroby.

Pani Herrero przeżegnała się, kiedy na niego spojrzała, i opiekę nad nim przekazała wyłącznie mnie, zabroniła nawet swemu synowi, Estebanowi, załatwiać dla doktora codzienne sprawunki. Kiedy zasugerowałem sprowadzenie lekarza, chory nieomal wpadł w furję. Jeszcze nigdy nie widziałem kogoś równie wzburzonego. Najwyraźniej obawiał się fizycznych skutków swego brutalnego wybuchu, niemniej jego siła woli i poruszenie miast osłabnąć, jeszcze się wzmogły i stanowczo odmówił położeni a się do łóżka. Zmęczenie będące skutkiem przewlekłej choroby ustąpiło na rzecz zapалу do pracy i ożywienia, powrotu do celu stanowiącego wykładnię jego życia. Wydawało się, że rzucił zuchwałe wyzwanie demonowi śmierci, nawet gdy ów prastary wróg ucapił go już w swe mordercze szpony.

Symulacja spożywani a posiłków, która zawsze w jego przypadku wydawała się osobliwą formalnością, została całkowicie zarzucona; chyba już tylko mentalna moc chroniła go przed ostatecznym załamaniem.

Wyrobił w sobie nawyk sporządzania jakichś długich dokumentów, które starannie zapieczętowywał i przekazywał mi z zaleceniem, abym po jego śmierci doręczył je pewnym, ściśle określonym z nazwiska osobom – większość z nich zaadresowana była do Hindusów, ale jeden dokument miał trafić do rąk własnych sławnego ongiś francuskiego lekarza – powszechnie uważanego obecnie za zmarłego, na temat którego krążyły najróżniejsze, budzące trwogę, przekazywane najcichszym szeptem plotki. Kiedy to się stało, spaliłem wszystkie te pisma nie doręczone i nie otwierane. Jego wygląd i głos stał się wręcz przerażający, obecność zaś była nieomal nie do zniesienia. Pewnego wrześnieowego dnia na widok Munozę mężczyzna, który przyszedł naprawić lampkę elektryczną na jego biurku, doznał ataku epilepsji. Lekarz, zniknąwszy mu z oczu, przygotował, rzecz jasna, lekarstwo, które w mig poradziło sobie z ową dolegliwością. Mężczyzna ten,

i to chyba było najdziwniejsze, przeżył koszmar wielkiej wojny, nie doznawszy ani razu równie potężnego wstrząsu.

I nagle, w połowie października, nastąpiła niespodziewana jak grom z jasnego nieba kulminacja koszmarów. Którejś nocy, około jedenastej, zepsuła się pompa maszyny chłodzącej, tak że w ciągu trzech godzin proces oziębiania stał się niemożliwy. Doktor Munoz wezwał mnie, waląc w podłogę, i rozpaczliwie zabrałem się do dzieła, usiłując naprawić uszkodzenie, podczas gdy mój gość klął w głos, w którym brzmiała niemożliwa do opisanego, martwa, grzechocząca pustka. Moje amatorskie wysiłki okazały się wszelako bezskuteczne, a kiedy z pobliskiego, czynnego całą dobę warsztatu sprowadziłem mechanika, okazało się, że do rana usunięcie usterki jest niemożliwe, gdyż konieczne jest zdobycie i zamontowanie nowego tłoka. Gniew i lęk posępnego odludka narosły do groteskowych rozmiarów, wydawało się, że lada moment jego wynędzniała cielesna powłoka rozleci się na kawałki.

Nagle gwałtowny spazm sprawił, że mężczyzna przyłożył obie ręce do oczu i pognął do łazienki. Wychodząc, szukał drogi po omacku; twarz miał mocno zabandażowaną i nigdy już nie ujrzałem jego oczu.

Chłód w pomieszczeniu wyraźnie tracił na sile i około piątej nad ranem doktor powrócił do łazienki, nakazując, bym przyniósł mu tyle lodu, ile zdołam zdobyć we wszystkich dostępnych kafeteriach i drogeriach. Powracając z kolejnych wycieczek i pozostawiając zdobyty lód przed zamkniętymi drzwiami łazienki, słyszałem tylko niepokojący plusk dobiegający z wnętrza i ochrypły głos skrzeczący ponaglająco: – Jeszcze! Jeszcze! – W końcu nastał ciepły dzień i otwarto kolejne sklepy.

Poprosiłem Estebana, aby pomógł mi, dostarczając lód, podczas gdy ja pojedę po pompę, albo by przywiózł pompę, a ja będę wciąż znosił do domu lód. On jednak zgodnie z zaleceniem matki stanowczo odmówił.

W końcu wynająłem mocno zaniedbanego nieroba, którego spotkałem na rogu Ósmej Alei, aby donosił pacjentowi lód z niewielkiego sklepiku, w

którym go przedstawiłem, a sam zająłem się odszukaniem właściwej pompy tłoczącej i zaangażowaniem zespołu fachowców, którzy by ją zainstalowali. Zadanie to zdawało się nie mieć końca i wściekałem się niemal równie mocno, jak mój odludek, tracąc godzinę za godziną na bezskuteczne telefony i gorączkowe przemieszczanie się z miejsca na miejsce, zarówno metrem, jak i samochodem.

Około południa natrafiłem na właściwy sklep z częściami do maszyn, znajdujący się daleko w śródmieściu i około wpół do drugiej po południu wróciłem do czynszówki z całą pompą i dwoma krzepkimi, znającymi się na rzeczy monterami. Uczyniłem, co w mej mocy, i miałem nadzieję, że zdążyłem na czas.

Czarna zgroza najwyraźniej dotarła na miejsce przede mną. W domu panował nieopisany chaos, a pośród bełkotu przerażonych głosów usłyszałem głęboki bas jakiegoś modlącego się mężczyzny. Zło czaiło się w powietrzu, a mieszkańcy domu, przesuwając w dłoni paciorki różańca, opowiadali, jak poczuli przeraźliwy odór bijący spod zamkniętych drzwi apartamentu doktora. Wałkoń, którego wynająłem, jak się okazało, umknął, krzycząc i tocząc obłąkańczo oczyma, niedługo po dokonaniu drugiej dostawy lodu – być może było to skutkiem jego nadmiernej ciekawości. Nie mogłem, rzecz jasna, zamknąć za sobą drzwi, a jednak teraz były one zamknięte na głucho – najprawdopodobniej od wewnątrz.

Ze środka nie dobiegał żaden odgłos z wyjątkiem jakiegoś nieokreślonego, powolnego plusku kapiących kropeł. Po krótkiej konsultacji z panią Herrero i monterami, pomimo grozy zżerającej mą duszę, doradziłem, aby wyłamano drzwi. Właścicielka zdołała jednak jakimś dziwnym narzędziem z drutem przekręcić klucz w zamku od zewnątrz. Wcześniej pootwieraliśmy drzwi do wszystkich innych pokoi w korytarzu i okna na całą szerokość.

Teraz z chusteczkami przy nosach, na drżących nogach weszliśmy do przeklętego południowego pokoju, którego wnętrze skąpane było w ciepłych promieniach wczesnopopołudniowego słońca.

Od otwartych drzwi łazienki ciągnął się dziwny, ciemny, śluzowaty ślad, prowadząc do drzwi na korytarz, a stamtąd do biurka, gdzie utworzyła się całkiem pokaźna, mrożąca krew w żyłach kałuża. Na blacie leżała kartka, na której upiorna, prowadzona na oślep ręka nakreśliła pospiesznie krótki list. Papier był potwornie pomazany, jakby przez straszliwe szpony, które przesuwały się po kartce wraz z pozostawianymi na niej słowami. Stamtąd szlak prowadził do kanapy i tam też się kończył. Tego, co znalazło się lub znajdowało na kanapie, nie mogę i nie ośmielę się tu opisać. Oto jednak, co udało mi się nie bez trudu odczytać z usmarowanej lepką mazią kartki papieru, zanim zapaliłem zapalną i zmieniłem ją w popiół; oto, czego dowiedziałem się, zdjęty grozą, podczas gdy właścicielka i dwaj mechanicy wybiegli jak szaleni z tego piekielnego pokoju, by przeraźliwie bełkocząc, złożyć na najbliższym komisariacie nieskładne, mętne zeznania.

Owe upiorne słowa w złocistych promieniach słońca wydawały się wręcz niewiarygodne, gdy odczytywałem je przy wtórze ryku aut i ciężarówek sunących hałaśliwie wzdłuż zakorkowanej Czternastej Ulicy, niemniej przyznać muszę, że nawet wtedy uwierzyłem w ich prawdziwość. Czy wierzę w nie teraz – szczerze mówiąc, nie wiem. Są rzeczy, o których lepiej nie debatować i jedyne, co mogę powiedzieć, to, że nie cierpię woni amoniaku, a nagły podmuch zimnego powietrza nieomal przyprawia mnie o omdlenie.

„To już koniec – brzmiały słowa nagryzmołone drżącą ręką. – Nie ma już lodu, a dostawca tylko raz rzucił na mnie okiem i uciekł. Z każdą minutą jest coraz cieplej, tkanki nie wytrzymają długo. Przypuszczam, że wiesz – to, co mówiłem na temat woli, nerwów i konserwacji ciała, kiedy organy przestają funkcjonować. To była dobra teoria, lecz nie dało się podtrzymać procesu w nieskończoność. Następowало stopniowe pogorszenie, zepsucie tkanek, którego nie przewidziałem. Doktor Torres wiedział o tym, ale zmarł wskutek szoku.

Nie mógł znieść tego, co musiał uczynić. Jeśli miał postąpić zgodnie z moimi zaleceniami, powinien umieścić mnie w jakimś specyficznym,

ciemnym miejscu, gdzie mógłbym odzyskać zdrowie. Organy, które raz wysiadają, nie zaczynają ni stąd, ni zowąd działać od nowa. To musiało być zrobione po mojemu – w grę wchodziła tylko sztuczna konserwacja – bo widzisz, ja nie przeżyłem tej choroby, umarłem równo osiemnaście lat temu”.



Zostałem zmuszony, aby opowiedzieć moją historię, gdyż nie znając konkretnych powodów, naukowcy z pewnością nie posłuchaliby mej rady. Muszę przy tym nadmienić iż powody, dla których sprzeciwiam się ponownemu wtargnięciu na terytorium Antarktydy z kompleksowymi poszukiwaniami skamielin, wierceniami i topieniem pradawnych pokryw lądowych, wyjawiam absolutnie wbrew mojej woli. Waham się tym bardziej, że ostrzeżenia moje mogą okazać się daremne. Powątpiewanie w oczywiste fakty, które zmuszony Jestem ujawnić jest nieuniknione, gdybym jednak opuścił bądź przemilczał to co wyda się szalone i niewiarygodne, nic by praktycznie nie pozostało, na moją korzyść świadczyć będą ukrywane dotąd zdjęcia, zarówno zwykłe jak i lotnicze, są one bowiem nad wyraz żywe i plastyczne.

Wątpliwości mogą wzbudzić jedynie z tego względu, iż zręczne oszustwo praktycznie nie ma granic. Szkice wykonane tuszem zostaną, rzecz Jasna, wykpione jako przykład jawnego szalbierstwa, niemniej Jednak eksperci powinni bez trudu dostrzec dziwaczność owej techniki i mocno się nad nią zastanowić. Ostatecznie muszę zdać się na osąd i opinię tych nielicznych ekspertów, którzy z jednej strony wykazują dostateczną niezależność umysłu by ocenić moje argumenty zgodne z ich plugawym, przekonującym meritum, a z drugiej strony posiadających wystarczający wpływ by powstrzymać badaczy z całego świata przed prowadzeniem niefortunnych prac w pasmach Gór Szaleństwa. Tak się nieszczęśliwie składa, że ludzie tacy jak ja i moi towarzysze, związani z małym uniwersytetem, mają raczej niewielką szansę wywrzeć jakikolwiek wpływ tam, gdzie w grę wchodzi sprawy tak przerażająco dziwne, czy o tak kontrowersyjnej naturze. Na naszą niekorzyść

świadczy również fakt, iż nie jesteśmy sensu stricte specjalistami w dziedzinach o które, przede wszystkim, tutaj chodzi. Moim głównym zadaniem jako geologa wchodzącego w skład Ekspedycji Uniwersytetu Miskatonic było uzyskanie próbek skał i gleb z różnych obszarów kontynentu antarktycznego, do czego służyć miał znakomity świder wynaleziony przez profesora Franka M. Pabodiego, z wydziału inżynierii naszej uczelni. Nie miałem najmniejszej ochoty zostać pionierem na jakimkolwiek innym polu i żywiłem jedynie nadzieję, iż badając z pomocą naszego nowego mechanicznego urządzenia eksploatowane już wcześniej miejsca, dotrę do nowych materiałów, które dotąd, przy użyciu tradycyjnych metod wydobywczych, były nieosiągalne. O czym powiadomiliśmy opinię publiczną w naszych doniesieniach, aparatura wiertnicza Pabodiego okazała się wyśmienita: łatwa w obsłudze, wyjątkowo lekka i przenośna, a dzięki temu że obok zwykłych urządzeń do wierceń artyleryjskich zastosowano w niej system niewielkich, kolistych świdrów skalnych, błyskawicznie i bez trudu radziła sobie z warstwami o różnej twardości.

Stalowa głowica, połączone pręty, silnik benzynowy, składany, drewniany dźwig, ładunki dynamitu, detonatory i przewody elektryczne, świder do usuwania odpadów geologicznych i składany transporter rurowy o średnicy pięciu cali, pozwalający na wiercenia do głębokości tysiąca stóp, tworzyły ogółem ładunek mieszczący się na trzech saniach, ciągniętych przez zaprzęgi, złożone z siedmiu psów każdy. Było to możliwe dzięki przemysłnemu stopowi aluminium, z którego wykonano większość metalowych części. Cztery duże samoloty, specjalnie przystosowane do lotów na ogromnych wysokościach nad płaskowyżem Antarktydy wyposażone w podgrzewacze paliwa i dopalacze, były w stanie przenieść całą naszą ekspedycję z bazy na skraju wielkiej bariery lodowej, do wybranych przez nas miejsc wewnątrz kontynentu; stamtąd dalej podążać mieliśmy zaprzęgami. Planowaliśmy spenetrować terytorium tak odległe jak tylko pozwoli na to jeden antarktyczny sezon – a może dłużej, gdyby okazało się to absolutnie

niezbędne – przy czym mieliśmy działać głównie w masywach górskich i na płaskowyżu, na południe od Morza Rossa; w rejonach zbadanych już w różnym stopniu przez Shackletona, Amundseną, Scotta i Byrda.

Zamierzaliśmy często zmieniać obozowiska i pokonywać samolotem odległości na tyle duże by mogły okazać się znaczące pod względem geologicznym, spodziewaliśmy się uzyskać ogromną ilość materiałów, zwłaszcza okazów pochodzących z warstw prekambryjskich, jakich do tej pory na Antarktydzie zebrano niewiele, Pragnęliśmy zebrać również jak najwięcej skał, zawierających skamieliny, bowiem informacje na temat pierwotnego życia w tej pusepnej krainie lodu i śniegu, mają ogromne znaczenie dla wiedzy o przeszłości ziemi.

Na Antarktydzie panował tropikalny klimat, obfitujący w formy życia tak roślinnego jak i zwierzęcego, z których do dziś przetrwały jedynie, żyjące na północnych wybrzeżach kontynentu, pospolite porosty, pajęczaki i pingwiny; znakomita okazja by rozwinąć, wzbogacić i uściślić ową wiedzę. Gdyby podczas któregoś z wierceń udało się nam natrafić na skamieliny, mieliśmy rozszerzyć nawiert przy pomocy ładunku dynamitu i wydobyć okazy o odpowiednich rozmiarach i w odpowiednim stanie.

W skład wyprawy wchodziły cztery osoby z Uniwersytetu: Pabodie, Ląkę z wydziału biologii, Atwood z wydziału fizyki (zajmujący się też meteorologią) oraz ja, reprezentujący geologię, sprawujący nominalne funkcje kierownika ekspedycji. Oprócz nas było jeszcze szesnastu pomocników – siedmiu absolwentów uczelni i dziewięciu zdolnych mechaników. Z tych szesnastu, dwunastu posiadało kwalifikacje pilotów i, za wyjątkiem dwóch, kwalifikacje operatorów radiowych; dodać należy iż ośmiu spośród nich znało się na nawigacji, i potrafiło posługiwać się kompasem i sekstansem, podobnie jak Pabodie, Atwood i ja. Do tego rzecz jasna dochodziły pełne załogi dwóch naszych statków, byłych jednostek wielorybnych, których drewniane kadłuby specjalnie wzmocniono i w których zamontowano dodatkowe kotły paro we. Ekspedycję finansowała

Fundacja N. D. Pickmana wsparta paroma innymi dotacjami; dzięki temu, mimo braku wielkiej reklamy mogliśmy poczynić nader gruntowne przygotowania. Psy, sanie, maszyny, sprzęt obozowy oraz pięć rozłożonych na części samolotów dostarczono do Bostonu i tam załadowano na statki. Cel mieliśmy jasno określony, wyposażenie doskonałe, a w takich kwestiach jak odpowiednie zaprowiantowanie.

organizacja, transport czy budowa obozów korzystaliśmy z doświadczeń wielu nad wyraz wybitnych poprzedników, leli liczba i sława jaką się cieszyli sprawiły, że nasza wyprawa, pomimo iż tak hojnie zaopatrzona, przeszła, praktycznie rzecz biorąc, nie zauważona.

Wypłynęliśmy z portu w Bostonie drugiego września 1950 roku, płynąc niezbyt szybkim kursem wzdłuż wybrzeża, przez kanał Panamski i zatrzymując się na Samoa i w Hobart, na Tasmanii. Tam zabraliśmy na pokład resztę zaopatrzenia, nikt z naszej grupy badawczej nic był dotąd w rejonach podbiegunowych i wszyscy polegaliśmy głównie na kapitanach naszych statków – J. B. Douglasie, dowódcy brygu "Arkham", i całego morskiego etapu wyprawy, i Georgu Thorfinnsenie, kapitanie statku "Miskatonic". Obaj byli starymi wilkami morskimi, weteranami wypraw wielorybnych.

Im dalej zostawialiśmy za sobą zamieszkały świat, tym niżej słońce zapadało po północnej stronie, pozostając jednocześnie każdego dnia coraz dłużej nad horyzontem. Na wysokości mniej więcej 62 stopnia szerokości południowej ujrzeliśmy pierwsze góry lodowe, przypominające stoły, a tuż przed osiągnięciem kręgu polarnego, którego przecięcie w dniu 20 października uczciliśmy tradycyjną i oryginalną ceremonią, napotkaliśmy pierwsze poważne kłopoty z polem lodowym.

Przedzierając się przez lód, którego połać nie była na szczęście ani zbyt rozległa ani zbyt gruba, na 68 stopniu szerokości południowej i 175 stopniu długości wschodniej, wyszliśmy na otwarte wody. Rankiem, dwudziestego szóstego października od strony południowej oczom naszym ukazał się

lśniący potężny ląd, a przed południem, drżąc z emocji oglądaliśmy rozległy, wyniosły, pokryty śniegiem łańcuch górski rozciągający się aż po skraj horyzontu. Tak oto, nareszcie dotarliśmy do najbardziej wysuniętego przyczółka wielkiego, nieznanego kontynentu i tajemniczego, mrocznego świata lodowej śmierci. Szczyty te należały, rzecz jasna, do odkrytego przez Rossa Masywu Admiralicji; teraz zadaniem naszym było opłynąć przylądek Adare i przepłynąć dalej wzdłuż wschodniego wybrzeża Ziemi Wiktorii, do miejsca w którym mieliśmy rozbić bazę, u brzegów cieśniny NcMurdo, u stóp wulkanu Erebus na 77 stopniu 9 minucie szerokości południowej.

Ostatni etap podróży był barwny i wpływał pobudzająco na wyobraźnię. Ogromne, nagie, tajemnicze wierzchołki majaczyły nieprzerwanie wzdłuż zachodniej strony nieba, podczas gdy nisko wiszące słońce, ukazujące się w południe po północnej stronie skapywało przymglonym czerwonym blaskiem na biały śnieg, błękitnawy lód, pasma wód i czarne połacie odsłoniętych, granatowych stoków. Straszliwe podmuchy upiornego, antarktycznego wiatru omiatały nagie wierzchołki gór, zawrota wicheru przywodziły niekiedy na myśl dziką, ledwo wyczuwalną melodię o szerokiej, zgoła obłądnej, gamie tonów, które w niewytłumaczalny, podświadomy sposób kojarzyły mi się z czymś niepokojącym, a nawet wręcz przerażającym. Cała sceneria przywodziła na myśl azjatyckie malarstwo Micholasa Koericha, i jeszcze bardziej zatrważające opisy owianego złą sławą płaskowyżu Leng z kart mrozącego krew w żyłach, bluźnierczego i plugawego "Necronomiconu" szalonego Araba, Abdula Alhazreda. Wielokrotnie później żałowałem, że w ogóle zajrzałem do tej potwornej księgi, w bibliotece Uniwersytetu Miskatonic.

7 listopada straciliśmy chwilowo z oczu pasmo gór po zachodniej stronie, minęliśmy wyspę Franklina, a następnego dnia ujrzeliśmy przed nami szczyty gór Erebus i Terror na wyspie Rossa, za nimi zaś długą linię Gór Perryego. Na wschodzie ciągnęła się gruba, biała krecha zapory lodowej, sięgająca 200 stóp wysokości i przypominająca skaliste urwiska w Quebecu;

zapowiadała ona kres żeglugi w kierunku południowym. Po południu weszliśmy do cieśniny McNurdo i rzuciliśmy kotwicę w cieniu dymiącego Erebusa. Pokryty żużlem wierzchołek wulkanu o wysokości 12.700 stóp przypominał Świętą Fuji, z japońskich malowideł. Za nim, niczym biały upiór, wznosił się Terror, wygasły już dziś wulkan mierzący 10.900 stóp. Kłęby dymu buchały z otworu Erebusa raczej sporadycznie i jeden z absolwentów, zdolny, młody chłopak nazwiskiem Danforth, wskazał coś co przypominało lawę pokrywającą śnieżne stoki. Stwierdził przy tym, iż góra ta, odkryta w 1840 r. była bez wątpienia inspiracją dla Poe'go, który w siedem lat później napisał:

*"Siarką cuchnące lawy, gęste strugi  
nieustannie spływają w dół po zboczach Yaanck  
W najdalszych polarnych krainach  
Jęczą spływając w dół po zboczach Yaanck  
W lodowych, krainach polarnych zórz."*

Danforth był miłośnikiem mrocznych lektur i dużo opowiadał o Poe'm. Mnie osobiście zainteresował antarktyczny wątek jedyne, długiego opowiadania Poe'go – wstrząsającego i enigmatycznego "Arthura Gordona Pyma".

Na bezludnym wybrzeżu i wyrosłej zaporze lodowej niezliczone ilości groteskowych pingwinów popiskiwały, machały skrzydłami; w wodzie zaś, i na rozległych krach dryfującego powoli lodu, pływały lub przewalały się tłuste, leniwe foki. Krótco po północy, 8 listopada, przy pomocy niewielkich łodzi dokonaliśmy trudnego lądowania. Jednocześnie przeciągnęliśmy z każdego ze statków kabel, przygotowując się do wyładunku zapasów przy pomocy boi. Pierwsze kroki na Antarktydzie pozostawiły w naszej pamięci niezatarte wrażenie, pomimo iż dotarły tu już wcześniej wyprawy Scotta i Shackletona. Masz obóz, założony na skutym lodem wybrzeżu, u stóp

wulkanu był jedynie obozem tymczasowym, kwatera główna wciąż znajdowała się na pokładzie "Arkham". Wyładowaliśmy sprzęt wiertniczy, psy, sanie, namioty, żywność, zbiorniki z benzyną, ekwipunek do topienia lodu, aparaty fotograficzne – zarówno te zwykłe jak i do zdjęć lotniczych, części samolotowe oraz inne akcesoria wraz z przenośnymi radiostacjami, które – obok tych zamontowanych na samolotach – były dostatecznie silne, by za ich pośrednictwem połączyć się z potężną aparaturą nadawczo–odbiorczą na "Arkham" z dowolnego miejsca na kontynencie antarktycznym. Aparatura na statku, za pomocą której utrzymywaliśmy bezpośredni kontakt ze światem zewnętrznym, przesyłać miała raporty prasowe do ogromnej stacji radiowej "Arkham Advertiser" w King–sport Mead, w Massachusetts. Mieliśmy nadzieję, że zdołamy zakończyć nasze prace w przeciągu antarktycznego lata, gdyby jednak okazało się to niemożliwe, mieliśmy przezimować na "Arkham", a jednocześnie, nim lód skuje wodę, wysłać "Miskatonic" na północ, po zaopatrzenie na kolejny sezon.

Nie muszę powtarzać tego, co pisano w gazetach na temat naszych wstępnych działań; o wejściu na górę Erebus, czy uwieńczonych sukcesem wierceniach mineralogicznych w Kilku punktach na wyspie Rossa, Które – mimo iż dokonano ich w skalnym podłożu – przebiegły nad wyraz sprawnie. Było to tylko i wyłącznie zasługą Pabodiego i jego aparatury. Nie będę też wspominał tu o pierwszej próbie wykorzystania urządzenia do topienia lodu czy o ryzykownym wejściu z saniami i zaopatrzeniem na wielką zaporę lodową, ani o tym jak w obozie na szczycie zapory zmontowaliśmy pięć wielkich samolotów. Zdrowie dopisywało całej naszej grupie, złożonej z dwudziestu mężczyzn i pięćdziesięciu alaskańskich psów zaprzęgowych, aczkolwiek należy nadmienić iż nie zetknęliśmy się jeszcze z naprawdę zabójczymi temperaturami i wiatrami. Temperatura wahała się w granicach między 0 a +25 stopni, a podobne mrozy występowały zimą w Płowej Anglii i byliśmy do nich przyzwyczajeni. Obóz na zaporze był również tymczasowy i pełnił wyłącznie funkcję magazynu na benzynę, żywność, materiały

wybuchowe i inny sprzęt, na początek, do przewozu sprzętu badawczego potrzebowaliśmy tylko czterech samolotów. Piąty, na wypadek gdybyśmy utracili pozostałe maszyny i gdyby zaszła konieczność dostarczenia nas na "Arkham", pozostał w bazie zaopatrzeniowej pod opieką pilota i dwóch ludzi z załogi statku.

Później, gdy nie będziemy potrzebować wszystkich czterech samolotów do przewozu sprzętu, planowaliśmy używać jednego lub dwóch z nich do transportu wahadłowego, między bazą zaopatrzeniową, a obozem stałym na olbrzymim płaskowyżu oddalonym od nas o 600–700 mil na południe, leżącym już za połączeniem lodowca Beardmore'a. Na przekór nieomal jednomyślnym opiniom o przerażających wichrach i burzach śnieżnych atakujących z tego właśnie płaskowyżu, postanowiliśmy, gwoźli ekonomice i efektywności naszych działań, obyć się bez obozów pośrednich. Raporty radiowe donosiły o odbytym 21 listopada przez naszą eskadrę, zapierającym dech w piersiach czterogodzinnym locie non-stop. Lecieliśmy ponad dumną, lodową pustynią, gdzie słycać było tylko ciszę. Wiatr nie sprawiał nam większych kłopotów i radiokompasy przydały się tylko raz, kiedy trafiliśmy w gęstą mgłę. Pomiędzy szerokością 85 i 84 stopnia ujrzelśmy rozległą połąć ogromnego wzniesienia; uświadomiliśmy sobie, że dotarliśmy do lodowca Beardmore'a, największej doliny lodowcowej świata. Znaleźliśmy się wreszcie w prawdziwym, martwym od wieków, białym świecie najdalszego południa. Wtedy też dostrzegliśmy daleko na wschodzie, wierzchołek góry Plansen, wznoszący się na wysokość prawie 15.000 stóp.

Pomyślne założenie bazy południowej ponad lodowcem, na szerokości 86 stopni 7 minut i 174 stopniu 25 minucie długości wschodniej, oraz niewiarygodnie szybkie i sprawne wiercenia, prace geologiczne w różnych punktach, do których dotarliśmy czy to saniami, czy też odbywając krótkie loty samolotami, należą już do historii. To samo tyczy się uciążliwego, choć triumfalnego wejścia na górę Plansen, dokonanego przez Pabodiego i dwóch absolwentów uczelni – Gedney i Carrola, w dniach między 12 a 15 grudnia.



Kiedy znajdowaliśmy się na wysokości około 8.500 stóp nad poziomem morza, próbne wiercenia wykazały, iż w pewnych miejscach stały grunt znajduje się zaledwie 12 stóp pod powierzchnią śniegu i lodu. Wykorzystaliśmy zatem naszą aparaturę do topienia lodu; wytopiliśmy otwory strzelnicze i użyliśmy dynamitu w wielu takich miejscach, gdzie żadnemu z wcześniejszych badaczy nie zaświtała nawet myśl o poszukiwaniu minerałów.

Uzyskane w ten sposób próbki granitu prekambryjskiego i piaskowca potwierdziły nasze przypuszczenia, iż płaskowyż ów był homogeniczny, z olbrzymią masą kontynentu na zachodzie, ale różniący się nieco od części leżących na wschodzie, poniżej Ameryki Płd. który, jak sadziliśmy uformował mniejszy, odrębny kontynent oddzielony od większego zamarzniętymi połączeniami mórz Kossa i Weddella, aczkolwiek Byrd odrzucał tę hipotezę.

Wewnątrz niektórych piaskowców, które, celem poznania ich natury, wysadzaliśmy dynamitem i kruszyli, odnaleźliśmy pewne nader interesujące ślady i odłamki skamielin – głównie paproci, wodorostów, trylobitów, liliowców oraz mięczaków, jak *Linguellae* i gastropody; wszystko to miało ogromne znaczenie dla pierwotnej historii tego regionu. Natrafiliśmy również na osobliwy, trójkątny, prążkowany odcisk mierzący w najszerszym miejscu stopę średnicy, który Lake złożył z trzech fragmentów płytki łupku, wydobytej z otworu po wierceniu dokonanym na wyjątkowo dużej głębokości. Miejsce, gdzie odkryliśmy owe fragmenty znajdowało się na zachodzie, w pobliżu Gór Królowej Aleksandry i Lake, jako biolog, dostrzegł w tych intrygujących odciskach coś wyjątkowo zagadkowego i ekscytującego. W moim mniemaniu, jako geologa, łupek ten nie różnił się niczym od innych skał osadowych. Jest on wszak formacją metamorficzną, w którą wprasowana została warstwa osadowa, a ciśnienie powoduje deformacje wszelkich zaistniałych w nim odcisków, nie widziałem więc powodu, aby aż do tego stopnia przejmować się, czy ekscytować owym

prążkowanym wgłębieniem.

Kiedy szóstego dnia Lake, Fabodie, Daniels, sześciu absolwentów, czterech mechaników i ja przelatywaliśmy na pokładzie dwóch samolotów nad brzegiem południowym, nagły, porywisty wiatr, który na szczęście nie przerodził się w śnieżną burzę, zmusił nas do lądowania. Był to, jak podały gazety, jeden z nielicznych epizodów w czasie kilku lotów obserwacyjnych, podczas których staraliśmy się określić nowe szczegóły topograficzne na obszarach, gdzie nie dotarli dotąd badacze. Wcześniejsze loty, które pod tym względem nas rozczarowały dostarczyły w zamian kilku olśniewających przykładów Fantastycznych, zwodniczych miraży, występujących na terenach polarnych, Których podróż morską data nam zaledwie mizerny przedsmak. Odległe góry wznosiły się na niebie niczym zachwycające, czarodziejskie miasta i bywało, że cały biały świat zmieniał się w złotą, srebrzystą i szkarłatną krainę, jakby zrodzoną z marzeń i imaginacji Dunsanyego, skąpaną w magicznym blasku wiszącego nisko na niebie słońca. W pochmurne dni miewaliśmy znaczne kłopoty z lotami, bowiem niebo zlewało się z ośnieżoną ziemią, przeistaczając się w jedną, mistyczną, mieniającą się wszystkimi barwami tęczy pustkę i nie sposób było dostrzec horyzontu rozdzielającego ziemię od nieba. Ostatecznie postanowiliśmy zrealizować nasz pierwotny plan pięćsetmilowego lotu na wschód przy użyciu wszystkich czterech samolotów, i założyć nową bazę przejściową na, jak mylnie sądziliśmy, mniejszej części kontynentu. Okazy geologiczne, które planowaliśmy tam uzyskać mogły okazać się niezwykle cenne, że względów porównawczych.

Jak dotąd zdrowie nieodparcie nam dopisywało – sok z limonów idealnie kompensował monotonność diety opartej na puszkowej, mocno solonej żywności, zaś temperatury, utrzymujące się generalnie powyżej zera, pozwalały nam obywać się bez najgrubszych futer.

Był środek lata, więc śpiesząc się, choć wykonując sumiennie wszystkie obowiązki, mogliśmy zakończyć naszą działalność do marca, unikając tym

samym nudnego zimowania podczas długiej, antarktycznej nocy. Z zachodu nadeszło kilka srogich huraganów, ale uniknęliśmy szkód dzięki zapobiegliwości Atwooda, który wymyślił schrony dla samolotów oraz wiatrochrony ułożone z ciężkich bloków śniegu. Główne budynki obozu wzmocniliśmy śniegiem. Co tu dużo mówić, nie da się ukryć, iż dopisujące nam szczęście i nasza operatywność były doprawdy niesamowite. Zanim jeszcze na dobre przenieśliśmy się do naszej bazy, zewnętrzny świat wiedział już o naszym Programie, jak i o dziwnym, zaciętym uporze Lakeya upierającym się przy wyprawie badawczej na zachód, a raczej, dokładniej rzecz biorąc, na północny zachód. Wyglądało na to, iż szykował on naprawdę olbrzymie przedsięwzięcie, które związane było z trójkątnym, prążkowanym kawałkiem łupku – zgodnie z interpretacją Lake'a był on sprzeczny z naturą, co w najważniejszym stopniu pobudzało jego ciekawość, sprawiając iż nie mógł już doczekać się kolejnych wierceń i kruszenia skał w formacjach rozciągających się na zachodzie, do których to formacji owe fragmenty należały.

Był dziwnie przekonany, iż ślad ów jest odciskiem jakiegoś ogromnego, nieznanego i niesklasyfikowanego dotąd organizmu, stojącego dość wysoko na drabinie ewolucji.

Absolutnie nie zwracał uwagi na fakt, że wiekowe ślady – kambryjskie, jeśli nie prekambryjskie – wykluczały istnienie nie tylko wyżej rozwiniętego, ale w ogóle jakiegokolwiek życia poza jednokomórkowcami, lub co najwyżej trylobitami. Odłamki skały, na której zachowały się niezwykle ślady musiały pochodzić sprzed bardzo wielu eonów.

# 2

Opinia publiczna żywo zareagowała na nasze radiowe biuletyny, donoszące o wyprawie w nietknięte dotąd ludzką stopą i nie spenetrowane nawet wyobraźnią człowieka, północno–zachodnie terytoria, pomimo iż dotychczas nie wspomnieliśmy jeszcze o wielkich nadziejach na dokonanie rewolucji w naukach biologicznych i geologicznych. Wstępna wyprawa Lake'a saniami, między 11 a 18 stycznia w towarzystwie Pabodiego i paru innych osób, podczas której przy przekraczaniu jednego z ogromnych masywów sprasowanego lodu utracono dwa psy, przyniosła jeszcze więcej łupków z ery archaicznej – nawet ja zaintrygowany byłam osobliwą ilością ewidentnych skamielin w tej tak niewiarygodnie pradawnej warstwie.

Chociaż były to odciski prymitywnych form życia, nie stanowiących zbyt wielkiego paradoksu, znalezione zostały, jak sądziliśmy, w warstwach, gdzie nie powinniśmy napotkać żadnych śladów życia. Właśnie dlatego wciąż nie widziałem większego sensu w naleganiach Lake'a, by przerwać nasz harmonogram – plan Lake'a wymagał bowiem zaangażowania wszystkich czterech samolotów, wielu ludzi i całej aparatury mechanicznej jaką dysponowaliśmy. Koniec końców nie wyraziłem sprzeciwu wobec tego planu, choć postanowiłem iż nie będę towarzyszył grupie udającej się na północny zachód.

Kiedy już odjechali, wraz z Pabodiem i pięcioma innymi ludźmi, przystąpiłem do ostatecznego opracowania planu naszych przenosin na wschód. W myśl tego, jeszcze w trakcie przygotowań, jeden z samolotów miał przetransportować spory zapas benzyny z cieśniny McMindo – to jednak mogło, przynajmniej na razie, poczekać, zostawiłem sobie sanie i dziewięć psów, gdyż nierozsądnym byłoby pozbawić się na jakiś czas

możliwości transportu w tym kompletnie pustym świecie lodowatej, panującej tu od zarania śmierci, nadprogramowa wyprawa Lake'a w nieznaną, jak wszyscy sobie przypominają, nadsyłała własne raporty za pośrednictwem zainstalowanych w samolotach krótkofalówek. Komunikaty odbierane były jednocześnie przez nasze odbiorniki w bazie południowej i na "Arkham" w cieśninie McMurdo; z tego ostatniego miejsca zaś szły dalej w świat na lalach długich, w paśmie do 50 metrów.

Lakę wyruszył 22 stycznia o czwartej nad ranem, pierwszy przekaz radiowy zaś nadszedł już po dwóch godzinach, kiedy to Lakę doniósł o lądowaniu i rozpoczęciu wierceń oraz topieniu na niewielką skalę lodu, w miejscu odległym od nas o około 500 mil. Sześć godzin później drugi, nader ekscytujący przekaz informował o gorączkowej, szaleńczej pracy w wyniku której został wywiercony i powiększony wybuchem płytki szyb, w którym odkryto kawałki łupka z kilkoma śladami podobnymi do tych, które spowodowały pierwotne zamieszanie. Trzy godziny później, krótki komunikat mówił o podjęciu, mimo silnej, porywistej wichury, dalszego lotu; kiedy zaś wysłałem zalecenie zabraniające dalszego ryzyka. Lakę odpowiedział obcesowo, iż jego nowe okazy czynią każde ryzyko opłacalnym.

Wówczas zrozumiałem, że jego podniecenie osiągnęło stadium bliskie buntowi i nie jestem w stanie uczynić nic, by go powstrzymać i odwieść od ryzyka zagrażającego sukcesowi całej wyprawy; największym wszakże przerażeniem napawała mnie myśl, że zanurza się coraz to głębiej w złowrogi i zdradziecki biały bezmiar huraganów i niezbadanych tajemnic, ciągnący się jakieś półtora tysiąca mil aż do na póły tylko znanej, linii brzegowej Ziemi Królowej Marii i Knoxa. Następnie, po upływie mniej więcej półtorej godziny nadeszła podwójnie ekscytująca wiadomość, nadana ze znajdującego się w powietrzu samolotu Lake'a, która diametralnie zmieniła mój nastrój, sprawiając że zapragnąłem nagle towarzyszyć jego zespołowi: – 10:05. Ma pokładzie samolotu. Po burzy śnieżnej dostrzegliśmy masyw górski, wyższy

niż jakikolwiek dotąd przez nas oglądany. Zważywszy na wysokość płaskowyżu można go porównać z Himalajami. Przypuszczalne położenie: 76 stopni 15 minut szerokości i 15 stopni 10 minut długości wschodniej. Rozciąga się w prawo i w lewo daleko, jak okiem sięgnąć. Podejrzewamy istnienie dwóch dymiących wulkanów. Wszystkie szczyty czarne i oczyszczone ze śniegu. Szalejąca wichura utrudnia nawigację.

Po tej informacji Pabodie, jego ludzie i ja czuwaliśmy, z niepokojem i ekscytacją nad odbiornikiem. Myśl o nieznanym górach oddalonych od nas o 700 mil rozpałała w nas żądzę; cieszyliśmy się, że to my – pomimo iż nie osobiście – jesteśmy odkrywcami tych gór. Po pół godzinie Lakę znowu nas wywołał:

– Samolot Moultona musiał przymusowo lądować na płaskowyżu, na pogórzu, nikomu nic się nie stało, a maszynę zapewne uda się naprawić. Przeładujemy najważniejszy sprzęt do trzech pozostałych maszyn na powrót, lub dalszą drogę, w zależności od sytuacji, ale na razie nie zachodzi potrzeba podróży obciążonymi samolotami. Zamierzam przeprowadzić dziś zwiad na pokładzie maszyny Carrolla, po wyładowaniu z niej całego sprzętu. Nie jesteście w stanie wyobrazić sobie czegoś takiego. Najwyższe wierzchołki muszą mieć ponad 55 tysięcy stóp. Everest to przy nich pestka. Atwood mierzy wysokość teodolitem, podczas gdy Carroll i ja wybraliśmy się na krótki wypad. Jeśli chodzi o wulkany, prawdopodobnie zaszła pomyłka, gdyż formacje wyglądają na warstwowe, prawdopodobnie prekambryjskie łupki przemieszane z innymi pokładami. Dziwnie prezentują się na tle nieba – regularne grupy sześcianów przylegających do najwyższych szczytów. Wszystko spowite jest cudownym czerwono– złotym blaskiem wiszącego nisko słońca. Przypomina krainę ze snów albo bramę zapomnianego świata pełnego nieznanymi cudów. Chciałbym abyś tu był i mógł to zobaczyć.

Choć właściwie była to pora snu, nikt z nas, słuchających, nie myślał nawet o ułożeniu się na spoczynek. Podobne nastroje musiały zapewne panować w McMurdo, gdzie informacje dotarły do naszego magazynu i na

pokład "Arkham". Douglas pogratulował nam tak istotnego odkrycia, a do niego przyłączył się Sherman, kierownik magazynu. Martwiliśmy się, rzecz jasna o uszkodzony aeroplan, ale mieliśmy nadzieję, że łatwo da się go naprawić. O 25:00 ponownie zgłosił się Lakę.

– Lecimy z Carrollem nad najwyższymi partiami pogórza. Nie odważymy się wznieść przy tej pogodzie nad naprawdę wysokimi szczytami, ale uczynimy to później. Dotarcie tu było uciążliwe i przerażające, ale warto było. Olbrzymie pasmo górskie stanowi jednolity masyw i nie ma możliwości zajrzeć co znajduje się za nimi. Główne wierzchołki są wyższe niż szczyty Himalajów i nader osobliwe. Wygląda na to, iż są zbudowane z prekambryjskich łupków z wyraźnymi oznakami wypiętrzenia innych warstw. Jeśli chodzi o wulkany, myliliśmy się. Masyw rozciąga się tak daleko, jak okiem sięgnąć. Powyżej mniej więcej 21 tysięcy stóp góry są pozbawione śniegu. Dziwne i niezwykle formacje na stokach najwyższych gór. Wielkie, acz niewysokie kwadratowe bloki o idealnie pionowych bokach i prostokątnych obwałowaniach u dołu, niczym stare, azjatyckie zamki przylegające do stromych górskich zboczy na obrazach Roericha. niezwykle frapujący widok. Doprawdy, robi z daleka ogromne wrażenie. Podlecieliśmy bliżej do niektórych z nich, bo Carroll myślał, iż są zbudowane z mniejszych, oddzielnych fragmentów, ale prawdopodobnie to tylko ślady zwietrzenia. Większość krawędzi jest pokruszona i zaokrąglona, jakby przez miliony lat wystawione były na działanie burz i niedogodności klimatycznych. Pewne partie gór, zwłaszcza te wyższe wydają się być utworzone ze skał jaśniejszego koloru niż większość warstw na właściwych zboczach, i z całą pewnością posiadają strukturę krystaliczną.

Zbliżywszy się do nich dostrzegliśmy wiele wejść do jaskini –niektóre z nich mają osobliwie regularny kształt: kwadratowy lub półkolisty. Musisz sam tu przybyć i to zbadać. Wydaje mi się, że na szczycie jednego z wierzchołków widziałem wał lub coś zbliżonego do łuku.

Wysokość szczytu wynosi od 50 – 55 tysięcy stóp. Ja znajduję się teraz na

wysokości 21.5 tysiąca stóp. Jest piekielnie zimno. Mróz przenika do szpiku kości. Wiatr wyje i zawodzi przetaczając się przez przełęcz, zaglądając i wydostając się z jaskini, ale dla samolotu nie stanowi większego zagrożenia.

Od tej chwili, przez następne pół godziny. Lakę z przejęciem opowiadał nam o wszystkim, wyrażając zapalczywe pragnienie odbycia normalnej wspinaczki na któryś ze szczytów. Odpowiedziałem, że dołączę do niego tak szybko, jak tylko zdoła przysłać mi samolot, oraz że opracujemy z Pabodiem najlepszy plan zagospodarowania benzyny – ogólnie rzecz biorąc chodziło o to gdzie i jak powinniśmy skoncentrować nasze zapasy z punktu widzenia zmiany planów wyprawy. Rzecz jasna, wiercenia Lake'a, jak również loty aeroplanów wymagać będą ogromnych ilości benzyny w nowej bazie, którą zamierzał założyć u podnóża gór; tak więc lot na wschód mógł w ogóle w tym sezonie nie dojść do skutku. W związku z tą sprawą skontaktowałem się z kapitanem Douglasem i poprosiłem, by wylądował ze statków tyle benzyny ile się da i przesłał zapasy na górę, na zaporę, psim zaprzęgiem, który tam pozostawiliśmy. Przede wszystkim mu sieliśmy zorganizować bezpośrednie połączenie poprzez nieznane terytoria, dzielące obóz Lake'a od cieśniny McMurdo. Później Lakę znów mnie wywołał, by stwierdzić, że postanowił rozbić obóz tam, gdzie Moulton wsadził samolot, którego naprawa, notabene, była już w locu. Pokrywa lodu była tam nader cienka i gdzieś tam spod bieli przebijał ciemny grunt; Lakę przed wspinaczką i wyprawą saniami chciał jeszcze dokonać w tym miejscu kilku wierceń i strzałów. Mówił o trudnym do opisanego, niepojętym majestacie całej, otaczającej ich scenarii, dziwnym, niepokojącym odczuciu jakby znajdował się w cieniu ogromnych, milczących wież, których szeregi wznosiły się w górę niczym ściana sięgająca nieba, na krawędzi świata. Atwood prowadząc obserwacje przy pomocy teodolitu ustalił, iż wysokość pięciu najwyższych szczytów wahała się od 50 do 54 tysięcy stóp. Lake'a niewątpliwie niepokoił problem omiecionych ze śniegu zboczy, gdyż sugerowało to istnienie powracających z większą lub mniejszą częstotliwością wichur, przewyższających swą



zaciekłością i gwałtowności. I wszystkie inne, jakie dotąd mieliśmy możliwość oglądać. Jego obóz usytuowany był ponad 5 mil od miejsca, gdzie pogórze gwałtownie się wznosiło. Wyczułem w jego słowach nutę podświadomej trwogi – nutę która dała się wyczuć nawet poprzez dzielącą nas lodową pustkę 700 mil – gdy nakłaniał nas, byśmy się pospieszyli i dotarli do owego osobliwego, nowego regionu tak szybko jak to tylko możliwe. Wybierał się właśnie na spoczynek po całym dniu nieustannej pracy, prowadzonej w niesłychanym tempie, z niewiarygodną zawziętością i dającą niesamowite wyniki.

Rankiem odbyłem trójstronną rozmowę z Lake'm i kapitanem Douglasem, przebywającymi w swych odległych od siebie obozach. Ustaliliśmy, że jeden z samolotów przybędzie do mojej bazy po Pabodiego, pięciu mężczyzn i po mnie, jak również po tyle paliwa ile zdoła unieść na swym pokładzie. Sprawa pozostałej benzyny zależeć będzie od naszych dalszych ustaleń w kwestii wypadu na wschód; póki co odłożyliśmy ów problem na kilka dni, gdyż chwilowo Lake posiada wystarczającą ilość paliwa potrzebnego by ogrzać obóz i prowadzić wiercenia. W paliwo powinna zostać zaopatrzona baza południowa, lecz jeżeli odłożymy wyprawę na wschód, to nie skorzystamy z niej aż do przyszłego lata, a tym czasem Lake przyśle samolot, by określić bezpośrednią trasę pomiędzy swymi nowymi górami, a cieśnina McMurdo. Wraz z Pabodiem przygotowałem bazę do zamknięcia jej na dłuższy lub krótszy okres – w zależności od sytuacji. Gdyby przyszło nam spędzić na Antarkydzie całą zimę, odlecimy zapewne z bazy Lake'a na "Arkham" nie wracając już do tego punktu. Część naszych stożkowych namiotów została już wcześniej wzmocniona bryłami zlodowaciałego śniegu, w związku z czym postanowiliśmy obecnie dokończyć prace nad stworzeniem stałego osiedla. Jako że dysponowaliśmy spora liczbą namiotów – Lake miał ich pod dostatkiem, nawet gdyby nasza grupka miała przenieść się i zamieszkać w jego bazie.

Przekazałem przez radio, że Pabodie i ja będziemy gotowi do drogi

nazajutrz, gdyż czekał nas jeszcze jeden dzień pracy, noc zaś chcieliśmy uczciwie przespać. Praca jednak trwała nieprzerwanie tylko do szesnastej, gdyż od tego mniej więcej czasu zaczęły napływać od Lake'a zdumiewające i nad wyraz ekscytujące komunikaty. Dzień zaczął się dla niego niepomyślnie; dokonane z aeroplanu pomiary wyłaniającej się spod lodu, w pobliżu bazy, skalnej powierzchni wykazały całkowity brak wszystkich tych pierwotnych archaicznych warstw, których tak poszukiwał, a które tworzyły przeważającą część gigantycznych wierzchołków widniejących w prowokującej odległości od obozowiska. Większość owych lśniących skał była albo pochodzącymi z okresu jurajskiego i kredowe go piaskowcami, albo łupkami z permu i triasu, których występujące tu i ówdzie połyskujące czernią pokłady sugerowały twarde złoża łupkowego węgla. To raczej zniechęcało Lake'a, który chciał wydobyć dużo starsze okazy niż liczące sobie 500 milionów lat. Zdawał sobie sprawę, że aby odkryć żyłę archaicznego łupku w którym znalazł dziwne znaki, musi podjąć nielichą wyprawę saniami z pogórza na którym się znajdował, aż do stóp stromych zboczy gigantycznych gór. Mimo to jednak postanowił dokonać kilku miejscowych wierceń, jako część ogólnego programu wyprawy. Polecił zatem zmontować świder i wyznaczył do jego obsługi pięciu ludzi, podczas gdy po została grupa kończyła ustawianie obozu i reperowała uszkodzony samolot. Ma początek wierceń wybrano skały, które wyglądały na najbardziej miękkie – piaskowiec oddalony od obozu o mniej więcej ćwierć mili. Świder uporał się z nim bardzo łatwo, bez potrzeby dokonywa nią dodatkowych dynamitowych strzałów. Trzy godziny później po pierwszym koniecznym strzale usłyszano krzyk załogi świdra i niebawem młody Gedney – pełniący rolę kierownika robót – wpadł spiesznie do obozu, z zaskakującymi wieściami. Natrafiono na jaskinię, pobliską wiec szybko ustąpił miejsca żyłe komaczańskiego wapienia, pełnego mikroskopijnych skamielin głowonogów, kości morskich kręgowców i rekinów. Już to, samo w sobie, było ważnym odkryciem, gdyż dostarczało wyprawie pierwszych skamielin kręgowców; wkrótce po tym jednak, gdy

głowica zagłębiła się w próżnię, wiertaczy ogarnęła kolejna, jeszcze silniejsza fala emocji. Potężny ładunek ujawnił podziemny sekret – poprzez postrzępiony otwór mierzący około 5 stóp szerokości i 2 stopy grubości ziała płytka jama wydrążona w wapieniu przed ponad 50 mln lat, przez wody pradawnego, tropikalnego świata. Wydrążona warstwa nie miała więcej niż 7 czy 9 stóp, lecz rozciągała się pod ziemią we wszystkich kierunkach. Wyczuwało się tam słaby ciąg powietrza, który sugerował istnienie całego rozległego systemu jałsk. Zarówno strop jak i podłóże pokryte było obficie stalaktytami i stalagmitami – niektóre z nich stykały się ze sobą tworząc ogromne kolumny, najistotniejszy ze wszystkiego był jednak odkryty tam, rozległy pokład muszli i kości, które miejscami wręcz blokowały przejście. Zmyte z nieznanych dżungli mezozoicznych, z lasów trzeciorzędu, palm wachlarzowych i prymitywnych roślin okrytozalążkowych, owo kostne zbiorowisko zawierało więcej gatunków zwierzęcych niż najsumienniejszy paleontolog byłby w stanie zgromadzić i sklasyfikować przez rok. Mięczaki, pancerze skorupiaków, ryby, zwierzęta ziemnowodne, gady, ptaki i wczesne ssaki, duże i małe, znane i nieznanne. Nic dziwnego zatem, że Gedney wrócił biegiem do obozu krzycząc, i nic dziwnego, że każdy rzucał swoją pracę i ruszał przez przeszywający do szpiku kości, gryzący chłód tam, gdzie wysoki szyb znaczył nowoodkrytą bramę wiodącą ku sekretom wnętrza ziemi i minionych wieków. Kiedy Lake zaspokoił pierwszą, palącą ciekawość, pospiesznie nabazgrał w notatniku krótką wiadomość i młody Moulton pobiegł z nią do obozu, by nadać przez radio komunikat. W ten sposób dowiedziałem się o odkryciu. Wiadomość mówiła też o zidentyfikowaniu pierwszych muszli, kości ryb kostołuskich i Placodermów, szczątków Labyrinthodontów i Thecodontów, fragmentów czaszki Mosasaura, stosu paciierzowego i pancernych płyt Dinozaura, zęba i kości skrzydła Pterodaktyla, szczątków Archeopteryxa, zębów mioceńskiego rekina, czaszek prymitywnych ptaków oraz innych kości pradawnych zwierząt takich jak: Xiphodony, Eohippy, Oreodony i Titanothery. Ponieważ nie znaleziono

szczątków współczesnych. Lakę wysnuł wniosek, że ostatnie warstwy trafiły tutaj w Oligocenie, a ta zapadnięta warstwa, w obecnym wyschniętym martwym i odizolowanym stanie, znajdowała się tak przez ostatnie 50 milionów lat. Z drugiej jednak strony najbardziej interesująca była przewaga form bardzo wczesnego życia. Chociaż wapienna formacja była niewątpliwie komanczańska, i ani trochę wcześniejsza, czego dowodem są skamieliny osadzone w tej płytkiej grocie w typowy, konarowy sposób, to także fragmenty wolnej przestrzeni zawierały zadziwiającą proporcję organizmów traktowanych dotychczas jako właściwych dla okresów dużo starszych – nawet szczątkowe ryby, mięczaki i korale pochodziły z odległego syluru i ordowiku. Nasuwał się oczywisty wniosek, że w tej części świata istniała nadzwyczajna i unikalna ciągłość między życiem sprzed 500 i sprzed 50 milionów lat. Trudno było ustalić jak daleko ciągłość ta wychodzi poza oligocen, kiedy to jaskinia została zamknięta. Tak czy inaczej nadejście strasznego lodowca w plejstocenie – jakieś 500 tysięcy lat temu – nieomal wczoraj w porównaniu z wiekiem jaskini, musiało oznaczać kres wszystkich pierwotnych form, które lokalnie potrafiły przetrwać właściwe dla nich czasy. Lakę nic poprzestał na pierwszej wiadomości, lecz sporządził kolejny komunikat i przesłał go poprzez śniegi do obozu, nim Moulton zdążył stamtąd wrócić. Dlatego też Moulton pozostał już przy radiu w jednym z samolotów nadając do "Arkham" i dalej w świat dalsze uzupełnienia, które Lakę przesyłał mu przez kolejnych posłańców. Kto śledził doniesienia prasowe, pamięta zapewne poruszenie jakie wśród naukowców wywołały te popołudniowe raporty; raporty które doprowadziły ostatecznie, po tylu latach do zorganizowania Ekspedycji Starkweathera i Moora, o którą tak się niepokoję, i którą usiłuję storpedować, najlepiej będzie jak przekażę te komunikaty dokładnie w takiej formie, jak przesyłał mi je Lakę, a nasz radiooperator w bazie, McTighe, przekładał ze stenogramu pisanego ołówkiem:

- Fowler w odłamkach piaskowca i wapienia uzyskanych wskutek

wybuchu, dokonał odkrycia najwyższej wagi. Kilkanaście wyraźnych trójkątnych, prążkowanych odcisków, dokładnie takich samych jak te w archaicznym łupku, dowodzących, że źródło to przetrwało ponad 600 milionów lat, aż do czasów komanczańskich, bez większych zmian; to z kolei dowodzi, że odciski komanczańskie są w oczywisty sposób prymitywniejsze i bardziej schyłkowe niż pozostałe, starsze. Podkreście w prasie wagę odkrycia. Będzie ono znaczyć dla biologii tyle co dzieło Einsteina dla matematyki i fizyki. Skojarzcie to z moją poprzednią pracą i wysnujcie wnioski. Wygląda na to iż, jak podejrzewałem, ziemia była świadkiem całego cyklu, czy cykli organicznego życia jeszcze przed tym znanym, które rozpoczęło się od komórek w archeozoiku. Wyewoluowało ono i wyspecjalizowało się nie później niż miliard lat temu; kiedy planeta była młoda i nic nadająca się do zasiedlenia przez jakiegokolwiek formy życia czy zwyczajne struktury protoplazmatyczne. Rodzi się pytanie – gdzie, kiedy i jak rozpoczął się ich rozwój?

– Badając fragmenty pewnych szkieletów należących do ogromnych, zarówno lądowych jak i morskich gadów oraz prymitywnych ssaków, znalazłem osobliwie umiejscowione rany i uszkodzenia struktury kostnej, których nie można przypisać jakiegokolwiek drapieżcy czy mięsożercy z żadnego okresu. Były one dwojakiego rodzaju – proste, wytopione dziury na wylot oraz wyraźne ślady nacięć czy rąbania. Jeden czy dwa przypadki równo przeciętych kości, niewiele okazów uszkodzonych. Posłałem do obozu po latarki elektryczne. Rozszerzymy teren badań podziemnych przez wycięcie stalaktytów.

– Znalazłem bardzo dziwny kawałek steatytu. Ma około 6 cali średnicy i 1.5 cala grubości. Jest całkiem inny od tutejszej formacji – trudno określić z jakiego pochodzi okresu.

Zdumiewająco gładki i regularny. Ma kształt pięcioramiennej gwiazdy z odłamanymi końcami i śladami wgnieceń od uderzeń w wewnętrznych kątach i pośrodku. Na nieuszkodzonej powierzchni, pośrodku, małe gładkie

wgłębienie. Jeszcze bardziej zdumiewające jest jego pochodzenia oraz ślady zwietrzelin. Prawdopodobnie jakaś osobliwa forma działania wody. Carroll sądzi, że przy pomocy szkła powiększającego zdoła odnaleźć ślady dzięki którym obiekt zyska większe znaczenie geologiczne. Grupy maleńkich punkcików ułożonych w regularne wzory. Podczas naszych badań wzrasta niepokój psów i wydaje się, że zwierzęta nienawidzą tego steatytu. Muszę sprawdzić czy nic ma on jakiegoś specyficznego zapachu. Kolejny komunikat nadam przed wyruszeniem pod ziemię, kiedy Mills wróci z latarkami.

– 22:15. Ważne odkrycie. Orrendorf i Watkins, pracując pod ziemią, przy sztucznym świetle znaleźli o godzinie 21:45 gigantyczną, baryłkowatą skamielinę całkowicie nieznanego rodzaju – zapewne jakiejś rośliny lub przerośniętego, nieznanego morskiego gatunku. Tkanka zakonserwowana przez sole mineralne. Twarda jak skóra, lecz miejscami zachowała zdumiewającą elastyczność. Ślady po odłamanych częściach na końcach i bokach. Mierzy dokładnie 6 stóp długości, 5.5 stopy szerokości w najgrubszym miejscu, przy końcach zwęża się do szerokości 1 stopy. Przypomina beczułkę z pięcioma wypukłymi krawędziami zamiast kłapek. Ułamane końce czegoś, co wygląda jak cienkie łodygi biegnące kuliście w najszerszym miejscu korpusu. Z bruzd między krawędziami wyrasta coś intrygującego – grzebienie albo skrzydła, które zwijają się i rozkładają niczym wachlarze. Wszystkie – za wyjątkiem jednego, które rozwija się w siedmiostopowej rozpiętości, są prawie zupełnie zniszczone. Całość przypomina jedno z monstrów z pradawnych mitów, zwłaszcza Starsze Istoty opisywane w "Necronomiconie". Skrzydła ich wydają się być z błony naciągniętej na szkielet, na ich końcach widnieją maleńkie otwory, końce ciała są uschłe i pomarszczone; nie sposób ustalić co znajdowało się w środku, ani co się odłamało. Kiedy wrócimy do obozu przeprowadzę sekcję. Nie potrafię określić czy było to zwierzę, czy roślina. Wiele cech wskazuje, iż było to stworzenie niewiarygodnie wręcz prymitywne. Poleciłem, by

wszyscy zabrali się do wycinania stalaktytów i szukali kolejnych okazów. nadal mamy kłopoty z psami, nienawidzą nowego okazu i prawdopodobnie rozszarpałyby go na strzępy, gdybyśmy nie trzymali ich na dystans.

– 25:50. Uwaga! Dyer, Pabodie, Douglas! Sprawa najwyższej, rzekłbym, transcendentalnej wagi. "Arkham" musi to przekazać natychmiast stacji w Kingsport Mead.

Dziwna, baryłkowata narośl jest stworem z ARCHAIKU, który pozostawił odciski w skałach. Mills, Boudreau i rowler odkryli pod ziemią grupę, trzynastu kolejnych, znajdującą się pod ziemią, 40 stóp od otworu. Wymieszane z zadziwiająco ukształtowanymi, zaokrąglonymi kawałkami steatytów, mniejszymi niż ten znaleziony na początku – wszystkie w kształcie gwiazdy, ale już bez uszkodzeń, za wyjątkiem kilku miejsc. Ze wszystkich okazów organicznych, osiem jest najwyraźniej kompletnych, ze wszystkimi dodatkami. Zabrałem je na powierzchnię. Psy trzymam od nich na dystans. Przykładam dużą wagę do opisu, zatem powtórzę jeszcze raz, dla dokładności. Gazety muszą opisać to dokładnie. Obiekty mają długość 8 stóp. Sześciostopowe, pięciokrawędziowe baryłkowate korpusy, mierzące 5.5 stopy w najszerszym miejscu, kości o szerokości 1 stopy. Ciemnoszare, elastyczne i niewiarygodnie twarde. W bruzdach między krawędziami znajdują się siedmiostopowe, błoniaste skrzydła, również ciemnoszarego koloru, które w oliwili znalezienia były zwinięte. Szkielet nośny skrzydeł – z rurek lub gruczołów o nieco jaśniejszym odcieniu szarości, z otworami na końcach. Krawędzie rozwiniętych skrzydeł są zablokowane. W najgrubszym miejscu każdej z pięciu pionowych, podobnych do klepek w beczce krawędzi, znajduje się pięć jasnoszarych, elastycznych ramion czy macek, w chwili znalezienia zwiniętych i przylegających ciasno do korpusu. Okazały się one rozciągliwe, a ich maksymalna długość liczy ponad 5 stopy; jak ramiona prymitywnego liliowca. Każda z macek o 5 calach średnicy, po dalszych 6 calach rozgałęzia się w niewielkie spiczaste odrosty czy wąsy, tak, że każda szypułka liczy w sumie 25 macek. Ma szczycie korpusu znajduje się

gruba, bulwiasta szyja jasnoszarej barwy, zaopatrzona w coś, co przypomina skrzela, podtrzymująca żółtawą, pięcioramienną, przypominającą rozgwiazdę głowę pokrytą długimi na 5 cali, sztywnymi rzęskami o różnorodnych, pryzmatycznych barwach. Głowa jest gruba i pękata, mierzy około 2 stóp szerokości od czubka do czubka, z trzycalowymi żółtymi rurkami wychodzącymi z każdego końca. Szczelina pośrodku głowy służyła zapewne do oddychania, na końcu każdej rurki widnieje kuliste napęcznienie, gdzie żółtawa błona cofa się ku nasadzie, ukazując szklistą, o czerwonawej tęczęwce gałkę, z całą pewnością oko. Z wewnętrznych kątów ukształtowanej na podobieństwo rozgwiazdy głowy wychodzi pięć nieco dłuższych, czerwonawych rurek kończących się workowatymi obrzmieniami tej samej barwy, które naciśnięte rozchylają się w otwory o kształcie dzwonu i maksymalnej średnicy dwóch cali, okolone białymi, przypominającymi zęby wypustkami – prawdopodobnie jest to otwór gębowy. Wszystkie te rurki, rzęski i ramiona należące do głowy o kształcie rozgwiazdy w chwili znalezienia były czasowo złożone i przylegały ściśle do bulwiastej szyi i korpusu. Wobec wielkiej twardości taka elastyczność wydaje się wręcz zdumiewająca. W dolnej części korpusu kanciaste, acz odmiennie funkcjonujące kopie układu głowy. Bulwiasta, jasnoszara pseudoszyja – pozbawiona czegoś co wygląda jak skrzela – utrzymuje zielonkawą, pięcioramienny kształt rozgwiazdy. Twarde, muskularne ramiona długości 4 stóp, mierzące u podstawy 7 cali zwężają się do około 2,5 cala na końcach, skąd wyrasta niewielki, zielonkawą, przecięty pięcioma żyłkami, błoniasty trójkąt o długości 8 i szerokości 6 cali. Jest to łapka, płetwa lub pseudostopa, która od miliarda do 50 czy 60 milionów lat temu pozostawiła odciski w skale.

Z wewnętrznych kątów rozgwiazdy wychodzą dwustopowe, czerwone rurki o 5 calach średnicy u podstawy i 1 calu na końcu. W końcówkach widnieją małe otworki. Wszystko to jest nadzwyczaj twarde i skórzaste, a jednocześnie niesłychanie elastyczne. Czterostopowe ramiona z płetwami bez



wątpienia służyły istocie do poruszania się – pływania, czy czegoś w tym rodzaju. Poruszone, ukazują niezwykłą muskulaturę. W chwili znalezienia wszystkie te elementy były czasowo zwinięte wokół pseudoszyi i końca korpusu; podobnie rzecz miała się z wypustkami po spodniej stronie. Nie potrafię jeszcze dokładnie ustalić czy owo coś należało do świata zwierząt, czy roślin. Wszystko wskazuje raczej na zwierzę. Jest to prawdopodobnie niezwykle zaawansowana w ewolucji forma promieniaka, który zarazem nie utracił nic ze swych prymitywnych cech. Zauważa się niewątpliwe podobieństwo do szkarłupnia, mimo pewnych zaprzeczających temu oznak. Jako iż był to zapewne stwór morski, zadziwia układ i struktura skrzydeł, choć mogły być one przydatne przy żegludze. Symetria natomiast jest osobliwie roślinnej natury typu: góra–dół, w przeciwieństwie do zwierzęcego układu struktur na bazie: przód–tył. Bajecznie wczesna data ewolucji, poprzedzająca nawet najprostsze ze znanych dzisiaj, archaiczne organizmy – zbija z tropu i rodzi domysły co do pochodzenia owego stwora, nieuszkodzone okazy tak niesamowicie przypominają pewne stworzenie z pierwotnych mitów, że. ich istnienie, w pradawnych czasach poza Antarktyda wyda je się nieuniknione. Dyer i Pabodie, którzy czytali "Ne cronornicon" i widzieli powstałe z inspiracji treści.] owej plugawej księgi przerażające obrazy Clarka Ashtona Smitha, zrozumieją zapewne co mam na myśli, gdy mówię o Starszych Istotach, które przypuszczalnie stworzyły całe ziemskie życie – czy to dla żartu, czy też może przez pomyłkę. Otworzyło się szerokie pole do badań. Sadzać według znalezisk, pochodzą one prawdopodobnie z okresu późnej kredy. Nad nimi zwieszają się ogromne, masywne stalagmity. Wycięcie ich to nader żmudna i ciężka robota, ale to właśnie ich twardość zapobiegła zniszczeniu okazów. Stan zachowania skamielin jest wręcz zdumiewający, rzecz jasna dzięki procesom wapiennym. Jak dotąd nie znaleźliśmy nic więcej; wznowimy poszukiwania później. Teraz musimy odtransportować czternaście ogromnych okazów do obozowisk.. Nie możemy użyć do tego psów, które szczekają jak oszalałe i wolimy się do nich

nie zbliżać. Dziewięć osób – trzy pozostały by pilnować psów – powinno poradzić sobie z trzema saniami, mimo że wieje paskudny wiatr.

Musi my ustalić połączenie lotnicze z cieśniną McMurdo i zacząć przewozić sprzęt, nim jednak udam się na spoczynek, chciałbym dokonać sekcji jednego z tych stworów. Brakuje mi tu prawdziwego laboratorium. Miech Dyer sam wymierzy sobie solidnego kopniaka, że starał się powstrzymać mnie przed wyprawą na zachód, najpierw najwyższe góry świata, a teraz to.

Myślę, że możemy pogratulować sobie sukcesu. Zadanie naukowe zostało wykonane. Dzięki Pabodiemu za świder, który pozwolił nam otworzyć jaskinię. Czy teraz "Arkham" może powtórzyć opis?

Trudno wręcz opisać uczucie Pabodiego i moje po otrzymaniu tego komunikatu. Entuzjazm naszych towarzyszy dorównywał naszemu. McTighe, który w pośpiechu tłumaczył najistotniejsze fragmenty raportów w miarę jak napływały z buczonego radia, kiedy tylko operator Lake'a zakończył transmisję, przepisał je w całości ze sporządzonego stenogramu. Wszyscy pospołu docenialiśmy epokowe znaczenie odkrycia. Gdy operator z "Arkham" powtórzył opisowe fragmenty relacji, jak mu polecono, przesłałem Lake'owi ogólne gratulacje. Za moim przykładem poszedł również Sherman z bazy zaopatrzeniowej w cieśninie McMurdo oraz kapitan Douglas z "Arkham". Później jako kierownik wyprawy dodałem parę uwag, które miały być przesłane za pośrednictwem statku w świat, naturalnie, w ogólnym podnieceniu i poruszeniu, myśl o odpoczynku wydawała się niedorzeczna.

Jedynym moim pragnieniem było dotrzeć jak najszybciej do obozowiska Lake'a. Wielkim rozczarowaniem był dla mnie jego komunikat o nadciągającej z gór wichurze, uniemożliwiającej w obecnym czasie jakąkolwiek komunikację lotniczą. Jednak w ciągu godziny zainteresowanie wzięło górę nad rozczarowaniem. Lake w kolejnych komunikatach donosił o pomyślnym przetransportowaniu do obozu czternastu olbrzymich okazów. Zadanie to okazało się nielecho trudne, gdyż stworzenia były zdumiewająco

ciężkie; dziewięciu mężczyźn jednak poradziło sobie z tym nad wyraz sprawnie. W obecnej chwili kilka osób wznosiło, w stosownej odległości od obozowiska, śnieżną zagrodę, w której dla większej wygody przy karmieniu miały być trzymane psy. Okazy, za wyjątkiem jednego, na którym Lake dokonać miał nader prymitywnej sekcji, wyładowano w pobliżu obozu, na ubitym śniegu. Sekcja okazała się trudniejszym przedsięwzięciem, aniżeli przypuszczano, gdyż pomimo gorąca buchającego z benzynowego pieca w nowo postawionym namiocie laboratoryjnym, zwodniczo elastyczna tkanka wybranego okazu – potężnego i nienaruszonego – nie straciła nic ze swej twardości, dużo większej niż w przypadku zwykłej skóry. Lake zachodził w głowę jak dokonać koniecznych nacięć nie niszcząc zarazem delikatnej struktury, którą pragnął zbadać. Posiadał wprawdzie jeszcze siedem, lepiej zachowanych okazów, ale mimo to było ich zbyt mało, by mógł sobie pozwolić na utratę choćby jednego, chyba że okazałoby się iż w jaskini jest ich jeszcze pod dostatkiem. Dlatego też zrezygnował z dokonania sekcji tego okazu i przyciągnął do namiotu drugi, który choć miał na obu końcach resztki wypustek w kształcie rozgwiazdy, był paskudnie zgnieciony i częściowo rozłupany wzdłuż jednej z bruzd wielkiego korpusu. Wyniki o których niezwłocznie powiadomił nas przez radio, były rzeczywiście ekscytujące i zapierały dech w piersiach. Trudno mu było precyzyjnie operować instrumentami, które z najwyższym trudem cięły anormalną tkankę, ale to co uzyskał wzbudziło w nas najwyższe zdumienie i oszołomienie. Konieczną rzeczą będzie dokonanie diametralnych korekt we współczesnej biologii, bowiem ów stwór nie był produktem żadnego, znanego nauce wzrostu komórkowego. W okazy wystąpiły wyłącznie drobne zmiany mineralne i mimo upływu dobrych 40 milionów lat organy wewnętrzne były absolutnie nienaruszone. Twarda jak podeszwa, nie podlegająca rozkładowi i prawie nic zniszczona tkanka była charakterystyczną cechą struktury stwora, a zatem przejawem jakiegoś organicznego cyklu ewolucji bezkręgowców całkowicie przekraczającego możliwości naszych dociekań. Ma początku wszystko co

zna laź Lakę było wyschnięte, jednak po upływie pewnego czasu, gdy w panującym w namiocie cieple rozpoczął się proces odtajania, z nieuszkodzonego boku stwora począł dobywać się płyn organiczny o nader ostrej, odpychającej woni. Nie była to krew, ale gęsta, ciemnozielona ciecz, pełniąca zapewne podobną funkcję. Zanim Lakę osiągnął to stadium badań, wszystkie trzydzieści siedem psów zostało odprowadzonych do niewykończonej jeszcze zagrody opodal obozowiska, choć nawet z tej odległości słychać było ich szaleńcze ujadanie, gdy wyczuwały unoszący się w powietrzu, kwaśny, ostry, drażniący fetor. Ta prowizoryczna sekcja, zamiast cokolwiek wyjaśnić, pogłębiła tylko zagadkę.

Wszelkie domysły snute na lemat zewnętrznych organów okazu okazały się słuszne i w świetle uzyskanych dowodów nikt nie mógł się wahać, by nazwać owo stworzenie zwierzęciem. Badania wewnętrzne jednak, wykazały istnienie tak wielu cech roślinnych, że Lakę był kompletnie zdezorientowany. Trawienie, cyrkulacja wewnętrzna i wydalanie odbywało się poprzez czerwone rurki umieszczone przy podstawie, w kształcie rozgwiazdy. Ogólnie można stwierdzić, iż jego organy oddechowe przyswajały raczej tlen niż dwutlenek węgla, a co dziwniejsze, natknięto się na wewnętrzne komory powietrza oraz dwa inne, w pełni rozwinięte systemy oddychania – przy pomocy skrzel i porów, najwyraźniej stwór był istotą ziemnowodną, przystosowaną do długotrwałych okresów hibernacji. Jego narządy głosowe zdawały się być połączone z głównym systemem oddychania, aczkolwiek zawierającym w sobie tyle anomalii, że przy tak prowizorycznej sekcji nie sposób ich było wyjaśnić. Artykułowana mowa, w sensie zwykłego wyrażania słów, wydaje się mało prawdopodobna, bardziej logicznym byłoby sądzić, iż stwór wydawał całą gamę dźwięcznych, melodyjnych, świergoczących tonów. Układ mięśniowy rozwinięty był wręcz nadnaturalnie. System nerwowy był tak skomplikowany i wyewoluowany, że Lakę wręcz osłupiał. Jakkolwiek pod pewnymi względami niezwykle prymitywny i archaiczny, stwór posiadał szereg niebywale rozwiniętych i

wyspecjalizowanych ośrodków nerwowych i tkanek łącznych. Mózg o pięciu płatach był zaskakująco zaawansowany w rozwoju i posiadał wyraźnie układ sensoryczny, działający po części przy pomocy sztywnych rzęserek na głowie stworzenia, którego parametry były komplementarne obce dla jakiegokolwiek organizmu.

Prawdopodobnie dysponował więcej niż pięcioma zmysłami, toteż jego zwyczajów i zachowań nie sposób było domyślić się na podstawie analogii. Lękę sądził, że musiało to być stworzenie o ogromnej wrażliwości i zróżnicowanych funkcjach. Reprodukcji dokonywał jak rośliny okrytozalążkowe, zwłaszcza Pteridophyta, posiadany na czubkach skrzydeł zarodnikami, na tym etapie badań dokładne określenie nazwy owego stworzenia byłoby rzecz niepoważna. Po części roślina, posiadało w trzech czwartych strukturę zwierzęcą. Z pochodzenia było istotą morską; wskazywał na to jego symetryczny kształt oraz nie które inne cechy; nikt jednak nie potrafił określić granic jego późniejszej adaptacji. Skrzydła nieodparcie sugerowały, że to stworzenie latające. Sposób w jaki zdołało przejść swą potwornie złożoną ewolucję, na nowo narodzonej ziemi, w tak szybkim czasie, by zostawić odciski w skałach archaiku był równie niepojęty jak pewne mity, powracające w osobliwy sposób we wspomnieniach Lake'a – o wielkich Starych Istotach, które przybyły z gwiazd i, dla żartu lub przez pomyłkę, stworzyły życie na ziemi, a także szalone, zwariowane opowieści o zamieszkujących w głębi ziemi przybyszach z kosmosu, opowiadane mi przez kolegę, badacza folkloru z wydziału anglistyki w Miskatonic. Lękę brał rzecz jasna pod uwagę możliwość, że prekambryjskie odciski mogli po zostawić mniej rozwinięci jeśli chodzi o ewolucję, przodkowie obecnego okazu, ale po rozważeniu rozwiniętych właściwości strukturalnych starszych skamielin, szybko odrzucił tę łatwą teorię. Kontury późniejszych stworzeń wykazywały bowiem raczej cofanie się, aniżeli posłę w ewolucji. Rozmiar pseudostóp malał, a cała morfologia upraszczała się, tracąc swą złożoność. Ponadto przebił dane nerwy i organy wyraźnie sugerowały regresję w

stosunku do form bardziej złożonych.

W zadziwiający sposób przeważały tu organy ulegające zanikowi, bądź organy szczątkowe. Ogólnie rzecz biorąc, niewiele to wyjaśniało i Lakę znów powrócił do mitologii nadając swym znaleziskom tymczasową, żartobliwą nazwę – Starsze Istoty. Około 2:50 nad ranem zdecydował wreszcie zakończyć pracę i udać się na spoczynek. Organizm, na którym prowadził sekcję przykrył brezentem, wyszedł z namiotu laboratoryjnego i z zainteresowaniem począł oglądać nienaruszone okazy. Promienie nie gasnącego, antarktycznego słońca ponownie dotarły do ich tkanek i czubki głów oraz rurki dwóch czy trzech okazów zaczęły się z wolna rozwijać; Lakę nie sądził jednak, by w powietrzu o temperaturze bliskiej zera istniało niebezpieczeństwo ich rozkładu, niemniej zebrał wszystkie nienaruszone okazy razem, nakrywając je zbędnym namiotem, aby w ten sposób uchronić je przed bezpośrednim działaniem procesów słonecznych, a zarazem stłumić nieco woń, która – jak wszystko wskazywało – drażniła zaprzęgowe psy; wrogość tych zwierząt stała się rzeczywistym problemem, mimo sporej bądź co bądź odległości w jakiej je trzymano i coraz wyższych ścian ze śniegu, które wciąż zwiększająca się liczba osób wznosiła pospiesznie wokół ich zagrody. Z powodu przybierającej na sile wichury – wszystko wskazywało na to, iż od strony tytanicznych, posępnych gór nadciągała nielecha śnieżycy – musiał przycisnąć jeszcze brzegi namiotu kilkoma ciężkimi bryłami zlodowaciałego śniegu. Znów powróciły obawy przed antarktycznymi zawieruchami, toteż pod nadzorem Atwooda zaczęto obwarowywać śniegiem od strony gór namioty, zagrodę dla psów i prowizoryczne schronienia dla samolotów. Te ostatnie, wzniesione z twardego śniegu i w trudnych warunkach, nie były dostatecznie wysokie; koniec końców Lakę polecił zaprzestać innych prac i zająć się tylko tym jednym za daniem. Było już po czwartej, kiedy Lakę dał nareszcie sygnał do zakończenia transmisji, radząc nam, byśmy również pozwolili sobie na odrobinę odpoczynku, tak jak uczynią to jego ludzie, kiedy ściany hangaru będą odpowiednio wyższe.

Następnie uciął sobie niedługą, przyjacielską pogawędkę z Pabodiem raz jeszcze wychwalając jego doprawdy doskonale świdry, które pomogły mu dokonać wielkiego odkrycia. Do pochwał i pozdrowień dołączył się Atwood, ja zaś przesłałem Lake'owi kilka ciepłych słów, przyznając mu rację co do podjęcia wyprawy na zachód. Na koniec ustaliliśmy kolejną łączność radiową na dziesiątą rano. Gdyby do tej pory wichura ustała, Lake miał wystać samolot po grupę z mojej bazy. Tuż przed udaniem się na spoczynek wysłałem ostatnią wiadomość na "Arkham" z instrukcją, by nieco stonowano wiadomości wysyłane tego dnia w świat. Wszystkie szczegóły bowiem były tak radykalne, że wzbudziłyby falę nieufności i niedowierzania; należało rozgłaszać informacje o naszych odkryciach nader oględnie, aż do chwili kiedy będziemy w stanie wszystko uzupełnić, wyjaśnić i udokumentować.

# 3

Sądzę, że tego ranka nikt z nas nie spał ani długo, ani głęboko, nie pozwalały na to zarówno gwałtowność wichury, jak i podniecenie spowodowane odkryciami Lake'a. Nawet tam, gdzie się znajdowaliśmy, podmuchy wiatru były tak potężne, że nie potrafiliśmy sobie wyobrazić jego siły w obozie Lake'a, bezpośrednio pod ogromnymi, nieznanymi wierzchołkami, skąd brał swój początek. McTighe obudził się o dziesiątej i jak było ustalone próbował nawiązać łączność z Lake'm; występujące jednak w rozszalałym powietrzu na zachodzie, jakieś zakłócenia natury elektrycznej uniemożliwiły łączność. Kiedy połączyliśmy się z "Arkham", Douglas oznajmił nam, że też próbował, bezskutecznie, nawiązać kontakt z grupą Lake'a. Nie wiedział nic o huraganie, gdyż choć u nas wiało jeszcze z uporczywą furją, w cieśninie McMurdo panowała względna cisza i spokój. Przez cały dzień niespokojnie nasłuchiwaliliśmy, starając się od czasu do czasu nawiązać z Lake'm kontakt – bez skutku. Około południa z zachodu nadciągnęła jeszcze silniejsza burza i zaczęliśmy już obawiać się o bezpieczeństwo naszego obozu; niebawem jednak wichura przycichła i tylko na krótko – o drugiej po południu – zaatakowała nas ponownie, pełną mocą. O trzeciej wiatr był już bardzo słaby, a my zdwoiliśmy wysiłki, by połączyć się z Lake'm. Wiedząc, że dysponuje czterema samolotami, zaopatrzonymi w doskonałe nadajniki krótkofalowe nie potrafiliśmy wymyślić jakiegokolwiek zwykłej przyczyny, która mogła spowodować jednoczesną awarię wszystkich czterech urządzeń, niemniej jednak, grobowa cisza przeciągała się i kiedy rozmyślaliśmy o szaleńczej sile wichury jaka musiała rozszaleć się nad ich obozowiskiem, przychodziły nam do głowy najgorsze przypuszczenia. O szóstej nasze obawy stały się jednoznacznie mroczne i złowrogie. Po



radiowej konsultacji z Douglasem i Thorfinnssenem, postanowiłem podjąć kroki w celu wyjaśnienia sytuacji. Piąty samolot, pozostawiony w bazie zaopatrzeniowej w cieśninie McMurdo, z Shermanem i dwoma marynarzami był w dobrym stanie i gotowy do natychmiastowego użytku, a wszystko wskazywało, że czarna godzina, kiedy to miał zostać przez nas wykorzystany, właśnie wybiła. Połączyłem się przez radio z Shermanem i poleciłem mu jak najszybciej dołączyć do mnie z samolotem i dwoma marynarzami z bazy południowej, zwłaszcza, że panowały wręcz wymarzone warunki powietrzne, następnie omówiliśmy skład grupy biorącej udział w nadchodzących poszukiwaniach, ustalając, że należy zaangażować całe nasze siły, łącznie z saniami i psami, które miałem ze sobą. Nawet tak duży ładunek znaczył niewiele dla olbrzymiego samolotu, zbudowanego zgodnie z naszym zamówieniem do transportu ciężkich urządzeń. W przerwach wciąż usiłowałem nawiązać łączność z Lake'm, ale nadal bez rezultatu. Sherman z marynarzami: Gunnarssonem i Larsenem wy startowali o 7:50 nawiązując z nami kontakt kilkakrotnie podczas lotu, by donieść o jego spokojnym przebiegu. Do naszej bazy przybyli o północy i niezwłocznie przystąpiliśmy do omówienia kolejnego kroku. To nader ryzykowne przedsięwzięcie – lecenie nad Antarktydą pojedynczym samolotem bez wsparcia żadnych baz po drodze, nikt jednak nie zamierzał cofać się przed tym, co było absolutną koniecznością. O drugiej, po wstępnym załadunku samolotu udaliśmy się na krótki spoczynek, ale już o czwartej byliśmy znów na nogach golowi cło kończyć pakowania i załadunku.

Wystartowaliśmy 25 stycznia o godzinie 7:15 rano, udając się w kierunku zachodnim. Pilotem był McTighe. Na pokładzie znajdowało się dziesięciu ludzi, siedem psów, sanie, zapas paliwa i żywności oraz szereg innych przedmiotów, łącznie z pokładową radiostacją.

Powietrze było czyste, zupełnie spokojne, temperatura względnie łagodna i nic przewidywaliśmy większych kłopotów z osiągnięciem punktu, w którym Lake rozbił swój obóz. nurtował nas jedynie problem co znajdziemy

– lub czego NIE ZNAJDZIEMY u celu naszej drogi, gdyż na próby nawiązania łączności z obozem odpowiedzią była niezmiennie grobowa cisza.

Marynarz Larsen pierwszy dostrzegł postrzępioną linię gór, a jego krzyki sprawiły, że wszyscy czym prędzej rzuciliśmy się do okien wielkiej kabiny samolotu. Pomimo dużej prędkości przybliżały się bardzo wolno, toteż doszliśmy do wniosku, że muszą być niesłychanie odległe i widoczne wyłącznie dzięki swej niewiarygodnej wysokości. Stopniowo jednak pięły się coraz to wyżej i coraz bardziej posępne ku zachodniemu niebu; niebawem mogliśmy już rozróżnić poszczególne nagie, poczerniałe, mroczne wierzchołki budzące w nas uczucie nierealności i złudy, gdy tak obserwowaliśmy je, zalane czerwonym antarktycznym blaskiem w drażniącym tle opalizujących chmur lodowego pyłu. W całym tym widowisku zawierała się uporczywa, przenikająca do głębi aluzja potwornej tajemnicy, która miała zostać niebawem wyjawiona. Zupełnie jakby owe potężne, niczym zrodzone z nocnych koszmarów iglice, były wrotami przerażającej bramy wiodącej w głąb krain zakazanych snów, w głąb labiryntu, gdzie miesza się ze sobą otchłanie minione go czasu, przestrzeni i innych wymiarów, nic potrafiłem stłumić w sobie odczucia, że były to złe twory – prawdziwe Góry Szaleństwa, których odległe stoki wyzierały majacząc nad jakąś przekłętą, najgłębszą z możliwych, otchłanią. A owo tło, przelewających się, na wpół rozświetlonych chmur przywodziło na myśl niemożliwe do opisanego, mgliste kosmiczne rubieże, wykraczające daleko poza ziemskie przestrzenie i przywodziło na myśl przejmujące uczucie kompletnej obcości, oderwania, pustki i śmierci panującej od stuleci w tej dziewiczej, niezbadanej południowej krainie. To młody Danforth pierwszy zwrócił naszą uwagę na zadziwiające regularności w zarysie majaczących na tle nieba wyższych gór. Przylegały do nich fragmenty geometrycznych sześciątów, o których wspominał Lakę w swoich komunikatach, i które praktycznie usprawiedliwiały jego porównanie do powstałych w sennych

wizjach ruin prastarej świątyni, na spowitych chmurami szczytach azjatyckich gór, tak subtelnie i osobliwie namalowanych przez Koericha. Prawdę mówiąc, w tym nieziemskim kontynencie tajemniczych gór było coś natrętnie i złowieszczo rocrichowskiego. Odczułem to już w październiku, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Ziemię Wiktorii, a teraz uczucie to powróciło na nowo ze zdwojoną siłą. Tym razem towarzyszyło mu dodatkowo niepokojące wrażenie analogii do mitów z archaiku; wrażenie iż ta wstrząsająca kraina śmierci przypomina okryty złą sławą, posępny płaskowyż Leng, z pradawnych legend. Mitologowie umiejscawiają go w Azji Centralnej, ale pamięć ludzkiej rasy – lub jej poprzedników, jest długa i może być tak, że pewne opowieści pochodzą z krain, gór i świątyń starszych niż Azja, starszych niż jakikolwiek ludzki świat, który znamy. Kilku odważnych mistyków napomknęło o praarchaicznej genezie fragmentarycznych Manuskryptów Pnakolyckich sugerując, że wyznawcy Tsathoggui byli równie obcy człowiekowi jak sam Tsathoggua. Leng, gdziekolwiek by się nie znajdował w czasie i przestrzeni, nic należał do miejsc które chciałbym odwiedzić, czy choćby znaleźć się w ich pobliżu. Nie chciałbym również zetknąć się bliżej ze światem, który spłodził tak zagadkowe, pochodzące z archaiku, odrażające monstra o jakich wspominał Lake. W tej chwili żałowałem wręcz, że w ogóle czytałem plugawy "Necronomicon" i prowadziłem rozmowy z tym nieprzyjemnym erudytą, badaczem folkloru, Wilmarthem z naszej uczelni, nastrój ten bez wątpienia jedynie wzmógł moją reakcję na dziwaczny miraż, który roztoczył się przed nami pośród coraz bardziej opalizującego zenitu, w miarę jak zbliżaliśmy się do masywu i zaczęliśmy dostrzegać widoczne na dole, mocno pofałdowane pogórze. W minionych tygodniach widziałem tuziny polarnych miraży, a niektóre z nich były równie niesamowite i fantastycznie żywe jak ten.

Teraz jednak wyczuwałem w nim całkowicie nowy, nieokreślony i groźny symbolizm; ciarki przeszły mi po plecach, gdy ujrzałem ów kryjący labirynt bajecznych murów, wież i minaretów wyłaniający się z rozszalałego

lodowego wszechświata przed naszymi oczami. W sumie owo gigantyczne miasto o nieznanym człowiekowi, przechodzącej ludzkie wyobrażenie architektury, z rozległymi skupiskami czarnych jak noc wytworów sztuki kamieniarskiej zdawało się, w przerażający sposób urągać wszelkim prawom geometrii. Występowały tam ścięte stożki – niekiedy z terasami, zwieńczone wysokimi, cylindrycznymi szczytami – tu i ówdzie bulwiaste rozszerzonymi, często z warstwami ciężkich, fryzowanych tarcz; dziwne, zwieszające się, przypominające stoły konstrukcje przywodzące na myśl sterty nakładających się jedno na drugą prostokątnych lub owalnych płyt i pięcioramiennych gwiazd. Były tam kompozycje stożków i piramid, zarówno samych, jak i przyozdobionych walcami i sześcianami. Gdzieś strzelały w górę wąskie, smukłe jak igły wieżycy – i co zastanawiające – zawsze w grupach po pięć. Wszystkie te, przypominające wytwory chorej wyobraźni, budowle zdawały się być połączone ze sobą rurowymi mostami przechodzącymi z jednego w drugi na różnych, zawrotnych wysokościach. Dopiero one oddawały całą skalę przytłaczającego ogromu owej niesamowitej, zapierającej dech w piersiach budowli.

Generalnie miraż przypominał niektóre z bardziej szalonych form zaobserwowanych i opisanych w 1820 roku przez arktycznego wielorybnika Scoresby'ego. Teraz jednak i w takim miejscu, w obliczu mrocznych, nieznanymi zdających się sięgać niebios górskich wierzchołków, w chwili gdy nasze umysły dręczyła wizja innego, jeszcze starszego świata i przecucie nieszczęścia, które prawdopodobnie spotkało większą część naszej ekspedycji, wydawało się nam iż posępny miraż stanowi ostrzeżenie przed czającym się tu ukrytym, nieskończonym złem. Byłem zadowolony, kiedy wizja zaczęła w końcu się rozmywać, aczkolwiek w trakcie tego procesu niektóre z wieżyczek i iglic przybrały jeszcze ohydniejsze, pomimo iż tylko przejściowe, kształt 'idy w końcu cała iluzja rozplynęła się pośród opalizującej kipieli, ponownie zaczęliśmy spoglądać w kierunku ziemi; zbliżał się bowiem kres naszej podróży. Przed nami pięły się strzeliście

przyprawiające o zawrót głowy nieznanne góry, niczym przerażający wał obronny wzniesiony przez gigantów, a ich dziwaczna regularność widoczna była, z zaskakującą ostrością, nawet bez lornetek. Znajdowaliśmy się teraz nad najniższymi partiami pogórza i dostrzegliśmy pośród śniegu, lodu i nagich skał głównego płaskowyżu kilka burych płatów, które jak sądziliśmy były miejscem obozu i prac wiertniczych Lake'a. Wyższe partie pogórza rozciągały się na przestrzeni 5 czy 6 mil tworząc odrębny masyw, wyraźnie odcinający się od przeraźliwej linii wyższych niż himalajskie wierzchołków. Po dłuższym czasie Kopcs – student, który zastąpił McTighe'a przy sterach – skierował maszynę w dół, ku ciemnemu punktowi po naszej lewej stronie, którego rozmiar świadczył, iż musiał to być obóz. W tym samym czasie McTighe przekazał ostatni komunikat, jaki w nieocenzurowanej formie otrzymał świat od naszej ekspedycji. Wszyscy, rzecz jasna, czytali krótkie i niepełne doniesienia o naszym dalszym pobycie na Antarktydzie.

W kilka godzin po lądowaniu przesłaliśmy ocenzurowany już meldunek o tragedii jaka się tu wydarzyła, niechętnie wspominając o przerażającej wichurze jaka nadeszła poprzedniego dnia, lub noc wcześniej, niosąc zagładę całej grupie Lake'a. Jedenaście trupów, młody Oedney zaginiony. Społeczeństwo wybaczyło nam, iż nie zagłębialiśmy się w szczegóły, zdając sobie sprawę z ogromu szoku i żalu wywołanego tym strasznym dramatem, wierząc zarazem, że to huraganowy wicher i jego niszcząca siła sprawiły, iż owych jedenaście ciał nie nadawało się do transportu. Prawdę mówiąc pochlebiam sobie, że nawet w obliczu takiego nieszczęścia, w kompletnym oszołomieniu i chwytajęcej za serce grozie udało się nam niemal w każdym przypadku, w niewielkim tylko stopniu rozminąć z prawdą. Sęć bowiem w tym, że nie śmieliśmy wyznać wszystkiego; nie uczyniłbym tego i dziś, gdyby nie konieczność przestrzeżenia innych przed bezimiennym koszmarem, rakiem jest, iż huraganowy wicher poczynił w obozie potworne spustoszenia. Burza miotająca z furią odłamki lodu, musiała swymi rozmiarami przekraczać wszystkie jakie dotąd napotkała nasza ekspedycja.

Jeden ze schronów samolotowych – wydaje się iż wszystkie były zbyt słabe i niezdolne, by stawić czoła podobnemu żywiołowi – został praktycznie starty na miazgę, a rusztowanie odległego świdra dosłownie rozniesione na kawałki. Metalowe szczątki samolotów i urządzeń wiertniczych wygładzone zostały na wysoki połysk, a dwa niewielkie namioty, pomimo iż znajdowały się za obwarowaniami ze śniegu, kompletnie rozplaszczono. Wszystkie drewniane powierzchnie wystawione na działanie wichury obdarte były z farby i podziurawione jak ser szwajcarski. Ma śniegu nie pozostały żadne ślady. Nie znaleźliśmy też żadnego z archaicznych obiektów biologicznych w stanie nadającym się do transportu. Zebraliśmy jedynie kilka okazów minerałów z ogromnej sterty zawierającej zielonkawą odłamki steatytu z dziwnymi odciskami w kształcie rozgwiazdy i niewyraźnych śladów punkcików, które spowodowały tyle wątpliwości. Ponadto trochę skamieniałych kości, wśród których były egzemplarze noszące osobliwe ślady uszkodzeń. Nie przeżył ani jeden pies. Ich w pośpiechu budowana w pobliżu obozu zagroda ze śniegu była prawie całkowicie zburzona. Uszkodzenia te mogły być dziełem wichury, aczkolwiek większe szkody widniejące w murze od strony obozowiska, czyli od zawietrznej, zdawały się sugerować, iż były one dziełem samych psów, które walcząc jak oszalałe rozbiły ścianę pragnąc wyrwać się na wolność. Zaginęły wszystkie trzy pary sań, co tłumaczyliśmy działaniem wichru, który porwał je w nieznaną. Urządzenie wiertnicze i aparatura do topienia lodu znajdujące się w miejscu wiercenia były zbyt zniszczone, aby można je było naprawić. Użyliśmy ich zatem do zaczopowania w niewielkim tylko stopniu zniszczonej bramy wiodącej w przeszłość, otwartej przez Lake'a.

Pozostawiliśmy też w bazie dwa najbardziej uszkodzone samoloty, zwłaszcza że w naszej grupie było tylko czterech pilotów z prawdziwego zdarzenia – Sherman, Dantbrth, McTighe i Ropes – a na dodatek Danforth był w zbyt kiepskim stanie psychicznym, aby pilotować maszynę. Zabraliśmy natomiast ze sobą wszystkie książki, aparaturę naukową oraz różne inne

przedmioty, które przypadkiem weszły nam w ręce, jakkolwiek wiele z nich było uszkodzonych i nie mogło się nam na wiele przydać. Zapasowe namioty i futra albo zaginęły, albo były w takim stanie, że nie nadawały się już do użytku.

Mniej więcej o czwartej po południu, po dalekim zwiadzie lotniczym ostatecznie uznaliśmy Gedney'a za zaginionego i przesłaliśmy ocenzurowaną wiadomość na "Arkham", skąd miano przekazać ją dalej. Sądzę, że udało nam się utrzymać komunikaty w spokojnym i wymijającym tonie. Mówiliśmy głównie o poruszeniu wśród psów, których szaleńczy niepokój wywołany bliskością pradawnych okresów biologicznych spodziewał się wyjaśnić nieżyjący Lake. Nie wspomnieliśmy natomiast nic, o podobnym zaniepokojeniu, kiedy weszły w pobliżu osobliwych, zielonkawych steatytów i niektórych innych przedmiotów znajdujących się na miejscu tragedii – instrumentów naukowych, samolotów, urządzeń tak w samym obozie jak i w miejscu wierceń. Wszystko było potrzaskane, bezlitośnie rozwleczone, nosiło ślady działalności wiatru, który musiał wiać tu z przerażającą i zadziwiającą siłą. W obozie powinno być czternaście okazów biologicznych, i jeżeli o nie chodzi – informacje jakie przekazaliśmy były, ogólnie mówiąc zdawkowe. Powiedzieliśmy, że znaleziono wyłącznie egzemplarze uszkodzone, których wygląd jednak w pełni potwierdził, że opis Lake'a był wyjątkowo dokładny. Było nam trudno nie mieszać w tę sprawę osobistych uczuć, ale nie wyznaliśmy dokładnej liczby ani nie wspomnieliśmy o stanie znalezionych przez nas zwłok. Uzgodniliśmy między sobą, że nie powiemy niczego, co mogłoby sugerować popadnięcie w obłąd niektórych ludzi Lake'a. A wszystko zdawało się na to wskazywać, kiedy odkryliśmy sześć uszkodzonych monstrów pogrzebanych pieczołowicie, w pionowej pozycji w grobach w śniegu. Ich głębokość sięgała 9 stóp, a każdy z grobów zwieńczony został pięcioramiennym kopcem oznaczonym na szczycie grupą punkcików, układającą się dokładnie w taki sam wzór jak na osobliwych, zielonkawych steatytach z warstw

pochodzących z mezozoiku. natomiast osiem nieuszkodzonych okazów, o których wspominał Lake musiało zostać porwanych przez wicher. Zadbaliśmy również o to, by zaledwie nie wzburzyć umysłów opinii publicznej, toteż nie powiedzieliśmy z Danforthem zbyt wiele o przerażającej podróży nad górami, którą odbyliśmy następnego dnia. Tylko dlatego, iż całkowicie odciążony samolot był w stanie przelecieć nad masywem górskim na tak ogromnej wysokości, miłosierny los ograniczył liczebność grupy rekonesansowej do naszej dwójki.

Kiedy już wracaliśmy, Danforth był bliski hysterii, choć z podziwu godnym uporem trzymał język za zębami, nie musiałem go przekonywać i zmuszać do obietnic, że nie doda nic ponad to co zdecydowaliśmy rozgłosić oficjalnie oraz zachowa milczenie na temat szkiców i innych rzeczy przywiezionych przez nas z rekonesansu w kieszeniach, jak również na temat Filmów, które potem wywołam prywatnie, tylko dla naszego użytku. Tak więc część obecnej relacji będzie czymś zupełnie nowym, tak dla Pabodiego, McTighe'a, Ropesa, Shermana i całej reszty, podobnie jak i dla całego świata, niewątpliwie milczenie Danforth'a jest głębsze od mojego, widział on bowiem, lub wydaje mu się, że widział coś o czym nawet mnie nie powiedział. Jak wszystkim wiadomo, raport nasz zawierał opowieść o niezwykle trudnej wspinaczce, potwierdził też opinię Lake'a, że ogromnie wierzchołki zbudowane są z łupków archaicznych i innych bardzo dawno sfałdowanych warstw, które nie uległy przekształceniom od czasów co najmniej środkowej epoki komanczańskiej. W dalszej części raportu znajdowała się ogólnikowa wzmianka o regularności kształtów przylegających do gór sześciaków i formacji w kształcie watów obronnych, stwierdzenie iż wejścia do jaskiń wskazują na istnienie zjawiska rozpuszczania wapiennych żył, przekonanie, że niektóre stoki i przełęcze są dostępne dla wytrwałych wspinaczy. Raport kończył się informacją, iż po tajemniczej, drugiej stronie gór rozciąga się ogromny superpłaskowyż, równie starożytny i nic zmieniony jak same góry. Leży on na wysokości 20



tysięcy stóp, i pokryty jest groteskowymi formacjami skalnymi wystającymi spod cienkiej pokrywy lodowej, kończy się zaś niskim pogórzem, ciągnącym się od głównej powierzchni płaskowyżu, do podnóża zaskakująco urwistych, najwyższych wierzchołków masywu. Wszystkie te dane są pod każdym względem prawdziwe i w zupełności usatysfakcjonowały naszych towarzyszy w obozie, naszą trwającą 16 godzin nieobecność, dłuższą niż tego wymagał lot, lądowanie, rekonesans i zebranie próbek skalnych, usprawiedliwił przedłużającym się niczym za sprawą złych mocy, niepomyślnym wiatrem oraz lądowaniem na wspomnianym, dalszym pogórzem, na szczęście opowieść nasza brzmiała zwyczajnie i na tyle prozaicznie, że nikt nie zapragnął powtórzyć naszego lotu. Gdyby mimo tego ktoś próbował to uczynić, wykorzystałbym wszelkie możliwe środki perswazji aby go powstrzymać – nie wiem co zrobiłby Danforth. Podczas naszej nieobecności Pabodie, Sherman, Ropes, McTighe i Williamson uwijali się jak frygi przy naprawie dwóch mniej uszkodzonych samolotów Lake'a, doprowadzając je, acz z pewnym trudem, do stanu używalności. Samoloty postanowiliśmy załadować następnego ranka i jak najszybciej wyruszyć z powrotem, do naszej starej bazy.

Mimo okrężnej drogi był to niewątpliwie najbezpieczniejszy sposób dotarcia do cieśniny McMurdo; lot w linii prostej ponad nieznanymi obszarami martwego od wieków kontynentu, byłby wielokroć bardziej ryzykowny. W wyniku tragicznego zdziesiątkowania naszej wyprawy oraz zniszczenia urządzeń wiertniczych dalsza kontynuacja badań nie wchodziła w grę. nurtujące nas wątpliwości i dojmująca zgroza, o których nie wspomnieliśmy słowem, sprawiły iż pragnęliśmy tylko najszybciej jak to możliwe uciec z tego południowego świata pustki i bezbrzeżnego szaleństwa.

Jak już ogół czytelników wie, nasz powrót do zamieszkałego świata odbył się bez dalszych nieszczęść, następnego dnia wieczorem, 27 stycznia, wszystkie samoloty, po szybkim locie non-stop dotarły do naszej starej bazy. 28 w dwóch etapach osiągnęliśmy cieśninę McMurdo. Jedyna przerwa w

locie była krótka i wywołała ją awaria sterów podczas szalonej wichury, na jaką natknęliśmy się nad polem lodowym po opuszczeniu terytorium wickiego płaskowyżu. pięć dni później "Arkham" i "Miskatonic" z całą załogą i sprzętem na pokładach pozostawiły za sobą grubiejące z dnia na dzień coraz bardziej pola lodowe i wpłynęły na morze Kossa; na zachodzie, przed nami na tle zachmurzonego, mrocznego, antarktycznego nieba widniały kontury absurdalnie niskich gór na Ziemi Wiktorii.

Zawodzenie wiatru, przechodzące w przeciągły gwizd zmrażało mnie do szpiku kości. Niecałe dwa tygodnie później opuściliśmy ostatnie rubieże polarnej krainy, dziękując niebiosom, że udało nam się ująć cało z tego strasznego, przekłętą świata, gdzie życie i śmierć, czas i przestrzeń zawarty czarne, bluźniercze sojusze w nieznanym epokach, kiedy materia zaczęła wykonywać, pierwsze nieśmiałe jeszcze ruchy i pływać po nie do końca wówczas ostudzonej powierzchni planety.

Od chwili naszego powrotu, zachowując pewne wątpliwości i domysły dla siebie, z zadziwiającą jednomyślnością i wzajemnym zaufaniem robimy wszystko, by zniechęcić innych do prowadzenia badań na terytorium Antarktydy. Nawet młody Danforth w nerwowym załamaniu nie zająknął się słowem przed swoimi lekarzami – jak już wspomniałem faktycznie istnieje coś, o czym myśli, że tylko on to widział i nawet mnie tego nie zdradza, choć, jak się wydaje, zwierzenie takie poprawiłoby jego stan psychiczny, gdyby się na nie zdecydował.. Moglibyśmy sobie wiele wyjaśnić, a jemu przyniosłoby to ulgę, choć to wszystko zapewne było tylko złudzeniem, mglistą konsekwencją wcześniejszego szoku. W każdym razie takie odniosłem wrażenie po tych kilku rzadkich chwilach wylewności, kiedy bełkotał mi do ucha rozmaite chaotyczne zdania, zdania i słowa które wyrzucał z siebie gwałtownie i nerwowo, aż do chwili kiedy pozornie odzyskiwał nad sobą panowanie. Trudno nam będzie odwieść innych od wyprawy na wielkie, białe południe, zwłaszcza że nasze wysiłki mogą odnieść przeciwny skutek, przyciągając uwagę ciekawskich. Powinniśmy

byli wiedzieć od początku, że ludzka ciekawość jest nieśmiertelna, a wyniki uzyskane i ogłoszone przez naszą wyprawę staną się dostateczną pokusą dla innych, by zapragnęli wyruszyć w tę samą, trwającą od wieków pogoń za nieznanym. Doniesienia Lake'a o tych biologicznych potwornościach wzbudziły wśród kolegów i paleontologów najwyższe zainteresowanie, jakkolwiek byliśmy na tyle przezorni, że ukryliśmy fragmenty szczątków wydobyte z grobów w których pogrzebane zostały okazy, oraz fotografie tych okazów, wykonane w chwili ich odnalezienia. Powstrzymaliśmy się także przed pokazaniem jeszcze bardziej zagadkowych, uszkodzonych kości i zielonkawych steatytów; Danforth natomiast i ja bacznie strzeżliśmy zdjęć zrobionych przez nas na superpłaskowyzu za łańcuchem górskim. Zachowaliśmy również dla siebie pewne pocięte rzeczy, które wygładziliśmy, rozprostowaliśmy i po przestudiowaniu ich ze zgrozą, zabraliśmy w kieszeniach do bazy. Obecnie jednak przygotowywana jest ekspedycja Starkweathera i Moora, dysponująca aparaturą i sprzętem dużo lepszym od naszego. Jeżeli nie odwiedziemy ich od tego zamierzenia, dotrą do samego pola Antarktydy i tak długo będą wiercić i topić, aż odkryją to, o czym my już wiemy doprowadzając tym samym do końca świata. Dlatego muszę przerwać milczenie: opowiedzieć o wszystkim, nawet o tym niewiarygodnym, przerażającym bezimiennym tworze spoza Gór Szaleństwa.

# 4

Z wahaniem i bardzo niechętnie powracam pamięcią do obozu Lake'a i tego, co w rzeczywistości tam odkryliśmy – i do owego tworu za Górami Szaleństwa. Prosto i naturalnie byłoby złożyć wszystko na karb szaleństwa jakie ogarnęło część grupy Lake'a. Sama demoniczna górską wichura wystarczyła, by w tym sercu krainy pustki i tajemnic, doprowadzić każdego do obłądu. Ukoronowaniem potworności był stan zwłok – zarówno ludzkich jak i psich. Wszystkie one wyglądały strasznie – rozdarte i rozszarpane w tyleż szatański co niewytłumaczalny sposób. Na ile zdołaliśmy się zorientować przyczyną śmierci było albo uduszenie, albo rozdarcie na sztuki. Prawdopodobnie kłopoty zaczęły się od psów, które wpadły w popłoch; wygląd ich prowizorycznej zagrody świadczył, że wydostały się z niej siłą. Wprawdzie, z powodu wrogiego stosunku zwierząt do tych piekielnych istot z archaiku, zagroda stała w pewnej odległości od obozu, ale ów środek ostrożności okazał się niewystarczający. Pozostawione za kruchymi, niedostatecznie wysokimi ścianami, sam na sam z potwornym huraganowym wiatrem, psy musiały wpaść w panikę, nie sposób stwierdzić czy przyczyną owego popłochu był tylko wiatr, czy jakiś przenikliwy, przybierający na sile fetor wydzielany przez te koszmarnie okazy, niemniej jednak, cokolwiek się tam wydarzyło było w dostatecznym stopniu odrażające i plugawe. Chyba najlepiej będzie jeśli opowiem o wszystkim otwarcie, nie siląc się na delikatność, opierając się o bezpośrednie obserwacje i jedyne nasuwające się logiczne wnioski, zarówno Daniortha jak i moje. Muszę stanowczo oświadczyć, iż zaginiony Gedney nic byt w żaden sposób odpowiedzialny za obrzydliwe, przyprawiające o mdłości okropieństwa jakie zastaliśmy w obozie. Wspomniałem już, iż ciała były w straszliwy sposób poszarpane.

Teraz zaś pragnę dodać, że niektóre z nich były porozrywane i rozczłonkowane w zdumiewająco nieludzki, i dokonany z zimną krwią sposób.

Dotyczyło to zarówno ludzi jak i psów. Wszystkie co bardziej zdrowe i tłuste zwłoki, zarówno stworzeń dwu- jak i czworonożnych miały wyciętą i usuniętą, niczym przez skrupulatnego rzeźnika, główną masę tkankową. Ale najpotworniejsze skojarzenia budziła rozsypana wokoło, w osobliwy sposób sól, pochodząca z rozbitych skrzyń przechowywanych w samolotach. Odkryliśmy to wszystko w jednym z prymitywnych hangarów, z którego wywleczony został aeroplan. Niestety wiatr pozacierał wszystkie ślady, które mogłyby udzielić nam jakichkolwiek wiarygodnych wyjaśnień. Nie dostarczyły też żadnych wskazówek strzępy odzieży zdartej brutalnie z ciał ludzkich okazów. Bezsensownym jest tu również wspomnienie, iż wydawało się nam, że w osłoniętym od wiatru kącie zniszczonego ogrodzenia dostrzegliśmy słabe na wpół zamazane ślady na śniegu, nic należały one bowiem do żadnej ludzkiej istoty, lecz nieodparcie kojarzyły się ze skamieniałymi odciskami, o których nieszczęsny, nieżyjący już Lake tylko nam mówił przez ostatnie kilka dni. Jak już zaznaczyłem, okazało się że bez śladu zaginęli młody Gedney i jeden z psów. Gdy dotarliśmy do tego przerażającego hangaru przegapiliśmy początkowo zwłoki dwóch mężczyzn i dwóch psów, jednak po przebadaniu potwornych grobów weszliśmy do całkiem nienaruszonego namiotu, w którym przeprowadzona była sekcja, natknęliśmy się na kolejną osobliwość.

Wnętrze nie wyglądało tak jak podczas badań prowadzonych przez Lake'a, gdyż z prowizorycznego stołu znikły przykryte szczątki pradawnego monstrum. Prawdę mówiąc już wcześniej domyślaliśmy się, że jeden ze znalezionych przez nas sześciu niedbale i obłąkańczo pogrzebanych stworów – ten, który wydawał z siebie osobliwy, drażniący nozdrza fetor – może być owym uszkodzonym okazem, który usiłował badać Lake. Ma samym sobie laboratoryjnym i wokół niego poniewierały się inne rzeczy i niewiele czasu

zajęło nam stwierdzenie, iż są to starannie, choć osobliwie i niewprawnie wypreparowane organy człowieka i psa. Aby nie ranić uczuć tych co przeżyli, zatają tożsamość owego nieszczęśnika.

Urządzenia anatomiczne Lake'a zniknęły, lecz natknęliśmy się na ślady świadczące, że zostały pieczołowicie oczyszczone. Zniknął również piec benzynowy, a wokoło natknęliśmy się na sporą ilość wypalonych zapalek. Owe ludzkie szczątki pogrzebaliśmy obok zwłok pozostałych dziewięciu mężczyzn; szczątki psa z pozostałymi trzydziestoma pięcioma psami.

Co się tyczy dziwacznych plam na stole laboratoryjnych i na stercie rozsypanych bezceremonialnie opodal, i potraktowanych w nader barbarzyński sposób ilustrowanych książek, byliśmy zbyt wstrząśnięci by snuć jakiegokolwiek domysły. To właśnie wzbudzało w obozowisku największą zgrozę, niemniej jednak natknęliśmy się w nim na inne, równie zdumiewające rzeczy. Zniknięcie Gedney'a, psa, ośmiu nieuszkodzonych okazów biologicznych, trzech par sań, rozmaitych instrumentów, ilustrowanych książek technicznych i naukowych, materiałów piśmiennych, latarek elektrycznych z bateriami, żywności, paliwa, pieca, zapasowych namiotów, kombinezonów futrzanych i tym podobnych, wykraczało poza granice zdrowego rozsądku. Podobnie rzecz miała się ze strzępiastymi kleksami atramentu na niektórych kawałkach papieru oraz ewidentne oznaki czyjegoś manipulowania i eksperymentowania przy samolotach i innych urządzeniach mechanicznych, zarówno w bazie jak i w miejscu gdzie prowadzono wiercenia. Nie oszczędzono również kredensu z żywnością, zniknęły różne artykuły, a blaszane puszki, otwarte w najbardziej niewiarygodny sposób i w nieprawdopodobnych miejscach, ułożono w odrażający swym komizmem stos.

Kolejną, pomniejszą zagadkę stanowiła obfitość rozsypanych zapalek, wypalonych, całych i połamanych. Równie tajemniczy wydawał się fakt, iż dwie lub trzy plandeki namiotowe oraz kilkanaście futrzanych kombinezonów, jakie znaleźliśmy nieopodal, pocięto i poszarpano w nader

osobliwy i oryginalny sposób, w niemożliwym do określenia celu. Wszystko to było przykładem nieokiełzanego szaleństwa. Przewidując okoliczności zbliżone do obecnych, sfotografowaliśmy szczegółowo wszystkie główne dowody obłędu jaki dotknął ludzi w obozie. Na nich właśnie pragniemy się oprzeć, uzasadniając nasz sprzeciw wobec organizowanej właśnie Ekspedycji Starkweathera i Moora. Pierwszą czynnością po odnalezieniu przez nas zwłok w hangarze było sfotografowanie ich, a następnie otwarcie ułożonych w szeregu, makabrycznych grobów zwieńczonych pięcioramiennymi, śnieżnymi kopcami. Trudno było nie dostrzec analogii tych potwornych muld zdobionych grupkami punkcików i dziwnymi, zielonkawymi steatytami, opisywanymi przez nieszczęsnego Lake'a; podobieństwo to przybrało jeszcze na sile, gdy natknęliśmy się na całą stertę tych minerałów.

Należy jasno powiedzieć, iż generalnie kształt tych steatytów aż do obrzydliwości przypominał zbliżoną wyglądem do rozgwiazdy głowę owych pochodzących z archaiku istot.

Jednomyślnie stwierdziliśmy, że podobieństwo to musiało mieć ogromny wpływ na przeczulone, przemęczone umysły ludzi Lake'a. Przyjeliśmy zgodnie, iż to właśnie szaleństwo – ześrodkowujące się w Gedney'u jako jedynym przypuszczalnie ocalałym – było powodem wszystkich przerażających wypadków jakie miały tu miejsce.

Nię będę jednak na tyle naiwny, by sądzić że żaden z nas nie żywił najdziwniejszych, najbardziej fantastycznych podejrzeń, których jednak zdrowy rozsądek nie pozwalał nam do końca sformułować.

Po południu Shennan, Pabodie i McTighe wyruszyli samolotem na zwiad, by spenetrować całe okoliczne terytorium. Bez rezultatu. Grupa patrolowa doniosła jedynie o gigantycznej barierze łańcucha górskiego, który nie tracąc ani jarda ze swej przeraźliwej wysokości, ani nie zmieniając struktury geologicznej rozciągał się, jak okiem sięgnąć w prawo i w lewo. Na niektórych jednak wierzchołkach wyraźnie można było dostrzec formacje ukształtowane na podobieństwo watów i iglic, wzmagających tylko

fantastyczne podobieństwo do malowanych przez Roericha azjatyckich wzgórz z ruinami. Rozkład tajemniczych pieczar widniejących w czarnych, zmiecionych ze śniegu skalnych ścianach wydawał się nieregularny nawet z tak dużej odległości. Pomimo całej grozy sytuacji w naszych wnętrzach pozostało dość naukowego zapału i żądzy przygód, byśmy pragnęli zbadać nieznane krainy znajdujące się poza owymi tajemniczymi górami. Zgodnie z naszym wymijającym komunikatem, po dniu pełnym zakłopotania i dojmującej zgrozy o północy udaliśmy się na spoczynek, ale w głowach mieliśmy już gotowy plan odbycia następnego dnia jednego lub więcej lotów ponad masywem górskim. Zamierzaliśmy dokonać tego na pokładzie odciążonej maksymalnie maszyny, zaopatrzonej jedynie w kamerę lotniczą i mżą dnia geologiczne. Postanowiliśmy, że jako pierwsi polecą: Danforth i ja. W związku z tym, jako że planowaliśmy start wczesnym rankiem wstaliśmy punktualnie o 7. Jednak silny wiatr, o którym wspominaliśmy w krótkim, posłanym w eter komunikacie opóźnił start i ostatecznie wyruszyliśmy około dziewiątej. Studiując notatki sporządzone przez Pabodiego podczas jego popołudniowego lotu i sprawdzając ich treść z sekstanssem, wyliczyliśmy że najniższa i możliwa do osiągnięcia przełęcz w masywie znajduje się nieco na prawo od nas, w zasięgu wzroku od obozu sięgając wysokości 24 tysięcy stóp nad poziomem morza. Tam zatem skierowaliśmy najpierw nasz, odciążony specjalnie na ten rekonesansowy lot, aeroplan. Sam obóz, na spływającym z wysokiego, kontynentalnego płaskowyżu pogórzcu leżał na wysokości około 12 tysięcy stóp; różnica wysokości jaką mieliśmy do pokonania nie była znów taka wielka, jak się to mogło wydawać. Jednak, wznosząc się odczuwaliśmy skutki rozrzedzonego powietrza i dotkliwe zimno, gdyż dla polepszenia warunków widoczności zostawiliśmy otwarte okienka kabiny, naturalnie mieliśmy na sobie najgrubsze i najcieplejsze futra. Kiedy zbliżyliśmy się do zakazanych szczytów mrocznych i złowróżbnych gór, nad linią wyciętego szczelinami śniegu i lodowca, ujrzeliśmy jeszcze więcej zadziwiająco regularnych



formacji przylegających do stoków i raz jeszcze powróciłem myślami do osobliwych azjatyckich malowideł Nicholasa Koericha. Starożytne i zwietrzałe warstwy skalne zgadzały się w pełni z doniesieniami Lake'a, potwierdzając fakt, że szczyty te piętrzą się tu w niezmięnionej formie od wczesnych czasów ziemskiej historii, zapewne zaś od ponad 50 milionów lat. Jak dużo wyższe były kiedyś, daremnie by zgadywać, ale wszystko wskazywało, iż w tym dziwnym regionie istnieją niezrozumiałe wpływy atmosferyczne, nie sprzyjające zmianom i spowalniające typowe procesy klimatycznego niszczenia skał. najbardziej jednak fascynowała nas chaotyczna mozaika owych regularnych sześcianów, wałów i jaskiń. Kiedy Danforth siedział za sterami lustrowałem je przy pomocy lornetki, wykonując jednocześnie zdjęcia lotnicze. Aby umożliwić i jemu obserwację zajmowałem od czasu do czasu miejsce w fotelu pilota, jakkolwiek moja znajomość awiacji jest czysto amatorska. Dostrzegliśmy bez trudu, że większość owych tworów uformowana była z archaicznych kwarcytów o innej barwie, odmiennej niż materiał z którego zbudowane były pozostałe formacje na całej rozległej przestrzeni. Okazało się również, że ich regularność była jeszcze bardziej niesamowita i niewiarygodna niż wspominał nieszczęsny Lake. Tak jak mówił, ich krawędzie były pokruszone i zaokrąglone w wyniku trwającego przez niezliczone stulecia procesu wietrzenia.

Tylko ich nadprzyrodzona twardość uchroniła je od całkowitego zniszczenia. Wiele z nich, zwłaszcza tych najbliższych stoków górskich sprawiało wrażenie, że wykonane są z tego samego budulca co otaczające je skały. Całość wyglądała jak ruiny Macchu Picchu w Andach lub ściany pierwotnych fundamentów w Kish, które odkopła w 1929 roku Ekspedycja Muzeum Ziemi z Oxfordu; zarówno Danforth jak i ja podzielaliśmy wrażenie, iż są to głazy Gigantów, jak ochrzcił je Lake w rozmowie ze swoim towarzyszem lotu, Carrollem. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem jak wytłumaczyć istnienie podobnych rzeczy w takim miejscu i jako geolog

czułem się całkowicie bezradny, formacje wulkaniczne często są zadziwiająco regularne – jak np. słynna Granfs Causeway w Irlandii – ale ów szokujący masyw, wbrew pierwotnym doniesieniom Lake'a, że dostrzega dymiące stożki wulkanów, nosił wszelkie cechy struktury niewulkanicznej. Intrygujące, niezwykle regularne otwory wejściowe do jaskiń, w pobliżu których występowały osobliwe formacje stanowiły kolejną, choć już nie tak tajemniczą zagadkę. Były one, jak wspominał w swoich doniesieniach Lake prawie kwadratowe lub półkoliste, zupełnie jakby ich naturalne otwory, dla większej symetrii, ukształtowała jakaś czarodziejska ręka. Ich liczba i rozstawienie były niewiarygodne, nieomal zdumiewające, sugerując iż cały ten obszar był niczym wielki plaster miodu, podziurawiony tunelami wydrążonymi w warstwach wapienia. Nie mogliśmy zajrzeć głębiej do ich wnętrza, ale na pierwszy rzut oka groty sprawiały wrażenie, iż nie było w nich stalaktytów ani stalagmitów.

Na zewnątrz stoki górskie, w których znajdowały się owe szczeliny wydawały się niewiarygodnie gładkie i regularne; Danforth napisał nawet, że drobne szczeliny i szczyby powstałe wskutek procesów wietrzenia układają się w niezwykle wzory. Przepęnliony grozą i uczuciem niesamowitości, po tym co ujrzał w obozie wyznał, że zwietrzeliny w jakiś niewyraźny sposób przypominają mu owe zaskakujące grupy punkcików, którymi upstrzone były prastare, zielonkawe steatyty i które w tak odrażający, plugawy sposób powtórzone zostały na śnieżnych kopcach znaczących miejsce pochówku sześciu upiornych monstrów z przeszłości.

Wznosiliśmy się stopniowo nad coraz wyższe partie pogórza, a następnie wzdłuż niego, ku wybranej przez nas przełęczy. Od czasu do czasu spoglądaliśmy na pokryty śniegiem i lodem ląd, zastanawiając się czy mielibyśmy szansę dotrzeć tu dawniej, mając do dyspozycji dużo prostszy sprzęt. Ku naszemu zdumieniu spostrzegliśmy, że teren nie był zbyt trudny i pomimo szczelin lodowych oraz innych czyhających niebezpieczeństw możliwy do pokonania przez sanie Scotta, Shackletona czy Amundsena.

niektóre lodowce wiodły bezpośrednio na nagie, omiatane wiatrami przełęcze, a gdy dotarliśmy już nad tę, którą wybraliśmy z Danforthem, stwierdziliśmy że i ona nie stanowi wyjątku od reguły. Trudno opisać uczucia jakie przepełniały nas, gdy szykowaliśmy się do okrążenia masywu i zerknięcia na nietknięty ludzką stopą świat; nawet jeśli nie mieliśmy powodu przypuszczać, że terytorium po drugiej stronie łańcucha gór może różnić się zasadniczo od tych, w których już byliśmy i które znamy. Tchnienie złowrogiej tajemnicy tkwiącej w tych granicznych górach i w przyzywającej otchłani opalizującego morza niebios rozpościerającego się migotliwie pomiędzy ich spiczastymi wierzchołkami było sprawą niezwykle subtelnych odczuć, których nie sposób oddać zwykłymi, pisanymi słowami. Była to raczej kwestia mglistej psychologicznej symboliki i skojarzeń natury estetycznej – mieszanina egzotycznego malarstwa, poezji i mitów kryjących się w zakazanych i powszechnie unikanych księgach.

Nawet wiatr zdawał się być przesycony świadomym, okrutnym i bezlitosnym złem; słyhać to było w poszumie wichru, bo gdy jego podmuchy wpadały i wypadały z wszechobecnych, rezonujących otworów jaskiń można było – przez sekundę lub dwie – wychwycić nader osobliwy, melodyjny świergot czy gwizd. Pobrzmiewała w nim mętna nuta kojarząca się z odrazą i wstrętem, tak złożone i trudne do określenia jak żadne inne z naszych mrocznych doznań.

Po mozolnym wznoszeniu się byliśmy już, wedle wskazań sekstansu, na wysokości 25.570 stóp. Dokładnie przed nami majaczyła przełęcz – była gładka i omieciona do czysta przez bezlitosny wiatr, rozciągnięta między dwoma mrocznymi strzępiastymi, złowrogimi cieniami górskich szczytów. Za nią było niebo wypełnione wirującymi oparami i rozjaśnione blaskiem nisko zawieszzonego, polarnego słońca – niebo owej odległej, tajemniczej krainy, której, jak sądziliśmy, nigdy dotąd nie oglądało ludzkie oko. Jeszcze parę stóp w górę i nareszcie ją zobaczymy. Pośród odgłosów zawodzącego, świszczącego wiatru, którego podmuchy przetaczały się ponad przełęczą, i

mieszającym się z nimi wyciem silników naszych maszyn trudno było mi zamienić z Danforthem choćby słowo; krzyczyliśmy więc do siebie, wymieniając przy tym znaczące spojrzenia. Aż wreszcie, uzyskawszy właściwy pułap pokonaliśmy granicę Gór Szaleństwa i znaleźliśmy się oko w oko z niezgłębionymi tajemnicami starej i całkowicie obcej ziemi.

# 5

Wydaje mi się, że kiedy ostatecznie wznieśliśmy się ponad przełęcz i ujrzeli co poza nią leży, obaj wydaliśmy głośny krzyk, w którym mieszały się pospół groza, zdumienie, przestach i niewiara we własne zmysły. Rzecz jasna, obaj musieliśmy dysponować jakimś naturalnym, skrytym głęboko w naszych umysłach wytłumaczeniem, aby się na nim oprzeć i nie utracić zmysłów. Myśleliśmy wówczas zapewne o takich rzeczach jak groteskowe zwietrzeliny skalne w Ogrodzie Bogów w Colorado, czy wyrzeźbione przez wiatr głazy na pustyni w Arizonie. Być może w pierwszej chwili sądziliśmy nawet, że to tylko miraż, taki jak ten którego byliśmy świadkami poprzedniego ranka, kiedy po raz pierwszy zbliżaliśmy się do Gór Szaleństwa. Z całą pewnością tak to sobie tłumaczyliśmy, omiatając wzrokiem bezkresny, naznaczony przez gwałtowne nawałnice płaskowyż, i zdawało by się nie mający końca labirynt olbrzymich, regularnych kamiennych mas o geometrycznych wzorach, które wznosiły swe spękane, naznaczone otworami grot grzebienie, ponad płaszcz lodowca, nie grubszy w swych najgłębszych miejscach niż 40 czy 50 stóp, a miejscami jeszcze cieńszy.

Efekt tego potwornego widoku był wręcz nie do opisanania; początkowo wydawało się, że w tym miejscu nastąpiło jakieś diaboliczne pogwałcenie wszelkich znanych praw natury. Ma tym piekielnie starym płaskowyżu, wznoszącym się 20 tysięcy stóp ponad poziomem morza, gdzie klimat od czasów praludzkich, czyli od dobrych 500 tysięcy lat, jest zabójczy dla wszystkich form życia, jak okiem sięgnąć, rozciągał się labirynt głazów ułożonych w takim porządku, że tylko desperacki odruch ludzkiego zdrowego rozsądku mógł przypisać ich powstanie ślepym i naturalnym siłom.

Początkowo, jak dyktował nam rozum, odrzuciliśmy ewentualność, że sześciiany i wały obronne usytuowane na górskich zboczach mogą być innego niż naturalne pochodzenia. Jakże zresztą mogłoby być inaczej skoro w czasach, kiedy ów rejon zamierał poddając się z wolna panującej tu dziś niepodzielnie lodowej śmierci, człowieka z trudem można było odróżnić od olbrzymieli małą? W obecnej chwili jednak ów zdrowy rozsądek uległ poważnemu zachwianiu, bowiem cały ten labirynt Gigantów, gdzie roiło się wręcz od równobocznych, zaokrąglonych lub kanciastych bloków skalnych zaprzeczał wszelkim wytłumaczeniom podsuwanym przez nasz zdrowy rozsądek. A więc jednak tamta piekielna fatamorgana miała naturalne wytłumaczenie, najwyraźniej w wyższych partiach atmosfery istniała jakaś pozioma warstwa lodowego pyłu, za pośrednictwem której ów szokujący kamienny wytwór przesyłał swój obraz poprzez góry.

zgodnie z prawem odbicia światła, naturalnie fantom był zdeformowany, wykoślawiony i wyolbrzymiony – miał elementy których nie posiadało jego rzeczywiste źródło; teraz jednak, gdy ujrzeliśmy pierwowzór mirażu przekonaliśmy się, że jest on jeszcze bardziej odrażający i złowieszczy niż jego odległe wyobrażenie. Jedyne niewiarygodna, nieludzka masywność tych rozległych kamiennych wież i wałów uchroniła ów przerażający twór od kompletnej zagłady w przeciągu setek tysięcy, a może i milionów lat, jakie minęły od chwili ich pojawienia się na tej pusepnej, niegościnniej wyżynie. Corona Mundi – Dach Świata... kiedy spoglądaliśmy z zawrotnej wysokości na to niewiarygodne zjawisko, cisnęły się nam na usta wszelkie fantastyczne określenia. Znów przyszyły mi na myśl niesamowite, pradawne mity, które kołatały mi się po głowie od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałem wymarły, antarktyczny świat... legendy o demonicznym płaskowyżu Leng, o Mi-Go, albo odrażających Ludziach Śniegu z Himalajów, o Manuskryptach Pnakotyckich z ich praludzkimi implikacjami, o kulcie Cthulhu, "Necronomiconie" i hyperborejskich opowieściach o bezkształtnym Tsathoggu, i jeszcze gorszych istotach towarzyszących tej przybyłej z

gwiazd pólistocie. Ów twór rozciągał się na wszystkie strony na długości wielu mil – i tylko czasami tu i ówdzie widać było nieznaczne zmniejszenie się skalnej formacji. Wodząc wzrokiem na prawo i lewo wzdłuż podstawy niskiego, choć stopniowo wznoszącego się pogórza, odgradzającego twór od głównego łańcucha gór, ustaliliśmy bezspornie, że rozciąga się ono nieprzerwanie, za wyjątkiem jednego tylko miejsca, po lewej stronie przełęczy, przez którą się tu dostaliśmy. Trafiliśmy całkiem zresztą przypadkiem w lukę w masywie czegoś, co zdawało się być niewiarygodnie złożonym tworem sięgającym nie wiadomo jak daleko.

Pogórze było rzadziej usiane groteskowymi, kamiennymi budowlami i łączyło upiorne miasto ze znanymi nam już sześcianami i wałami obronnymi, pełniącymi najwyraźniej funkcję górskich stanic. Tych ostatnich, podobnie jak osobliwych, mrocznych wejść do jaskiń było tyle samo na zewnętrznych, co na wewnętrznych skalnych stokach, niewyobrażalny, niemożliwy do opisanego słowami koszmarny labirynt składał się w przeważającej części z nagich ścian, mierzących od 10 do 150 stóp wysokości; ich grubość zaś wahała się od 5 do 10 stóp. Tworzyły je ogromne bloki czarnego pierwotnego łupku i piaskowca, przeważnie o wymiarach 4 na 6 na 8 stóp; w kilku miejscach wydawały się być one wycięte bezpośrednio w litej, szorstkiej skale prekambryjskiej płyty. Budowle miały rozmaite rozmiary, natknęliśmy się tam zarówno na olbrzymią ilość ukształtowanych niczym plaster miodu, ogromnych struktur, jak i na mniejsze, oddzielne budynki. Generalnie twory te miały kształt stożkowy, piramidalny lub terasowy, niemniej jednak widzieliśmy tu również wiele figur w kształcie walców, sześcianów, wielościanów i innych osobliwie usytuowanych kanciastych budowli, których pięcioramienny układ kojarzyć się mógł z nowoczesnymi fortyfikacjami.

Ich budowniczy musieli być prawdziwymi ekspertami w dziedzinie stosowania formacji łukowych, których ogromna liczba, podobnie jak kopuł, istniała tu zapewne w czasach rozkwitu miasta. Cały ten labirynt był

niewiarygodnie zwietrzały. Powierzchnię lodowca, z którego wystrzeliwały wieże zaścielały zwalone bloki i zalegające tu od niepamiętnych czasów odłamki skalne. W miejscach gdzie pokrywa lodowa była przezroczysta, mogliśmy dostrzec niższe partie gigantycznych tworów i zachowane w lodzie, rozpięte na różnych wysokościach kamienne mosty łączące poszczególne wieże. Ma nagich ścianach zauważyliśmy wyraźne ślady po takich samych, widniejących tu niegdyś, jeszcze wyższych mostach. Bliższe oględziny ukazały niezliczoną ilość okien. W niektórych tkwiły jeszcze okiennice ze skamieniałego drewna, większość tych otworów była jednak pusta, a ich wygląd sprawiał doprawdy nader ponure i złowrogie wrażenie. Rzecz jasna większość ruin nie miała dachów, a ich górne krawędzie były nierówne i zaokrąglone przez wiatr; podczas gdy inne, stożkowe i piramidalne, osłonięte przez stojące przy nich wyższe budowle zdołały zachować swój pierwotny kształt i, jeśli nic liczyć drobnych wykruszeń czy wgłębień na ich powierzchni, były praktycznie nie tknięte. Przy pomocy samej tylko lornetki z trudem zdołaliśmy dostrzec coś, co wyglądało jak całe rzędy rzeźb dekoracyjnych, tu również natrafiliśmy na osobliwe grupy punkcików, a ich obecność na pradawnych budowlach w obecnej sytuacji nabrała dużo większego znaczenia. W wielu miejscach budynki były kompletnie zniszczone, a pokrywa lodowa, wskutek różnych procesów geologicznych poszyta głębokimi szczelinami. W innych z kolei, wytwory sztuki kamieniarskiej zostały starte aż do poziomu pokrywy lodowej. Jeden rozległy pas ciągnący się od wnętrza płaskowyzu aż do rozpadliny u stóp pogórza, około mili na lewo od przełęczy przez którą się tu dostaliśmy, nie był w ogóle zabudowany. Jak przypuszczaliśmy było to koryto wielkiej rzeki, która przed milionami lat, przepływała przez miasto, wpadając w jakąś fantastyczną podziemną otchłań, wewnątrz bariery górskiego łańcucha. Bez wątplenia była to kraina jaskiń, przepaści i podziemnych tajemnic wykraczających poza ludzką zdolność pojmowania.

Wracając do towarzyszących nam odczuć i wspominając nasze



oszołomienie, mogę się jedynie dziwić, iż udało się nam zachować przynajmniej pozory trzeźwości i równowagi umysłowej. Naturalnie zdawaliśmy sobie sprawę, że coś – chronologia, teoria naukowa czy wreszcie nasza własna świadomość – było tu w fatalny sposób wypaczone, zachowaliśmy jednak równowagę w stopniu wystarczającym by pilotować samolot, przeprowadzić dość szczegółowe obserwacje i wykonać szereg doskonałych zdjęć, które być może przysłużą się jeszcze zarówno nam jak i całemu światu. W moim przypadku. zbawienne okazały się zakorzenione głęboko nawyki naukowca – oszołomienie i uczucie czyhającego na nas zagrożenia zdominowane zostały przez ciekawość i żądze zgłębienia owych pradawnych tajemnic; pragnienie dowiedzenia się jakie istoty zbudowały i zamieszkiwały w tym nieprawdopodobnym, gigantycznym kamiennym labiryncie oraz ustalenia związku między tym unikalnym siedliskiem życia a resztą świata w tamtym czasie, czy ogólnie rzecz biorąc w innych czasach. Miejsce to nie mogło być bowiem zwykłym miastem. Musiało stanowić początek i środek jakiegoś archaicznego, niewiarygodnego rozdziału ziemskiej historii, który zatracił się całkowicie w chaosie miotanej potężnymi konwulsjami ziemi, na długo przed tym jak rasa ludzka wydzwignęła się ze stadium małpy, a którego echa pobrzmiewają jeszcze w najbardziej mrocznych, zakazanych i wypaczonych mitach. Mieliśmy przed sobą przedwieczne megalopolis, w porównaniu z którym legendarna Atlantyda, Lemuria, Commorion, Uzuldaroum i Olathoe w krainie Lomar są tworamami dnia, nawet nie wczorajszego a dzisiejszego; Megalopolis należące do tak praludzkich, bluźnierczych miejsc, o których nie można mówić inaczej niż szeptem, jak Walusja, R'lyeh, Ib w krainie Mnar i Bezimienne Miasto z Pustyni Arabskiej. Kiedy przelatywaliśmy nad labiryntem potężnych, tytanicznych wież, popuszczając wodzy fantazji błakając się bez celu w krainie fantastycznych skojarzeń, a nawet wręcz szukając związku pomiędzy tym zaginionym światem a moimi najdzikszyimi snami, zrodzonymi z obłądnej, niewysłowionej grozy koszmaru w obozie. Aby jak najbardziej

odciążyć samolot bak z paliwem był napełniony tylko częściowo; toteż musieliśmy znacznie ograniczyć nasz zakres badań. Pomimo to, już po zejściu na pułap, gdzie praktycznie nie było wiatru, przebyliśmy jeszcze olbrzymi szmat drogi, lub raczej powinienem powiedzieć – powietrza. Koryto rzeki znaczyło się szeroką, wklęsłą linią, a sam płaskowyż stawał się dzikszymi i jakby nieznacznie wznosił się ku górze, niknąc w spowijającej zachód mgłę. Jak dotąd wszelkie obserwacje czyniliśmy z powietrza, ale opuszczenie płaskowyżu bez podjęcia próby wejścia do którejś z monstrualnych budowli było dla nas nie do przyjęcia. Dlatego też postanowiliśmy wyszukać jakieś płaskie miejsce na pogórzcu w pobliżu przełęczy, która stanowiłaby dla nas punktu orientacyjny – tam wylądować i przygotować się do pieszego rekonesansu. Jakkolwiek łagodnie opadające stoki były częściowo pokryte ruinami, to lecąc na niewielkiej wysokości wypatrywaliśmy sporą liczbę miejsc nadających się do lądowania. Ponieważ w drodze powrotnej musieliśmy ponownie przeciąć ogromny masyw górski, szukaliśmy miejsca położonego najbliżej przełęczy.

Koniec końców o 12:50 wylądowaliśmy na gładkim, twardym polu śnieżnym pozbawionym jakichkolwiek przeszkód i nadającym się doskonale do późniejszego, łatwego i szybkiego startu. Mała krótka okres czasu i przy kompletnym braku wiatru nie zachodziła konieczność zabezpieczania maszyny murem ze śniegu. W tej sytuacji upewniliśmy się tylko, że płozy samolotu były należycie ustawione, a wszystkie ważniejsze części maszyny zabezpieczone przed zimnem. Ponieważ czekała nas piesza wędrówka, zdjęliśmy z siebie najgrubsze futra, które nałożyliśmy na czas lotu. Zabraliśmy ze sobą lekki ekwipunek, na który składał się kieszonkowy kompas, ręczna kamera, żelazna racja żywnościowa, gruby notatnik i papier, dłuto oraz młotek geologiczny, worek na okazy, zwój liny alpinistycznej oraz potężne latarki elektryczne z zapasem baterii; cały sprzęt mieliśmy w samolocie, przewidując możliwość lądowania w celu wykonania zdjęć, rysunków i szkiców topograficznych, oraz zebrania okazów skał z

pozbawionych śniegu stoków, odkrywek czy górskich jaskiń. Byliśmy również zaopatrzeni w spory zapas papieru, który planowaliśmy podrzeć na kawałki, włożyć do worka na okazy i używać w miarę potrzeby, znacząc nimi przebytą drogę we wnętrzu jakiegoś labiryntu, gdyby przyszło nam takowy spenetrować. Papier ten obecnie zabraliśmy ze sobą na wypadek, gdybyśmy natrafili na system jaskiń, gdzie brak przeciągów ułatwiłby nam stosowanie tej szybkiej i prostej metody zamiast tradycyjnego wykuwania śladów w skalnej ścianie. Schodząc ostrożnie w dół po zlodowaciałym śniegu w kierunku zdumiewającego, kamiennego labiryntu mającego na tle opalizującego, zachodniego nieba, przeczuwaliśmy czekające nas osobliwości, podobnie jak to miało miejsce przed czterema godzinami, gdy zbliżaliśmy się do niezbadanej, górskiej przełęczy. To fakt, oswoiliśmy się już z widokiem tej niewiarygodnej tajemnicy kryjącej się za barierą górskiego masywu, obecnie jednak perspektywa dotarcia do pradawnych murów, wzniesionych przez rozumne istoty, zapewne przed milionami lat, kiedy nie istniała jeszcze żadna ze znanych ras ludzkich, wydawała się wręcz przerażająca a upiorne implikacje kosmicznej anomalii nieomal mroziły nam krew w żyłach. Choć na tej wysokości rozrzedzone powietrze powodowało, iż każdy wysiłek był dużo większy niż normalnie, zarówno Danforth jak i ja radziliśmy sobie nad wyraz dobrze, czując że jesteśmy w stanie pokonać każdą przeszkodę, jaka stanęłaby nam na drodze. Gdy wreszcie mogliśmy dotknąć zwietrzałych, gigantycznych bloków, poczuliśmy że nawiązaliśmy pierwszą, niezwykle i nieomal bluźnierczą więź łączącą nas z zapomnianymi wiekami, niedostępnymi dla reszty naszego gatunku. Wal o kształcie gwiazdy mierzył około 500 stóp rozpiętości i zbudowany był z bloków jurajskiego piaskowca o niejednorodnych wymiarach, przeważnie jednak 6 na 8 stóp. na wysokości jakichś 4 stóp nad poziomem lodowca znajdował się rząd łukowato sklepionych otworów strzelniczych, lub może okien o szerokości 4 stóp i wysokości 5 stóp każde, umieszczonych symetrycznie wzdłuż ramion gwiazdy i w jej kątach wewnętrznych. Zagląając przez nie do środka

mogliśmy stwierdzić, że kamienne mury mierzą dobrych 5 stóp grubości, ale wewnątrz nie zachowały się żadne ściany działowe. Na ścianach od środka dostrzec można było rzędy płaskorzeźb lub rzeźb, co zaobserwowaliśmy już wcześniej przelatując zarówno nad tą jak i nad innymi podobnymi formacjami. Choć niegdyś musiały istnieć niższe kondygnacje obecnie były one pokryte grubą warstwą śniegu i lodu. Wpełzliśmy przez jedno z okien i na próżno staraliśmy się odszyfrować prawie kompletnie zatarte wizerunki na murach. Skutą lodem podłogą w ogóle nie zaprzęaliśmy sobie głowy. Loty rozpoznawcze wykazały, że wiele budynków w głównym mieście było mniej oblodzonych i prawdopodobnie jeśli tylko dotrzemy do budowli w której zachował się dach, uda się nam znaleźć nie zablokowane zamarzliną korytarze i przejścia wiodące do rzeczywistego poziomu gruntu. Zanim opuściliśmy naszą budowlę skrzętnie ją obfotografowaliśmy i z osłupieniem obejrzeliliśmy gigantyczne bloki skalne, ułożone bez odrobiny zaprawy murarskiej. W tym momencie bardzo przydałby się nam Pabodie ze swoją znajomością inżynierii, rozwiązałby zapewne zagadkę w jaki sposób w tak nieprawdopodobnie odległych czasach, gdy wznoszone było owo miasto, jego budowniczy transportowali na to odludzie gigantyczne bryły budulca.

Nigdy nie zapomnę naszego półmilogiego marszu w dół wzgórza, ku właściwemu miastu, gdy wysoko nad naszymi głowami pośród sięgających ku niebu wierzchołków górskiego masywu rozlegało się próżne i wściekle zawodzenie wiatru. Pamiętam to w najdrobniejszych szczegółach. Coś takiego, za wyjątkiem Danforth'a i mnie, mogło przydarzyć się człowiekowi tylko w jakimś fantastycznym sennym majaku. Efekty wizualne były niewiarygodne. Pomiędzy nami a rozszalałymi oparami na zachodzie rozciągał się ogromny labirynt mrocznych, kamiennych wież, których niesamowite i dziwaczne kształty oglądane – w miarę jak się zbliżaliśmy pod różnymi kątami – wywierały na nas coraz to nowe wrażenie. Był to miraż zaklęty w litej skale i gdyby nie zdjęcia nadal wątpiłbym czy coś takiego

może w ogóle istnieć. Budową przypominały kamienny wał, który niedawno oglądaliśmy, jednak obłądnych kształtów wież w samym mieście po prostu nie sposób opisać.

Nawet nasze fotografie ilustrują wyłącznie jedną czy dwie formy ich nieskończonej różnorodności, nadnaturalnej wręcz wielkości i kompletnie obcej egzotyki. Znajdowały się tam formy geometryczne dla których nie znalazłby nazwy nawet sam Euklides –stożki normalne i ścięte, regularne i nieregularne, terasy o wyzywających wręcz dysproporcjach, słupy o bulwiastych rozszerzeniach, osobliwe rzędy złamanych kolumn, pięcioramienne lub pięciokrawędziowe formacje uderzającą wręcz groteskowością. Kiedy podeszliśmy bliżej, zdołaliśmy dostrzec tu i tam rysujące się pod przezroczystą warstwą lodu rurowe, kamienne mosty łączące na różnych wysokościach porozrzucane w szaleńczy sposób budowle. Nie było tam zwykłych ulic – w naszym tego słowa znaczeniu –jedynie szeroki pusty pas, znajdujący się po lewej stronie, w odległości mili, od miejsca, gdzie pradawna rzeka przepływała przez miasto, w stronę gór. Przy pomocy lornetek dostrzegliśmy zewnętrzne, poziome wstęgi całkiem prawie zatartych płaskorzeźb oraz występujące tu bardzo często grupy punkcików. Dzięki tej rozległej panoramie mogliśmy sobie w pewnym stopniu wyobrazić jak to miasto wyglądało kiedyś, nawet jeśli w obecnej chwili większość dachów i szczytów uległo zniszczeniu. W całości jawiło się jako labirynt krętych zaułków i uliczek, z których wszystkie bez wyjątku były głębokimi wąwozami, a niektóre z powodu zwieszających się nad nimi budowli lub przerzuconych łuków mostów przypominały bardziej tunele. Teraz, rozpościerając się poniżej nas majaczyło niczym wytwór z fantastycznego snu, skąpany w mlecznych oparach zachodnich mgieł, przez których północny kraniec próbowało przedrzeć się swym blaskiem wiszące nisko, czerwone, wczesnopołudniowe słońce; kiedy zaś skryło się na chwilę za którąś z masywniejszych budowli i całą okolicę spowiły mroczne cienie, efekt był tak niewiarygodnie zatrważający, że mam nadzieję iż nigdy nie

będę musiał próbować tego opisać. W takich chwilach nawet ciche zawroty głowy i melodyjne granic niewyczuwalnego tu, a hulającego na przełęczach potężnego górskiego masywu wichru niosły w sobie wyraźną dzikszą nutę umyślnej złośliwości.

Ostatni odcinek drogi był niezwykle ostry i stromy; na krawędzi, gdzie zmieniało się nachylenie stoku, spod lodu wystawała strzępiasta skata i pomyśleliśmy, że musiała tu kiedyś istnieć sztuczna trasa, zaś pod lodowcem ciągnie się kondygnacja schodów, lub czegoś w tym rodzaju. Kiedy, przestępując fragmenty zwalonych skał i starając się w miarę możliwości omijać z daleka gigantyczne, pokruszone, naszpikowane otworami ściany, dotarliśmy w końcu do miasta, zaczęły targać nami takie odczucia, że do dziś jeszcze zadziwia mnie samokontrola jaką udało się nam sobie narzucić. Danforth, z natury porywczy zaczął snuć jakieś obłądne domysły na temat koszmaru jaki wydarzył się w obozie, nie podjąłem jednak tego tematu będąc przez cały czas pod wrażeniem górujących nad nami kształtów upiornych, obłądnych budowli pochodzących z tak koszmarnej przeszłości. Ich widok budził w moich myślach dziwne skojarzenia, których nie chciałem rozwijać. Spekulacje Danfortha wywarły również silny wpływ na jego wyobraźnię, upierał się bowiem, że na jednym z placów, gdzie zasłana rumowiskiem alejka zakręcała pod ostrym kątem, dostrzegła na ziemi nikłe ślady, które bynajmniej mu się nie podobają; W innym znów miejscu przystanął by posłuchać subtelnego wyimaginowanego dźwięku, dochodzącego z jakiegoś nieokreślonego miejsca: ów stłumiony, melodyjny ton – jak stwierdził mój towarzysz – na pozór nie różnił się od szumu wiatru w górskich jaskiniach, a jednak w niepokojący sposób wydawał się odmienny. Powtarzające się nieustannie formy pięciokąta w otaczającej nas architekturze oraz kilka ściennych arabesk, które zdołaliśmy rozszyfrować niosły w sobie mgliste, złowieszcze skojarzenia, z których nie potrafiliśmy się otrząsnąć, a które napawały nas przeraźliwą, choć jedynie podświadomą pewnością dotyczącą pierwotnych istot, które zbudowały i zamieszkiwały to plugawe, bezbożne

miasto. niemniej jednak, przepełniający dotąd nasze dusze naukowy i awanturniczy zapał nie wygasł i mechanicznie wypełniliśmy nasze zadanie, pobierając próbki różnego typu skał występujących w tych kamiennych tworach. Pragnęliśmy zgromadzić ich możliwie najwięcej, i później na ich podstawie wysnuć jak najdalej idące wnioski co do wieku tego miejsca. W ogromnych, zewnętrznych ścianach nie spotkaliśmy żadnej skały młodszej niż jurajska czy komanczańska, i żaden z kamieni w mieście nie pochodził z okresu późniejszego niż pliocen. Błądziliśmy uporczywie po tym królestwie śmierci, panującej tu od co najmniej 500 tysięcy lat, a prawdopodobnie nawet dłużej. Brnąc dalej w głąb labiryntu, w mrocznym cieniu rzucanym przez piętrzące się głązy, przystawaliśmy przy każdej napotkanej szczelinie szukając możliwości dostania się do środka. Niektóre znajdowały się poza naszym zasięgiem, inne z kolei wiodły do zablokowanych lodem ruin równie spustoszonych i pozbawionych dachu, jak ów wał obronny na wzgórzu. Jeden z otworów choć obszerny i kuszący prowadził ku z pozoru bezdennej otchłani i nie oferował żadnej możliwości zejścia w jej czeluść. Tu i ówdzie mieliśmy okazję przyjrzeć się bliżej skamieniałemu drewnu okiennic. Wielkie wrażenie wywierał na nas niewiarygodny wiek te go drewna, dający się wywnioskować z wciąż jeszcze widocznych słoików. Pochodziło ono z mezozoicznych roślin nagozalążkowych i drzew iglastych, głównie kresowych sagowców, oraz z palm wachlarzowych i wczesnych roślin okrytozalążkowych, pochodzących zapewne z trzeciorzędu. Nie stwierdziliśmy niczego, co byłoby młodsze niż pliocen. Okiennice te, których krawędzie nosiły ślady zniszczonych, dawno już nic istniejących zawiasów, posiadały różnorodne zestawienie. Jedne z nich znajdowały się po zewnętrznej, inne po wewnętrznej stronie framug. Były umieszczone na stałe, dzięki czemu przetrwały, mimo iż tkwiące w nich elementy metalowe i zamocowania już dawno temu przeżarte zostały przez rdzę. Po pewnym czasie natknęliśmy się na rząd okien, w wybrzuszeniach gigantycznego pięciokrawędziowego stożka o nieuszkodzonym wierzchołku, prowadzących

do rozległej, doskonale zachowanej sali o kamiennej podłodze; znajdowały się one jednak zbyt wysoko, by można było przedostać się przez nie do środka bez użycia liny. Mieliśmy ze sobą linę, ale nie paliło się nam zjeżdżać całe 20 stóp w dół – zwłaszcza tu, na płaskowyżu, gdzie rozrzedzone powietrze stawiało sercu olbrzymie wymagania. Ogromne pomieszczenie było zapewne korytarzem lub dziedzińcem, a światło naszych elektrycznych latarek wydobywało z ciemności śmiałe, wyraźne i zaskakujące płaskorzeźby rozmieszczone wzdłuż ścian na szerokich, poziomych wstęgach oddzielonych, przez takiej samej szerokości pasma klasycznych arabesek. Zrobiliśmy dokładne notatki dotyczące tego miejsca, planując tu wrócić, jeśli tylko nie napotkamy innej, ciekawszej budowli oferującej dużo dogodniejszy dostęp. Koniec końców natrafiliśmy na otwór jakiego szukaliśmy; sklepione wejście o szerokości 6 i wysokości 10 stóp, noszące ślad kończącego się tam niegdyś powietrznego mostu rozpiętego nad alejką mniej więcej 5 stóp nad obecnym poziomem lodowca. Takie przejścia stanowiły rzecz jasna połączenia z górnymi piętrami, a w obecnym przypadku jedno z takich pięter jeszcze istniało. Ów dostępny dla nas budynek składał się z kilkunastu prostokątnych tarasów, i stał po naszej lewej stronie, skierowany ku zachodowi. Po drugiej stronie alei, gdzie ziało kolejne łukowe przejście, znajdował się zniszczony walec bez okien z osobliwym wybrzuszeniem, jakieś 10 stóp nad otworem.

W środku panowały egipskie ciemności i sklepione przejście zdawało się prowadzić w otchłań bezdennej pustki. Nagromadzony gaz czynił wejście do budynku po lewej stronie dwakroć łatwiejszym, ale przez dłuższą chwilę wahaliśmy się czy skorzystać z tej nadarzającej się, z dawna wyczekiwanej okazji. Jakkolwiek od jakiegoś już czasu penetrowaliśmy owo skupisko archaicznych tajemnic, to w obecnej chwili musieliśmy podjąć kolejną decyzję, czy wejść do wnętrza kompletnie zachowanej budowli, która przetrwała i pochodziła z legendarnego, starszego świata, którego natura stawała się dla nas coraz bardziej oczywista i odrażająca.



W końcu ruszyliśmy, gramoląc się w górę po rumowisku, w kierunku mającego wyżej otworu. Podłoga wewnątrz wyłożona była wielkimi płytami z łupku i wyglądało na to, że prowadzi do długiego, wysokiego korytarza o ścianach pokrytych płaskorzeźbami.

Dostrzegając wiele wewnętrznych łukowych przejść, które zeń prowadziły, zdaliśmy sobie sprawę jak bardzo złożony musi być kompleks znajdujących się wewnątrz pomieszczeń. W tej sytuacji postanowiliśmy zastosować metodę rozrzucania na trasie strzępków papieru.

Dotychczas nasze kompasy oraz towarzyszący nam widok górującego nad okolicznymi wieżami górskiego masywu, wystarczały nam w zupełności; teraz jednak potrzebowaliśmy czegoś więcej, aby się nie zgubić. Podarliśmy więc papier na odpowiedniego rozmiaru kawałki i włożyliśmy do torby, którą miał nieść Danfbrth. Jego zadaniem było również rozrzucanie strzępków papieru, miał to czynić na tyle ekonomicznie jak na to pozwalały względy bezpieczeństwa. Wybrana przez nas metoda powinna uchronić nas przed zabłądzeniem, zwłaszcza że wewnątrz posępnej budowli nie wyczuliśmy żadnych silniejszych prądów powietrznych. Jeśli trafimy w strefę przeciągów albo skończy się nam papier, będziemy naturalnie zmuszeni wykorzystać bezpieczniejszą, choć bardziej nużącą i czasochłonną metodę wycinania znaków w skale. Nie sposób było, bez uprzedniego sprawdzenia określić jak rozległe otwiera się przed nami terytorium. Bliskość i gęstość połączeń między poszczególnymi budowlami sugerowały, że będziemy mogli przedostawać się z jednej do drugiej po znajdujących się pod powłoką lodu kamiennych mostach, chyba że natkniemy się na naturalne rozpadliny czy geologiczne zapadliska; wyglądało bowiem na to, iż zlodowacenie nie dotarło w głąb murów prastarych budowli. Prawie wszędzie gdzie występował przezroczysty lód, widać było okna z zamkniętymi na głucho okiennicami; wszystko wskazywało na to, iż miasto w tak jednolitym stanie pozostawało aż do chwili nadejścia lodowca, który skryształizował niższe partie miasta nadając im formę jaką prezentowały po dzień dzisiejszy. Prawdę mówiąc

odnieśliśmy wrażenie, że to miasto zostało raczej celowo zamknięte i opuszczone, niż zniszczone jakimś nagłym kataklizmem czy stopniowym powolnym upadkiem, w mglistych, dawno zapomnianych stuleciach. Czy przewidziano nadejście lodowca i bezimienna "ludzkość" opuściła to miasto, by znaleźć sobie nową siedzibę w miejscu nie skazanym na zagładę? Precyzyjne ustalenia fizjograficzne warunków towarzyszących tworzeniu się w tym miejscu pokrywy lodowej muszą zostać odłożone na później, nie występował tu – z nielicznymi wyjątkami – proces kruszenia. Być może to napór nagromadzonych śniegów, powodzi lub wylew jakiegoś starożytnego, lodowcowego jeziora sprawiły, że miasto zachowało się w tak wyjątkowym stanie.

# 6

Niełatwo będzie zdać szczegółową i uporządkowaną relację z naszej wędrowki wewnątrz tej ogromnej, martwej od wieków, podziurawionej jak plaster miodu prastarej kamiennej budowli, potwornego siedliska starszych sekretów, których echo rozbrzmiało po raz pierwszy od niezliczonych epok pod wpływem odgłosów naszych kroków. Fotografie, wykonywane przy użyciu flesza stanowią doskonale świadectwo wyjawianej przez nas obecnie prawdy, wielka szkoda iż nie mieliśmy wówczas ze sobą większej ilości filmów.

Kiedy się skończyły, sporządziliśmy w notesach prymitywne szkice niektórych płaskorzeźb o szczególnie uderzających rysach. Budynek do którego trafiliśmy miał ogromne rozmiary i kunsztowny styl, a architektura tej nieznannej bezimiennej geologicznej przeszłości wywarła na nas iście wstrząsające wrażenie. Wewnętrzne ściany nie były już tak masywne jak zewnętrzne, a na niższych kondygnacjach zachowały się znakomicie. Całość budowli miała strukturę labiryntową, poziomy pięter zaś przejawiały osobliwe i zadziwiające różnice asymetryczne, gdyby zatem nie podarty na strzępy papier, który zostawialiśmy za sobą, zgubilibyśmy się zaraz na początku drogi, najpierw postanowiliśmy zbadać bardziej zniszczone, górne poziomy. Dotarliśmy tam po stromych, poprzecznie żebrowanych kamiennych podestach, czy też pochylniach, które w całej budowli pełniły rolę schodów.

Pomieszczenia miały rozmaite kształty, jakie tylko można by sobie wymarzyć – od pięcioramiennych gwiazd po trójkąty i sześciiany. Należy wspomnieć, że ich średni rozmiar wynosił mniej więcej 50 na 50 stóp szerokości i 20 stóp wysokości, choć zdarzały się też większe izby. Po

dokładnym zwiedzeniu wyższych partii oraz poziomo samego lodowca, zaczęliśmy schodzić, piętro po piętrze do części podziemnej. Wkrótce przekonaliśmy się, że faktycznie trafiliśmy do nieprzerwanego ciągu pokoi i przejść wiodących zapewne ku bezkresnemu, rozciągającemu się za tym budynkiem labiryntowi. Gigantyczna masywność i ogrom wszystkiego co nas otaczało sprawiały przytłaczające wrażenie; poza tym, w napotykanym kształtach, wymiarach, proporcjach, dekoracjach i wszelkich niuansach konstrukcyjnych tego bluznierczego, kamiennego tworzywa tkwiło coś nieuchwytnie, acz głęboko nieludzkiego. Na podstawie treści płaskorzeźb bardzo szybko doszliśmy do wniosku, iż owo potworne miasto liczy sobie wiele milionów lat. Nie potrafiliśmy jeszcze wyjaśnić zasad inżynierii zastosowanej tu do wzniesienia konstrukcji oraz zapewnienia anormalnej równowagi tak ogromnych mas skalnych, aczkolwiek w dużym stopniu opierano się tu na technice łukowej. Pomieszczenia które zwiedziliśmy były całkowicie ogołoczone ze sprzętów ruchomych, co potwierdzało nasze domysły, iż miasto zostało opuszczone celowo. Wiodącym elementem zdobień były płaskorzeźby, które ciągnęły się poziomymi wstęgami o szerokości 5 stóp i wypełniały całą przestrzeń ścian od podłogi po sufit. Przeplatane były, tej samej szerokości pasmami arabesek. Napotykał się rzecz jasna wyjątki od tej reguły, niemniej jednak, przeważał właśnie taki układ. Często też, obok którejś ze wstęg z arabeskami pojawiały się grupy gładkich wolut zawierających układające się w osobliwy deseń punkciki.

Wkrótce przekonaliśmy się, że technika wykonania była dojrzała, perfekcyjna i estetycznie sięgała najwyższego poziomu cywilizacyjnego mistrzostwa, aczkolwiek w każdym szczególe kompletnie obca jakiegokolwiek znanej tradycji artystycznej rasy ludzkiej, nie spotkałem nigdy w życiu płaskorzeźby, która precyzja wykonania dorównywała by tym reliefom.

najdrobniejsze szczegóły świata zarówno fauny jak i Hory oddane były, mimo olbrzymiej skali tych rzeźb, ze zdumiewającą plastycznością, powszechnie zaś stosowane w nich desenie były cudami zawiloci i

zręczności nieznanymi twórcami. Arabeski stanowiły przykład wszechobecnego tu wykorzystania zasad matematycznych i tworzyły je zawile acz symetryczne kształty o licznych załamaniach i kątach stanowiących wielokrotność liczby pięć. Wstęgi malowideł reprezentowały wysoce sformalizowaną tradycję i w osobliwy sposób operowały perspektywą, posiadały jednak artystyczną siłę wyrazu, która głęboko nas poruszyła, mimo otchłani dzielących nas epok geologicznych. Pcie sposób porównać tej sztuki z tą, którą można oglądać w naszych muzeach. Ci którzy obejrzą nasze zdjęcia odnajdą zapewne nieznaną analogię, w pewnych groteskowych koncepcjach najbardziej śmiałych futurystów. Ornamentykę arabesek tworzyły linie wyłobień, których głębokość w niezwiertzących skałach wahała się od 1 do 2 cali. Kiedy pojawiały się woluty z grupami punkcików, najwyraźniej napisy w jakimś nieznanym, pierwotnym alfabecie, wgłębienie powierzchni mierzyło około 1,5 cala, a samych kropek jakieś pół cala więcej. Wstęgi malowideł znajdowały się nad płaskorzeźbami, a ich powierzchnia sięgała o jakieś 2 cale głębiej w powierzchnię twardej, kamiennej ściany. Tu i ówdzie dostrzegaliśmy jeszcze ślady dawnych, wyblakłych barw, jednak w ogromnej większości niezliczone stulecia zniszczyły i starły wszelkie oznaki nałożonych na mury barwników. Im dłużej oglądało się zdumiewającą technikę, tym większy czuło się podziw wobec tych pradawnych dzieł sztuki. Tematyka rzeźb dotyczyła życia w minionej epoce, w której powstały. Przedstawione były na nich spore fragmenty zapomnianej przed wiekami historii, niewiarygodne wręcz pragnienie Starej Rasy do utrwalania wizerunków przedstawiających wycinki historii – ów cudowny zbieg okoliczności działający na naszą niekorzyść – sprawiło, iż rzeźby te niosły w sobie potężny ładunek informacji i z tego też względu przedkładaliśmy ponad wszystko fotografowanie i kopiowanie tych właśnie wytworów sztuki. W niektórych pomieszczeniach elementem dominującym były rozliczne mapy, wykresy astronomiczne i inne modele naukowe w powiększonej skali – wszystkie one potwierdzały otwarcie i w

pełni to, czego dowiedzieliśmy się z fryzów i płaskorzeźb na ścianach. Mówiąc o tym co odkryliśmy w posępnym kamiennym mieście mogę mieć jedynie nadzieję, iż wśród ludzi którzy mi ostatecznie uwierzą, moje słowa wzbudzą roztropną ostrożność przeważającą nad pochopną ciekawością.

Byłoby rzeczą straszną, gdyby ostrzeżenia mające zniechęcić wszystkich do odnalezienia tej krainy śmierci, grozy i koszmarów, wzbudziły w nich zgoła odmienne pragnienie.

W pokrytych płaskorzeźbami ścianach wykute były wysokie okna i masywne, dwunastostopniowe wejścia, w których tu i ówdzie zachowały się jeszcze skamieniałe, drewniane deski – fragmenty starannie wypolerowanych i rzeźbionych okiennic i drzwi.

Wszystkie metalowe części już dawno temu uległy zniszczeniu, ale niektóre drzwi pozostały na swoich miejscach i gdy przechodziliśmy z jednego pomieszczenia do drugiego, musieliśmy je sforsować siłą. Przetrwały również, choć bardzo nieliczne, ramy okienne z osobliwymi, przezroczystymi elipsowatymi szybami. Znajdowało się tam również sporo ogromnych wnęk, zasadniczo pustych, choć w jednej znaleźliśmy dziwny przedmiot wycięty z bryły zielonkawego steatytu, który musiał być uszkodzony, albo z innych powodów nie wart dalszego wykorzystania. Inne otwory bez wątplenia wiodły do dawnych pomieszczeń z urządzeniami mechanicznymi, służącymi do ogrzewania, oświetlania itp. –jak sugerowało wiele płaskorzeźb. Sufity przeważnie były nagie, ale w niektórych pomieszczeniach wyłożono je zielonym steatytem czy jakimiś płytkami, które w większości już poodpadały. Podłogi też pokryte były płytkami, aczkolwiek w ogólnym rozrachunku przeważał goły kamień. Jak już stwierdziłem, brakowało tu mebli czy innych ruchomych sprzętów, ale płaskorzeźby dawały doskonałe pojęcie o dziwnych przedmiotach, które wypełniały ongiś te podobne do grobowców, rozbrzmiewające głuchym echem pomieszczenia. Ponad poziomem lodowca podłogi generalnie zasłane były grubą warstwą gruzów, śmieci i rozmaitych szczątków, jednak w głębi

labiryntu ich stan znacznie się poprawiał.

Centralny dziedziniec – podobnie jak w innych budowlach widzianych z powietrza – powodował, że wnętrza nie były pogrążone w całkowitych ciemnościach; dlatego też bardzo rzadko, w wyższych pomieszczeniach, za wyjątkiem sytuacji kiedy z uwagą przyglądaliśmy się szczegółom płaskorzeźb musieliśmy przyświecać sobie elektrycznymi latarkami. Poniżej mapy lodowej jednak, półmrok gęstniał i w wielu miejscach na nierównym poziomie ziemi panowały już całkowite ciemności. Jeżeli idzie o nasze odczucia, gdy penetrowaliśmy ów pogrążony od wieków w ciszy labirynt nieludzkich, kamiennych budowli, należy stwierdzić iż z każdym krokiem ogarniał nas coraz bardziej dojmujący, beznadziejnie oszołamiający chaos ulotnych nastrojów, wspomnień i odczuć. Już samo, przyprawiające o zgrozę wrażenie starożytności i zabójcza pustka panująca w tym miejscu mogły w dostatecznym stopniu przepełnić bojaźnią każdą wrażliwą duszę, w naszym zaś przypadku dochodził do tego jeszcze niewyjaśniony koszmar jaki wydarzył się w obozie i to co ujrzelśmy na otaczających nas, pokrywających niemal wszystkie ściany, płaskorzeźbach. Kiedy więc natrafiliśmy na partię doskonale zachowanych reliefów, których interpretacja nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości, niewiele potrzebowaliśmy czasu, by poznać odrażającą, plugawą prawdę, którą – naiwnością byłoby utrzymywać, że było inaczej – obaj z Danforthem podejrzewaliśmy już wcześniej, choć ani ja, ani on nie napomknęliśmy o tym ani słowem. Prysłły litościwe wątpliwości co do natury istot, które zbudowały i zamieszkiwały to potworne, wymarłe miasto przed milionami lat, kiedy przodkowie człowieka byli prymitywnymi, archaicznymi ssakami a po tropikalnych stepach Europy i Azji włóczyły się wielkie dinozaury. Dotychczas rozpaczliwie, jak tonący brzytwy, trzymaliśmy się alternatywy, utrzymując – każdy przed samym sobą – że wszechobecny, pięcioramienny motyw oznaczał wyłącznie jakieś kulturowe czy religijne wyobrażenie istniejącego w archaiku przedmiotu czy istoty o takim a nie innym, charakterystycznym kształcie, podobnie jak motywy

dekoracyjne krety minojskiej przedstawiały często świętego byka, egipskie – skarabeusza, rzymskie – orła i wilczycę, a dzikich plemion rozmaite, wybrane zwierzęce totemy. Zostaliśmy jednak brutalnie pozbawieni naszej jedynej ostoi, i zmuszeni stawić czoła porażającej umysł prawdzie, której czytelnik tych stron niewątpliwie domyślił się już dawno temu. Z najwyższym trudem ośmielam się opisać to wszystko, bez owijania w bawełnę, choć może wcale nie będzie to konieczne. Istoty, które w czasach dinozaurów zbudowały i zamieszkiwały w tym przerażającym, kamiennym mieście nie były dinozaurami, ale czymś o wiele gorszym.

Dinozaury bowiem były względnie nowym i prawie bezrozumnym gatunkiem, zaś budowniczości miasta byli starzy i mądrzy, a pozostawione przez nich, wyryte w kamieniu ślady przetrwały blisko miliard lat – uczynili to w czasach, kiedy prawdziwe życie na ziemi nie wyszło poza stadium zorganizowanych grup komórek, uczynili to zanim na ziemi zaistniało w ogóle prawdziwe życie.

Byli twórcami i panami owego życia, to oni je bowiem ujarzmili i to o nich mówią zapewne diaboliczne, starsze mity; o których przerażające wzmianki widnieją na kartach przeżartych pleśnią Manuskryptów Pnakotyckich i odrażającego, bluźnierczego "Necronomiconu". Były to wielkie "Stare Istoty", które spłynęły z gwiazd, kiedy ziemia była jeszcze młoda – istoty ukształtowane przez obcą ewolucję, o możliwościach przekraczających wszystkie twory naszej planety. I pomyśleć tylko, że zaledwie dzień wcześniej Danforth i ja spoglądaliśmy na szczątki ich skamieniałych przed tysiącletnimi ciałami, a nieszczęsny, nieżyjący już dziś Lankę i jego ludzie ujrzeli ich kształt w całej okazałości...

Jest rzecz jasna niemożliwe, abym zrelacjonował we właściwej kolejności wszystkie etapy jakimi dochodziliśmy do pełnej wiedzy o tym potwornym rozdziale praludzkiego życia.

Po pierwszym wstrząsie jakie spowodowało nasze odkrycie musieliśmy chwilę odetchnąć, aby dojść do siebie; i dopiero o godzinie trzeciej



wyruszyliśmy na dalsze, systematyczne poszukiwania. Czyżby w budynku, do którego weszliśmy pochodziły z nieco późniejszego okresu, sprzed około 2 milionów lat, jak oszacowaliśmy na podstawie ich cech biologicznych, geologicznych oraz pewnych zawartych w nich danych astronomicznych, i reprezentowały dziedzinę sztuki, którą można nazwać dekadencją w porównaniu z okazami oglądanymi w starszych budowlach, do których trafiliśmy zaraz po przekroczeniu mostów pod pokrywą lodową. Jeden z gmachów, wycięty w jednolitej bryle skalnej po chodził na pierwszy rzut oka sprzed 40, może 50 milionów lat, z wczesnego eocenu lub górnej kredy, a w jego wnętrzach znajdowały się płaskorzeźby, których artyzm przyćmiewał wszystko, co dotąd napotkaliśmy, z jednym tylko przerażającym wyjątkiem. Była to, jak zgodnie stwierdziliśmy, najstarsza miejscowa budowla, którą spenetrowaliśmy. Gdyby nie zdjęcia, robione przy użyciu flesza, które niebawem zostaną rozpowszechnione powstrzymałbym się od opowiadania o tym co odkryłem i wywnioskowałem na podstawie płaskorzeźb, z obawy by po okrzyknięciu szaleńcem nie zamknięto mnie w zakładzie dla obłąkanych. Oczywiście, nieskończone wczesne dzieje przedstawione w tej różnorodnej i złożonej historycznej mozaice przedstawiające życie istot o głowach w kształcie rozgwiazdy, jeszcze w czasach nim dotarły one na ziemię, na innych planetach, w innych galaktykach można z łatwością potraktować jako fantastyczną mitologię stworzoną przez same te istoty. niektóre jednak fragmenty zawierają wzory i diagnozy tak niesamowicie zgodne z najnowszymi odkryciami matematyki i astrofizyki, że sam nie bardzo wiem co o tym sądzić. Niech osądzą to inni, kiedy ujrzą te fotografie. Naturalnie każda grupa płaskorzeźb na które się natknęliśmy opowiadała zaledwie ułamek jakiejś historii, poszczególnych stadiów dziejów tych istot nie poznawaliśmy we właściwej kolejności, niektóre z rozległych pomieszczeń zawierały, jeśli chodzi o reliefy i przedstawione na nich historie, zwartą całość. W innych natomiast historia ciągnęła się przez cały szereg oddzielnych komnat i korytarzy, najlepsze z map i wykresów znajdowały się

na ścianach przerażającej otchłani, znajdującej się nieco poniżej poziomu starożytnego gruntu.

Była to pieczara, zapewne coś w rodzaju centrum edukacyjnego, wysoka na dobrych 60 stóp i o powierzchni 200 stóp kwadratowych. Znajdowało się tam wiele szokujących, powtórzonych scen, które mieliśmy okazję oglądać już wcześniej w innych pomieszczeniach i budowlach; najwyraźniej pewne rozdziały dziejów czy przełomowe chwile w historii owej rasy cieszyły się u niektórych dekoratorów czy mieszkańców szczególnym uznaniem. Czasami jednak, przy ustalaniu spornych punktów i uzupełnianiu luk, takie odmienione wersje tego samego wydarzenia były nad wyraz przydatne. Wciąż jeszcze zastanawiam się, że zdołaliśmy tak wiele wywnioskować, mając" cło dyspozycji tak niewiele czasu, naturalnie nawet w oliwili obecnej znamy tylko najogólniejsze zarysy – a wiele z tego co wiemy domyśliliśmy się dopiero później, na podstawie skrzętnej analizy wykonanych przez nas zdjęć i szkiców. Być może to na skutek tych późniejszych badań, odświeżonych wspomnień i mglistych odczuć połączonych z ogólną wrażliwością Dantbrtha, oraz owym przerażającym, trwającym niedługo bo ledwie przez mgnienie oka, widokiem, którego istoty nawet mnie nie odważył się wyjaśnić, doznał on silnego załamania nerwowego. niemniej jednak musiało tak być, nic mogliśmy bowiem wystosować naszego weta i ostrzeżenia, nie dysponując możliwie najpełniejszymi informacjami. A przestroga jest sprawą nadrzędną. Pewne czynniki, wywierające nieustanny wpływ na ten nieznan, antarktyczny świat zapomnianego czasu i obcych praw natury, sprawiają iż konieczne jest bezwzględne wstrzymanie wszelkich badań na terytorium tego kontynentu.

Pełne dzieje Starych Istot, na tyle na ile je pognano, ukazą się ostatecznie w oficjalnym biuletynie Uniwersytetu Miskatonic. Poniżej, wyłącznie w ogólnych zarysach i w sposób nieco chaotyczny, bez nadawania mojej relacji jakiejś szczególnej formy, przedstawię pewne uderzające kwestie związane z nimi. Płaskorzeźby opowiadają o przybyciu tych gwiazdnogłowych Istot, z przestrzeni kosmicznej, na rodzącą się dopiero i pozbawioną życia Ziemię. Mówią o przybyciu ich i wielu innych obcych, tak jak to ma miejsce w okresie kosmicznej kolonizacji. Wygląda na to, że Istoty były w stanie przebyć przestrzeń międzygwiazdową na swych błoniastych skrzydłach – co potwierdzają pewne interesujące i osobliwe góralskie legendy, które opowiadał mi przed laty znajomy antykwariusz. Przez dłuższy czas stworzenia te mieszkały w morskiej głębinie, budując tam fantastyczne miasta i staczając przerażające boje z jakimiś bezimiennymi wrogami, posługując się przy tym tajemniczymi urządzeniami, wykorzystującymi nieznaną źródło energii. najwidoczniej ich wiedza naukowa i technologia dalece przewyższały wiedzę współczesnego człowieka, jakkolwiek tych najbardziej rozwiniętych i wyszukanych form broni używały tylko, gdy były do tego zmuszone. niektóre płaskorzeźby sugerują, iż miały one za sobą – jeszcze na innych planetach – stadium życia mechanicznego, choć szybko się z niego wycofały, gdy stwierdziły, iż efekty nie satysfakcjonowały ich emocjonalnie i uczuciowo. nadprzyrodzona wręcz odporność ich organizmów i prostota naturalnych potrzeb specjalnie predestynowała je do życia na położonej wysoko równinie, gdzie mogły obywać się bez wymyślnych, sztucznie wyprodukowanych dóbr, a nawet bez odzienia, którego używały tylko sporadycznie, jako ochronę przed wyjątkowo

surowymi warunkami naturalnymi. W morskich odmętach, początkowo ze względów żywieniowych a później z innych przyczyn, stworzyły, znanymi im od dawna metodami i przy wykorzystaniu dostępnych substancji, całe ziemskie życie.

Bardziej skomplikowane eksperymenty zaczęły przeprowadzać dopiero po unicestwieniu rozmaitych kosmicznych wrogów. Podobnie jak na innych planetach, wyprodukowały nie tylko konieczne pożywienie, ale również pewne wielokomórkowe bryły protoplazmy, zdolne pod wpływem hipnozy formować na krótki czas swą tkankę we wszelkiego rodzaju wymagane organy, tworząc w ten sposób idealnych niewolników, wykonujących dla nich najcięższe prace. Bez wątplenia te właśnie kleiste, lepkie bryły musiał określać Abdul Alhazred w swoim przerażającym "Necronomiconie" tajemniczym, złowrogim mianem Shoggothów – lecz nawet ów szalony Arab nie wspomniał, iż stworzenia te istnieją na Ziemi, a nie tylko w snach tych, którzy żują pewien gatunek alkaloidalnych ziół. Kiedy gwiazdnogłowe Stare Istoty zsyntetyzowały już dla siebie na Ziemi proste formy żywności i spłodziły spory zapas Shoggothów. pozwoliły, z niejasnych powodów, by również i inne grupy komórek rozwinęły się w kolejne formy życia zwierzęcego i roślinnego. Przy pomocy Shoggothów – których rozmiary mogły być dowolne – niewielkie, niskie, podwodne miasta zmieniły się w rozległe, imponujące labirynty z kamienia, nie różniące się zasadniczo od tych, które później wyrosły na lądzie. Jak wspomniałem. Stare Istoty w innych częściach wszechświata prowadziły zazwyczaj lądowy tryb życia, a co za tym idzie zachowały wiele tradycji budownictwa lądowego. Kiedy badaliśmy architekturę tych wszystkich ozdobionych płaskorzeźbami, paleozoicznych miast, włącznie z tym, wymarłym od stuleci, którego korytarze właśnie przemierzaliśmy, byliśmy pod wrażeniem zadziwiającej harmonii wszystkich elementów, której żadną miarą nie potrafiliśmy sobie jeszcze wtedy wytłumaczyć.

Wierzchołki budowli w otaczającym nas teraz mieście, które już przed

wiekami zwietrzały, zmieniając się w bezkształtne ruiny, zostały ze szczegółami odtworzone na niezliczonych płaskorzeźbach. Budowle te, w kształcie stożków i piramid, były opatrzone wielkimi dachami. Na wierzchołkach niektórych z nich widać było rzędy strzelistych iglic i poziomych, muszlowatych dysków zwieńczonych z kolei walcowatymi kominami, i dokładnie to samo obserwowaliśmy w tym nieprawdopodobnym, potwornym i złowrogim mirażu, rzucanym przez martwe miasto; taki właśnie obraz na tle nieba, obraz, który nie istniał już od tysięcy i dziesiątków tysięcy lat, pojawił się przed naszymi nieświadomymi oczyma ponad niezbadanymi. Górami Szaleństwa, gdy pierwszy raz zbliżyliśmy się do zniszczonego w tragicznych okolicznościach obozowiska nieszczęsnego Lake'a.

O życiu Starych Istot, zarówno w morskich głębinach, jak też o losach grupy, która wyszła na ląd, można napisać całe tomy. Te, które żyły w płytkich wodach nadal robiły pełny użytek ze swych umieszczonych na końcach pięciu głównych czułek oczu. Uprawiały sztukę rzeźbiarską i piśmienniczą w niemal nie zmienionej formie; pisały rylcem na wodoodpornych, woskowych tabliczkach. Te, żyjące w głębinach oceanów – choć celem otrzymania światła wykorzystywały pewne osobliwe fosforyzujące organizmy – dysponowały dodatkowo trudnym do sprecyzowania, szczególnym zmysłem działającym poprzez pryzmatyczne rzęski umieszczone na szczycie głowy. Zmysł ten sprawiał, iż wszystkie Stare Istoty w razie potrzeby były częściowo uniezależnione od oświetlenia. Forma ich sztuki rzeźbiarskiej i piśmienniczej w osobliwy sposób zmieniała się wraz ze schodzeniem coraz głębiej pod wodę. Głównym tego powodem były, jak się wydaje, pewne procesy chemiczne związane z utrwalaniem – zapewne mające zabezpieczać fosforescencję – których niestety płaskorzeźby nic są nam w stanie wyjaśnić. Istoty poruszały się w morzu na poły pływając – używając przy tym bocznych, krynoidowych ramion, na poły zaś poruszając rzędem dolnych macek zakończonych pseudostopami.

Sporadycznie wykonywały leż ogromne susy, pomagając sobie przy tym dwoma lub więcej skrzydłami, rozkładającymi się niczym wachlarze. Na lądzie zaś używały pseudostóp do chodzenia oraz skrzydeł, na których wznosiły się na ogromne wysokości i pokonywały wielkie odległości. Liczne, smukłe macki, którymi kończyły się krynoidowe ramiona były niewiarygodnie wrażliwe, giętkie, silne i obdarzone idealną koordynacją mięśniowo–nerwową zapewniającą najwyższą sprawność i biegłość we wszystkich czynnościach manualnych, artystycznych jak i wszystkich innych.

Odporność istot była wprost niewiarygodna. Nawet straszliwe ciśnienie panujące na dnie najgłębszych mórz nie czyniło im najmniejszej szkody. Wydaje się, że w ogóle niewiele z nich umierało, pomijając oczywiście przypadki gwałtownego rozstania się z tym światem, ale ogólnie rzecz biorąc, miejsc ich pochówku jest bardzo niewiele. To że nad pogrzebanymi w pozycji pionowej zmarłymi wznosiły pięcioramienne kopce, skłoniło mnie i Danfortha do głębokich przemyśleń.

Istoty rozmnażały się za pomocą zarodników, zdaniem Lake'a jak rośliny okrytozalążkowe, ale dzięki swej ogromnej odporności i długowieczności, a co za tym idzie braku potrzeby płodzenia kolejnych pokoleń, nie dbały zbytnio o rozwój nowych komórek rozrodczych –rzecz jasna za wyjątkiem okazji, gdy w grę wchodziła kolonizacja nowych terenów. Młode Istoty dorastały szybko, a wykształcenie zdobywały w sposób, którego my nie jesteśmy w stanie nawet sobie wyobrazić. Generalnie rzecz biorąc życie intelektualne i twórcze tych stworzeń było wysoko rozwinięte; wytworzyły one szereg zwyczajów i instytucji, które opiszę pełniej w przygotowywanej obecnie monografii. Było ono w pewnym stopniu zróżnicowane, w zależności od tego czy rozwijało się na lądzie czy w morzu – ale i tu i tam jego podstawy i istota były jednakowe. Chociaż zdolne jak rośliny do czerpania pożywienia z substancji nieorganicznych. Stare Istoty znacznie bardziej wolały pokarmy organiczne, zwłaszcza pochodzenia zwierzęcego. Żyjąc w morzach jadły mięso na surowo, na lądzie zaś pieczone. Urządzały

polowania i hodowały zwierzęta rzeźne; zabijały je ostrymi narzędziami, których osobliwe ślady na niektórych skamieniałych kościach zaobserwowała nasza wyprawa. Były niesłychanie odporne na różnice temperatur; w swej naturalnej postaci mogły żyć w wodzie o temperaturze zamarzania. Kiedy jednak nadeszły ostre chłody plejstocenu – blisko milion lat temu – mieszkańcy lądu musieli uciec się do specjalnych środków, łącznie ze sztucznym ogrzewaniem. Koniec końców jednak, zabójcze zimno zmusiło ich do powrotu do morza. Jak mówi legenda, przygotowując się do swych prehistorycznych podróży. Istoty owe wchłonęły sporą ilość pewnych związków chemicznych, które niemal całkowicie uniezależniły je od potrzeby jedzenia, oddychania czy różnic temperatury. Zanim jednak nastały mrozy plejstocenu, metoda ta, w ich kręgu, poszła już dawno w zapomnienie. W każdym bądź razie nie mogły bez uszczerbku dla siebie przedłużyć w nieskończoność tego sztucznego stanu.

Posiadając strukturę pólroślin. Stare Istoty nie przejawiały biologicznych podstaw do tworzenia rodzin, tak jak to ma miejsce wśród ssaków. Wnioskując jednak z przedstawionych na płaskorzeźbach zajęć i rozrywek współmieszkańców, wydaje się, iż organizowały one ogromne, wspólne osiedla, tak ze względu na wygodniejsze wykorzystanie przestrzeni, jak i z wrodzonej jedności natury umysłowej. Jeżeli chodzi o wystrój ich domów, sprzęty zajmowały centralną część pomieszczeń, ściany zaś były wolne, by nic nie zasłaniało pokrywających je motywów dekoracyjnych. Oświetlenie, w przypadku Istot lądowych, pochodziło z urządzeń działających, jak przypuszczamy, na zasadzie jakiejś reakcji elektrochemicznej. Zarówno na lądzie, jak i w głębinie stworzenia używały dziwnych stołów, krzeseł i łóżek o cylindrycznym kształcie – odpoczywały przecież i spały w pozycji pionowej, ze złożonymi w dół mackami – oraz półek, na których trzymały spięte zawiasami rzędy kropkowanych, płaskich przedmiotów, pełniących funkcję ich książek. Rząd był najwyraźniej demokratyczny, aczkolwiek z płaskorzeźb, które widzieliśmy, trudno było to wywnioskować z całkowitą

pewnością. Rozwinięty był handel zarówno lokalny, jak i pomiędzy miastami – w formie pieniędzy używano niewielkich, płaskich pięcioramiennych żetonów z wyrytymi napisami.

Prawdopodobnie funkcję środków płatniczych pełniły również te mniejsze, rozmaite, zielone steatyty znalezione przez naszą wyprawę. Chociaż kultura miała w przeważającym stopniu charakter miejski, wśród Istot tych znane było również rolnictwo i uprawa bydła. Istniały też kopalnie oraz, w ograniczonym stopniu, manufaktury. Bardzo rozpowszechnione były podróże, lecz stała migracja należała raczej do rzadkości, za wyjątkiem oczywiście działalności kolonizacyjnej, za pośrednictwem której rasa się rozprzestrzeniała. Nie istniały żadne indywidualne środki transportu, ponieważ do poruszania się na lądzie, w powietrzu czy w wodzie. Stare Istoty były nader hojnie wyposażone przez Maturę. Wszelkie ładunki ciągnęły zwierzęta pociągowe – pod wodą Shoggothy, a na lądzie zadziwiająca ilość gatunków prymitywnych kręgowców, które pojawiły się tam w późniejszych czasach.

Kręgowce te, jak również nieprzebrane ilości innych żywych form – zwierząt i roślin, stworzeń zamieszkujących na lądzie, w wodzie i powietrzu – były wytworem ewolucji opartej na żywych komórkach wyhodowanych przez Stare Istoty, które później wymknęły się swym stwórcom spod kontroli. Ich rozwój był tolerowany, gdyż nie zagrażał interesom dominujących Istot, a formy sprawiające jakiegokolwiek kłopoty były rzecz jasna automatycznie likwidowane, niezwykle zainteresowały nas późniejsze i najbardziej dekadencjonalne rzeźby przedstawiające prymitywne, powłóczące nogami ssaki, które mieszkańcom lądów służyły niekiedy za pożywienie, innymi razy znów jako rozrywka, a które kształtem przypominały już nieco małpie i ludzkie sylwetki.

Przy budowie lądowych miast, olbrzymie kamienne bloki, z których wznoszono strzeliste wieże przenoszone były przez szerokoskrzydłe pterodaktyle, należące do gatunku nieznanego paleontologom.



Wytrwałość z jaką Stare Istoty przetrwały wszelkie zmiany geologiczne i wstrząsy skorupy ziemskiej graniczy niemal z cudem. Jakkolwiek żadne lub prawie żadne z ich pierwszych miast nie przetrwało ery archaicznej, to w ich cywilizacji oraz w przekazywaniu ich dorobku nie było przerwy. Pierwotnym miejscem ich przybycia na naszą planetę był Ocean Antarktyczny i prawdopodobnie wydarzyło się to niedługo po tym, jak z materii wyrwanej z dna południowego Pacyfiku uformował się księżyc. Zgodnie z tym co widzimy na jednej z reliefowych map, cały glob znajdował się wówczas pod wodą, a w miarę upływu kolejnych stuleci kamienne miasta rozprzestrzeniały się coraz to dalej od terenów antarktycznych. Inna mapa ukazuje rozległą połąć lądu otaczającego biegun, gdzie najprawdopodobniej niektóre z tych Istot dokonywały próbnego osadnictwa – chociaż ich główne skupiska przeniesione zostały na dno najbliższego morza, najróżniejsze mapy przedstawiają pękającą i dryfującą masę lądu, której oderwane fragmenty kierują się na północ, utrzymując dokładnie taki kurs, jaki wyznaczyła im teoria dryfu kontynentalnego, rozwinięta w ostatnich latach przez Taylora i Wegenera. Wypiętrzeniu się nowego lądu na południu Pacyfiku towarzyszyły przerażające wypadki, niektóre z morskich miast uległy całkowitej zagładzie, ale nie to było najgorsze. Inna rasa – rasa lądowych Istot przypominających z wyglądu ośmiornice – będąca zapewne legendarnym, przedludzkim potomstwem Cthulhu – zaczęła niebawem przybywać z bezmiarów kosmosu, rozpętując potworną wojnę, która na pewien czas ponownie zmusiła Stare Istoty do powrotu w głębiny.

Z uwagi na rozkwit osadnictwa lądowego był to dla nich straszliwy okres. Później zawarto pokój, nowe lądy oddano we władanie potomstwu Cthulhu, podczas gdy Stare Istoty zatrzymały dla siebie morze i dawniejsze ziemie. Powstały nowe miasta lądowe – największe z nich na Antarktydzie, uważanej za świętą, tu bowiem po raz pierwszy wylądowały Stare Istoty. Antarktyda ponownie stała się centrum cywilizacji Starych Istot, a wszystkie miasta wzniesione tam przez potomstwo Cthulhu zostały starte z powierzchni ziemi.

I nagle lądy Pacyfiku ponownie pogrążyły się w odmętach zabierając ze sobą przerażające kamienne miasto R'lyeh i wszystkie kosmiczne ośmiornice – w wyniku tego Stare Istoty ponownie zapanowały niepodzielnie nad planetą. Mimo to pozostał w nich jakiś nieokreślony lęk, o którym jednak nie chciały wspominać. W późniejszym okresie ich miasta rozsiane były po całym globie – zarówno w wodach, jak i na lądzie. W miarę upływu stuleci nasilał się trend wychodzenia z wody na ląd – było to spowodowane wynurzaniem się z mórz coraz to nowych terenów –jakkolwiek ocean nigdy nie został całkowicie opuszczony. Inną przyczyną masowego osiedlania się na lądzie były kłopoty związane z hodowlą i wykorzystaniem Shoggothów, od których zależało przecież prowadzenie życia w głębinie. W miarę upływu czasu – co potwierdzają wizerunki na płaskorzeźbach – zaginęła sztuka tworzenia nowego życia z materii nieorganicznej i Stare Istoty musiały poprzestać na kształtowaniu form już istniejących. Łatwe do okiełznania okazały się żyjące na ziemi ogromne gady. W morzu reprodukujące się przez podział Shoggothy, zaczęły natomiast osiągać niebezpieczny stopień inteligencji, stwarzając tym samym w pewnym momencie poważny problem. Zawsze były kontrolowane przez sugestię hipnotyczną Starych Istot, które dzięki dużej plastyczności protoplazmy modelowały w ich ciałach potrzebne aktualnie kończyny i organy. Teraz jednak, pod wpływem dawniejszej sugestii wszczepionej im przez ich władców, coraz częściej u Shoggothów zaczęła pojawiać się zdolność niezależnego modelowania swych bryłowatych ciał. Ma dodatek wytworzyły w sobie coś w rodzaju na wpół stałego mózgu, którego własna i niezłomna wola niejednokrotnie sprzeciwiała się żądaniom Starych Istot. Odtworzone w kamieniu wizerunki Shoggothów napełniały mnie i Danforth'a przerażeniem i odrazą, formalnie były to bezkształtne stwory utworzone z kleistej, lepkiej galarety wyglądające niczym zlepek bąbli, z których każdy, przyjąwszy kształt kuli mierzył około 15 stóp średnicy.

Zmieniały jednak nieustannie – czy to spontanicznie, czy zgodnie z

nadaną sugestią – swój kształt i rozmiary, formując potrzebne w danym momencie kończyny, bądź nietrwale organy wzroku, słuchu i mowy podobne do tych, jakimi dysponowali ich władcy. Mniej więcej w okresie środkowego permu, około 150 milionów lat temu, stały się szczególnie krnąbrne i wtedy to żyjące w wodzie Stare Istoty, aby je ponownie ujarzmić, wypowiedziały im okrutną wojnę. Mimo dzielącej nas otchłani niezliczonych stuleci, obrazy tej wojny, obrazy bezgłowych, oblepionych śluzem Starych Istot – typowy stan w jakim Shoggothy pozostawiały swoje ofiary – po dziś dzień budzą w nas zdumienie i lęk. Stare Istoty zastosowały w końcu przeciwko buntownikom osobliwą broń, powodującą zaburzenia molekularne, osiągając dzięki niej całkowite zwycięstwo. Kolejne płaskorzeźby ilustrowały okres, w którym uzbrojone Stare Istoty ujarzmiły i złamały Shoggothów, podobnie jak na amerykańskim zachodzie kowboje ujarzmiли dzikie mustangi. Choć podczas rebelii Shoggothy zdradziły zdolność do życia poza środowiskiem wodnym. Stare Istoty nie wykorzystały tego. Ich użyteczność na lądzie nie mogłaby równoważyć kłopotów, jakich nastroczałoby kierowanie nimi.

W okresie jurajskim Stare Istoty napotkały kolejną przeciwność losu w postaci nowej inwazji z kosmosu; tym razem stworzeń będących na poły grzybami, na poły zaś skorupiakami. Były to bez wątpienia te same stwory, które występują w pewnych powtarzanych wyłącznie szeptem, legendach krain północy, a w Himalajach są znane pod nazwą Mi-Go, albo jako odrażający Ludzie Śniegu. Zanim przystąpiły do walki. Stare Istoty spróbowały, po raz pierwszy od chwili przybycia na Ziemię uciec w Kosmos. Nie udało im się jednak opuścić ziemskiej atmosfery. Sekret podróży międzygwiazdnych, czymkolwiek by nie był, został dla owej rasy bezpowrotnie stracony. Ostatecznie Mi-Go wyparły Stare Istoty ze wszystkich terenów północnych; bezsilne okazały się jedynie wobec mieszkańców morza. W ten oto sposób rozpoczął się stopniowy, powolny odwrót starszej rasy do jej pierwotnego, antarktycznego środowiska. Co ciekawe – z płaskorzeźb przedstawiających okres wojny wynika, że zarówno

potomstwo Cthulhu jak i Mi-Go zbudowane były z materii całkowicie odmiennej od tej, którą znamy, odmiennej też od substancji, z jakiej uformowane były ciała Starych Istot. Potrafiły przechodzić transformację i reintegrację ciała, co dla ich przeciwników było rzeczą niemożliwą; najwidoczniej musiały pochodzić z jeszcze odleglejszych kosmicznych otchłani.

Stare Istoty, pomijając ich nadnaturalną odporność i osobliwe właściwości witalne, były całkowicie materialne, a ich pierwotna siedziba musiała znajdować się w znanym nam kontinuum czasoprzestrzennym. Miejsce, skąd pochodziły inne, wspomniane tu gatunki jest dla nas zapierającą dech w piersiach zagadką. Wszystko to oczywiście należy przyjąć przy założeniu, że pozaziemskie pochodzenie i anomalie przypisywane najeźdźcom nie są jedynie zwykłymi legendami. Nie jest bowiem wykluczone, że to same Stare Istoty wymyśliły ową kosmiczną otoczkę, by usprawiedliwić swoje klęski, zwłaszcza że główne elementy ich psychiki ukształtowane zostały przez dumę i dogłębną zainteresowanie historią. Jest też rzeczą nader znaczącą, że ich annały pomijają milczeniem wiele innych, zaawansowanych i silnych ras, których potężne kultury i strzeliste miasta figurują uporczywie w niektórych mrocznych legendach.

Ma wielu rzeźbionych mapach z zaskakującą wyrazistością, widzimy zmieniającą się na przełomie długich epok geologicznych postać świata. W niektórych przypadkach istniejąca nauka wymagać będzie wprowadzenia pierwszych poprawek, w innych zaś, idealnie potwierdza swe śmiałe wnioski. Jak już wspomniałem hipoteza Taylora i Wegenera, stwierdzająca że wszystkie kontynenty są fragmentami jednego pierwotnego lądu antarktycznego, który w wyniku działania sił odśrodkowych rozpadł się i rozpląnął na wszystkie strony, hipoteza opierająca się na takich faktach jak dopełniające się zarysy Afryki i Ameryki Płd. oraz sposób w jaki są wypiętrzone i ukształtowane olbrzymie masywy górskie, znajduje w tym niesamowitym źródle znakomite potwierdzenie. Mapy najwyraźniej

przedstawiają świat z ery karbonu, sprzed stu, a może więcej milionów lat; pokazują wyraźne pęknięcia i rozpadliny, które potem oddzielały Afrykę od jednej, połączonej krainy Europy, Azji, obu Ameryk oraz kontynentu antarktycznego. Inne mapy z kolei – a zwłaszcza jedna, najbardziej znacząca, bowiem ukazuje powstałe 50 milionów lat temu rozległe martwe miasto, które nas właśnie otaczało – przedstawiały wyraźnie już zarysowane, wszystkie obecne kontynenty. Mapa z najpóźniejszego okresu, wywodząca się zapewne z pliocenu, gdzie przedstawiony świat jest już w przybliżeniu taki, jakim go znamy dzisiaj, pokazuje całkiem wyraźne połączenie Alaski z Syberią, Ameryki Płn. z Europą, poprzez Grenlandię oraz Ameryki Płd. z Antarktydą za pośrednictwem Ziemi Grahama, na mapie z okresu karbonu cały glob, dna oceanów i cała spękana już masa lądów, pokryty jest siatką symboli przedstawiających ogromne, kamienne miasta Starych Istot; na mapach późniejszych widać ich stopniowe wycofywanie się w kierunku Antarktydy. Ma ostatnim, plioceńskim egzemplarzu, nie ma już innych miast lądowych za wyjątkiem tych na kontynencie antarktycznym i w Ameryce Płd., miasta podmorskie zaś sięgają już tylko do 50 równoleżnika szerokości południowej. Wiedza i zainteresowanie światem północnym spadają u Starych Istot do zera; do przeszłości należą już dokonywane na błoniastych, wachlarzowatych skrzydłach loty w celu studiowania tamtejszych linii brzegowych.

na płaskorzeźbach rejestrowane były wszystkie wypiętrzenia się gór, rozpad kontynentów wskutek działania sił odśrodkowych, wstrząsy sejsmiczne lądów, dna morskiego oraz inne, naturalne przyczyny zagłady miast. Śledzenie, jak w miarę upływu stuleci liczba miast coraz bardziej się zmniejsza było niewiarygodnie fascynujące. Olbrzymie, wymarłe rozciągające się wokół nas Megalopolis zdawało się być ostatnim, głównym centrum tej rasy – powstałym we wczesnym okresie dolnej kredy, tuż po tytanicznych kataklizmach, które dotknęły Ziemię i obróciły w gruzy poprzednie, jeszcze rozleglejsze i wspanialsze miasta, zbudowane w nie tak

znów bardzo odległym czasie. Wydaje się, że właśnie Megalopolis było głównym i najbardziej uświęconym z wszystkich miejsc; tu właśnie pierwsze Stare Istoty osiedliły się na dnie pierwotnego morza.

Megalopolis rozciągało się wzdłuż potężnego masywu górskiego na przestrzeni ponad stu mil w każdą stronę, a jego ogrom przekraczał możliwości prowadzonych przez nas rekonesansów lotniczych. Fragmenty tego pierwszego podwodnego miasta, w wyniku trwającego całe stulecia procesu kruszenia się warstw, wypchnięte zostały na światło dzienne.

# 8

Naturalnie, Danfbrth i ja studiowaliśmy ze szczególnym zainteresowaniem i z jakimś dziwnie osobistym uczuciem lęku, wszystko co znajdowało się wokół nas. Było tego rzeczywiście sporo; mieliśmy nawet tyle szczęścia że w labiryncie miasta na poziomie gruntu, natrafiliśmy na najpóźniej ze wszystkich datowany dom, którego ściany, choć nieco uszkodzone wskutek pobliskiego osunięcia się gruntu, zawierały płaskorzeźby zdradzające cechy stylu schyłkowego, wręcz dekadentckiego i opowiadające dzieje regionu, daleko późniejsze, niż mapy z okresu pliocenu. Mieliśmy zatem okazję rzucić okiem na agonię tego praludzkiego świata. Było to już ostatnie miejsce które spenetrowaliśmy szczegółowo; to co w nim odkryliśmy odmieniło nasze plany, wskazując zupełnie nowy cel. Z całą pewnością trafiliśmy do najdziwniejszego, najbardziej tajemniczego i przerażającego zakątka globu, narastało w nas przekonanie, iż la odrażająca wyżyna musi rzeczywiście być owym koszmarnym, legendarnym płaskowyżem Leng o którym szalony autor "Necronomiconu" wspominał z wyraźną niechęcią. Ogromny łańcuch górski był przeraźliwie długi – zaczynał się niskim masywem na Ziemi Leopolda na wybrzeżu morza Weddella i przecinał dosłownie cały kontynent. W schyłkowym okresie, niektóre Stare Istoty zносиły do tych gór osobliwe modły; żadna jednak nie odważyła się do nich zbliżyć, czy choćby domniemywać co leży po ich drugiej stronie, nigdy nie oglądało ich ludzkie oko – i kiedy rozmyślałem o uczuciach zaklętych w tych rzeźbach, modliłem się, by na zawsze tak pozostało. Z drugiej strony osłaniały je wzgórza ciągnące się wzdłuż wybrzeży Ziemi Królowej Marii i Cesarza Wilhelma; dziękowałem Bogu że nikt nigdy nie był w stanie tam wylądować i wspiąć się na któryś z tamtejszych szczytów. Nie traktuję już tak sceptycznie, jak to

miałem w zwyczaju, starych legend i zabobonów; nie wyśmiewam się też z przekonań praludzkich rzeźbiarzy, mówiących iż na każdej z tych posępnych grani rozbłyskują jasne, niczym błyskawice, światła, a z jednego z tych przerażających szczytów przez całą, długą noc polarną bije niewyjaśniony blask. Może więc wzmianki w Manuskryptach Pnakotyckich mówiące nieśmiało o Kadath na Lodowym Pustkowie posiadają jak najbardziej realne i odrażające podstawy. Terytorium znajdujące się wokół nas, choć nie tak plugawe i przekłete jak inne zakazane ziemie, nie było wcale mniej obce. Wkrótce po założeniu miasta olbrzymi masyw górski stał się siedzibą głównych świątyń i wiele reliefów ukazuje jak groteskowe i fantastyczne wieże wystrzeliwały w niebo, w miejscu gdzie dziś widzieliśmy jedyne zadziwiające przylegające do siebie sześciany i wały. Ma przełomie wieków pojawiły się jaskinie które wykorzystano na użytek świątyń. Z nastaniem kolejnych epok wszystkie wapienne żyły w rejonie zostały wypłukane wodami gruntowymi, a co za tym idzie, całe góry, pogórze i równiny poniżej, poprzecinane zostały istnym labiryntem połączonych ze sobą jaskiń i podziemnych chodników. Wiele malowniczych płaskorzeźb opowiada o eksploracji podziemi i ostatecznym odkryciu głęboko w trzewiach ziemi mrocznego, styksowego morza. Owa bezmierna, mroczna czeluść została bez wątpienia wydrążona przez wielką rzekę, która spływała z bezimiennych, przerażających gór; początkowo zakręcała ona u podnóża masywu Starych Istot i płynęła wzdłuż tego łańcucha aż do Oceanu Indyjskiego, pomiędzy Ziemiami Budda i Tottena na wybrzeżu Wilkesa. Stopniowo na swym zakolu podmywała wapienne pociło że wzgórz, aż w końcu jej odmęty dotarły do jaskiń wy pełnionych wodami gruntowymi, łącząc się z nimi we wspólnym dziele wydrążenia jeszcze głębszej otchłani. Ostatecznie, cała ta masa wód znikła wewnątrz wydrążonych wzgórz, pozostawiając po sobie stare, wyschnięte, ciągnące się aż do oceanu koryto. Większa część, miasta które odkryliśmy została wzniesiona na tym właśnie, prą starym łożysku.

Stare Istoty rozumiejąc co się stało, i by zaspokoić swój wiecznie żywy



zmysł artystyczny, wyrzeźbiły na kształt pylonów ogromne cyple pogórza, gdzie olbrzymia rzeka rozpoczynała swój spadek w wiekuistej ciemności. Rzeka, przecięta ongiś licznymi, kamiennymi mostami, była tą samą, której wyschłe koryto widzieliśmy podczas lotniczego rekonesansu. Jej wizerunki uwieńczone w licznych płaskorzeźbach, pomogły nam zorientować się, jak wyglądał ów region w różnych erach, byliśmy więc w stanie naszkicować pospiesznie, acz dokładnie mapę charakterystycznych miejsc – placów, ważniejszych budynków i tym podobnych – która posłużyć nam miała w dalszych badaniach. Mogliśmy wkrótce zrekonstruować w wyobraźni cały ten zdumiewający wytwór, tak jak wyglądał on milion, dziesięć lub pięćdziesiąt milionów lat temu; rzeźby mówią nam bowiem dokładnie o znajdujących się tu, w czasach rozkwitu budowli, górach, placach oraz o wyglądzie przedmieść i całego krajobrazu, tak jak prezentował się on, w bujnej szacie roślinnej trzeciorzędu. Jego piękno musiało być zdumiewające – nieomal mistyczne, a gdy o tym myślałem, zapomniałem o niepokojącym uczuciu ponurego przygnębienia, niewiarygodną wręcz starością nieludzkiego miasta, jego masywnością, martwością, pustką i lodowcowym zmierzchem, które połączone, przytłaczały i dławili mego ducha. Zgodne z niektórymi wizerunkami na płaskorzeźbach, mieszkańcom miasta nieobcy był dojmujący, bezgraniczny lęk – dostrześliśmy bowiem pewien powracający motyw przedstawiający Stare Istoty cofające się panicznie przed czymś, co nigdy nie zostało dokładnie przedstawione – a co znalazły w ogromnej rzece, po tym jak spłynęło jej nurtem poprzez gęste, pełne pnączy lasy sagowców z przerażających gór na wschodzie. Tylko w jednym, pochodzącym z późniejszego okresu domu z dekadentkimi płaskorzeźbami odkryliśmy zapowiedź ostatecznego nieszczęścia, które w rezultacie doprowadziło do opuszczenia miasta. Niewątpliwie musiały istnieć jeszcze inne, pochodzące z tamtych czasów reliefy, mówiące jawnie iż w tym pełnym napięcia i niepewności okresie nastąpił zanik energii i dążeń, I rzeczywiście niebawem natknęliśmy się na konkretny dowód istnienia takich rzeźb, ale osobiście

zetrnęliśmy się z nimi tylko wtedy, jeden jedyny raz.

Zamierzaliśmy poszukać ich później, lecz jak powiedziałem, niespodziewane okoliczności zmusiły nas do gwałtownej zmiany planów. To musiał być jednak początek końca. Stare Istoty straciły bowiem wszelką nadzieję na dłuższe zamieszkiwanie w przyszłości tego miejsca i zaprzestały wykonywania ściennych reliefów. Ostateczny czas nadszedł oczywiście wraz z wielkim chłodem, który ogarnął niemal całą ziemię i nigdy już nie opuścił nieszczęsnych biegunów, który na drugim krańcu naszej planety położył kres istnieniu legendarnych krain Lomar i Myperborei. Trudno jest określić dokładnie, kiedy to się wydarzyło, jeżeli chodzi o lata. Współcześnie, początek zlodowacenia oblicza się na około 500 tysięcy lat wstecz, ale na bieguny ów bicz boży spaść musiał dużo wcześniej. Wszelkie obliczenia opierają się wyłącznie na domysłach, ale jest wielce prawdopodobne iż owe schyłkowe dekadencje płaskorzeźby powstały grubo ponad milion lat temu, a faktyczne opuszczenie miasta nastąpiło na długo przed tradycyjnie przyjmowaną datą początku plejstocenu – 500 tysięcy lat temu – wedle szacowań przyjętych dla całej ziemi. Płaskorzeźby z okresu schyłkowego sygnalizują powszechny zanik roślinności, a jeżeli chodzi o Stare Istoty, upadek wsi. Przedstawiały zainstalowane w domach urządzenia ogrzewcze, a podróżujące zimą Stare Istoty opatulone w grube, chroniące przed zimnem stroje, natknęliśmy się również na szereg wolut ilustrujących narastającą stale migrację do najbliższych oaz ciepła –jedne stworzenia odlatują ku odległym wybrzeżom do podwodnych miast, inne z kolei schodzą w dół siecią wapiennych jaskiń wydrążonych w masywie górskim, cło pobliskiej, czarnej otchłani wypłukanej przez podziemne wody. Ostatecznie otchłani ta doczekała się masowej kolonizacji. Bez wątplenia wynikało to po części z faktu iż ten właśnie obszar otaczany był tradycyjną czcią – było to bowiem swego rodzaju święte miejsce, ale wydaje się iż większą rolę odegrały tu jednak możliwości dalszego wykorzystywania wielkich świątyń w podziurawionych niczym rzeszoto górach, korzystania z rozległych miast, na

powierzchni jako letnich siedzib oraz możliwości przemieszczania się pomiędzy nimi. Połączenie starych siedzib z nowymi usprawniono poprzez szereg ulepszeń istniejących już dróg oraz wykucie licznych, prostych tuneli łączących antyczną metropolię z czarną otchłanią – tuneli wiodących ostro w dół, a których wejścia po dokładnych wyliczeniach – nanieśliśmy pieczołowicie na opracowywaną przez nas mapę. Wszystko wskazywało na to iż dwa z nich znajdują się w niezbyt dużej odległości od nas, na skraju miasta przylegającym do gór. Nie powinniśmy mieć większych problemów ze spenetrowaniem ich. Pierwszy z tuneli oddalony był o niecałe ćwierć mili w stronę koryta pradawnej rzeki, drugi zaś, mniej więcej pół mili w kierunku przeciwnym. W otchłani, w niektórych miejscach rozciągały się rozległe, skalne, suche tarasy, ale Stare Istoty wybudowały nowe miasto pod wodą, chcąc niewątpliwie zapewnić sobie stałą temperaturę i możliwie maksimum ciepła. Ukryte morze było niezwykle głębokie i ciepło panujące wewnątrz ziemi gwarantowało możliwość mieszkania w nim przez nieskończenie długie epoki. Istoty, których skrzela nie uległy mutacji, nie miały żadnych kłopotów z przystosowaniem się do częściowego lub stałego przebywania pod wodą. Istnieje wiele płaskorzeźb ukazujących w jaki sposób mieszkańcy miasta odwiedzali swych krewnych pod wodą oraz jak zażywali kąpieli na dnie swej ogromnej, głębokiej rzeki. Ciemności panujące we wnętrzu ziemi również nie przerażały rasy przywykłej do długich, antarktycznych nocy. Jakkolwiek styl rzeźb był niewątpliwie dekadencji, to te najmłodsze, we fragmentach mówiących o budowie nowego miasta w pieczarze z ukrytym morzem mają prawdziwie epicki charakter. Stare Istoty podeszły do sprawy naukowo wydobywając nierozpuszczalne skały z jądra przypominających plaster miodu gór, a by osiągnąć najlepsze rezultaty zatrudniły do budowy najznakomitszych robotników sprowadzonych z najbliższego podwodnego miasta. Robotnicy ci dostarczyli również wszystkiego, co niezbędne do realizacji nowego przedsięwzięcia – tkanę Shoggothów, by wyhodować z niej niewolników do przenoszenia kamieni, a potem zwierzęta pociągowe.

Dostarczyły również inny rodzaj protoplazmy którą przetworzono w fosforyzujące organizmy mające dawać światło. W końcu na dnie Styksowego Morza wyrosła potężna metropolia o takiej samej strukturze architektonicznej jak miasto na powierzchni, aczkolwiek zdecydowanie mniej dekadentnie, co spowodowane było nieodłącznym zastosowaniem przy piecach budowlanych ścisłych reguł matematycznych. Świeży miot Shoggothów osiągnął ogromne rozmiary i niepoślednią inteligencję, przyjmując i wykonując polecenia ze zdumiewającą bystrością. Ze Starymi Istotami porozumiewały się, naśladowując ich głosy – rodzaj melodyjnego świergotu o bardzo szerokiej gamie dźwięków – jeżeli wierzyć wynikom sekcji przeprowadzonej przez nieszczęsnego Lakę 'a – i pracowały bardziej na podstawie poleceń wydawanych słownie niż sugestii hipnotycznej, jak to miało miejsce dawniej. Mimo to jednak trzymane były pod ścisłą kontrolą. Świecące stworzenia bardzo hojnie dostarczały światła i bez wątpienia kompensowały brak znanych Starym Istotom źróz polarnych, płonących nocą w zewnętrznym świecie. Sztuka zdobnicza nie uległa zmianie, jakkolwiek wykazywać zaczęła elementy dekadentnie, najwyraźniej Stare Istoty zdawały sobie sprawę z nadchodzącego końca i w wielu przypadkach wyprzedzili politykę Konstantyna Wielkiego, przenosząc ze swego lądowego miasta szczególne pięknie rzeźbione starożytne bloki; tak samo uczynił cesarz w schyłkowym okresie swego panowania, ogałając Grecję i Azję z ich najwspanialszych dzieł sztuki, dodając swej nowej stolicy w Bizancjum splendoru większego, niż stać na to było jego poddanych. To, że transfer tych rzeźbionych bloków nie był prowadzony na wielką skalę, brało się bez wątpienia stąd, iż lądowe miasto nic było do końca opuszczone. Kiedy to jednak nastąpiło, a z pewnością było to nieuchronne – zanim jeszcze rozwinął się na dobre polarny plejstocen – Stare Istoty zdążyły rozmiłować się w dekadentnej sztuce, lub też przestały postrzegać urok i czar dawnego kunsztu rzeźbiarskiego. Tak czy inaczej otaczające nas, pogrążone od wieków w ciszy ruiny z pewnością nie zostały ogołoczone z dzieł sztuki,

jakkolwiek najwspanialsze, pojedyncze posągi i inne ruchomości zostały stąd zabrane.

Mówiące o tym dekadencie woluty i płaskorzeźby były, jak już wspomniałem, najmłodszymi, jakie udało nam się odkryć podczas bądź co bądź, ograniczonych badań.

Zostawiają nas one z obrazem Starych Istot krążących nieustannie pomiędzy lądowym miastem w lecie i morską pieczarą w Ziemi, a niekiedy również handlujących z innymi podwodnymi miastami u brzegów Antarktydy. W tym czasie przyszłe losy lądowego miasta musiały już być znane, gdyż tematyka rzeźb dostarcza wielu dowodów, wskazujących na nadejście potwornych chłodów. Ginęła roślinność a przeraźliwe śniegi nie topniały do końca nawet w środku lata. Prawie wszystkie gady wyginęły, to samo spotkało również ssaki. By w dalszym ciągu prowadzić prace w górnym świecie, należało zaadaptować do życia na lądzie niektóre z amorficznych i zadziwiająco odpornych na zimno Shoggothów – co dawniej Stare Istoty czyniły nader niechętnie. W wielkiej rzece wymarło już całe życie a jedynymi mieszkańcami górnych warstw morza pozostały foki i wieloryby. Ptaki odleciały; zostały jedynie wielkie, groteskowe pingwiny. Co wydarzyło się później, możemy jedynie zgadywać.

Jak długo zdołało przetrwać nowe miasto w morskiej pieczarze? A może wciąż jeszcze istnieje – kamienny trup spoczywający w mrocznych odwiecznych ciemnościach? Czy koniec końców podziemne wody zamarzły? Jaki los spotkał miasta na dnie oceanów w świecie zewnętrznym? Czy niektóre ze Starych Istot w ucieczce przed sunącym lodowcem, przenosiły się na północ? Obecna geologia nie natrafiła na ich ślad. Czy przerażający Mi-Go wciąż jeszcze stanowili zagrożenie, zamieszkując w zewnętrznym świecie północy? Czy ktokolwiek może wiedzieć co czai się – lub nie – nawet po dzień dzisiejszy w pozbawionych światła niezbadanych otchłaniach morskich głębin? Stwory te najwyraźniej były w stanie wytrzymać każde ciśnienie, a rybacy wyławiają niekiedy z fal różne, osobliwe rzeczy. Czy teoria

wieloryba–zabójcy rzeczywiście wyjaśnia niesamowite i nader tajemnicze rany na ciałach antarktycznych fok zaobserwowane przez Dorchgre–vingka?

W całej tej historii – poza jej koszmarem – jest coś anormalnego... dziwne rzeczy, które tak usilnie staraliśmy się złożyć na karb czyjegoś szaleństwa... te przerażające groby... ilość i rodzaj zaginionych przedmiotów... Gedney... nieziemską odporność tych archaicznych monstrów i odrażające, żywe dziwolągi jakie zgodnie z treścią płaskorzeźb posiadała ta rasa...

Danforth i ja w ciągu kilku ostatnich godzin zobaczyliśmy sporo różnych rzeczy i byliśmy gotowi uwierzyć, oraz zachować niezłomne milczenie w kwestii niewiarygodnych sekretów pierwotnej natury.

Wspomniałem już, że nasze badania spowodowały natychmiastową zmianę najbliższych planów. Miało to oczywiście związek z wykutymi drogami wiodącymi w głąb czarnego wewnętrznego świata, o którego istnieniu nic dotąd nie wiedzieliśmy; teraz zaś nurtowało nas niepoohamowane pragnienie aby go jak najszybciej odnaleźć i spenetrować. Ze skali płaskorzeźb wywnioskowaliśmy, że stromo opadający chodnik mierzy około mili, potem zaś, którymś z sąsiednich tuneli możemy dotrzeć do krawędzi przyprawiającej o zawrót głowy, mrocznego urwiska skalnego wielkiej otchłani, skąd znajdujące się wzdłuż jej brzegów, ulepszone przez Stare Istoty, ścieżki wiodły na skalisty brzeg pogrążonego w wiecznej nocy oceanu. Odkąd się o nim dowiedzieliśmy wabił nas tak, że nie sposób było oprzeć się pragnieniu ujrzenia na własne oczy tej bajecznej czeluści. Poza tym zdawaliśmy sobie sprawę że jeśli chcemy dokonać tego podczas obecnego rekonesansu, musimy rozpocząć poszukiwania natychmiast. Była ósma wieczorem i nie mieliśmy wystarczającej ilości baterii by móc stale oświetlać sobie drogę. Pod poziomem lodowca podczas dokonywania szczegółowych badań, szkiców i zapisków używaliśmy latarek blisko pięć godzin bez przerwy i obecnie, mimo specjalnych suchych ogniwi, nasz zapas baterii wystarczyłby najwyżej na 4 godziny. Używając jednak tylko jednej latarki – za wyjątkiem rzecz jasna szczególnie interesujących lub trudnych miejsc – mogliśmy nieco przedłużyć margines bezpieczeństwa. Bez światła nie poradzilibyśmy sobie w tych gigantycznych katakumbach; dlatego też, by odbyć podróż w głąb otchłani musieliśmy zrezygnować z dalszego odszyfrowywania fresków ściennych. Zamierzaliśmy oczywiście wrócić tu i zabawić kilka dni, a może nawet parę tygodni by przeprowadzić intensywne

badania i zrobić całą serię zdjęć. Ciekawość brała górę nad zgrozą – teraz jednak musieliśmy się pospieszyć.

Zapas papieru do oznaczania drogi pozostawiał wiele do życzenia, a ponieważ nie chcieliśmy poświęcać zapasowych notatników i szkicowników, postanowiliśmy podrzeć jeden gruby notes. W najgorszym razie zawsze możemy uciec się do wyrąbywania śladów w skale, w przypadku zaś, gdybyśmy kompletnie stracili orientację, aż do skutku będziemy krążyli na chybił trafił poszczególnymi tunelami, aż wyjdziemy na światło dzienne. I tak oto z zapalonym wyruszyliśmy we wskazanym kierunku – do najbliższego tunelu. Zgodnie z informacjami zawartymi na płaskorzeźbach, na podstawie których sporządziliśmy naszą mapę poszukiwane wejście do tunelu nie mogło znajdować się dalej niż ćwierć mili od nas; przestrzeń tę wypełniały masywnie wyglądające budowle, identyczne jak spenetrowane już przez nas pod lodowcem. Samo wejście miało znajdować się w piwnicy, w kącie najbliższej pogórza, w rozległej pięcioramiennej budowli pełniącej najwyraźniej ongiś funkcje publiczne, zapewne o charakterze ceremonialnym, którą musieliśmy widzieć podczas penetrowania ruin, z pokładu samolotu. Wracaliśmy pamięcią do naszego lotu, ale żadna taka budowla nic przychodziła nam na myśl. Doszliśmy zatem do wniosku że jej górna część musiała być poważnie uszkodzona, lub – co również było możliwe – cała budowla, obrócona w gruzy spoczywała teraz w dostrzeżonej przez nas rozpadlinie skalnej. W tym drugim przypadku tunel będzie zapewne zasypany lodem – wtedy spróbujemy szczęścia z następnym, najbliższym wejściem oddalonym o niecałą milę na północ. Leżące pośrodku koryto rzeki uniemożliwiało nam dotarcie, podczas tego rekonesansu, do któregoś z południowych tuneli; co więcej, gdyby okazało się że oba sąsiadujące ze sobą tunele są zasypane, wątpliwe czy nasze latarki wytrzymałyby podjęcie kolejnej próby z trzecim korytarzem północnym, oddalonym o milę od drugiego z wybranych przez nas przejść. Kiedy z pomocą mapy i kompasu brnęliśmy przez labirynt, w niezbyt przyjemnym



półmroku, badając zrujnowane, lub zgoła nieźle zachowane pokoje i korytarze, wspinając się na mosty i pochylnie przecinające wyższe piętra, i ponownie schodząc na dół – napotykając na zasypane otwory wejściowe i stosy gruzu, przyspieszając od czasu do czasu na lepiej zachowanych, i niewiarygodnie pustych, jakby oczyszczonych odcinkach trasy, myląc kierunki i wracając do punktu wyjścia (w takich sytuacjach zbieraliśmy z podłogi pozostawione przez nas strzępy papieru), docierając raz na dno otwartego u góry szybu, w głąb którego sączyło się dziwne światło – towarzyszyły nam bez przerwy ciągnące się wzdłuż całej drogi, pokryte freskami ściany. Wiele z nich musiało opowiadać o wydarzeniach o ogromnym znaczeniu historycznym i jedynie perspektywa ponownych odwiedzin pozwalała nam mijać je bez większego żalu. Kiedy było trzeba, zwalnialiśmy, włączając drugą latarkę. Gdybyśmy mieli więcej Filmów, z całą pewnością przystawalibyśmy co chwilę, by zrobić zdjęcia pewnych płaskorzeźb; czasochłonne, ręczne kopiowanie nie wchodziło rzecz jasna w grę.

Ponownie dochodzę do miejsca w którym pokusa zająknięcia się, bądź niedopowiedzenia pewnych faktów jest wyjątkowo silna. Rzeczą konieczną jest jednak ujawnienie wszystkich dalszych wypadków, abym mógł wytłumaczyć dlaczego tak bardzo zależy mi na wstrzymaniu prac badawczych na Antarktydzie. Byliśmy już blisko wejścia do tunelu – przeszliśmy właśnie przez wiszący most i zeszliśmy do zasypanego gruzami korytarza, którego ściany pokryte były wyjątkowo hojnie i bogato wyszukanymi i ewidentnie rytualnymi, dekadentckimi płaskorzeźbami ze stosunkowo późnego okresu, gdy około wpół do dziewiątej doskonały wąż młodego Danfortha wychwycił coś nader niezwykłego.

Gdybyśmy mieli tu psa przypuszczam, że ostrzegłby nas już wcześniej. Początkowo nie byliśmy w stanie stwierdzić co było nic tak z niedawno jeszcze kryształowo czystym powietrzem, ale już po kilku sekundach nasze wspomnienia zareagowały aż nadto wyraziście.

Spróbuję opowiedzieć o tym bez mimowolnego wzdrygnięcia się. Poczuliśmy smród – mglisty, niewyraźny, delikatny fetor podobny do tego, jaki nieomal przyprawił nas o mdłości, gdy otworzyliśmy makabryczny, obłąkańczy grób koszmarniej istoty, na której nieszczęsny Lakę dokonał prymitywnej sekcji. Rzecz jasna skojarzenie to nie nasunęło nam się aż tak gwałtownie – nie było również do tego stopnia nieodparte, by nie przyszły nam na myśl zgoła odmienne wyjaśnienia. Rozmawialiśmy o nich, pełnym niepokoju i niepewności szeptem, najważniejsze było jednak to, że nie zaprzestaliśmy dalszych poszukiwań – skoro bowiem dotarliśmy aż tak daleko, jedynie jakieś ogromne nieszczęście mogłoby zmusić nas do powrotu. Tak czy inaczej nasze podejrzenia były zbyt fantastyczne, ba, wręcz szalone, abyśmy mogli w nie uwierzyć. Tego typu rzeczy nie zdarzają się w normalnym świecie.

Prawdopodobnie to impuls czystego, irracjonalnego instynktu nakazał nam przygasić latarkę, gdyż nagle ni stąd, ni zowąd odechciało się nam oglądać dekadentkie i złowrogie płaskorzeźby łypiące na nas złowieszczo z posępnych kamiennych ścian, i z tego samego powodu zamiast iść jak dotąd śmiało i dostojnie poczęliśmy przesuwać się naprzód cicho i na paluszkach, pokonując nad wyraz ostrożnie znajdujące się na naszej drodze, coraz wyższe sterty gruzu i rozmaitych odpadków. Wzrok Danfbrtha, podobnie jak wąż okazał się lepszy od mojego, kiedy bowiem minęliśmy sporą ilość zasypanych wejść do komnat i korytarzy na poziomie gruntu, ponownie to on zwrócił uwagę na osobliwy wygląd podłoża i zaścielających je gruzów. Korytarz jego zdaniem nie wyglądał tak jak powinien po niezliczonych tysiącach lat, odkąd budowle te zostały opuszczone; kiedy zaś nieśmiało włączyliśmy latarki, ujrzeliśmy ciągnący się przez środek przejścia pas wolnej, niedawno oczyszczonej przestrzeni. nieregularność gruzów i odpadków nie pozwoliła na zachowanie wyraźniejszych śladów, ale to co dostrzegliśmy tu i ówdzie pozwoliło nam domyślać się, że ciągnięto tędy jakieś ciężkie przedmioty. W pewnej chwili odnieśliśmy wrażenie, że ślady

są równoległe, jakby pochodziły od płóz. To sprawiło, że ponownie się zatrzymaliśmy. Podczas tego właśnie postoju poczuliśmy – tym razem obaj – dochodzący z korytarza przed nami, osobliwy fetor.

Może to zabrzmieć paradoksalnie ale wydał się on nam jednocześnie bardziej i mniej przerażający – a właściwie nie tyle przerażający, co niepokojący, zważywszy na miejsce i okoliczności; zakładając oczywiście, że nie byt to Gedney – ponieważ była to wyraźna i znana woń paliwa – pospolitej benzyny. Nasze samopoczucie po tym odkryciu pozostawiam do rozstrzygnięcia psychologom. Zrozumieliśmy wówczas, że w głąb tego mrocznego, martwego od wieków miejsca musiała zakraść się jakaś potworna istota, niewiarygodna pozostałość po koszmarach jakie wydarzyły się w obozie i nie mieliśmy już żadnych wątpliwości, że sytuacja w której się obecnie znaleźliśmy nie należy bynajmniej do pospolitych. W miejscu tym teraz, bądź od niedawna, działo się coś niezwykłego, wręcz niewiarygodnego. Mimo to, daliśmy się ponieść ciekawości – niepokojowi, autohipnozie – lub być może niesprecyzowanym myślom o odpowiedzialności za Gedney'a, które ostatecznie pchnęły nas naprzód. Danforth znów szeptem wspomniął mi o śladzie, który, jak mu się zdawało, zauważył w alejce skręcającej do znajdujących się powyżej ruin – i o delikatnym melodyjnym świergocie – szczególnie o potencjalnie olbrzymim znaczeniu w świetle raportu z sekcji dokonanej przez Lake'a, pomimo iż dźwięk ów w dużej mierze przypominał odgłosy echa u wylotu jaskiń, na omiatanych gwałtownym wiatrem górskich szczytach – a który miał podobno usłyszeć, dobiegający z czeluści nieznanymi otchłani, w dole. Ja, z mojej strony, również szeptem napomknąłem o stanie w jakim pozostawiono obóz – o tym co „ginęło”, i w jaki sposób obłąd jednego człowieka, który pozostał przy życiu mógł przynieść niewiarygodne, niewyobrażalne wręcz rezultaty – dziką, szaleńczą wyprawę poprzez monstrualne, upiorne góry i zejście w głąb nieznanymi, pierwotnymi, kamiennymi budowli...

Nie potrafiliśmy przekonać siebie nawzajem, ba, żaden z nas nie byt w

stanie przekonać samego siebie. Gdy staliśmy tak w bezruchu, wygasiliśmy światło, zauważyliśmy że przesączający się tu nikły blask dnia nieznacznie rozprasza panujące wokoło ciemności.

Odruchowo zaczęliśmy przesuwać się naprzód, sporadycznie oświetlając sobie drogę światłem latarek. Ślady w stertach gruzu wywarły na nas piorunujące wrażenie, z którego nic potrafiliśmy się otrząsnąć; zapach benzyny coraz bardziej przybierał na sile. Wokół nas narastały coraz wyższe sterty gruzu i niebawem dotarliśmy do kresu wędrówki. Droga była zasypana, nie mogliśmy przedostać się dalej. A więc nasze pesymistyczne przypuszczenia dotyczące zaobserwowanej z samolotu szczeliny okazały się uzasadnione. Badany przez nas tunel był ślepy, a my nie mogliśmy dotrzeć do piwnicy, gdzie znajdowała się szczelina wiodąca ku otchłani. Mijając pokryte groteskowymi reliefami ściany zawalonego korytarza, w świetle latarek ujrzeliśmy kilka, w różnym stopniu zatarasowanych wejść; z jednego z nich – całkiem zabijając ową inną, delikatną woń – dobiegał szczególnie silny zapach benzyny.

Kiedy zajrzeliśmy uważniej w głąb otworu, dostrzegliśmy natychmiast że z tego właśnie przejścia gruz został, stosunkowo niedawno, skrzętnie usunięty. Jakikolwiek koszmar mógł się tam czaić, droga ku owym okropieństwom stała dla nas otworem, nie sądzę, by ktokolwiek dziwił się, że przed podjęciem decyzji czy podążać dalej, odczekaliśmy jakiś czas. Kiedy jednak odważyliśmy się w końcu przekroczyć czarne, łukowato sklepione wejście, pierwszym naszym odczuciem było rozczarowanie. W wypełnionej gruzami, ozdobionej wymyślnymi freskami krypcie, idealnym sześcianem o bokach długości około 20 stóp nie pozostał żaden współczesny przedmiot, który swym rozmiarem przykułby naszą uwagę; zaczęliśmy więc odruchowo szukać jakiegoś dalszego przejścia. Ma próżno. Dopiero w chwilę potem, bystry wzrok Danforth'a wypatrzył miejsce, gdzie zalegający podłogę gruz był poruszony.

Oświetliliśmy je niezwłocznie promieniami obu naszych latarek i

ujrzeliśmy prosty i zwyczajny widok, niemniej jednak waham się o nim opowiadać, że względu na wnioski jakie nasuwał, na wyrównanej z grubsza stercie gruzu poniewierało się kilkanaście niewielkich, rozrzuconych w nieładzie przedmiotów, a w jednym z kątów musiała zostać rozlana spora ilość benzyny; stało się to względnie niedawno, skoro nawet na tym tak wysoko położonym superpłaskowyzu wydzielala tak silną i drażniącą woń. Innymi słowy nie mogło być to nic innego jak obozowisko, obozowisko istot, które podobnie jak my zawrócone zostały przez nieoczekiwaną blokadę drogi wiodącej do czeluści. Powiem krótko – wszystkie przedmioty pochodziły z obozu Lake'a; były tam blaszane puszki, otwarte w równie osobliwy sposób, jak te które znaleźliśmy w spustoszonej obozie, spora ilość wypalonych zapalek, trzy ilustrowane książki pokryte, w większym lub mniejszym stopniu, dziwnymi plamami i smugami, pusta butelka po atramencie z barwnym pudełkiem zawierającym instrukcję, złamane pióro wieczne, strzępy futer i brezentu, zużyte baterie z opakowaniem, folder, który był załączony do grzejników namiotowych oraz rozrzucone, pocięte kartki. Już samo to było okropne, ale kiedy wygładziliśmy pomięte kartki papieru i ujrzeliśmy co na nich widniało, wrażenie było wstrząsające. Znaleźliśmy się w samym sercu najgorszego, niewyobrażalnego koszmaru. W obozie Lake'a natknęliśmy się na pokryte tajemniczymi kleksami kartki papieru, i powinno nas to w pewnym sensie przygotować do tego znaleziska, niemniej jednak nie spodziewaliśmy się, że podobne rzeczy przyjdzie nam oglądać tu, w praludzkich kryptach koszmarnego miasta z zapomnianej przeszłości. Szok jakiego doznaliśmy byt przerażający.

Tego po prostu było już za wiele. Grupki kropek czy punkcików imitujące te, które widniały na zielonkawych steatytach, oraz identyczne znaki na upiornym, pięcioramiennym nagrobnym kopcu mogły być dziełem obłąkanego Gedney'a. nic jest wykluczone, że również on sporządził te pospieszne, zdawkowe szkice jedne bardziej, inne znów mniej dokładne – z zarysami sąsiednich części miasta i wytyczoną trasą z przedstawionego

kółkiem miejsca leżącego poza naszym szlakiem – miejsca, które dzięki płaskorzeźbom zidentyfikowaliśmy jako ogromną, wzniesioną w kształcie walca wieżę, oraz rozległą okrągłą czeluść, zaobserwowane przez nas z samolotu – do naszej pięcioramiennej budowli, z wejściem do tunelu. Mógł on –powtarzam – sporządzić te szkice – zostały one bowiem, z całą pewnością opracowane, podobnie jak nasza mapa, gdzieś wewnątrz lodowcowego labiryntu, na podstawie płaskorzeźb z późniejszego okresu; ale innych niż te, które my mieliśmy okazję oglądać, i z pomocy których korzystaliśmy, niemniej jednak wiedziałem, że Gedney nie miał za grosz artystycznego talentu i nie był w stanie sporządzić takich szkiców. Technika jakiej użyto była pewna, niezawodna i osobliwa – niewątpliwie wyższa mimo pośpiechu i wyraźnych niedokładności wykonania od techniki dekadencckich płaskorzeźb; łatwa do rozpoznania i charakterystyczna dla Starych Istot z okresu najwspanialszego rozkwitu tego wymarłego miasta. Są tacy, którzy stwierdzą, że Danforth i ja musieliśmy postradać rozum, że po tym wszystkim nie wzięliśmy nóg za pas aby ratować życie; tym, którzy przeczytali moją relację aż do tego miejsca, nie muszę przypominać, że nasze konkluzje wówczas były – pomimo ich szaleńczej niewiarygodności – w pełni sformułowane. Być może postradaliśmy zmysły, ale czyż nie powiedziałem, że te straszliwe wierzchołki były Górami Szaleństwa?

Myślę jednak, że podobnego ducha, aczkolwiek nie w tak skrajnej formie – spotykamy u ludzi, którzy podkradają się do zabójczych drapieżników w afrykańskiej dżungli, by je sfotografować lub badać ich zwyczaje. Choć byliśmy na wpół sparaliżowani grozą, trawił nas żar zdumienia, oszołomienia i ciekawości, który na koniec zatriumfował. Nie mieliśmy naturalnie zamiaru stanąć twarzą w twarz z tym czy z tymi –o których wiedzieliśmy że tam są; czuliśmy jednak, że do tej pory musieli prawie na pewno odejść. Może odnaleźli inne, sąsiednie wejście do otchłani i tamtędy zeszli w głąb czarnej jak noc czeluści pełnej okruchów zapomnianej przeszłości, ku ostatecznej otchłani, której nigdy nie widzieli. A jeśli i to wejście było zablokowane,

mogli udać się na północ w poszukiwaniu innego, nie zapominajmy, iż byli oni po części niezależni od światła. Wracając myślami do tej chwili z trudem przypominam sobie uczucia jakie nas ogarnęły. Tyle tylko że to, co nieoczekiwanie zmieniło nasze plany i spowodowało, iż obraliśmy inny cel naszej wędrówki wzmogło w nas jednocześnie nadzieje. Z całą pewnością nie mieliśmy zamiaru spotykać się z tym, co budziło w nas nieodpartą grozę – ale nie zaprzeczę iż podkradaliśmy się dalej z podświadomym pragnieniem zobaczenia pewnych rzeczy z jakiegoś dogodnego, ukrytego miejsca. W dalszym ciągu pałaliśmy chęcią ujrzenia samej otchłani; pojawił się jednak kolejny, pośredni cel – ogromny, kolisty plac widniejący na znalezionych przez nas pomiętych kartkach ze szkicami, natychmiast rozpoznaliśmy w nim monstrualną, cylindryczną wieżę, widniejącą na najwcześniejszych freskach, choć z góry wyglądała jedynie jak potworny, ogromnych rozmiarów, okrągły otwór. Jakaś tkwiąca w niej moc, bijąca nawet ze sporządzanych w pośpiechu rysunków sprawiła, że przyszły nam na myśl jej poziomy; zatopione głęboko pod powierzchnią pradawnego lodu, które wciąż jeszcze musiały stano wić osobliwość o nieznanym nam, lecz z pewnością wyjątkowym znaczeniu. Może zawierała w sobie jakieś cuda architektury, których dotąd nie mieliśmy okazji oglądać. Zgodnie z płaskorzeźbami, na których była przedstawiona, jej wiek musiał być rzeczywiście nieprawdopodobny – stanowiła jedną z pierwszych budowli wzniesionych w mieście. Jej rzeźby – jeżeli tylko się za chowały – musiały przedstawiać najwyższą wartość. Co więcej jednak, owa wieża mogła stanowić istniejące po dziś dzień doskonałe połączenie z zewnętrznym światem – drogę krótszą niż ta którą obecnie szliśmy, i którą za pewne zeszli przed nami tamci. W każdym bądź razie pozostało nam jedynie przestudiować uważnie te potworne szkice – jak się okazało idealnie pokrywały się z naszymi – i zawrócić wskazanym kursem do kolistego placu; trasę tę nasi anonimowi poprzednicy musieli po koniec już dwukrotnie. Kolejna brama wiodąca do otchłani powinna znajdować się za wieżą. Nie muszę opowiadać o naszej podróży – w trakcie której znaczyliśmy drogę

zostawiając na ziemi strzępki podartego papieru – nie różniła się ona bowiem od poprzedniej, kiedy to zabrnęliśmy w ślepy zaułek, tyle tylko że wiodła nieco bliżej poziomu gruntu a niekiedy nawet łączyła się z podziemnymi korytarzami budowli. Od czasu do czasu dostrzegaliśmy na gruzie czy odpadkach zalegających ziemię, osobliwe, niepokojące ślady, a kiedy znaleźliśmy się już poza zasięgiem woni benzyny ponownie poczuliśmy – spazmatycznie – ów jeszcze bardziej uporczywy i odrażający fetor. Od chwili, gdy minęliśmy rozgałęzienie dróg co pewien czas, jakby ukradkiem wodziliśmy promieniem latarki po ścianach; za każdym razem napotykał się doskonale zachowane niemal wszechobecne płaskorzeźby, które jak wszystko na to wskazywało zdawały się być podstawą twórczości Starych Istot. Po pewnym czasie, kiedy pokonywaliśmy długi, łukowato sklepiony korytarz, którego podłoga pokryta coraz grubszą warstwą lodu musiała znajdować się nieco poniżej poziomu gruntu, dostrzegliśmy przed nami silne światło płynące z zewnątrz i mogliśmy wyłączyć latarkę. Wydawało się, że dochodzimy do kolistego placu i nie możemy już być zbyt daleko od powierzchni. Korytarz kończył się zaskakująco niskim tukiem jak na te megalityczne ruiny, ale jeszcze zanim go minęliśmy, zdołaliśmy już sporo zobaczyć.

Rozciągała się za nim ogromna, kolistą przestrzeń mierząca pełne 200 stóp średnicy – usłana gruzem i zawierająca wiele zatarasowanych bądź zasypanych łukowatych przejść identycznych jak to, które właśnie mieliśmy przekroczyć. Jej ściany były wspaniale rzeźbione w kształt zwiniętej spiralnie wstęgi o nieprawdopodobnych proporcjach odzwierciedlającej, mimo bezlitosnych zwietrzelin spowodowanych Faktem, iż budowla ta znajdowała się bądź co bądź na otwartej przestrzeni, przepych artystyczny przekraczający swym rozmachem wszystko co mieliśmy okazję zobaczyć do tej pory. Usłana gruzem podłoga była prawie w całości pokryta grubą warstwą lodu i odnieśliśmy wrażenie, że prawdziwe dno znajduje się na znacznie większej głębokości. Ale najbardziej uderzającym obiektem na tym placu była



gigantyczna, kamienna rampa – pochyłość, która mijając ostrym skretem na zewnątrz łukowate przejście wiła się spiralnie w górę po zdumiewającej, cylindrycznej ścianie, niczym wewnętrzny odpowiednik serpentyn, które pięły się ongiś po zewnętrznej stronic monstrualnych wież czy zigguratów starożytnego Babilonu. Jedynie szybkość lotu – wprawiająca w oszołomienie – i perspektywa z jakiej obserwowaliśmy wieżę przed wylądowaniem sprawiły, że nie dostrzegliśmy tych szczegółów z powietrza. To z kolei spowodowało, że zaczęliśmy szukać innej drogi do poziomu znajdującego się pod lodowcem.

Pabodie byłby zapewne w sianie stwierdzić jakiej techniki użyto, by utrzymać tę konstrukcję w całości, ale Danfbrth i ja mogliśmy się jedynie zachwycać i wyrażać swój podziw.

Zauważyliśmy wprawdzie tu i tam kamienne konsole i filary, ale wszystkie one wydawały się nie dość mocne, niemal nieadekwatne w stosunku do powierzonych im funkcji. Całość była doskonale zachowana, aż po obecny wierzchołek wieży – szczegół godny najwyższej uwagi ze względu na to, iż szczyt budowli znajdował się na otwartej przestrzeni – jej mury zaś spisały się doskonale, jeżeli chodzi o uchronienie większości płaskorzeźb, pokrywających wnętrze budowli. Kiedy wkroczyliśmy w niepokojący półmrok spowijający dno tego olbrzymiego cylindra – niewątpliwie najstarszej budowli jaką ujrzały nasze oczy – z oszołomieniem stwierdziliśmy, że ściany wieży poprzecinane serpentynami kamiennej pochyłości wystrzeliwiają w górę na wysokość dobrych 60 stóp. Oznaczało to że zewnętrzne zlodowacenie mierzy – zgodnie z dokonanymi przez nas pomiarami z powietrza – jakieś 40 stóp; krawędź ziejącej czeluści, którą widzieliśmy z wkładu samolotu, znajdowała się bowiem na dwudziestostopowej wysokości kopcu usypanym z potrzaskanych szczątków kamiennej budowli i skryta była w trzech czwartych za linią zakrzywionych półkolistych ścian, dużo wyższych i masywniejszych ruin. Wedle płaskorzeźb pierwotny wieża stała na środku rozległego, kolistego placu i mierzyła

zapewne od 500 do 600 stóp wysokości. Przy jej wierzchołku znajdowały się rzędy poziomych dysków a górną krawędź okalały smukłe, spiczaste iglice. Większość zawała się raczej na zewnątrz niż do środka – co niewątpliwie było szczęśliwym zbiegiem okoliczności, gdyż w przeciwnym razie kamienna rampa mogłaby zostać obrócona w perzynę a wewnątrz wieży zablokowane. Pochyłość została jedynie mocno naruszona, podczas gdy łukowato sklepione przejście u dołu wieży zostało niedawno odgruzowane, natychmiast domyśliliśmy się, iż właśnie tą drogą zeszli na dół tamci oraz stwierdziliśmy, że będzie to zarazem najlogiczniejsza droga naszego powrotu, aczkolwiek strzępy rozrzuconego przez nas papieru pozostały w całym innych, mroczniejszych korytarzach. Wejście do wieży oraz terasowa budowla, w której rozpoczęliśmy wędrówkę, znajdowały się w tej samej odległości od pogórza na którym czekał samolot, a eksploracja znajdujących się pod lodem budowli, jaką planowaliśmy przeprowadzić jeszcze podczas obecnego rekonesansu i tak generalnie ograniczała się do tego terenu. To zadziwiające, ale nadal myśleliśmy o ewentualnych późniejszych wyprawach; na przekór temu co zobaczyliśmy na własne oczy, i czego się tylko domyślaliśmy. Kiedy jednak, nader ostrożnie, ruszyliśmy w dalszą drogę przestępując ponad zalegającymi podłożu stertami gruzu ujrzeliśmy widok, który na pewien czas usunął na drugi plan wszystkie inne sprawy. W rogu pod wystającą kamienną pochyłością, innymi słowy w miejscu, którego dotąd nie byliśmy w stanie dostrzec, stały, ustawione szeregiem, trzy pary sań. Sanie – te sanie, które zniknęły z obozu Lake'a, były mocno nadwyrężone podróżą – wszystko wskazywało na to, iż bezceremonialnie, wręcz na siłę wleczono je przez rozległe połacie terenu pokryte gruzem i kamiennymi występami, a przenoszono jedynie w miejscach całkowicie nieprzejezdnych.

Ładunek umieszczono na nich wyjątkowo pieczołowicie i sprytnie – cały sprzęt jaki wpakowano na sanie został skrzętnie przymocowany rzemieniami – bez trudu dostrzegliśmy przedmioty, które doskonale pamiętaliśmy – piec

benzynowy, puszki z paliwem, pudełka z instrumentami, konserwy, jakieś przedmioty – zapewne książki owinięte czasowo w brezent, i inne opakowane już nieco luźniej, których nie zdołaliśmy zidentyfikować. Wszystko to pochodziło z obozu Lake'a. Po tym, co ujrzeliśmy wcześniej, w tamtym pomieszczeniu, byliśmy w pewnym stopniu przygotowani do tego odkrycia. Prawdziwy szok przeżyliśmy, gdy podeszliśmy by rozwiązać jedną z płacht brezentu, bowiem kształt znajdującego się pod nim ładunku dziwnie nas zaniepokoił. Wygląda na to, że tamci, podobnie jak Lake, interesowali się zbieraniem interesujących okazów – dwa z nich mieliśmy właśnie przed sobą.

Leżały na saniach, zamrożone na kość, doskonale zachowane, z szyciami oklejonymi plastrem –najwyraźniej znajdowały się na nich jakieś rany – i owinięte starannie płótnem, w celu zabezpieczenia przed dalszymi uszkodzeniami. Były to zwłoki młodego Gedney'a i truchło zaginionego psa.

Zapewne wielu ludzi uzna nas za nieczułych i szalonych, że w tej tragicznej sytuacji, po tak posępnym, makabrycznym odkryciu mogliśmy myśleć o wiodącym na północ tunelu i o otchłani. Nie powiem, że myśli takie zrodziły się w nas natychmiast, niemniej muszę dodać, iż to szczególnie przypadek, oraz okoliczności w jakich się znaleźliśmy dały nam pole do całkiem nowych domysłów. Kiedy ponownie przykryliśmy brezentem zwłoki Gedney'a i staliśmy nad nim, pogrążeni w tępy, niemym oszołomieniu, doszły nas niespodziewanie jakieś dźwięki – pierwsze dźwięki, jakie usłyszeliśmy od chwili opuszczenia odkrytego terenu, gdzie z nieziemskich wyżyn dobiegało ciche zawodzenie górskiego wiatru. Mimo, iż był to zwykły i doskonale nam znany odgłos, w tym opuszczonym świecie śmierci brzmiał jeszcze bardziej nieoczekiwanie i przyprawiał o zgrozę bardziej niż jakiegokolwiek inne, fantastyczne i groteskowe tony – obracał bowiem w perzynę wszelkie nasze wyobrażenia o kosmicznej harmonii. Pobrmiewała w nim osobliwa nuta melodyjnego, o szerokiej gamie, świergotu, o jakim w swym raporcie z sekcji wspominał Lake, i który sprawił, że spodziewaliśmy się napotkać tamtych. Dźwięk ten nasza przepracowana, nadszarpnięta gwałtownością doznawanych wrażeń wyobraźnia, zdawała się wychwytywać od chwili przybycia do koszmarnego obozu śmierci, w każdym głośniejszym zawodzeniu wiatru.

Zawierał on w sobie jakąś diaboliczną zgodność z otaczającym nas, martwym od stuleci terytorium. Głos z innych epok należał do cmentarzysk innych epok. A jednak zburzył on tkwiące w nas głęboko przekonania – nasza milcząca zgodność na temat wnętrza Antarktydy.

To co usłyszeliśmy, nie było antyczna nutą pogrzebanego bluźnierstwa i

najczarniejszego plugastwa starszej ziemi, wręcz przeciwnie – był to dźwięk tak ironicznie i drwiąco zwyczajny, doskonale nam znany z czasów rejsu wzdłuż brzegów Ziemi Wiktorii i naszego pobytu w obozie w cieśninie McMurdo, że gdy usłyszeliśmy go tu, w tym mrocznym, zapomnianym od wieków miejscu, ogarnęło nas dojmujące przerażenie. Krótko mówiąc – było to pospolite, ochryple skrzeczenie pingwina. Zduszony dźwięk dochodził z lodowcowego zapadliska, prawie naprzeciwko korytarza, którym nadeszliśmy – z okolic tunelu wiodącego ku ogromnej otchłani. Obecność żywego ptaka morskiego w takim miejscu – w świecie, którego powierzchnia była od wieków niezmieniona i pozbawiona życia mogła prowadzić tylko do jednego wniosku – tak więc pierwszą naszą reakcją była chęć weryfikacji źródła dźwięku.

Odgłos powtarzał się, a niekiedy wydawało się, iż dobywa się on z kilku gardeł. Szukając owego źródła przeszliśmy przez łukowato sklepione wejście, z którego uprzątnięta została większość gruzu. Gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem płynącego z zewnątrz światła, ponownie zaczęliśmy znaczyć drogę strzępami papieru, korzystając z nowych jego zapasów, które, z niebywałym wstrętem i obrzydzeniem, wyciągnęliśmy z jednego z brezentowych zawiniątek na saniach. W miarę jak zlodowaciała podłoga ustępowała miejsca warstwie tryptonu, spostrzegliśmy wyraźnie pewne osobliwe, długie, ciągnące się ślady. W pewnej chwili Danfbrth dostrzegł wyraźny odcisk, którego opis byłby rzeczą absolutnie zbędną.

Kierunek wskazywany przez skrzeczenie pingwina pokrywał się dokładnie ze wskazaniem mapy i kompasu i prowadził nas bezpośrednio ku północnemu wejściu do tunelu.

Z zadowoleniem przyjęliśmy fakt, iż zarówno pozbawione mostu przejście na powierzchni gruntu, jak również korytarze piwnic nie były zasypane. Początek tunelu, zgodnie z mapą powinien znajdować się w podziemiach wielkiej budowli w kształcie piramidy, którą przypominaliśmy sobie dość mgliście z obserwacji dokonanych z pokładu samolotu, jako obiekt

nadzwyczaj dobrze zachowany. Światło latarki wyłuskiwało z ciemności ciągnące się wzdłuż korytarza rzędy płaskorzeźb, nie zatrzymaliśmy się jednak, by poświęcić którejś z nich choć chwilę uwagi. Kiedy niespodziewanie zamajaczył przed nami gruby, biały kształt włączyliśmy drugą latarkę. Zdziwiające, jak te nowe poszukiwania odwróciły naszą uwagę od wcześniejszych lęków przed tym, co mogło czaić się w pobliżu.

Tamci, zostawiwszy swoje zapasy na ogromnym, kolistym placu planowali zapewne powrót po przeprowadzeniu rekonesansu do wejścia, lub być może nawet w głąb tajemniczej otchłani; porzuciliśmy jednak wszelką ostrożność, tak jakby w ogóle nie istnieli. Ów biały, o kaczkowatym chodzie stwór mierzył wprawdzie pełne sześć stóp wzrostu, ale natychmiast zorientowaliśmy się, że nie jest jednym z tamtych. Tamci byli więksi, ciemni a zgodnie z wizerunkami na freskach poruszali się na łądzie zdumiewająco szybko – co mogłoby kogoś zdziwić z uwagi na osobliwość ich przystosowanych do środowiska morskiego macek, nie będę upierał się, że ów biały stwór nie napędził nam stracha, gdyż mijałoby się to z celem.

Przez chwilę ogarnęło nas dojmujące, pierwotne – żeby nie powiedzieć – prymitywne przerażenie, większe nawet od najgorszego, acz w pełni uzasadnionego lęku przed tamtymi.

Kiedy jednak biały kształt znikł w głębi bocznego, łukowato sklepionego wejścia po naszej lewej stronie, dołączając do dwóch innych, które wzywały go głośnym, ochryłym skrzeczeniem, poczuliśmy głębokie rozczarowanie. Był to bowiem tylko pingwin – jakkolwiek olbrzymiego, nieznanego gatunku – większy, niż najpotężniejszy ze znanych pingwinów królewskich i odrażający z uwagi na potworne połączenie albinizmu i zupełnego braku oczu, Kiedy podążyliśmy śladem stwora wchodząc w głąb łukowego przejścia i skierowaliśmy światło obu latarek na obojętną i lekceważącą nas grupkę trzech niezwykłych istot ujrzeliśmy, że wszystkie one są pozbawionymi oczu albinosami z tego samego, gigantycznego gatunku. Rozmiarem przypominały pewne archaiczne pingwiny przedstawiane na

płaskorzeźbach Starych Istot; doszliśmy do wniosku, że muszą pochodzić z tego samego pnia, który przetrwał dzięki wycofaniu się w cieplejsze, podziemne regiony, a nieustanny mrok pozbawił ich ciała pigmentu i spowodował regresję oczu do stanu wąskich, zgoła bezużytecznych szparek, nie wąpiliśmy ani przez chwilę, że ich obecną siedzibą jest olbrzymia otchłań, której poszukiwaliśmy, a naoczny dowód, że w rozpadlinie zachowało się ciepło i panowały warunki możliwe do utrzymania życia przepęłił nas bezgranicznym zdumieniem i zgoła mieszanymi uczuciami. Zastanawialiśmy się również co sprawiło, że ptaki odważyły się opuścić swoje terytoria. Spokój i cisza panująca w wielkim wymarłym świecie oraz jego stan świadczyły dobitnie, że nie było ono nigdy normalnym, sezonowym siedliskiem pingwinów; osobliwą mogła się wydawać niezwykła, wręcz ostentacyjna obojętność pingwinów na naszą obecność – wszak przechodząca przed nami grupa tamtych wyraźnie je wystraszyła. Czy to możliwe, by tamci podejmowali przeciw pingwinom jakieś wrogie działania, lub próbowali na nie polować, aby powiększyć w ten sposób swoje zapasy mięsa? Wąpiliśmy też, by ostry fetor, którego psy tak nie znosiły, mógł budzić podobną antypatię u pingwinów – przecież ich przodkowie, jak wszystko na to wskazywało, byli ze Starymi Istotami w doskonałej komitywie – i przyjacielskie stosunki musiały przetrwać w otchłani tak długo, jak długo przetrwała ostatnia flara Istota. Żałując, z typowym dla nas naukowym zapalem, że nie mogliśmy sfotografować tych niezwykłych stworzeń, pozostawiliśmy je skrzeczące ochryple w załomie korytarza – i ruszyliśmy w kierunku otchłani, która – o czym byliśmy przekonani – stała przed nami otworem, i do której drogę wskazywały nam od czasu do czasu tropy pingwinów. W jakiś czas potem, opadający stromo, pozbawiony drzwi i co nader osobliwe również płaskorzeźb korytarz, powiedział nam, że zbliżamy się do wejścia do tunelu. Minęliśmy jeszcze dwa pingwiny i zaraz potem usłyszeliśmy przed sobą poskrzekiwania innych. Magle dotarliśmy do końca korytarza.

U jego wylotu rozciągała się ogromnych rozmiarów otwarta przestrzeń, której widok zaparł nam dech w piersiach. Była to idealna, odwrócona półkula sięgająca najwyraźniej głęboko pod ziemię, mierząca pełne 100 stóp średnicy i 50 wysokości, z niskimi, łukowato sklepienymi szczelinami ziejącymi wzdłuż całego jej obwodu, za wyjątkiem jednego miejsca, gdzie majaczył mroczny, przypominający wejście do groty, również łukowato zaokrąglony otwór łamiący symetrię podziemia – o wysokości blisko 15 stóp. Było to wejście do ogromnej otchłani. W tej rozległej półkuli, której wklęsnięty dach był imponująco, acz w dekadentcki sposób pokryty płaskorzeźbami przedstawiającymi pierwotny nieboskłon, kołysało się na boki i dreptało kaczkowatym chodem kilka pingwinów albinosów; obcych dla tego miejsca, acz zgoła obojętnych i ślepych. Czarny tunel ział w nieskończoność stromym, opadającym stokiem a wejście do niego zdołały groteskowo wykute framuga i nadproże. Odnieśliśmy wrażenie, że z tego tajemniczego otworu bije strumień cieplejszego powietrza, a nawet odrobina pary; i zastanawialiśmy się, jakie żywe stworzenia, poza pingwinami mogą ukrywać się w bezdennej otchłani w dole, oraz w sąsiednich poszytych dziurami niczym plaster miodu, gigantycznych górach. Zastanawialiśmy się również, czy ślad dymu bijącego ze szczytu, omyłkowo wzięty przez, nieszczęsnego Lake'a za przejaw aktywności wulkanicznej – jak również dziwna, zaobserwowana przez nas mgła, płożąca się wokół zwieńczonego kamiennymi wałami górskiego szczytu, nie pochodziły przypadkiem z krętych kanałów przenoszących jakieś bliżej nieokreślone opary z niezgłębionych czeluści wnętrza ziemi.

Wkraczając do tunelu spostrzegliśmy, że jego wymiary –przynajmniej na początku – wynoszą około 15 stóp w każdą stronę, a ściany, podłóże i łukowate sklepienie stanowią typową kamienną formację. Ściany były z rzadka ozdobione wolutami o konwencjonalnym wzorze z późniejszego, dekadentckiego okresu; a wszystko razem – konstrukcje i rzeźbienia – były doskonale zachowane. Podłoga była prawie czysta, za wyjątkiem niewielkiej



ilości tryptonu z widniejącymi w nim śladami wychodzących z tunelu pingwinów oraz skierowanym w głąb czeluści tropem pozostawionym przez tamtych. Im głębiej się posuwaliśmy, tym stawało się cieplej i niebawem byliśmy zmuszeni porozpinać guziki na naszej grubej, futrzanej odzieży.

Zastanawialiśmy się, czy gdzieś tam w czeluści zachodzą jakieś procesy wulkaniczne i czy wody tego pozbawionego słońca morza są gorące, niebawem kamienna formacja ustąpiła miejsca litej skale, ale tunel zachował swoje proporcje i regularność. Miejscami było tak stromo, że w podłożu wykute były wgłębienia, przywodzące na myśl stopnie. Zauważyliśmy kilkanaście niewielkich, bocznych galeryjek, nie figurujących na naszych wykresach; żadna z odnóg nie była jednak dość duża, aby pomieścić nam szyki i zakłócić orientację w drodze powrotnej – wszystkie natomiast oferowały możliwość ucieczki w przypadku napotkania jakichś niepożądanych, opuszczających czeluść istot. Odrażający fetor tych stworzeń był bardzo wyraźny. Bez wątplenia zapuszczanie się w tunel w wiadomych okolicznościach graniczyło z samobójczą głupotą, ale dla niektórych ludzi urok niezgłębionego jest silniejszy od wszelkich potencjalnych zagrożeń; ten właśnie urok, w pierwszym rzędzie, przywiódł nas na to nieziemskie, polarne pustkowie. Idąc minęliśmy kilka pingwinów i zastanawialiśmy się, jak długą drogę mamy jeszcze przed sobą. na podstawie informacji zawartych na płaskorzeźbach oszacowaliśmy, że od otchłani dzieli nas mila marszu, opadającym stromo korytarzem, ale wcześniejsze wędrówki i błędzenie po wymarłym świecie nauczyły nas, że skala na freskach nie była zbyt wiarygodna. Po przejściu około jednej czwartej mili odrażający fetor przybrał wyraźnie na sile, i z uwagą śledziliśmy mijane, boczne otwory, nie widzieliśmy tu mglistych oparów, jak przy wejściu, ale niewątpliwie wynikało to z braku kontrastowego, chłodniejszego powietrza. Temperatura raptownie się podniosła i wcale się nie zdziwiliśmy, gdy natrafiliśmy na bezładny stos przerażająco dla nas znajomych rzeczy.

Była to sterta futer i płacht namiotowych zabranych z obozu Lake'a;

przeszliśmy obok nich, nie tracąc ani chwili na przyjrzenie się dziwacznym kształtom w jakie zostały pocięte, nieco dalej stwierdziliśmy, że ilość i rozmiar bocznych odnóg tunelu powiększa się; wszystko wskazywało na to, iż dotarliśmy właśnie do podziurawionego jak sito – albo plaster miodu – rejonu pod wyższymi partiami pogórza. Odrażający fetor mieszał się teraz z inną, nie mniej paskudną wonią, której źródła nie potrafiliśmy zidentyfikować; sądziliśmy, iż jest to smród gnijących organizmów, lub jakichś nieznanych, podziemnych grzybów, I wówczas doszliśmy do rozszerzenia – choć płaskorzeźby niczego takiego nie sugerowały – w miejscu tym tunel się rozszerzał, zmieniając się w wysoką, z wyglądu naturalną, eliptyczną jaskinię o gładkim podłożu. Mierzyła ona około 75 stóp długości i 50 szerokości. Odchodziło od niej wiele ogromnych, bocznych korytarzy wiodących w tajemniczą ciemność. Chociaż jaskinia sprawiała wrażenie naturalnej, bliższe oględziny przy użyciu latarek potwierdziły, iż została utworzona przez sztuczne wyburzenie kilku ścian pomiędzy sąsiednimi komorami.

Ściany były nierówne i wysokie, z łukowato sklepionego sufitu zwieszały się stalaktyty, niemniej jednak podłoże zostało wygładzone i oczyszczone z gruzu, a nawet kurzu, który to fakt wydał się nam wręcz nienaturalny. Za wyjątkiem korytarza, którym tu dotarliśmy, podłoże we wszystkich tunelach bocznych wychodzących z tego pomieszczenia wyglądało dokładnie tak samo. na próżno jednak staraliśmy się wyjaśnić powody takiego stanu, nowy, dziwny smród mieszający się z poprzednim, odrażającym fetorem był tu wyjątkowo silny; do tego stopnia, że zupełnie zabijał ten drugi. Całe to miejsce z wypolerowaną, wręcz lśniąca posadzką wprowadziło nas w jeszcze większe zaskoczenie, zdumienie i przerażenie, niż wszystko co mieliśmy okazję ujrzeć do tej pory. Regularność tunelu znajdującego się na wprost nas, jak również większa ilość widocznych tam pingwinich odchodów, nie pozwoliły nam na zmylenie drogi i wybranie niewłaściwego, spośród wielu znajdujących się tu korytarzy.

Pomimo to, na wypadek jakiś nieprzewidzianych komplikacji zdecydowaliśmy się wznowić oznaczanie przemierzonej przez nas trasy strzępami podartego papieru; nie mogliśmy już bowiem liczyć na podążanie za śladami pozostawionymi w kurzu i gruzie. Posuwając się naprzód omiataliśmy promieniami latarek ściany tunelu – i nagle aż przystanęliśmy ze zdumienia na widok nadzwyczajnej zmiany, jaka w tej części pasażu zaszła, w płaskorzeźbach. Zdawaliśmy sobie oczywiście sprawę ze stopnia dekadencji rzeźb Starych Istot w czasach, gdy powstawał ten tunel, i zwróciliśmy uwagę, że arabeski na odcinkach korytarza, które zostawiliśmy za sobą, wykonane były z o wiele mniejszym pietyzmem i wykwintnością, niż poprzednie. Teraz jednak, w głębszych partiach tunelu, tuż za jaskinią, nastąpiła nagła zmiana, niemożliwa po prostu do wytłumaczenia – różnica zarówno w formie i w jakości, pociągająca za sobą gwałtowną i całkowitą degradację kunsztu twórczego, choć w zaobserwowanych przez nas dotychczas symptomach schyłku nic nie wskazywało na aż tak radykalną zmianę. Ta nowa, zdegenerowana sztuka była ordynarna, prostacka i całkowicie pozbawiona subtelności szczegółów. Płaskorzeźby wpuszczone były na przesadną głębokość we wstęgi, choć generalnie zachowały tę samą linię, co niezbyt gęsto rozsiane woluty we wcześniejszych partiach; reliefy nie zajmowały już jednak całej powierzchni ścian. Danforth wysunął tezę, że mogły to być rzeźby wtórne – rodzaj palimpsestów stworzonych po usunięciu poprzedniego wzoru, nie ulegało wątpliwości, iż pełniły one rolę czysto dekoracyjną i konwencjonalną; składały się z prymitywnych spiral i kanciastych figur, które nie dorównywały opartym na bazie piątki matematycznym układom zdobniczych fresków preferowanym przez Stare Istoty i wydawały się raczej ich mierną parodią, niż próbą podtrzymywania gasnącej tradycji. Nie mogliśmy pozbyć się myśli, że do kryjących się za techniką wrażeń estetycznych dodano jakiś drobny, acz uderzająco obcy element i zdaniem Danfortha to właśnie on był odpowiedzialny za ten nieudolny substytut. Freski były zarazem zbliżone i całkowicie niepodobne

do tego, co określaliśmy mianem stylu Starych Istot. Tamci również zwrócili uwagę na wstęgę płaskorzeźb; świadczyła o tym zużyta bateria od flesza leżąca na podłodze przy jednej z najbardziej charakterystycznych wolut. Ponieważ nie mogliśmy poświęcić więcej czasu na ich zbadanie, po pobieżnym tylko przyjrzeniu się freskom ruszyliśmy w dalszą drogę, niemniej jednak co pewien czas omiataliśmy ściany światłem latarek, by przekonać się czy w formie i wykonaniu płaskorzeźb nie nastąpiły dalsze, radykalne zmiany. Nie zauważyliśmy żadnych, poza tym, że freski pojawiały się teraz bardzo rzadko, że względu na sporą ilość wykutych w ścianach bocznych tuneli o wygładzonych posadzkach. Zobaczyliśmy i usłyszeliśmy tylko kilka pingwinów, aczkolwiek wydawało się nam, że z oddali, gdzieś głęboko w czeluściach ziemi dobiega słabe, lecz uchwytnie skrzeczenie całego ich chóru. Mowy i niemożliwy do zidentyfikowania odór był teraz przeraźliwie intensywny, a jakby tego było mało, powrócił słaby, choć wyczuwalny pierwszy z tajemniczych fetorów. Kłęby pary przed nami świadczyły o rosnącej różnicy temperatur, domyśliliśmy się, że nie znając widoku słońca klify mrocznego morza na dnie wielkiej otchłani muszą być już niedaleko. I właśnie wtedy, całkiem niespodziewanie ujrzelśmy jakieś obiekty leżące na wypolerowanej, gładkiej posadzce przed nami, obiekty, które z całą pewnością nie były pingwinami, i gdy upewniliśmy się że są kompletnie nieruchome, oświetliliśmy je promieniami obu naszych latarek.

I znów dochodzę do punktu, w którym jest mi bardzo ciężko mówić. Wprawdzie na tym etapie powinienem być już uodporniony, ale pewne doznania, implikacje i rzeczy które widziałem, poczyniły w mym wnętrzu zbyt wielkie spustoszenie, abym potrafił je jakoś zaleczyć; osiągnąłem tak wysoki stopień wrażliwości, że byle wspomnienie ponownie wzbudza we mnie dojmującą grozę tamtych chwil. Jak już mówiłem ujrzeliśmy jakieś obiekty leżące na wprost nas na wypolerowanej podłodze, i mogę tylko dodać, że niemal jednocześnie w nasze nozdrza uderzył niezwykle intensywny smród, wymieszany wyraźnie z odrażającym fetorem tamtych, którzy stąd odeszli. Światło drugiej latarki rozproszyło wszelkie wątpliwości, co do owych tajemniczych obiektów i odważyliśmy się do nich podejść tylko dlatego, że już z daleka widać było iż są równie martwe, jak sześć identycznych okazów wydobytych z monstrualnych, ozdobionych kopcami w kształcie gwiazdy grobów w obozowisku nieszczęsnego Lake'a. Były równie niekompletne jak większość tych, które odkopaliśmy, ale sporej wielkości kałuża ciemnozielonej cieczy rozlewająca się wokół nich świadczyła dobitnie, iż ich ciała zostały uszkodzone całkiem niedawno. Było ich cztery, podczas gdy, zgodnie z biuletynem Lake'a, powinno leżeć ich przed nami osiem.

Odnalezienie zwłok w takim stanie kompletnie nas zaskoczyło i zastanawialiśmy się jaka potworna walka musiała rozegrać się w tych ciemnościach. Czy pingwiny, broniąc się, bądź atakując, zadawały dziobami tak potężne ciosy? Czyżby tamci zakłócając spokój tego miejsca ściągnęli na siebie morderczy pościg? Widząc leżące przed nami stwory trudno było w to uwierzyć, gdyż dzioby pingwinów były za słabe by poczynić tak straszliwe

uszkodzenie w twardej skórze, którą nawet Lakę podczas sekcji ciął z najwyższym trudem. Ponadto olbrzymie, ślepe ptaki, które mieliśmy okazję widzieć sprawiały wrażenie nastawionych nad wyraz pokojowo. A może rozegrała się tutaj walka pomiędzy tamtymi, a odpowiedzialność za całe zajście ponosiły cztery brakujące okazy? Jeżeli tak, to gdzie teraz były? Czy znajdowały się gdzieś w pobliżu, stanowiąc dla nas bezpośrednie zagrożenie? Powoli i niechętnie, zbliżając się do martwych stworów czujnie i z niepokojem obserwowaliśmy mijane, boczne korytarze. Walka jaka miała tu miejsce musiała nielecho przerazić pingwiny skoro zmusiła je do nietypowego dla nich włączenia się po korytarzach. Musiało się to zatem wydarzyć w pobliżu kolonii, której odgłosy jeszcze niedawno dobiegały nas z niezmiernej otchłani, nic bowiem nie wskazywało, aby gnieździły się tu normalne jakieś ptaki. Walka musiała być krótka i zacięta, a jeśli chodziło o jej przebieg domyśliliśmy się, że słabsza grupa wracająca najprawdopodobniej do ukrytych sań została napadnięta i bezlitośnie wybita przez drugą, silniejszą, podążającą jej śladem. Można sobie tylko wyobrazić jak wyglądało owo demoniczne starcie między potwornymi, bezimiennymi istotami wypływającymi z czarnej otchłani, otoczonymi przez stado rozszalałych, skrzeczących, pierzchających w popłochu pingwinów. Powiedziałem, że zbliżyliśmy się do leżących na kamiennej posadzce stworów powoli i z wahaniem. Na Boga, gdybyśmy zamiast do nich podejść, zdecydowali się wówczas wziąć nogi za pas i uciec jak najszybciej z tego bluźnierczego tunelu o śliskiej, gładkiej podłodze i ze zdegenerowanymi, odrażającymi freskami naśladującymi szyderczo usunięte dzieła – uciec, nim zobaczyliśmy to co zobaczyliśmy, nim w naszą pamięć wryło się coś, po czym nigdy już nie odetchniemy swobodnie pełną piersią. Skierowaliśmy promienie obu latarek na spoczywające na ziemi obiekty i natychmiast zwróciliśmy uwagę na wspólny element ich niekompletności. Zmasakrowane, porozrywane, zgniecione i powykręcane, i przebite na wylot ciała co do jednego byty zdekapitowane. Każda z przypominających

kształtem rozgwiadę głów została odcięta. Kiedy podeszliśmy jeszcze bliżej, dostrzegliśmy że głowy nie tyle odcięto co raczej oderwano lub wyssano. Ohydna, ciemnozielona posoka tworzyła dużą, rozlewającą się kałużę, ale jej odór był częściowo tłumiony przez inną woń, znacznie ostrzejszą w tym miejscu niż gdziekolwiek indziej podczas naszej wędrówki.

Dopiero gdy znaleźliśmy się naprawdę blisko spoczywających na ziemi martwych stworzeń, zrozumieliśmy skąd brał się ten drugi, niewytłumaczalny fetor; i wtedy właśnie Danforth – przypominając sobie najwidoczniej pewne nader wyraziste płaskorzeźby dotyczące historii Starych Istot, powstałe w okresie permu, 1.5 miliona lat temu – wydał przeciągły, przeraźliwy okrzyk, który odbił się histerycznym echem pośród łukowato sklepionego, archaicznego tunelu o ścianach ozdobionych przepojonymi złem freskami. Ja też o mało nie krzyknąłem – podobnie bowiem jak on widziałem te pierwotne płaskorzeźby i z dreszczem grozy podziwiałem sposób w jaki bezimienny artysta przedstawił powaloną, okaleczoną, pokrytą warstwą ohydneho śluzu Starą Istotę – Starą Istotę, którą podczas wielkiej wojny ze zbuntowanymi niewolnikami, plugawe, przerażające Shoggothy zabiły w charakterystyczny i upiorny sposób – a mianowicie – wysysając głowę. Były to potworne i odrażające rzeźby, pomimo iż opowiadały o pradawnych minionych już rzeczach; Shoggothy bowiem, i ich dzieło nie powinny być oglądane przez ludzi, ani w jakikolwiek sposób przedstawiane.

Szalony autor "Necronomiconu" nerwowo zaklinał się, że żadna z tych istot nie zrodziła się naprawdę na tej planecie, lęgnąc się wyłącznie w snach ludzi używających pewnych odmian narkotyków. Pozbawiona formy protoplazma potrafiąca naśladować i przybierać wszelkie kształty, organy i postępowanie – kleiste zlepki pęczniejących komórek nieskończenie plastyczne i ciągliwe jak guma piętnastostopowe, steroidy – niewolnicy siły sugestii, budowniczości miast – coraz bardziej posępni, coraz bardziej inteligentni, coraz bardziej naśladowczy... istoty ziemnowodne... Wielki Boże! Jakiż obłęd nakłonił bluźniercze Stare istoty do stworzenia i

wykorzystywania takich niewolników? I teraz, kiedy ujrzeliśmy świeży, lśniący, opalizujący czarny śluz przylegający grubym kozuchem do tych bezgłowych ciał, roztaczający wokół obsceniczny, nowy nieznany odór, pochodzący ze źródła, które jedynie chora wyobraźnia byłaby w stanie zidentyfikować, śluz przylegający do tych ciał i skrzący się na gładkich partiach przekłętej, pokrytej powtórnie freskami ściany znajomy mi układami punkcików – poznaliśmy czym jest głębia prawdziwego, dojmującego, przenikającego do szpiku kości, kosmicznego przerażenia, nie był to strach przed czwórka tamtych – zbyt dobrze zdawaliśmy sobie sprawę, że nikomu nie mogli już zaszkodzić. Biedacy! W gruncie rzeczy wcale nie byli źli. Byli ludźmi innych czasów innego porządku rzeczy. Natura okrutnie sobie z nich zakpiła, co zresztą czeka każdego, komu ludzkie szaleństwo, nieczułość czy okrucieństwo każą w przyszłości kopać na tym odrażająco martwym lub może tylko uśpionym polarnym pustkowiu. Ich powrót do domu za kończył się tragicznie, nie byli również dzikusami czy barbarzyńcami – cóż bowiem uczynili: Co przeżyli? straszliwe przebudzenie w zimnie nieznanej epoki – atak futrzastych, ujadających jak oszalałe czworonogów, a oni, oszołomieni i zaskoczeni musieli się bronić; jednocześnie pojawiają się szalone, białe małpy w dziwnych ubraniach i z dziwnymi przedmiotami... nieszczęsny Lakę, nieszczęsny Gedney... i nieszczęsne Stare Istoty! naukowcy do końca – czyż zrobili coś, czego my nie uczynilibyśmy na ich miejscu? Boże, cóż za inteligencja i wytrwałość!

Staliśmy w obliczu niewiarygodnego; podobnie jak nasi jaskiniowi krewniacy i przodkowie stanęli ongiś, oko w oko z czymś niewiele mniej niewiarygodnym! Promienniki, rośliny, monstra, gwiazdny pomiot – czymkolwiek by nie byli, byli ludźmi! Przeszli przez łańcuch oblodzonych górskich szczytów, na zboczach których dawno temu stały ich świątynie, miejsca modlitwy. Odnaleźli swe wymarłe, przekłete miasto i podobnie jak my starali się, na podstawie płaskorzeźb poznać jego późniejsze dzieje. Usiłowali dotrzeć do swych żywych towarzyszy w legendarnych mrocznych



głębinach, których nigdy nie widzieli i co odkryli?

Obaj myśleliśmy dokładnie o tym samym, gdy wodziliśmy wzrokiem od bezgłowych, pokrytych śluzem kadłubów, po odrażające płaskorzeźby i diaboliczne grupy punkcików świeżego śluzu, patrzyliśmy i zrozumieliśmy co musiało zwyciężyć i przetrwać tam, na dole, w gigantycznym podwodnym mieście pogrążonej w mrokach nocy, strzeżonej przez pingwiny otchłani, skąd obecnie, jakby w odpowiedzi na histeryczny wrzask Danfortha zaczynały buchać złowieszcze, sinobiałe kłęby gęstej mgły. Szok wywołany widokiem tego potwornego śluzu i bezgłowych ciał zmroził nas i sialiśmy niczym dwa nieme nieruchome posągi – dopiero w trakcie późniejszych rozmów skonstatowaliśmy, że nasze myśli biegły wówczas tym samym torem. Wydawało się, że staliśmy tak całe wieki, w rzeczywistości jednak nic trwało to dłużej niż 10–15 sekund, nienawistna, złowroga biała mgła, kłębiąc się parła do przodu jakby pchana sunącą za nią ogromną, bezimienną masą; i wówczas dał się słyszeć dźwięk, który obrócił w niwecz wszelkie nasze wcześniejsze ustalenia a jednocześnie przełamał wiążący nas czar i czym prędzej rzuciliśmy się do ucieczki, gnaliśmy co sił w nogach, jak opętani, mijając w drodze powrotnej do miasta, stadka skrzeczących, skonfundowanych pingwinów; pędziliśmy – przez zatopione w lodzie, megalityczne korytarze ku wielkiemu otwartemu placowi, stamtąd zaś w górę po pochyłości kamiennej rampy, ku normalnej zewnętrznej przestrzeni i słonecznemu światłu, nowy dźwięk, jak już wspomniałem obrócił w niwecz wszelkie nasze wcześniejsze ustalenia, ponieważ na podstawie sekcji przeprowadzonej przez nieżyjącego już Lake'a sądziliśmy, że stwory są martwe. Danforth wyznał mi później, iż dźwięk ów był identyczny jak ten, który aczkolwiek bardzo niewyraźny, zdołał usłyszeć dobiegający zza rogu jednej z wąskich alejek, po wyżej poziomym lodowcu; szokująco przypominał świst wiatru w pobliżu wysoko położonych górskich jaskiń. Ryzykując, że zabrzmi to dziecinnie dodam jeszcze jedno, gdyż w zadziwiający sposób wrażenia Danforth'a pokrywają się z moimi. Oczywiście mogły mieć na to

wpływ nasze wspólne lektury, niemniej Danforth wspomniał o nieokreślonych, zakazanych źródłach, do których mógł mieć dostęp Poe, kiedy sto lat temu pisał "Artruna Gordona Pyma". Należy pamiętać, iż w tej fantastycznej opowieści występuje, w związku z Antarktydą, słowo o nieznanym acz złowrogim znaczeniu wykrzykiwane skrzeczącym głosem przez gigantyczne, upiorne śnieżne ptaki żyjące w samym sercu tej złowieszczej, mrocznej krainy:

"Tekeli – li! Tekeli – li!" Muszę stwierdzić, iż był to dokładnie ten sam dźwięk, który usłyszeliśmy nieoczekiwanie, dobiegający spoza sunącej w naszym kierunku ściany białej mgły – zdradziecki, melodyjny świergot o nader osobliwej gamie. Zanim rozległy się trzy pierwsze tony czy sylaby, obaj wzięliśmy już nogi za pas – choć wiedzieliśmy, że Stare Istoty, te które przeżyły i zostały zaalarmowane naszym wrzaskiem potrafią poruszać się na lądzie tak szybko, że gdyby tego chciały mogłyby dogonić nas w jednej chwili. Mieliśmy jednak słabą nadzieję, że nieagresywne zachowanie i przejawy rozsądnego postępowania mogą sprawić, że w przypadku pochwycenia przez Istoty zostaniemy oszczędzeni, choćby nawet z czysto naukowej ciekawości. Ponadto, jeśli tam ci nie będą mieli podstaw, by obawiać się o własne bezpieczeństwo to teoretycznie i nam nie powinni wyrzucić krzywdy.

Ponieważ w tej sytuacji ukrywanie się byłoby rzeczą daremną, zapaliliśmy latarkę by oświecić jej światłem korytarz za naszymi plecami. Zauważyliśmy, że mgła zaczęła rzednąć. Czy ujrzymy w końcu całego i żywego przedstawiciela gatunku tamtych;' Ponownie dobiegł nas ów zdradliwy, melodyjny świergot: "Tekeii – li! Tekeii – li!" Stwierdziliśmy, że dystansujemy naszego prześladowcę, doszliśmy do wniosku, że istota może być ranna, nie mogliśmy jednak ryzykować, było bowiem rzeczą oczywistą, że owo coś poczęło się do nas zbliżać w odpowiedzi na przeraźliwy krzyk Danforth'a, nie zaś dlatego, że ścigało je jakieś inne stworzenie. Nie mieliśmy jednak czasu, by rozstrzygnąć jakiegokolwiek wątpliwości. Nie byliśmy w

stanie określić, gdzie znajdował się obecnie drugi z przerażających, nienazwanych, niepojętych koszmarów – la cuchnąca, plugawa góra rzygającej śluzem protoplazmy której nie widzieliśmy, a której rasa podbiła otchłań i posłała na ląd pionierów, by ponownie osiedlili się w wydrążonych w trzewiach goi tunelach; z prawdziwie wielkim bólem zostawiliśmy również tę –najprawdopodobniej okaleczoną starą Istotę – być może ostatnią, która przetrwała – skazaną niechybnie na po wtórne schwytanie i okropny koniec. Dzięki niebiosom, że nic zwolniliśmy tempa ucieczki. Kłębiąca się mgła ponownie zgęstniała i ruszyła do przodu z narastającą prędkością. Stadka pingwinów, wędrujące korytarzami daleko w tyle zaczęły nagle głośno skrzeczeć, wykazując ewidentne oznaki paniki; co było nader zadziwiające, gdy je bowiem mijaliśmy zachowywały się zupełnie spokojnie. Ponownie rozległ się ów złowrogi, o szerokiej (lamie, melodyjny, piskliwy świergot: "Tekli – li.' Tekli – li!" Myliliśmy się. Stwór nie był ranny; \m prosili przystanął, napotykając na drodze ciała swoich martwych krewniaków i widniejące na ścianach ponad nimi, piekielne inskrypcje.

Nigdy się nie dowiemy jaka była ich treść, ale wygląd cmentarnych kopców w obozie Lake'a uświadomił nam, jak wielką wagę przykładają Stare Istoty do pochówku i oddania należytej czci zmarłym. W świetle, lekkomyślnie przez nas nic gaszonej latarki ujrzeliśmy przed sobą ogromne wejście do pieczary, gdzie zbierały się nitki licznych, pomniejszych lunęli, i byliśmy naprawdę radzi, że zostawiamy za sobą te makabryczne, odrażające freski, których obecność wyczuwaliśmy, nawet ich nie widząc. Kolejną myślą jaka wzbudził w nas widok wejścia do jaskini było zmylić pościg w labiryncie mniejszych, bocznych korytarzy. Na otwartej przestrzeni natknęliśmy się na kilkanaście ślepych pingwinów albinosów, które wyglądały na śmiertelnie przerażone tajemniczą, zmierzającą również w ich kierunku istotą. Gdybyśmy w tym momencie przygasili latarkę i świecili nią wyłącznie przed sobą to zamęt panujący wśród pingwinów i ich głośne skrzeczenie, w połączeniu z mgłą, mogłyby stłumić odgłos kroków, myśląc

trop i rzeczywisty kierunek naszej ucieczki. Pośród kłębiących się zaciekle oparów mgły – spowijających pokryta odpadkami i gruzem, nie uprzątnięta już podłogą w głównym tunelu, różniące się diametralnie wyglądem od pozostałych, dalszych korytarzy – z trudem można było cokolwiek dostrzec i sadziliśmy, że nawet Stare Istoty, pomimo iż dysponujące bliżej nie sprecyzowanym, dodatkowym zmysłem, dzięki któremu były w znacznym stopniu uniezależnione od światła, powinny mieć kłopoty z wypatrzeniem nas. Prawdę mówiąc obawialiśmy się nieco, abyśmy w pośpiechu nic zgubili drogi, dlatego też postanowiliśmy podążać dalej korytarzem wiodącym do wymarłego miasta; o skutkach zagubienia się w labiryncie nieznanym pod ziemnych tuneli woleliśmy nawet nie myśleć. Jak i, że pozostaliśmy przy życiu i wydostaliśmy się na zewnątrz jest dostatecznym dowodem, że stwór wybrał niewłaściwy korytarz, podczas gdy my, dzięki łasce opatrności, trafiliśmy na dobry. Same pingwiny nie mogły nas uchronić, ale w połączeniu z mgłą przyczyniły się znacznie do naszego wybawienia. Tylko dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu we właściwym momencie opary były dostatecznie gęste, bowiem tuman mgły nieustannie falował i praktycznie w każdej chwili mógł się przerzedzić. Mgła rzeczywiście rozrzedziła się na krótką chwilę, tuż przed tym jak wydostaliśmy się z odrażającego, pokrytego plugawymi freskami tunelu i wbiegliśmy do jaskini; wtedy to po raz ostatni spojrzeliśmy trwożliwie za siebie i przez ułamek sekundy, właściwie mgnienie oka, dostrzegliśmy podążającą naszym śladem istotę, a w chwilę później przygasiliśmy latarkę i wmieszaliśmy się między pingwiny, w nadziei że w ten sposób uda się nam zmylić pogoń. Jeżeli los, który pozwolił nam skutecznie ukryć się przed prześladowcą okazał się dla nas łaskawy, obraz jaki ujrzelśmy przez tę krótką chwilę, oglądając się za siebie z pewnością taki nie był – widok ten bowiem przepoił nasze wnętrza grozą, od której nigdy nie będzie nam dane się uwolnić. Powodem dla którego się obejrzeliśmy był odwieczny instynkt ściganego, który pragnie ocenić kto go ściga i jakim podąża tropem. Możliwe również, iż była to spontaniczna próba

odpowiedzenia na któreś z podświadomych pytań zadawanych przez nasze zmysły. Biegając przed siebie koncentrowaliśmy się wyłącznie na problemie ucieczki – nie byliśmy w stanie zająć się drobiazgową obserwacją i analizą szczegółów, niemniej jednak jakieś komórki wewnątrz naszych mózgów musiały zostać zaalarmowane przez nasz węch. Dopiero później uświadomiliśmy sobie co to było – pomimo iż oddalaliśmy się od warstwy cuchnącego śluzu, spowijającego zwłoki bezgłowych Istot, wbrew nasuwającej się logice nie nastąpiła nawet najmniejsza zmiana wyczuwalnych w powietrzu woni. W pobliżu uśmierconych stworów dominował ów nowy i niewytłumaczalny fetor – ale po pokonaniu przez nas tak sporego, bądź co bądź dystansu powinien już dawno ustąpić miejsca odrażającej woni towarzyszącej tamtym. Tak jednak nie było – zamiast tego w powietrzu roztaczał się jeszcze bardziej nieznośny odór, z każdą sekundą bardziej jadowity i natarczywy. Obejrzeliśmy się zatem równocześnie, a gdy kłęby mgły opadły skierowaliśmy w tę stronę obie latarki nastawione na pełną moc; kierowała nami w tej chwili zarówno prymitywna chęć zobaczenia możliwie jak najwięcej, ale i równe spontaniczne pragnienie zmylenia istoty, porem bowiem zamierzaliśmy przygasić latarki i skryć się wśród pingwinów, wewnątrz rozciągającego się na wprost nas głównego korytarza labiryntu. Cóż za fatalny błąd! Ani Orfeusz, ani nawet żona Lota nie mogli zapłacić bardziej słonej ceny za obejrzenie się za siebie. Ponownie usłyszeliśmy to szokujące, melodyjne, świergotliwe zawrodo: "Tekeli – li! Tekeli – li!" Powiem otwarcie – nawet jeśli wcale nie uśmiecha mi się o tym mówić – o tym co wówczas ujrzeliśmy; jakkolwiek w owej chwili czuliśmy, że nie wolno nam przyznać się do tego nawet pomiędzy sobą. Słowa jakie dotrą do czytelnika nie są w stanie oddać całej potworności tego widoku.

Sparaliżował on naszą świadomość do tego stopnia, że dziwię się iż pozostało w nas tyle jeszcze rozsądku by –jak planowaliśmy – przygasić latarki i ruszyć właściwym tunelem w kierunku wymarłego miasta. Musiał nami kierować wyłącznie instynkt, ale spisał się chyba lepiej niż uczyniłby to

zdrowy rozsądek, I jakkolwiek to nas uratowało, cena jaką przyszło nam zapłacić była bardzo wysoka. Z naszego zdrowego rozsądku nie pozostało bowiem zbyt wiele. Danforth był kompletnie roztrzęsiony; pierwszą rzeczą jaką sobie przypominam z dalszej naszej wędrówki był jego monotony, histeryczny śpiew, w którym jedynie ja, spośród wszystkich innych ludzi na całym świecie, mogłem wychwycić, coś więcej niż bezsensowny bełkot szaleńca. Niósł się on upiornym falsetem wśród okropnego skrzeczenia pingwinów, rozbrzmiewał gromkim echem wśród kamiennych ścian rozciągającego się na wprost nas korytarza i – Bogu niech będą dzięki – puste go już tunelu za nami. Nie mógł zacząć swego przeciągłego zawodzenia od razu – skończyłoby się to bowiem dla nas tragicznie i nie moglibyśmy podjąć naszej szaleńczej ucieczki na oślep. Wzdrygam się na myśl, co by się stało, gdyby jego nerwowa reakcja miała dużo szybszy i gwałtowniejszy przebieg. South Station... Washington... Park Street... Kendall..... Harvard... Nieszczęsny chłopak wyśpiewywał na całe ganiło nazwy znajomych stacji tunelu kolei podziemnej Boston – Cambridge, który wydrążono głęboko pod ziemią, na terytorium naszej ojczystej Nowej Anglii, tysiące mil stąd. Brzmiało w nim ślepe przerażenie i bez trudu dostrzegłem potworną złowrogą analogię, którą sugerował ten śpiew. To, co zobaczyliśmy było czymś wykraczającym poza nasze oczekiwania, jak i bezgranicznie bardziej odrażającym i plugawym. Stanowiło absolutną i przerażająco realną apoteozę stworzonej przez autora powieści Fantastycznych "istoty która nie powinna istnieć"; jego najbliższą zrozumiałą analogią jest ogromny, wjeżdżający na stację pociąg miejskiego metra, widziany z peronu – wielki, czarny front wylaniający się z bezkresnej, podziemnej dali upstrzony światłami o dziwnych barwach i wypełniający gigantyczny otwór tunelu jak tłok wypełnia cylinder. Tyle tylko, że my nie znajdowaliśmy się na peronie. Sialiśmy na drodze tej koszarnej, plastycznej, giętkiej kolumny cuchnącej, opalizującej czerni, która z nieprawdopodobną prędkością przelewała się naprzód, nieomal dotykając kamiennych ścian korytarza i tocząc przed sobą

spirale gęstniejących na nowo mgieł z podziemnych otchłani. By) to przerażając 'v, niemożliwy do opisanie stwór, większy niż jakikolwiek pociąg przemierzający tunele metra – bezkształtna masa zbitych grud protoplazmy emanująca niezbyt silny poblask, obdarzona setkami oczu w kształcie bąbli zielonkawego światła, formujących się i zanikających, rozsianych 11.1 całej przedniej powierzchni stwora wypełniającej od ściany do ściany wnętrze korytarza. Pełznąć po błyszczącej podłodze, którą on i jego gatunek tak dokładnie oczyścili z zalegających ją gruzów, odpadków i kurzu, toczył się w naszą stronę, miażdżąc oszalałe pingwiny. W dalszym ciągu słyszeliśmy przeciągły, szydyczny krzyk:

"Tekeli – li! Tekeii – li!" i nagle przypomnieliśmy sobie, że demoniczne Shoggothy, obdarzone przez Stare Istoty życiem i myślą nie posługiwały się żadnym językiem, za wyjątkiem tego co wyrażały poprzez znane już nam układy punkcików czy kropek i były zasadniczo nieme – jeżeli nie liczyć umiejętności naśladowania głosu ich dawnych władców.

Pamiętamy wejście do olbrzymiej, ozdobionej freskami półkuli i drogę powrotną przez gigantyczne komnaty i korytarze wymarłego miasta – są to jednak wspomnienia nader mgliste, jak ze snu, pozbawione odczuć związanych ze świadomą wolą, szczegółami czy fizycznym wysiłkiem. Zupełnie jakbyśmy pławili się w jakimś fantastycznym świecie czy wymiarze, gdzie nie istnieją pojęcia czasu, związków przyczynowych i kierunku. Orzeźwiło nas światło, słabe płynące z zewnątrz światło na rozległej, kolistej przestrzeni; nie zbliżaliśmy się już do wyładowanych sań, ani nie spojrzeliśmy po raz ostatni na zwłoki nieszczęsnego Gedney'a i zaprzęgowego psa. Spoczywają w osobliwym, gigantycznym mauzoleum i mam nadzieję, że do końca istnienia tej planety nikt już nie zakłóci im spokoju. Kiedy pięliśmy się z wysiłkiem po ogromnej, spiralnej pochyłości po raz pierwszy od momentu naszej obłąkańczej ucieczki, uświadomiliśmy sobie jak bardzo byliśmy zmęczeni i zdyszani po tak długim biegu w rozrzedzonym powietrzu płaskowyżu; ale nawet lęk przed kompletnym wyczerpaniem nie zmusił nas do zwolnienia tempa, aż do chwili, gdy na powrót znaleźliśmy się w krainie słońca, nieba i normalności. W fakcie opuszczenia przez nas tego miasta pogrzebanych epok było coś, w nieokreślony sposób, słusznego i właściwego – kiedy bowiem dysząc ciężko pięliśmy się ku szczytowi sześćdziesięciostopniowego cylindra pierwotnej, kamiennej budowli dostrzegliśmy na ścianach ciąg heroicznym rzeźb wykonanych wczesną i bynajmniej nie dekadencją techniką przez wymarłą rasę – pożegnanie wykute przez Stare Istoty ponad 50 milionów lat temu. Koniec końców, wgramoliliśmy się na szczyt, trafiliśmy na ogromne usypisko powalonych bloków; od zachodu wznosiły się biegnące łukowato



ściany wyższych, kamiennych budowli, od wschodu zaś, za linią bardziej uszkodzonych gmachów przezierały posępne szczyty potężnego masywu górskiego. Ma horyzoncie od południa, poprzez szczeliny w postrzępionych, rozpadających się ruinach przezierało krwistoczerwone, wiszące nisko, antarktyczne słońce. Poprzez kontrast ze stosunkowo znanym i swojskim krajobrazem polarnym, ów przerażający wiek i martwota upiornego miasta wydawały się jeszcze bardziej porażające, na niebie nad nami kłębiły się masy wirujących, opalizujących lodowych oparów; poczuliśmy jak mróz zaciska na nas swoje bezlitosne szpony. Powoli, że znużeniem poprawiliśmy plecaki ze sprzętem, które instynktownie chroniliśmy podczas ucieczki, pozapinaliśmy guziki grubej odzieży i potykając się ruszyliśmy w dół osypiska, rozpoczynając wędrówkę przez kamienny labirynt w kierunku pogórza, gdzie zostawiliśmy nasz samolot, nie wspomnieliśmy nawet słowem o tym, co zmusiło nas do ucieczki z mroków kryjących w sobie najgłębsze sekrety ziemi i archaiczne otchłanie. W niecały kwadrans odnaleźliśmy stromy stok – przypuszczalnie starożytny szlak wiodący wprosi na pogórze. Zeszliśmy nim i po chwili pośród rozsianych z rzadka na wznoszącym się stoku ruin wypatrzyliśmy ciemny kształt ogromnego samolotu. W połowie drogi na szczyt wzgórza, gdzie znajdował się cel naszej wędrówki, przystanęliśmy na chwilę, dla zaczerpnięcia oddechu i odwróciliśmy się, by jeszcze raz rzucić okiem na fantastyczny labirynt nieprawdopodobnych, wręcz niemożliwych kształtów zaklętych w kamieniu – rysujących się mistycznie na tle nieznanego zachodu. Kiedy tak staliśmy, zauważyliśmy, że niebo utraciło całą swą poranną mglistość – skłębione lodowe opary wznosiły się ku zenitowi, a ich szydercze zarysy zdawały się układać, w tajemne, niewyraźne wzory, których najwyraźniej nie da się określić i sprecyzować. W oddali, na bieli horyzontu, niżą budowlami groteskowego miasta odcinała się bajeczna linia najeżonego turniami fioletu a jej wyniosłe iglice wyglądały niczym majak ze snu pośród przyzywając ego, nabiegającego barwa różu zachodniego nieba. Nieco wyżej patrząc w stronę lśniącej krawędzi stoków

opadających ku starożytnemu płaskowyżowi, można było dostrzec wyschnięte koryto pradawnej rzeki, przecinające ów teren nieregularną wstęgą cienia. Ten nieziemski widok, przepełniony nieomal kosmicznym pięknem, zaparł nam dech w piersiach, ale nie trwało to długo, bowiem zaraz potem do naszych serc poczęła się wkradać dziwna, po tym wszystkim, groza. Ta odległa, fioletowa linia nic mogła być bowiem niczym innym, jak przerażającymi górami zakazanej krainy – najwyższymi szczytami na ziemi, ogniskującymi w sobie całe ziemskie zło; siedliskiem nic dających się wysłowić koszmarów i sekretów archaiku; górami, do których zanosili modły i unikali jak ognia ci, którzy lękał się nawet przedstawienia w kamieniu prawdy na ich temat; stokami, których nie tknęła stopa żadnego żywego stworzenia na ziemi, ale nawiedzonymi przez dziwne błyski i rozsyłającymi dziwne, blade promienie omiatające pobliskie równiny i rozcinające mrok polarnej nocy. Były one bez wątpienia nieznanym archetypem przerażającego Kadath z Lodowych Pustkowi leżącym poza płaskowyżem Leng, o którym zdawkowo i wymijająco wspominają prastare legendy. Jeżeli wierzyć płaskorzeźbom, które mieliśmy okazję oglądać w zapomnianym praludzkim świecie, te tajemnicze fioletowe góry nie mogły znajdować się dalej, niż trzysta mil stąd, niemniej jednak ich mgliste, bajeczne kontury odcinały się ostro ponad odległą krawędzią, niczym postrzępiony bliżej, monstrualnej, obcej planety, która tylko czeka by wzbić się w posępne, nieznanne niebiosy. Ich wysokość musiała być wręcz niewyobrażalna – ich wierzchołki sięgały a w rozrzedzone warstwy atmosferom, gdzie zamieszkuje jedynie gazowo widma i skąd ptaki spadają martwe. Spoglądając na nie pomyślałem z zaniepokojeniem o niektórych aluzjach i sugestiach zawartych w rzeźbach – mówiących o tym, co fale nie istniejącej już rzeki przyniosły któregoś razu do miasta z tych przeklętych stoków, i zastanawiałem się na ile uzasadnione, a na ile szalone i wynaturzone były obawy Starych Istot, które tak powściągliwie ukazywały owo coś, na swoich reliefach. Przypomniałem sobie, że północny kraniec tych gór, musi znajdować się w pobliżu brzegów

Ziemi Królowej Marii, gdzie obecnie, nie dalej niż 1 000 mil stąd, prowadziła prace ekspedycja sir Douglasa Mawsona; i miałem tylko nadzieję, że żaden z tych los nie pozwoli sir Douglasowi i jego ludziom ujrzeć choć przez chwilę. – tego, co musiało znajdować się poza pasmem ochronnego, nadbrzeżnego górskiego masywu. Takie właśnie myśli kłębiły się podówczas w moim skonfundowanym umyśle, nerwy miałem nielicho nad szarpnięte – ale z Dantoneem było jeszcze gorzej niż ze mną. Na długo wcześniej nim minęliśmy ogromne, przypominające kształtem Gwiazdę ruiny i dolecieliśmy do samolotu, trawiące nas leki skupiły się na mniejszym acz dostatecznie rozległym masywie widniejącym w oddali. Po wschodniej stronie, w odrażający sposób, piętrzyły się atramentowo czarne stoki upstrzone tu i ówdzie zdewastowanymi, kamiennymi minami – które ponownie przywiodły nam na myśl owe dziwne, azjatyckie obrazy Nicholasa Roericha; a kiedy myśleliśmy o przerażających, plugawych, amorficznych istotach, które niczym cuchnące wiję mogły pełzając, dotrzeć do najwyższych poziomów wydrążonych sieci tuneli górskich szczytów, perspektywa ponownego lotu ponad wymierzonymi dwuznacznie ku niebu otworami jaskiń, gdzie hulający wiatr wydawał dźwięk podobny do złowrogiego, posępnego, melodyjnego świergotu bynajmniej nie przypadła nam do gustu. Powiem otwarcie – byliśmy przerażeni, paniczny strach przeniknął nas do szpiku kości. Co gorsza, spostrzegliśmy wyraźne mgły płożące się wokół niektórych wierzchołków, opary które nieżyjący już Lakę wziął mylnie za przejaw aktywności wulkanicznej –i z dreszczem dojmującej zgrozy powróciłem myślami do wirujących spiralnie mgieł, przed którymi właśnie uciekliśmy – a także do bluźnierczej, stanowiącej ostoję koszmarów otchłani, gdzie rodziły się te gęste, mleczno-białe, złowróżbne kłęby. Samolot zastaliśmy w jak najlepszym porządku – natychmiast też, nałożyliśmy niezgrabnie ciężkie futra, używane podczas lotu.

Danforth bez trudu uruchomił silnik i gładko wystartowaliśmy, wznosząc się nad koszarne miasto. W dole rozciągały się pierwotne, gigantyczne

kamienne budowle – dokładnie takie same, jak kiedy ujrzeliśmy je po raz pierwszy, nasz aeroplan zaś zaczął się wznosić i wchodzić w łagodny skręt w celu sprawdzenia siły wiatru przed ostatecznym przekroczeniem przełęczy. W wyższych warstwach atmosfery musiały występować silne zawirowania powietrza, bowiem chmury lodowego pyłu stojące w zenicie tworzyły najfantastyczniejsze kształty. Jednak na wysokości 24 tysięcy stóp, które musieliśmy osiągnąć, aby móc pokonać przełęcz, nawigacja okazała się całkiem prosta. Kiedy zbliżyliśmy się do strzelistych szczytów, ponownie dobiegł nas dziwny świergotliwy szum wiatru i zauważyłem, że spoczywające na sterach dłonie Danforth'a zaczęły drżeć. Byłem wprawdzie pilotem-amatorem, ale w tej chwili doszedłem do wniosku, że będzie o wiele lepiej i bezpieczniej, jeśli to ja przeprowadzę maszynę przez przesmyk między turniami. Kiedy zaproponowałem Danforthowi, że zamienię się z nim na miejsca i przejmę stery – nie zaprotestował. Starłem się zachowywać pełny spokój i wykorzystując całe swe umiejętności wpatrywałem się w skrawek czerwonego, odległego nieba pomiędzy stokami ograniczającymi przełęcz – ostentacyjnie nie zwracając uwagi na kłębiące się wokół górskich wierzchołków mgły i marząc jedynie o woskowych kulkach w uszach – podobnie jak załoga (Jlissesa, przepływająca obok wybrzeża Syren –by nie docierał do mnie dziwny, niepokojący świergot wiatru. Ale Danforth zwolniony od obowiązków pilota, trawiony przerażającym napięciem nerwowym nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Przez cały czas czułem jak się kręci i wierci spoglądając to do tyłu na straszliwe, oddalające się miasto, to znów do przodu na najeżone mrocznymi otworami jaskiń, przygniecione brzemieniem kamiennych sześcianów wierzchołki i ponure morze zaśnieżonych, okolonych wałami, pagórków; od czasu do czasu przenosił wzrok na zakryte groteskowymi chmurami niebo. I wtedy, gdy szykowałem się by bezpiecznie przebyć przełęcz jego szaleńczy wrzask o mało nic spowodował katastrofy – gdy pod wpływem tego krzyku na moment straciłem kontrolę nad sterami. Sekundę później stanowczość wzięła górę i

już bez przeszkód przekroczyliśmy przełęcz – obawiam się jednak, że Danforth już nigdy nie dojdzie do siebie. Wspomniałem już, że Danforth nie chciał mi powiedzieć, co go tak przeraziło, że ni stąd, ni zowąd zaczął wyc jak opętany i ta groza – nie mam niestety co do tego najmniejszych wątpliwości – stała się powodem jego obecnego załamania. Prowadząc w trakcie lotu urywaną rozmowę musieliśmy krzyczeć, by móc się nawzajem usłyszeć pośród zawodzącego świergotu wiatru i ryku silników – dotarliśmy w końcu do bezpiecznej partii gór i powoli zaczęliśmy obniżać pułap, kierując się w stronę naszego obozowiska; przede wszystkim jednak ponownie złożyliśmy przyrzeczenie, że utrzymamy wszystko w tajemnicy – zgodnie z tym co postanowiliśmy opuszczając koszarne miasto.

Pewne rzeczy – co do tego byliśmy zgodni – nie powinny zostać ogłoszone. Lepiej aby ludzie nigdy się o nich nie dowiedzieli; są tematy o których nie należy rozmawiać – z rozmaitych skądinąd powodów – i zapewne nie opowiedziałbym o tym wszystkim, gdyby nie pałac a potrzeba powstrzymania za wszelką cenę ekspedycji Starkweathera i Moora, oraz wszystkich innych. Ze względu na spokój i bezpieczeństwo ludzkości należy bezwzględnie pozostawić w spokoju pewne mroczne zakątki i niezgłębione otchłanie ziemi; aby nie obudzić, z pozom martwych okropności, w ciałach których wciąż jeszcze może się tlić uspięne, odrażające życie, i by bluźniercze ocalałe, koszarne monstra nie zapragnęły wypełznąć ze swych czarnych, cuchnących nor ku nowym, jeszcze rozleglejszym podbojom.

Danforth napomknął jedynie, iż to co ujrzał, a co tak go przeraziło było straszliwym, plugawym mirażem. Zaklinał się, iż nie miał on żadnego związku z sześcianami i jaskiniami ziejącymi w tyci', przeraźliwych, różni zdumiewających upiornym, melodyjnym echem, spowitych mlecznobiałymi oparami mgieł, wydrążonych jak plaster miodu Górach Szaleństwa, które pozostawiliśmy daleko za nimi. Był to jeden tylko, demoniczny i ulotny obraz, widok trwający nie dłużej niż mgnienie oka – dostrzeżony pośród skłębionych chmur przesuwających się po nieboskłonie – obraz lego, co

znajduje się poza łańcuchem fioletowych gór na zachodzie, których Stare Istoty tak bardzo się lękały, i których unikały. Bardzo możliwe, że wszystko to było jedynie osobliwym złudzeniem, zrodzonym wskutek poprzednich napięć, podobnie jak ów rzeczywisty, choć niezrozumiały fantom wymarłego, śródgórskiego miasta, jaki ujrzeliśmy w pobliżu obozu Lake'a, poprzedniego dnia; dla Danforth'a wizja ta była tak żywa, że jej wspomnienia dręczą go po dziś dzień. Zdarza mu się również, aczkolwiek nader rzadko szeptać pozornie pozbawione sensu słowa o "czarnej jamie", "rzeźbionej krawędzi", "proto-Shoggothach", "pozbawionych okien pięciowymiarowych bryłach", "bezimiennym, potwornym cylindrze", "Starszych Pharos", "Yog-Sothoth", "pierwotnej, białej galarecie", "kolorze z przestworzy", "skrzydłach", "oczach w ciemności", "księżycowej drabinie", "pierwszym, wiecznym i nieśmiertelnym" i innych równie osobliwych rzeczach. Kiedy jednak dochodzi do siebie, natychmiast wypiera się wszystkiego, składając to na karb niesamowitych i makabrycznych lektur z poprzednich lat.

Danforth rzeczywiście jest jednym z nielicznych, którzy odważyli się przeczytać do końca plugawy, szalony, złowieszczy "Necronomicon", którego egzemplarz, nadżarty mocno przez robaki jest trzymany pod kluczem w bibliotece naszego uniwersytetu. Nie ulega wątpliwości, że kiedy przekraczaliśmy masyw wyższe warstwy nieba były silnie wzburzone i spowite gęstymi oparami; i choć nic byłem w stanie dojrzeć zenitu, wyobrażałem sobie doskonale jak dziwne i fantastyczne formy potrafią przyjmować wiry lodowego pyłu. Wiadomo, jak wyraziste potrafią być czasami odległe widoki odbite, załamane i powiększone przez tego typu warstwy skłębionych chmur, a bujna wyobraźnia z łatwością mogła dokonać reszty.

Danforth oczywiście nie wspomniał nawet słowem o zaobserwowanym przez siebie koszmarze, dopóki nie połączył go z przeczytanymi wcześniej lekturami. W jednym spojrzeniu, trwającym nie dłużej niż mgnienie oka nie byłbym w stanie dojrzeć tak wiele.

Jego przeraźliwe wrzaski ograniczały się wówczas do powtarzania na okrągło jednego, jedyne go, szalone go słowa, którego źródło jest aż nazbyt oczywiste: "Tekeli – li! Tekeli – li!"

## W murach Eryksu

Zanim spróbuje choć chwilę odpocząć, sporządzę te notatki jako podstawę raportu, który muszę spisać. To, co odkryłem, jest tak niezwykle i tak sprzeczne z wszelkimi dotychczasowymi doświadczeniami i oczekiwaniami, że zasługuje na wyjątkowo skrupulatny opis.

Wylądowałem na Wenus 18 marca czasu ziemskiego, 9 VI według kalendarza planetarnego. Zamustrowany do oddziału dowodzonego przez Millera, otrzymałem mój sprzęt, zegarek przystosowany do nieco szybszych, wenusjańskich obrotów i zostałem przeszkolony do używania maski. Po dwóch dniach byłem gotowy objąć służbę.

Opuszczając posterunek Kompanii „Kryształ” na Terra Novie, 12 VI ruszyłem na południe kursem nakreślonym przez Andersona po sporządzeniu z powietrza map tego terenu.

Szło mi się z trudem, gdyż po deszczu tutejsze dżungle są prawie nie do przebycia. To chyba wilgoć nadaje tym poskręcany pnączom i lianom twardość niewyprawionej skóry; twardości tak ogromnej, że by usunąć niektóre z zagrażających mi drogę roślin, musiałem ciąć je nożem dobre dziesięć minut. W południe były już suche, roślinność stała się miękka i gąbczasta, tak że ostrze przerzynało je bez trudu, ale nawet wówczas nie byłem w stanie posuwać się naprzód szybciej. Te maski tlenowe Cartera ciężkie, jedna taka wystarczy, by kompletnie pozbawić człowieka sił. Maski Duboisa z gąbkowym filtrem zamiast przewodu tlenowego waży o połowę mniej, a powietrze tyle samo.

Detektor kryształów zdawał się funkcjonować doskonale, wskazując w kierunku podanym w raporcie Andersena. To zdumiewające, jak działa ta zasada pokrewieństwa w przeciwieństwie do naszej planety, tu można obejść



się bez używania „różdżek radiestezyjnych”. W obrębie tysiąca mil muszą znajdować się wielkie pokłady kryształów, choć podejrzewam, że te przeklęte jaszczuroludy zawsze ich strzegą i bacznie obserwują.

Może sądzą, że jesteśmy głupcami, przybywając na Wenus po minerały, podobnie jak my myślimy o nich, padających na kolana przed każdym najmniejszym nawet okruczem lub układających z nich całe stosy na piedestałach w ich licznych świątyniach. Wolałbym, żeby wymyśliły sobie jakąś nową religię, skoro nie mają dla tych kryształów innego zastosowania niż oddawanie im czci i składanie modłów. Pozwoliłyby nam wziąć wszystko, co tylko zechcemy, z wyjątkiem przedmiotów ich kultu religijnego, lecz gdyby nawet nauczyły się czerpać z nich moc, miałyby ich na tej planecie, zarówno na, jak i pod powierzchnią wystarczająco dużo. Co do mnie, mam już dość omijania głównych źródeł i wyszukiwania pojedynczych kryształów na brzegach rzek i w głębi dżungli. Nadejdzie taki dzień, kiedy zaczną nalegać, by nasi chłopcy z oddziału komandosów zrobili porządek z tymi łuskokórnymi żebrakami. Dwadzieścia siatko w transportowych wojska wystarczyłoby w zupełności. Nie sposób nazwać tych istot „ludźmi”, pomimo „miast” i wznoszonych przez nie wież. Nie dysponują innymi umiejętnościami z wyjątkiem budowania – a także używania mieczy i zatrutych strzał, ja natomiast nie wierzę, by ich tak zwane „miasta” znaczyły więcej niż byle mrowisko czy bobrowe żeremie. Wątpię, czy mają choćby swój język, cała ta gadanina o komunikacji psychologicznej za pomocą macek na ich piersiach nie wydaje mi się warta funta kłaków. Ludzi głównie myli ich wyprostowana postawa, ot, przypadkowe fizyczne podobieństwo do ziemskiego człowieka.

Chciałbym choć raz móc przemierzać dżunglę Wenus bez potrzeby wypatrywania ich przemykających cichcem gromad ani uchylania się przed ich przeklętymi strzałami. Może przedtem, nim zaczęliśmy gromadzić kryształy, nic było z nimi problemów. Teraz jednak nielicho dają się nam we znaki, rażąc nas strzałami uszkadzając rury doprowadzające wodę.

Coraz bardziej jestem przekonany, że posiadają jakiś szczególny zmysł, coś jak nasze ' detektory kryształów. Nikt nigdy nie spotkał się z przypadkiem, by zaatakowały człowieka – z wyjątkiem strzałów z dużej odległości – który nie miałby przy sobie kryształów.

Około pierwszej po południu jedna z ich strzał o mało nie zdarła mi z głowy hełmu i przez chwilę lękałem się, że przebiciu uległ mój aparat tlenowy. Sprytne diabelstwa są piekielnie ciche, nie wydały nawet najmniejszego dźwięku, a jednak aż trzy zdołały podejść mnie zniemacka. Dostałem je wszystkie, przeciągając gładko dookoła ogniem z mego pistoletu, gdyż tak bardzo barwą ziewały się z tłem dżungli, że nie byłem w stanie ich wypatrzeć pojedynczo. Jeden z nich miał osiem stóp wzrostu i pysk jak tapir. Pozostałe dwa, jak większość, siedem. Jedyne, co daje im przewagę, jest ich liczebność – wy starczy łyby jeden regiment wojska z miotaczami płomieni, a jaszczurom urządziłoby się prawdziwe piekło. Jednak to ciekawe, jakim cudem udało im się przejąć dominację na tej planecie. Nie ma tu istot wyższych od wijących się jak żmije akmanów i skorahów, a na innym kontynencie latających tukahów... chyba że w tych otworach na Płaskowyżu Dionizyjskim coś się ukrywa.

Około drugiej mój detektor wychylił się ku zachodowi, wskazując, że gdzieś po prawej przede mną znajdowały się wyizolowane kryształy. Uzgodniwszy to z Andersenem, ruszyłem wytyczonym kursem. Droga była trudna, nie tylko ze względu na coraz Większą stromiznę, lecz również większą liczbę zwierzyny i drapieżnych roślin. Cały czas niszczyłem ugraty i deptałem skorahy, a mój kombinezon ze skóry upstrzony był plamami rozprysniętych darohów, które uderzały we mnie ze wszystkich stron. Światło słoneczne było słabe, ze względu na mgłę i w ogóle nie osuszało błocka. Za każdym razem gdy się zatrzymywałem, moje stopy Zapadały się na pięć, sześć cali, a ich uwalnianiu towarzyszyły głośnie młaśnięcia.

Chciałbym, aby ktoś wynalazł inny niż skórzany kombinezon, dostosowany do tego klimatu. Materiał, rzecz jasna, szybko by zgnił,

niemniej jakiś rodzaj metalowych włókien odpornych na rozerwanie, jak powierzchnia obrotowego zwoju zapisowego, która właściwie się nie niszczy, stanie się kiedyś zapewne rewolucją w tej dziedzinie.

O wpół do czwartej spożyłem posiłek – jeśli można tym mianem określić wsuwanie przez maskę do ust tych okropnych tabletek żywnościowych. Wkrótce potem dostrzegłem wyraźną zmianę w krajobrazie, jasne, z wyglądu trujące kwiaty, które zmieniły kształty i falowały niczym widma. Zarysy wszystkiego skrzyły się i migotały rytmicznie, jasne punkciki światła pojawiały się i tańczyły w tym samym powolnym, regularnym tempie. Później, stopniowo zdawała się również zmieniać temperatura.

Cały wszechświat zdawał się objęty głębokim, regularnym pulsowaniem, przepelniającym najdalsze nawet zakątki przestrzeni mojego ciała i umysłu. Straciłem poczucie równowagi i zachwiałem się oszołomiony, niewiele również dało zamknięcie oczu i przesłonięcie dłońmi uszu. Mój umysł pozostał niezmacony i po kilku minutach zorientowałem się, co się stało.

Napotkałem w końcu jedną z owych niesamowitych roślin mirażowych, o których opowiadało tak wielu naszych ludzi. Andersen ostrzegał mnie przed nimi i dokładnie opisał ich wygląd – łodyga pokryta drobnym meszkiem, kolczaste liście i cętkowane kwiaty, których powodujące senność wyziewy przenikają w głąb każdej posiadanej przez nas maski.

Przypominając sobie, co trzy lata temu stało się z Baileyem, wpadłem w chwilową panikę i zacząłem krążyć chwiejnym krokiem po szalonym, chaotycznym świecie, który utkały wokół mnie wyziewy rośliny.

I nagle odzyskałem zdrowy rozsądek. Uświadomiłem sobie, że muszę jedynie wycofać się na bezpieczną odległość od groźnych kwiatów – oddalić się od źródła pulsowania i na oślep torować sobie drogę – nie bacząc na to, co mogło wić się i falować wokół mnie, póki nie znajdę się poza zasięgiem trującego oparu.

Choć wszystko dokoła wirowało jak opętane, spróbowałem ruszyć we właściwą stronę, wycinając rośliny nożem. Chyba nie poruszałem się w linii

prostej, gdyż zdawało mi się, że minęły godziny. nim wyzwoliłem się spod zabójczego wpływu hipnotycznej rośliny.

Tańczące światła stopniowo poczęły niknąć, a migocząca, widmowa sceneria przyjmować poprzednie, trwałe kształty. Znalazłszy się poza zasięgiem mirażowca, spojrzałem na zegarek i ze zdumieniem stwierdziłem, że było dopiero dwadzieścia po czwartej. Wydawało mi się, że minęły całe wieki, podczas gdy zdarzenie to trwało nieco dłużej niż pół godziny.

Niestety, nie mogłem sobie pozwolić nawet na chwilę zwłoki, a na dodatek, by uwolnić się spod działania mirażowca, musiałem sporo się cofnąć. Ruszyłem pod górę, zgodnie ze wskazaniem detektora kryształów, usiłując nadrobić stracony czas. Dżungla wciąż była gęsta, choć zwierzyny znacznie mniej niż dotychczas. W pewnej chwili mięsożerny kwiat schwycił mnie za prawą stopę i ścisnął tak mocno, że aby się uwolnić, musiałem użyć noża – puścił, dopiero gdy pociąłem go niemal na strzępy.

W niecałą godzinę później stwierdziłem, że dżungla zaczyna się przerzedzać, a o piątej, minąwszy pas paprociodrzew i rzadkich krzewów, znalazłem się na szerokim, omszałym płaskowyżu. Szedłem teraz szybko, a po wychyleniu igły detektora zorientowałem się, że znajdowałem się niedaleko kryształów, których poszukiwałem. To dziwne, bo zwykle tych jajowatych steroidów nie znajdowało się na nie zalesionych, wysoko położonych terenach.

Płaskowyż kończył się ostrą granią. Dotarłem do szczytu o wpół do szóstej, a w oddali przede mną dojrzałem rozległą, zalesioną równinę. Był to bez wątpienia płaskowyż naniesiony na mapę przez Matsugawę pięćdziesiąt lat temu po przelotach badawczych, opisany na naszych kartach jako „Eryx” albo „Góry Eryksu”. Serce załomotało mi w piersi, gdy ujrzałem pewien szczegół, znajdujący się nieopodal centrum równiny. Był to pojedynczy punkcik światła przebijający przez mgłę, zdający się ogniskować w sobie oślepiającą luminescencję żółtawych, wytłumionych przez opary promieni. Był to bez wątpienia kryształ, którego szukałem, obiekt nie większy od

kurzego jaja, a jednak zawierający wystarczającą ilość mocy, by dać całemu miastu energii na rok. Ujrawszy tę odległą poświatę, trudno było mi się dziwić, że jaszczuroludy mogą darzyć kryształy tak wielkim uwielbieniem. A jednak nie wiedziały nic o ich wewnętrznej mocy. Rzucając się do biegu, próbowałem, najszybciej jak to możliwe, zdobyć tak nieoczekiwaną nagrodę i zdenerwowałem się, gdy sprężysty mech ustąpił miejsca lepkiemu, odrażającemu błoćku, upstrzonemu splachetkami chwastów i pnączy. Brnąłem przez nie, nie bacząc na nic, prawie nie rozglądając się dokoła w poszukiwaniu jaszczuroludów. Było mało prawdopodobne, by próbowały zaatakować mnie na otwartej przestrzeni. Kiedy się zbliżyłem, światło przede mną zdawało się przybierać na sile i jasności, a zarazem stwierdziłem, że mało w sobie coś osobliwego. Najwyraźniej był to kryształ wyjątkowej czystości i jakości, dlatego jeszcze bardziej przyspieszyłem kroku.

Muszę odtąd sporządzać mój raport z wyjątkową ostrożnością, gdyż to, co zaraz powiem, jest z gruntu bezprecedensowe, aczkolwiek na szczęście weryfikowalne. Biegłem przed siebie coraz gwałtowniej i dotarłem na odległość jakichś stu jardów od kryształu, którego umiejscowienie na czymś w rodzaju podwyższenia pośród tego wszechobecnego szlamu wydało mi się nader dziwne, gdy wtem, znienacka jakaś potężna siła trafiła mnie w pierś i kłyckie zaciśniętych pięści i odrzuciła wstecz, w błoto. Runąłem w nie z głośnym plaśnięciem, lecz ani miękkość podłoża, ani obecność śliskich chwastów i roślin pnących nie ocaliły mnie przed bolesnym stłuczeniem głowy. Przez chwilę leżałem bez ruchu, zbyt zdezorientowany, by móc myśleć. Następnie na wpół mechanicznie podźwignąłem się na nogi i zacząłem ścierać muł i błoćko z mego skórzanego kombinezonu.

Nie miałem zielonego pojęcia, na co natrafiłem. Nie zauważyłem niczego, co mogłoby spowodować uderzenie, i teraz także nic nie widziałem. A może jedynie potknąłem się w błocie. Przeczyły temu moje obolałe kłyckie i żebra. A może cały ten incydent to iluzja wywołana przez jakąś ukrytą roślinę wywołującą halucynacje? Mało prawdopodobne, gdyż nie odczuwałem

typowych symptomów, a w pobliżu nie było miejsca, gdzie mógłby rosnąć w ukryciu mirażowiec. Gdybym był na Ziemi, podejrzewałbym barierę n–mocy położoną przez jakiś rząd dla oznaczenia zakazanej strefy, lecz w tym odludnym miejscu coś takiego graniczyło z absurdem.

Działem się wreszcie w garść i postanowiłem ostrożnie zbadać to zjawisko. Wysuwając przed siebie nóż, by jego ostrzem wyczuć granicę osobliwej bariery, ponownie ruszyłem w stronę lśniącego kryształu, posuwając się wolno, krok za krokiem. Po trzecim zatrzymałem się, choć moje oczy niczego nie dostrzegły, gdy czubek ostrza noża natrafił na jakąś solidną powierzchnię.

Po krótkiej chwili odzyskałem panowanie nad sobą. Wysuwając przed siebie lewą dłoń, przyobleczoną w rękawicę, zweryfikowałem obecność niewidocznej materii stałej, a raczej namacalnej iluzji takiej materii – znajdującej się przede mną. Wodząc dłonią, stwierdziłem, że bariera sprawiała wrażenie stałej substancji, gładkością niemal dorównywała szkłu, a na jej powierzchni nie natrafiłem na miejsca złączy.

Chcąc kontynuować badania, zdjąłem rękawicę i dotknąłem bariery gołą ręką. Była rzeczywiście twarda i gładka jak szkło, a jej osobliwy chłód stanowił uderzający kontrast w porównaniu z panującym wokoło gorącem. Wyteżyłem wzrok, usiłując dostrzec choć ślad tworzącej zaporę substancji. Bariera nie odbijała światła. Była przezroczysta tak doskonale, że to, co się za nią znajdowało, widziałem bez najmniejszych zakłóceń.

Niezaspokojona ciekawość zaczęła wypierać wszystkie inne odczucia, toteż, najlepiej jak potrafiłem, podjąłem dalsze badania. Macając dłońmi, stwierdziłem, że zaporę wznosiła się od samej ziemi, wyżej, niż byłem w stanie dosięgnąć, i że na prawo i lewo rozciągała się na nieokreśloną odległość. Była to więc jakby ściana, choć nie potrafiłem stwierdzić, z czego ani po co ją zbudowano. Znów przyszedł mi na myśl mirażowiec i wywoływane przezeń iluzje, lecz już po chwili odrzuciłem od siebie to potencjalne wytłumaczenie mojej obecnej sytuacji. Uderzając silnie w zaporę

rękojeścią noża i kopiąc w nią ciężkimi butami, spróbowałem odgadnąć rodzaj powstających przy tym dźwięków.

W odgłosach tych pobrzmiwało echo jak przy uderzeniach w beton albo w cegłę, choć niewidzialna materia przypominała w dotyku szkło lub metal. Niewątpliwie napotkałem coś osobliwego, wykraczającego poza wszelkie znane człowiekowi doświadczenia.

Następnie należało zorientować się, choćby pobieżnie, w wymiarach muru. Określenie wysokości mogło okazać się trudne, jeśli nie niemożliwe, natomiast sprawdzenie kształtu i długości powinno być znacznie łatwiejsze i szybsze. Wyciągając ręce na boki i niemal przywierając do zapory, zacząłem przesuwając się powoli w lewo, zapamiętując przy tym to, co widziałem po drugiej stronie przejrzystej ściany.

Po kilku krokach wiedziałem już, że mur nie był prosty, lecz miał formę sporego okręgu lub może elipsy. Wtem uwagę mą przykuło coś zupełnie innego – coś, co wiązało się z wciąż odległym kryształem będącym obiektem moich poszukiwań.

Wspomniałem już, że nawet z większej odległości pozycja lśniącego obiektu wydała mi się nieskończenie dziwna, stał on bowiem na niewielkim pagórku wyłaniającym się z blocka.

Teraz, z odległości jakichś stu jardów, pomimo mgły mogłem ujrzeć wyraźnie, czym był ów pagórek. To było ciało mężczyzny w skórzanym kombinezonie kompanii „Kryształ”, leżące na piecach. z maską tlenową na wpół zagłębioną w szlamie nieopodal. W prawej ręce, przyciśniętej konwulsyjnie do piersi, tkwił kryształ, który mnie tu sprowadził, niewiarygodnie duży sferoid, tak potężny, że palce trupa prawie nie mogły go objąć. Nawet z tej odległości potrafiłem stwierdzić, że śmierć musiała nastąpić niedawno. Nie było jeszcze wyraźnych oznak rozkładu i uświadomiłem sobie, z uwagi na tutejszy klimat, że człowiek ów musiał umrzeć zaledwie dzień wcześniej. Wkrótce nad ciałem zaczną zbierać się roje tych obrzydliwych much farnoth. Zastanawiałem się, kim był ten człowiek. Z

pewnością nie widziałem go podczas tej podróży.

To musiał być jeden ze starszych, nieobecny podczas długiej nudnej odprawy, który wybrał się w tę okolicę sam, bez nadzoru Andersena. I teraz leżał tam, a spomiędzy jego zeszywniałych palców wystawał emanujący promieniem oślepiającego światła wielki kryształ. Przez całe pięć minut stałem tam, patrząc pełen lęku i zakłopotania. Dziwny niepokój ogarnął moje serce i poczułem niewyjaśnioną bliżej chęć natychmiastowej ucieczki.

Tego nie mogły bić te ohydne jaszczuroludy, gdyż w palcach trupa wciąż tkwił potężny kryształ. Czy było to w jakiś sposób związane z niewidzialnym murem? Gdzie ów człowiek znalazł ten kryształ? Instrument Andersona pokazywał jeden w tym rejonie, na długo przed tym, zanim ten człowiek wyzionął ducha. Zacząłem teraz odbierać niewidzialną barierę jako coś złowrogiego i cofnąłem przed nią, czując na plecach lodowate ciarki. Mimo to wiedziałem, że właśnie ze względu na niedawną tragedię muszę tę zagadkę jeszcze szybciej i staranniej, niż zamierzałem.

Nagle, koncentrując się na tym zacząłem zastanawiać się nad możliwością zbadania wysokości muru, a przynajmniej stwierdzenia, czy gdzieś się on jednak kończył.

Nabrałem garść błota i przez rozsunięte palce odsączyłem wodę, a bardziej zwartą pozostałość cisnąłem ku niewidzialnej, przezroczystej zaporze.

Na wysokości około czternastu stóp blocko z głośnym plaśnięciem trafiło w ścianę i natychmiast zaczęło szybko spływać w dół rozmywającymi się strugami. Ściana musiała być bardzo wysoka. Druga garść mułu ciśnięta pod jeszcze ostrzejszym kątem trafiła w cel około osiemnastu stóp nad powierzchnią gruntu i znikła równie szybko jak pierwsza.

Zebrałem w sobie siły i przygotowałem się, by rzucić możliwie jak najwyżej trzecią garść błota. Pozwalając, by obciekło, i uzyskało możliwie najtrwalszą konsystencję, rzuciłem nią pod kątem tak ostrym, że obawiałem się, czy w ogóle dosięgnie niewidzialnej powierzchni. Udało się i tym razem



przeleciała na drugą stronę, by plasnąć z impetem w lepką brudną breję. Miałem wreszcie jakieś pojęcie o wysokości muru, gdyż musiałem cisnąć błotem około dwudziestu stóp w górę, by przerzucić je na drugą stronę.

Wspinaczka na tę wysokość, po gładkim, prostym jak szkło murze nie wchodziła w rachubę. Musiałem przeto iść wzdłuż ściany w nadziei na znalezienie wyjścia, przerwy lub jej końca. Czy bariera tworzyła pełny okrąg lub może miała kształt półokręgu lub łuku?

Przechodząc do działania, podjąłem przerwany marsz w lewo, przez cały czas wodząc dłońmi w górę i w dół po niewidocznej powierzchni, w nadziei na odnalezienie okna, przerwy czy jakiegoś innego otworu. Zanim zacząłem, spróbowałem jeszcze oznakować swą obecną pozycję, wygrzebując w mule otwór, lecz już po chwili nie zostało po nim śladu.

Oszacowałem je jednak, zauważając wysoki sagowiec w odległym lesie, rosnący niemal idealnie w linii prostej względem znajdującego się o sto jardów ode mnie kryształ. Gdybym nie natrafił na otwór ani przejście, mógłbym sądzić, że obszedłem mur dokoła.

Nie dotarłem daleko, gdy okazało się, że niewidzialna ściana ma kształt okręgu o średnicy jakichś stu jardów, zakładając, że krzywizna muru była regularna. To by znaczyło, że trup leżał w pobliżu ściany dokładnie naprzeciw miejsca, w którym znalazłem się na początku. Czy znajdował się wewnątrz czy na zewnątrz bariery? Wkrótce miałem się o tym przekonać.

Kiedy niespiesznie szedłem wzdłuż ściany bariery, w poszukiwaniu jakiegoś otworu, stwierdziłem, że zwłoki znajdowały się wewnątrz. Z bliska oblicze trupa sprawiało niepokojące wrażenie. Odkryłem coś niesamowitego w jego wyrazie twarzy i niewidzących, przeszkłonych oczu. Zanim się do nich zbliżyłem, nabrałem pewności, że były to zwłoki niejakiego Dwighta, weterana, którego nigdy nie znałem, lecz o którym wspomiano mi na placówce w ubiegłym roku. Kryształ, który ścisnął w dłoni, był nie lada okazem, największym, jaki kiedykolwiek widziałem. Dotarłem do ciała najbliżej, jak tylko mogłem, i gdyby nie bariera, zapewne mógłbym go

dotknąć, gdy wtem moja wysunięta do przodu lewa dłoń natrafiła na naroże w niewidzialnej powierzchni. W ciągu sekundy stwierdziłem, że napotkałem otwór szerokości około trzech stóp, ciągnący się od powierzchni ziemi wyżej, niż byłem w stanie dosięgnąć. Nie było drzwi ani zawiasów, które mogły świadczyć, że kiedyś się tu znajdowały. Bez chwili wahania przestąpiłem przez próg i podszedłem dwa kroki w stronę spoczywającego w błocie ciała, leżącego pod kątem prostym do przejścia, przez które tu dotarłem, w czymś, co zdawało się poprzecznym, pozbawionym drzwi korytarzem.

Ogarnęła mnie nowa fala zaciekawienia, gdy odkryłem, że ta ogromna zamknięta przestrzeń podzielona była przepierzeniami. Pochylając się, by zbadać i, nie znalazłem na nim żadnych ran. To właściwie mnie nie zdziwiło, gdyż kryształ zaprzeczał obecności jaszczuropolodnych tubylców. Zastanawiałem się nad potencjalną przyczyną śmierci, i wtedy zatrzymałem wzrok na masce tlenowej leżącej u stóp trupa. Był to jakiś znak. Bez tego urządzenia żaden człowiek nie mógł oddychać wenusjańskim powietrzem dłużej niż trzydzieści sekund, a Dwight – jeżeli to był on – najwyraźniej zgubił swoją. Prawdopodobnie była źle dopięta i ciężar butli tlenowych obluźował paski – coś takiego nie mogło się wydarzyć przy masce Duboisa z gąbkowym filtrem. Pół minuty odroczenia to za mało, by człowiek mógł pochylić się i odzyskać swoją ochronę, kto wie, może w owym czasie stężenie cyjanu atmosferze było szczególnie wysokie. Prawdopodobnie był zajęty podziwianiem kryształu, gdziekolwiek go znalazł. Najwyraźniej wyjął go z kieszeni przy kombinezonie, klapka była bowiem odpięta.

Spróbowałem wyłuskać kryształ z rąk martwego poszukiwacza, co było szczególnie trudne z uwagi na zeszywnienie zwłok. Sferoid był większy od męskiej pięści i błyszczał jak żywy w czerwonych promieniach zachodzącego słońca. Gdy dotknąłem lśniącej powierzchni, mimowolnie zadrżałem, jakbym przejmując ten drogocenny przedmiot, brał na siebie również zgubną klątwę, która dosięgła jego poprzedniego właściciela. Wkrótce moje obawy poszły w niepamięć i wsunąłem kryształ do kieszeni

mego skórzanego kombinezonu. Nigdy nie należałem do ludzi przesądnych i nie wierzyłem w zabobony.

Złożywszy hełm na twarzy trupa, wyprostowałem się i wycofałem przez niewidzialne przejście do korytarza wejściowego wielkiego, niewidzialnego ogrodzenia. Znowu zaintrygowała mnie ta budowla i zacząłem się zastanawiać nad jej pochodzeniem, celem i materiałem, z którego ja wzniesiono. Ani przez chwilę nie wierzyłem, że mogła być dziełem rąk ludzkich. Nasze statki dotarły do Wenus zaledwie siedemdziesiąt dwa lata temu, a jedyne istoty ludzkie na tej planecie znajdowały się na stacji Terra Nova. Człowiek nie zna tak przejrzystej, gładkiej i trwałej substancji, która posłużyła za budulec do wzniesienia tych murów. Prehistoryczne inwazje ludzi na Wenus należy raczej wykluczyć, musiałem zatem uznać, że dzieło to było wytworem tubylców. Czy planetą Wenus przed jaszczurami władała jakaś inna, zapomniana, inteligentna rasa? Pomimo dość kunsztownie budowanych miast trudno uznać, że te mury były dziełem jaszczuroludów. Eony temu musiała tutaj istnieć jakaś inna rasa, a ten niewidzialny twór mógł być ostatnią po nich pozostałością. A może przyszłe ekspedycje odnajdą inne podobne ruiny? Trudno dociekać, czemu służyła ta budowla, niemniej jej osobliwy i zupełnie niepraktyczny budulec zdaje się sugerować charakter religijny.

Uznawszy, że rozwiązanie tych zagadek przekraczało moje możliwości, postanowiłem zbadać niewidzialną budowlę. Byłem pewien, że na tej błotnistej i pustej z pozoru równinie znajdowało się mnóstwo rozlicznych pomieszczeń i korytarzy, i że poznanie ich układu może okazać się dla mnie nader istotne. Tak więc przestępując przez próg niewidzialnego wejścia i minąwszy ciało, zacząłem iść wzdłuż korytarza, ku wewnętrznym pomieszczeniom, skąd poprzednio dotarł tu martwy teraz mężczyzna. Później zbadam korytarz, którym tu przyszedłem.

Macając dłońmi jak ślepiec, pomimo słonecznego światła lekko rozmytego wśród mgieł, powoli ruszyłem naprzód. Wkrótce dotarłem do załomu korytarza, który coraz węższymi łukami zakręcał spiralnie ku

środkowi. Od czasu do czasu natrafiałem na pozbawione drzwi poprzeczne przejście, a kilkakrotnie znalazłem się na skrzyżowaniu dwóch, trzech, a nawet czterech korytarzy. W tych ostatnich przypadkach zawsze wybierałem wiodący ku środkowi układu korytarz, który okazywał się zwykle przedłużeniem tego, którym właśnie podążałem. Na badanie odgałęzień je będzie mnóstwo czasu później, kiedy wrócę z samego serca niewidzialnej budowli. Trudno mi opisać, co czułem, kiedy tak podążałem niewidocznymi przejściami wewnątrz niewidocznego architektonicznego tworu wzniesionego dłońmi zapomnianej rasy na obcej planecie. W końcu, wciąż macając na oślep, dotarłem do końca korytarza i otwartej przestrzeni.

Wyczuwając dłońmi przestrzeń dokoła, stwierdziłem, że znalazłem się w okrągłym pomieszczeniu szerokości około dziesięciu kroków. Pamiętając, gdzie pozostawiłem trupa, oszacowałem, że to pomieszczenie znajdowało się w samym lub tuż obok środka budowli.

Wychodziło zeń pięć korytarzy, prócz tego, którym tu dotarłem, ten jednak wciąż miałem pamięci, stojąc u wejścia i patrząc z uwagą poza ciałem, na pewne szczególne drzewo na horyzoncie. W pomieszczeniu nie było nic, co odróżniałoby je od innych – może tylko cieńsza warstewka błota zalegająca grunt. Zastanawiając się, czy ta część budynku posiada dach, powtórzyłem swój eksperyment z rzucaniem garści błota i odkryłem, że i tu ściany nie mają zadaszienia. Nawet jeśli było, dawno temu musiało runąć, gdyż pod stopami, prócz błota, nie natrafiłem na żadne szczątki ani zwalone bloki. Gdy to sobie uświadomiłem, wydało mi się szczególnie dziwne, że tak starodawna budowla nie murszeje, w ścianach nie ma żadnych szczelin ani ubytków, nie widać też żadnych innych oznak uszkodzeń wywołanych upływem czasu. Co to było? Czym było kiedyś? Z czego zostało wykonane? Dlaczego w szklistych, osobliwie jednorodnych murach nie było żadnych śladów ich podziału na poszczególne bloki?

Czemu nie było tu drzwi, zarówno wewnętrznych, jak i na zewnątrz? Wiedziałem tylko, że znalazłem się w okrągłej, pozbawionej dachu i drzwi

budowli wykonanej z jakiegoś gładkiego, idealnie przejrzystego, nieodbijającego ani niezałamującego promieni słońca budulca, o średnicy stu jardów, z wieloma korytarzami i małym okrągłym pomieszczeniem pośrodku. To wszystko, co zdołałem stwierdzić na podstawie bezpośrednich badań.

Zauważyłem, że słońce wisiało teraz bardzo nisko nad horyzontem na zachodzie – złocistobrunatny dysk skąpany w szkarłacie i oranżu, wyłaniający się nad spowitymi w oparach mgieł lasami. Powinienem się pospieszyć, jeśli przed zmrokiem chciałem znaleźć sobie jakieś miejsce do spania na suchym gruncie. Już dawno temu postanowiłem, że spędzę noc na omszałej ziemi, przy skraju płaskowyżu, gdzie po raz pierwszy spostrzegłem kryształ, ufając, że szczęście jak zwykle mi dopisze i uchroni przed atakami jaszczuroludów. Zawsze twierdziłem, że powinniśmy wędrować dwójkami, albo nawet w grupach, aby ktoś mógł trzymać straż, podczas gdy inni będą spać, lecz niewiele w sumie ataków nocnych sprawiło, że kompania nie przejmowała się takimi drobiazgami. Te łuskowate pokraki chyba słabo widzą po ciemku, nawet przyświecając sobie tymi dziwnymi łunopochodniami.

Powróciwszy do korytarza, którym dotarłem do wnętrza budowli, zacząłem wycofywać się w kierunku wyjścia. Dalsza penetracja budowli mogła poczekać do jutra. Starając się możliwie najsprawniej przemierzać spiralny korytarz, posługiwałem się zmysłami, pamięcią i pewnymi charakterystycznymi elementami podłoża w rodzaju kęp chwastów na równinie, by dobrnąć do wyjścia. Niebawem znów znalazłem się w pobliżu trupa. Nad zasłoniętą hełmem twarzą unosiły się teraz jedna lub dwie muchy farnoth i wiedziałem, że zwłoki zaczęły ulegać rozkładowi. W przypiływie próżnego, instynktownego obrzydzenia, uniosłem dłoń, by odegnąć tę awangardę ścierwojadów, gdy wtem stało się coś dziwnego i zdumiewającego.

Poczułem przed sobą ścianę, zatem pomimo usilnych starań nie udało mi

się dotrzeć do korytarza, gdzie spoczywały zwłoki. Znalazłem się w równoległym korytarzu, skręciwszy omylnie kilka przecznic temu w niewłaściwą odnogę przejścia.

W nadziei, że znajdę gdzieś przed sobą wejście do korytarza głównego, szedłem dalej, lecz w końcu natknąłem się na ścianę. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko powrót do pomieszczenia centralnego i podjęcie ponownej próby. Nie wiedziałem, gdzie popełniłem błąd. Wbiłem wzrok w podłogę, by sprawdzić, czy jakimś cudem pozostały w nim ślady moich stóp, lecz szybko zorientowałem się, że w gęstym bloku nawet najtrwalszy odcisk rozpląwał się po kilku sekundach. Nie miałem większego problemu ze znalezieniem drogi do centrum budowli i ponownie ruszyłem w drogę powrotną. Wcześniej poszedłem zbyt daleko w prawo. Tym razem muszę zdecydować się na lewą odnogę. Posuwając się naprzód, zastanawiałem się, którą wybrać. Gdy po raz wtóry ogarnęła mnie niemal niezmacona pewność co do słuszności obranego kierunku, wybrałem jedną z odnóg korytarza prowadzącą w lewo, którą, byłem tego pewien, zapamiętałem. Kontynuowałem marsz po spirali i starałem się nie zbłądzić w żadną z licznych przecznic. Wkrótce jednak z pewnym zdziwieniem stwierdziłem, że mijam zwłoki w znacznej odległości; najwyraźniej ten pasaż dochodził do zewnętrznego muru w sporym od nich oddaleniu. W nadziei, że w połowie długości muru znajdowało się inne, nie znane mi wyjście, przeszedłem dobrych kilka kroków, lecz i tym razem natrafiłem przed sobą na barierę nie do przebycia. Najwyraźniej plan budowli był znacznie bardziej skomplikowany, niż mi się wydawało.

Zastanawiałem się, czy znów mam wrócić do centrum budowli czy może spróbować dotrzeć do zwłok któryś z poprzecznych pasażów.

Gdybym zdecydował się na to drugie, ryzykowałem utratę opracowanego w myślach układu budowli. Mogę się na to zdobyć tylko wówczas, gdy obmyślę sposób na pozostawianie za sobą jakiegoś widocznego śladu. Było to jednak nie lada problemem i przez dłuższą chwilę zastanawiałem się nad

jego rozwiązaniem. Nie miałem przy sobie nic, co pozostawiałoby ślady, nic, co mógłbym rozrzucić albo choćby podrzeć na kawałki. Moje pióro nie pozostawiało śladów na niewidzialnej ścianie, a przecież nie mogłem zużyć mych bezcennych tabletek żywnościowych. Nawet gdybym zdobył się na to, było ich zbyt mało, a niewielkie pigułki zapewne natychmiast pogrążyłyby się w błocie. Przetrzęsnałem kieszenie w poszukiwaniu staroświeckiego notesu – często używanego na Wenus nieoficjalnie, mimo że papier w tutejszej atmosferze bardzo szybko się rozkładał – którego kartki mógłbym wyrwać i podrzeć na drobne strzępki, lecz żadnego przy sobie nie miałem. Rozerwanie twardej metalowej powłoki urządzenia zapisowego nie wchodziło w grę, mojego ubrania także. W szczególnej atmosferze Wenus nie mogłem, z uwagi na własne bezpieczeństwo pozbyć się skórzanego kombinezonu, a bielizny ze względu na klimat nie miałem w ogóle.

Próbowałem rozsmarowywać błoto na gładkich, niewidzialnych ścianach, po możliwie jak najlepszym odsączeniu go w garści z wody, lecz, jak się okazało, znikało ono równie szybko jak to, którym ciskałem, usiłując określić wysokość ściany. Sięgnąłem w końcu po nóż i próbowałem wydrapać jakiś znak na szklistej, niewidzialnej powierzchni, cokolwiek, co mógłbym uznać za punkt odniesienia, choćby nawet był niewidoczny z większej odległości. Nic z tego. ostrze noża nie pozostawiło na zagadkowej powierzchni najmniejszego śladu.

Sfrustrowany, po kolejnej nieudanej próbie oznakowania swego szlaku, ponownie spróbowałem „z pamięci” dotrzeć do pomieszczenia centralnego. Powrót tam wydawał się prostszy aniżeli odnalezienie wyjścia na zewnątrz i raz jeszcze trafiłem tam bezbłędnie. Tym razem zapisałem na moim zwoju informację o każdym obieranym przez siebie skręcie, tworząc dość prymitywny hipotetyczny diagram wędrówki i oznaczając wszystkie napotkane po drodze korytarze. Była to, rzecz jasna, praca wyjątkowo żmudna i czasochłonna, gdyż stale musiałem posługiwać się dłońmi, a możliwości pomyłki były wręcz nieograniczone, niemniej uznałem, że na

dłuższą metę mój trud się opłaci.

Zaczął zmierzchać, kiedy dotarłem do głównego pomieszczenia, a ja wciąż miałem nadzieję, że jeszcze przed zmrokiem znajdę się na zewnątrz. Porównując mój nowy schemat z wcześniejszymi, z pamięci, wydawało mi się, że wiedziałem już, gdzie popełniłem omyłkę, toteż pewny siebie raz jeszcze wyruszyłem w głąb niewidzialnych korytarzy. Skręciłem znacznie bardziej w lewo niż poprzednio i starałem się zapisywać na zwoju całą trasę marszruty, na wypadek ewentualnej omyłki. W gęstniejącym zmierzchu widziałem rozmyte kontury trupa, oblepionego chmarą odrażających much farnoth. Bez wątpienia już wkrótce zaczną tu napływać z równiny żyjące w mule sificlighi, by dokończyć upiornego dzieła.

Zbliżając się z pewnym wahaniem do trupa, już miałem go minąć, gdy nagłe zderzenie z niewidzialną ścianą uświadomiło mi, że znów zmyliłem drogę.

Wiedziałem już, że zabłądziłem. Układ budowli był tak złożony, że jego poznanie musiało okazać się czasochłonne i prawdopodobnie, zanim się stąd wydostanę, czeka mnie jeszcze dużo pracy. Mimo to pragnąłem znaleźć się jeszcze przed nocą na suchym gruncie, dlatego też wróciłem do centrum budynku i zająłem dość chaotyczne poszukiwania wyjścia na chybił trafił. Robiąc notatki w świetle mej elektrycznej lampy. Używając jej, zauważyłem nagle, że nie powodowała ona refleksów, nawet najśłabszego rozbłysku, najmniejszego odbicia światła od przezroczystych ścian znajdujących się wokół mnie. Byłem jednak na to przygotowany, wszak podobnie rzecz się miała z promieniami słońca.

Wciąż jeszcze macałem dłońmi wokół siebie, gdy zmierzch z wolna przeszedł w mroczną noc. Gęsta mgła przesłoniła większość gwiazd i planet, lecz na południowym wschodzie widać było wyraźnie lśniąca, błękitnozieloną kulę Ziemi. Wspaniale prezentowałyby się przez teleskop. Gdyby opary choć na chwilę się przerzedziły, mógłbym nawet dostrzec księżyc obok niej. Nie byłem już w stanie dostrzec trupa, mojego jedyne



punktu orientacyjnego, toteż po kilku omyłkowo obranych skrętach wróciłem do głównego pomieszczenia. Chyba mogłem pożegnać się z myślą o spędzeniu nocy na suchym podłożu.

Do brzasku raczej nic nie zdziałałem, więc równie dobrze mogłem przeczekać tutaj. Leżenie w bloku nie mogło być przyjemne, lecz w moim skromnym kombinezonie jakoś powinienem to wytrzymać. Podczas poprzednich ekspedycji sypiałem w znacznie gorszych warunkach, teraz zaś wyczerpanie pomogło mi przemoc odrazę i wstręt. I oto jestem tu, wpołóżąc w centralnym pomieszczeniu, sporządzając w świetle mej elektrycznej lampy zapisy na zwoju raportowym. To, co mi się przytrafiło, jest poniekąd zabawne. Pomyśleć tylko! Zabłądziłem w budynku bez drzwi, budynku, którego nie widać! Niewątpliwie wydostane się stąd wczesnym rankiem i jeszcze przed południem wrócę z kryształem do Terra Novy. Jest przepiękny, jego blask widać nawet w słabym migotliwym świetle mojej lampy. Właśnie skończyłem go oglądać. Pomimo zmęczenia sen nachodzi mnie wolno, toteż sporo czasu poświęciłem na pisanie. Teraz muszę już przerwać. W tym miejscu raczej nie powinienem lękać się tych przeklętych tubylców. Najbardziej mierzi mnie bliskość trupa, ale na szczęście maska tlenowa działa bez zarzutu i oddziela mnie od najbardziej nieprzyjemnych wrażeń zapachowych. Żtaram się oszczędnie korzystać z kostek chloranu. Teraz zjem jeszcze kilka tabletek żywnościowych i trochę odpocznę. Ciąg dalszy później.

## **PÓŹNE POPOŁUDNIE 13 VI**

Miałem więcej kłopotów, niż się spodziewałem. Wciąż jestem w budynku i będę musiał działać szybko a roztropnie, jeżeli chcę dzisiejszą noc przespać na suchym gruncie. Długo trwało, nim w końcu zmorzył mnie sen, a dziś obudziłem się dopiero koło południa. Spałbym zapewne dłużej, gdyby nie promienie słońca przebijające przez mgłę. Trup nie był miłym dla oka

widokiem, wił się od oblepiających go sificlighów, a powyżej unosiła się chmara much farnoth. Coś zrzuciło z twarzy zmarłego hełm i teraz lepiej na nią nie patrzeć. Na myśl o tym ucieszyłem się podwójnie, że miałem na twarzy maskę tlenową.

Kiedy się w końcu osuszyłem i odrapałem ubiór z błota, łyknąłem kilka tabletek żywnościowych i włożyłem do elektrolizera maski nową kostkę chloranu potasu. Choć korzystałem z nich oszczędnie, wolałbym mieć większy zapas. Po przespanej nocy poczułem się nieco lepiej i wierzyłem, że już wkrótce wydostanę się z budowli.

Sprawdzając notatki i szkice, które sporządziłem, poraziła mnie złożoność układu korytarzy i ogrom możliwości popełnienia omyłki. Spośród sześciu wyjść z pomieszczenia centralnego wybrałem to, którym tu wszedłem, ufając, że niezawodny dotąd wzrok pozwoli mi wydostać się na zewnątrz. Gdy stałem w przejściu oddalony o pięćdziesiąt jardów trup znajdował się w linii prostej do lepidodendrona na skraju odległego lasu. Nagle uświadomiłem sobie, że wzrok może nie wystarczyć do odszukania przeze mnie wyjścia – odległość drzew od zwłok wydawała się nieco inna, niż gdy oszacowywałem ją wówczas, kiedy wszedłem po raz pierwszy do niewidzialnej budowli. Co więcej, drzewo nie różniło się zbyt od innego lepidodendrona widocznego na horyzoncie. Zastanawiając się nad tym, zaniepokoiłem się, że nie jestem w stanie określić, które z trzech wejść było tym właściwym.

Czy za każdym razem pokonywałem inną trasę?

Tym razem będę mieć pewność. Pomimo niemożliwości oznakowania drogi było coś, co mogłem pozostawić. Choć nie mogłem zdjąć kombinezonu, z uwagi na dość bujną czuprynę postanowiłem pozbyć się hełmu. Był on duży i na tyle jasny, że powinien być widoczny nawet w tym błocie. Zdjąłem go i położyłem u wejścia jednego z trzech korytarzy, który znajdował się najdalej po prawej i który zamierzałem spenetrować.

Wybrałem właśnie ten, licząc, że był właściwy, powtarzając marszrutę uznawaną przeze mnie za słuszną i raz po raz sporządzając bądź konsultując

notatki. Jeżeli nie zdołam się wydostać, dzięki temu systematycznemu działaniu wyczerpię wszystkie możliwości, a jeżeli i to nie przyniesie rezultatu, w ten sam sposób spenetruję korytarze sąsiedniego przejścia. Jeśli okaże się konieczne, sprawdzę również pasaż trzeciego z otworów wyjściowych. Prędzej czy później, niechybnie trafię do wyjścia, ale musiałem. Zachować cierpliwość. Nawet w najgorszym przypadku tę noc powinienem przespać w suchym miejscu.

Pierwsze wyniki raczej nie okazały się zachęcające, choć pomogły mi po niecałej godzinie wyeliminować prawą odnogę. Były to kolejne ślepe uliczki, kończące się w sporej odległości od trupa. Wkrótce zaś zorientowałem się, że poprzedniego popołudnia w ogóle nie zapuszczałem się z żadną z tych odnóg. Tak jak poprzednio, nie miałem większych problemów z powrotem do pomieszczenia centralnego.

Okolo pierwszej po południu przeniosłem mój hełm-znacznik do następnego przejścia i zacząłem badać znajdujące się za nim korytarze. Z początku wydawało mi się, że rozpoznaję te zakręty, lecz już niebawem znalazłem się w zupełnie mi nie znanych pasażach. Nie mogłem zbliżyć się do trupa i tym razem zostałem również odcięty od głównego pomieszczenia, mimo iż starannie notowałem wszystkie swoje posunięcia. Wydawało się, że tutejsze zwodnicze zakręty i połączenia przejść były zbyt skomplikowane, bym mógł nanieść je właściwie na sporządzane przez siebie prymitywne szkice, powoli też zaczęły mnie ogarniać zniechęcenie oraz gniew. Cierpliwość, rzecz jasna, weźmie w końcu górę, lecz moje poszukiwania będą z pewnością długotrwałe, żmudne i drobiazgowo.

O drugiej wciąż jeszcze krążyłem na próżno po dziwnych korytarzach – bez przerwy macając wokół siebie obiema rękami, popatrując raz po raz, to na hełm, to na trupa, i z coraz mniejszą pewnością siebie wprowadzając zapisy na zwoju. Przeklinałem głupotę i ciekawość, które sprowadziły mnie do tego labiryntu niewidocznych murów, i doszedłem do wniosku, że gdybym dal sobie spokój i ruszył w drogę powrotną natychmiast po wyjęciu

kryształu z rąk trupa, byłbym już dawno z powrotem w Terra Novie. Nagle przyszło mi na myśl, że może mógłbym wyrznąć nożem tunel pod niewidzialnymi ścianami i wydostać się tym skrótem na zewnątrz lub przynajmniej do głównego korytarza wyjściowego. Nie wiedziałem, na jaką głębokość sięgały fundamenty tej budowli, lecz wszechobecny muł zdawał się przeczyć obecności innego podłoża niż gleba. Oszacowując odległość od upiornego trupa, zacząłem zawzięcie kopać nożem o szerokim obosiecznym ostrzu. Półpłynne błocko miało jakieś sześć cali głębokości, pod nim zaś gęstość gruntu gwałtownie się zmieniała. Miał on inną konsystencję, gliniastą, szarą jak ta, której obecność zaobserwowano na Wenus na biegunie północnym. Stwierdziłem, że ziemia stawała się coraz twardsza. Wodnisty muł wpływał natychmiast do wyżłobionego przeze mnie otworu, zalewając jamę. chociaż to zupełnie nie umniejszało mego zapału do pracy. Gdyby udało mi się wyżłobić tunel pod niewidzialnym murem, błoto nie powstrzymałoby mnie przed przepłynięciem na drugą stronę.

Jednak na głębokości około trzech stóp twardość gruntu znacznym stopniu spowolniła tempo moich prac. Nigdy dotąd nie spotkałem się z równie nieustępliwą substancją, nawet na tej planecie, a co więcej, była ona równie twarda, co ciężka. Mój nóż musiał rozłupywać i wydłubywać kawałki zbitej, twardej gliny, a bryłki, które wygrzebywałem, przypominały kamienie lub odłamki metalu. Wreszcie nawet rozłupywanie i wydłubywanie stało się niemożliwe i musiałem przerwać pracę, nie dotarwszy do dolnej krawędzi niewidzialnego muru.

Ta trwająca godzinę próba okazała się fatalna w skutkach, nie dość bowiem, że nie zdołałem się wydostać, to jeszcze straciłem podczas niej mnóstwo energii i musiałem spożyć dodatkową tabletkę żywnościową oraz włożyć kolejną kostkę chloranu do mojej maski tlenowej. Nie mogłem więc podjąć dalszych poszukiwań, byłem bowiem kompletnie wyczerpany i z trudem utrzymywałem się na nogach. Oczyszczywszy z błota dłonie i ramiona, usiadłem, by sporządzić te notatki, opierając się plecami o niewidzialną

ścianę, tak by nie widzieć gnijącego trupa.

To ciało jest teraz jedną wielką wijącą się masą ścierwojadów, trupi odór ściągnął tu z odległej dżungli kilka oślizgłych okmanów. Zauważyłem, że sporo efjehów, pasożytniczych roślin z równiny, wyciągnęło w stronę truchła swoje nekrofagiczne wici, wątpię jednak, czy są one dość długie, by mogły go dosięgnąć. Chciałbym, aby pojawiły się drapieźniki w rodzaju skorahów. Mogłyby mnie zwietrzyć i spróbować dostać się do mnie. Takie stworzenia dysponują niezwykłym zmysłem orientacji. Mógłbym je obserwować i zapisywać trasę pojedynczego osobnika lub całej grupy. Nawet to mogłoby mi bardzo pomóc. A gdyby tu dotarły, rozprawiłbym się z nimi za pomocą mego pistoletu.

Nie mogę jednak zbyt na to liczyć. Teraz, gdy sporządzę te notatki, odpocznę przez pewien czas, a później znów zacznę szukać. Gdy tylko wrócę do pomieszczenia centralnego – co powinno być względnie proste – spróbuję szczęścia w pierwszym korytarzu po lewej. Może jednak mi się uda i jeszcze przed zmierzchem wydam się na zewnątrz.

## **NOC 13 VI**

Nowe kłopoty. Moja ucieczka będzie wyjątkowo trudna, gdyż pojawiły się przeszkody, których nie przewidziałem. Czeka mnie kolejna noc w błocie, a jutro zapewne także walka.

Skróciłem czas odpoczynku i wstałem już o czwartej, by znów zacząć szukać. Piętnaście minut zajęło mi dotarcie do pomieszczenia centralnego i wtedy przeniosłem mój hełm pod ostatnie z trzech przejść. Po wejściu do korytarza odniosłem wrażenie, że widzę znajome pasaż, lecz niecałe pięć minut później, porażony widokiem, stanąłem jak wryty. Nie potrafię opisać tego, co wówczas poczułem. Ujrzałem grupkę czterech lub pięciu odrażających jaszczuroludów wyłaniających się z lasu po drugiej stronie równiny. Z tej odległości nie widziałem ich wyraźnie, lecz wydawało mi się,

że przystanąły i odwróciły się w stronę drzew, żywo gestykułując, po czym dołączył do nich jeszcze tuzin. Ta gromadka zaczęła iść w stronę niewidzialnej budowli, ja natomiast przyjrzałem się im uważnie. Nigdy dotąd nie widziałem tych stworów z bliska, poza parnymi, pełnymi cieni ostępami dżungli.

Podobieństwo do gadów było wyraźne, choć powierzchowne, gdyż istoty te nigdy nie miały styczności z fauną Ziemi. Gdy się zbliżyły, stwierdziłem, że przypominają gady ze względu na płaskie łby i zieloną, pokrytą śluzem, jakby żabią skórę. Szły wyprostowane na swych dziwacznych, grubych kończynach, a zdobiące je przywry pluskały, zanurzając się w gęstym bloku. Były to przeciętne osobniki, wzrostu około siedmiu stóp z czterema długimi, włóknistymi mackami piersiowymi. Ruchy tych macek – jeśli teorie Fogga, Ekberga i Janata są słuszne, w co wcześniej wątpiłem, lecz teraz jestem niemal gotów uwierzyć – wskazywały, że istoty prowadziły między sobą ożywiony dialog.

Wyjąłem mój miotacz ognia i nastawiłem się na ostrą walkę, sytuacja nie przedstawiała się najlepiej, lecz broń dawała mi przewagę. Jeśli jaszczuroludy znały tę budowlę, przyjdą tu po mnie, dając tym samym szansę wydostania się na zewnątrz, tak jak w przypadku skorahów. To, że zaatakują, było wręcz pewne, jeśli bowiem nie widziały kryształu, który miałem w kieszeni, niechybnie musiały wyczuwać jego obecność za pomocą swych niewiarygodnych zmysłów.

A jednak nie zaatakowały. To było zdumiewające. Miał tego rozproszyły się i uformowały dokoła mnie rozległy krąg, stając niemal tuż na skraju niewidzialnego muru.

Ustawiwszy się wkoło, zaczęły pytająco gapić się na mnie w milczeniu, poruszając lekko mackami i od czasu do czasu kiwając głowami lub wykonując nieznaczące gesty górnymi kończynami. Po dłuższej chwili leżałem wyłaniające się z lasu kolejne jaszczuroludy, one również zbliżyły się i dołączyły do swoich pobratymców. Te znajdujące się najbliżej trupa

popatrywały nań spod oka, lecz żaden nawet nie próbował zbliżyć się do zwłok, a co dopiero ich dotknąć. Widok był zaiste odrażający, lecz na jaszczuroludach nie obił chyba większego wrażenia. Od czasu do czasu jeden z nich odganiał kończynami lub mackami natarczywe muchy farnoth lub miażdżył pod stopami zaopatrzonymi w przyłgi oślizgłego sificligha, akmana bądź wić rośliny efjeh.

Spoglądając na tych groteskowych, niespodziewanych intruzów i zastanawiając się, dlaczego mnie od razu nie zaatakowali, straciłem na czas pewien wolę i energię do poszukiwań wyjścia. Miast tego oparłem się plecami o niewidzialną ścianę przejścia, gdzie stałem, pozwalając, by ciąg zdumiewających okoliczności ożywił w moich myślach najbardziej fantastyczne przypuszczenia. Setka zagadek, które wcześniej nie dawały mi spokoju, zdawała się nabierać nowego, złowrogiego znaczenia, i aż zadrżałem z trwogi tak dojmującej, jakiej nigdy dotąd nie zaznałem. Chyba wiedziałem już, dlaczego te odrażające istoty krążyły mnie wyczekująco. Wierzyłem też, że odgadłem w końcu sekret przezroczystej budowli. Zwodniczy kryształ, który zdobyłem, ciało mężczyzny, który wcześniej był w jego posiadaniu, wszystkie te elementy zaczęły nabierać mrocznego, groźnego charakteru. To nie fatalny zbieg okoliczności sprawił, że zgubiłem się w tej niezadaszonej gmatwaninie korytarzy. Wręcz przeciwnie. Bez wątpienia to prawdziwy labirynt, wzniesiony celowo przez te piekielne istoty, których zdolności twórczych i mentalnych dotąd nie docenialiśmy. Czyż jednak nie podejrzewałem tego już wcześniej, wiedząc o ich niezwykłych uzdolnieniach architektonicznych? Cel był aż nadto jasny. Była to pułapka, pułapka na ludzi, a przynętę stanowił kryształowy sferoid. Te jaszczuroludy w swojej wojnie ze zbieraczami kryształów zmieniły strategię działania, wykorzystując swój największy atut przeciwko nam.

Dwight, jeśli te rozkładające się zwłoki to rzeczywiście był on, stał się ofiarą pułapki. Musiał wpaść w nią dawno temu i nie udało mu się znaleźć wyjścia. Brak wody doprowadził go zapewne do obłądu i być może zabrakło

mu też kostek chloranu. Prawdopodobnie maska nie spadła mu przypadkiem. Podejrzewam, że było to raczej samobójstwo. Lepsze to niż powolna śmierć. Zapewne sam odpiął maskę, pozwalając, by zabójcza mieszanina gazów tutejszej atmosfery pozbawiła go życia szybciej i mniej boleśnie. Ironia losu polegała na tym, że jego ciało spoczywało zaledwie o kilka stóp od zbawienego wyjścia, którego nie zdołał odnaleźć. Zaledwie jedna minuta poszukiwań więcej i byłby bezpieczny.

A teraz ja tak jak on wpadłem w pułapkę. Byłem uwięziony, a ta zgraja osobliwych gapiów zdawała się drwić z moich poczynań. Ta myśl doprowadzała do szału, a gdy w pełni pojąłem jej sens, ogarnęła mnie krótkotrwała panika powodująca, że bez celu jałem krążyć po niewidzialnych korytarzach. Zachowywałem się jak szaleniec, potykając się, obijając i wpadając na niewidzialne ściany, aż w końcu runąłem w błoto niczym zdyszana, poturbowana, podrapana i bezmyślna bryła krwawiących tkanek. Upadek nieco mnie otrzeźwił, a gdy podniosłem się, powoli zacząłem baczniej zwracać uwagę na szczegóły i zmusiłem do działania mój umysł. Obserwatorzy kołysali mackami w dziwny, nieregularny sposób, sugerujący śmiech i drwinę. Kiedy wstałem, pogroziłem im srodze pięścią. Mój gest wywołał u nich kolejną falę posępnego rozbawienia, kilka istot spróbowało go nawet mechanicznie naśladować górnymi zielonkawymi kończynami. Zawstydzony i skonsternowany, spróbowałem na zimno oszacować sytuację.

Bądź co bądź znajdowałem się w lepszym niż Dwight położeniu. W przeciwieństwie do niego orientowałem się w sytuacji, a jak wiadomo, człowiek ostrzeżony przed niebezpieczeństwem łatwiej może się obronić. Miałem dowód, że wyjście mimo wszystko istniało, i nie powtórzę jego tragicznego gestu rozpacz. Ciało, raczej szkielet, gdyż niewiele zeń już zostało, wciąż miałem przed sobą, w charakterze przewodnika poszukiwanego wyjścia, i nieugięta cierpliwość z pewnością pozwoli mi je odnaleźć, jeśli tylko będę działał rozumnie i dostatecznie długo.

Przeszkadzała mi, rzecz jasna, obecność tych gadopodobnych diabłów.



Teraz, gdy uświadomiłem sobie naturę pułapki, której niewidzialny budulec wykraczał poza możliwości naukowe i technologiczne znane ludzkości na Ziemi – nie mogłem wątpić w uzdolnienia umysłowe i architektoniczne moich wrogów. Nawet mając do dyspozycji miotacz ognia, musiałem liczyć się dużymi problemami podczas ucieczki, aczkolwiek odwaga i szybkość na dłuższą metę powinny pozwolić mi dopiąć swego. Najpierw jednak muszę wydostać się na zewnątrz – chyba że uda mi się zwabić lub sprowokować kilka z tych istot, by się do mnie zbliżyły. Z bronią gotową do strzału, z całkiem sporym zapasem amunicji, przyszło mi na myśl, by sprawdzić efekt działania ładunków na niewidzialnej ścianie. Czy przeoczyłem tak banalny w swej prostocie sposób ucieczki? Nie znałem składu chemicznego przezroczystej bariery, lecz nie mogłem wykluczyć, że płomień z mojego pistoletu przepali ją jak nóż kawałek sera. Wymierzywszy w ścianę w pobliżu trupa, wypaliłem, a potem sprawdziłem to miejsce nożem. Nic się nie zmieniło. Widziałem, jak ogień się rozchodzi, uderzając w niewidoczną przegrodę, a teraz uświadomiłem sobie płonność mych nadziei. Jedyne długie, żmudne poszukiwania pozwolą mi wydostać się na zewnątrz. Łyknąłem kolejną tabletkę żywnościową i włożywszy do elektrolizera maski jeszcze jedną kostkę, podjąłem moją wędrówkę. Wróciłem do centralnego pomieszczenia i zacząłem od nowa.

Bez przerwy sprawdzałem notatki i szkice, sporządzając następne. Trafiałem do jednego ślepego korytarza za drugim, lecz w przyпіływie desperacji nie zaprzestałem mych poszukiwań aż do zmierzchu. Podczas poszukiwań raz po raz zerkąłem na milczący krąg drwiących i przyglądających mi się obcych obserwatorów, by stwierdzić, że ich liczba co pewien czas się zmieniała. Niektórzy wracali do lasu, a na ich miejsce przybywali następni.

Im dłużej zastanawiałem się nad ich taktyką, tym większą czułem do nich niechęć, gdyż zacząłem pojmować potencjalne motywy, które nimi kierowały. Stworzenia te w każdej chwili mogły podejść i podjąć ze mną

walkę, lecz wolały najwyraźniej obserwować moje desperackie próby ucieczki. Podejrzywałem, że przypadło im to do gustu, a tym samym perspektywa dostania się w ich łapy wydawała mi się coraz mniej kusząca.

O zmroku zaprzestałem poszukiwań i usiadłem w błocie, by odpocząć. Teraz piszę te notatki w świetle mojej lampy i niebawem spróbuję choć trochę się przespać. Mam nadzieję wydostać się stąd nazajutrz, zostało mi już bowiem niewiele wody, a tabletki lacołu są jej marnym substytutem. Nie odważyłbym się pić tego mętnego błocka, a wszelka woda na tej planecie nie nadaje się do picia, chyba że zostanie poddana oczyszczeniu. Oto, dlatego przeciągnęliśmy rurociąg do obszarów występowania żółtej gliny lub skorzystamy z deszczówki, gdy te łuskowate diabły odnajdą i przecinają nasze rury. Zaczyna mi już także brakować kostek chloralu, muszę ograniczyć możliwie jak najbardziej zużycie tlenu. Próba zrobienia podkopu wczesnym popołudniem i późniejszy wywołany paniką bieg wzdłuż niewidocznych korytarzy kosztował mnie sporo tlenu. Jutro ograniczę do minimum wysiłek fizyczny, zachowując rezerwy na spotkanie i ewentualną rozprawę z jaszczuroludami.

Potrzebuję sporego zapasu kostek na drogę powrotną do Terra Novy. Moi wrogowie wciąż są w pobliżu – widzę dokoła krąg ich migotliwych pochodni. W światełkach tych jest coś upiornego, coś, co nie pozwala mi zasnąć.

## **NOC 14 VI**

Kolejny dzień poszukiwań i wciąż nic! Nie znalazłem wyjścia, zaczynam się martwić o wodę, gdyż moją manierkę opróżniłem do cna w południe. Później padał deszcz i wróciłem do pomieszczenia centralnego po hełm, który pozostawiłem jako znacznik. Teraz używając go jako miski, zebrałem trochę deszczówki. Większość już wypilem, resztę zaś przelałem do manierki. Tabletki lacołu na pewien czas pozwolą mi ugasić pragnienie i

mam nadzieję, że w nocy znów będzie padać. Zostawiłem mój hełm odwrócony, by nałapać wody. Tabletek żywnościowych również zaczyna mi brakować, ale na razie jeszcze się nie martwię. Od tej pory zmniejszam swoje racje o połowę. Kostki chloranu – to niepokoi mnie najbardziej, gdyż nawet bez nadmiernego wysiłku sporo ich zużyłem, przez cały dzień włączając się po labiryncie. Czuję się słaby, wskutek niedotlenienia i wciąż męczącego mnie pragnienia. Mniejsza ilość pożywienia sprawi zapewne, że osłabnę jeszcze bardziej.

W tym labiryncie jest coś odrażającego, coś niesamowitego. Mógłbym przysiąc, że dzięki zapisom wyeliminowałem pewne pasaże i skrzyżowania, a jednak z każdą nową próbą moje odkrycie zadaje kłam informacjom zawartym w notatkach i szkicach. Nigdy dotąd nie zdawałem sobie sprawy, jak jesteśmy zagubieni bez punktów orientacyjnych. Ślepiec poradziłby sobie lepiej, lecz dla większości z nas wzrok jest najbardziej wyczulonym ze zmysłów. Efektem tych bezowocnych wędrówek jest jedno wielkie rozczarowanie i zniechęcenie. Teraz już rozumiem, jak musiał czuć się biedny Dwight. Jego trup to już jedynie szkielet, a sificlighy, akmany i muchy farnoth odeszły. Pnącza efjeh rozdzierały na strzępy skórzane odzienie, były bowiem dłuższe i rosły szybciej, niż się spodziewałem. Przez cały czas ta gromada oślizgłych obserwatorów stoi wokół niewidzialnej bariery, śmiejąc się ze mnie i szydząc z mej niedoli. Jeszcze jeden dzień i oszaleję, chyba że wcześniej padnę trupem z wycieńczenia.

Muszę jednak dalej robić swoje. Dwight wydostałby się z tej pułapki, gdyby wytrzymał choć minutę dłużej. Całkiem możliwe, że ktoś z Terra Novy zjawi się tu wkrótce, poszukując mnie, choć poza bazą przebywam zaledwie od trzech dni. Mięśnie potwornie mnie bolą, a leżąc w tym ohydny blok, w ogóle nie odpoczywam. Zeszłej nocy pomimo potwornego zmęczenia spałem krótko i obawiam się, że i tej nocy nie będzie lepiej. śyję w niemającym końca koszmarze – uwięziony między jawą a snem, a mimo to nie sypiam naprawdę ani się naprawdę nie budzę. Przez pewien czas nie będę

w stanie nic napisać, trzęsą mi się bowiem ręce. Ten krąg migotliwego światła łuno-pochodni jest odrażający.

## **PÓŹNE POPOŁUDNIE 15 VI**

Znaczny postęp! Wygląda całkiem nieźle. Jestem bardzo słaby i nie spałem do brzasku. Potem zdrzemnąłem się do południa, lecz wcale nie wypocząłem. Nie padało, brak wody i związane z tym pragnienie mocno mnie osłabia. Zjadłem dodatkową tabletkę, by jakoś funkcjonować, lecz bez wody niewiele to dało. Raz, odważyłem się nawet wypić odrobinę tej błotnistej cieczy, ale od razu miałem mdłości i poczułem jeszcze większe pragnienie niż dotychczas. Muszę oszczędzać kostki chloralu, bo prawie się już duszę z braku tlenu. Nie mogę chodzić, czołgam się tylko w mule i błocie. Około drugiej po południu odniosłem wrażenie, że rozpoznaję niektóre korytarze i zbliżyłem się znacznie do trupa – czy raczej – szkieletu – dużo bardziej niż podczas wcześniejszych prób, w dniach poprzednich. Raz zbłądziłem w ślepej uliczce, ale wróciłem na właściwy trop, posługując się szkicami i notatkami. Jest ich tak wiele, że chwilami się gubię. Zajmują dobre trzy stopy zwoju zapisowego i by go rozwinąć, muszę robić długie, zgoła niepożądane przerwy. Jestem strasznie osłabiony wskutek pragnienia, niedotlenienia i wyczerpania, zapewne dlatego nie potrafię pojąć sensu moich pospiesznie sporządzanych notatek. Te przekłete zielone stwory wciąż patrzą na mnie i śmieją się, wywijając mackami, a niekiedy gestykują nimi w taki sposób, jakby opowiadały sobie jakiś upiorny żart, którego nie jestem w stanie pojąć.

O trzeciej przeżyłem prawdziwy przełom. Natrafiłem na przejście, którego, zgodnie z tym, co miałem w notatkach, wcześniej nie spenetrowałem, a kiedy podjąłem próbę, stwierdziłem, że tą drogą mogę dotrzeć ku oplecionemu pnączami kościotrupowi. Pełzłem po spirali, jak wtedy gdy po raz pierwszy znalazłem się w pomieszczeniu centralnym.

Docierając do poprzecznego korytarza lub rozgałęzienia dróg, starałem się obierać kurs najbliższy temu z mojej pierwszej wędrówki. Gdy okrążałem coraz ciaśniej i ściślej mój upiorny drogowskaz, obserwatorzy na zewnątrz zareagowali wzmożeniem intensywności tajemniczych gestów i sardonicznego, cichego śmiechu. Najwyraźniej w moich postępkach było coś, co wydało się im zabawne, prawdopodobnie Wyobrażali sobie, że wydostawszy się z labiryntu, wycieńczony i bezradny, zdany będę w zupełności na ich łaskę i niełaskę. Pozwoliłem im, by radowali się swą pozorną przewagą, bo świadom mego obecnego stanu fizycznego, mogłem po wyjściu stąd liczyć wyłącznie na mój pistolet i sporą ilość zapasowych magazynków, by przebić się przez kordon plugawych jaszczuroludów. Odzyskałem nadzieję, lecz nie próbowałem się podnosić. Teraz wolałem pełzać i oszczędzać siły na zbliżającą się konfrontację z jaszczuroludami. Posuwałem się naprzód bardzo wolno, a niebezpieczeństwo zabrnięcia w ślepa uliczkę było całkiem spore, niemniej wszystko wskazywało, że zdążam nieuchronnie ku memu kościstemu, posepnemu celowi. Ta myśl dodała mi sił i na chwilę przestałem przejmować się bólem, pragnieniem i coraz szczuplejszym zapasem kostek chloralu. Istoty zgromadziły tłumnie wokół wejścia, gestykułując, podskakując i wykonując mackami ruchy świadczące o rozbawieniu. Zdawałem sobie sprawę, że już wkrótce przyjdzie mi stawić czoło całej ich hordzie i być może również posiłkom przybyłym z lasu.

Od szkieletu dzieli mnie już tylko kilka jardów, robię następną przerwę, by nanieść ten zapis, zanim wydostanę się z labiryntu i podejmę walkę z jaszczuroludami. Mimo miażdżącej przewagi liczebnej jestem w stanie zmusić je do ucieczki, gdyż mój pistolet ma ogromny zasięg. Potem odpocznę na mchu, na skraju płaskowyżu, a rankiem czeka mnie forsowny marsz do Terra Novy. Będę rad, jeśli znów ujrzę żywych ludzi i wzniesione przez nich budowle. Zęby tej czaszki błyszczą i szczerzą się upiornie.

**PRZED NOCĄ 15 VI**

Koszmar i rozpacz. Znów zbłądziłem! Po sporządzeniu ostatniego zapisu zbliżyłem się do szkieletu jeszcze bardziej, lecz nagle napotkałem na swej drodze niewidzialną ścianę.

Ponownie dałem się zwieść i najwyraźniej wróciłem do miejsca, gdzie byłem przed trzema dniami, podczas mej pierwszej, bezowocnej próby opuszczenia labiryntu. To niemożliwe, bym krzyczał w głos. Byłem chyba zbyt słaby, by wydobyć z siebie jakiś dźwięk. Leżałem długo w błocie, kompletnie oszołomiony, podczas gdy zielonkawe istoty na zewnątrz podskakiwały, śmiały się i wywijaly mackami.

Jakiś czas później odzyskałem pełną świadomość. Pragnienie, osłabienie i niedotlenienie dawały mi się nielicho we znaki, resztką sił włożyłem do elektrolizera nową kostkę. Postąpiłem nierozważnie, nie bacząc na konieczność zachowani a rezerwy na podróż do Terra Novy. Świeży tlen trochę mnie ożywił i czujniej rozejrzałem się wokoło.

Znalazłem się chyba nieco dalej od nieszczęsnego Dwighta niż podczas mojej pierwszej bezowocnej próby i zacząłem ufać, że jakimś zrzędzeniem losu trafiłem do innego, odrobinę bardziej odległego korytarza. Z tą tłącą się w mym sercu iskierką nadziei ruszyłem z trudem naprzód, lecz kilka stóp dalej, tak jak poprzednio napotkałem niewidzialną ścianę. I to już w zasadzie był koniec. Po trzech dniach nigdzie nie dotarłem i opadłem z sił. Niebawem wskutek męczącego pragnienia popadnę w obłąd i być może nie wystarczy mi kostek na powrót do bazy. Prawdopodobnie dlatego tak ze mnie drwiły i szydziły – pozwoliły mi sądzić, że zbliżam się do wyjścia, które nie istniało.

To już nie potrwa długo, choć nie zamierzam jak Dwight przyspieszać chwili rozstania się z życiem. Jego wyszczerzona czaszka odwróciła się właśnie w moją stronę, poruszona wędrującym pnączem rośliny efjeh, która pożera jego skórzany kombinezon. To potworne spojrzenie pustych, ziejących oczodołów jest gorsze niż ślepią gapiących się na mnie jaszczuroludów. Nadaje upiornego znaczenia temu martwemu uśmiechowi

wyszczierzonych, białych zębów.

Będę leżał w błocie nieruchomo i oszczędzał siły możliwie jak najdłużej. Ten zapis, który, mam nadzieję, dostanie się jako ostrzeżenie w czyjeś ręce, wkrótce skończę. Gdy przestanę pisać, de długo odpoczywał. A kiedy zrobi się wystarczająco ciemno, te przerażające stworzenia nie widziały, co robię, spróbuję zebrać w sobie resztki sił i przerzucić zwój ponad ścianą i sąsiednim korytarzem na równinę za nimi. Postaram się cisnąć go jak najbardziej w lewo, by nie trafić żadnego z tej podskakującej gromady łuskoskórych, drwiących ze mnie potworów. Może przepadnie na zawsze w błocie, a może wyląduje na kępie chwastów i trafi w ręce ludzi. Jeśli przetrwa i zostanie przeczytany, może uczynić znacznie więcej niż tylko przestrzec ludzi przed tą pułapką. Mam nadzieję, że zdoła nauczyć naszą rasę, by pozostawiła te lśniące kryształy tam, gdzie się znajdują. One są własnością Wenus. Nasza planeta wcale ich nie potrzebuje i jestem przekonany, że usiłując je zdobyć, pogwałciliśmy jakieś nieznane i tajemnicze prawo, pradawne prawo zagubione gdzieś hen w otchłani kosmosu. Któż wie, jakie mroczne, rozległe i niezmierzone potęgi nakłaniają do działania te jaszczuroludy, które tak osobiście strzegą swego skarbu? Dwight i ja zapłaciliśmy cenę za pazerność, podobnie jak inni przed nami i wielu, którzy przyjdą po nas.

Te pojedyncze śmierci mogą być jednak tylko małym preludium do przeraźliwego i posępnego koszmaru. Pozostawmy Wenus to, co należy wyłącznie do niej.

Jestem bliski śmierci i obawiam się, że kiedy nadejdzie zmierzch, nie zdołam przerzucić zwoju ponad ścianą. Jeśli tego nie uczynię, zwój może dostać się w łapy jaszczuroludów. Nie będą chciały, by ktokolwiek został ostrzeżony przed zagrożeniem; labiryntu, i nie dowiedzą się, że moje przesłanie jest także próbą zapewnienia im spokoju. W miarę jak zbliża się koniec, czuję do nich coraz większą sympatię. W skali kosmicznej któż jest w stanie stwierdzić, który gatunek stoi wyżej czy choćby zbliża się i hipotetycznej normy przeznaczonych we wszechświecie dla istot rozumnych –

ich czy może mój?

Wyjąłem z kieszeni wielki kryształ, by nacieszyć nim ócz w mych ostatnich chwilach. W czerwonym blasku dogorywającego dnia kryształ błyszczący ognicie i groźnie zarazem. Podskakująca horda dostrzegła to, a ich gesty zmieniły się w sposób, którego nie pojmuję. Zastanawiam się, dlaczego zgromadziły się tłumnie wokół wejścia, miast stanąć bliżej przy przezroczystym murze. Ogarnia mnie odrętwienie i nie jestem już w stanie dłużej pisać.

Wszystko wokoło wiruje, lecz nie tracę świadomości. Czy uda mi się to przerzucić przez mur? Kryształ wciąż silnie błyszczący, lecz nieuchronnie nadchodzi zmierzch.

Mrok. Jestem bardzo słaby. One wciąż się śmieją i podskakują przy wejściu. Zapaliły te okropne łunopochodnie. Odchodzę? Śniło mi się, że słyszałem jakiś dźwięk... ujrzałem światło na niebie...

#### RAPORT WESLEYA P. MILLERA ZW. GR. A. KOMPANIA „KRYSTAŁ”

Nasz pracownik operacyjny A-49, Kenton J. Stanfield, zam. w Richmond, Va przy Marshall Street 5B17, opuścił bazę Terra Nova 12 VI na krótki wypad do obszaru wskazanego przez detektor kryształów. Miał wrócić 13 lub 14. Nie pojawił się do wieczora 15 VI, toteż o ósmej wieczorem wyruszył tą drogą samolot zwiadowczy Fr-58 ze mną i pięcioma podkomendnymi na pokładzie. Igła nie wykazywała zmian w stosunku do wcześniejszych odczytów.

Podążyliśmy za wskazaniem detektora na wyżynę Eryksu, przez cały czas przepatrując teren poniżej za pomocą silnego reflektora. Broń ogniowa o potrójnym zasięgu i cylindry D-radiacyjne były w stanie zmusić do odwrotu największą nawet grupę wrogich zazwyczaj tubylców czy stado drapieżnych skoraków.

Znalazszy się nad rozległą wyżyną Eryksu, ujrzeliśmy poruszające się światła. Najprawdopodobniej były to łuno-pochodnie, których używają



tubylcy. Gdy się zbliżyliśmy, istoty czym prędzej pierzchły do lasu. Było ich około 75 do 100. Detektor wskazał obecność kryształu w miejscu, wokół którego się gromadziły. Opuściwszy nisko maszynę, w świetle naszych reflektorów ujrzeliśmy to, co znajdowało się na ziemi. Był to szkielet omotany pnączami efjeh i oddalony o dziesięć stóp od niego martwy mężczyzna.

Zeszliśmy jeszcze niżej, by wylądować obok ciała, gdy róg skrzydła maszyny uderzył w jakąś niewidoczną przeszkodę. Podchodząc do ciała, zatrzymaliśmy się, napotkawszy nagle gładką, niewidzialną barierę, która bardzo nas wszystkich zaskoczyła. Wkrótce potem odnaleźliśmy otwór, za którym znajdował się korytarz z kolejnym otworem prowadzącym do kościotrupa.

Ten ostatni, choć odarty z odzienia przez żarłoczne rośliny, miał obok siebie jeden z metalowych, numerowanych hełmów kompanii. Był to pracownik operacyjny B-9, Frederick N. Dwight z wydziału Koeniga, który opuścił Terra Novę na dwa miesiące w celu wykonania specjalnej misji.

Między szkieletem a świeżym trupem zdawała się istnieć inna ściana, bez trudu jednak zidentyfikowaliśmy tego mężczyznę jako Stanfielda.

W lewym ręku trzymał zwój zapisowy, a w prawej pióro i najwyraźniej korzystał z nich aż do śmierci. Nie zauważyliśmy kryształu, lecz detektor wskazywał obecność olbrzymiego okazu przy ciele Stanfielda.

Mieliśmy sporo trudności z dotarciem do niego. Ciało wciąż było ciepłe, a obok w błocie leżał wielki kryształ. Natychmiast przestudiowaliśmy treść zwoju, który trzymał w dłoni, i na tej podstawie podjęliśmy pewne kroki. Zawartość raportu, którego zasadniczą część zweryfikowaliśmy, a który stanowi wstęp niniejszego zapisu, zdaje się tłumaczyć to, co tam odnaleźliśmy. Ostatnie fragmenty najwyraźniej świadczą o postępującym obłądzeniu, lecz nie ma podstawy, by wątpić w ich główny sens. Stanfield zmarł ewidentnie wskutek pragnienia, niedotlenienia, wycieńczenia i depresji psychicznej. Maskę miał wciąż na twarzy a przetwornik tlenu działał na pełną

moc, pomimo iż Stanfieldowi nie zostało już wiele kostek do aparatu. Nasz samolot został, uszkodzony, wysłaliśmy meldunek i wezwaliśmy Andersena z samolotem naprawczym FG-ś, grupą minerów i sporą ilością ładunków wybuchowych. Nim nadszedł świt, FH-58 był już naprawiony i pod dowództwem Andersona wracaliśmy do bazy, wraz z dwoma trupami i kryształem. Pogrzebiemy Dwighta i Stanfielda na cmentarzu Kompanii, kryształ zaś wyślemy do Chicago na pokładzie najbliższego lecącego na Ziemię frachtowca. Później postąpimy zgodnie z sugestią Stanfielda – zawartą w początkowej, logicznej części raportu – i sprowadzimy tu dość wojska, by wyrznąć w pień tych przebrzydłych tubylców. Oczyszczeni teren, będziemy mogli zebrać tyle kryształów, ile tylko się da.

Po południu z wielką uwagą przyjrzelśmy się niewidzialnej budowli czy – raczej należałoby rzec – pułapce, zbadaliśmy ją, posługując się długimi linami zabezpieczającymi, i sporządziliśmy dokładny schemat z przeznaczeniem do akt. Wzór ten wywarł na nas ogromne wrażenie. Próbkę nieznanej substancji zachowamy, by poddać je analizie chemicznej. Cała ta wiedza z pewnością okaże się użyteczna, kiedy już zajmiemy miasta tubylców. Nasze diamentowe wiertła typu C zdołały wywiercić otwory w niewidzialnym materiale, a nasi minerzy zakładają w nich teraz ładunki dynamitu, by obrócić całą tę budowę w perzynę.

Kiedy skończymy, nie pozostanie po niej zupełnie nic. Taka budowla stanowi ogromne zagrożenie dla ruchu naziemnego i powietrznego.

Jeżeli chodzi o plan labiryntu, jeden fakt zakrawa na ironię, zarówno w przypadku fatalnego losu Dwighta, jak i Stanfielda. Próbując dotrzeć od szkieletu do drugiego trupa, nie zdołaliśmy odnaleźć wejścia po prawej, lecz Markheim natrafił na inne, prowadzące z pierwszego pomieszczenia wewnętrznego oddalonego o jakieś piętnaście stóp od Dwighta i cztery czy pięć od Stanfielda. Za nim rozciągał się długi korytarz, który spenetrowaliśmy dopiero potem, lecz po prawej jego stronie znajdowało się jeszcze jedno wejście wiodące bezpośrednio do trupa. Stanfield mógłby

dotrzeć do wyjścia na zewnątrz, pokonawszy nie więcej niż odległość dwudziestu dwóch, dwudziestu trzech stóp, gdyby tylko natrafił na przejście, znajdujące się dokładnie z tyłu, za jego plecami, otwór, który, wyczerpany i ogarnięty rozpaczą, zwyczajnie przeoczył.

## Zły Duchowny

Posępny, z wyglądu inteligentny mężczyzna ze stalowoszarą brodą, w skromnym odzieniu, wprowadził mnie do pomieszczenia na poddaszu i przemówił tymi słowy:

– Tak, On tu właśnie mieszkał, ale nie radzę panu nic robić. Ciekawość czyni pana nieodpowiedzialnym. My nigdy nie przychodzimy tu nocą, dlatego, że On tak chce. Wie pan co On zrobił? To przerażające Stowarzyszenie zajęło się nim na swój sposób, i nie wiemy gdzie do pochowano. na Stowarzyszenie nie ma żadnego prawa. Jest nietykalne.

– Mam nadzieję, że nie zostanie pan tu po zmierzchu. I błagam, aby nie dotykał pan tej rzeczy na stole, rzeczy, która wygląda jak pudełko zapalek. Mię wiemy co to takiego, ale podejrzewamy, że ma coś wspólnego z tym co On zrobił. Staramy się nawet na to nie patrzeć.

Po jakimś czasie mężczyzna pozostawił mnie na poddaszu samego. Pokój był obskurny i zakurzony, wystrój spartański, ale mimo wszystko panował tu porządek –z całą pewnością nie mieszkał tu biedak ze slumsów. Półki ugięły się pod ciężarem ksiąg z dziedziny teologii i klasyki, na innej zaś szafce stały traktaty dotyczące magii: dzieła Paracelsusa, Albertusa Magnusa, Trithemiusa, Mermesa Trismegistusa, Borellusa i inne, w dziwnych językach, których tytułów nie potrafiłem odczytać. Mebli było niewiele. Jedyne drzwi były drzwiami od szafy. Do pokoju wchodziło się przez uchyloną klapę w podłodze, do której prowadziły toporne, strome, drewniane schody. Okna były okrągłe, jak tarcze strzelnicze, a czarne, dębowe belki stropowe, wydawały się niewiarygodnie stare. Mię ulegało wątpliwości, iż dom ten należał do Starego Świata.

Myślałem wtedy, że wiem gdzie jestem, ale nie pamiętam, co wówczas

wiedziałem. Z całą pewnością, miasto nie było Londynem. Odniosłem wrażenie jakbym znajdował się w niewielkim, portowym miasteczku.

Moją uwagę przykuł niewielki przedmiot leżący na stole. Wydawało mi się, że wiem co należy z tym zrobić, gdyż wyjąłem z kieszeni latarkę – lub coś co ją przypominało – i kilkakrotnie, nerwowo sprawdziłem czy działa. Światło nie było białe, lecz fioletowe i bardziej niż prawdziwe światło przypominało radioaktywne bombardowanie. Pamiętam, że nie uważałem tego za zwykłą latarkę – gdyż faktycznie, takową miałem w drugiej kieszeni.

Zmierzchało, a stare dachy i kominy na zewnątrz wyglądały bardzo dziwnie przez okrągłe szyby okien. Ostatecznie, zebrałem się na odwagę i oparłem niewielki przedmiot leżący na stole o książkę – po czym skierowałem nań promienie dziwnego, fioletowego światła. Promień latarki wydawał się teraz rozbity, przypominał bardziej rozproszone krople deszczu albo drobne grudki fioletowego gradu, niż jednostajny strumień światła. Kiedy drobiny padły na szklistą powierzchnię pośrodku dziwnego urządzenia, wydały cichy trzask, jak odgłos iskrzącego odkurzacza. Ciemna, szklista powierzchnia rozbłysła różowawą poświatą i pośrodku niej pojawił się nagle, niewyraźny zrazu, biały kształt. W chwilę potem zauważyłem, że nie byłem już w pokoju sam – i włożyłem promiennik na powrót do kieszeni.

Nowo przybyły nie odezwał się jednak – gwoli ścisłości, przez cały czas trwania spektaklu, jaki w chwilę potem rozegrał się na moich oczach, nie usłyszałem żadnego, nawet najcichszego dźwięku. Wszystko było mroczną pantomimą, widzianą z oddali, jak przez mgłę, choć z drugiej strony zarówno nowo przybyły, jak i wszystkie inne postaci, które pojawiły się później, wydawały się duże i wyraźne. Miałem wrażenie, jak gdyby dzięki jakiejś nienormalnej geometrii znajdowały się jednocześnie tuż obok, a zarazem daleko ode mnie.

Nowo przybyły był chudym, posępnym mężczyzną średniego wzrostu, odzianym w szatę duchownego kościoła anglikańskiego. Miał około trzydziestu lat, ziemistą, oliwkową cerę i dość przystojne rysy, ale

nienaturalnie wysokie czoło. Jego czarne włosy były starannie przycięte i zaczesane. Był gładko ogolony, za wyjątkiem trójkątnej, gęstej, koziej bródki, a na nosie miał okulary ze stalowymi skrzydełkami, bez oprawek.

Z wyglądu i budowy przypominał innych duchownych, jakich zdarzyło mi się widzieć, był jednak posępniejszy i sprawiał wrażenie inteligentniejszego; poza tym, było w nim coś subtelnie złowieszczonego, co starał się starannie ukrywać. W obecnej chwili, zapaliwszy słabą naftową lampę, wyglądał na zdenerwowanego, i nim się zorientowałem zaczął wrzucać swoje księgi, traktujące o magii, do kominka, umieszczonego w ukośnie nachylonej ścianie od strony okna. Ogień zaczął łapczywie pożerać woluminy; różnokolorowe płomienie strzeliły w górę, a pomieszczenie wypełniło się niemożliwym do opisania, ohydny fetorem, gdy pokryte dziwnymi hieroglifami stronice i stoczone przez robaki okładki poddały się niszczącemu żywiołowi.

W tej samej chwili zorientowałem się, że w pokoju byli również inni, posępnie wyglądający ludzie w strojach duchownych. Jeden z nich miał na sobie szatę biskupią.

Pomimo że niczego nie słyszałem, domyśliłem się, iż podejmowali ważką decyzję dotyczącą pierwszego z przybyłych. Sprawiali wrażenie jakby nienawidzili go i obawiali się zarazem, on zaś najwyraźniej podzielał ich uczucia. Jego oblicze przybrało jeszcze bardziej posępny wyraz, ale okazało się, że jego prawa ręka drżała, gdy usiłował chwycić się oparcia krzesła.

Biskup wskazał na pustą półkę i kominek (płomienie przygasły pośród niemożliwych do rozpoznania zwęglonych szczątków), a jego twarz wyrażała niepoohamowaną odrazę.

Pierwszy przybyły uśmiechnął się kwaśno i wyciągnął lewą dłoń ku niewielkiemu przedmiotowi leżącemu na stole. Pozostali, bez wyjątku, wydawali się przerażeni. Procesja kleryków podeszła do uchylnej kłapy w podłodze, i zaczęła schodzić po stromych schodach na parter. Opuszczając poddasze odwracali się i wygrażali pięściami pierwszemu z przybyłych.

Biskup opuścił pokój ostatni.

Pierwszy z przybyłych podszedł do kredensu i wyjął zwój powroza. Przystawiwszy krzesło, przymocował jeden koniec sznura do haka w grubej, czarnej dębowej belce stropowej, po czym na drugim końcu zaczął zawiązywać pętlę. Kiedy uświadomiłem sobie, że zamierza się powiesić, postąpiłem naprzód, aby mu to wyperswadować albo go uratować.

Zauważył mnie i przerwał swoje przygotowania, przyglądając mi się z wyrazem triumfu, który jednocześnie mnie zdumiał i zbił z tropu. Powoli zszedł z krzesła i zaczął zbliżać się w moją stronę, a jego ciemne oblicze o wąskich wargach rozjaśnił drapieżny, złowróżbny uśmiech.

Poczułem, że grozi mi śmiertelne niebezpieczeństwo i wyjąłem z kieszeni promiennik, by użyć go jako broni defensywnej. Mię mam pojęcia, skąd przyszło mi do głowy, że mógłby mi on pomóc. Włączyłem go mierząc w jego twarz i ujrzałem, jak ziemiste oblicze zaczyna spowijać najpierw fioletowe a potem lekko różowawe światło.

Jego wilczy, złowróżbny grymas przygasł i zastąpił go wyraz dojmującej zgrozy. Zatrzymał się gwałtownie, po czym – wymachując dziko rękoma – zatoczył się chwiejnie do tyłu. Zobaczyłem, że przesuwają się w stronę otwartej uchylnej klapy w podłodze i próbowałem krzyknąć, aby go ostrzec, ale mnie nie usłyszał. W następnej chwili runął w głąb otworu i zniknął mi z oczu.

Miałem trudności w podejściu do schodów, ale kiedy tam dotarłem, na podłodze poniżej nie dostrzegłem zmasakrowanych zwłok. Miast tego usłyszałem tupot kroków ludzi wchodzących na górę. W dłoniach nieśli lampy. Usłyszałem ich kroki, gdyż czar chimerycznej ciszy prysnął; znów odbierałem dźwięki i widziałem postaci, normalnie i trójwymiarowo. Coś najwidoczniej ściągnęło tu tych ludzi. Ale co?

Czy nie usłyszałem jakiegoś hałasu?

Dwóch ludzi (z wyglądu prostych wieśniaków) idących na czele dostrzegło mnie i zamarło w bezruchu. Jeden z nich zakrzyknął głośno i dobitnie:

– Arrh! Toż to był on? Znów?

W tej samej chwili odwrócili się i pierzchli w popłochu. To znaczy wszyscy, oprócz jednego. Kiedy pozostali uciekli, zobaczyłem samotnego siwobrodego mężczyznę – tego samego, który mnie tu przyprowadził, stojącego z lampą w dłoni. Przyglądał mi się ze zdumieniem i fascynacją, ale nie wyglądało, aby się bał. Wszedł po schodach na poddasze i stanął obok mnie. Następnie przemówił:

– A więc jednak pan tego dotknął! Przykro mi. Wiem co się stało. To się już zdarzyło, ale tamten mężczyzna tak się przeraził, że popełnił samobójstwo. Zastrzelił się. Mię powinien pan zmuszać Go do powrotu. Wie pan czego On chce? Ale pan się nie boi, tak jak tamten.

Przydarzyło się panu coś bardzo dziwnego i przerażającego, ale nie posunęło się na tyle daleko, aby zranić pański umysł i osobowość. Jeśli zachowa pan spokój i pogodzi się z koniecznością uczynienia pewnych dość radykalnych zmian w pańskim życiu, będzie pan mógł spokojnie żyć, ciesząc się światem i owocami pańskiej wiedzy.

Nie może pan tu zamieszkać – i nie sędzę, aby zechciał pan wrócić do Londynu. Radziłbym wybrać Amerykę. Nie wolno panu próbować niczego więcej z tą... Rzeczą. Teraz nie można już niczego odwrócić. Wszelkie próby uczynienia czegokolwiek tylko pogorszyłyby całą sprawę. Mogło przydarzyć się panu coś gorszego – w gruncie rzeczy nie jest aż tak źle, ale musi pan natychmiast opuścić to miejsce i nigdy, przenigdy nie wolno tu panu powrócić. Niech pan dziękuje Niebiosom, że skończyło się tylko na tym...

Zamierzam przygotować pana na szok i nie będę niczego owijał w bawełnę. Pański wygląd zmienił się, i to radykalnie. On zawsze to powoduje.

Niemniej jednak, w innym kraju zdoła pan do niego przywyknąć. Na ścianie, po drugiej stronie pokoju wisi lustro – podejść tam razem z panem. Przeżyje pan szok, aczkolwiek nie zobaczy pan niczego odrażającego.

Cały aż dygotałem, zdjęty śmiertelną grozą, i brodacz wręcz musiał mnie podtrzymywać, kiedy podchodziliśmy do lustra; w wolnej ręce trzymał słabo



świecącą lampę, która do tej pory stała na stole, i na którą zamienił przyniesioną przez siebie latarkę.

A oto co zobaczyłem w lustrze.

Chudego, posępnego mężczyznę około trzydziestki, odzianego w szatę duchownego kościoła anglikańskiego, z pozbawionymi oprawek okularami o stalowych skrzydełkach, błyszczącymi poniżej pożółkłego, ziemistego, nienaturalnie wysokiego czoła.

Był to ów milczący przybysz, ten, który spalił swoje księgi.

Przez resztę życia miałem wyglądać tak jak ten człowiek!

## Elektryczny kat

Dla kogoś, kto nigdy nie był świadkiem egzekucji przeprowadzonej w majestacie prawa, mam do opowiedzenia raczej dziwaczną, a zarazem przerażającą historię o elektrycznym kacie. W istocie sędzę, że bardziej mną to wstrząsnęło, niż mogłoby większością ludzi, którzy w ciągu swego życia stawali przed sadem. Powodem tego jest coś, czego byłem świadkiem czterdzieści lat temu – bardzo dziwne wydarzenie, które doprowadziło mnie na brzeg nieznanych i czarnych otchłani.

W 1899 roku byłem rewidentem i kontrolerem zatrudnionym w Tlaxcala Mining Company w San Francisco, działającym w małych kopalniach srebra i miedzi w górach San Mateo w Meksyku. Mieliśmy wtedy jakieś kłopoty w kopalni numer 3, która miała gburowatego i podstępного asystenta superintendenta, nazwiskiem Artur Feldon. Szóstego sierpnia firma otrzymała telegram mówiący, że Feldon dał drapaka zabierając ze sobą wszystkie księgi rachunkowe, poręczenia i papiery prywatne pozostawiając administrację i finanse w stanie zupełnego chaosu.

Wydarzenie to było dotkliwym ciosem dla przedsiębiorstwa. Późnym popołudniem prezes McComb wezwał mnie do swego biura i polecił mi za wszelką cenę odzyskać dokumenty. Wiedział, że będą trudności. Nigdy nie widziałem Feldona, a do dyspozycji były tylko bardzo niewyraźne fotografie. Co więcej, moje wesele miało się odbyć we czwartek w następnym tygodniu, a więc już za dziewięć dni. Nie miałem więc zbytnej ochoty spieszyć do Meksyku i ścigać kogoś na Bóg wie jak wielkich odległościach. Potrzeba jednak była tak wielka, że McComb uważał, że ma prawo żądać mego natychmiastowego wyjazdu, a ja ze swej strony sędziłem, że w przypadku odniesienia sukcesu, moja pozycja w firmie niepomrotnie wzrośnie.

Miałem wyjechać w nocy, prywatnym wagonem prezesa do Mexico City, skąd miałem pojechać kolejką wąskotorową do kopalni. Jackson, kierownik kopalni numer 3 powinien mnie wtajemniczyć we wszystkie szczegóły i udostępnić mi wszelkie możliwe ślady natychmiast po moim przyjeździe, potem zaś miałem rozpocząć niezwłocznie poszukiwania – przez góry, wzdłuż wybrzeża, na bocznych uliczkach Mexico City – zależnie od tego, jak rozwinie się sytuacja. Wyjechałem z ponurą determinacją doprowadzenia sprawy do końca i ze skutkiem tak szybko, jak to było możliwe i kołem niezadowolone wyobrażeniami wczesnego powrotu, z papierami i winowajcą, i myślami o weselu, które powinno się stać triumfalną ceremonią.

Zawiadomiwszy rodzinę, narzeczona i najbliższych przyjaciół poczyniłem pospieszne przygotowania do podróży. Spotkałem się z prezesem McCombem o ósmej wieczorem na stacji Southern Pacific, otrzymałem od niego pewne pisemne instrukcje i książeczkę czekowa, po czym odjechałem jego wagonem, doczepionym do pociągu transkontynentalnego. Podróż minęła bez przygód i po dobrze przespanej nocy rozkoszowałem się przyjemnością jazdy tak rozważnie mi użyczonym prywatnym wagonem. Przeczytałem z uwagą instrukcje i sformułowałem plany pochwylenia Feldona i odzyskania dokumentów. Dość dobrze znałem okolice Tlaxcali – prawdopodobnie lepiej niż uciekinier – miałem więc już pewną przewagę w moich poszukiwaniach, gdyby on już wcześniej nie odjechał pociągiem.

Według instrukcji, Feldon był przedmiotem zmartwienia kierownika Jacksona już od pewnego czasu, działając w tajemnicy i pracując bez uzasadnienia w laboratorium kopalnianym w dziwnych godzinach. Podejrzewano go o współpracę z dowódcami meksykańskimi i niektórymi peonami w kradzieży rudy, lecz tubylców uwolniono od zarzutów, nie było bowiem wystarczających dowodów, aby można było odnieść jakieś sukcesy w tak delikatnej sprawie. Mimo tajemniczości, było w tym w istocie więcej nieposłuszeństwa niż winy. Był kłótniwy i mówił tak, jakby to firma go oszukiwała, a nie on firmę. Otwarta inwigilacja przez jego kolegów, jak pisał

Jackson, wydawała się coraz bardziej go irytować, a teraz zniknął ze wszystkim, co było ważne dla zakładu. O tym gdzie może być, nikt nie miał najmniejszego pojęcia, choć ostatni telegram Jacksona sugerował, że są to dzikie stoki Sierra de Malinche, gdyż ten wysoki, okryty mitami szczyt o sylwetce trupa był rejonem, z którego pochodzili okoliczni, tubylczy złodzieje.

W El Paso, do którego dotarliśmy o drugiej, w noc poprzedzająca nasze wyruszenie w pogoń, mój wagon został odłączony od pociągu międzykontynentalnego i przyłączony do specjalnej lokomotywy, która telegraficznie wysłano na południe, do Mexico City.

Drzemałem do świtu i przez cały następny dzień nudziłem się na płaskiej, pustynnej równinie Chilhuahua. Obsługa powiedziała mi, że będziemy w Mexico City w południe w piątek, lecz wkrótce zobaczyłem, że istnieją niezliczone przeszkody, pochłaniające cenne godziny. Były oczekiwania na bocznicach wszystkich stacji jednotorowej linii, to przegrzewały się skrzynki smarownicze osi, czy inne trudności komplikowały rozkład jazdy.

W Torreon byliśmy o sześć godzin później i była już prawie ósma rano w piątek – pełne dwanaście godzin później niż przewidywał to rozkład jazdy – gdy maszynista otrzymał w końcu zgodę na przyspieszenie podróży, aby spróbować nadrobić opóźnienie. Moje nerwy były na granicy wytrzymałości i nie mogłem uczynić nic innego, niż chodzić w desperacji po przedziale tam i z powrotem. W istocie przekonałem się, że przyspieszenie to zostało okupione wysokim kosztem, gdyż po trzydziestu minutach poczęły się mnożyć objawy przegrzania smarownic również w moim wagonie. Po nerwowym oczekiwaniu zdecydowano, że jedynym wyjściem jest powleczenie się z jedną czwartą szybkości do następnej stacji ze sklepami – handlowej factorii Queretaro. To była ostatnia kropla, która przelała kielich goryczy i prawie tupiałem z wściekłości jak dziecko. Czasami wydawało mi się, że kołyszę się w mym fotelu na biegunach, aby przyspieszyć bieg pociągu z jego węzowego pełnienia.

Była prawie dziesiąta wieczorem, gdy przyjechaliśmy do Queretaro, gdzie spędziłem pełną niepokoju godzinę na peronie, podczas gdy mój wagon został odstawiony na bocznice i majstrowało przy nim ze dwudziestu tubylczych mechaników. W końcu powiedzieli mi, że zadanie przerasta ich możliwości, gdyż dalsza jazda wymaga nowych części, które najbliżej dostać można w Mexico City. Naprawdę, wszystko sprzyściło się przeciwko mnie.

Zacisnąłem zęby, gdy pomyślałem o oddalającym się coraz bardziej Feldonie – może dotarł już do Vera Cruz z jego liniami żeglugowymi, albo do Mexico City, z możliwością wyjazdu stamtąd koleją w różnych kierunkach – podczas gdy ciągle nowe przeszkody trzymały mnie tu owiązanego i bezsilnego. Oczywiście Jackson powiadomił policję we wszystkich okolicznych miastach, lecz znając jej możliwości, nie potrafiłem powstrzymać smutku.

Najlepsze, co mogłem zrobić, to złapać regularny nocny ekspres do Mexico City, który jechał z Aguas Calientes i zatrzymywał się na pięć minut w Queretaro. Tutaj powinien być o pierwszej, jeśli nie miał opóźnień, a w Mexico City o piątej w sobotę. Gdy kupowałem bilet, dowiedziałem się, że pociąg posiada wagony typu europejskiego, z zamykanymi przedziałami, nie zaś amerykańskiego, z długimi przedziałami z rzędami dwumiejscowych siedzeń. Były używane we wczesnym okresie meksykańskiego kolejnictwa, gdyż pierwszymi liniami interesowali się Europejczycy, a w 1889 roku Mexican Central nadal używał ich znaczną ilość na krótszych trasach. Zwykle preferowałem amerykańskie wagony, gdyż nie lubiłem ludzi patrzących na mnie, lecz tym razem byłem zadowolony z cudzoziemskiego wagonu. Miałem szczęście mieć cały przedział dla siebie, a zmęczony i spięty, mile powitałem samotność, jak i zajmujące całą szerokość wagonu wygodne, tapicerowane siedzenie z miękkimi podpórkami dla rąk i zagłówkiem. Kupiłem bilet pierwszej klasy, mój bagaż przyniesiono z odstawionego na bocznice prywatnego wagonu, zatelegrafowałem do prezesa McComba i do Jacksona powiadamiając obu co się stało i usiadłem, aby

poczekać na nocny ekspres tak cierpliwie, jak tylko pozwalały mi na to moje napięte nerwy.

O dziwo, pociąg miał tylko pół godziny spóźnienia, ale nawet i w tym przypadku samotne oczekiwanie na stacji było prawie ponad moja wytrzymałość. Konduktor, wskazując mi przedział, powiedział, abym zrekompensował sobie opóźnienie i jednocześnie skorzystał z wygód, wyciągnąłem więc wygodnie nogi na przeciwległym siedzeniu w oczekiwaniu na cichą, trzy i półgodzinną podróż. Światło z olejowej lampki nad głową było kojąco przyciemnione i zastanawiałem się, czy uda mi się trochę przespać mimo mego niepokoju i napięcia. Gdy pociąg ruszał, wydawało mi się, że jestem sam w całym pociągu i byłem naprawdę z tego rad. Począłem znowu rozmyślać o moim poszukiwaniu i kiwałem się w takt kołysania wagonu wciąż przyspieszającego pociągu.

Nagle uświadomiłem sobie, że nie jestem sam. W rogu naprzeciw mnie, wciśnięty tak, że nie widać było jego twarzy, siedział prosto odziany mężczyzna niezwyklego wzrostu, którego nie pozwoliło mi wcześniej zauważyć słabe światło. Obok niego, na siedzeniu, stała potężna waliza, zniszczona i wypchana, mocno ściskana nawet w czasie snu przez jego nieproporcjonalnie szczupłą rękę. Gdy lokomotywa ostro zagwizdała na jakimś zakręcie czy rozjeździe, śpiący wzdrygnął się nerwowo, na wpół czujnie się budząc, podniósł głowę ukazując przyjemną twarz, brodata i wyraźnie anglosaska, o ciemnych, błyszczących oczach. Na mój widok rozbudził się całkowicie, a mnie zastanowiła wrogość i dzikość jego wzroku.

Nic dziwnego, pomyślałem sobie, jest urażony moją obecnością, gdyż miał nadzieję, że przez całą podróż będzie miał przedział wyłącznie dla siebie, podobnie jak ja byłem zawiedziony znalezieniem towarzystwa w słabo oświetlonym przedziale. Najlepsze jednak, co mogliśmy zrobić, to z wdziękiem zaakceptować sytuację, więc zacząłem przed nim usprawiedliwiać moje wtargnięcie. Wydawał się być Amerykaninem i obaj powinniśmy doznać ulgi po wymianie kilku grzeczności. Potem powinniśmy się

wzajemnie pozostawić w spokoju przez resztę podróży. Ku memu zaskoczeniu, obcy nie odpowiedział na moje grzeczności ani słowem.

Zamiast tego nadal patrzył na mnie dziko, jakby mnie oceniając. Odtrącił proponowane mu przez mnie cygaro nerwowym ruchem swej wolnej ręki. Jego druga ręka nadal ścisnęła wielką, zniszczoną walizę, a cała jego osobowość wydawała się promieniować jakąś utajoną złośliwością. Po pewnym czasie odwrócił twarz do okna, choć w gęstej ciemności za oknem nie było widać niczego. Co dziwniejsze jednak, wydawało się, że patrzy na coś tak intensywnie, jakby w istocie cokolwiek tam widział. Postanowiłem pozostawić go jego zastanawiającym zajęciom i rozmyślaniom nie niepokojąc go więcej. Usiadłem wygodnie na swym siedzeniu, opuściłem nisko rondo mego miękkiego kapelusza na twarz i zamknąłem oczy w nadziei przespania się, na co tak liczyłem.

Nie spałem ani długo, ani mocno. W pewnej chwili moje oczy otworzyły się, jakby pod działaniem jakiejś zewnętrznej siły. Zamknąwszy je z pewną determinacją znowu usiłowałem się zdrzemnąć, lecz zupełnie bezskutecznie. Wydawało się, że jakaś rzeczywista siła utrzymuje mnie w stanie czuwania, podniosłem więc głowę i rozejrzałem się po słabo oświetlonym przedziale, aby zobaczyć, czy wszystko jest w porządku. Wydawało się, że wszystko jest jak zwykle, lecz zauważyłem, że obcy w przeciwległym rogu przygląda mi się intensywnie – uporczywie, lecz nie łagodnie czy przyjaźnie, co oznaczałoby zmianę w jego uprzednim, gburowatym stosunku do mnie. Tym razem nie podejmowałem próby rozmowy, lecz wróciłem do mej uprzedniej, śpiącej postawy, na wpół zamykając oczy, jakbym ponownie zasypiał. Nadal jednak przyglądałem mu się z ciekawością spod mego nisko nasuniętego ronda kapelusza.

Gdy pociąg mknął przez noc, zauważyłem, że w wyrazie twarzy patrzącego na mnie mężczyzny następuje subtelna, lecz stopniowa zmiana. Zadowolony najwidoczniej z tego, że zasnąłem, pozwolił, aby na jego twarzy odbijała się gmatwanina emocji, natury których nie można było być pewnym.

Nienawiść, strach, triumf i fanatyzm migotały w złożony sposób na linii jego warg i w kąciakach oczu, podczas gdy wzrok wyrażał naprawdę niepokojący stopień chciwości i okrucieństwa. Zaświtało mi nagle, że ten człowiek jest szalony, a tym samym niebezpieczny.

Nie przeczę, że byłem głęboko przestraszony, gdy zobaczyłem, jak się przedstawia sytuacja. Obląłem się cały zimnym potem i z trudem tylko otrzymywałem wygląd rozluźnionego i drzemiącego. Życie miało dla mnie naprawdę zbyt wiele uroków, a myśl o tym, że mam do czynienia z maniakalnym mordercą – prawdopodobnie uzbrojonym i z pewnością wyjątkowo silnym – była przerażająca. Każdy rodzaj ewentualnej walki musiałby wypaść na moją niekorzyść, gdyż facet był naprawdę olbrzymem, w najlepszej atletycznej kondycji, podczas gdy ja byłem zawsze raczej kruchy, a teraz jeszcze zmęczony strachem, bezsennością i napięciem nerwowym. Była to dla mnie chwila niezaprzeczalnie ciężka i czułem zupełnie blisko straszna śmierć, gdy dostrzegłem w oczach obcego furie szaleństwa.

Dotarły do mojej świadomości wydarzenia z przeszłości – jakby na pożegnanie – jak tonącemu w ostatniej chwili staje przed oczami całe życie.

Oczywiście miałem rewolwer w kieszeni płaszcza, lecz każdy ruch z mej strony, aby po niego sięgnąć i wyciągnąć go, byłby zbyt oczywisty. Co więcej, gdybym to zrobił, reakcja szaleńca nie mogła budzić żadnych wątpliwości. Nawet gdybym do niego strzelił raz czy dwa, mogłaby mu pozostać jeszcze wystarczająca ilość siły, aby odebrać mi pistolet i wykończyć mnie, lub jeśli sam jest uzbrojony, może strzelić lub zasztyletować mnie, nie usiłując nawet mnie rozbroić. Ktoś może zastraszyć zdrowego na umyśle człowieka grożąc mu pistoletem, ale całkowita nieprzewidywalność reakcji szaleńca daje mu siłę i niebezpieczeństwo prawie nadludzkie. Nawet w epoce przed Freudem podzielałem ogólne przekonanie o niebezpiecznej sile osoby pozbawionej normalnych hamulców. To, że obcy w rogu przygotowuje się do podjęcia jakiejś morderczej akcji nie ulegało dla



mnie najmniejszej wątpliwości, sądząc po jego płonących oczach i skręcających się mięśniach twarzy.

Nagle usłyszałem, że jego oddech przeszedł w krótkie, urywane sapanie i zobaczyłem, że jego pierś unosi się we wzrastającym podnieceniu. Chwila odkrycia kart była bliska i usiłowałem desperacko wymyślić, co mogę w tej sytuacji zrobić. Udając, że nadal śpię, zacząłem przesuwać rękę stopniowo, jakby nieświadomie w kierunku kieszeni, w której był mój pistolet, przyglądając się uważnie szaleńcowi, aby zorientować się, czy zauważył mój ruch. Na nieszczęście zauważył – prawie na ułamek sekundy przed tym, gdy fakt ten odbił się na jego twarzy. Ruchem tak zwinnym i nagłym, że wprost niewiarygodnym u człowieka jego wzrostu, znalazł się nagle tuż nade mną, zanim zdążyłem się zorientować, co się stało.

Wynurzył się nade mną i kołysząc się w przód i w tył jak olbrzymi ogr z legend, przyszpilił mnie jedna potężna ręka, a druga uniemożliwił sięgnięcie po rewolwer. Wyjął go z mej kieszeni i włożył do swojej, po czym uwolnił mnie z pogarda, doskonale wiedząc o swej przewadze fizycznej. Następnie wyprostował się na całą wysokość – głową prawie dotykając sufitu przedziału – i spojrzał na mnie wzrokiem, którego wściekłość szybko zmieniła się w wyraz współczucia i jakiejś diabelskiej kalkulacji.

Nie ruszałem się i po chwili mężczyzna zajął swe miejsce na przeciw mnie, uśmiechając się widmowym uśmiechem, gdy otworzył swa wielka, wypchana walizę i wyciągnął z niej jakiś przedmiot o szczególnym wyglądzie. Była to duża skrzynka półgiętkich drutów, splecionych w taki sposób, jak maska łapacza w baseballu, lecz przypominającą bardziej hełm nurka. Jego szczyt połączony był kablem, którego drugi koniec pozostawał w walizie. Z urządzeniem tym obchodził się z widocznym uczuciem, tuląc je na kolanach. Ponownie począł mi się przyglądać i oblizywać wargi prawie kocim ruchem języka. Nagle, po raz pierwszy odezwał się – głębokim, dojrzałym głosem, którego miękkość i kultura wydawały się wstrząsająco przeczyć jego prostemu, sztruksowemu ubraniu i zaniedbanemu wyglądowi.

– Ma pan szczęście. Powinienem najpierw pana użyć. Przeszedłby pan do historii jako pierwszy owoc znaczącego pomysłu. Ogromne konsekwencje socjologiczne – powinienem rzucić lekkie światło. Promieniuje przez cały czas, lecz nikt o tym nie wie. Teraz ty się dowiesz. Inteligentna świnka morska. Koty i osiołki – to działa nawet na osiołka...

Przerwał, a jego owłosione rysy twarzy poczęły się poruszać konwulsyjnie, zsynchronizowane ściśle z szybkim, wirowym ruchem całej głowy. Wyglądało to tak, jakby chciał się otrząsnąć z jakiejś mgły. Gesty te zastąpione zostały usiłowaniami złagodzenia rysów twarzy, jakby chciał ukryć coraz bardziej oczywiste szaleństwo pod pozorami łagodności, przez która przebłyskiwała jednak chytryść. Natychmiast dostrzegłem tę różnicę i powiedziałem, aby przekonać się, czy mogę poprowadzić jego umysł w bezpieczniejszym kierunku: – Wydaje się, że masz cudowny instrument, jeśli w ogóle mogę coś o tym powiedzieć. Możesz mi opowiedzieć jak na to wpadłeś?

Skinął głową.

– To tylko logiczna refleksja, drogi panie. Dostrzegłem konieczność chwili i pracowałem nad tym. Inni mogliby dokonać tego samego, gdyby mieli umysł tak potężny – to znaczy zdolny do nieustannej koncentracji – jak ja. Miałem przekonanie – konieczna siła woli – to wszystko. Przekonałem się, jak nikt inny dotąd, jak konieczne jest usunięcie z ziemi wszystkich przed powrotem Quetzalcoatl i stwierdziłem też, że należy tego dokonać w sposób elegancki. Nienawidziłem rzezi wszelkiego rodzaju, a wieszanie jest barbarzyńsko prostackie. Wiesz, że w ubiegłym roku rada miejska Albany głosowała za przyjęciem krzesła elektrycznego jako narzędzia egzekucji skazanych, ale cały ten aparat, o którym myśleli, jest tak prymitywny jak rakietę Stephensona, czy pierwszy silnik elektryczny Davenporta. Znałem lepszy sposób i powiedziałem im o nim, lecz nie zwracali na mnie uwagi. Boże, co za głupcy!

Jakbym nie wiedział wszystkiego o ludziach, śmierci i elektryczności –

student, mężczyzna i chłopiec – technolog i inżynier – żołnierz szczęścia...

Odchylił się do tyłu, jego oczy zwęziły się.

– Ponad dwadzieścia lat temu służyłem w armii Maksymiliana I. Chcieli mi nadać tytuł szlachecki. Potem ci przekłeci powstańcy zabili go i wróciłem do domu. Wróciłem i tułałem się. Mieszkałem w Rochester, Nowym Jorku...

Jego oczy stały się jeszcze bardziej chytre, pochylił się do przodu i dotknął mego kolana palcami swej paradoksalnie szczupłej reki.

– Wróciłem, jak już powiedziałem, ale wszedłem w to głębiej niż którykolwiek z nich.

Nienawidziłem powstańców, lecz lubiłem Meksykanów. Zagadka? Posłuchaj mnie, młody człowieku – nie myśl, że Meksyk jest naprawdę hiszpański. Boże, gdybyś znalazł szczepy, które ja znam! W górach – Anahuac – Tenochtitlan – starzy...

Zaczął śpiewać i melodyjnie wyć.

– Ia! Huitzilopotchli!... Nahuatlcatl! Siedem, siedem, siedem... Xochimilca, Chalca, Tepaneca, Acolhua, Tlahuica, Tlascalteca! Azteca!... Ia! Ia! Byłem w Siedmiu Jaskiniach Chicomoztoca, lecz nikt nie powinien o tym wiedzieć! Mówię ci o tym, gdyż nigdy tego nie powtórzysz...

Przestał i podsumował zwykłym tonem.

– Byłbyś zaskoczony, gdybyś wiedział, o czym mówi się w górach. Huitzilopotchli wraca... to nie ulega wątpliwości. Każdy peon na południe od Mexico City może ci to powiedzieć. Lecz nie zamierzałem się tym zajmować. Jak ci już powiedziałem, wróciłem do domu i pracowałem na korzyść społeczeństwa nad moim elektrycznym katem, gdy ta przekłeta rada miejska Albany przyjęła inny sposób. Żart, proszę pana, żart! Krzesło dziadka – siedzącego przy kominku – Hawthorne...

Począł się śmiać w potwornej parodii dobrego humoru.

– Cóż, proszę pana, chciałem być pierwszym człowiekiem, który usiądzie na tym przekętym krześle i poczuje prąd ich małych baterii! Nie skurczyłyby nawet żabiej łapki! A oni chcieli tym zabijać morderców – nagroda honorowa

– wszystko! Nagle jednak, młody człowieku, zobaczyłem bezużyteczność – w istocie szczególną nielogiczność – zabicia tylko kilku. Każdy jest mordercą – mordują idee – kradną pomysły – ukradli mój i pilnują, pilnują, pilnują...

Mężczyzna zakaszłał się i przerwał, a ja powiedziałem uspokajająco:

– Jestem pewien, że pański pomysł jest najlepszy i z pewnością w końcu go zastosują.

Widocznie jednak moja delikatność była zbyt mała, gdyż w jego odpowiedzi zabrzmiała świeża irytacja.

– "Jest pan pewien", tak? Przyjemne, delikatne, zdawkowe zapewnienie. Do diabła z tym – ale wkrótce się przekonasz! Cóż, do diabła, całe dobro jakie mogłoby płynąć z tego krzesła, zostało mi skradzione. Duch Nezahualpilli powiedział mi to na świętej górze. Pilnują, pilnują, pilnują...

Znowu się zakaszłał, a potem ponownie zaczął trząść głową, wyraz twarzy też mu się zmieniał. Wydawało się, że to go uspokaja na pewien czas.

– Czego potrzebuje mój pomysł, to wypróbowania. O, tutaj! Druciany kaptur czy też sieć na głowę jest giętka i łatwo się ją nakłada. Część szyjna wiąże, lecz nie dusi. Elektrody dotykają czoła i podstawy mózgu – wszystko to jest konieczne. Przytrzymać głowę, czego jeszcze trzeba? Głupcy, tam w Albany, z ich rzeźbionym, dębowym, wygodnym krzesłem uważają, że to coś wspianiałego. Idioci! – nie wiedza, że nie potrzeba porażać całego ciała, wystarczy tylko mózg! Widziałem ludzi, którzy zginęli w walce – wiem lepiej. A ten ich głupi obieg prądu – dynamo – cały ten kram. Dlaczego nie chcą zobaczyć, czego dokonałem z akumulatorem? Sza – nikt o tym nie wie – sam tylko posiadam te tajemnice, sam – ja i oni, jeśli im pozwolę... Lecz muszę mieć obiekty doświadczalne – obiekty – wiesz kogo wybrałem na pierwszy?

Próbowałem żartować, szybko przechodząc w przyjazną powagę w charakterze środka uspokajającego. Szybka myśl i trafne słowa mogły mnie uratować.

– Cóż, jest mnóstwo doskonałych obiektów wśród polityków w San

Francisco, stamtąd pochodzę. Potrzebują twego sposobu, a ja chciałbym pomóc ci go wdrożyć! Naprawdę sędzę, że będę mógł ci pomóc. Posiadam pewne wpływy w Sacramento i jeśli chciałbyś wrócić ze mną do Stanów po tym, gdy załatwię swoje sprawy w Meksyku, zobaczysz, że cię wysłuchają.

Odpowiedział spokojnie i grzecznie:

– Nie, nie mogę wrócić. Przyrzekłem sobie to, gdy ci przestępcy z Albany odrzucili mój pomysł i wysłali szpiegów, aby mnie pilnowali i ukradli mi go. Ale muszę mieć jako obiekt Amerykanina. Ci powstańcy są pod klątwą, to byłoby zbyt łatwe, a pełnej krwi Indianie – prawdziwe dzieci Opierzonego Węża – są święci i nietykalni, chyba tylko jako poświęcone ofiary... a i te muszą być zabijane zgodnie z ceremoniałem. Musze mieć Amerykanina nie wracając tam – a pierwszego człowieka, którego wybiorę spotka szczególny honor. Wiesz kto to jest?

Desperacko grałem na zwłokę.

– Och, jeśli tylko w tym trudność, znajdę ci tuzin pierwszorzędných Jankesów, gdy tylko dotrzemy do Mexico City! Wiem, gdzie są tłumy górników, zniknięcia których nikt nie zauważy przez całe dni...

Lecz przerwał mi ponownie z miną autorytetu, w której był cień rzeczywistej godności.

– Zbyt długo już żartujemy. Wstań i stój wyprostowany jak mężczyzna. Ty jesteś wybranym przeze mnie obiektem i powinieneś na tamtym świecie dziękować mi za zaszczyt, jak poświęcona ofiara dziękuje kapłanowi za to, że przeniósł ja do wiecznej chwały. Nowa zasada – żaden inny żywy człowiek nie śnił nawet o takiej baterii i nikt nigdy by na to nie wpadł, choćby świat eksperymentował przez tysiąc lat. Wiesz, że atomy nie są tym, za co je uważamy? Głupcy! Za sto lat jakiś głupek może na to wpadnie, jeśli pozostawię świat przy życiu.

Gdy wstałem na jego polecenie, wyciągnął dodatkową stopę kabla z walizy i stanął wyprostowany obok mnie, drucziany hełm wyciągnął oburącz w moją stronę, na jego opalonej i brodatej twarzy pojawił się wyraz

prawdziwej egzaltacji. Przez chwile podobny był do jaśniejszego helleńskiego hierofanta.

– Oto, Młodości – libacja! Wino kosmosu – nektar międzygwiazdnych przestrzeni – Linosie – Iacchusie – Ialemusie – Zagreusie – Dionizosie – Atisie – Hylasie – wyskoczcie z Apollina i zabijajcie przy pomocy psów Argosa – nasienie Psamathe – dziecko słońca – Evoe!

Evoe!

Począł znowu śpiewać, tym razem jego umysł wydawał się być daleko w przeszłości, wśród klasycznych wspomnień z dni spędzonych na uczelni. Stojąc wyprostowany zauważyłem, że nad moją głową zwisa kabel sygnałowy i zastanowiłem się, czy mógłbym do niego sięgnąć gestem odpowiadającym jego ceremonialnemu nastrojowi. Warto było spróbować, więc z takim samym antyfonalnym okrzykiem "Evoe!" wyciągnąłem ramiona do przodu i w górę w rytualny sposób, mając nadzieje szarpnąć za kabel zanim zauważy, co się stało. Lecz to było na nic. Zobaczył mój zamiar i zrobił ruch ręką w kierunku prawej kieszeni płaszcza, gdzie znajdował się mój rewolwer. Słowa były zbędne, staliśmy przez chwile jak wyrzeźbione posagi. Potem powiedział spokojnie:

– Pospiesz się!

Znów jak szalony szukałem w mym umyśle dróg ucieczki. Wiedziałem, że drzwi w meksykańskich pociągach nie są zamykane, lecz mój towarzysz bez trudu mógł mnie zatrzymać, gdybym próbował je otworzyć i wyskoczyć. Prócz tego pociąg jechał zbyt szybko i nawet gdyby mi się to udało, cała sprawa zakończyłaby się prawdopodobnie fatalnie.

Pozostało tylko grać na zwłokę. Po trzy i pół godzinnej podróży, przejechaliśmy już dobry kawałek, teraz dojeżdżaliśmy już do Mexico City i straż i policja na dworcu powinny natychmiast zapewnić bezpieczeństwo.

Pomyślałem, że powinny istnieć dwa sposoby dyplomatycznej zwłoki. Gdyby udało mi się odroczyć nałożenie mi hełmu, zyskałbym wystarczającą ilość czasu. Oczywiście nie sądziłem, aby to naprawdę było śmiertelne,

ale znałem wystarczająco szaleńców, aby wiedzieć, co się może zdarzyć, gdy ich zamiary zawiodą. Do jego rozczarowania dołączy się obłąkane uczucie, że to ja jestem odpowiedzialny za niepowodzenie rzeczy, która zaprzętała jego uwagę i prowadziła go do mniej lub bardziej rozległych poszukiwań. Zastanawiałem się tylko, jak daleko sięgnie ta naiwność i czy będę mógł zawczasu przygotować przepowiednie niepowodzenia, które to niepowodzenie przypnie mi na zawsze łątkę proroka czy wtajemniczonego, czy też nawet boga. Miałem jakieś takie pojęcie o meksykańskiej mitologii, warto więc było spróbować, choć chciałem najpierw sprawdzić inne sposoby gry na zwłokę, tak aby przepowiednia była nagłą rewelacją. Czy oszczędzi mnie w końcu, gdyby udało mi się go przekonać, że jestem prorokiem czy istotą boską? Czy mogę "objawić się" jako Quetzalcoatl lub Huitzilopotchli? Wszystko, aby tylko przeciągnąć całą rzecz do piątej, kiedy to powinniśmy dotrzeć do Mexico City.

Moje początkowe "wejście" powinno podstępnie opanować wolę weterana. Gdy maniak powtarzał swe polecenie, abym się pospieszył, opowiedziałem mu o mojej rodzinie, o moim zamierzonym małżeństwie i poprosiłem o możliwość pozostawienia przesłania i rozporządzenia moim majątkiem. Jeśli, powiedziałem, da mi kawałek papieru i zgodzi się wysłać pocztą to, co napiszę, będę mógł umrzeć spokojniejszy i z własnej woli. Po chwili wahania wyraził na to zgodę i począł grzebać w walizie szukając notatnika i wręczył mi go z powagą, podczas gdy ja ponownie osiadłem. Przygotowałem ołówek, zręcznie ułamałem koniuszek grafitu i znów zyskałem chwilę zwłoki, podczas gdy on szukał swojego ołówka.

Gdy dał mi go, sam wziął mój złamany i począł go ostrzyć dużym nożem z rogową rękojeścią, który trzymał za pasem pod płaszczem. Było jasne, że złamanie drugiego ołówka nie na wiele by mi się przydało.

Co tam napisałem, teraz z trudem sobie przypominam. Po większej części był to bełkot złożony z przypadkowo wybranych, zapamiętanych fragmentów literatury, gdy nie mogłem sobie przypomnieć już niczego więcej. Pisałem

tak niewyraźnie jak tylko mogłem, nie niszcząc samej natury tego jako pisma, wiedziałem bowiem, że będzie chciał rzucić na to okiem, zanim przystąpi do eksperymentu i uświadamiałem sobie, jak by zareagował na widok oczywistych nonsensów. Próba była straszliwa i denerwowałem się z każdą sekundą, gdy pociąg zwalniał. W przeszłości często pogwizdywałem radosny galop w takt wesołego stukotu kół pociągu, lecz teraz wydawało się, że tempo zwolniło do szybkości marsza pogrzebowego – mojego marsza pogrzebowego, zreflektowałem się ponuro.

Mój fortel działał do chwili, gdy wypełniłem cztery kartki sześć na dziewięć, aż w końcu szalencie wyciągnął zegarek i powiedział, że mam jeszcze pięć minut. Co powinienem teraz zrobić? Pospiesznie myślałem nad formami sformułowania mej ostatniej woli, gdy przyszła mi do głowy nowa myśl. Zakończywszy zawijasem i wręczywszy mu kompletną stronę, którą włożył bez ceregieli do lewej kieszeni płaszcza, przypomniałem mu o moich wpływowych przyjaciółach w Sacramento, którzy powinni być bardzo zainteresowani jego pomysłem.

– Mogę ci dać do nich list polecający? – powiedziałem. – Mogę zrobić szkic z opisem twego kata, aby cie przyjaźnie wysłuchali? Mogą uczynić cię sławnym, wiesz – a nie stanowi żadnego problemu, aby zastosować twoją metodę w całym stanie Kalifornia, jeśli usłyszą o tym od kogoś takiego jak ja, kogo znają i wierzą mu.

Spróbowałem tego sposobu w nadziei, że myśli zawiedzionego wynalazcy pozwolą mu na chwilę zapomnieć o aztecko–religijnej stronie całej sprawy. Gdy znów zwróci się w tym kierunku, wyskoczę z "objawieniem" i "proroctwem". Ten schemat zadziałał, gdyż jego oczy zajaśniały gorliwą akceptacją, choć szorstko powiedział mi, abym się pospieszył. Nadal opróżniał walizę, wyciągając z niej dziwacznie wyglądającą płataninę szklanych pojemników i spiral, do których były przymocowane druty idące od hełmu, opatrując to komentarzem zbyt technicznym, abym mógł go zrozumieć, dla niego jednak najwidoczniej prostym. Udawałem, że notuję



wszystko to co mówi, zastanawiając się, czy rzeczywiście ten dziwaczny aparat może być baterią. Czy doznam wstrząsu, gdy zastosuje to urządzenie? Mężczyzna mówił pewnie, jakby był autentycznym elektrykiem. Opis wynalazku był dla niego stosownym zadaniem i zobaczyłem, że przestał się niecierpliwić. Niosąca nadzieję szarość świtu zamigotała za oknem czerwienią zanim zakończył i poczułem w końcu, że moja szansa ucieczki poczyną się urzeczywistniać.

Jednak on także zobaczył świt i znów zaczął się denerwować. Wiedział, że pociąg powinien być w Mexico City o piątej i z pewnością podjąłby szybkie działanie, gdybym nie zapełnił jego umysłu nowymi pomysłami. Gdy wstał zdecydowanie, kładąc baterie na siedzenie obok otwartej walizy, przypomniałem mu, że nie zrobiłem jeszcze koniecznych szkiców i poprosiłem go, aby potrzywał hełm tak, bym mógł go narysować blisko baterii.

Usiadł znowu, przypominając mi wiele razy, abym się pospieszył. Po chwili przerwałem, aby zasięgnąć informacji, w jakiej pozycji ofiara znajduje się w czasie egzekucji i w jaki sposób zostaje przewyciężona jej prawdopodobna szamotanina.

– Cóż – odparł – przestępca jest mocno przywiązywany do pala. Nie ma znaczenia jak bardzo szarpie głową, gdyż hełm przylega ściśle, a jeszcze bardziej się ściga, gdy przepłynie prąd. Przekręcamy wyłącznik stopniowo – o tutaj, i starannie aranżujemy całe przedsięwzięcie potencjometrem.

Przyszedł mi do głowy nowy pomysł, gdy uprawne pola z coraz częstszymi domami w świetle świtu zapowiadały nasze zbliżanie się do stolicy.

– Muszę jednak – powiedziałem – narysować hełm na ludzkiej głowie, tak jak narysowałem go obok baterii. Czy nie mógłbyś go nałożyć na chwilę, tak abym mógł cię naszkicować wraz z tym? Gazety i przedstawiciele władz mogą chcieć tego wszystkiego, a bardzo lubią, aby wszystko było kompletne.

Gdyby się to udało, miałbym może lepszą szansę niż ucieczka, gdyż na moja uwagę oczy szaleńca znowu rozbłysły.

– Gazety? Tak – do cholery, możesz zrobić tak, aby to dostało się do gazet? Redaktorzy śmiali się ze mnie i nie chcieli wydrukować ani słowa. No, pospiesz się! Nie mamy ani sekundy do stracenia. Dalej, niech to diabli, wydrukują rysunki! Sprawdź twój szkic, czy nie zrobiłeś jakiegoś błędu – musi być dokładny za wszelką cenę. Później znajdzie cię policja – powiedzą jak to działa. Notatka w Associated Press – twój list – nieśmiertelna sława...

Pospiesz się, mówię – pospiesz się do cholery!

Pociąg chwiał się na gorszych torach w pobliżu miasta i zataczaliśmy się nieskładnie raz po raz. Udało mi się złamać ponownie ołówek, lecz oczywiście szaleniec natychmiast wręczył mi mój własny, który wcześniej zaostrzył. Mój pierwszy zasób forteli był już bliski wyczerpania i czułem, że muszę za chwile odwołać się do głównego pomysłu. Nadal byliśmy o dobry kwadrans od stacji i nadszedł czas, aby skierować myśli mego towarzysza w stronę religii i spreparować boską przepowiednię.

Przypomniawszy sobie wszystko, co wiedziałem o mitologii Azteków, rzuciłem nagle ołówek i papier i zacząłem śpiewać.

– Ia! Ia! Tloquenahuaque, Ty, Którego Istota Jest w Tobie! Ty także, Ipalnemoanie, Przez Którego Żyjemy! Słyszę, słyszę! Widzę, widzę! Orle niosący Węża! Przesłanie!

Przesłanie! Huitzilopotchli, twój grzmot rozlega się echem w mej duszy!

Na mój zaśpiew szaleniec popatrzył z niedowierzaniem przez swą dziwną maskę, na jego przystojnej twarzy ukazał się wyraz zaskoczenia i zdumienia, który szybko zmienił się w zaniepokojenie. Wydawało się, że jego umysł opustoszał na chwilę, a potem przekrystalizował w inny wzór. Podniósłszy ręce w górę, począł śpiewać jakby we śnie.

– Mictlanteuctli, Wielki Panie, znak! Znak z twej czarnej jaskini!

Ia! Tonatiuh–Metztli! Cthulhu! Rozkazuj, a ja będę służył!

W całym tym bełkocie było jedno słowo, które poruszyło jakąś dziwną strunę w mej pamięci. Dziwną, gdyż nigdy nie występowało w żadnym opracowaniu meksykańskiej mitologii, jednak słyszałem je niejednokrotnie w przejętych grozą szeptach peonów w mojej macierzystej kopalni w Tlaxcali. Wydawało się być częścią jakiejś wielkiej tajemnicy i prastarego rytuału, gdyż następowały po nim charakterystyczne, wypowiedane szeptem odpowiedzi, które słyszałem raz po raz, a które nie było znane nawet nauce akademickiej. Ten szaleniec musiał spędzić dużo czasu z peonami ze wzgórz i z Indianami, tak jak to zresztą powiedział, gdyż z całą pewnością ta niezannotowana wiedza nie pochodziła z samej nauki zawartej w książkach. Stwierdziwszy, że należy uwiarygodnić swój ezoteryczny bełkot, zdecydowałem się uderzyć w jego najczulszy punkt i dałem odpowiedź, jakiej używali tubylcy.

– Ya–R'lyeh! Ya–R'lyeh! – krzyknąłem. – Cthulhu fhtaghn! Nigurat–Yig! Yog–Sothoth...

Ale nie miałem okazji dokończyć. Wprawiony w religijny szal prawidłową odpowiedzią, której jego na wpół świadomy mózg prawdopodobnie nie oczekiwał, szaleniec rzucił się na kolana, raz po raz skłaniając swą głowę w drucianym hełmie i kręcąc nią w lewo i w prawo. Za każdym razem jego pokłony stawały się coraz głębsze i usłyszałem, że jego pokryte pianą wargi powtarzają "zabij, zabij, zabij" w szybko nabrzmiewającej monotonii.

Przyszło mi na myśl, że przesadziłem i moja odpowiedź wyzwoliła narastającą manię, która może go doprowadzić do punktu w którym mnie zabije, zanim dotrzemy do stacji.

Gdy łuk pokłonów szaleńca stawał się stopniowo coraz większy, odległość kabla z jego hełmu od baterii stawała się coraz mniejsza. Teraz, w swym delirium zaczął powiększać zakres obrotów głową, aby zatoczyć pełny okrąg, tak że kabel owinął mu szyję i począł szarpać za jego zamocowania do baterii leżącej na siedzeniu. Zastanawiałem się co zrobi, gdy wydarzy się rzecz

nieuchronna i bateria zostanie ściągnięta na podłogę i prawdopodobnie zniszczona.

Wtem nastąpił nagły kataklizm. Bateria, szarpnięta z brzegu siedzenia przez ostatni gest maniaka w jego orgiastycznym szaleństwie, istotnie spadła, ale nie stłukła się całkowicie.

Zamiast tego, jak to zanotowały moje oczy w ułamku sekundy, uderzenie przesunęło potencjometr, tak że przełącznik skoczył natychmiast w swe krańcowe położenie, przepuszczając pełny prąd. Zadziwiające, że tam był prąd. Wynalazek nie był tylko snem szaleńca. Zobaczyłem olśniewającą, niebieską zorzę, usłyszałem wycie, bardziej przerażające niż wszystkie krzyki, jakie słyszałem w czasie tej szalonej, straszliwej podróży i poczułem przyprawiający o mdłości smród palonego ciała. To było wszystko, co mogła znieść moja świadomość. Zemdlałem.

Gdy straż kolejowa w Mexico City ocuciła mnie, zobaczyłem na peronie tłum wokół drzwi do mego przedziału. Na mój mimowolny krzyk tłoczące się twarze stały się zaniepokojone i wątpliwe i byłem zadowolony, gdy strażnik usunął wszystkich z wyjątkiem lekarza, który przeciskał się do mnie. Mój krzyk był całkiem naturalną rzeczą, lecz wydałem go pod wpływem czegoś więcej, niż szokującego widoku na podłodze przedziału, który spodziewałem się zobaczyć. Należało by raczej powiedzieć – pod wpływem braku, gdyż, prawdę mówiąc, na podłodze niczego nie było.

Nie było też, jak powiedział strażnik, w chwili gdy otworzył drzwi przedziału. Mój bilet był jedyną zapłatą za ten przedział i byłem jedyną osobą, która w nim znaleziono. Tylko mnie i moją walizę, nic więcej. Jechałem sam, przez całą drogę od Queretaro. Strażnik, doktor i gapie pukali się znacząco w czoła w odpowiedzi na me chaotyczne pytania.

Czy to wszystko było snem, czy też rzeczywiście oszalałem? Przypomniałem sobie mój niepokój, napięte nerwy i wzdrygnąłem się. Podziękowawszy straży i doktorowi i uwolniwszy się od tłumy, wtoczyłem się do taksówki, którą pojechałem do Fonda Nacional, gdzie, po

zatelegrafowaniu do Jacksona w kopalni, spałem aż do popołudnia w nadziei pozbierania się.

Obudziłem się o trzynastej, w samą porę, aby złapać kolejkę wąskotorową do okolic kopalń, lecz gdy wstałem, znalazłem pod drzwiami telegram. Był od Jacksona i donosił, że znaleziono Feldona martwego w górach tego ranka; wieść o tym dotarła do kopalni około dziesiątej.

Wszystkie papiery są bezpieczne, a biuro w San Francisco zostało natychmiast powiadomione. Tak więc cała ta podróż, z jej nerwowym pospiechem i raniącymi doświadczeniami nie zdała się na nic.

Wiedząc, że McComb będzie oczekiwał osobistego raportu niezależnie od przebiegu wypadków, wysłałem następny telegram i mimo wszystko złapałem wąskotorówkę. Cztery godziny później turkotałem i podskakiwałem do stacji przy kopalni nr 3, gdzie czekał już Jackson, aby mnie kordialnie powitać. Był tak przejęty tym, co się dzieje w kopalni, że nie zauważył, iż nadal się trzęsę. Nie zauważył też mego cierpiącego wyrazu twarzy.

Opowiadanie superintendenta było krótkie i przekazał mi je, gdy szliśmy w stronę chaty na zboczu wzgórza nad jaskinią, w której leżało ciało Feldona. Powiedział, że Feldon zawsze był dziwaczną, posępną osobą. Od czasu, gdy go przyjęto rok temu, pracował nad jakimiś tajemniczymi urządzeniami mechanicznymi, uskarżał się na to, że go nieustannie szpiegują i bratał się wyraźnie z tubylczymi robotnikami. Z całą pewnością jednak był fachowcem, znał okolice i ludzi. Miał zwyczaj robienia długich wycieczek na wzgórze, gdzie żyli peoni i nawet brał udział w niektórych ich prastarych, pogańskich ceremoniach. Napomykał o dziwnych sekretach i obcych siłach tak samo często, jak często chwalił się swą zręcznością w zagadnieniach mechaniki. Ostatnio rozłożył się zupełnie, stał się chorobliwie podejrzliwy w stosunku do kolegów i niewątpliwie skłonił swych tubylczych przyjaciół do kradzieży rudy w chwili, gdy zaczęło mu brakować gotówki. Potrzebował niewiarygodnych ilości pieniędzy to na to, to na tamto – przychodziły do niego skrzynie z laboratoriów i sklepów sprzedających maszyny w Mexico

City lub w Stanach.

Jeśli chodzi o ostatnie zniknięcie z papierami – uczynił tylko szalony ruch oznaczający odwet za to, co nazywał "szpiegowaniem". Z pewnością był szalony, gdyż podążył przez całą krainę do ukrytej jaskini na dzikim zboczu nawiedzanej Sierra de Malinche, gdzie nie ma żadnego białego człowieka i czynił tam jakieś niezwykle potworne rzeczy. Jaskinia, której nigdy wcześniej nie znaleziono przed końcową tragedią, była pełna przerażających, prastarych azteckich idoli i ołtarzy; te ostatnie pokryte były zwęglonymi kośćmi niedawno spalonych ofiar wątpliwej natury. Tubylcy nie powiedzieli nic – a nawet przysięgali, że o niczym nie wiedzą – lecz łatwo było spostrzec, że jaskinia jest ich miejscem spotkań od bardzo dawna i że Feldon brał udział w ich obrzędach w całej pełni. Poszukiwacze znaleźli to miejsce tylko dzięki zaśpiewom i końcowemu okrzykowi.

Było to tuż po piątej tego ranka i po całonocnym obozowaniu grupa zbierała się, aby powrócić do kopalni. Nagle ktoś usłyszał delikatny rytm w pewnej odległości i rozpoznał natychmiast jeden z tych potwornych, starych, tubylczych rytuałów, odprawianych w jakimś odosobnionym miejscu, na zboczu góry mającej kształt trupa. Słyszano te same stare imiona: Mictlanteuctli, Tonatiuh–Metztli, Cthulhu, Ya–R'lyeh i całą resztę – lecz potworną rzeczą było to, że zmieszane z nimi były angielskie słowa. Naprawdę był to angielski białego człowieka a nie złodziejski żargon. Prowadzeni tymi dźwiękami, pospieszyli porośniętym zielskim zboczem w ich kierunku, gdy nagle po chwili ciszy usłyszeli wrzask. Był tak straszliwy, że żaden z nich nigdy nie słyszał w życiu nic straszniejszego. Poczuli także dym i jakiś gryzący zapach.

Potem natknęli się na jaskinię, której wejścia chronił gąszcz krzewów mesquite. Buchały stamtąd kłęby śmierdzącego dymu. Gdy oświetlili wnętrze, ujrzeli znajdujący się tam potworny ołtarz i jakieś groteskowe wyobrażenia, migoczące w świetle świec, które musiały być zmienione nie dalej niż pół godziny temu, a na wysypanej żwirem podłodze leżało coś tak

potwornego, że wszyscy cofnęli się. To był Feldon z głowa spaloną na frytkę przez jakieś dziwne urządzenie, które miał na nią nałożone – był to pewien rodzaj drucianej klatki połączonej z roztrzaskaną baterią, która najwidoczniej spadła na podłogę z pobliskiego ołtarza. Gdy ludzie to zobaczyli, wymienili między sobą spojrzenia, myśląc o "elektrycznym kacie". Feldon zawsze chwalił się pomysłem rzeczy, która wszyscy odrzucali lecz próbowali mu ją ukraść i skopiować. Papiery spoczywały bezpiecznie w stojącej obok niego torbie i w godzinę później kolumna poszukiwaczy wyruszyła w drogę powrotną do kopalni nr 3 z przerażającym ciężarem na zaimprovizowanych noszach.

To było wszystko, lecz wystarczyło, abym pobladł i zachwiał się, gdy Jackson prowadził mnie do chaty, w której leżało ciało. Posiadałem bowiem wyobraźnię i czułem, że w jakiś nadnaturalny sposób tragedia zamienia się w koszmar. Wiedziałem co zobaczę w chacie, za tymi otworzonymi drzwiami, wokół których zgromadzili się zaciekawieni górnicy i nie drgnąłem, gdy moje oczy spoczęły na olbrzymiej postaci, prostym, sztruksowym ubraniu, dziwnie delikatnych dłoniach, klaczkach spalonej brody i na tej samej piekielnej maszynie – lekko uszkodzonej baterii i hełmie, poczerniałym od spalenia tego, co było w środku. Wielka, otwarta waliza nie zaskoczyła mnie – lękałem się tylko jednej rzeczy: złożonych kartek wystających z lewej kieszeni. W chwili, gdy nikt nie patrzył, wyciągnąłem rękę i zabrałem te dobrze znajome papiery i zmiąłem je w reku nie odważywszy się spojrzeć na zapis.

Powinienem żałować, że jakiś rodzaj panicznego strachu sprawił, że spaliłem je tej samej nocy, nawet nie patrząc na nie. Mogły być dowodem na coś lub przeciwko czemuś – lecz jeśli o to chodzi, to miałbym dowód, gdybym zapytał koronera o rewolwer, wyciągnięty z prawej kieszeni płaszcza. Nigdy jednak nie miałem odwagi pytać o to – gdyż mój własny rewolwer zginął po tej nocy w pociągu. Mój ołówek także nosił ślady prymitywnego i pospiesznego ostrzenia, niepodobnego do starannego

zaostrzenia, jakie mu nadałem w piątek po południu, w prywatnym wagonie prezesa McComba.

W końcu zaintrygowany począłem zbierać się do powrotu. Prywatny wagon został już naprawiony, gdy wróciłem do Queretaro, lecz największej ulgi doznałem po przekroczeniu Rio Grande w El Paso i po wjeździe do Stanów. W następny piątek byłem w San Francisco, a w następnym tygodniu odbył się odroczony ślub.

Co naprawdę zdarzyło się tej nocy? Jak powiedziałem, nie ośmielałem się nawet domyślać. Ten facet, Feldon, był szalony rozpoczynając to i u szczytu swego szaleństwa przyswoił sobie pewną cześć prehistorycznej azteckiej wiedzy czarnoksięskiej, której nikt nie miał prawa znać. Był naprawdę wynalazczym geniuszem, a ta bateria musiała być autentyczną rewelacją. Słyszałem później, jak był postponowany przez prasę, opinię publiczną i możnych tego świata. Zbyt wiele rozczarowań nie jest dobre dla człowieka jego rodzaju. W jakiś sposób zadziałało pewne piekielne połączenie wpływów. Nawiasem mówiąc, rzeczywiście mógł być żołnierzem Maksymiliana.

Gdy opowiadam te historie, większość ludzi uważa mnie za kłamcę. Inni kładą to na karb nienormalnej psychologii – niebiosy tylko wiedza, jak byłem zdenerwowany – zaś jeszcze inni mówią o pewnego rodzaju "projekcji astralnej". Moja gorliwość w pochwyceniu Feldona z pewnością wysłała me myśli ku niemu, a z całą tą indiańską magią, zdolny był do ich rozpoznania i wyjścia im na przeciw. Czy był w przedziale wagonu, czy w jaskini góry o kształcie trupa? Czy to, co przydarzyło się mnie, przydarzyło się w istocie jemu? Muszę wyznać, że nie wiem i nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć. Od tego czasu nigdy nie byłem w Meksyku i, jak powiedziałem na początku, nie chce słyszeć o elektrycznym kacie.



# Ex Oblivione

Gdy mój czas na ziemskim padole dobiegał końca, zaś drobnostki, jakich w życiu pełno, poczęły doprowadzać mnie do szaleństwa niczym krople wody, którym kaci pozwalali kapać na jedno miejsce ciała ofiary, pokochałem oświecającą samotnię snu. W swych snach znalazłem choć trochę piękna, którego bezskutecznie szukałem w miłości, wędrowałem też przez stare ogrody i zaczarowane lasy.

Pewnego razu, gdy wiał słaby i pełen zapachów wiatr usłyszałem zew południa i pożeglowałem powoli w nieskończoną podróż pod dziwnymi gwiazdami.

Pewnego razu, gdy padał słaby deszcz, szybowałem w barce w dół nie znajdującego promieni słońca strumienia głęboko pod ziemią, aż dotarłem do innego świata purpurowego zmroku, tęczowych altanek i nigdy nie więdnących róż.

Jeszcze innym razem przechodziłem przez złocistą dolinę, prowadzącą do mrocznych lasków i ruin, kończącą się zaś ogromnym murem, zielonym od pnączy, z pojedynczą bramą z brązu.

Wielokrotnie przechodziłem przez tę dolinę, za każdym razem dłużej zatrzymując się w widmowym półmroku, gdzie gigantyczne drzewa groteskowo wiły się i skręcały, zaś szara ziemia rozciągała się pomiędzy pniami, czasami odsłaniając porośnięte mchem kamienie pogrzebanych świątyń. Zawsze zaś obiektem moich fantazji był potężny, porośnięty pnączami mur z pojedynczą bramą z brązu.

Po pewnym czasie, gdy dni po przebudzeniu zaczęły stawać się coraz trudniejsze do zniesienia ze względu na swoją szarość i monotonię, często otepiałe i spokojnie szybowałem przez dolinę i cieniste gaje, rozmyślając w

jaki sposób mógłbym wśród nich zamieszkać na wieczność, abym nie musiał spędzać czasu w szarym świecie pozbawionym ciekawych rzeczy i nowych barw. Gdy zaś patrzyłem na małą bramę w murze, czułem, że za nią leżała wymarzona kraina, której po wejściu już nigdy nie mógłbym opuścić.

Tak więc każdej nocy, gdy śniłem, próbowałem znaleźć zasuwkę, na którą zamknięta była brama w starym murze, choć ta była bardzo dobrze ukryta. Powtarzałem sobie także, że kraina za bramą nie była jedynie bardziej trwała, ale także miłsza mi i bardziej świetlista.

Pewnej nocy w istniejącym jedynie w snach mieście Zakarion znalazłem pożółkły pergamin wypełniony myślami mędrców ze snów, którzy od niepamiętnych czasów żyli w tym mieście, byli zaś zbyt mądrzy, aby kiedykolwiek narodzić się w świecie przebudzenia.

Na tymże pergaminie napisali wiele rzeczy o świecie snów, zaś wśród nich była wiedza o złocistej dolinie i świętym gaju ze świątyniami, i wysokim murze, przez który przechodziła mała brama z brązu. Gdy tylko ujrzałem tę wiedzę, wiedziałem, że dotyczyła one miejsc, które nawiedziłem, tak więc długo wczytywałem się w pożółkły papirus.

Niektórzy z mędrców pisali gorliwie o cudach znajdujących się za nieprzekraczalnym murem, inni zaś pisali o grozie i zawiedzeniu. Nie wiedziałem, którym wierzyć, jednakże coraz bardziej chciałem wkroczyć na zawsze w nieznaną krainę; gdyż wątpliwość i tajemnica są największymi z pokus, zaś żadna nowa groza nie może być bardziej straszliwa od tortury codzienności. Tak więc gdy dowiedziałem się o narkotyku, który otworzyły przede mną bramę i pozwolił mi przejść, postanowiłem wziąć go gdy ponownie się obudzę.

Poprzedniej nocy połknąłem narkotyk i w śnie wpłynąłem do złocistej doliny i cienistych gajów; zaś gdy tym razem podszedłem do starego muru, ujrzałem, że mała brama z brązu była otwarta na oścież. Zza bramy bił blask, w dziwny sposób oświetlający poskręcane drzewa i szczątki zakopanych świątyń, ja zaś w radosnym uniesieniu podleciałem bliżej, spodziewając się

cudów krainy, z której mógłbym nigdy nie powrócić.

Jednakże gdy brama zbliżyła się, a moc narkotyku i snu przepchnęły mnie przez nią, wiedziałem, że wszystkie widoki i wspaniałości dobiegły końca; gdyż w tejże nowej krainie nie było ani ziemi, ani morza, jedynie biała pustka bezludnej i bezkresnej przestrzeni. Tak więc, bardziej szczęśliwy niż kiedykolwiek mogłem się tego spodziewać, ponownie zniknąłem w rodzinnej nieskończoności zapomnienia, z której demon imieniem Życie wezwał mnie na jedną krótką i pustą godzinę.

# Historia Necronomiconu

Tytuł oryginalny Al–Azif – azif to słowo używane przez Arabów na określenie nocnych dźwięków (wydawanych przez owady), uważanych za wycie demonów.

Napisany przez Abdula Alhazreda, szalonego poetę z Sany w Jemenie, którego rozkwit twórczości przypadał, jak się uważa, w czasach kalifów omajadzkich, około 700 r. przed Chr.

Zwiedzał on ruiny Babilonu, badał podziemne tajemnice Memfis i spędził 10 lat samotnie na wielkiej wschodniej pustyni Arabii – Roba al–Khaliyeh czy też "pustej przestrzeni" starożytnych, "Dahma" czyli "purpurowej" współczesnych Arabów, która chroniona jest przez złe duchy i potwory śmierci. O pustyni tej ci, którzy twierdzą, że ją zbadali, opowiadają wiele dziwnych i niewiarygodnych cudów.

Pod koniec życia Alhazred mieszkał w Damaszku, gdzie napisał Necronomicon (Al–Azif), a o jego śmierci czy też zniknięciu (738 r. przed Chr.) opowiadano wiele przerażających i sprzecznych rzeczy. Ebn Khallikan (XII–wieczny biograf) utrzymuje, że został porwany przez jakiegoś niewidzialnego potwora w jasny dzień i w straszliwy sposób pożarty w obliczu wielu skamieniałych ze strachu świadków. O jego szaleństwie wiele mówiono. Przysięgał, że widział słynny Irem, albo Miasto Kolumn i w nieznanych ruinach na pewnej bezimiennej pustyni odkrył miasto posiadające wstrząsające kroniki i tajemnice obcej rasy starszej niż ludzkość. Był tylko neutralnym Muzułmaninem, wierzącym w nieznanych bogów, których nazywał Yog–Sothoth i Cthulhu.

W 950 roku przed Chr. Azif cieszył się wielkim zainteresowaniem, krążąc w odpisach wśród filozofów tego wieku i został potajemnie przetłumaczony

na język grecki przez Theodorusa Philetasa z Konstantynopola pod tytułem Necronomicon.

Przez stulecia inspirował pewnych eksperymentatorów do przerażających prób, póki nie został zakazany i spalony przez patriarchę Michała. Odtąd mówiono o nim tylko potajemnie, lecz w 1228 roku Olaus Wormius dokonał przekładu łacińskiego, a w późnym średniowieczu tekst łaciński został dwukrotnie wydany drukiem – raz w XV wieku pismem gotyckim (najwidoczniej w Niemczech) i po raz drugi w XVII wieku (prawdopodobnie w Hiszpanii); obie edycje nie posiadają znaków pozwalających na ich zidentyfikowanie i lokowane są w czasie i miejscu tylko na podstawie wewnętrznych cech typograficznych.

Dzieła, zarówno greckie jak i łacińskie, zostały wyklęte przez papieża Grzegorza IX w 1232 roku, wkrótce po dokonaniu przekładu łacińskiego, który spowodował zwrócenie na nie uwagi.

Arabski oryginał zaginął w czasach Wormiusa, wedle noty w przedmowie (co może wskazywać na źródło kopii, która pojawiła się w San Francisco w obecnym stuleciu, lecz później uległa zniszczeniu w pożarze), zaś kopii greckiej – wydrukowanej we Włoszech między 1500 a 1550 rokiem – nie widziano od czasów pożaru biblioteki pewnego człowieka w Salem w 1692 roku.

Tłumaczenie angielskie, dokonane przez doktora Dee, nie zostało nigdy wydrukowane i istnieje tylko we fragmentach pierwotnego manuskryptu.

Wiadomo, że jeden piętnastowieczny tekst łaciński istnieje w British Museum pod zamknięciem, inny zaś (XVII-wieczny) znajduje się w posiadaniu Bibliotheque Nationale w Paryżu. Siedemnastowieczne wydania są też w zbiorach Biblioteki Widenera w Harvardzie, w bibliotece Uniwersytetu Miskatonic w Arkham i w bibliotece uniwersyteckiej w Buenos Aires.

Potajemnie istnieją prawdopodobnie także inne, liczne kopie, o jednej z nich, XV-wiecznej, krążą uporczywe pogłoski, że tworzy część kolekcji

słynnego amerykańskiego milionera. Daleko bardziej wiarygodne są pogłoski o zachowaniu się XVI-wiecznego tekstu greckiego w rodzinie Pickmanów w Salem, który zniknął wraz z artystą R. U. Pickmanem na początku 1926 roku. Księga jest nieustannie prześladowana przez urzędy państwowe większości krajów i przez wszystkie odłamy kościoła. Czytanie jej prowadzi do straszliwych następstw. Z pogłosek o tej księdze (o naprawdę niewielu wie opinia publiczna) R. W. Chambers powiedział, że zaczerpnął pomysł do swej wczesnej powieści "Król w Żółcieni".

# Zeznanie Szalonego Araba

Oto zeznanie tego, co widziałem i czego się nauczyłem w ciągu tych trzech lat, kiedy nauczyłem się Trzech Pieczęci MASSHU. Widziałem Tysiąc–I–Jeden księżyców i to z pewnością wystarczy jak na jedno ludzkie życie chociaż mówią, że Prorocy żyli o wiele dłużej.

Jestem słaby i chory, zmęczony i wyczerpany, a westchnienie ciąży mi na piersi niczym czarna latarnia. Jestem stary.

Wilki niosą moje imię w swoich nocnych rozmowach, a ten cichy, subtelny Głos przywołuje mnie z oddali. Głos znacznie bliższy będzie krzyczał mi do ucha z przekłętą niecierpliwością. Ciężar mojej duszy zadecyduje o miejscu jej ostatecznego spoczynku. Ale zanim ten czas nadejdzie, muszę spisać tu wszystko co mogę, a co dotyczy horroru, który zagraża z Zewnątrz, który leży w oczekiwaniu pod drzwiami każdego człowieka. Oto są starożytne arkana, które zostały spisane przez starych, ale które zostały zapomniane przez wszystkich prócz kilku ludzi, czcicieli Wielkich Przedwiecznych (niech ich imiona będą wymazane!).

A jeśli nie ukończyłbym zadania, weź to ,co tu jest i odkryj resztę, gdyż czasu jest mało a rodzaj ludzki nie wie albo nie rozumie zła, które na nich czyha z każdej strony, z każdej Bramy, z każdej złamanej bariery, ze strony każdego bezrozumnego wyznawcy przy ołtarzach szaleństwa.

Oto jest Księga Martwych, Księga Czarnej Ziemi, którą spisałem w zagrożeniu życia dokładnie co do słowa jak ją otrzymałem na płaszczyznach IGIGI, okrutnych duchów z zewnątrz, Wędrowców po Pustkowiach.

Niech wszyscy co czytają tę księgę wiedzą, że żywoty ludzi są obserwowane przez Starożytną Rasę bogów i demonów z czasów sprzed czasem, i że szukają oni zemsty za zapomniana bitwę, która miała miejsce

gdzieś w Kosmosie i rozerwała Światy w dniach przed stworzeniem Człowieka, kiedy Starsi Bogowie przemierzali Przestrzeń ; rasę MARDUKA, jak nazywają go Chaldejczycy, i ENKI, naszego MISTRZA, Pana Magów.

Wiedz też, że przemierzyłem wszystkie Strefy Bogów i miejsca Azonei, spadłem do plugawych miejsc Śmierci i Wiecznego Pragnienia, które mogą być osiągnięte przez Bramę GANZIR, zbudowaną w UR, w dniach istnienia Babilonu.

Wiedz też, że rozmawiałem z wszystkimi rodzajami duchów i demonów, których imiona nie są już znane społecznościom ludzkim albo nigdy nie będą. Pieczęcie niektórych z nich są narysowane poniżej; inne muszę zabrać ze sobą, kiedy cię opuszczę. ANU zmiłuj się nad moją duszą!

Widziałem Nieznane Łądy, których żadne mapy nigdy nie zapisały. Żyłem na pustyniach i pustkowiach, rozmawiałem z demonami, duszami zamordowanych mężczyzn i kobiet, którzy zmarli przy urodzeniu, ofiarami złej LAMMASHTY.

Podróżowałem przez morza w poszukiwaniu Pałacu Naszego Mistrza, znalazłem kamienie i pomniki zniszczonych cywilizacji i odczytałem niektóre z ich pism ; tymczasem wiele z nich pozostanie tajemnicą dla każdego żywego człowieka. A te cywilizacje zostały zniszczone z powodu wiedzy zawartej w tej księdze.

Podróżowałem między gwiazdami i drzałem przed obliczami Bogów. Odnalazłem, w końcu, formułę, dzięki której przekroczyłem Bramę ARZIR i przeszedłem do zapomnianych królestw wstrętnych IGIGI.

Przywoływałem demony i umarłych.

Wezwałem duchy moich przodków na szczytach świątyń zbudowanych by sięgnąć gwiazd i przerażających głębi HADESU. Siłowałem się z Czarnym Magiem, AZAG–THOTHEM w wielkim trudzie i uciekłem na Ziemię wzywając INANNĘ i jej brata MARDUKA, Władcy dwugłowego TOPORA.

Stworzyłem armie do walki z Krainami Wschodu, wzywając hordy demonów ,a czyniąc to odnalazłem NGAA, pogańskiego Boga, którego



oddech jest ognisty, a ryk przypomina tysiąc grzmotów.

Znalazłem strach.

Odnalazłem Bramy, które prowadzą na Zewnątrz, przy których Wielcy Przedwieczni, zawsze szukający wejścia do naszego świata, pełnią wieczną straż. Wąchałem opary Wielkiej Przedwiecznej, Królowej Zewnątrz, której imię jest napisane w straszliwym tekście MAGAN, testamencie kilku umarłych cywilizacji, których kapłani, szukając mocy, otworzyli na oścież przerażające Bramy na ponad godzinę i zostali pożarci.

Posiadałem tę wiedzę dzięki dość dziwnym okolicznościom, będąc jeszcze niepiśmiennym synem pasterza w kraju zwanym przez Greków Mezopotamią.

Będąc jeszcze dzieckiem, podróżując po górach Wschodu, zwanych MASSHU przez ludzi, którzy tam żyją, natrafiłem na szarą skałę z wyrytymi na niej trzema dziwnymi symbolami. Skała była wysoka jak człowiek i szeroka jak byk. Osadzona była twardo w ziemi, tak że nie mogłem jej ruszyć.

Nie myśląc więcej o tych znakach, sądząc że jest to robota jakiegoś króla, który w ten sposób uczcił zwycięstwo nad wrogiem, rozpałem ogień u podnóża skały do obrony przed wilkami wałęsającymi się w tych okolicach i poszedłem spać gdyż była już noc, a ja byłem daleko od mojej wioski, Bet Durrabia. Jakies trzy godziny przed świtem, dziewiętnastego dnia Shabatu, obudził mnie skowyt psa, może wilka, niepokojąco głośny i bliski.

Ogień wygasł prawie do cna i tylko czerwone, żarzące się jeszcze węgielki rzucały słabe, tańczące cienie na kamienny monument z trzema symbolami. Już miałem wstać i podsycić ogień, kiedy nagle szara skała zaczęła powoli wznosić się w powietrze, jakby była piórkiem. Nie mogłem się ruszyć ani nic powiedzieć z powodu strachu, który zmroził mój kręgosłup i ogarnął swymi lodowatymi palcami moją czaszkę.

Dik Azug-bel-ya nie był mi bardziej obcy niż ten widok, tylko że poprzedni wydawał się topić mi między palcami!

Wkrótce usłyszałem głos, miękki, w pewnej odległości ode mnie i bardziej praktyczny strach przed rabusiami ogarnął mną i przeczołgałem się w zarośla, cały drżąc. Kolejny głos dołączył do pierwszego i wkrótce kilku mężczyzn w czarnych szatach złodziei przybyło tam, gdzie nocowałem. Otoczyli unoszącą się skałę, nie okazując najmniejszych oznak strachu.

Teraz mogłem wyraźnie dostrzec, że trzy symbole wyryte w skale świeciły czerwonym płomieniem, tak jakby kamień stał w ogniu. Postacie wspólnie mamrotały jakąś modlitwę lub inwokację, z której mogłem usłyszeć ledwie kilka słów, a i te były w nieznanym mi języku ; jednakże, ANU zmiął się nad moją duszą, te rytuały nie są mi już obce.

Postacie, których twarze nie mogłem zobaczyć czy rozpoznać, zaczęły czynić dziwne przejścia w powietrzu nożami, które lśniły zimno i ostro tej nocy.

Spod latającego kamienia, prosto z ziemi, w której leżał, zaczął się wznosić ogon węża. Ten wąż był z pewnością większy niż jakikolwiek inny widziany przeze mnie w całym moim życiu. W najcieńszym miejscu miał grubość ramion dwóch mężczyzn was, a z ziemi zaczął się wyłaniać następny, chociaż końca pierwszego nie można było dojrzeć ; wydawał się sięgać aż do samej Studni.

Spod ziemi wyłaziły ciągle nowe, aż grunt zaczął drzeć pod naporem tak wielu tych olbrzymich ramion. Śpiew kapłanów (bo wiem już teraz, że byli sługami jakiejś ukrytej Potęgi) stał się głośniejszy i niemal histeryczny:

IA! IA! ZI AZAG!

IA! IA!! ZI AZKAK!

IA! IA! KUTULU ZI KUR!

IA!

Ziemia, na której się ukrywałem, stała się mokra od jakiejś substancji, gdyż znajdowałem się nieco niżej. Dotknąłem tej wilgoci i zrozumiałem, że

to krew. Przerażony, krzyknąłem i w ten sposób zdradziłem swoją obecność. Obrócili się w moją stronę i ujrzałem ohydę, wyciętą na ich piersiach nożami w celu podniesienia kamienia; z jakiejś mistycznej przyczyny wiedziałem, że nie było to święte. Wiedziałem też, że krew jest pożywieniem tych duchów, dlatego właśnie pole po bitwie świeci nienaturalnym światłem, które jest znakiem, że te istoty właśnie się pożywiają.

Niech ANU ma nas wszystkich w opiece!

Mój krzyk zmienił ich rytuał w chaos i nieporządek. Zacząłem uciekać górską ścieżką, którą tu przybyłem, a kapłani poczęli mnie ścigać, kilku zostało z tyłu, zapewne w celu dokończenia Rytuałów. I kiedy tak biegłem jak szalenciec przez zimną noc, a serce rosło mi w piersi i głowa zaczęła robić się gorąca, trzask rozłupywanych skał i huk grzmotu dobiegł mnie z tyłu me zatrzęsł ziemią, po której biegłem. Przerażony, upadłem na ziemię.

Podnosząc się, obróciłem się by stawić czoło atakującym, mimo iż byłem nieuzbrojony. Jakież było moje zdziwienie, kiedy zamiast kapłanów starożytnego horroru, nekromantów zakazanej Sztuki ujrzałem opadające na trawę czarne szaty, bez śladu ciał ich właścicieli.

Podszedłem ostrożnie pierwszego i przy pomocy długiej gałęzi podniosłem tokę z gąszczu zarośli. Z kapłana zostało tylko trochę mazi, niczym zielony olej, o zapachu zwłok długo gnijących na słońcu. Ten smród nieomal mnie powalił me, ale byłem zdecydowany odnaleźć innych, aby sprawdzić czy spotkał ich ten sam los.

Wracając tą samą ścieżką, która jeszcze przed chwilą uciekałem, odnajdywałem innych mrocznych kapłanów, znajdowali się w takim samym stanie co poprzedni. Szedłem dalej, mijając po drodze więcej szat, ale nie miałem już ochoty podnosić ich z ziemi.

W końcu dotarłem do miejsca, w którym szary kamień unosił się w powietrzu na rozkaz kapłanów. Opadł już teraz z powrotem na ziemię, ale znaki nadal świeciły nienaturalnym światłem. Węże lub to, co wziąłem wtedy za węże, zniknęły. Ale w resztkach ogniska, teraz ciemnych i zimnych, leżała

błyszcząca metalowa tabliczka.

Podniosłem ją i ujrzałem, że również jest pokryta znakami tak jak kamień, bardzo zawiłymi, w stylu jakiego nie mogłem pojąć. Nie była pokryta tymi samymi znakami co kamień, ale miałem uczucie jakbym mógł nieomal odczytać litery, ale nie umiem, tak jakbym znał ten język ale go dawno zapomniał. Głowa zaczęła mnie boleć jakby pukał mi w nią diabeł, kiedy promień księżycowego światła uderzył w tabliczkę (wiem teraz, co to było), a Głos wszedł mi do głowy i opowiedział mi o sekretach zdarzeń, których byłem świadkiem, jednym słowem:

## KUTULU

W tym momencie, kiedy tak drapieźnie wyszeptano mi do ucha, zrozumiałem. Oto są znaki wyryte na szarym kamieniu, który był Wrotami na Zewnątrz: A oto jest amulet, który trzymałem wtedy w dłoni, a noszę go na szyi nawet teraz, kiedy pisze te słowa : Spośród tych trzech symboli wyrytych w kamieniu, pierwszy jest znakiem Rasy spoza Gwiazd i nazywa się ARRA w języku Skryby, który mnie go nauczył, emisariusza Starszych.

W języku najstarszego miasta Babilonu nazywa się UR. Jest to Sigil Zobowiązania Starszych Bogów, i kiedy go zobaczą, ci, którzy nam go dali, nie zapomną o nas. Przynękli!!!

Duchu Niebios, pamiętaj!!!

Drugi to Znak Starszych i jest Kluczem, dzięki któremu Moce Starszych Bogów mogą być przywołane, jeśli są używane z odpowiednimi słowami i kształtami. Ma Nazwę, AGGA.

Trzeci Znak to Sigil Strażnika. Nazywa się BANDAR. Strażnik jest Rasą przysłaną tu przez Starszych. On czuwa gdy inni śpią, jeśli zapewni się mu odpowiedni rytuał i ofiarę; w przeciwnym wypadku, jeśli zostanie wezwany, zwróci się przeciwko tobie. Te pieczęcie, aby były skuteczne, muszą zostać wyryte w kamieniu i włożone w ziemię.

Albo, ułożone na Ołtarzu Ofiarnym. Albo, zanesione do Kamienia

Inwokacji. Albo, wygrawerowane na metalu swojego Boga lub Bogini i zawieszane na szyi, ale ukryte przed wzrokiem profanów. Spośród tych trzech, ARRA i AGGA mogą być używane osobno, czyli pojedynczo. BANDAR, jednakże, nie może być nigdy używany osobno, zawsze z jednym z pozostałych lub z dwoma, ponieważ trzeba przypominać Strażnikowi o Umowie, którą przyrzekł Starszym Bogom i naszej Rasie, inaczej zwróci się przeciwko tobie i cię zabije, a twoje miasto zrówna z ziemią aż ujrzą to Starsi Bogowie dzięki łzom twojego ludu i zawodzeniu twoich kobiet.

### KAKAMMU!

Metalowy amulet, który wydobyłem z popiołów ogniska, który złapał światło Księżyca, jest potężną pieczęcią przeciw wszystkiemu, co może przejść przez Wrota z Zewnątrz. Jeśli go To ujrzy wycofa się. CHRONI TYLKO JEŚLI ODBIJA ŚWIATŁO KSIĘŻYCA, bo podczas nowiu lub pochmurnej nocy nie ma raczej ochrony przed stworzeniami ze Starożytnych Łądów, które przełamują barierę albo zostaną wpuszczone na powierzchnię Ziemi przez swoje sługi.

W takim przypadku nie należy próbować niczego, dopóki Księżyc nie zaświeci nad Ziemią, bo jest najstarszym wśród Stref i jest gwiazdzistym symbolem naszego Paktu. NANNA, Ojczyce Bogów, Pamiętaj !

Jednakże, amulet musi być wyrzeźbiony z czystego srebra przy świetle Księżyca, tak by jego blask padał na niego podczas pracy ; ponadto esencja księżycowych inkantacji musi być wypowiedziana, tak samo jak rytuały podane dalej w tej Księdze. Amulet nigdy nie może być wystawiony na działanie promieni słonecznych, bo SHAMMASH zwany UDU, w swej zazdrości, pozbawi pieczęć mocy. W takim wypadku trzeba amulet wykąpać w kamforze, a rytuały i inkantacje muszą być powtórzone. Ale lepiej było by zrobić go od nowa.

Te sekrety przekazuję tobie kiedy całe moje życie to ból; nigdy nie możesz ich wyjawiać profanom, skazanym na banicję czy czcicielom

Starożytnego Węża, ale zawsze trzymaj je głęboko w swoim sercu, zawsze milcząc na temat tych rzeczy.

Pokój niech będzie z tobą!

Od czasu tej pamiętnej nocy w Górach MASSHU, wędrowałem po bezdrożach w poszukiwaniu klucza do sekretnej wiedzy, która mnie obdarzono. i była to bolesna i samotna podróż, podczas której nie miałem żony, nie założyłem rodziny ani nie zbudowałem domu, żyłem w wielu krajach, często w jaskiniach i na pustyniach, ucząc się kilku języków jakie powinien znać podróżnik, to żeby targować się z handlarzami i dowiadywać się nowych informacji.

Ale targowałem z Mocami, które rezydowały w każdym z tych krajów. I wkrótce zacząłem rozumieć wiele rzeczy, o których wcześniej nie miałem pojęcia, oprócz może snów.

Przyjaciele z mojej młodości opuścili mnie, ja ich też. Po siedmiu latach odkąd opuściłem rodzinę dowiedziałem się, że wszyscy oni zginęli z własnej ręki, a nikt mi nie mógł podać powodów ; ich stada padły z powodu jakiejś dziwnej epidemii.

Wędrowałem jako żebrak, karmiony przez ludzi z różnych miast, często zamiast tego obrzucano mnie kamieniami i grożono więzieniem. Od czasu do czasu, udawało mi się przekonać jakiegoś uczonego człowieka, że jestem prostym uczniem, dlatego pozwalał mi to stare pisma, w których zawarte były szczegóły nekromancji, czarnoksięstwa ,magii i alchemii. Nauczyłem się zaklęć, które powodują choroby, plagi, ślepotę, a nawet śmierć.

Nauczyłem się o wielu rodzajach demonów i złych bóstw, poznałem legendy dotyczące Wielkich Przedwiecznych. dzięki temu mogłem też uzbroić się przeciwko diablicy zwanej LAMMASHTA, znanej także jako Miecz, który Przecina Czaszkę, której sam wygląd powoduje przerażenie i obłąd, a także(jak mówią niektórzy) śmierć wyjątkowo nienaturalną.

W swoim czasie, nauczyłem się imion i właściwości wszystkich demonów, diabłów, stworów i potworów tu wymienionych, w Księdze

Czarnej Ziemi. Nauczyłem się także o mocach astralnych Bogów i jak wzywać ich na pomoc w potrzebie. Poznałem również przerażające istoty, które żyją poza duchami astralnymi, które strzegą wejścia Świątyni Zaginionych, że Dawnych Dni, Dawnych z Wielkich Przedwiecznych, których imion nie mogę tu napisać.

Podczas moich odosobnionych ceremonii na wzgórzach, składając cześć wodą i sztyletem, ogniem i mieczem i przy pomocy dziwnej trawy, która rośnie dziko w niektórych częściach MASSHU, (a którą nierozważnie rozpałem ogień pod tamtą skałą) otrzymałem wielką moc umysłu, która pozwoliła mi na przebycie wielkich odległości aż do niebios, a także do piekieł, otrzymałem formuły na amulety i talizmany, które opisuję poniżej, które pozwalają Kapłanowi na bezpieczne przebycie sfer, pomiędzy którymi może on podróżować w poszukiwaniu Wiedzy.

Ale teraz, po Tysiącu–I–Jednym Księżycu mojej podróży, MASKIM drapie mnie w stopy, RABISHU ciągnie mnie za włosy, LAMMASHTA otwiera swe przerażające szczęki, AZAG–THOTH chwije się ślepo na swoim tronie, KUTULU podnosi głowę sponad Welonu Zatopionej Varloorni, i daleko z Głębiny wbija we mnie swoje spojrzenie ; dlatego też muszę się spieszyć pisząc te słowa, wygląda na to, że nie wypełniłem pewnych wymagań zgodnie z rytuałem, czy to formułą, czy to z ofiarą, bo teraz cały orszak ERESHKIGAL leży czekając, śniąc o moim odejściu.

Modłę się do Bogów abym został ocalony, a nie przepadł jak Kapłan ABDUL BEN–MARTU w Jeruzalem (niech Bogowie o nim pamiętają i niech się nad nim zlitują!). Moje przeznaczenie nie jest już zapisane w gwiazdach, bo złamałem Chaldejską Umowę szukając mocy po wszystkich Strefach. Postawiłem stopę na Księżycu i Księżyc nie ma już nade mną władzy. Linie mojego życia zostały zatarte przez moje podróże po Pustkowiu, po literach zapisanych w niebiosach przez bogów.

I nawet teraz słyszę wycie wilków w górach tak jak tamtej fatalnej nocy, i słyszę jak wołają moje imię tak jak imiona Innych. Boję się o moje ciało, ale

bardziej obawiam się o moja duszę.

Pamiętaj, zawsze, w każdej wolnej chwili, żeby wzywać Bogów aby cię nie zapomnieli, bo krótka jest ich pamięć i są bardzo daleko stąd. Rozpalaj ogień na wzgórzach, szczytach świątyń i piramid, tak żeby mogli je ujrzeć i zapamiętać.

Pamiętaj, abyś zawsze kopiował każdą formułę, którą tu spisałem, i nie zmieniaj ich ani o linię, ani o kropkę, ani nawet o włos, inaczej będzie bezużyteczna albo, co gorsze : zniszczona gwiazda to Brama GANZIR, Wrota Śmierci, Wrota Cieni i Skorup. Recytuj inkantacje tak, jak są zapisane, taką samą manierą. Przygotowuj rytuały bezbłędnie, o odpowiednim czasie i w odpowiednich miejscach składaj ofiary.

Niech Bogowie będą dla ciebie zawsze litościwi!!!

Obyś uciekł szczękom MASKIM i pokonał potęgę Wielkich Przedwiecznych!!!

I NIECH BOGOWIE OBDARZĄ CIĘ ŚMIERCIA ZANIM WIELCY PRZEDWIECZNI ZNÓW ZAPANUJĄ NAD ZIEMIĄ!

KAKAMMU! SELAH !!!

UR! NIPPUR!

ERIDU! KULLAH!

KESH! LAGASH!

SHURUPPAL SELAH!

Dniu Żyjącego, Wschodzącego Słońca

Dniu Obfitości, Łaskawego Słońca

Dniu Doskonały, Wielkiej Mocy

Dniu Szczęścia, Wspaniałej Nocy

O Błyszczący Dniu!

O Radosny Dniu!

O Dniu Życia, Miłości i Szczęścia



Siedmiu Najstarszych, Najmądrzejszych!  
Siedmiu Świętych, Nauczonych!  
Bądźcie mymi Strażnikami, wypolerowane Miecze  
Bądźcie moją Strażą, cierpliwi Władcy  
Chrońcie mnie przed Rabishu  
O Błyszczący, Wspaniali APHKALLHU!

Którego Boga uraziłem? Którą Boginię? Której ofiary nie złożyłem?  
Jakież to Nieznane Zło uczyniłem, że każdemu mojemu wyjściu z domu  
muszą towarzyszyć przerażający skowyt stu wilków? Niech serce mojego  
Boga wróci na swoje miejsce!

Niech serce mojej Bogini wróci na swoje miejsce!  
Niech Bóg, którego nie znam nie mówi nic do mnie!  
Niech Bogini, której nie znam nie mówi nic do mnie!  
Niech serce Nieznanego Boga wróci na swoje miejsce dla mnie!  
Niech serce Nieznanej Bogini wróci na swoje miejsce dla mnie!

Podróżowałem po Sferach i Sfery mnie nie chronią. Zszedłem w dół do  
Otchłani i Otchłań mnie nie chroni. Wszedłem na szczyty gór i góry mnie nie  
chronią. Przemierzyłem Morza i Morza mnie nie chronią.

Władcy Wiatru pędzą po mnie i są rozgniewani. Władcy Ziemi pełzną pod  
moimi stopami i są rozgniewani. Duchy zapomniały o mnie.

Mój czas ucieka i muszę skończyć tak dużo jak mi się uda zanim nie  
zostanę zabrany przez Głos, który wciąż wzywa. Dni Księżyca nad ziemią są  
policzone, Słońca również, a ja nie znam znaczenia tych omenów, wiem  
tylko, że są. I wyrocznie wyschły, a gwiazdy wirują na swoich miejscach. I  
niebiosa wyglądają na niekontrolowane przez nikogo, żadnego porządku, a  
sfery są pokrzywione i sponiewierane.

I Znak Zdaq unosi się nad stołem, przy którym piszę ale nie potrafię już

odczytać runów, bo uniemożliwia mi to ten Znak. Czy to zawsze tak jest? I Znak ten wszystko mi uniemożliwia. Czy to zawsze tak jest? A Znak Xastura unosi się nade mną, a ja znam tego znaczenie ale nie mogę o tym pisać, bo otrzymałem wiadomość z Innego Miejsca.

Ledwo mogę mówić i nie rozpoznaję swojego głosu.

Otchłań ziewa szeroko przede mną! Brama została zniszczona!

Wiedz, że Siedem Sfer musi być odwiedzana w swoich porach i w swoim czasie, jedna na raz i nigdy następna przed pierwszą. Wiedz, że Cztery Bestie Przestrzeni domagają się krwi wtajemniczonego, każda w swoim czasie i porze. Wiedz, że TIAMAT wiecznie usiłuje wznieść się do gwiazd, a kiedy Wyższe zjednoczy się z Niższym, wtedy na Ziemi nastanie nowa Era, a Wąż będzie cały, a Wody będą jak Jedno, kiedy na niebiosach nie będzie nazwane.

Pamiętaj, abyś chronił żywy inwentarz wioski i swoją rodzinę. Znak Starszych i Znak Rasy. Ale Strażnika też, jeśli będą zbyt wolne. I żadne ofiary nie mogą być składane w tym czasie, bo krew będzie rozlana dla tych co przyszli i przywoła ich.

Pamiętaj, by trzymać się niskiego gruntu, a nie wysokiego, bo Wielcy Przedwieczni docierają z łatwością na szczyty świątyń i gór, skąd mogą patrzeć na to, co utracili ostatnim razem. I ofiary składane na szczycie takich świątyń będą Ich łupem.

Pamiętaj, że twoje życie jest w wodzie płynącej, a nie stojącej, bo ta druga jest miejscem płodzenia dla LILITU, a jej stworzenia są Ich potomkami, i czczą Ich w Ich świątyniach, miejscach tobie nieznanymi. Ale gdzie zobaczysz stojący kamień, tam będą, bo taki jest ich ołtarz.

Pamiętaj, aby ryć symbole dokładnie jak ci powiedziałem, nie zmieniaj ani jednego znaku, bo inaczej amulet rzuci klątwę na ciebie, noszącego go. Wiedz, że sól absorbuje złe wydzieliny larw i jest bardzo przydatna przy czyszczeniu narzędzi. Nie przemawiaj pierwszy do demona, niech on pierwszy przemówi do ciebie. A jak mówi, zobowiąż go do mówienia wyraźnie, miękko i łagodnym głosem, w twoim języku, bo inaczej z

pewnością zmiesza cię i ogłuszy swym rykiem. I zobowiąż go do powstrzymania swojego zapachu, żebyś nie zemdlał.

Pamiętaj, aby nie składać ofiary ani zbyt skąpej, ani zbyt obfitej, bo jeśli jest zbyt skąpa, demon nie pojawi się albo, jeśli się pojawi, będzie rozgniewany na ciebie i nie będzie chciał z tobą rozmawiać, nawet jeśli będzie zobowiązany, bo taka jest Umowa. A jeśli będzie zbyt obfita, demon urośnie zbyt wielki i zbyt szybko, i stanie się trudny do kontrolowania. I raz taki demon został przywołany przez tego Kapłana z Jeruzalem, ABDULA BEN-MARTU, i był żywiony obficie stadami owiec Palestyny, gdzie urósł do przerażających rozmiarów i w końcu pożarł kapłana. Ale to było szaleństwo, bo Ben-Martu czcił Przedwiecznych, co jest niezgodne z prawem, tak jak to zostało zapisane.

Pamiętaj, że Esencje Wielkich Przedwiecznych są we wszystkich rzeczach, ale Esencje Starszych Bogów Gods są we wszystkich żywych rzeczach i to będzie dla ciebie dowodem wartości, kiedy nadejdzie czas.

Pamiętaj o ARRA, szczególnie mając do czynienia Tymi Z Ognia, bo Oni go szanują i nic innego.

Pamiętaj, aby utrzymywać Księżyc czystym.

Strzeż się Kultów Śmierci, a są to: Kult Psa, Kult Smoka i Kult Kozy; bo są to czciciele Wielkich Przedwiecznych i wiecznie próbują sprowadzić Ich tutaj, bo posiadają formuły, o których zakazane jest mówić. I te kultury nie są silne, ograniczają się do pór, kiedy niebiosa otwierają się przed nimi i ich rasą. I zawsze będzie Wojna pomiędzy nami i Rasą Draconis, bo Rasa Draconis była bardzo potężna w pradawnych czasach, kiedy zostały zbudowane pierwsze świątynie w MAGAN, i ściągali oni wiele siły z gwiazd, ale teraz są jak Wędrowcy z Pustkowi i żyją w jaskiniach, na pustyniach i wszystkich samotnych miejscach, gdzie postawili kamienie. I widziałem je podczas swych podróży po tych rejonach, gdzie niegdyś kwitły pradawne kultury i gdzie teraz jest jedynie smutek i pustka.

I widziałem ich podczas ich Rytuałów i okropne Rzeczy, które

przywoływali z Krain spoza Czasu. Widziałem Znaki wyryte na ich kamieniach, ich ołtarze. Widziałem Znak PAZUZU, i ZALÉD, i ten XASTURA i AZAG–THOTHA, i podobne im ISHNIGARRAB i okropnych Młodych Kozy, i przerażającą muzykę ich Rasy.

Widziałem krew rozlaną na Ich Kamieniu. Widziałem jak ten Kamień został uderzony Mieczem i widziałem jak ten kamień się unosi, a spod niego wypłynął Wąż. I ta moc jest z pewnością przeklęta; ale gdzie jest MARDUK? I co z SHAMMASH? Śpiący Bogowie zaprawdę Śpią.

I jaką zbrodnię popełniłem? Jakiego Nieznanego Boga prawa pogwałciłem? Jaką zakazaną rzecz zjadłem? Jaką zakazaną rzecz wypilem? Moje cierpienie! Jest Siedem! Jest Siedem razy Siedem! O Bogowie! Nie odrzucajcie swego sługi!

Pamiętaj o Człowieku Skorpionie, który żyje w Górach. Został stworzony dawno temu przez TIAMAT do walki ze Starszymi Bogami, ale pozwolono mu pozostać pod Górami przy Nich. Ale kiedyś już nas oszukał i może to zrobić znowu. Ale wezwij go, jeśli będzie coś, co będziesz chciał wiedzieć o Zewnątrz, a czego ci nie powiedziałem. Jego znak jest prosty, a oto i on:

I po prostu stań twarzą do miejsca, gdzie on jest, a on pojawi się i przemówi do ciebie, ale nie rób tego o Świcie, bo wtedy wschodzi Słońce i Skorpion nie ma mocy, nie w czasie od Świtu do Zmierzchu, w tym czasie on zmuszony jest do przebywania pod ziemią, bo taka obowiązuje go litera Umowy, bo jest napisane: Nie będzie wznosił swej głowy na Słońcu.

I jeszcze raz: Jego czasem jest mrok.

I jeszcze raz: On wie o Bramach, ale nie zna Bram.

I jest jeszcze jeden z Rasy Człowieka Skorpiona, żyjący z nim pod ziemią; kobieta ale o niej zakazane jest mówić i musi zostać odpędzona egzorcyzmami, jeśli się pojawi przed tobą, bo jej dotyk to Śmierć.

A Kult Smoka, cóż więcej mogę ci powiedzieć? Odprawiają swe obrzędy, kiedy ta Gwiazda jest najwyżej na niebie, i jest w Sferze IGIGI, tak samo jak Gwiazdy Psa i Kozy. A ich czciciele zawsze byli z nami, ale nie są tej samej

rasy, ale Rasy swojej Gwiazdy, Wielkich Przedwiecznych. i nie trzymają się naszych praw, tylko mordują szybko i bez namysłu. I pokryci są własną krwią.

Przywołali Duchy Wojny i Zarazy przeciwko naszej Rasie i sprawili, że wielu naszych ludzi i zwierząt umarło, w niezwykle nienaturalny sposób. I są oni nieczuli na Ból i nie czują strachu przed Płomiennym Mieczem, bo oni są autorami Bólu! Choć są oni licznymi stworzeniami Ciemności i Smutku, sami Smutku nie czują! Pamiętaj o zapachu! Można ich rozpoznać po ich zapachu! I są oni sprawni w wielu nienaturalnych naukach i sztukach, które sprawiają cudowne rzeczy, ale są one zakazane naszym ludziom.

A kto jest ich Władcą? Tego nie wiem, ale słyszałem jak przywołują ENKI, co z pewnością jest bluźnierstwem, bo ENKI jest z naszej Rasy, jak to zapisano w Tekście z MAGAN. Ale, być może, wzywali Innego, którego imienia nie znam. Ale z pewnością nie był to ENKI.

I słyszałem jak wykrzykują wszystkie Imiona Wielkich Przedwiecznych z dumą, podczas swych rytuałów. I widziałem krew rozlaną na ziemi i szalony taniec, i przerażające krzyki kiedy wzywali swych Bogów, by pojawili się i wspomogli ich swoimi tajemnicami.

I widziałem zmieniają każdy promień Księżyca w ciecz, którą polewali swoje kamienie z powodów, których nie mogłem dociec.

I widziałem, jak zmieniają się w wiele dziwnych rodzajów bestii, kiedy gromadzili w wyznaczonych miejscach, Świątyniach Offala, gdzie rogi wyrastały z głów, które nie mają rogów, a zęby z ust, które nie mają zębów, a ręce stawały się niczym szpony orła lub pazury psów, które włóczą się po opustoszałych terenach, szalone i skowyczące, jak te, które nawet teraz wyją moje imię na zewnątrz !

Wznoszę lamenty, ale nikt mnie nie słyszy! Zawładnęło mną przerażenie! Nic nie widzę! Bogowie, nie opuszczajcie swojego sługi !

Pamiętaj o Mieczu Strażnika. Nie dotykaj go zanim nie będziesz chciał, aby On odszedł, bo wtedy odejdzie wraz z dotykiem i zostawi cię bez

ochrony przez resztę Rytuału, i chociaż Okrąg jest granicą, której nic nie może przekroczyć, będziesz nieprzygotowany na stawienie czoła niewiarygodnym widokom, które przywitają cię na zewnątrz. Pamiętaj także o ofierze dla Strażnika. Muszą być regularne, bo Strażnik jest z innej Rasy i nie dba o twoje życie, jedynie wykonuje twoje polecenia jeśli złożyłeś mu ofiarę. A zapomnienie o Znaku Starszych z pewnością sprawi ci wiele nieszczęść.

I widziałem rasę ludzi, którzy czczą Wielką Krowę. Pochodzą oni gdzieś ze Wschodu, zza Gór. i są oni z pewnością czcicielami Wielkiego Przedwiecznego, ale Jego Imienia nie jestem pewien, bo nie spisałem go, a i tak jest ono dla ciebie bezużyteczne. I w swoich Rytuałach stawiali się jak krowy i był to obrzydliwy widok. Ale oni są Złem, więc cię ostrzegam.

I widziałem Rytuały, które mogą zabić człowieka z wielkiej odległości. A Rytuały mogące sprowadzić chorobę na człowieka, gdziekolwiek żyje, wykonuje się przy użyciu prostego czaru, który musi być wymawiany w tym języku i żadnym innym, bo tak zostało powiedziane. A oto ten czar:

AZAG galra sagbi mu unna te  
NAMTAR galra zibi mu unna te  
UTUK XUL gubi mu unna te  
ALA XUL gabi mu unna te  
GIDIM XUL ibbi mu unna te  
GALLA XUL kadbi mu unna te  
DINGIR XUL girbi mu unna te  
I minabi–ene tashbi aba aba–andibbi–esh!

I to oni śpiewają nad woskową lalką, kiedy ta płonie w ich przeklętych kociołkach. I lubują się w tych rzeczach i nadal to robią tam, gdzie można znaleźć ich świątynie pełne wstrętu.

I widziałem kraje farmerów spustoszone przez ich złe zaklęcia, spalone na popiół przez płomienie i płonące głownie, które spadły z nieba. A to jest Znak, że tam byli, gdzie ziemia jest czarna i martwa, i gdzie nic nie rośnie.

A kiedy ogień spadnie z nieba, z pewnością wywołując panikę wśród naszych ludzi, Kapłan musi ich uspokoić i wziąć tę księgę, której musi zrobić własną kopię, i odczytać egzorcyzmy tam zawarte, żeby jego ludziom nie stała się krzywda. Bo w tym czasie pojawi się na niebie miecz, sygnał dla Wielkich Przedwiecznych, że jeden z Nich uciekł i przedostał się do tego Świata. I będzie omen, że taki Duch jest nad krajem i musi on być odnaleziony. A ty możesz wysłać swojego Strażnika na poszukiwania, i wielkie zniszczenie będzie uczynione miastom, a ogień będzie spadał ze sfer dopóki Starsi Bogowie nie ujrzą twoich prośb i nie stłumią buntu Wielkich Przedwiecznych potężnymi Czarami. Ale wielu w tym czasie zostanie zgubionych na rzecz Zewnątrz.

Obserwuj bacznie Gwiazdy. Gdy można dostrzec komety w sąsiedztwie CAPRICORNUSA, Jego Kulty będą się radować i ich zaklęcia wzmogą swą siłę. A kiedy komety można dostrzec w sąsiedztwie DRACONISA, jest to wielkim zagrożeniem, bo Kulty Smoka podniosą się w tym czasie i złożą wiele ofiar, nie tylko ze zwierząt, ale i z ludzi.

A kiedy komety są widziane w sąsiedztwie Gwiazdy SIRIUS, wielkie będą trudności w domach królów i brat powstanie przeciwko bratu, i będzie wojna, i głód. I z tych rzeczy czciciele Psa będą się radować i zaogniać będą te konflikty, i będą rośli w siłę.

Jeśli zdarzy ci się napotkać taki kult w środku Rytuałów, schowaj się dobrze, tak aby nie mogli cie ujrzyć, bo inaczej schwytają cię i złożą w ofierze swoim Bogom, a twój duch będzie w wielkim niebezpieczeństwie, aż zostanie dla ciebie tylko wycie wilków will, a twój duch ucieknie od ciebie. To, jeśli będziesz miał szczęście umrzeć szybko, bo te kulty lubują się w powolnym upuszczaniu krwi, dzięki czemu uzyskują wielką moc i siłę w swych Ceremoniach.

Obserwuj uważnie, jednakże, wszystko co mówią i czynią i spisz to w księdze, tak żeby nikt tego nie zobaczył, tak jak ja to zrobiłem, bo przysłuży ci się to w przyszłości, kiedy rozpoznasz ich po ich słowach i czynach. I

możesz sprokurować amulety, przeciwko którym ich zaklęcia będą bezużyteczne i tępe, paląc Imiona ich Bogów napisane na pergaminie lub jedwabiu, w kociołku własnego pomysłu. A twój Strażnik zanieśe spalone zaklęcie na ich ołtarz i złoży je na nim, a oni będą bardzo się bali i zaprzestaną swych działań na pewien czas, a ich kamienie pękną i ich Bogowie strasznie rozgniewają się na swoje sługi.

Pisz księgę, którą trzymasz dobrze i wyraźnie, a kiedy nadejdzie dla ciebie czas wyjść na zewnątrz, tak jak teraz czas na mnie, przekazana ona ma być tym, którym przyniesie największy pożytek i którzy są wiernymi sługami Starszych Bogów, i przyrzec muszą wieczną Wojnę zbuntowanym demonom, które chcą zniszczyć cywilizację człowieka.

A jeśli będziesz znał imiona tych, którzy cię krzywdzą, zapisz je na figurkach z wosku zrobionych na ich podobieństwo, na które rzucisz Klątwe i stop je w kociołku, który ustawiłeś wewnątrz MANDALI ochrony. I Strażnik zanieśe Klątwe tym, którym jest przeznaczona. I umrą oni.

A jeśli nie znasz ich imion, ani ich oblicza, wiesz tylko, że chcą cię skrzywdzić, zrób z wosku figurkę człowieka z kończynami, ale bez twarzy. I na twarzy lalki napisz słowo KASHSHAPTI. Trzymaj lalkę nad płonącym kociołkiem, mówiąc groźnie te słowa: ATTI MANNU KASHSHAPTU SHA TUYUB TA ENNI! I wtedy wrzuć figurkę do ognia. W dymie, który wzniesie się znad niego, ujrzysz imię czarnoksiężnika lub czarodziejki. I wtedy będziesz mógł wysłać Strażnika, aby zaniósł Klątwe. i ta osoba umrze.

Albo możesz wezwać ISHTAR, by chroniła cię przed czarami złego czarnoksiężnika. I do tego MANDALA musi być przygotowana jak zawsze, a figurka ISHTAR musi stać na ołtarzu i odmówić należy inkantacje potrzebne do przywołania Jej osoby, takie jak ta inkantacja, która jest prastara, jeszcze do Kapłanów z UR:

KIM JESTEŚ TY, O CZAROWNICO, KTÓRA MNIE SZUKASZ?

Wyruszyłaś w drogę



Idziesz po mnie  
Szukasz mnie aby mnie zniszczyć  
Ciągłe knujesz złe rzeczy przeciwko mnie  
Nie masz nade mną litości  
Wypatrzyłaś mnie  
Podążałaś dalej i śledziłaś moje kroki  
Ale ja, z rozkazu Królowej ISHTAR  
Jestem ubrany w terror  
Jestem uzbrojony w krwiożerczość  
Jestem wyposażony w potęgę i Miecz  
Sprawię, że zadrzysz  
Sprawię, że uciekniesz przerażona  
Podążę za tobą  
Wyśledzę cię  
Spowoduję, że twoje imię stanie się znane pośród ludzi  
Spowoduję, że twój dom będzie zauważony przez ludzi  
Spowoduję, że twoje zaklęcia będą słyszalne pośród ludzi  
Spowoduję, że twoje złe perfumy będą wyczuwalne pośród ludzi  
Obnażę  
twoją przewrotność i zło  
I zniweczę twoje czary!  
To nie ja, tylko NANAKANISURRA  
Pani Czarownic  
I królowa nieba ISHTAR  
Rozkazują tobie!

A jeśli czciciele i czarnoksiężnicy nadal będą cię prześladować, co jest możliwe, bo ich siła pochodzi z gwiazd, a któż zna sposoby Gwiazd?, musisz przywołać Królową Tajemnic, NINDINUGGA, która z pewnością cię ocali. I musisz odmówić inkantacje w Jej Imieniu, które brzmi: NINDINUGGA NIMSHIMSHARGAL ENLILLARA. A wystarczy to Imię wykrzyknąć

Siedem razy, a ona przybędzie ci na pomoc.

I pamiętaj, abyś oczyszczał swą świątynię gałęziami cyprysu i sosny, a żaden zły duch nawiedzający budynki nie zamieszka tam, a żadne larwy nie będą się tam mnożyć, jak to robią w wielu nieczystych miejscach. Te larwy są olbrzymie, dwa razy większe od człowieka, ale mnożą się od jego odchodów, a nawet, zostało powiedziane, od jego oddechu i rosną do przerażających rozmiarów, i nie opuszczają go dopóki Kapłan albo jakiś Mag nie odetnie ich miedzianym sztyletem, wymawiając imię ISHTAR siedem razy siedem razy, na głos, ostrym głosem.

Noc teraz stała się cicha. Skowyt wilków ucichły i rzadko je słychać. Może zobaczyły coś innego? Jednak, czy mogę powiedzieć moim kościom, że jest inaczej? Bo Znak XASTURA nie opuścił swojej pozycji przede mną i stał się większy, rzucając cień na strony, które teraz piszę. Przywołałem mojego Strażnika, ale jest niepokojony przez jakieś Rzeczy i nie odpowiada mi dobrze, jakby dotknięty był jakąś chorobą i przygaszony. Moje księgi straciły światło, ułożyły się na półkach jak śpiące zwierzęta, lub martwe.

Niedobrze mi od głosów, które słyszę teraz, jakby głosy mojej rodziny, która została daleko za mną, ale niemożliwe jest, by zrozumieć o co im chodzi. Czy nie zrozumiałem ich nienaturalnej śmierci? Czy demony, które czyhają na Zewnątrz mogą tak złośliwie naśladować głosy moich rodziców? Moich braci? Moich sióstr?

**ODEJDŹCIE !!!**

Ta księga była moim amuletem, Pieczęcią Ochrony! Mój inkaust był inkaustem Bogów, a nie ludzi! Ale muszę pisać w pośpiechu, a jeśli ty nie będziesz w stanie zrozumieć mojego pisma, być może będzie to dla ciebie wystarczający znak siły i potęgi demonów, które były w tym czasie i w tym miejscu, i jest to z pewnością ostrzeżenie dla ciebie abyś uważał i nie inwokował beztróska, ale uważnie, i pod żadnym pozorem, w żadnych okolicznościach, nie próbował beztróska otwierać Bramy na Zewnątrz, bo

nigdy nie poznasz Pór Czasów Wielkich Przedwiecznych, mimo że możesz znać ich Pory na Ziemi dzięki zasadom, które już ci przekazałem; bo Ich Czasy i Pory na Zewnątrz będą nierówno i dziwnie dla naszych umysłów, bo czyż to nie Oni są Stwórcami Wszystkich Czasów? Czy to nie Oni umieścili Czas na swoim Miejscu? Nie wystarczyło, że Starsi Bogowie (mieście litość nad waszym sługą!) ustawili Wędrowców by wyznaczyli ich przestrzenie, bo te istniejące przestrzenie były dziełem Wielkich Przedwiecznych. Czy gdyby Słońce nie świeciło, czy gdyby SHAMMASH nigdy się nie narodził, lata mijałyby tak szybko?

Zawsze uważaj, aby Brama na Zewnątrz była zamknięta i zapieczętowana zgodnie z instrukcjami, które ci przekazałem, Pieczęciami i Imionami tam zawartymi.

Zawsze staraj się dawać odpór the Siłom Kultu pradawnych czcicieli, żeby nie stali się silni dzięki swojej krwi i ofiarom. Po ich ranach ich poznasz, i po ich zapachu, bo nie urodzili się oni jak ludzie, ale w inny sposób; przez jakieś zepsucie nasienia albo ducha, który dał im inne właściwości niż te, które są nam znane. I lubią oni najbardziej Mroczne Miejsca; bo ich Bogiem jest Robak.

IA! SHADDUYA IA! BARRA! BARRA! IA KANPA! IA KANPA!  
ISHNIGARRAB! IA! NNGI IA! IA!

Gwiazdy pogasły na swych miejscach, a Księżyc blednie przede mną, jakby zasłony zarzucono na jego płomień. Demony o psich twarzach zbliżają się do obwodu mojego sanktuarium. Dziwne linie pojawiają się wyrysowane na moich drzwiach i ścianach, a światło z okien coraz bardziej gaśnie.

Zerwał się wiatr. Ciemne Wody poruszyły się. Oto jest Księga Sługi Bogów...



H.P. Lovecraft, jeden z prawodawców współczesnego horroru, stanowił inspirację dla tak głośnych autorów jak Stephen King, Anne Rice, Clive Barker i wielu innych. Doprowadzając do perfekcji swój styl, cyzelował opowiadania grozy od tych najwcześniejszych aż po najsłynniejsze z cyklu mitów Cthulhu.

**UWIEŻIONY WŚRÓD FARAONÓW** – Harry Houdini wydostając się z najtrudniejszej pułapki, ujawnia tajemnice powracające z otchłani czasu.

**W GÓRACH SZALEŃSTWA** – Ekspedycja badawcza odkrywa prastare miasto koszmarów kryjące się pod powierzchnią Antarktydy.

**REANIMATOR** – Makabryczne eksperymenty szalonego naukowca, które stały się kanwą kultowego dziś filmu pod tym samym tytułem.

**ZIMNO** – W czterech ścianach starego mieszkania kryje się coś, co nawet najodważniejszym zmrozi krew w żyłach.

**PRZERAŻAJĄCY STARUCH** – Paru złodziejaszków spragnionych łatwego łupu zamiast spodziewanych bogactw znajduje śmierć!

### KLASYKA OPOWIEŚCI GROZY

**ZYSK I S-KA**  
WYDAWNICTWO  
ISBN 83-7298-568-5  
Cena 39 zł

